



Egz. archiwalny IBL

POWIEŚCI
JÓZEFA DZIERZKOWSKIEGO

W PIERWSZEM ZUPEŁNEM WYDANIU

Tom III.



WE LWOWIE

NAKŁAD I DRUK A. J. O. ROGOSZA.

1875.

<http://rcin.org.pl>

POWIEŚCI

JÓZEFA PIŁKOWSKIEGO



BIURO WYDAWNICZE W

INSTYTUT

BADAŃ LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-000 Warszawa

Tel. 26-66-53, 26-52-31 w. 42



709

KRÓL DZIADÓW.

(Pierwsze wydanie 1856 r.)

KAZIMIERZOWI WŁADYSŁAWOWI

W O J C I C K I E M U

na pamiątkę chwil mile z Nim przepędzonych

poświęca

Autor.

KRÓL DZIADÓW

Wydanie drugie (1843)

Wydawnictwo Biblioteczne

WARSZAWA

Wydawnictwo Biblioteczne

1843

1843

I.

Kłopoty pieniężne.

Na Podgórzu, które się ciągnie od Stryja po pod Karpaty, jest mnóstwo dolin, które przez kilka mil czasem ciągną się, jakby prawdziwe wyspy zielone, bo zawsze oblane rzekami, które z gór płyną. Na jednej z takich dolin odbyły się główne ustępy powieści, którą czytelnikom moim chcę opowiedzieć. Dolina ta miała z pięć mil szerokości, w letniej mianowicie porze wyglądała jakby ogromny ogród, tyle tam było piękności nagromadzonych szczodłą przyrodzenia ręką. Kilkanaście wiosek porozrzucanych na niej, z swemi drzewami i sadami wyglądały jakby olbrzymie klomby, godne takiego parku, w którego głębi piętrzyły się pomału pierwsze wzgórza niby schody olbrzymie ku wyżynom karpackim wiodące. W dzień pogodny góry te rysowały się na błękitnie nieba fantastycznemi kształtami, w na pół mglistej a na pół śnieżnemi wierzchołkami pośrebrzonej szacie. Ku wieczorowi zmieniał się główny ten widok; promienie zachodzącego słońca nadawały mglistym szatom mnóstwo nowych, żywych, lśniących barw. A niżej ciągnęły się różnyh kształtów i rozmaitej wielkości wzgórza, to w bratnie grupy połączone, to rozrzucone, samotne, a wszystkie pokryte zielonością przechodzącą przez wszystkie inne barwy, od jasnej zieleni brzozowych gajów, aż do ciemnej zieloności niebotycznych borów. Dla urozmaicenia tej panoramy obszernej wystawały tu i owdzie z pomiędzy gór i borów nagie skały, jakby olbrzymie pomniki w olbrzymim parku postawione, jakby maszty ogromne, z morza zieloności wiatrem w górze wiejącym po-falowanego. Dolina zaś sama rozścielona długo i szeroko, podobna była do ogromnego kobierca, zaślanego przed schodami, prowadzącami do tej cudownej, z gór, skał i borów utworzonej świątyni przyrody; bo czyliż góry nasze w całym swym majestatycznym składzie, nie są rzeczywistą świątynią, ku której przez tyle wieków i tyle zdarzeń dziejowych, z całej szerokości ojczyzny nasze wznosiły się istne modlitwy słów i marzeń.

Srodkiem doliny, o której mówię, biegła rzeczka, strumykiem wytryskująca z pod jednej z samotnych skał, która zwiększona górskimi wodami i mnóstwem drobnych strumyczków, stawała się coraz większą, a nieraz na wiosnę po śnieżnej zimie lub w dżdżystą

jesień, stawała się rzeką prawie, przemieniając swój mrużący głosik na szumny huk pieniających się bałwanów. Rzeczka ta nadzwyczajnie krętym szła biegiem, tak że niemal wszystkie z kilku wiosek na dolinie rozsypanych dotykała w swoim biegu, i gdzie tylko koło ludzkich prześliznęła się siedzib, tam zaraz powstawał zielony jaki futorek, lub zahuczał młynek. Czasem nawet zabłądziła rzeczka aż do pańskiego ogrodu i w czystym swem zwierciadle odbijała białe dworów mury i kwieciste ogrodu klomby.

Ileż to razy przejeżdżając przez taką dolinę wdziękami przyrody, urokiem wiosny zaczarowaną, oddycha się tem świeżem powietrzem, co tam prosto z gór przychodzi i schwytuje wszelką po drodze zdybaną woń łąk i zielonych łąków kwitnących, by napełnić piersi nową siłą, nowem zdrowiem i tą rozkoszą sielską, która najprozaiczniejsze napełni serce nowem szlachetniejszym uczuciem; ileż to razy widząc i czując te cuda pomyślałem w duszy: „to istny raj, dany nam z łaski opatrności!“ Tak myślałem, pókim nie zdybał ludzi, bo człowiek wszędzie i zawsze jednakowy, żądzami swemi i namiętnościami odczaruje każdy raj. Utrata pierwszego rajtu to mit! to przenośnia, powtarzająca się codzień, co chwila w życiu wszystkich ludzi, z których każdy, jak dobrze powiedział poeta, był raz w życiu w Arkadii, w rajach swych marzeń wiosnianych, swych uczuć młodzieńczych. I dla tego każdy z nas, choć w późniejszym już wieku, nie może być obojętnym zupełnie na wdzięki poezji. Poezja to nuta straconego rajtu! —

Na tej dolinie w bliskości większych już pagórków była wielka wieś, do której najprzód wstąpić nam wypada.

Wyżynce leżały na płaszczynie jeszcze, z zdała tylko i nieopstrzeżenie wznoszącej się. Jeden tylko pagórek jakby wysłannik tych gór dalszych wznosił się nagle i bez przygotowania, jakby kopiec ogromny na środku płaszczyny, na jaką wielką pamiętkę usypany. I był to rzeczywiście pamiętkowy pagórek, bo przed laty trzydziestu jeszcze widać było na nim ostatki gruzów, jakie pozostały po zamku Wyżyńskich dziedziców, Wyżyniec. Przed wiekiem i dawniej wznosił się na nim warowny zamek, który nad całą panował okolicą; rodzina Wyżyńskich była zamożna i szanowana powszechnie. Póki oko dosięgnąć mogło z baszty zamkowej, od Karpatów zacząwszy aż do tej ostatniej wstęgi srebrnej, co tam z dala z pomiędzy drzew, w mgłę niknących, rzeczną połyskuje falą, wszystko należało do Wyżyńskich, którzy słynęli po całym kraju z ducha rycerskiego, z miłości do ojczyzny i cnót obywatelskich. A gdy załębiał wielki dzwon w kaplicy zamkowej, z dwunastu wsi okolicznych i miasteczka na samym środku doliny położonego, sypały się roje pobożnych, by się pomodlić Bogu a pokłonić zamkowemu panu, któremu wszyscy byli podlegli. Przed laty kilkoma, gdy się powieść nasza zaczyna, nie było ani śladu starego zamku, nie było ani śladu dawnej rodziny Wyżyńskich zamożności. Pozornie było to widocznym zyskiem dla krajobrazu, bo miasto gruzów i rumowisk wznosił się na pagórku rodzaj pałacyka, u nas często zdybywany, ludzający oczy swą dla perspektywy tylko wyrachowaną powierzchownością. Zdała

mianowicie pysznie wyglądał pałac Wyżyniecki, na półtora piątra wysoki, z swoją przez całą szerokość przeciągniętą, słupiąstą i monumentalną facjatą. Z pomiędzy ogromnych topoli, starych lip ogrodowych i odwiecznych wierzb, co z pagórka chyliły się tęsknie ku rzece, pagórek pół łukiem otaczającej, wystawała ta kolumnada przepysznie, jakby marmurowy portyk jaki. I przejeżdżającemu mimowolnie żółta zazdrość na twarz występowała na myśl, jakto musi być miło a przestrono mieszkać w pałacu, odznaczającym się zarysem tak olbrzymim, kształtem tak nadobnym. Daremna była to niestety zazdrość, której wszedłszy do środka pałacowego, każdyby się powstydział. Portyk ten cały był czysto złudzeniem optycznym, coś na kształt owych wsi, grodów i willi, z teatralnych przyborów stawianych na jedną godzinę. Kolumnada facjaty frontowej była wystawiona z pruskiego muru, i zakrywała swoim ogromem mizerny dosyć budynek, z dawnych oficyn przerobiony, który w takiej był proporcji do swojej facjaty, że pan Kilewicz sąsiad najbliższy Wyżyniec, wielki facecjonat i zazdrośnik, zawsze sobie drwił w ten sposób:

— To szczęście, że główne drzwi wchodowe zawsze zamknięte, bo inaczej dworek pana Wyżyńskiego uciekłyby przez nie.

— Wymknie się on i tak podobno! — dodawała pani Kilewiczowa, której tusza ogromna godniejszą była od dworku Wyżynieckiego takiej facjaty — a przynajmniej wyniosą go dłużnicy.

— Wątpię, by tam już warto było co wynosić! — mówił suchy Kilewicz — co było lepszego, to już dawno wyniósł sam Wyżyński.

— Graf Wyżyński! — poprawiła małżonka.

— O wa! w jego grafostwie tyle prawdy, co w facjacie.

Z tej krótkiej rozmowy więcej skorzystaliśmy niż z pół tomu opisu, bo już to niema jak sąsiedzi, by opowiedzieć jak kochany sąsiad siedzi. Graf Ignacy Wyżyński nic już więcej nie posiadał jak tylko jedne Wyżynce, nie jednemi wszakże i to mnogimi obciążone długami. Ostatnim jeszcze wybrykiem grafowskiej pańskości, ostatniem wydmuchnięciem pańskiej fantazji, była to pałacowa facjata, którą zamaskował starą oficynę; później miał na miejscu lichego dworku stanąć pałac, godny facjaty, lecz okoliczności już na to nie pozwoliły, i pan Ignacy musiał się cieszyć facjatą tak pyszną, że jak sam mówił z uroczystą miną, podobnie pięknej niema drugiej w kraju, nie wyłączając nawet Zofijówki i Aleksandrji. W takich razach trzymając się aksjomatu, że „pars pro toto“ stać może, mówił zawsze nie o swojej facjacie, ale o swoim pałacu:

— Ja sam ułożyłem plan do mego pałacu, w którym umieściłem wszystkie piękności architektoniczne, za granicą widziane.

Lecz przejdźmy już raz facjatę i wejdźmy do wnętrza domu. I tam wszędzie przebija się większa pretensja niżeli możność, bo choć domek składa się z samych kłateczek, wyglądających dla braku naprawy dosyć brudno, porozrzucane są po nich sprzęty ogromem swoim i bezładnem obozowaniem kłócące się z niemi niepospolicie. Mimo ciasnych izdebek było wiele ścian próżnych, które sztukowano różnemi tańszemi dokupnami mebli, fatalnie odbijających od owych zabytków lepszego bytu. Ta różnorodność i różnicowość dworu

Wyżynieckiego odzywała się wszędzie; wewnątrz domu wyglądało prawdziwie jak pobojuwisko walki, stoczonej między dumą co chce, a rzeczywistością co nie może. Smutna to zaiste walka a wcale nie rzadka u nas, bo my w dobrem czy złem mamy ten upór zawzięty, który mimo wyraźnego niepodobieństwa ustąpić nie chce. Z jednego też źródła tego pochodzi wiele naszych i cnót i wad. Dumni rodem aż do śmieszności, kochamy nasz kraj aż do męczeństwa.

To tylko nieszczęście, że w podobnych walkach, jakich placem był widocznie dwór Wyżyniecki, upór zachowania się przy pańskości, który częstokroć z komiczności najwyższej przechodzi do najokropniejszej tragiczności. Żądza błyszczenia jest namiętnością, i jak każda namiętność, niema granicy, niema hamulca, leci jak szalona w przepaść; a że zwykle dwie się przed się otwierają przepaści — fizyczna i moralna, by uniknąć fizycznej, leci się w moralną. Tak w namiętności do gry, by uniknąć nędzy ze zgrania wypłynąć mogącej, zostaje się szulerem. Ileż to ludzi z zacnymi antecedenjami nawet, by się utrzymać przy pozycji, odpowiedniej swoim urojeniem, by broń Boże nie usunąć się z placu siebie godnych wyższości społecznych, rzuca się w błoto i tracą niepodległość i spokój sumienia. By ten szychowy połysk jak najdłużej utrzymać, ileż to razy za każdym dukatem brnąć trzeba nie tylko przez błoto, ale przez łyż i przez krew nawet?...

Wszedłszy raz do dworu Wyżynieckiego, trzebaż nam odszukać mieszkańców jego, a przedewszystkiem zaznajomić się z samym panem domu. Minawszy kilka ciasnych i niskich pokoi, przechodzimy do ostatniego skrzydła domu, do którego wstępuje się po kilku schodkach w górę prowadzących i wchodzi się do porządniejszego apartamentu, z trzech pokoi złożonego. Jest to salon, kancelarja pana Ignacego i rodzaj pokojowej oranżerji. Wszystkie te trzy pomieszczenia są znacznie wyższe i obszerniejsze; był to statek dawnej baszty, w której wyższe odsypawszy gruzu i przykrywszy z włoska płaskim dachem, wyrobiono wcale ładny salon bawialny i obszerną kancelarją grafowską, z dodatkiem treibhauzika, połączonego z salonem szklannymi drzwiami. Salon ten i treibhaus, to była jeszcze jedna i ostatnia pociecha pana Wyżyńskiego, zmęczonego złem powodzeniem; i dla tego dzień prawie cały siedział w tej kancelarji swojej, by przez szklanne drzwi, jakie w nich dać kazał, patrzył na ten ostatni i wytworny wybryk pańskiej fantazji. A gdy był w salonie, najwymowniej rozpowiadał o książących rezydencjach, w których gust prawdziwie pański i szlachezny połączył bawialnię z cieplarnią.

I w tem odzywał się grzech pierworodny pana Ignacego, dumą i niemożność; bo pominawszy pstrokate umeblowanie salonu, najsmutniej wyglądała cieplarnia, w której pomалу powymierały na suchoty wszystkie rzadkie i arystokratyczniejsze krzewy, a weszły natomiast rozmaite trawki, zbierana drużyna z łąk i gajów, zamaskowana tu i owdzie wełnianemi kwiatami w papendeklowych wazonikach.

Pan Ignacy graf Wyżyński siedzi w swojej kancelarji, która

nie dla tego jest kancelarja, aby w niej pisał pan graf, bo nie miał co pisać, lub też chował w niej szkatułkę jakąś lub żelazną kasę z pieniędzmi, ale dla tego, że wszystkie wyższości europejskie, zaczęwszy od ministrów i lordów, mają swoje kancelarje, i że nareszcie na samym środku stało ogromne bióro, które gustem swoim rokoko przypominało lepsze czasy, chociaż niemiłosierny czas swoim nieludzkim zębem pozdrapywał mnóstwo ozdóbek, w smaku staroświeckim wykonanych. Mimo to z przyjemnością pewną trzeba się było nań patrzeć, jakby na ruinę dawnego zamku, z której zdaje się przemawiać duch przeszłości, wznoszący mianowicie u nas każde serce.

Bióro to w rzeczy samej było ostatnią pozostałością po antenatach Wyżyńskich, zapisaną i opisaną w starych nawet testamentach, przekazujących to swoich czasów arcydzieło z syna na wnuka. Graf Ignacy siedząc za tem biórem, wyglądał prawie jako Marjusz na ruinach Kartaginy.

O powierzchowności pana Ignacego nie wiele da się powiedzieć. Był to mężczyzna już nie młody, bo liczył już przeszło 50 lat, niewielkiego wzrostu a nawet niepokazny w całym układzie; to też sztukował się ile mógł brzuszkiem, zanadto może występującym, i ustami dumnie naprzód wydetemi. Twarz była okrągła, bo i lica i oczy wybiagające na wierzch, i nos gulowaty na końcu, i broda również jak kula okrągła. Wyrazu na tej twarzy nie było żadnego i nigdy być nie musiało, prócz ust wydetych i uśmiechu uroczyscie dowcipnego, który sobie przyswoił przez używanie. Bo uśmiech ten uważał być dyplomatycznym, a trzeba wiedzieć, że dla grafa Ignacego dyplomacja była najwyższem znamieniem rozumu ludzkiego. On nawet za młodu liznął coś dyplomacji, stając za piątę koło przy jakiejś małej ambasadzie; odtąd miał sobie za obowiązek stawać na dyplomatycznym stanowisku, które dla rozmawiających z nim stawało się nieznośne. Bo wyrecytowawszy kilka starych kalendarzowych anegdotek, zamykał się w milczenie dyplomatyczne z owym stereotypowym uśmiechem. Do tego dodać należy, że miał twarz codziennie ogoloną, bez włoska wąsa lub brody, na głowie z czołem przez łysinę zwiększonem, miał rudawą peruczkę, i ubierał się wiecznie w czarny frak, biały halsztuk i zapinaną aż do szyi kamizelkę, odznaczającą się krojem parlamentarym.

W chwili, gdy do niego przychodzimy, choć jest sam jeden w pokoju stara się przecie zachować tę sztywną i wiele znaczącą powagę dyplomaty, co mu się tym razem nie zupełnie udaje. Miota nim jakiś niepokój, objawiający się częstem zrywaniem z fotelu, na którym siedzi rozparty. I teraz lepiej wpatrzywszy się w tę twarz, wyrazem niecierpliwości pokurczoną, widać wyraźnie jakieś wewnętrzne cierpienie, mające już długą przeszłość, wypisaną mnogimi zmarszczkami koło zmęczonych ocz.

Nie mógł nareszcie wytrzymać dłużej i zaczął szybkim krokiem biegać po kancelarji. Niepokój dręczący do tego stopnia nim owładnął, że zapomniał w tej chwili na wszelkie decorum dyplomatyczne, i jak prosty, zdesperowany śmiertelnik, uczucia swoje rozmaitemi objawiał ruchami; w zupełnem zapomnieniu porwał się nawet kilka-

króć za głowę i pokręcił perukę rudawą na bakier nieco, co nada-
wało pocieszny nader wyraz jego całej okrągłej i wymuskanej fizjog-
nomii. Od czasu do czasu stawał do bióra i spoziarał na rozłożony
na niem papier, zapisany cyframi. A wzrok jaki rzucał na cyfry był
tak srogi i zapalczywy, iż go ledwie nie spalił wściekłym żarem, jaki
żeń buchał. Ależ bo te cyfry przeklęte z tą swoją nieruchomością,
drwiącą zdaje się z żywych spojrzeń człowieka, jak przeznaczenie
niezmienne i nielitościwe, to prawdziwe „Mane-tekel“ stojące śmiertel-
nym nagłem straszystem w drodze żywota.

Z tego wszystkiego łatwo zrozumieć, że pan graf był w amba-
rasach pieniężnych. Po jakiej drodze do nich przyszedł, by to wytłu-
maczyć, kilka słów na to wystarczy. Jest to wiecznie jedna droga
dobrze nam w kraju znana, mianowicie na początku teraźniejszego
stulecia ubito doskonale tę drogę mnogimi gonitwami. Jest to droga
rozrzutności i nieogłędnej niedbałości. Już ojciec pana Ignacego
mocno nadwerżył znaczną fortunę, spadła po zamożnych dziadach,
którzy w rzeczypospolitej znaczne piastując urzęda, znacznemi także
obdarzani bywali królewsczyznami, a przez związki z pierwszymi
w kraju domami do coraz większych przychodzili dostatków.

Ojciec pana Ignacego był to człowiek wylany całym sercem
dla ojczyzny, której upadku wypadło mu być świadkiem. By powstrzy-
mać ten upadek, nie szczędził wymowy na sejmach, krwi na polach
nieszcześliwej wojny domowej, ani też mienia własnego, które hojną
sypał ręką na usługi krajowe. Po śmierci ojca został pan Ignacy
małym jeszcze chłopięciem pod opieką matki, damy wielkiego rodu,
która przeniósła się do Wiednia z droгим synkiem, w myśli by mu
nadzwyczaj świetne dać wychowanie. Trzeba jej oddać sprawiedliwość,
że nie szczędziła wydatków na jego wychowanie; młody Ignas miał
w domu całą akademię uczonych ze wszystkich krajów, którzy rozma-
itemi mówiąc językami, istną z głowy Ignasia zrobili wieżę Babel.
Była li to zresztą wina nauczycieli czy ucznia, trudno odgadnąć; są
zaiste role niewdzięczne, na których najlepsze nasienie kłosem zejdzie.

Pobyt w Wiedniu, pańskie w nim życie, książęce wychowanie,
nadwerżyły niepomału majątek Wyżyńskich; ale co gorzej wyrobiły
w młodym grafie (bo się matka postarała o grafostwo) mnogie pa-
niczowskie fantazje, między któremi najlubiejszą była wyrzucenie
pieniędzy prawdziwie za okno, na wszystkie zachcenia najkapryśniej-
szej rozpusty. By przecie zająć jakieś stanowisko rodu i majątku godne,
i światu okazać wysokie zdolności swoje, wybrał sobie zawód dyploma-
tyczny, przekonany będąc, że wkrótce najpierwsi ministrowie
europejscy do niego chodzić będą na naukę po nowe pomysły, które
mu bujały w dumnej i zarozumiałej głowie. Nie długo było tej dyplomacji.

Przez lat kilka wisiał przyczepiony do małej jakiejś ambasady,
jako nadliczbowy attaché d'ambassade, poczem nagle zjawił się w oj-
czyźnie, którą ledwie znał. Matka już nie żyła, kilka wiosek było
przedanych, a choć zostało jeszcze kilkanaście, było na nich
mnóstwo długów, nieład ogromny, i na dobitkę nieszczęścia
pojawił się rodzony brat starszy, o którym dawno już zapomniał pan
Ignacy. Stanisław Wyżyński był o lat kilkanaście starszy od pana

Ignacego i po śmierci ojca, dzieciuchem prawie jeszcze poszedł do legjonów i razem z tylu innymi ziomkami swemi przebył to wielkie epos, którego wstępem była rewolucja francuzka z treścią Napoleon. Skąpo odbierał on zasiłki z kraju, ale to było mu obojętnem, on miał w sercu niewyczerpany skarb nadziei, żądę sławy i chęci poświęcenia się. Pan Ignacy swym dyplomatycznym rozumem wyrachował, że przy tylu walnych bitwach i nie mniej krwawych potyczkach p. Stanisław albo już zginął albo zginąć jeszcze musi. Niepospolicie się zdziwił a nawet oburzył, gdy w lat trzy czy cztery nieproszony, niedziękowany, pojawił się brat Stanisław, jako wracający z niewoli exmajor.

Lecz o panu Stanisławie później. Pan Ignacy wróciwszy do kraju, wziął się do uporządkowania interesów swoich i tak kapitalnie porządkował, że rok rocznie odpadała wioska od klucza Wyżyńskiego, a natomiast do tabuli krajowej przybywała nowa pozycja; ale prawda, że żył całą gębą po pańsku. Fantazje jego, któremi ziomków zadziwił i naszym obyczajem do małpowania skłaniał, stały się sławnymi, a pan Ignacy był wyrocznią wszystkich półgłówek, którym niestworzone puszczał baki o swej karierze dyplomatycznej, dla tego tylko porzuconej, że zazdrość peruk starych nie dopuściła jeniálnych pomysłów jego, mogących przeciez w onem Europie krytycznem położeniu dać ratunek, a nawet nowy zupełnie kierunek nie tylko Europie, ale nawet całemu światu, który wówczas był znany, ze wszystkimi wyspami i oceanowym obszarem. Już to u nas jeżeli nawet zabraknie innego jeniusza, potrafimy przynajmniej jeniálnem wyrabac się kłamaniem.

Tak siejąc i wyrzucając za okno i pieniądze i zdrowie, nie długo mógł się utrzymać p. Ignacy na szczycie swych salonowych powodzeń, które go nareszcie znudziły, wyssawszy z niego i moralną i fizyczną i wszelką szlachetność, jeżeli się tam w nim kryło co jeszcze z pocziwej dziadów krwi. Trzeba się było ratować koniecznie, a więc się ożenił dosyć majątnie i znudzony miastem zaczął żyć na wsi, życiem angielskich magnatów. Wówczas postanowił wybudować pałac i zaczął od portyku. Ale już interesa szły coraz gorzej; posag żoniny wpadł bez znaku w przepaść długów i lichwy, z której niepodobieństwem było dla p. Ignacego wydrapać się. I tak z dnia na dzień żył tylko goniąc za nowymi conceptami, któremi dałoby się wykrecić nieco grosza na życie, jeżeli nie tak już pańskie jak dawniej, ale przynajmniej wystawne na oko.

— Bo Wyżyński jest Wyżyńskim, pan panem i basta! — mówił graf Ignacy z pogardliwym wyduciem ust, któremi dmuchał na resztę poziomego świata.

Rozpatrzywszy się w jego położeniu, wracajmy teraz do niego.

Może już raz dziesiąty biegał po kancelarji, gdy otworzyły się małe drzwiczki w kącie ukryte, któremi przez małe sionki wychodzić można było do głównej sieni, aby nie iść przez salon bawialny. I przez te drzwi pojawiła się najprzód ręka z jarmurką, potem broda szpakowata, a nareszcie cały żydek w stroju starozakonnym, mały, żywy.

z oczami biegającymi w około, jakby dwa szatany uwijające się po świecie za różnemi zdradami.

Graf postrzegłszy go skoczył ku niemu skokiem tak zajadłym, że zdało się prawdziwie, że go rozedrze. I jakżeby chętnie rozdarł, gdyby nie nadzieja, że przecież da się co wydusić jeszcze z Srula Feigele, który był jedną z najznakomitszych figur w okolicy. O małych dwie milek od Wyżyniec było miasteczko Niżyńce, znaczne dosyć i handlowne, które dawniej należało do majątku Wyżyńskich, których dwa klucze, Wyżyniecki i Niżyńcecki były najpiękniejszymi niemal w całym kraju majątkowemi perłami. W tem tedy miasteczku, którego wieże widać było z okien facjaty wyżynieckiej, głównym handlarzem wołów, kupcem zboża i wódki, rządowym liwerantem i bankierem był wspomniany już Srul Feigele. Całą on okolicą trząśł nielitościwie i był poniekąd jej władzcą, mając pod sobą do wykonania swych zamysłów mnóstwo podrzędnych żydków, którzy arendarzując po okolicznych wsiach byli jego faktorami i policją razem i mając ku pomocy dwie ogromne władze: złoto i lichwę — złotem przyciągał, lichwą obdzierał. Jego ogromny pulares, bez którego nigdy się nie ruszył z domu, był prawdziwym potworem polykającym okoliczną szlachtę, której całą nomenklaturę zdybać w nim można było na mnogich wekslach.

— A przecież! — zawołał graf Ignacy i stanął w skoku jak wryty przed zimnym i szyderyczym uśmiechem pana Srula.

— Nie miałem czasu! — odrzekł niedbale Srul. — Zatrzymał mnie pan prezes.

— Co? ten ex-burmistrz Wicewicz!... *

— Który jasnego pana nazywa ex-panem.

— Błazen!...

— Ale ma grube pieniądze i pożyczca...

— Pożyczca! — zawołał graf zmienionym głosem i zaiskrzyły mu się oczy.

— Ale tylko na bardzo pewne hipoteki...

— Może mówisz?...

— Mówilem z nim!...

— I jakże?

— Nie!... nie będzie nic z tego...

— Nie będzie! — żałośnym zajęczał głosem pan Ignacy.

— Mówilem już, że wun bezpiecznej szuka hipoteki.

— Alboż ja nie mam hipoteki?

— Hipoteki, i... — powtórzył żydek z uśmiechem, którego wyrazu słowem niepodobna oddać. Było w nim szyderstwo szatana, gdy już pochłonię swą ofiarę i drwił z jej ostatniej, kurczowej walki.

— Przecież ja mam!

— Nu co jasny pan ma, to ja wiem najlepiej. Z pożyczki nie być nie może.

— U Wicewicza zapewne, bo to nieużyty skapiec; słyszałem nawet, że podobno zakopuje pieniądze.

— Zakopuje! — powtórzył żydek potwierdzającym głosem i cmo-

knął ustami, jakby coś nader smacznego skosztował. — To wielki człowiek! — dodał.

— I gdzie też?... — zapytał graf.

— Ba gdzie?... — odpowiedział żyd.

I oba przez chwilę spojrzeli na siebie i spuścili oczy w dół, a nastąpiło krótkie milczenie.

— Lecz miałeś mówić panie Srul z innymi...

— Z innymi! aj waj! a gdzie te inne?

— Przecież!...

— Oni tu u mnie wszyscy! — odrzekł żyd uderzając się w piersi, z których sterczała przez żupan ogromna pularesu peryferja.

— Ale sam może.

— Ja! ja!... pan graf żartuje. Ja pana żałuję, ja na grafie nie jedno zarobił, ja bym chętnie grafowi pomagał, ale Srul, póki żyje nie pożyczę więcej grafowi, bo Srul choć jest żyd jak goje mówią, Srul ma rozum i tu i tu — dodał wskazując na głowę i na brzuch grubym trzosem obwiązany. — Ja jeszcze mam u grafia sześć tysięcy z ostatniego kontraktu na wódkę.

— Właśnie dla tego; znajdź kogo, by mi pożyczyl dziesięć tysięcy, a odbierzesz swoje.

— Ja grafowi odstąpię te pięć tysięcy za dwa tysięcy, ale proszę o pieniądze zaraz. Żeby ja nawet pożyczyl gdzie, to jużby Srul grafowi odstąpił z jednego tysiąca na swojego weksla.

— Więc wszędzie próbowałaś?

— Jadąc z Niżyniec, byłem nawet w Łypkowcach.

— U Glinieckiego.

— To także fein puryc! wielkiego ma gluf.

— I robięś mu propozycją...

— Na wszystkiego boków.

— I cóż?

— Odmówił!

— Odmówił!... Gliniecki! — zawołał graf z nieudanem przerażeniem. — Wszakże on zawsze taki dla mnie grzeczny, pełen oświadczeń, uniżonych ukłonów.

— To jeszcze z dawnej ekonomicznej natury pochodzi. Ale pieniądze wun grafowi nie pożyczę. Wun by prędzej dał córkę młodemu grafowi.

— Wierzę! wierzę! — mruknął graf i wpatrzył się w żyda. — A wiele też by dał posagu?...

— Za życia nie!... po śmierci..

— Pał djabli!... po śmierci; on młodszy odemnie!... a przecież! przecież!... Jaki on może mieć majątek?...

— Jak ja miarkuję.. będzie miał 200.000 srebrem.

— I ma dwie tylko córki... ale obie młode jeszcze, i mój Eugenjusz smarkacz jeszcze.

— Aj waj! piękny mi smarkacz! pod wąsem!... pod wąsem...

— Pomyślę ja o tem... ale tu dziś ratować się muszę. Słuchaj panie Srule!... znasz położenie moje.

— Oj znam, i dobrze znam — wyrzekł Srul z niewymownie pogardliwym wyrazem.

— Ja nie mam grosza w domu... a przecież nie mogę tak żyć, jak ten kutwa Gliniecki, albo ten obrzydliwy Wicewicz.

— A dla czego nie?...

— Bo ja Wyżyński!...

— Ja Srul Feigele!... a żyję przecie skromnie.

— Ty tego mój Srule nie rozumiesz! — przerwał graf tłumiając niecierpliwość.

— Ja to dobrze rozumiem... co to już dziś wszystko pomoże... świat się zmienił, czas dla Wyżyńskich już przeszedł, teraz się zaczął dla Feigelesów... A przepraszam, graf się gniewa, niecierpliwi, i ja nie mam czasu; ja muszę jechać aż] za Dniestr, gdzie mam kupić kilkaset korcy zboża.

— A żebym ja co sprzedał...

— Co? — zapytał żyd z komicznym zadziwieniem.

— Można by kontrakt zrobić na zboże, na wódkę.

— Na tę co będzie za dwa leciech..

— Gdybyś przecie chciał pomódz, kochany panie Srule.

— Nu ja jegomości szczerze powiem, z tego nic nie będzie...

niema kupców.

— Jakto niema kupców u nas?...

— Niema! bo któż tu kupi bez Srule Feigele.

— A więc żadnego niema ratunku? — zawołał graf, ściskając usta i pięści.

W tej chwili spokojna i dyplomatyczna twarz grafa przybrała wyraz tak złowrogi, jakby myśl zbrodni łysnęła z oczów, i usta srogim pokurczyła uśmiechem. Ależ bo bankrutujący, to jest okropne stworzenie w swej chęci ratowania się. Każda w nim żyła drży żądzą złota. I nie może pogodzić się z tą myślą, że on, co wczoraj jeszcze zbytkowne pędził życie, dziś, jutro zginąć w nędzy może. Bo że tam jakieś z głodu giną biedne charłaki! nie nadto naturalniejszego; ale on pan z panów, on, co niedawno jeszcze po pierwszych stolicach europejskich za pan brat obcował z pierwszymi wielkościami stołeczniemi, on miałby cierpieć nędzę. Nie! to niepodobna, to sen tylko!... Aby wrócić do dawnego stanu tak miłego, do tych miękkich i rozkosznych uczuć, do których się przecie przyzwyczało i urodziło, czegoż potrzeba?... Złota! nic tylko złota! a przecież tego złota jest tyle na świecie! I tyle głupców posiada go, co nie umieją użyć, którzyby powinni mieć sobie za szczęście, że pomogą jemu do odzyskania dawnego stanowiska. A więc trzeba mieć to złoto!... trzeba je mieć koniecznie.

— Ny!... czego graf się tak rzuca, tak srogo patrzy na mnie... ja grafa żaluję bardzo — przerwał Srul.

— Więc niema ratunku? — powtórzył graf.

— Ja tego nie mówię!...

— Jakto... masz jaki ratunek?... poczciwy kochany Srule!...

— Jeszcze jedną mam myśl!...

— O ty złota głowo!...

— Jednego znam jeszcze, co ma pieniądze..

— I pożycz mi?

— Pożycz niezawodnie!

— Gdzież jest ten zacny nieoszacowany człowiek?

— Wun ma grube pieniądze, choć nikomu nie mówi; ale Srul wie wszystko. On ma i stare złoto, i stare srebro, bo w papiery nie wierzy. U niego by graf może i dwadzieścia i trzydzieści tysięcy i więcej dostał.

— I gdzież on jest?

— Ale do niego trzeba pojechać samemu i trzeba się przypochlebić, bo to prosty człowiek.

— Ale pojedaj, pojedaj, gdyby najdalej; mów już tylko raz, gdzie mieszka, jak się nazywa?...

— Zna jasny graf Hoszów?...

— Co?... Ho... szów! — wyjąknął graf i cofnął się parę kroków, a czerwoność na twarzy, chwilową nadzieją wywołana, zaczęła ustępować.

— Otóż tam mieszka ten, co go tu w okolicy nazywają królem dziadów!...

— Kto? — krzyknął nagle graf głosem zmienionym i poblądł okropnie.

— Co grafowi takiego? — zawołał żyd przerażony na prawdę, i żywe swe oczy wlepił w niego z świdrującą ciekawością.

— I ty smiesz mi taką propozycję robić! — krzyczał dalej graf w uniesieniu niezwykłym, zapomniawszy w tej chwili na wszystko...

Żyd widząc takie wzruszenie na twarzy grafa cofnął się ku drzewom, przestraszony na prawdę, bo jeszcze nie widział go w takim uniesieniu. Lecz w tej chwili nie zapomniał swej żydowskiej, podejrzliwej natury.

— Graf go zna? — zapytał, patrząc mu w oczy coraz ciekawiej.

— Ja jego? — mówił pan Ignacy coraz namiętniej i głośniejsze i przyskoczył do żyda z iskrzącymi oczami. — Ty smiesz mnie pytać o to... Ty?...

Żyd już był przy klamce, bo mimo całej odwagi, jaką miał w obec tych, których miał w swoim pularesie, wyraz twarzy grafa niezwykły, wzbudzał w nim przestrasz mimowolny. Mimo to przecie odpowiedział na spojrzenie spojrzeniem choć nie tyle śmiałym, ale pełnym pogardy, jaka się rodzi w duszy bogatego lichwiarza dla podupadłego pana. Żyd takim pogardza jak głupcem, jak skórką wyciśniętej cytryny.

— Nu i cóż? aj waj! — przemówił... — Co to grafa obchodzi tak bardzo król dziadów?

— Mnie!... — krzyknął pan Ignacy, i podniósł rękę ruchem namiętnym.

I kto wie coby się stało. Lecz w tej chwili otworzyły się drzwi salonu. Obaj mówiący spojrzeli ku nim i ujrzeni wchodzącego wysokiego mężczyznę.

— Pan major! — przemówił żyd i skrzywił się niepospolicie, bo jednego majora bał się i szanował nadzwyczajnie.

— Mój brat! — mruknął do siebie p. Ignacy i gwałtownem natężeniem stał się panem namiętnego wybuchu. — Nic to, nic!... mój panie Srul!... ja nie jestem zdrów zupełnie. Ta propozycja ohurzyła mnie nieco; gdzieżbym ja mógł wchodzić w stosunki z...

— Ta ze to przecie król! — odrzekł szydlerczo żydek. — I nielada król, bo ma znaczne pieniądze.

— Bądź teraz zdrów, panie Feigele...

— Żegnam pana grafa... I ten król mógłby najlepiej odkryć, gdzie Wicewicz zakopał pieniądze, — dodał z przyciskiem złośliwie szydlerczym.

Żydek wyszedł, a pan Ignacy drżący jeszcze poszedł ku drzwiom szklannym, by powitać czekającego w salonie brata.

— Coś w tem jest! coś w tem jest! — myślał wychodzący lichwiarz.

Pan Ignacy wszedł do salonu, starając się przybrać nazad swoją zwykłą, zimną postawę.

II.

Narada rodzinna.

Major czekał na brata na środku salonu.

Był on starszy od p. Ignacego o lat blisko dwadzieścia, ale z pewnych względów młodziej od niego wyglądał. Wysoki, silnej, jędrnej i żylastej budowy, trzymał się prosto mimo swych lat siedmdziesięciu, a w ruchach swoich i całej postawie, pełnej jeszcze życia zachował coś żołnierskiego, co go młodszym robiło. Siwy jak gołąb, włosy miał nadzwyczaj gęste i wąs suty, z polska noszony; ale pod tą siwizną było czoło i twarz dziwnej jeszcze młodości, bo na czole spoczywała jeszcze widocznie myśl dzielna, a z twarzy, która musiała być dawniej bardzo piękna, wyglądała czerstwe zdrowie i wyraz życia, dobywający się z głębi duszy. W oczach łyskał szczególny jeszcze zapal; wskazujący, że nie wygasł w nim jeszcze wewnętrzny męzki ogień. Zapal ten mięczył wszakże wyraz szczególnej dobroci, która przebijała się przez wyraziste spojrzenia błękitnego oka. Cała twarz majora pociągała sympatycznie ku sobie zbiorem, że tak powiem wyrazów najszlachetniejszych: prawej myśli, dzielnej duszy i poczciwego serca; na pierwszy pozór surowa, wzbudzała w każdym miłe jakieś uczucie, które lgnęło ku niej. Mimowolnie kto tylko zbliżył się do majora, musiał go kochać i szanować, chociaż i bojaźń wzbudzić potrafił, gdy mu z jakiej ważnej przyczyny wewnętrzne oburzenie wybiegło w oczy, na czoło i twarz. A w takich chwilach nie bardzo bezpiecznie było się zbliżać do majora, bo wówczas przypominał sobie wojskowe czasy, i występował ostro i groźnie, a rznął prawdę od ucha, bez najmniejszej ogródki.

Jednem słowem śliczny to był starzec, jakby one góry nasze jędrne, pełne życia, co zdrojami z nich wypływa, stoma zielonych konarów ku niebu się wznosi, choć śnieg mroźny wspaniałe pokrywa wierzchołki. Pan Stanisław Wyżyński był prawdziwym typem dzielnego wojownika polskiego, jakiego już dziś rzadko gdzie zdybać, był on prawdziwym szlachcicem polskim, w całym szlachetnym tego słowa znaczeniu; szlachcic bo szlachetny, bo nieprzyjaciel wszelkiej podłości, pomny na przeszłość rodu i kraju, spowinowacony krwią za ten kraj przelaną, gotów do wszelkich poświęceń.

Lecz przejdźmy do salonu Wyżyńskiego, a może go bliżej poznamy.

— Dzień dobry ci panie Ignacy! — przemówił stary major głosem pełnym jeszcze i dźwięcznym.

— Dzień dobry kochanemu majorowi! — odrzekł pan Ignacy z przymuszonym uśmiechem, i zbliżał się do niego zgięty do ukłonu, jakby nie śmiał bratu zajrzeć w oczy. Ze wszystkich może, co jakakolwiek z majorem mieli styczność, jeden jego brat rodzony więcej się go bał niż kochał. Jak wszyscy ludzie nie tęgich głów i nie tęgich serc, ugiął się przed lepszą głową i lepszym sercem.

— Że też panie Ignacy nie możesz się obejść bez tego szachraja żyda.

— A że też pan brat taką ma do Srula antypatją, — odrzekł znowu pan Ignacy, próbując nowego uśmiechu, który mimo wszelkich natężeń nie szedł mu jakoś.

— Tam do kroćset!... mamże lubić tego łotra, który cię obdziera.

— Trudno bardzo, by mógł mnie obedrzeć.

— Chyba dla tego, że już cię do naga obdarł, ależ po co jeszcze się tu kręci.

— Nie żyłeś panie bracie naszym życiem obywatelskim, w którym bez żydów niepodobna się obejść.

— A to mi piękne obywatelskie życie. Dla tego też tacy jak ty panie Ignacy obywatele, wszyscy w żydowskich rękach, i za majątki swe, które się żydom dostają w ręce, odbierają w zamian nakę szachrajstwa.

— Zanadto jesteś surowy panie bracie! — zagadł pan Ignacy, urażony więcej niż zwykle w skutek zapewne dzisiejszego rozdrażnienia.

— Alboż cię nie namawiał może na jakieś nowe szachrajstwo?..

— Szachrajstwo!... nowe!... pan major dziś jest w złym humorze.

— Mniej dbałbyś o mój humor, a więcej o własny honor.

— Mój honor!... panie bracie! — mówił graf dalej, przybierając minę poważną niby, co jego twarzy żadnego niemającej znaczenia, nadawało coś nadzwyczaj pociesznego. — Co honor może mieć wspólnego z żydami?.. Posuwasz się za nadto majorze!..

— Ja się posuwam za nadto!... tam do kroćset beczek batalionów! nie ciągnij mnie za język panie Ignacy. Jako twój brat i to starszy, mam przecie prawo dbać o twój honor, gdyby nie przez

obowiązek, nie przez uczciwość, toć do diabła dla tego samego, że obaj jedno nosimy nazwisko.

— Ależ panie bracie!

— Tu niema żadnego ale!.. Szachrujecie z tym psem niewier-
nym i okpiwacie kogo tylko złapać możecie na pożyczki i kupna,
pożyczki bez nadziei oddania, kupna zaś bez towarów.

— Zdaje mi się przecie, że mi wolno w moim majątku własnym.

— Własnym!.. — krzyknął major głosem grzmiącym, jakby
stał przed pułkiem. — Własnym! — powtórzył, i zmarszczył siwe
brwi, a oczy wyteżył, aż się zdawało, jakby się iskry ze śniegu sy-
pały. — Krótką masz pamięć panie Ignacy!

— Ja tylko chciałem powiedzieć — zaczął i urwał pan graf
z zwiększającym się zmieszaniem.

— Wiesz, że nie jest moim zwyczajem przypominać co przy-
kro, i wspominać, co się nie wróci nazad. Ale czego zanadto, tego
i za wiele mój bracie!.. Żyjemy razem z sobą pod jednym dachem
lat dwadzieścia z okładem, i wiesz dobrze, że ja starszy brat, com
cię bębem na kolanach huśtał; jestem niby paniczem w twoim do-
mu i za panicza uchodzę, bo sam dajesz to do zrozumienia.

— Kochany Stanisławie, co za myśl!

— Nie baw się w dyplomację ze mną starym wiarusem, wy-
szedłbyś w tej mierze jak Zabłocki na mydle. I mniejsza o moje
państwo, jeżeli mi się tak podoba, jam się od powrotu mego z za-
granicy ani razu o rachunki nie spytał.

— Kochany Stanisławie!.. twoje serce!..

— Dajmy pokój sercu, między nami panie Ignacy, nie może
być mowy o sercu, — zawołał major z boleśnym i smutnym przy-
ciskiem. — Na punkcie serca rozeszły się nasze drogi, i chyba się
zdybiały zastygłe pod kamieniem grobowej kaplicy. Jam walczył na
pobojowisku, tyś się wtedy lizał. Nie twoja to może wina, i nie-
stety nie ty sam taki!.. serce!.. serce między nami!..

I z dziwnem wzruszeniem zamilkł, i kilka razy nierównym po-
salonie przebiegł się krokiem. Pan Ignacy usunął się w kąt i stanął
jak trusia, i na tyle tylko dyplomacji zdołał się zdobyć, że zabębnił
na szybko jakiegoś kozaczka.

— Lecz nie o tem mowa! — zagadł znowu major, i pociągnął
się za wąs, jakby chciał tym sposobem wyciągnąć wszystkie przykre
myśli. — Nie rachowałem się z tobą, i wiesz najlepiej, że grosza oj-
cowizny nie odebrałem od ciebie.

— Okoliczności!..

— Okoliczności, to wymówka dla głupców i dla łotrów. Nie
przerywaj mi, bo tylko mnie irytujesz, a ja ci muszę powiedzieć, co
mam na sercu. Nie odebrałem bo mi się tak podobało, bo mnie sta-
remu żołnierzowi nie wiele potrzeba, a ty... ty chciałeś się żenić
wówczas. I gdy wzięłeś tego aniołka... co się twoją żoną nazywa...
dodał, a głos jego zmiękł niezwykłym rozczuleniem.

— A już to moja Zosia...

— Jest anioł i kwita. Powiedziałem ci wówczas; nigdy nie

— odbiorę mojej połowy i grosza złamanego od ciebie nie żądam, ale niech ona będzie szczęśliwa!...

— Czyż się Zosia skarży?

— Nie przeszkadzaj próżnemi słowy. Ona się nie skarży, ale o jej szczęście bodajby cię nie spytano tam, gdzie się od obrachunku nie wykręcisz ani dyplomacją ani Srulem. I powiedziałem tobie: oczyść majątek, a jak będziesz miał dzieci, niech ich będzie razem i moje i twoje.

— Ty wiesz, ile się namęczyłem...

— Do miljonset karabinów! nie podszywaj się w błazna. Tyś się męczył, aby długi robić na najgłupsze zbytki, bo na wystawy tak głupie, jak ta facjata, którą jak parawanem zakryłeś ostatnią basztę z zamku naszych dziadów. Przyrzekłem, a szlachcic polak i żołnierz, słowa zawsze dotrzymuje; nie upominałem się i mam to dziś na sumieniu, bo przynajmniej moja połowa ratowałaby od nędzy twoją żonę i twego jedynaka, ostatniego potomka naszego dawnego i poczciwego rodu. A dziś w razie twej śmierci mogą oboje pójść pod płot.

— W razie mojej śmierci Zosia znajdzie w tobie najczulszego opiekuna! — zagadł szybko i bez zastanowienia a nie bez złośliwego przycisku.

— Do milion djabłów! milcz! bym nie zapomniał, że jednego mieliśmy ojca. Rozumiem twoje głupie przymówki, któremi chcesz krzywdzić żonę i brata, ale oplwać i brylant można. I zapewne źle zrobiłem, że poznawszy Zofię, tobie ją odstąpiłem, tą poruszony myślałem, że jestem dla niej za stary. I myślałem, że ty ją kochasz miłością serca młodego!... Tyś kochał jej ciało i posąg!

— A pan brat! — syknął graf.

— Pan brat do krośset! — zakrzyknął, i nagle uspokoił się z większą jeszcze niż dotąd mówiąc powagą. — Pan brat prosi cię Ignacy, abyś się opamiętał i ratował, co jeszcze da się ratować dla niej i dla jedynaka. Czyliż chcesz, by twój syn poszedł wycierać bióra kancelaryjne i praktykował, i w ten sposób uczył się rozumu?

— Ależ nie jest tak źle! Jeszcze mam środki, mam nadzieje...

— Okpić, otumanić, okraść kogoś za pomocą doradcy twego Srula.

— Już ciż ratować się trzeba.

— A lepiej do stu kartaczów umrzeć z głodu, jak wyratować się ze szwankiem czci i honoru.

— Prawdziwie nie wiem... się rozumiem...

— Zkąd ja przychodzę do takich wymówek. Słuchaj więc: Był dziś u mnie na folwarku Goździkiewicz.

— A ten łotr, co mię okradł!...

— Milcz! jest w tem łotr, ale pewnie nie on! Goździkiewicz służył ci wiernie, jak ojciec jego naszemu ojcu, z którym nawet razem barskie przeżywał potrzeby. Tyś wziął pożyczanym sposobem...

— Jeżeli się co należy, to mu się odda, ale ja mam rachunki.

— Wybiegi, których cię nauczył twój Srul, mszczący się na Goździkiewicz, że zawsze walczył naprzeciw niemu i może przez

lat kilkanaście utrzymywał twoją ruinę zupełną. Znam te rachunki i wiem, że się jemu jeszcze należy, a tyś go przecie jak psa wygonił z chaty, w której się on i jego sześcioro dzieci rodziło, z chaty, którą ojcu jego nasz ojciec dał jeszcze. I zabrałeś mu chudobę!

— Ależ?...

— Zabrałeś i śmiesz się zwać szlachcicem!... i dumny jesteś!... czem?... juźci nie przodkami, którzy się wstydzą takiego potomka.

— Ależ panie Stanisławie! przyznaj, że trzeba mieć wiele cierpliwości.

— Zaiste, opatrność Stwórcy ma jej wiele... Goździkiewicz tedy przyszedł do mnie piechotą i błagał o litość... bo jego dzieci głodne!

— Ot zwykłe bajki zebracze!...

— Powiadam ci, że jego dzieci głodne, a on nie po jałmużnę, ale po swoją należytość przyszedł...

— Dobrze! jak będę miał czas, trzeba się będzie porachować.

— A tymczasem niech mrą głodem. I ty liczysz się do znakomitości towarzyskich, nadymasz się jak pęcherz! Tfu! czyż może być błogosławieństwo boże nad nami.

— Wiem ja dla czego pan brat tak bardzo trzyma za Goździkiewiczem...

— Ty wiesz! — krzyknął major. — A więc mów!

I zbliżył się do brata groźny jak nigdy, a takim zapalał gniewem, że aż mu poczerwieniła dawna na czole blizna. Pan Ignacy przestraszył się na prawdę.

— Ja tylko chciałem...

— Nowem oszczerstwem plunąć na matkę twego syna; twoja żona ujmuje się za Goździkiewiczem, bo jest kobietą szlachetną, ale ty! ty! czem jesteś?...

— Nic złego nie miałem na myśli... Lecz ciszej panie bracie! słyszę kroki!... to żona idzie!...

— Gdzie — przemówił ciszej major — miałem jeszcze cokolwiek grosza, przeznaczyłem go dla Eugenjusza... Zapłaciłem Goździkiewicza, oto jego pokwitowanie! A teraz zaklinam cię Ignacy na pamięć ojca naszego, pozwól ratować, co się jeszcze da wyratować z fortuny naszego!... dla syna!...

— Radbym najszczerzej!

— Przedaj wszystko!... możemy jeszcze żyć skromnie ale uczciwie...

— Gdzieś na bruku, jak jaki szlachetka!

— Milcz... twoja żona idzie!...

Drzwi się otworzyły, i weszła kobieta, na której widok oczy męża upadły na dół, a oczy szwagra podniosły się z wyrazem takiej słodyczy, jakiej trudno było się spodziewać po mężkiem i hartownem usposobieniu starego żołnierza.

Cała powierzchowność pani hrabiny Zofii była tego rodzaju, iż wszędzie i zawsze silnie robiła wrażenie i mimowolnie zostawała w pamięci. Nie tyle w niej uderzały kształty ciała, jakkolwiek rysy

miała regularne, lecz trzeba się było w nie wpatrzeć, by ocenić ich klasyczną piękność. Najwięcej uderzał wyraz na całej twarzy rozlany, wyraz nie codzienny, ale nadzwyczajny i uderzający wyższością jakąś, która rzadko zapewne, ale przecie czasem w niektórych pojawach świadczy niejako o arystokracji nie krwi ale duszy. Mimo lat czterdziestu była to jeszcze kobieta bardzo przystojna; co ubywało z młodości wieku, to jej dodawała młodość duszy i serca, i ta właśnie stanowiła ten szczególny urok, jaki ona wywierała i przykowała niejako każde spojrzenie, każdą myśl patrzącego. Tym wyrazem, tym urokiem była po prostu poezja wewnętrzna, poezja uczuć i myśli, która rozplomienia zewnętrzną powłokę, jakby ogień kryjącą go obłonę lampy. I powłoka ta doskonale odpowiadała wyrazowi bijącemu z wewnątrz; bo płeć jej była biała i przezroczysta, oczy jasne, że się przez nie aż do głębi serca wglądało; a nad tem wszystkim unosiły się jakby lekkie obłoczki włosy jasno-białe, tej barwy mglistej, która mimowolnie wprowadza w jakies rzechy można ossjanowe malarzenia. Jednym słowem, w całej powierzchowności tej kobiety, w jej nawet nadzwyczaj gibkiej postawie było coś idealnego, coś niezemskiego prawie, czemu pomagało takie to jej rozmarzenie w oczach, których wzrok zamysłony zdawał się sięgać po za ziemskie granice. A jeżeli było co w niej ziemskiego, to ta pocziwa słodycz w spojrzeniu, to ten rys smutku koło ust. Widać, że ta kobieta cierpiała i z cierpień wyciągnęła nie mściwą gorycz, ale prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie, pocieszała żądne.

Lecz jakimże sposobem mogła zostać żoną takiego człowieka prozaicznego, dyplomaty niedościgłego, zimnego samoluba, jakim był graf Ignacy? Było to pytanie, które sobie każdy zadawał po pierwszym pobieżnym poznaniu obojga. Odpowiedź na to pytanie leży niestety w rzeczywistości zwykłego świata, która nam wskazuje nieskończoną liczbę podobnych wypadków. Wół z pegazem, powiązane razem do pługu życia, jest to częstsze niż myślimy wydarzenie. Jeśli mężczyzna jest pegazem w takiej parze, to się przynajmniej wyrwie, pług życia zostawi daleko za sobą w błocie i polecą choćby na złamanie karku. Ale jeżeli nim jest kobieta, pozostanie w pługu, najczęściej niepoznana lub zapoznana; dla Boga tylko i jego na ziemi natchnionych proroków aureolą poświęcenia i rezygnacji, gdyby wieńcem świętej męczenniczki, opromieniona.

Taką była pani Zofia w chwili, w której pierwszy raz na scenę powieści naszej występuje ze środka kwiatów cieplarni, stanowiących godną tego pięknego pojawu ramę.

Dni jej zamęzcia i jej życia, krótkie i zwyczajne a niezbyt wesole. Rodzice jej byli ludzie wyjątkowi, jacy się i pod naszym zimnem niebem społecznym trafiają. Dobrze urodzeni, majątni, nie żyli dla świata i jego znakomitych fraszek, ale dla siebie w cichej ustroni wiejskiej, z wiarą w dobrego Boga, który ich połączył z myślą wyższą, nieco może za poetyczną na prozę życia, i z miłością w sercu ku sobie tak gorącą, że starczyła na ciepłe promienie, oświecające i ogrzewające nie jedną obcą niedolę. Strata kilkorga dzieci rzuciła cień smutku w ich samotne życie i ukróciła im życia. Pieszczotną

i bojaźliwą nieco ich miłością otulona, nie mogła nabyć tej siły hartownej, któraby wystarczała na mnogie tego życia walki. Nauczyła się marzyć, modlić się, kochać, ale czyliż to wystarczy na pierwsze cierpienie? To też gdy przyszło to cierpienie, a los go jej nie szczędził, cóż się z marzeń, modlitwy i miłości wyrobić w niej mogło, jeżeli nie potulna rezygnacja?

Pierwszym okropnym dla piętnastoletniego dziewczęcia ciosem była śmierć rodziców, którzy w przeciągu dni kilku pomarli oboje. Łzy sieroctwa ciężko spadają na serce, bolesne w niem na całe życie zostawiając ślady. Biedna Zosia w wieku dziecka, w wieku swawoli, pożegnała się na zawsze z swobodą dziecka i dziewczęcia wesołością. Opiekunem jej został daleki krewny, bo bliższych nie miała. Był to człowiek prawy, sumienny, niezdolny oszukać, ale zimny, rachunkowy, niezdolny do uczuć mocniejszych. Żył w wielkim świecie i tam biedną sierotę pociągnął za sobą. Po kilku dniach pojął, że się nigdy z sobą zrozumieć nie mogli, starał się więc co prędzej pozbyć tego ciężaru uczuciowego ze swego domu nieuczuciowego.

Umiał sobie dać radę ze wszystkim, ale nie ze łzami czulej dziewczynki, na które nie pomagały ani piękne stroje, ani stołeczne zabawy, ani salonowe wygodki. Postanowił więc co prędzej wywiązać się z obowiązków opiekuna, wydając ją dobrze za męża. A to dobrze, jak się tłumaczy w świecie, do którego należał opiekun Zofji, każdy wie, który jakakolwiek z tym światem miał styczność. Na horyzoncie stołecznym jaśniał wówczas pan Ignacy. Został świeżo grafem, miał wszystkie zalety salonowe, i rzetelniesze pięknego urodzenia i znacznego majątku w ziemi, który chociaż nadszastany trochę, łatwo było podreperować posagiem Zofji. A więc wydał ją dobrze, bo za grafa Ignacego, którego osobiście lubił jako człowieka zbliżonego do siebie całym egoistycznym usposobieniem.

Cóż mogła powiedzieć siedmnastoletnia dziewczyna, której tak cudzo, tak zimno było po za domem rodzicielskim, pustym już dzisiaj, bo ci nie żyją, którzy byli jego duszą! Pan Ignacy nie był brzydki, a przytem jako wykształcony światowiec, umiał dobrze i wymownie mówić, klamać, deklamować. Nie czuła do niego żadnego pociągu, ale i odrazy nie miała; przypomniawszy sobie pożycie szczęśliwe rodziców. Biedne to dziecko, myślało że i ona w nowym stanie znajdzie choć cząstkę tego ciepła serdecznego, bez którego było jej tak zimno, za którym było jej tak tęskno. Dla czegoż więc przystać nie miała.

Była jednakże chwila wahania się, gdy narzeczony przyprowadził i przedstawił brata swego, pana Stanisława. Młode dziewczę zadrżało pod jego spojrzeniem mężkiem, pełnem życia i ognia; a to spojrzenie długie, przeciągłe i z dziwnym wyrazem spoczęło na niej. Mimo całego niedoświadczenia odgadła ona pana Stanisława lepiej od drugich, którym zimna jego i purytańska prawie surowość, tak dziwnie odbijająca od owych czasów bezmyślnej wesołości, nie przypadła do smuku. Ona w surowej twarzy odgadła dobroć, a w spojrzeniu dostrzegła serce. I żywiej niż kiedykolwiek przypomniawszy sobie rodziców, którzy ją tak serdecznie kochali. Gorąca łza spłynęła po długiej rzęsie, i o dziwo! w mężkiem przyszłego szwagra

oku zdało się jej postrzedz jedną łzę taką. Najsilniejsza jest sympatja łez, których krynica jest serce. Zosia uczuła sympatją do pana Stanisława. Czy nie więcej nie uczuła? Czyliż niedoświadczona dziewczyna mogła zrozumieć lepiej własne uczucie? i gdyby nawet rozumiała, czyliż byłaby w stanie oprzeć się woli i zbiegowi okoliczności, które już ją spętały swemi silnemi ogniwami. Ani też pan Stanisław mógł jej ułatwić sposób ten zrozumienia siebie. Za nadto był na to surowy i prawy; obowiązek miał za świętość. A jeżeli uczuł co, milczał i nawet oczom milczeć kazał. Przeszło więc tylko chwil kilka, pełnych wyższego uroku, które zostaną obojgu w skarbcu pamięci drogiemi czystej białości perłami.

Parę łez rozczulenia, kilka marzeń raju godnych, kilka westchnień z serca ku niebu wysłanych, to było wszystko co Zosia pozwoliła sobie zachować w najskrytszym serca tajniku, gdy została żoną pana Ignacego.

Jakie było jej pożycie z mężem, na cóż opisywać?! Dzieje tych drobnych cierpień, bólów szpilkowych, których świat nawet rozumieć nie chce, które świat lekceważy, nikogo nie obchodzą. Ot! przesady romantyczne! krzykną obojętnie a z szyderstwem na każdy jęk boleści takiej, który przecie jest drganiem kurczowem serca. Co więc przecierpiała biedna Zosia, która wnet poznała męża, to zamknęła w sercu na zawsze; uzbrojona w cierpliwość anioła, bole niezrozumianego serca nosiła prawdziwa męczennica, jakby kolącą włosiennicę.

Bóg też ją pocieszył. Pocieszył czystej wiary natchnieniem, pocieszył nareszcie czystem ojcowskim prawie przywiązaniem pana Stanisława, pocieszył nareszcie urodzeniem syna jedynaka. Jakie bole, jakie cierpienia, jakie smutki są tak mocne, by ich kobieta nie zapomniała, gdy zostanie matką? Na głowę też Eugenjusza zlała Zofja cały zdrój tych wszystkich uczuć, jakie wpięścili w nią rodzice, jakie przemarzyła i przeboleła w walce z prozą życia.

Tak przeszło lat dwadzieścia od urodzenia pana Eugenjusza, którego wkrótce poznamy. Wracajmyż teraz nazad do salonu wyżynieckiego.

Pani Zofja weszła do niego z pewną nieśmiałością, i nawet w oczach jej dostrzedz można było nieco zmieszania. Przechodząc przez cieplarnię, musiała zapewne usłyszeć żwawą rozprawę, a może też i które ze słów wymienionych doszło jej uszów. Major postrzegł ten wyraz na twarzy bratowej i zbliżył się do niej pospiesznie.

— Dzień dobry! — wyrzekł z układnością starego wiarusa, pocałował piękną bratowej rączkę, i uśmiechem zdawał się ją zaspakajać. Uśmiech ten pani Zofja wynagrodziła uśmiechem, któremu nadaremnie chciała nadać pozór wesoly.

Pan Ignacy tymczasem spojrział tylko na nich z pod oka, i także uśmiechnął się, ale uśmiechem nieco szyderczym. Temu to idealnemu uczuciu, łączącemu brata i żonę, w którego ocenienie nie wdawał się nawet, bo nie dbał o nie, zawdzięczał on bardzo wiele. Jakoż rad był z niego, chociaż w duszy żartował sobie z obojga, a nawet głupca-

mi nazywał, sam nie będąc w stanie zrozumieć żadnego szlachetniejszego uczucia.

I w rzeczy samej, dla bratowej to szczęścia major poświęcił całe życie swoje. Przed ożenieniem się pana Ignacego gospodarował on czas jakiś na majątku wspólnym i na stosowną tylko czekał chwilę, by się nim podzielić. Lecz gdy się brat ożenił, major rozpoznawszy bliżej stosunki majątkowe, przekonał się, że odbierając swoją połowę, zniszczyłby brata do reszty. I cóżby nawet zrobił odebrawszy. Życie jego już i tak było skrzywione, bo major należał do ludzi, których uczucia równie są silne jak i stałe. Nie upomniał się zatem o swoje, i pozostał w Wyżynkach, wyrzekając się nawet tej każdemu człowiekowi najdroższej niezawisłości, a cóż dopiero człowiekowi w pewnym już wieku, wojskowemu, który przywykł rozkazywać drugim. I nie dosyć na tem, ale sam jak najzawzięciej gospodarował, i jeżeli dotąd pan Ignacy zupełnie nie zbankrutował, winien to był trudom i usiłowaniom braterskim. Z czasów żołnierskich zostało majorowi nieco gotówki, nareszcie brał z Francji pensyjkę za krzyż legji honorowej, którą mu pod Austerlitz sam Napoleon przypiął; wszystko to obracał po części na gospodarstwo, po części na pokrycie niejednej potrzeby domowej, chowając się wszakże z tem jak najzawzięciej, jakby z grzechem jakim. Pani Zofja mimo całej naiwności i niedoświadczenia swego zrozumiała to, jakoż jej wdzięczność i przyjaźń dochodziła granic prawdziwie idealnych; ona uwielbiała to prawdziwe złote serce poczciwego pana Stanisława. Pan Ignacy jak mówiliśmy żartował sobie tylko z tego uczucia, i ani mu przyszło na myśl być bratu wdzięcznym za to jego zupełne zaparcie się i poświęcenie.

— Kochają się po swojemu! tem lepiej dla mnie — pomyślał i tym razem.

I zbliżył się do żony z uśmiechem zimnym, jak jego serce, a nie nie znaczącym, jak jego głowa. Ucałował także jej rękę z przesadną grzecznością, i pociągnął za taśmę od dzwonka.

Była to pora śniadaniowa. Pan Ignacy jako człowiek wykształcenia europejskiego i dyplomata trzymał się zwyczajów angielskich. Weszło dwóch długich i chudych drągali, ubranych w liberję mocno wytarte, których objętość przypominała lepsze czasy i tłustszych poprzedników, i przygotowali wszystko do śniadania a l'anglaise, to jest do herbaty z dodatkiem rozmaitego jałka.

— Przechadzałaś się ma chère po parku? — zapytał pan Ignacy żonę, zajęta przyrządzeniem herbaty.

— Chwilę tylko, bo mi właśnie przyniesiono list...

— List? — zapytał mąż z niespokojnością.

Od dawna nie znał innych listów, prócz od wierzycieli, a nie odbierał żadnych pism chyba od sądu...

— List zapraszający nas na zabawę...

— I gdzież to w naszej okolicy bawić się zamysłają? ciekawym bardzo, u którego z tych naszych szlachciców?..

— Zabawa ma być w Niżynkach...

— W Niżynkach! i nas tam śmia zapraszać. do aptekarza, czy może do justycjariusza?



To są imienniny Henryki...

Pani Krajkowskiej, żony plenipotenty i dzierżawcy Nizyniec? Henryka jest krewną...

Twoją! — przerwał pospiesznie graf Ignacy.

— A więc i naszą! — zagrzmiał major.

— Zapewne! zapewne! — rzekł pan Ignacy poprawiając się niby. — Nie wiem, z kąd przyszło twoim rodzicom ma chère Sophie wydawać kuzynkę...

— Siostrę stryjeczną mojej matki...

— A tak, jest tam coś cioteczno... ale za jakiegoś Krajkowskiego...

— Krajkowski czy nie! — przemówił major — mniejsza o nazwisko, którym dziś dosyć walają po błocie, ale jest to człowiek uczciwy, który prowadząc interesy swojego pryncypała i małą trzymając dzierżawkę, zasługuje na powszechny szacunek.

— Zkądże pan brat przychodzi do takich liberalnych maksym? Nie znałem pana Stanisława z tej strony.

— Lubię zapewne przestawać z równymi sobie, lecz przyznaję, że równych mnie mogą zniżyć ich postęпки, a niższych podnieść prawie i szlachetne ich życie.

— C'est très beau!.. ale spodziewam się ma chère Sophie, że odmówiłaś...

— Jeszczem nie odpisała. Co się tyczy nas, Henryka się nawet nie spodziewa, bo wie, że my mało gdzie wyjeżdżamy; ale ona chciałaby poznać Eugenjusza, o którym dowiedziała się, że przyjechał do nas.

— I złapać go dla której z córek swoich.

— Mężu!..

— Dziwnie pleciesz panie Ignacy, jak na dyplomata. Ciekawy jestem, czy Krajkowskim przyszło z Eugenjusza. Oni potrzebują na zięcia nie grata, ale człowieka co ma pewny majątek.

Zofja rzuciła na majora spojrzenie na póły dziękczynne, na póły przestraszone. Ale pan Ignacy doskonale i bez zakrzuszenia się połknął tę pigułkę.

— Tam przecie będzie całe towarzystwo miasteczkowe. Czyż można dopuścić, aby się Eugenjusz tak kompromitował z tą całą trzodą śmiesznych i głupich figur.

— Nie zaprzeczam, że tam są figury śmieszne może, tem ci gorzej dla nich. Ale cóż to ma kompromitować Eugenjusza. I czy pan Ignacy myśli, że między naszymi towarzystwami niema rażących śmieszności?

— C'est toute autre chose!

— Henryce byłoby to tak przyjemnie.

— I zabawiłyby się! — dodał major — lepiej niż że chodzi ze zwieszoną głową i oczami rozmarzonymi...

— Czy major myśli, że może Eugenjusz — przerwała matka z wyrazem niepokoju na twarzy.

— Ja tylko myślę — mówił major — że dla młodego człowieka lepiej, gdy szaleje, skacze i sceny wyprawia, niż gdy jak nasz

Eugenjusz, odda się nadto marzeniom złudnym, może poetycznym, ale zawsze bezużytecznym, osobiwie w naszym życiu prozy... Samotność w jakiej żyjemy, dla niego najgorsza!

— Widzisz mężu!...

— Nie dajże czekać ma chère posłańcowi, i odpisz grzecznie ale odmownie.

— Z odpisem nie mam co się spieszyć, bo postaniec pojechał jeszcze do Łypkowiec.

— Do Glinieckiego?...

— Z podobnem zaproszeniem dla niego i córek...

— Tak!... no!... no!... — przeciągnął pan graf i zamyślił się.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł przez nie cudownej urody młodzieniec z niezwykłym wyrazem na twarzy. Był to Eugenjusz, jedynak państwa Wyżyńskich. Dwa czule spojrzenia pobiegły ku niemu: matki miękkie, pieściwe, stryja męskie ale nie mniej pełne serdecznego przywiązania. W matce przeważało tkliwe rozczulenie, w majorze pewien rodzaj dumy.

Powierzchność Eugenjusza była uderzająca; prócz niezwykłej bowiem urody, twarz jego promieniła się wyrazem dziwnej jakiejś szlachetności i wyższości. Wyższość tę, spoczywającą na wysokiem czole, strzelającą z oczu, pełnych wewnętrznego ognia, każdy patrzący od razu przyznać musiał. Mianowicie w spojrzeniu jego ciemnych oczu przebijało się natchnienie, które zdawało się go unosić po nad ziemię.

I tak było w istocie. Dziwne było to usposobienie Eugenjusza, zupełnie nieodpowiednie całej prozie życia, jaka go otaczała i jaka przemawiała do niego ze zwykłych stosunków czasu, w którym żył, i stanu w jakim się urodził. W tym względzie przypominał matkę trochę, do której mimo wielkiej urody obojga zupełnie nie był podobny. Żadnego rysu nie mieli wspólnego, zaczawszy od oczów i włosów, które u matki były jasne, a ciemne u syna, a skończywszy na zaokrągleniu twarzy i białości lica. Pani Zofia miała pięć przezroczystą jasnej blondynki i zaokrąglenie twarzy czystego typu słowiańskiego, Eugenjusz zaś śniadą lica białością i owalnym twarzy zaokrągleniem zdawał się przedstawiać typ ras wschodnich.

Lecz i podobieństwo usposobień było pozorne tylko. Oboje mieli popęd do życia idealnego, w obojgu duszy mieszkala poezja; ale u matki poetyczność ta była cicha, słodka, w mgłę marzeń niknąca, gdy tymczasem u syna usposobienie to poetyczne, burzą może krwi młodej spotęgowane, podniosło się do egzaltacji, do entuzjazmu, parło się ku czynom jakiegoś życia niezwykłego, życia burzy i awantur. Każde uczucie wewnętrzne, gdy wybiegło do oczu matki, pojawiało się chmurne, mgliste, póki deszczem łez nie ściekło. W oczach młodego Eugenjusza uczucie każde wybiegło chmurą, ale chmurą gromami ciężarną, i odzywało się łyskawicą spojrzeń zapalczywych. To też kto znał bliżej Eugenjusza, łatwo przewidzieć mógł, że pierwsze mocniejsze uczucie, gdy się w nim rozbudzi, wywołać może burzę niezwykłą i pchnie go do objawów życia, wyskakującego po za obręby dzisiejszych stosunków, któremi nie da się skrepuować.

Lecz zkąd przyszedł do usposobienia tak wyjątkowo romantycznego? A zkąd przychodzi słowik do swego głosu, pełnego cudnej harmonii, zkąd się rodzi w piersi chłopaka lub dziewczycy jak iskra ledwie dojrzana, która tam padła Bóg wie zkąd i Bóg wie jak rozdmuchana, zaświeci światu zdumionemu pochodnią jenuiszu. Jest to tajemnica dla nas niezbadana, której klucz spoczywa w ręku Opatrzności. Wychowanie Eugenjusza nie było po temu zupełnie, by się wedle zwykłego naszego pojęcia mogła w nim rozbudzić ta iskra romantyczna. O ojcu już nawet wspomnieć nie warto, bo ten mało co mieszał się do syna, a jeżeli kiedy przemawiał do niego, to słowami sobie właściwymi, słowami próżnej, jak pęcherz nadętej pychy. I dziwna rzecz! od lat najmłodszych Eugenjusz mało ważył zawsze te wszystkie heraldyczne wiadomości, której ojciec jego cenił najwięcej.

Najwięcej zajmowali się nim matka i stryj. Po matce zapewne najprędzej spodziewać by się można, że rozbudziła w nim to poetyczne usposobienie; lecz ona swoją miłością czułą zdolna była tylko rozpieścić, rozmiękczyć, rozkwilić syna. Jako matka najpierwej dostrzegła w nim to usposobienie i bojąc się jego gwałtowności, walczyła naprzeciw niemu całą siłą swojego przywiązania matczynego i miękkich uczuć swoich. Lecz nadaremnie!...

Ani też od stryja nabyć to mógł, czego sam stryj nie miał w sobie, i czemu był najwięcej przeciwny. Stryj jako wojskowy lubił porządek we wszystkim, i starał się synowca nagiąć ku temu koniecznie. Używał wszelkich środków, dobrych i złych. Nadaremnie!...

Eugenjusz wszystko pojął, wszystkiego się nauczył, ale po swemu, bez wszelkiego porządku; raz przypadkiem, raz drugi naumyślnie, najczęściej natchnieniem, które rozbudziło jedno słowo, jeden ton zasłyszany, jeden rys, który silnie uderzył w duszę młodzieńca.

Dziwny też był jego stosunek do całej rodziny. Dla ojca był jakby cudzy; zimny i obojętny na pozór, bał się nawet zastanawiać nad własnymi uczuciami, bo te graniczyły o pogardę prawie...

Dla matki był nadzwyczaj czuły, uprzedzający, gotów nawet do wielkich dla niej poświęceń. Jej smutne i czułe spojrzenia wzruszały go; i chętnieby w ogień skoczył, byle jej jedną łzę oszczędzić, możeby nawet życie swoje oddał, więcej może przez obowiązek synowski, który bardzo wysoko cenił, aniżeli przez miłość. On czuł nawet litość dla jej miękkiego usposobienia, które ledwie mógł zrozumieć.

Najwięcej może przywiązania miał dla stryja, który jeden mu imponował, nie tyle powagą osobistą, ile przebytem życiem wojennem, o którym major jak każdy wiarus rad rozmawiał.

Wojny napoleońskie ze swojemi cudami biegały nieraz po rozpalonej dorostka głowie, przybierając na się postać na pół bajeczną, która go nęciła i najdziwniejsze na przyszłość rozbudzała myśli. Major tedy w jego wyobrażeniu był typem niejako owej wielkiej epoki. Szanował w nim silny charakter, który odgadł pierwej instynktem, nim poznał za pomocą rozumowania.

Lecz silniejszą nad te wszystkie względne tylko uczucia jego była w nim pamiętka z lat dziecińczych jeszcze pozostała. Była to pamiętka mamki. I była to rzeczywiście pamiętka serca tylko, bo

gdy ją stracił nagle z oczów, był w wieku, z którego mało zostaje zupełnych wyobrażeń. A nieraz zdało mu się we śnie, nieraz gdy zamarzył na jawie, że mu świeci nad czołem dwoje czarnych, promienistych oczu, tak jak mu zaświeciły, gdy po raz ostatni przyszła mamka odwiedzić ukochane dziecko, własnem mlekiem wykarmione. Przyszła, jak to nieraz pierwiej uczyniła, przyszła i już więcej nie wróciła. Jaka była przyczyna jej zniknięcia, nigdy dobrze Eugenjusz nie wiedział i nie pytał nawet o to. Ale byłby przysiągł, że dziś by jeszcze mógł pokazać to miejsce na czole, dotknięte jej silnym i gorącym pocałunkiem; a oczy te, uczuciem gorejące, tęskne bólem czy smutkiem, dziwnem uczuciem padały mu aż na serce. I zdało mu się, że przypomina sobie ulamki jakichś bajek przez nią rozpowiadanych, i przesuwaly mu się po przed oczy rozmaite z nich zarzysy, jakieś gusła i zabobony prostego ludu naszego, między którymi najżywiej drżały oczy urocze, oczy mamczyne.

Gdy już z dziecka wyrósł, długie były nad tem debaty, czy oddać go do szkół, czy w domu wychowywać. Graf Ignacy był za tem naturalnie, aby potomek rodu tak szlachetnego w domu pozostał i nie poniewierał się w tłumie gorzej urodzonych kolegów. Matka pociągała za tem także przez przywiązanie dla jedynaka i bojaźń, by przy jego burzliwym usposobieniu nie stało mu się co złego. Lecz major przemógł, tego będąc przekonania, że na usposobienie zbyt egzaltowane młodego chłopca najzbawienniejsze być może wczesne wdrożenie się w koleje życia codziennego.

Nie wiele to wszakże pomogło, bo w początkowych zaraz szkołach, które w małym miasteczku odbywał, mały chłopiec stał się środkowym punktem odrębnego zupełnie życia, które sam z własnego utworzył kaprysu. Nie podobna było nagiąć go do zwykłego trybu, ani groźbą, ani prośbą, ani karami. W szkole siedział cicho i słuchał, ale ledwie wyskoczył ze szkoły, a za nim cały tłum chłopaków, którzy go słuchali jak wyrocznie, stawał się wodzem wypraw najrozmaitszych. Nieraz darmo wszystkie matki do później nocy czekały na chłopaków swoich; oni wybiegli za geniuszem, jak go nazywali, i daleko za miastem albo wojenne odbywali wyprawy na dzikie tłuścze, przez krzaki i szuwały nadbrzeżne przedstawiane, albo wyprawiali łowy szalone za dzikim zwierzem, na czem najsmutniej wychodziły spokojne na błoniu pasące się trzody, albo znowu puszczali się w jakieś dalekie podróże, szukając dziwnych awantur, przyczem każda kałuża była morzem, a sterczące na niej grudy wyspa, a gąka za miastem okropnym borem, zamieszkałym przez wilkołaki, wyszczerzające się ku nim z każdego suchego pniaka. Z tem wszystkiem ani nauczyciele ani rodzice wałęsających się za nim chłopaków nie mogli się długo gniewać na niego, bo przebaczali mu dla jego serca poczciwego, którem wiedziony, nieraz głodnemu oddał własne jądło, lub obdartemu surducik z siebie.

Z wiekiem nie ubywało mu romantycznej fantazji; nabierała ona pewnych, wybitniejszych celów, w których zawsze przebijało się dążenie szlachetne, aż do egzaltacji posunięte. Życie koleżeńskie upoządkował on wedle pewnych przepisów, poetyzowanych bujną jego

wyobraźnią. Z koleżeństwa utworzył rodzaj braterstwa, gotowego na wszelkie poświęcenia się jednego dla wszystkich i wszystkich dla jednego. Jakkolwiek w życiu studenckim wiele jest jeszcze żywiołów poetycznych, im starsi są uczniowie, tem więcej obejmuje ich proza życia, którą nie zawsze udało się Eugenjuszowi nagiąć do swoich wyobrażeń. Ztąd powstawały nieraz wypadki na poły komiczne, na poły tragiczne. Najślawniejszym było wydarzenie jedno, które wielki dało rozgłos Eugenjusza ekscentryczności, jak zaczynało już nazywać jego usposobienie. Z całej szkoły wypędził on wpływem swoim różnicę stanów. Szlachetność osobista była u niego szlachectwem, z którego jak z tytułu spadkowego drwił nielitościwie. Owoż między kolegami jego był młody baron jakiś, syn zamożnych rodziców, poczciwy bardzo chłopak, poddający się chętnie przewadze Eugenjusza, ale uparty na punkcie swego baronostwa, które wysoce cenił. Pomiędzy rzeczami, które najwięcej oburzały młodego Wyżyńskiego, najnienaństwiejszym był mu zbytek w ogóle, a w szczególności zbytek w stroju. Pominąwszy inne względy, wychodził on z tego stanowiska, że uboższych kolegów, których wielu było w miasteczku, boleśnie razić musi ta różnica w ubiorze.

Na walnem zgromadzeniu przeprowadził tedy ten wyrok, aby się wszyscy ubierali jednostajnie, i to jak najtaniej. A że to było w lecie, udecydowano, aby posprawić sobie suknie z prostej werciny, krojem czamarkowym. Był to czas, w którym czamarki znakomitą odgrywały rolę. Wyrok został spełniony prędzej czy później, stosownie do możliwości każdego osobistej. Baron, który lubił się stroić, najdłużej się temu opierał; nie miał nic przeciw czamarce, ale wercina oburzała jego smak arystokratyczny. Napomniany wszakże kilkakroć, ustąpił i dawszy na to słowo, w niedzielę przyszedł na mszę studencką w wercianej czamarce, lecz chcąc choć w czemkolwiek dogodzić swoim o strojności wyobrażeniom, dodał czamarce podszewkę jedwabną, amarantową. Eugenjusz obruszył się na to, a za nim drudzy. Zmiana w przepisany stroju uznana została karygodną. Nazajutrz w szkole napadli go hurmem wszyscy, krzycząc szyderczo:

— Baron! baron!... chce się od nas odróżnić!...

— A więc baron! i cóż z tego — zakrzyknął chłopak za-perzony.

— Na ławkę z nim!... — zawołał Eugenjusz.

— Na ławkę!.. — powtórzyli drudzy.

I biedny baron schwycony znalazł się na ławce, ale nie twarzą do góry. I przychodzili jeden po drugim i krzyczeli nad nim:

— Wyrzekasz się baronostwa?

Baronostwo i jaskrawa podszewka stanowiły w tej chwili jedno i to samo.

— Nie wyrzekam się!... — krzyczał młody zawzięty baron. Każdy przechodzący egzorcyzmował go silnym plackiem, chcąc jak twierdzili, wypędzić z niego barona.

Uparty chłopiec zaciął się i krzyczał ciągle:

— Jestem baronem i baronem zostanę.

Szkoda było tyle charakteru na taką sprawę, bo nim nadszedł

nauczyciel, młody baron niepospolicie ucierpiał w pewnej na punkcie baronowstwa najniewinniejszej części ciała.

Sprawa ta narobiła wiele wrzawy, bo starzy baronowstwo strasznie wzięli do serca zniewagę synowi wyrządzoną.

Rodzice odebrali Eugenjusza co prędzej ze szkoły i po wakacjach odesłali do stolicy.

Młodzieńcem na uniwersytecie nie zmienił się Eugenjusz. Pojawy tylko jego egzaltowanej natury zmieniły się z wiekiem i postępem w naukach. Pełen zawsze szlachetności i prawości, o której miał utopiczne zawsze wyobrażenia, wprowadzał je rozmaitemi sposobami pomiędzy kolegów, za co zyskał pomiędzy starymi perukami nazwę niespokojnej głowy; mniej się już rzucał na ekscentryczne wybryki, ale za to rzucił się z całym zapałem na pole pięknej literatury i po niem gonił za ideałem piękna. Smutna to gonitwa, jeżeli się w niej młodzieniec nie powstrzyma, bo goniąc po puszczach otaczającej go prozy, ze złudzenia, z odczarowań w odczarowania przechodząc, kończy najczęściej szalenstwem, suchotami lub samobójstwem. Szukać ideału na tej smutnej ziemi naszej, los to Syzyfa, ściskającego mgłę miasto bogini, który na końcu w odpłat prozaiczny, wiecznie jedną skałę pchać musi pod wiecznie jedną górę. Iluż to takich Syzyfów zdybać można codzień; miasto bogini porwali w ręce jeżeli nie mgłę, to gorsze od niej błoto i z wysokości swych marzeń wpadli między akta kancelaryjne, przykuci do taczki codzien pełnej...

W takim stanie był tedy nasz młody Eugenjusz, gdy skończywszy kurs filozofii wrócił do rodzinnego domu, gdzie już miał pozostać. Ideału tego nie znalazł jeszcze, lecz go szukał zawsze, przekonany, że tylko ludzie słabego ducha wracają z tak szczytnej drogi. Jaka ma być istota tego ideału, sam by zapewne nie umiał wytłumaczyć; bo przy całej poetyczności swojej i właśnie dla niej może, zachował on nieskazitelną czytość i niewinność uczuć i myśli. Nigdy jeszcze nie kochał, chociaż żądza miłości wrzała w nim i zajmowała całą duszę jego niewymowną tęsknotą do czegoś, czego nie umiał nazwać, a czego pragnął z całym zapałem młodości i poezji.

Od kilku wszakże dni zaszła w nim dziwna jakaś odmiana. Nie mógł siedzieć na miejscu; ciągle prawie na koniu uganiał po obszernej płaszczyźnie, oczy jego jeszcze były ognistsze, a na ustach igrał uśmiech pełen dziwnego uroku, uśmiech natchnienia!

I w takim usposobieniu wszedł właśnie do salonu Wyżynieckiego, gdzie jak wiemy odbywało się angielskie śniadanie. Ojciec, jak na zimnego dyplomata przystało, niczego w nim nie dostrzegł, ale matka i stryj spojrzeli na niego uważniej. Co się z nim stało, nie pojęli, ale wydał im się w tej chwili tak piękny jak nigdy. Lekkim krokiem przyskoczył do siedzących; ojca przywitał poważnie, ramię dotknawszy ustami, na ręce matki złożył pocałunek tak gorący, tak przeciągły, że aż serce matki zadrżało radośnie. Majora objął za szyję i przycisnął najserdeczniej.

— Zadusisz chłopcze! — zawołał major i marsowa twarz jego uśmiechnęła się wyrazem niewieściej prawie czułości. — Gdzież uganiał tak długo?...

— Czekamy na ciebie mój Genciu!... musisz być głodny?...

— Nie mam! — odrzekł syn. — Zasiedziałem się w ogródku. Dopiero po śniadaniu wybieram się na koniu.

Głos jego odpowiadał powierzchowności, pełen był niepospolitego dźwięku. Była w nim harmonia tej poezji, która przepelniała duszę jego.

— Byle nie na siwym!... on taki dziki! — przemówiła matka z niespokojnością na twarzy.

— Ja go sam dla niego ujeżdżałem, — rzekł major z wyrazem słodkim.

Słodycz ta wyrazu zastępowała tym razem wyrzut, którego uczynić nie chciał. I tak to zrozumiała pani Zofja, bo rzuciła ku niemu spojrzenie tak czułe, przepaszające, że aż wesa dla kontensu podkręcić musiał nasz major.

— Słuchaj no Eugenjuszu! — zaczął ojciec z miną poważną i głosem uroczystym jakby miał wygłosić wyrocznię jaką.

Taki to już był zwyczaj eksdyplomaty, i taki bywa zwykle zwyczaj wszystkich ludzi z prózną głową i próznem sercem, którzy mniemają, że te dwie próźnie zasłonią jeszcze większą próżnią, nadętością głosu i miny.

— Matka twoja — mówił dalej pan graf, maczając w herbacie przypieczoną grzanekę chleba, — życzy sobie, abyś odwiedził państwa... tych tam... Krajkowskich w Niżyńcach, którzy zapraszają nas na jakiś tam balik, czy imieniny...

— Wszak przypominasz sobie ciocię Henrykę...

— Jakżeż nie! i Adasia, który zemną był w szkołach, i Binie, i Lincię i... jak mamę kocham już zapomniałem, jak się jeszcze nazywają...

— I mnie się to trafia, — przerwał major dobrodusznie. — Liczną mają rodzinę...

— Mniejsza o to! — zagadł ojciec sentencyonalnie. — Jest tam ostatnie jakieś kuzynostwo z matką twojej matki... A człowiek dobrze urodzony nie powinien zapominać o powinowatych, chociażby ich los niżej od nas postawił, jakkolwiek bliższe stosunki z ludźmi tego rodzaju niekoniecznie są przyjemne.

— Ależ mój ojczel!... — zawołał syn z pewną gwałtownością.

Matka się zerwała, by zbliżyć się do syna, i major nawet zrobił parę kroków, jedną wiedziony myślą. Oboje bali się zawsze bliższego zetknięcia się syna z ojcem, by za nadto jasno nie wystąpiło to uczucie pogardy, jakie przeczuwali u Eugenjusza, lecz młody człowiek sam się powściągnął i zamilkł...

— Wiem ja, wiem, że ci to może być nie miło, ale w życiu trzeba się nieraz zastosować do okoliczności — odpowiedział pan graf, który przy innych właściwościach swoich miał niezwalczone przekonanie o swojej nieomylności, i ozwanie się nagłe syna na swoją wytłumaczył stronę.

— Pozajutro tedy, — ciągnął dalej, — dobrzeby było, abyś się wybrał wcześniej, i to nowym powozem, czwórka, bo w tem miasteczku pomiędzy temi parafjanami małomieszczkańskimi i tak pozwalają

sobie rozmaite o nas pleść rzeczy... Należy tedy takim chlystem zaimponować.

Tu pan Ignacy krzyknął wyraziście, zadowolony niepospolicie wymowną swadą swoją.

— Cóż nas to może obchodzić! — zawołał major, którego ta rozmowa mocno niecierpliwiła.

— Nie wszyscy są takimi filozofami jak pan brat; ja z Eugenjuszem...

— Ja mój ojciec! — przerwał Eugenjusz; lecz mu ojciec nie dał dokończyć.

— Więc tedy — mówił dalej — wybrawszy się wcześniej mógłbyś wstąpić do Łypkowie...

— Do pana Glinieckiego! — zawołali razem pani Zofja i major.

— Zkądże to zdziwienie! — mówił graf zwrócony do żony z wyrazem surowej niby powagi, która na jego twarzy śmieszna się tylko wydała.

— Wszak nigdy z nim nie żyliśmy tak bardzo — wtrąciła pani Zofja nieśmiało.

— My mało gdzie wyjeżdżamy, ale Eugenjusz znudziłby się; dlaczegóż nie ma odwiedzić sąsiadów... Zresztą pan Gliniecki wywiódł się ze szlachectwa i jest już dziś człowiekiem zamożnym, uważanym.

— I ma dwie córki mających po 100.000 posagu, nie prawdaż panie Ignacy? — wyciął major, lubiący mówić prawdę bez ogródek, o oczy zaiskrzyły mu się szlachetnem oburzeniem.

Matka widząc, że się zanosi na kłótnię, starała się odwrócić uwagę syna, dając mu niektóre zapytania i opowiadając o kuzynce Henryce.

— A gdyby nawet i to była myśl moja? — odpowiedział pan Ignacy.

— Przypomniałbym panu bratu, ząd powstał Gliniecki.

— Otóż macie wolnomyślnych!... demokratów!... pięknie mówią, a sąsiadowi zarzucają ekonomiczne pochodzenie.

— Ja mu zarzucam podły sposób, jakim przyszedł do majątku i jakim go dzisiaj jeszcze wznaga. Zarzucam mu, że na jego majątku ciężą łzy ludzkie, lichwa, oszukaństwa i brudy wszelkie. Pochodzenie jego bardzo mało mnie obchodzi. Wy to, co się w arystokratów bawicie, na nie uważacie niby, a niechże przyjdzie interes, gotowicie upodlić się przed najpodlejszym człowiekiem, łączyć się z łotrem, byle miał majątek, chociażby na nim krew była. Tfu do kroćset!... Ja szanuję także urodzenie, jako spuściznę naszych ojców, ale więcej szanuję uczciwość i prawość, bo to podobno cała spuścizna, jaką zostawić będziemy mogli naszym synom i wnukom.

— Gorączka mówi z pana majora! — przerwał pan Ignacy, który jak zwykle ustępując chciał rzecz całą w żart obrócić. — Czy wreszcie córki mają odpowiadać za ojca?

— Jabłko niedaleko pada od jabłoni... A potem nie chciałbym, żeby Eugenjusz walał sobie ręce brudnem złotem.

— Ale zawsze złotem! — mruknął graf po cichu i westchnął do tego.

— Czy to warto sprzeczać się o to! — przemówiła pani Zofja, chcąc już raz przerwać rozmowę, na którą, jak to dobrze dostrzegła, Eugenjusz zwracał uwagę ze szczególnym, niepokojącym ją wyrazem twarzy. — Panienki podobno dobrze wychowane, a cóż to nareszcie szkodzi, jeżeli Eugenjusz poodwieża wszystkie sąsiedztwa...

— Spodziewam się, że mnie ojciec nie każe tam jechać już z oświadczeniem? — zagadł Eugenjusz na pół z uśmiechem, a na pół z wyrazem dziwnego jakiegoś niepokoję, który nie mógł się ukryć przed okiem matki, usiłującej zrozumieć, co się w sercu syna dzieje.

— Zapewne! zapewne! — mówił ojciec dalej. — A zresztą sam poznasz... a nuż ci się podobają...

— Mnie!... nigdy!... nigdy! — zawołał tak gwałtownie, że się wszyscy na niego popatrzyli z niemałym zadziwieniem.

Lecz Eugenjusz wnet się powściągął i kryjąc uśmiechem chwilowy wybuch swój wziął się do herbaty. Nastąpiła długa chwila milczenia. Pierwszy przerwał ją Eugenjusz; lecz był to już widocznie dzień feralny dla tej rodziny.

— Chciałem się też zapytać mamy — zaczął jak najobojętniej — co to jest ten król dziadów, w naszej okolicy mieszkający? Chciałbym wiedzieć bliższe o nim szczegóły...

Pytanie tak proste i niewinne zrobiło wszakże ogromne wrażenie. Graf Ignacy, który niósł właśnie filiżankę do ust, tak się zatrząsł, że aż się herbata wylała, i ledwie filiżankę utrzymać zdołał. Pani Zofja zaś poczerwieniała okropnie. Major jeden siedział najspokojniej.

— Przyznam się, że tyle nasłuchałem się o jego władzy!... Dziwny to pojaw!... prawda mam!... w naszym wieku..

Nie słysząc odpowiedzi żadnej, spojrzął pan Eugenjusz na rodziców i zdziwił się niepomału. Ojciec był blady jak chusta, matka ponsowa jak najczerwieńsza róża. Nie mogąc wszakże przypisywać tego swemu pytaniu, ciągnął dalej:

— Taki człowiek, z taką władzą, tajemniczo rozchodzącą się po całej okolicy, a nawet po całym kraju, jest to pojaw nadzwyczaj szczególnie... i mógłby być skierowany...

— Jest niczem innym! — zawołał pan Ignacy z niezwykłą gwałtownością i zrywając się z miejsca — jak tylko główną sprężyną złodziejstw w całej okolicy, którą przez podległych sobie żebraków szpieguje.

— Dzisiejszy Iwan Hładysz uchodzi powszechnie za człowieka poczciwego... i nie jest on szczęśliwy! — przemówiła pani Wyżyńska głosem słodkim ale drżącym nieco.

— Więc to dziedziczne jest królestwo? — pytał dalej Eugenjusz z wzrastającym zajęciem.

— Dajcież mi pokój z taką rozmową! — mówił pan Ignacy coraz gwałtowniej. — Co mnie tam taka figura obchodzić może.

I porwawszy za czapkę, szybkim krokiem wybiegł do ogrodu...

Major tymczasem, który nie bez zdziwienia uważał pomieszenie, jakie się odbiło na twarzy bratowej, przystąpił do niej i zapytał ją z zwykłą swą otwartością:

— Co siostrze takiego?... czyś słaba?..

— Ja! — odpowiedziała jękając się — ja od rana cierpię na ból głowy.

I spuściwszy oczy z wyrazem smutku wyszła także z pokoju.

Od majora nic także dowiedzieć się nie mógł Eugenjusz, bo major ledwie mu słów kilka odpowiedział, zbywając go ogólnikami o królu dziadów, którego uważał sam za rodzaj bajki, spoczywającej na dawnym podaniu.

— Ale on żyje tu od nas niedaleko! i miałem sposobność przekonać się o jego dziwnej i tajemniczej władzy.

— Być może! ale niema o czem gadać! — odrzekł major w roz-targnieniu, i wyszedł zamysłony. Po raz pierwszy uderzyła go jakaś tajemnica w domu, w którym lat tyle mieszkał, tajemnica brata, tajemnica bratowej, o której nic nie wiedział.

Eugenjusz wybiegł także i siadł na siwosza, który pod dzielnym jeźdźcem, nowego nabrawszy ognia, pogonił wichru pędem po zielonej błoni. Sliczny to był ranek czerwcowy, pełen świeżości i woni, które z gór przychodząc rozdymały piersi do silnego życia. To też patrząc to w niebo pogodne, to na ziemię strojną w wdzięki wiosniane, cwałując tak lekko na koniu, jakby wiatr go unosił po przestworzu, nasz romantyczny młodzieniec uczuł w sobie dziwne uczucie jakiejsz zadumy i żądy razem. Było to uczucie pełne rozkoszy i zapалу. I wszystko co dumał, co roił, co żądał, wszystko wydało mu się w tej chwili podobnem do prawdy. Zdało mu się, że już żyje tem życiem awanturnikiem, które nieraz przemarzył, do którego ciągnęło go usposobienie jego egzaltowane. O tak gonić, i gonić naprzód siebie w jakąś nieskończoność, i nieskończone przełamywać trudności, wszystkich ubiedz wrogów, największe przeskoczyć zapory, najdziwniejsze przebyć przygody, toby była rozkosz najwyższa!

— Dalej koniu siwy! dalej mój koniu! naprzód! ku życiu innemu, wyskakującemu po za obręby zwyczajnej codzienności. Tylko dalej! pokąd nam obu sił i tchu stanie! Dalej i dalej!

Tak młodzieńcza grała głowa, i młodzieńcze drgało serce ku czemuś nieznanemu, awanturniczemu. Krew jego szymbkim biegiem wzburzona, latała jakby prądem elektrycznym z mózgu do serca, z serca do mózgu.

Cała okalająca go przyroda zdawała się być w zмовie z nim, swoją niezwykłą pięknoscią. Rzeczywiście cudna to była okolica. Mówiliśmy już, jak uroczą była cała ta dolina, ciągnąca się od Wyżyniec, przez której całą szerokość pędził teraz nasz bohater, i z konia mógł łatwo przejrzeć mnogie jej piękności, w powabnym nieładzie tu i ówdzie rozrzucone. Gdzie oko zajrzy w około, kołysze się morze trawy w swej najświeższej bo wiosnianej jeszcze barwie, a po nią jakby wyspy rozrzucone, tu młynki nad strugą, ku rzece szumiącą, tam futorki odosobione, tu wioski sadami obsłonięte, tu bliżej nieco miasteczko, okolone tak gęstymi ogrodami, że bliskość jego zwiasto-

wały dwie wieżyczki kościółków ze środka drzew sterczące. A dalej w półkole zagięte wzgórza i góry, a jeszcze dalej za nimi kilka wyższych szczytów, śniegiem jeszcze pokrytych. To szczyty Karpat, fantastycznie w dalekiej mgle wykrojone. Ku nim to młody nasz jeździec roziskrone oczy wyteżał, jakby w tych mglistych przestrzeniach, po gór szczytach, w pośród skał granitowych, obłoków i burz, mieszkaly te wszystkie marzeń jego awanturnicze utwory. I nieraz wzdęły się piersi jego westchnieniem żądy, która go parla ku tym okolicom nieznanym.

Im dalej gonit, tem więcej oczy jego nabierały blasku. I z mgły obłoków, z śnieżnych szczytów spadały niżej, i w jedno coraz wyraźniejsze zwracały się miejsce. Za rzeką, ku której szybkim zbliżał się pędem, wznosiła się góra, samotnie prawie stojąca na szerokiej płaszczyźnie, do pół rzeką oblana i cała najcudniejszą pokryta zielenością; jedną tylko nagą granitową ścianą nachylała się po nad wodę, a nad tą ścianą, z pomiędzy gajów woniejących i sadów kwitnących, wznosiły się kopuły i krzyże świecące starego monasteru.

Sliczne to położenie i cudnie to piękna góra, zdala wyglądająca jakby klomb olbrzymi na skale zawieszony, godna zaiste, by zwrócić uwagę każdego podróżnika.

Lecz dla czego nasz młodzieniec, który zna ją od urodzenia i tyle razy się na nią napatrzył, z wzrastającym ku niej spoglądał zapałem. I usta jego, w pół otwarte do westchnienia, uśmiechnęły się z lekka i cała twarz rozpromieniła się wzrokiem i uśmiechem.

Nagle konia zatrzymał i wyteżył ucho, a oczami spojrział na drugi brzeg rzeki. Jemu zdało się, że po drugiej stronie rzeki słyszy podobny swemu tentent konia. Lecz nie! to było złudzenie, echo może, co odbiło głośniejsze uderzenie o kamień własnego konia. Nic nie słycać, tylko szum potoku, który z góry pędząc, na łotok zląpany, prze się gwałtownie ku nęcącej go rzece. Darro oczy wyteża. Za rzeką trudno co dojrzeć, bo tam od góry, od klomba nad skałą zawieszonego, jakby z olbrzymiego wazonu posypały się krzaczki drobniejsze, które tamtą stroną ciągną się aż ku miasteczku. Drożyna główna od miasteczka ciągnie się temi krzakami tak dobrze zakryta, że z tamtej strony najlepsze oko nie dostrzeże nikogo, ani też ucho nie dosłysz konskiej stopy, miękko w piaszczysty grunt tonącej.

Chwilowy niepokój znikł z twarzy Eugenjusza. I z nowym zapałem pomknął dalej, a oczy jego i myśl podobno biegły naprzód ku zielonej górze. A przecież on się nie mylił, gdy mu się zdało słyszeć na drugim brzegu tentent konia. Tak było w rzeczy samej. Na drugiej stronie na drożynie przez krzaki wiodącej, dwóch jeszcze było podróżnych, dążących w tę samą co Eugenjusz stronę. Obaj jechali o kilkanaście kroków od siebie i nie wiedzieli o sobie. Bo jeden jechał drożyną, a drugi jakby chciał, by go nie postrzeżono, przemykał się małemi ścieżkami, wydeptanemi przez chłopców, orzechy zbierających. Drożyną jechał wózek jednokonny. Podróżny sam jeden w nich siedział i powoził razem; wózek i konik w najpociesniejszym do siebie byli stosunku, rodzinnego prawie podobieństwa. I człowiek

i konik i wózek, podobni byli do siebie starością i zaniedbaniem. Stary konik z powycieraną tu i ówdzie sierścią, kulał na dwie nogi, wózek utykał na jedno koło mniejsze od drugich i pęknięte, a podróżny kiwał starą, trzęsącą się głową. Pólszorek na koniu był stary, wytarty i sznureczkami, jak widać po mnogich guzach, nieraz już powiązany. Wózek miał już tylko chude i nagie żebra, bo półdrabinek dawno się już rozleciał; skąpe już tylko z niego sterczały ostatki, które już słomy na siedzenie wpakowanej utrzymać nie były w stanie. To też za każdym wózka ruchem nierównym sypała się słoma na wszystkie strony, z niemalą pociechą ptaszków, szpiegujących z po za krzaków, którzy wnet ją porwali do gniazdek swoich. Nie lepiej wyglądał jegomość na wózku siedzący.

Ktoby w tej chwili mógł przelecieć po nad tą piękną doliną i popatrzeć z góry, musiałby się zaśmiać na widok przeciwieństwa między temi dwoma jadącymi w jedną stronę. Eugenjusz tak młody, pełen ognia i tak przystojny; a jegomość na wózku taki stary, zgrzybiały i brzydki. Cała jego postawa była nader pocieszna, zwłaszcza od starego kapelusza z podartymi bokami na niegdyś białą szlafmycę zasadzonego, z pod którego wysuwała się dłuższa od skrzydeł kapelusza umbrela zielona, a z pod umbreli dobywał się od niej jeszcze dłuższy nos, dwoma ciemno błękitnymi okularami obarczony, a niżej dłuższa jeszcze wysuwała się broda, coraz bliżej z długim nosem sąsiadująca. Wszystko to ożywiało dwoje niewielkich, siwych oczów, z niespokojnym, czychającym i świdrującym wzrokiem. Wzrok ten tym razem wyteżony był także ku zielonej górze z monasterem. Prawdziwie ten długonosy i długobrody starsuszek z swym wózkiem i koniem, dążący okiem i myślą ku zielonej górze, to istna parodia naszego młodego Eugenjusza. Ileż to razy na drodze naszych usiłowań i dążeń zdybujemy się z podobnemi parodjami, idącymi z nami na wyszcigi!...

I trzeci podróżny w tę samą dąży stronę. Był nim młodzieniec także, i także na koniu. Jechał ostrożnie pomiędzy krzaki, oglądając się na wszystkie strony, a ciągle patrzył także ku zielonej górze. I koń i jeździec różnili się wielce od naszego Eugenjusza i dzielnego siwosza.

Był to po prostu jakiś małomiejski elegant na leniwym brojniaku. W dalsze nie będziemy się wdawać opisy. Wszak zdybiemy ich jeszcze wszystkich. Bo w tej chwili najważniejsza, by się dowiedzieć dokąd wszyscy trzej dążą. A wkrótce się dowiemy przecie, bo w końcu muszą się zjechać w jednym miejscu, bo im bliżej do góry z monasterem, tem więcej ścieśnia się dolina i kończy wreszcie u stóp góry, do której dążą wszystkie boczne drożyny i zlewają się w bity gościniec popod górę wiodący. A tam pod górą jest gajk jeszcze, koło niego stara jakaś pasieka, i na małym wzgórzu kapliczka kamienna, staremi lipami ocieniona, sławna z całej okolicy z cudownego obrazu przenajświętszej Panny, u którego przed wiekami fundowana goreje lampa.

Przy kapliczce o lipę oparty i jej konarami rozłożystemi osłonięty, stał żebrak, w zwykłym, płóciennym, obdartym stroju, z dwoma

werecianemi torbami, przez plecy na krzyż zawieszonemi i z wielkim sękatym kijem w ręku. Na jego pociągłej i sńskiej twarzy nie widać ani nędzy ani wieku, tych dwóch zdaje się koniecznych znamion żebrzącego dziada. Nędzy nie poznać po czerstwych licach, a wiek trudno odgadnąć po twarzy gładkiej, ledwie tu i ówdzie rudawym włosem porastającej. A chociaż pod oczami mnogie krzyżują się zmarszczki, oczy natomiast zyzem trocha patrzące, pełne są jeszcze ognia, śmiałości i przebiegłości młodej. Nie lada kto zajrzy w te jego oczy, bo gdy żebrze przy drodze, lub przejeżdżającego zatrzymać chce swym piskliwym i zawodzącym śpiewem, natenczas oczy jego w ziemię spuszczone, lub tak mocno w niebo zwrócone, że ledwie białka oczów ujrzeć można.

Lecz w tej chwili nie myślał on o żebraniu, i nie było w bliskości nikogo, do kogoby się o nią mógł udać. I w tej chwili nie miał w swej postawie pokory żebraczej, ani też w oczach błagającego spojrzenia. Wzrok jego naprzód ku dolinie wyteżony, był pełen zuchwałej i drwiącej śmiałości, on był teraz nie żebrakiem, ale sobą samym. Nagle uśmiech wystąpił na twarzy jego, on postrzegł obu jeźdźców, bo pagórek w kaplicą nad całą prawie panował okolicą. Był to uśmiech szyderczej litości, gdy patrzył na eleganta, nadludzkie robiącego nateżenia ręką, kijem i gestami, by leniwego broniaka do szybszego napędzić biegu.

— Kudy jemu! — mruknął sam do siebie. — Zastanie już miejsce zajęte. Tamten go uprzedzi.

I uśmiech jego przybrał wyraz dumy niejakiej, gdy się zwrócił do goniącego na koniu Eugenjusza.

Lecz nagle zniknął uśmiech z twarzy żebraka. W tej chwili dostrzegł wózek, wyłażący z krzaczystej drogi i drapiący się po mału na wyniosłość piaszczystą. Wyraz niezwykłej ciekawości wystąpił na twarz jego. Zdawał się zapominać o obu jeźdźcach, z niespokojnym zdziwieniem śledził wszystkie ruchy staruszka, jadącego wózkem.

Eugenjusz tymczasem kilka przyspieszonemi skokami dzielnego siwosza stanął już nad brzegiem rzeki. I chociaż już o kilkanaście kroków dalej był most przez gościniec wiodący, konia nie zwrócił ku niemu, rzekę nie zbyt wielką przebył wplaw, i mijając cwałem krzaczki i wzgórze z kaplicą, popędził ku wspomnianej już, starej, opuszczonej pasiece, przypierającej o zielony gaj, u stóp góry rozłożony. W tejsze samej chwili postrzegli go obcy jadący, starzec na wózku i młodzieniec na koniu. Na ten widok zatrzymali się oba, i po chwili wątpliwości jechali dalej, ale coraz wolniej i niepewniej, patrząc ostrożnie za naszym bohaterem.

Pasieka, do której wjechał Eugenjusz, przeskoczywszy stary i do połowy zasypany już rów, który ją otaczał, była już od dawna opuszczoną. Nazywano ją pasieką dla tego, że przed laty kilkunastą próbował jej właściciel założyć tam pasiekę, lecz gdy się to nie powiodło, miejsce to zostało bezużytecznym pustkowiem. Lud okoliczny twierdził, że się tam żaden pasiecznik utrzymać nie mógł dla przyczyn nadprzyrodzonych. Dziwne o tem miejscu biegały pomiędzy

ludem wieści, częstokroć sprzeczne między sobą, jak to zwykle bywa w tych ludowych gadkach, ubieranych w coraz nowe szczegóły.

Jedni twierdzili, że tam był kiedyś stary zamek, drudzy utrzymywali, że tam stała karczma. I jedni i drudzy opierali zdania swoje na jakimś murowanem zwalisku, którego ślady sterczały z pod bujnego zielska. Był nawet ułam muru wyżej nieco sterczący, sklepiony, w którym jedni poznawali wniście do karczemnej piwnicy, drudzy zaś odgadywali podziemne zamku sklepienie. Wedle jednych pokutowała w tem sklepieniu dusza pana zamkowego, wedle drugich odbywała tam północne tany dusza karczmarza. Obie gadki w tem się godziły, że czy to była dusza szlachcica czy żyda, pokutowała ona za srogie grzechy za życia popełnione. A okropne miały to być grzechy, między które pierwsze zajmowały miejsce rozboje i łupiestwa, popełnione na podróży, szukających płatnej czy daremnej gościnności w tej niegdyś karczmie czy zamku. Dziekan mieszkający w miasteczku, lubiący szperać w starych szpargałach, utrzymywał, że obie gadki z jednego pochodziły źródła. Przed laty bowiem zwaliska te miały służyć opryszkom z gór przechodzącym czasem na dolinę za chwilowe schronienie i kryjówkę na złupione pieniądze i sprzęty. O ile w tem wszystkim było prawdy, nikt dobrze nie wiedział, ale zawsze to było pewnem, iż to miejsce było złowrogiem, i żaden wieśniak w nocy nie byłby poszedł do starej pasieki za żadne pieniądze. Dziwa bowiem mówiono o widmach białych i duchach ogniem ziejących, które się tam samotnym wędrownikom pokazywały i rozmaite czyniły im psoty. Wszakże niedawno jeszcze znaleziono w rowie znanego w okolicy wieśniaka ze złamaną nogą, i nikomu na myśl nie przyszło uwierzyć w tę prostą przyczynę, że Semen Wasyleczuk wracał pijany z jarmarku. Miejsce to nie miało zresztą nic szczególnego.

Zwaliska zielskiem zarosłe otaczały drzewa, w pewnym porządku posadzone, po większej części stare, na pół spróchniałe i przez wiek powyginane. Eugenjusz od niejakiego czasu często przyjeżdżał do tej pasieki, czy wiedziony romantycznymi o niej gadkami, czy inną przyczyną, zaraz się dowiemy. Widok z pasieki, stojącej na wyniosłości był bardzo piękny, z jednej bowiem strony widać było całą dolinę z płynącą po niej rzeką, a po drugiej stronie wznosiła się góra w tem właśnie miejscu najpiękniejsza. Cały bowiem jej bok wyglądał jakby ogromny sad, który gdy na wiosnę zakwitł, góra z tej strony wyglądała jakby olbrzymi kosz kwiatów. Były to rzeczywiście sady, po części do monasteru należące, po części zaś do chat wieśniaczych, które nikły w gęstwinie drzew, zdradzane czasem tylko siwawym dymem, obłokiem wznoszącym się po nad stromej góry ścianę. W pół góry prawie sterczała wielka płyta kamienna, jakby naumyślnie wysunięta, by z niej łatwiej można było się czarownicę przypatrzeć okolicy. Z pod tej płyty wytryskał źródł mały, który srebrną potoką wstęgą mrużące nucąc pieśni, spadał na łotok młyna, i dalej po kwicistej poigrawszy murawie, do znajomej już nam wpadał rzeki. Nad samą płytą rozciągał się majestatyczny dach rozłożystej, kilka wieków pamiętającej lipy.

Eugenjusz zeskoczył z konia, zarzucił cugle na wystający konar jakiś, i stanawszy nad samym rowu brzegiem, podniósł oczy w górę po kamiennej płycie. Oczy młodzieńca drżały ogniem natchnienia. I w tej chwili mignęło coś białego z po za starej lipy; a na płycie kamiennej pojawiła się postać, godna zaiste, aby dla jej widzenia przebyć co dzień paromilową przestrzeń, i do złowrogiej nawet zajeżdżać pasieki. Była to młoda i wysmukła dziewczyna w bardzo skromnej ale białej jak śnieg sukience płócienkowej. Stroiły ją za to wdzięki niepospolitej urody i czarującego wyrazu.

Szczególny urok młodości, świeżości i niewinności rozlany był na tej twarzyczce, na której nie wiedzieć co było więcej podziwiać, czy ten dołek uśmiechu koło ust, czy tę mgłę zamyslenia jakiegoś na czole. Sama blondynka, oczy miała niebieskie jak niebo najpogodniejsze, a takie poczciwe, takie szczerze, tak jasno patrzące, że mimowolnie chwytają za serce. I ta sama naiwna serdeczność rozlana była na białej twarzyczce, której rysy przypominały obrazki świętych aniołków. Włosy jasne i bujne na głowie, połyskujące w promieniach słonecznych odcieniem złota, wydawały się jakby wieniec promienny nad świętych głowami. Cały urok wiosny życia, wiosny myśli, wiosny uczuć rozlany był na tej twarzyczce tak cudnej, że o niej marzyć a marzyć lubo, patrzeć nigdy dosyć, a patrzeć niebezpiecznie.

Doznawał tego Eugenjusz, który od dni kilkunastu pędził dwie mile dla tego tylko, aby przez chwil kilka popatrzeć na ten pojaw uroczy, i potem resztę dnia przemarzyć o niej. Ledwie wiedział, kto ona jest, ale to dobrze wiedział, że jest piękniejszą od jego najpiękniejszych młodzieńczych marzeń. A więc ta poezja, co od tak dawna istniała w jego piersi, nie była złudzeniem, jak zimni twierdzą niedowiarkowie. Nie była niem, kiedy można jeszcze zdybać na tej ziemi, na tem nieba wygnaniu, coś tak pięknego, co przemawia do wszystkich władz duszy, do wszystkich serca uczuć, zdybać, podziwiać, i... kochać! Szczęśliwy Eugenjusz! on ją kochał już, kochał tą miłością, jaką się raz tylko kocha, bo raz się jest tylko młodym, raz tylko krótko można patrzeć z wysokości swych najcudniejszych złudzeń, raz tylko jeden ma się wiarę i nadzieję, a te dwa najpiękniejsze złudzenia młodości gdy znikną, te dwa anioły stróże, gdy odlecą, te dwa wiosenne kwiaty, gdy opadną, cóż po tych miłościach późniejszych?... To liście jesienne!... zwiędłe liście kwiatów wiosnianych. Przyciskasz je do serca!... a liście zimne i serce!... przyciskasz do ust!... a liście i usta chłodne!... Westchniesz tylko! odrzucisz zwiędły listek i szukasz innego!... szukasz aż do grobu. Taką to pierwszą miłością poety kochał Eugenjusz nieznaną dziewczynę.

I ona go nie знаła zupełnie, ale gdy raz pierwszy przypadkiem zdybały się ich spojrzenia, dziewczyna przychodziła codziennie na płytę kamienną i codziennie patrzyła na ślicznego młodzieńca! Bo nie przyjsć, nie patrzeć, jużby nie mogła. Dla czego?... Pytaj dla czego skowronek w niebo wzlatuje, śpiewając serdeczny hymn wesela. Słowa do siebie nie przemówili jeszcze, ale z jej oczów niebieskich, z jego oczów czarnych tryskające promienie zdybały się tam gdzieś w czystem powietrzu pod niebem pogodnym, i tajemniczym sposobem utwo-

rzyła się ta nie elektryczna, po której biegna tam i nazad wszystkie myśli i wszystkie uczucia, jaśniej nawzajem rozumiane od najwymowniejszego słowa. Szczęśliwi, ani dotąd mówili do siebie wzrokiem! bez słów!... to język prawdy, a język prawdy tryska prosto z serca!... słowa! piękne słowa!... ileż z wami rodzi się już ziemskiej prawdziwie obłudy...

Trzeba być młodym, aby zrozumieć rozkosz takiej cichej rozmowy oka z okiem, której żadne słowo wiernie oddać nie zdoła. W wieku młodym słowo nie sprostą uczuciom, a w starszym jakże przeciwnie!... Bojąc się, by każde nie zdradziło nas słowo, chcielibyśmy każdemu ująć połowę znaczenia!...

I dzisiaj, jak wczoraj, jak kiedyś, patrzą na siebie Eugenjusz i młoda dziewczica, patrzą i nasycić się własnym widokiem nie mogą. A choć tak bliska dzieli ich przestrzeń, i za chwil parę mogliby przebiec tę ścieżkę, co się tam widocznie wije z góry ku strumykowi i pasiece, ani im to na myśl dotąd nie przyszło. A tak rozumieją się doskonale, że każda zdaje się myśl staje się im wzajemną, i odbija się to uśmiechem, to westchnieniem, to blyszczącą na rzęsach łzą tęsknoty!...

Dziewczynie zdało się w tej chwili, że słyszy za sobą stąpanie jakieś. Ledwie lekki niepokój zamglił błękitne oko, już Eugenjusz usunął się za starą a pół uschłą gruszę.

Musiła się omylić, bo nowy a tak serdeczny i pusty razem zawitał uśmiech na twarzy dziewiczej, że tym razem nie mógł wytrzymać dłużej Eugenjusz i wyciągnął ku niej ramiona, jakby ją chciał objąć i przyciągnąć do siebie. Dziewczyna zarumieniła się. Było li to ze wstydu, czy z radości? Któż odgadnie pierwsze niewinnego serca wrażenia? Dwie łzy rozczulenia, dwie najdroższe perły pogardzane i wyśmiewane przez zimnych ludzi z sercem w kieszeni, zaśkrzyły się ku sobie.

Tymczasem ozwał się bliżej tentent konia. To młody elegant zbliżał się powoli do pasieki, z wyciągniętą szyją i długim a spiczastym nosm; snać chce co wysledzić czy zwietrzyć... i ozwał się piskliwy, żałośny, zawodzący głos z pod kapliczki. To żebrak w imię ś. Mikołaja i wszystkich świętych błaga o jałmużnę. Zatrzymał się jeździec, skrzywiony niepospolicie jakby lekarstwa zażył.

— Paneńku! serdeńku!... — monotonnym głosem śpiewał żebrak. — Żlitujcie się nad biedakiem w imię ś. Mikołaja i panny przenaajświętszej. A Bóg najwyższy niech was prowadzi szczęśliwie w waszych wszystkich zamysłach!...

Wyraz szyderczy strzelił z oczów żebraka przy tych ostatnich słowach. I słusznie, bo młody jeździec nad to życzenie wołałby zapewne, by mu teraz nie stawał w drodze. Jakikolwiek mogły być powody jego, dla których nie chciał świadka, zrozumiałwszy, że daremna dzisiejsza jazda jego, jeszcze się gorzej skrzywił, i zwrócił konia, mrużąc pod nosem niezbyt eleganckie przekleństwa, między którymi żebrak, który miał równie dobre ucho jak i oko, zasłyszał:

— Poczekaj drabie!... pokażesz ty się w miasteczku!...

— Panoczku! luboczku: — śpiewał za nim co raz piskliwiej

a szyderczym wzrokiem jeżeli nie palcami zdawał się figę za nim wystawiać.

Przez ten czas stary jegomość w umbrelu, ujrzawszy długiego jeźdźca, zwrócił w krzaki konika, który chwytając liście leszczyny zarzął panu swemu przez wdzięczność. Skrzywił się stary, zlął z dryndulki, i trzęsącemi się od starości rękoma zaczął niby poprawiać koło wiecznie potarganego chomonta. Chwil kilka stał tak, szperające rzucając oczy ku pasiece, lecz gdy doszedł go głos piskliwy żebraka, zatrząsł głową mocniej jeszcze niż zwyczajnie, i zwróciwszy kulawego konia, pomknął nazad drożyną, do miasteczka Niżyniec wiodącą.

Żebak przez cały czas swoich piskliwych trenów nie tracił wszakże starego z oka, w którym odbijał się wyraz dziwnej pożądlivej ciekawości. Sledząc go rzec można jednym okiem, drugim spoglądał nieraz to ku pasiece, to ku płycie kamiennej w pół góry, którą wraz z stojącą na niej dziewczyną mógł widzieć, sam ukryty przez liście lipy, pod którą stał.. Nagle obrócił się i wszedł do pasieki.

Młodzi ludzie patrzyli ciągle na siebie, oniby tak całe życie przepędzić chcieli. Ani słyszeli nawet głosu żebraka; lub może przemknął im koło ucha jaki głos ptaszka przelatującego.

— Paniczu! paniczu! — zasłyszał wreszcie Eugenjusz, tuż nad uchem.

Żebak stał koło niego i kiwał palcem, by się cofnął. Młodzieniec rozmarzony nie rozumiał migów jego.

— Stary nasz! — rzekł do niego żebrak, okiem i palcem wskazując kamienne płytę.

— Stary? — pytającym głosem powtórzył młodzieniec, ale mimowolnie cofnął się znowu za starą gruszkę. Zanim żebrak odpowiedział, odpowiedź stanęła widomie przed okiem Eugenjusza. Z poza starej lipy nad płytą wyszedł starzec siwy jak gołąb i stanął koło dziewczyny. Sliczny to i malowniczy był obrazek! Staruszek, miarkując po sukni, był prostym chłopkiem, a nawet żebrakiem, jak tego zdawała się dowodzić wielka torba, przez plecy zawieszona. Mimo to wyraz jego twarzy był pełen takiej szlachetności i powagi, że mimowolnie wzbudzał zdumienie i paszanowanie nawet. Włosy miał długie, a białe jak najbielszy śnieg. Taką samą miał brodę, która mu spadała po pas prawie. Rysy jego twarzy pociągłej i bladawej były regularne i spokojne; najwięcej wszakże uderzała w tej twarzy pewna nieruchomość wyrazu, której udzielały jej oczy, wszelkiej barwy pozbawione, a tak szeroko i nieruchomie rozwarte, jakby spoglądały z głowy posągu.

— Nie trzeba by on wiedział! — szepnął żebrak do Eugenjusza.

— Ależ on ślepy! — odrzekł Eugenjusz z roztargnieniem.

— Lepiej on wszystko wie i widzi od niejednego, co ma oczy żywe w około biegające. A i tak dziś tu już panicza widziano.

— Kto taki?

— A ten z miasteczka!...

— Był znów? I nie powiedziałeś mi! — dodał z wybuchem gwałtowności. — Jużby pewnie więcej nie wrócił...

— Cyt paniczu! stary słucha!

— Haniu! to wy moje dziecię? — przemówił stary do dziewczyny, którą Bóg wie jakim odgadł sposobem.

Głos starca był słodki, ale znać w nim było oddźwięk niepospolitej siły. Głos ten w potrzebie mógł być groźnym i rozkazującym.

— Hania! Hania! — zawołał Eugenjusz, i serce jego zadrżało uczuciem, pełnem nowej jakiejś rozkoszy.

On wiedział już, jak ta śliczna dziewczyna nazywa się.

— To ja! dziadku! — odpowiedziała dziewczyna.

Aż piersi ręką przycisnął młodzieniec, tak mu się serce tłukło. On po raz pierwszy usłyszał głos jasnookiej dziewczyny. A jak wydał mu się dźwięcznym i śpiewnym, ten tylko odgadnie, kto potrafi przypomnieć sobie dźwięk zaczarowany głosu pierwszej kochanki.

Siwy starszek tymczasem silną jeszcze wyciągnął rękę, i jakby się chciał przekonać, położył ją na jasnej główce, i dłuższą przytrzymał chwilę, a twarz jego wypiękniała jeszcze wyrazem ojcowskiego prawie uczucia.

Był to w swoim rodzaju obraz pełen rzewnej prostoty i dla tego samego pełen prawdziwej piękności. Stojąc na płycie jakby w powietrzu zawieszony, uwieńczony świeżą zielonością góry, dwa śliczne typy wiosny i zimy życia! starzec z twarzą świętego proroka, dziewczica z twarzą aniołka.

Uczuła tę piękność poetyczna naszego młodzieńca dusza. Po raz pierwszy przemknęła mu myśl o cudownej pędzla sztuce.

— Chodźmy paniczu!

Jak ze snu zbudzony poszedł Eugenjusz za żebrakiem. Starzec i dziewczyna znikli w cieniu starej lipy.

— I on tu codzień przyjeżdża ten przeklęty — przemówił nagle przyominając sobie słowa dawniejsze żebraka.

— Codzień prawie!... ale ja go pilnuję...

— Codzień!... — powtórzył Eugenjusz... — a ja nie mogę... być codzień... co chwila! — mówił dalej z rozrządzeniem. — I kiedyż? — dodał po chwili, zwracając się do żebraka — kiedyż?... przyrzekłeś!

— I dla tego czekałem na was paniczu!... Jeżeli chcecie zawsze?

— Chcę! — odrzekł Eugenjusz stanowczo...

— Będziecie paniczu pozajutro w misteczku?

— Będę...

— I ja będę paniczu... i wszystko będzie gotowe, ja wam mówiłem... Ale rozważcie jeszcze!...

— Już wszystko rozważone. Lepiej nie żyć, niż tak żyć, jak żyję — odrzekł szybko, wskoczył na konia i ręką pożegnawszy żebraka, pogonił cwałem ku domowi...

Żebrak spojrział za nim z wyrazem, którego by po tej twarzy spodziewać się nie można było. W tym wyrazie było uczucie nawet.

Wnet wszakże i wyraz i wzrok jego zmienił się; rzucił okiem wzdłuż drożyny, wiodącej do miasteczka. Zajrzał jeszcze wózek, toczący się leniwie po piaszczystej drodze.

— Ale ten stary z miasta — mruzczał do siebie — co ten tu chciał... tu w pasiecie... Jego to pasieka!... ale cóż on chciał w niej robić... tu! tu! — powtórzył razy kilka, i głęboko zadumany poszedł ścieżką pod górę.

Stary jegomość w okularach przy samym wjeździe do miasteczka, gdy już droga z krzaków na równinę wyszła, zjechał się z młodym elegantem na koniu.

Oba skłoniwszy się nawzajem, spojrzeli ze zdziwieniem po sobie. Zdziwienie było skutkiem ciekawości, tej najgorętszej namiętności i najnieubłagańskiej choroby małych miasteczek.

— A pan prezes dobrodziej? — zagadł młodzieniec, dla kontensu wyciągając półtłokciowe a dobrze krochmalne kołnierzyki.

— A pan sędzia! — odrzekł stary, pocierając jednym zamachem końce brody i nosa.

Panem prezesem był stary pensjonowany, prowizoryczny burmistrz w małej jakiejś mieścinie.

Panem sędzią był aktuarjusz Szpiegowski, wiszący przy mandatarjuszku niżynieckim.

Trzeba wiedzieć, że w małych miasteczkach ludzie nie głupi. Dbają o tytuły jakby po najpierwszych salonach stołecznych.

— Zapewne z przechadzki wraca pan prezes?

— A tak! — wyjąknął stary. — A pan sędzia?...

— Tak z przechadzki!..

I pojechali dalej szyderczym pożegnawszy się uśmiechem, obydwaj nie wierzyli sobie i łamali głowy, by dojść powodów tej wycieczki rannej.

III.

Przedbalowe zachody.

Przeniesiemy się teraz do Łypkowiec, wsi jak już wiemy pana Piotra Glinieckiego, do którego pan Ignacy Wyżyński wyprawiał syna swego. Łypkowce leżą na tej samej cudnie pięknej dolinie, ku Karpatom ciągnącej się, nad tym to samym strumieniem-rzeczka, która dolinę przerzyna. Położenie wsi jest śliczne; wygląda ona z pomiędzy sadów swoich i mnóstwa wierzb nad rzeką wzdłuż wspólnego pastwiska rozrzuconych jak ogród prawdziwy. Wszystkie chaty choć obdarte, tu i ówdzie pochylone i bielone rzadko kiedy, mają pewien urok sielski, który zawdzięczają otaczającej je zieloności. Najbrzydszym w całej wsi jest sam dwór; postawiony bowiem na wyniesionym nieco za wsią wygonie suchym i jałowym, otoczony zewsząd budynkami dworskimi, po większej części lepieniem, wygląda ze środka stajen, krowiarni, szopek i gumien, smutno i nago. W całej dworskiej

zagrodzie nieznacć ręki troskliwej, któraby siedlisko dziedziczne całej rodziny upiększyć chciała. Wszystko co tam stoi, postawione zdaje się dla samej konieczności, dla ekonomicznego pożytku, a nie dla pewnej symetrii, dla użycia myśli, duszy i serca. Rzuciwszy okiem na dwór, mimowolnie przyjsć musi na myśl, że człowiek, który tam mieszka, musi mieć duszę równie suchą i martwą, jak ta jego siedziba. Poznać zaraz gospodarza tylko i nic więcej, i to gospodarza bez wszelkiej wyższej myśli, który z dnia w dzień żyje, by z dnia w dzień zbijać grosz do grosza, i tylko tyle z dnia na dzień stawia nowych budynków lub starych naprawia, ile ma ich potrzebę konieczną, w tych dniach okazaną. Choć jest za domem ogrodu gatunek, jest on po większej części warzywny tylko, bo w okolicy, gdzie owoce są po nad burakowe i kapuściane grzędy, stały samotne, pokarłowaciałe i pokrzywione drzewa owocowe, które troskliwej ręki pozbawione, podziczały, i nie tylko brakiem owoców, ale i brakiem zieloności odwdzięczały brak troskliwości. Dwie tylko wielkie odwieczne grusze, które ogród oddzielały od szop gospodarskich, ożywiały całość tego obejsćia. Lecz i one dla uzupełnienia obrazu, posmutniały przez wiek, z niechęcią zdaje się naginały swe ogromne i zielone konary nad ogromną sadzawką i gnojówką, w której jedynie znać było wielką staranność i niemałe upodobanie p. Glinieckiego.

Popatrzywszy na całość tego gospodarskiego obejsćia, można było już mieć najlepsze wyobrażenie o panu Piotrze. Był to jeden z tych parwenjuszów majątkowych, którzy wychodzą Bóg wie zkad, dorabiają się majątku Bóg wie jak, i prawdziwe grzyby na niwie społeczeństwa wyrosły i wybujale, żyją w wiecznym błocie, które dla nich jest tak koniecznym żywiołem, jak szeroki nieba przestwór dla orłów, jak życie wygodniejsze i wykwinniejsze dla wyższości społecznych, czy do nich z rodu czy z własnej myśli wyżej szybującej należą. Podobna niedbałość o wszelką strojność otaczającej człowieka skorupy, jest niezaprzeczonem znamieniem tego rodzaju parwenjuszów, których nawet nie uszlachetnia ta niektórym dorobkowiczom właściwa ryzykowność, która choć do złota zastosowana, świadczy o pewnej energii. Piotr Gliniecki zebrał majątek swój grosz po groszu, przez najbrudniejsze skapstwo, odmawiając sobie kawałka chleba nawet. W żadnej chwili swego gospodarskiego zawodu nie okazał on ducha przedsiębiorczego; starym trybem gospodarki idąc, znosząc niedostatek i głód kosztem podwładnych, których obdzierał, głodził i okpiwał, przyszedł do fortuny, której nawet użyć nie umiał.

Lecz wejdźmy do wnętrza tego dworu. Była to także lepianka, kalenicą bezpieczniejszą niby od ognia pokryta. Jak z wierzchu te tylko dziury były zalepione, które się niby już bez tego obejsć nie mogły, tak i w środkowym urządzeniu wszystko było ściśle wyrachowane, na czystą potrzebę tylko. Pod jednym dachem było i mieszkanie pańskie z trzech pokoików po jednej stronie złożone, była i kuchnia, piekarnia, i izba gospodarska na drugiej stronie, obie zaś strony dzielił kurytarzyk ciemny, po którym smutnym i chryłym krokiem przechadzał się jedyny domu tego zbytek, stary pies z głową i ogonem na dół zwieszonemi, z bokami aż do przezroczystości prawie

zapadłemi. Był to niby stróż nocny, nie mający nic prócz stancji daremnej i protekcji bez pożywienia, który już nawet szczekać nie potrafił, jeno czasem w noc księżycową smutnym i chrapliwym zawył głosem. Taką sama oszczędność sprzętów odzywała się w pomieszkaniu pańskim. W pierwszej izbie, która była i bawialnią i jadalnią i kancelarją razem, prócz stoła na środku, kilku krzesel drewnianych, szafki w rogu, służącej razem za biuro do pisania i skład aktów ekonomicznych, była tylko jedna jeszcze sofa dziurawa, stoliczek przed nią politurowany przed laty, ledwie trzymający się na trzech nogach swoich, i ogromny zegar ścienny, popstrzony od much, z kukułką, która już od lat niepamiętnych nie kukąła. Było wprawdzie i lustro, ale tylko do połowy szklanne, bo drugą połowę kiedyś tam wytłuczoną, zalepiono grubą bibułą, której szmaty przedarte sterczały zwieszane ku ziemi. Cóż powiedzieć o drugiej izbie, która była sypialnią pana Glinieckiego. Było tam nago i brudno, brudno i nago na tapczanie za łóżko służącym, nago i brudno na ścianach, których jedyną ozdobą były poprzywierane do nich kufry, niegdyś na zielono lakierowane, i ławka prosta, drewniana, kilimkiem do połowy tylko zastłana, bo na drugiej połowie stały miska wyszczerbiona i garnek gliniany z wodą, ale bez ucha. I nic więcej; gdyby choć obrazek jaki święty, bez którego najuboższa nie obejdzie się chata, świadcząca choć o jednym wyższem uczuciu. Pan Gliniecki nie wiem czy raz w życiu pomyślał o Bogu, który mu zupełnie nie był potrzebny, bo wiara u niego żadnej nie mogła mu przynieść intraty. W kącie jednym zato był skład ogromny motków i worków wrecianych, a w drugim rodzaj szuflady wysłużonej, z mnóstwem żelaziwa, rzemyczków i sznurków. Nad łóżkiem wisiał wielki, cebulowaty zegarek srebrny, ze stalowym łańcuszkiem; i o dziwo?... spoczywał na podstawie dość świeżej, jedwabnej, pohaftowanej w floresy, tak podobne do bukietów jak pieść do nosa. Był to prezent na wiananie dany ojcu przez córki. Bo pan Piotr miał dwie córki; żona umarła już dawno, i umarła, możnaby powiedzieć bez obmowy, z głodu. Te dwie córki mieszkały w ostatnim pokoju, w którym widać przecie było staranniejszą rękę kobiecą. Ale trudno było go bardzo ustroić przy skąpstwie tatka, i nareszcie był to właściwie alkierzyk tak małeńki, że się w nim ledwie mieściły dwa wazkie łóżeczka. Ale te były przynajmniej schludnie zastłane, i z pomiędzy nich świeciło się lusterko, i parę kubeczków, szklanych, nad okienkiem były firaneczki białe, i w okienku stało parę wazoników z geranium i bazylikonem.

Panny Glinieckie zwały się Frania i Marysia. Frania była brunetka, dosyć żywa i fertyczna, z noskiem zadartym i oczkiem, za nadto ciekawem na jej latek siedmnaście. Marysia była blondynka z rysami regularnemi, ładnemi nawet, i oczkami fiolkowemi, które krasila szesnastoletnia skromność, a szpecił wyraz ciągłej, gapiowatej nieco ciekawości. Obie biedaczki strasznie mało miały wychowania, chociaż nie brakło im na dobrych chęciach i pewnych nawet przeczuciach o czemś lepszem i piękniejszym nad kochanego tatka i jego dom... Było to w nich może przypomnieniem matki, pocziwego stworzenia, przeznaczonego Bóg wie dla czego na męczeństwo. Pani Gli-

niecka była córką poczciwych rodziców, urodzoną w domku szlacheckim, polskim, to też za nadto może serdecznym. Gdy została sierotą, pokazało się, że były długi, pozaciągane po większej części na przyjmowanie braci szlachty. Aby długi zaspokoić, trzeba było wioszczyne przedać, a co gorzej zaprzedać siebie samą w wieczną niewolę. Srogaż to była niewola dla dziecka szlacheckiego w domu pana Glinieckiego. Biedaczka do lepszego przyzwyczajona życia, wiedła i wiedła, aż nareszcie umarła, wyplakawszy ostatnie łzy nad dwoma sierotkami, które pozostawić musiała.

Wracajmyż teraz do pierwszej izby, w której odbywa się właśnie głośna i żywa scena. Żywym krokiem chodzi po pokoju p. Gliniecki, w starym, połatanym, a mimo tego podartym surducie z jakiegoś odwiecznego dreliszka, i z krótką, drewnianą fajeczką w ustach. Fajeczki tej cały dzień z ust nie wypuszczał; był to jedyny zbytek jakiego sobie pozwalał; prawda, że był to zbytek bardzo mierny, bo palił prosty, żołnierski tytoń, o którym twierdził, że jest najlepszy. I nareszcie tę rozrzutność tem tłumaczył przed samym sobą, że pale nie fajki zastępuje miejsce jedzenia.

Pan Gliniecki, był to sobie niewielki człowiek chudy, żylasty, ale nadzwyczaj czupurny; ruchami wszystkimi przypominał zawziętego ekonoma, przyzwyczajonego przez same już powołanie do wielkiej ruchliwości. Oczy miał piwne, na wierzchu osadzone, biegające w około z wyrazem niespokojnej i wszystko szpiegować żądnej ciekawości; na głowie zaś o niskim i pomarszczonem czole miał włosy ciemne jeszcze, mimo lat pięćdziesięciu z okładem, krótko ucięte i sterzczące a najeżone do góry jakby istna szczecina, takąż samą szczecinę miał na ustach w postaci wąsów, które już szpakowaciec zaczynały, i szczecinę na czternastodniowej brodzie; bo jak twierdził, golenie niszczy brzytwy czyli raczej jedną brzytwę, jaką miał od lat kilkunastu, i która długoletnim użytkiem zwiężona, groziła lada chwila zupełnem zniknięciem. Dodajmy do tego rysy twarzy, zaszuszonej jak u mumii, kościste i ostrokatne, wieczną ogorzałością pokryte, a będziemy mieli wierzytelny konterfekt p. Glinieckiego, właściciela Lypkowiec z dwoma przysiółkami i gotówką znaczną, którą zbierał do kufrów, w stare szmaty zawiniętą, bo się bał jej użyć na jakiegokolwiek przedsięwzięciu.

Jak mówiliśmy tedy, pan Piotr biegał po izbie, okalając środkowy stół w biegu swoim, i rzeczywiście biegał, bo był ciągle goniony przez obie córki swoje, które z początku biegały za nim, aż nareszcie wzięły się na sposób i rozszedłszy się w strony, zatrzymywały go to z jednej to z drugiej stołu połowy. Najodważniejsza, brunetka, najsiłniej gonila i najwięcej go nacierała...

— To nie może być inaczej! — mówiła do niego głosem piskliwym i rezolutnym...

— A tak tatku, to nie może być inaczej! — powtarzała blondynka za nadto nieśmiała, by była czem innym jeno echem starszej siostry.

Za każdym ozwaniem się córek stary Gliniecki milczał uporczywie, jakby go ich słowa nie dochodziły. Tyle tylko było różnicy, że

przy słowach starszej zawzięcie spluwał, co zresztą mogło być skutkiem krótkiej fajeczki. Przy słowach zaś młodszej, spoglądał na nią z pod oka z wyrazem, który widocznie się rozczulał, chociaż był niby w nim rodzaj wyrzutu.

— I ty na mnie! — zdawał się mówić ten wzrok jego.

Bo stary Gliniecki miał niezawodną słabość do Marysi, może właśnie dla tego, że ona swoją cielątkowatą nieśmiałością, nigdy nabywać go nie śmiała. Niemało się ona za to nasłuchiwała od starszej siostry.

— O gdybym ja była na twojem miejscu — mówiła nieraz do niej — musiałyby stary tak tańcować jak ja mu zagram.

— Ja się bez żółtego nie obejdę! — mówiła coraz piskliwiej Frania.

— A ja bez błękitnego! — powtarzała Marysia coraz potulniej, aż jej głos w płaczliwość prawie wpadał.

Dodajmy do opisu lepszego tej sceny, że obie panny Glinieckie były w najkompletniejszym negliżu, mającym na sobie wszakże oznaki pewnej niezwyklej staranności. Obie były w koszulkach, lekko tylko pokrytych chusteczkami, którym codzienne używanie odebrało właściwą barwę; ale za to miały na sobie cały zbiór spodniczek tak rzęsiście nakrochmalonych, że obie nie zbyt wielkim wzrostem obdarte, wyglądały z nich jakby z balonów. Nie tylko po spodniczkach znać było jakąś nadzwyczajną staranność stroju, ale i na głowie, na których piętrzyły się warkocze, poukładane w zygzaki, nie wielce świadczące o wiadomościach fryzjerskich, ale za to dowodzące, że obie panny nie były bez genialnych conceptów w tej mierze. Bo prócz babilońskiego upiętrzenia i zagmatwania warkoczów, były jeszcze i inne upstrzenia w postaci loków jakichś, dobrze jajkiem nagumowanych, zakrętów włosianych i przepasek kolorowych i fontażiów pstrokatych. Na samych zaś wierzchach tych kapryśnych figłów unosiły się kokardy, których wielkość zdawała się naśladować amerykańskie czy australskie motyle. U Frani jako brunetki kokarda była żółta; u Maryni błękitna, więcej stosowna do jej jasnych włosów.

— Tatko chce, by się ze mnie śmiali! — mówiła dalej brunetka zaperzona. — To będzie wstyd dla tatka.

— I ze mnie śmiać się będą! — zawodziła blondynka.

— Ja na to nigdy nie pozwolę... wolę zostać w domu!...

— Zostać! — powtórzyła Marysia; ale to było nad jej siły i łyzy jak groch potoczyły się jej po twarzy.

— Bez szalika na bal!... tegom nigdy nie słyszała!...

— Bez szalika! ach!...

— Musi być żółty jak moja kokarda...

— Błękitny jak moja!...

Stary wymykał się jak mógł to od jednej, to od drugiej, spluwał coraz częściej, okrywał się coraz mocniej śmierdzącą swego tytoniu mgłą, ale milczał uparcie.

— Pięknie będzie, jak my nie pojedziemy...

— Nie pojedziemy! — ledwie powtórzyła młodsza, bo głos jej przerywały łkania.

— A przecie tam będzie młody graf Eugenjusz...

— Młody!...

— Tatko sam mówił!... że on byłby dla mnie...

— Dla mnie!...

— Głupias! z ciebie jeszcze młody mazgaj!...

— Ach! — westchnęła tylko biedna blondynka, bo już jej tchu brakowało z wielkiego płaczu.

Stary nie jeszcze nie odpowiadał, ale nagle zmieniawszy kierunek, wbiegł do sypialni. Obie panny za nim. Prosto stanawszy przed łóżkiem, wskazał im zegarek srebrny, który co do regularności swojej był wyrocznią całego domu.

— Już za późno!... za godzinę musimy jechać; a ja muszę jeszcze...

Tu z gestem powagi pełnym wskazał im stłuczoną miseczkę na ławce postawioną, w której białą się mydliny obok czerniącej się brzytwy.

— To wybieg!... posłaniec na koniu do Niżyniec!...

— Na koniu tatku!...

— Posłaniec na koniu! — zawołał stary zdziwionym i zgorzonym głosem — posłaniec za szalikami!...

I splunął potężnie...

— Do Sruła Feigele! — westchnęła Marysia.

— Już za późno — odrzekł ojciec, wracając do dawnego wybiegu.

— A gdyby nie było późno?...

— No! to nie mówię...

Na to siostry nie już nie odpowiedziały, jeno pobiegły do okna, wychodzącego na dziedziniec. Po chwili milczenia klasnęły w dłonie i zwróciły się ku drzwiom wchodowym. Jakoż te wkrótce się otworzyły, i wszedł przez nie znany już nam Srul Feigele, z ogromnym pakietem pod pachą.

— Kląniam państwu! — wyrzekł żydek uprzejmiej daleko niżeli w Wyżyncach, bo wielkie miał poszanowanie dla gotówki Glinieckiego.

— A tyż co tu robisz? — zapytał Gliniecki, rzucając na żyda przenikliwe spojrzenie. — Tylko co o tobie mowa była...

— Jaśnie pan wspominał o mnie!... i ja też jaśnie pana...

— Ja nie wspominał!... to moje córki!...

— Aj waj! — cmoknął żydek. — Jakie to śliczne; to to chłopcy w Niżyncach szaleć będą, a pierwszy młody graf...

— Jak myślisz? — odrzekł pan Piotr i twarz jego pokryła się nowymi zmarszczkami uśmiechu niby...

— Co tu masz Sruklu? — zagadła starsza panna, która aż tańcowała z niecierpliwości.

— Aha Sruklu co masz tu? — powtórzyła młodsza.

I obie porwały za pakiet, ciągnąc go ku sobie...

— Ja tu przywiózł różne rarytne rzeczy, co się mogą zdać teraz na bal, do państwa Krajkowskiego. Byłem w sąsiedztwach i bardzo wiele sprzedałem, bo wszyscy chcą stroić teraz...

— A masz ty szaliki! — zawołały obie panny razem i mrugnęły na żyda...

— Aj waj! jaby nie miał mieć szalików. Jak nie ma szalika, to nie panna!...

— A jakiego też masz koloru?...

— Mam żółty jak dukat, mam niebieski jak farbka.

— Tatku! przyrzekłeś!...

— Tatku! serce!...

Stary spojrzął na córki wzrokiem podejrzliwym, i strasznie zaczął czuba nacierać.

— Tfu!... nie lubię tego!... tfu!... to jakieś intrygi!...

— Bardzo ładne! przepyszne szaliki! echt neuer mod!...

— Tatku!

— Kochany!

— Wszystkie panny od Krajkowskich pokupowały szaliki, aby się podobać grafowi Eugenjuszowi, który bardzo dba o modę szalików.

— Ale to musi być drogie! — przemówił ojciec ostatnim argumentem widocznie zwalczony.

— Achesmir! dla wielmożnego pana Srul o trzydzieści procentów taniej wszystko spuści.

— No tatku! już późno!

— Późno kochany tatku!...

— Ale ja nie mam gotówki!

— A na co Srulowi gotówki! Srul od wielmożnego pana weźmie zboża albo wełnę.

Jednym słowem zmiękł do reszty pan Gliniecki, i chociaż przekonany o znowie żyda z córkami, kazał wydobyć zapowiedziane szaliki.

Żyd wydobył je z wielką uroczystością i wypuścił na wiatr jak dwie bandery.

— Pikies Małachowskies! — powtarzał i cmokał do tego na całą gębę.

Panny oniemiały z radości i podziwienia, chociaż po prawdzie nie było ani czego się cieszyć, ani podziwiać. Szaliki były już przenoszone, z barwami wypłowiałymi, w gatunku lichym, jeden barwy brudno szafranowej, a drugi sinawobrudnej. Ale za to miały jedną wielką zaletę, były niepospolicie długie i szerokie, i rzesiste miały frendzle. I czyż można się dziwić uciesze biednych dziewcząt, które tak mało dotąd posiadały strojów. Nastąpiła tedy chwila milczenia, którą przerwał nagle wrzask głosów na raz mówiących. Bo i żyd krzyczał chwalać swój towar pod niebiosa, i ojciec krzyczał ganiąc go, by mu taniej wypadł, i panny krzyczały na wysiggi z radości, podskakując i klaskając w ręce. Taki był hałas, że nikt z obecnych nie słyszał turkotu zajeżdżającego powozu. A najgorzej, bo nowoprzybyły, ktokolwiekby nim był, musiałby w tej chwili dom pana Glinieckiego wziąć za dom warjatów. Nowoprzybyłym był nasz pan

Eugenjusz, który dogadzając życzeniu ojcowskiemu, jadąc do Wyżyniec wstąpił do Lypkowiec. Dopiero gdy się drzwi otworzyły i młody nasz bohater wszedł na próg, postrzegli go wszyscy, z czego jak się każdy domyśli, większe jeszcze powstało zamieszanie.

Panny wrzasnęły przeraźliwie, przypomniawszy sobie swój negliż, i tak się zastraszyły, że nie wiedząc co czynić stanęły jak wryte.

— Ach! ach! — krzyczały ciągle.

I zarumieniły się nalezycie, na czem twarze ich zyskać tylko mogły, ale nie więcej od Eugenjusza, który się zmieszał powszechnem zamieszanem. Stary Gliniecki zaś to się za niegoloną porywał brodę, to za stary szarpał surdut, a między jednym a drugim sypał młodemu gościowi najuniżeńsze ukłony, powtarzając ciągle:

— Pan graf Eugenjusz!... przepraszam... to zaszczyt dla mnie! ale brodę miałem właśnie golić!...

Najwięcej przytomności miał oczywiście Srul Feigele, który nie bez szysterstwa patrzył na tę scenę. On najlepiej z kłopotu wybawił zawstydzone panny, pokrywając zbyteczny ich negliż swojemi szalikami.

— To moje córki!... przepraszam za brodę! — mówił gospodarz, coraz więcej rozradowany przybyciem tak zacnego i pożądanego gościa. Bo jak to wiemy od pana Srula, nie byłby on od tego, żeby córkę jedną wydać za grafa. Dziwny to jest, śmieszny, ale zwykły i wszystkim prawie ludziom podobnego rodzaju wspólny narów! Jak się dorobią fortuny, zachiewa im się tytułowych zaszczytów, i nieraz zobaczyć to można, jak najskąpsi i najchciwsi nagle za okno prawie wyrzucają pieniądze i najniepodobniejsze wyprawiają rzeczy, ryzykując nawet to własne tak ukochane mienie, byle się zarystokratyzować.

— Bardzo przepraszam zaraz się ogolę... To Frania i Marysia!... no kłaniajcież się panu grafowi.

Te słowa oczarowały zakłęcie przestraszone dziewczęta, które drapując się w szaliki swoje, zaczęły dygać jak najzawzięciej.

Biedny Eugenjusz był jak na mękach, tak mu się opaczem wydawało to, aż do obrzydliwości prozaiczne towarzystwo. A na nie szczęście był za młody, zanadto poeta i za mało doświadczony, by się nawet mógł zdobyć na parę słów, zdolnych skończyć tę dla wszystkich stron niemłą scenę.

Srul stary, szczwany lis, przyszedł i tu w pomoc.

— Jasny pan hrabia młody pewnie jedzie do Niżyniec na bal do państwa Krajkowskiego i wstąpił po drodze, aby poznać się z sąsiadami.

— Aby mieć przyjemność! — wyjąknął wreszcie, darmo szukając po swojej głowie, poezji pełnej, jakiegoś wyrazu stosownego do okoliczności. W tej mierze pan Eugenjusz niżej stał jeszcze od rodziny Glinieckich.

— A to ślicznie! to wybornie! — mówił pan Gliniecki.

— To ślicznie! to wybornie! — powtarzały panny dygając, rumieniając się i patrząc z pod oka na pięknego młodzieńca, który obydwom podobał się niepospolicie.

— Pojedziemy razem! — mówił pan Gliniecki i spojrzał tryumfująco na żyda, a panny przez okno, pod którym stał ładny koczyk z hrabską koroną.

— Razem! — powtórzyła Frania, rzucając na niego śmiałe spojrzenie swych czarnych oczów.

— Razem! — cichaczem, wzdychającem echem powtórzyła Marysia, spuszczać w ziemię błękitne swe oczy, aż do zyzu prawie wywrócone, by się młodemu hrabiemu dobrze przypatrzeć.

Młody hrabia tymczasem wzdychał i na drzwi się oglądał, życząc sobie, aby jakim sposobem wymknąć się z tej łaźni.

— Zaraz się ogolimy!.. to jest ja się ogolę, a moje córki ubiorą się!.. — zagadł ojciec i pomknął do swojej izby, a za nim córeczki!..

— Przepraszamy — ozwały się jeszcze za drzwiami wszystkie głosy. — Srułu baw pana hrabiego.

Aż odechnął młody hrabia, bo ze Srulem daleko łatwiej szła rozmowa. I nawet rozmowa ta zaintrygowała go niepomału, bo żyd, jak zwyczajnie żyd ciekawy wszystkiego, wziął się do indagacji. Jakoż zaraz zaczął od tego, że mu powiedział o wczorajszej jego jeździe konnej.

— Jasnego pana widzieli wczoraj, jak jechał tam do tej czar-towskiej pasieki. Zapewne jasny pan miał jaki interes!.. Ny! co to dziwnego!..

— Ja żadnego!.. ja tak na spacer!..

— Aj waj! to daleki spacer! — odpowiedział żyd z uśmiechem szyderczym — ale to wczoraj wszyscy jeździli na spacer... bo i ten nasz młody aktuarjusz, co to nosi kołnierzyki aż na uszach!..

— Także na spacer? — zapytał Eugenjusz.

— Jak jasny hrabia! — Młodzi ludzowie lubią spacerować. Ale że staremu Wiciewiczowi zachciało się... to mnie bardzo ciekawo!..

— Wszak on tam ma pasiekę!..

— A prawda!.. ta sama pasieka, co to naprzeciw dworku, gdzie mieszka Goździkiewicz... Jasny hrabia zna Goździkiewicza!..

— A tak!.. wszak on był u nas — odrzekł młodzieniec zarumieniony.

— To fein człowiek!.. a jakie ma feine dzieci!.. to prawdziwy skarb!..

Nagle uderzył się żyd w głowę!.. i mruknął coś niezrozumiałego pod nosem.

— Aj waj! to prawda!.. to starego pasieka... tam gdzie te stare mury!.. Ny! ny!..

— Już pół twarzy ogolitem! — ozwał się z drugiego pokoju wesoły głos pana Glinieckiego.

Po krótkiej tej chwili wyszedł pan Gliniecki w odwiecznym fraku jasnyniebieskim o długich ogoniastych połach i jasnych małych guzikach.

I panny Glinieckie wnet się pojawiły w białych płóciennych sukienkach i w owych srułowskich szalikach. Nastąpiły nowe przywitania i dygi. Biedny Eugenjusz sam nie wiedział co robić, by

się wymknąć jakim sposobem. Lecz stery Gliniecki ani myślał go puścić.

— Siadaj no panie hrabio!

— Jabyłm chciał pospieszyć!...

— Zaraz, zaraz pojedziemy, niech tymczasem konie odetchną.

Siadaj pan! — mówił dalej, sadowiąc go gwałtem prawie na podartą sofę. — Bo jak to mówią, dzieci mi spać nie będą.

— Spodziewam się! — przemówiła Frania — wszak będziemy całą noc tańcować! nieprawdaż panie hrabio?... Pan lubisz tańczyć?...

— Ach tańczyć! — powtórzyła Marysia i spojrzała w powałę.

— Ja bardzo mało tańczę...

— Moje córki pana rozhułają...

— Ja niezgrabny do tańca! — odrzekł Eugenjusz, przeklinając w duszy kaprys ojcowski.

— Jakoś to będzie! — zawołały obie siostry.

— Bo też moje dziewczęta niepospolite zuchy! — mówił pan Gliniecki wesoło i rubasznie. Jak wszyscy niemal dorobkiewiczze, lubił się chwalić wszystkim, co posiadał. Posiadanie jest u nich rzeczą najważniejszą; jakże się niem nie chwalić!

— Patrz pan! czy nie tęgie dziewczki! co nieprawda?

— A!... a!... — mruknął coś pod nosem zarumieniony po uszy młodzieniec.

— A i panu nieuroku!... Taki czarnobrewy! jak moja Frania! Dalipan!... dobrana parka! co mówisz panie Feigele? — dodał zacierając ręce...

— Co też tato mówi! — zagadła brunetka przewracając oczami, co miało niby zawstyżenie znaczyć.

— Tato! — ozwało się błękitne echo, z rodzajem wyrzutu...

— Co fein to fein! — wmieszał się Srul, i cmoknął, jakby wychwalał jaki przedmiot jarmarczny.

— Już to powiem panu Eugenjuszowi... daruje pan mojej poufałości, aleś mi pan bardzo się podobał... z mojej Frani będzie bardzo dobra żona!... bo to powiadam panu gospodyni, jakich mało. Tamto także pocziwe, ale to jeszcze młode, to jeszcze dziecko prawie...

— Ja mam już lat szesnaście! — ozwało się dziecko i zarumieniło się okropnie.

Sama pojąć nie mogła, jak się zdołała zdobyć na taką odwagę. Zamilkła nagle przed piorunującym siostry, a zadziwionem ojca spojrzeniem. Gliniecki dla tego tylko starszą chwalił córkę, że przynosząc młodszą, tamtej byłby rad jak najprędzej pozbyć się z domu.

— I powiem panu, że moja Frania właśnie zdałaby się tak do jakiego znacznego domu, bo już to jej państwo zawsze w głowie, od czasu jak bawiła przez rok w Niżyncach u tej madame... jakże ona się nazywała? — dodał zwrócony do Srula... — co tu u niej uczyły się panienki...

Srul krząknął tylko, i mrugnął na starego, bo jakżeż było powiedzieć, że madame była modniarką, u której Frania uczyła się czepki i suknie robić...

— Mniejsza o nazwisko! — zagadnął stary pomiarkowawszy

się nieco. — Ale edukację moja Frania bardzo dobrze przyjęła; zobaczy pan sam dzisiaj, jak się umie znaleźć w największym towarzystwie; niech się schowają panny Krajkowskie. To podobno kuzynki pańskie...

— A tak!.. dosyć nawet bliskie, po mamie!..

— Po mamie!.. — powtórzyła Frania z głośnym śmiechem. Marysia za to spojrziała na młodzieńca zakłopotanego nieco z wyrazem czulszym, w którym przebijało się politowanie.

Znając ostry siostry charakter, żałowała go już biedaczka w niewinności serca. Śmiech starszej dziewczyny oburzył młodzieńca. Podniósł piękne czoło, i dumne rzucił na nią spojrzenie.

— Od dziecka tak się przyzwyczaiłem nazywać matkę moją... — wyrzekł z wracającą mu śmiałością. I kto wie czy by się nie był w tej chwili odważył uciąć bez ceremonii, gdyby nie pan Gliniecki, ale ten przerwał mu nagle...

— Z pana Eugenjusza będzie dobry bardzo mąż, zupełnie jak z mojej Frani żona. Pan powinienes się jak najprędzej żenić..

— Nigdy bez miłości!.. — przemówił Eugenjusz z zapalem młodego poety, który nawet Glinieckich rodzinę uderzył swym urokiem.

Obie siostry popatrzyły na niego, a ich oczy jedne śmielej, drugie wstydliwiej zdawały się mówić wyraźnie:

— Jaki to śliczny chłopiec!

Srul rozповідаł nawet potem w Niżyńcach, że panna Frania aż slinkę połknęła.

— Oczywiście! — mówił niezmordowany Gliniecki, który rzadko z ludźmi obcując, gdy mu się raz zdarzyła sposobność, stawał się zawziętym gadułą. — Ot wie co pan Eugenjusz, dodał porywając go za rękę; ja jestem człowiek szczery i jak to mówią okrągły, co tu w bawełnę obwijać, żeń się pan...

I już tylko co nie wymówił „z Franią“, bo nasz zacny dorobkiewicz przyzwyczajony do tego, że mu się zawsze udawały jego zamysły, ani wątpił, że będzie miał młodego hrabiego zięciem; i już nawet w duszy układał projekcik jak to on wlaźszy raz w interesa Wyżynieckie, tę piękną majątność oczyści i wytumani dla siebie. Na szczęście Srul rozumiejąc lepiej nieprzyzwoitość takiego powiedzenia, porwał go za ogon frakowy tak mocno, że aż się obrócił, bojąc się o swój frak doskonale już przenoszony. Srul mrugnął na niego jak mógł najwyraźniej i sam prędko zagadał:

— Już to że jegomoście panienci extrafein, to sam rabin by przyznał, auf meine munes. Ale i posażne! ach! dodał z figlarnym mrugiem oka...

— Ta zapewne! człowiek tam coś zebrał... pracą panie... pracą gorzką. Taj używa teraz póki pan Bóg da życia...

— Trzeba przyznać jegomościowi, że jegomość cudów dokazał.. do takiego przyjść majątku! ach waj!

Spyrtny żydek wprowadził Glinieckiego na pole, o którym wiedział, że na niem najmilej i najdłużej lubi harcować, a przytem ży-

dowskim swym miarkując rozumem, że mowa o majątku najlepszą może być wędka dla młodego pana.

— Ta to panie co prawda to nie grzech!... człowiek z niczego się dorobił. To nie wielka sztuka, wziąć majątek po rodzicach, albo przynajmniej jaki taki fundusik. Ale ot tak panie z gołemi rękami pójść w świat, i tylko głową kręcić i wykrećić.

— Aj waj! co to za głów!..

— Tam jak słyszę ludzie teraz w mieście jakieś ciągle czytają romanse, co to dla nich piszą drudzy. Żeby to się znalazł taki, iżby opisał moją historję, to by było pożyteczne, i byłoby przecie co czytać. Wie pan, ot jak mnie pan widzisz żywego, ja nie wiem, kto byli moi rodzice, dalipan nie wiem!

— Ale tatku!... — przerwała mu Frania.

— Ot głupia!... jej się zdaje, że to zrazi pana Eugenjusza, on ma przecie rozum, i już to dzisiaj nie te to dawne czasy...

— Bynajmniej! — ozwał się Eugenjusz, któremu pot kroplisty występował na czolo. — Mnie się tylko zdaje, że może by już czas był...

— Gdzie tam panie. Znam ja rodzinę Krajkowskich. On już od wczoraj pijany; a tamci wszyscy w miasteczku, nim się wyczepierzą... my jeszcze pierwsi będziemy. Oj tak panie ja nic nie miałem, nawet rodziców; aż to tam w Glinicach proboszcz mówił raz o jakimś paniczku, co tam zajeżdżał do dworu, i o jakiejś garderobiance, która miała być bardzo ładna, ale nie było w tem nic pewnego, i takich rzeczy nie mówi się przy dzieciach. Ale pan Bóg dał mi twardą głowę, a ludzie po wsi, w której mnie podobno pod kościołem znaleźli, nazwali Glinieckim. A co człowiek szturkańców nabrał w tę głowę, gdy przy pańskiej wisiał kuchni; bo to wszyscy się Piotrusiem wysługiwali, ale Piotrus miał rozum, szturkańce znosił, wszystkim służył, ale tak to jakoś robił, że zawsze coś do kieszeni wpłynęło. Jedno tym, drugie tym sposobem, a zawsze wpadło coś do kabzy. Bo to w wielkim dworze, to nieraz wyrzucą na śmiecie, z czego niejednu jeszcze być może użytek. Wiele, wiele bardzo ciekawego mógłbym ja powiedzieć, jakie to dzieją się rzeczy na takim dworze. Piotrus wszystko widział, wszystko wiedział, i zawsze coś skorzystał, a panie ziarno do ziarnka będzie miarka. A jak się nauczyłem czytać i pisać, to dalipan sam nie wiem; trochę w potrzeby, trochę z przypadku; ot i tyle umiem przecie, że mnie nikt nie przeda, i umiem kontrakt dobrze przeczytać, i na kontrakcie czytelnie się podpisać, a z takim zygzakiem, że djabła zje, kto mój podpis zfałszuje. I tak się jakoś wyrosło panie, a co Piotrus umiał, tego i Piotr nie zapomniał. Sługiwało się panie i tu i tam, nawędrowało się po całej okolicy w pańskiej służbie, i z własnym nieraz handelkiem. A był tam stary żyd na arendzie, ten zawsze chwalił mnie i przepowiadał, że ze mnie będzie człowiek. Zgadł psiawiara; wielki to był szachrajz tego Arona, od niego to się nauczyłem handlu. Długoby to o tem gadać, kiedyś ci to opowiem panie Eugenjuszu, jak się więcej zbliżymy, czego się spodziewam. Ale jedno przecie warto posłuchać, aż mnie śmiech bierze jeszcze, jak to sobie przypomnę, ale wtenczas nie było mi do śmiechu...

— Aj waj! to pewnie o tytoniu! ach! to bardzo zabawne!

— A tak o tytoniu! Już mi się służba przelała przez uszy, osobliwie, że przy ekonomie mało miałem czasu na własne interesa; bo to człowiek jak pies musiał stać na łańcie, nie jadtyszy i nie piwwszy, bo już ja to zawsze skąpiłem sobie. To wszystko, com niepotrzebnie przez swój brzuch nie przepuścił, to wszystko teraz mam wszkatule ha! ha! ha!...

— Ha! ha! ha! — zawtórowali mu śmiechem żyd i obie córki, do których miary było to opowiadanie.

Ale Eugenjusz nie wiedział, co się z nim dzieje; dla niego to opowiadanie było coś tak dziwnego, tak niezrozumiałego, że miał prawie ochotę dotknąć samego siebie, aby się przekonać czy nie sen to jaki okropny i poczwarny. Takie opowiadanie dla poety, marzącego o wyższościach idealnych, było prawdziwie zimnym lodem, mrozującym spoconego. Pan Gliniecki potarłszy z najwyższym zadowoleniem swoją szczecinę, walił dalej:

— Porzuciłem tedy służbę i postanowiłem sam dla siebie żyć i pracować. Na co miałem pracować dla drugiego. Jakem się obrachował wyszedłszy ze służby, miałem... zgadnijcie państwo wiele? śmiech mię bierze, jak sobie przypomnę; miałem trzysta rubli srebrem, a same pisane, bo to panie działa się na Podolu naszym. Z niczego! z niczego!... Co tu z niemi zrobić?... Trzeba zaś wiedzieć, że ja się najwięcej kręciłem po nad granicę rosyjską i znałem od Arona, który miał swoje stosunki z przemytnikami, wszystkie przesmyki na suchej granicy, która nie była tak strzeżona jak dzisiaj. Święciły by się te czasy, kiedy na kordonie stali kozaki. Dzisiaj z temi żandarmami nieporadna godzina. I z naszej strony nie było jegrów jeszcze, tylko starzy, wysłużeni żołnierze! dobre to i poczciwe ludziska a nieruchawe! Każdy prawie z nich miał reumatyzm w nogach, a w rękach! no! ale mniejsza o to. Dostałem się tedy za kordon, do znajomego ekonoma. i tam kupiłem wóz i dwa tęgic moskiewskie konie, coby samego czarta z piekła wyciągnęły. Pierwsze to były moje konie, bo ja się nigdy w konie nie wdawał. Strasznie jedzą! I kupiłem za wszystkie pieniądze tytoniu tureckiego. A umiałem ja kupić, umiałem i napakować: Na wierzchu w pakach żółty i śliczny jak szafran; we środku podlejszy. Ogromna to była fura! aż strach! I z tą furą znajomym przesmykiem przejechałem granicę szczęśliwie. Już to panie strachu miałem nie mało, bo nigdy bardzo nie byłem odważny, ale coby to człowiek nie zrobił dla zysku, dla pieniędzy! Trzeba się było dostać do jednego miasteczka, gdzie już mogłem być bezpieczny, bo miałem tam znajomości i stosunki. Ale do miasteczka było tęgich dwie mil podolskich. Jakie to myśli mi wtenczas po głowie biegały, i na wołowej skórze by nie zmieścił człowiek. Bo to i nadzieja panie i strach. To człowiek raz rachował, to znowu drżał o całe mienie swoje i o skórę. Ha! jadę i jadę, a powoli, bo ciężar był nie mały. A trzeba mi było koniecznie jechać po pod jedną karcznię, gdzie jak wiedziałem kręciły się zawsze rewizory, bo właśnie, co to od tabaki. Już przemiąłem karcznię. Panie! nigdy w życiu tak gorąco się nie modliłem. Jadę, aż tu wprost ku mnie

idzie dwóch ludzi, Patrząc! aż mi oczy zaszczyły mgłą. To byli rewizory; idą wprost ku mnie. Ukryć się niema gdzie, bo to panie na opolu, jakby na gołej dłoni. Przeżegnałem się ukradkiem i dalipan, choć było zimo, gorący pot oblał mnie całego. Powiadają ludzie, że pot zajęczy zimny. Oj co nieprawda, to nieprawda. A tu panie czuję sam, że tytoń pachnie! ale powiadam panu tak mocno pachnie, że żeby człowiek miał najmocniejszy katar, to go poczuć musi. A te rewizory, to jak wiadomo mają nosy takie wytrawne i przenikliwe, że kontrabandę o milę zwąchają. Jadę wpół martwy. Dalipan wszystkie gwiazdy widziałem, choć to było w dzień. Idą ku mnie, już są koło mnie i dają mi znak jakiś abym stanął. Nie było rady, stanąłem; a musiałem być bład jak śmierć. Zem ja wtenczas nie posiwiął, to sam nie rozumiem. No proszę pana, co to może strach; zdawało mi się jak zbliżyli się do mnie, że krzyczą na mnie: Ty masz tytoń! Nie mam, odpowiedziałem, a zęby mi panie same dzwoniły aż strach. Jakto nie masz! przemówił jeden, przecież kurzy ci się jeszcze fajka. Aż dopiero wtenczas zobaczyłem, że mam w zębach fajeczkę, napełnioną grajcarowym tytoniem. Patrz pan! oni nie o tytoń pytali, oni po prostu chcieli odemnie ognia. Dałem im ognia dmuchając w nos śmierdzącym tytoniem, by dobrego nie zwąchali. I poszli sobie szczęśliwie, podziękowawszy mi, a ja zajechałem z wozem nienaruszonym do miasteczka z moim towarem. Ale przysięgłem sobie wtenczas, że już nigdy kontrabandą trudnić się nie będę. Ba! przysięgłem w strachu, a taka przysięga nic nie znaczy. Ot jakoś strach przeminął; dziesięćkroć zarobiłem i potem nieraz podobne udały mi się interesa, bo coby człowiek dla pieniędzy nie zrobił. Ale tego strachu jaki miałem wtenczas, do śmierci nie zapomnę. Ot i tak! W lat kilka później poszedłem na posesję. To panie trzeba wiedzieć jak się obchodzić z posesją. Są ludzie głupi a tego nie rozumieją i gospodarują na obcej ziemi i cudzym chłopkiem, jak gdyby tę ziemię i tego chłopka mieli potem zabrać z sobą. A to panie prosty rozum dyktuje, że na posesji, to trzeba z ziemi i z chłopca wycisnąć, taj kwita... Aj! aj!.. wiele to człowiek mógłby drugich ludzi nauczyć!..

Kto wie jak długo byłaby trwała ta interesująca autobiografia pana Glinieckiego, gdyby mu nie przerwał turkot jakiegoś powozu. Była to jego własna dryndulka, która według dyspozycji zajechała przed dwór, aby rodzinę Glinieckich zawieść do Niżyniec.

— A to głupi gamoń! — krzyknął pan Gliniecki i co prędzej wybiegł na dziedziniec i odprawił nazad dryndulkę, która mu już była niepotrzebna, kiedy miał jechać z młodym hrabią i to koczem jeszcze. A szkoda! bo i dryndulka i chabety do niej zaprzężone byłyby miły widok sprawiły gościom pana Krajkowskiego. Gorszej i obdartszej dryndulki, chudszych i parszywszych koników, najbujniejsze wyobrażenie nie zdołałoby wymyśleć.

Wróciwszy nazad do izby, zapowiedział przecie gościowi swemu, że już czas. Biedny Eugenjusz musiał zabrać całą rodzinę do swego koczka i wyjechał przecie. A za nimi jednokonką jechał Srul Fejgele i ciągle kiwał głową.

— Żeby to można sprowadzić do kupy to małżeństwo, możeby człowiek faktorne jakie wydobył! — medytował pan Srul.

Prócz tej bardzo praktycznej myśli, miał on i inne; pierwsze między niemi miejsce zajmowało ciekawość dowiedzenia się, czego pan eksburmistrz Wiciewicz jeździł wczoraj do pustej pasieki. Ciekawość gwoździem mu się wbiła w głowę.

Zanim karawana zajędzie na bal, przenieśmy się teraz do Niżyniec, gdzie się ma odbyć zabawa, zajmująca żywo wszystkie umysły małomiasteczkowe.

IV.

Bal w miasteczku.

W Niżynicach do dnia panował ruch wielki i to pomiędzy wszystkimi mieszkańcami różnego stanu i wyznania. I nic dziwnego, bo jeżeli jednych zajmowała nadzieja zabawy, drugich natomiast więcej jeszcze obchodził jarmark, jaki się miał odbyć nazajutrz. Starozakonni mianowicie krzątali się na wszystkie boki, wyczyszczając wszystkie zakamarki, przygotowane do przyjęcia gości jarmarkowych. Było to dla nich żniwo, z którego nikt tak jak oni korzystać nie umie. Po wszystkich najlichszych gospodach i domach zajezdnych gwar panował niepospolity, bo żydkowie przygotowywali główny żywiol jarmarczny, występujący w postaci rozlicznych napitków, całą noc w piwnicy przez żydowskich szynkarzy preparowanych. W tym względzie starozakonni prawdziwych dokazują cudów, bo z jednego prawie czerpiąc źródła, tworzą do woli rozmaite trunki.

— To będzie miód, to wiśniak, to wino, to arak! — powiadają i jak mówią, tak się stanie.

A źródłem i podstawą tej cudownej fabrykacji jest zawsze wódeczka. I bal państwa Krajkowskich nie mało zajmował żydków, handlujących rozmaitemi towarami. Jeden biegł do drugiego, by wyszpigować, co który sprzedaje do dworu; po ulicach stawali, by łapać przechodzących, ażali im jeszcze czego do balu niestaje, lub wyglądać, czy nowy jaki posłaniec po nowe sprawunki nie leci z gubernii. Gubernią nazywał się dwór stojący za stawem na wzgórzu, przez pamiątkę zapewne dawniejszych czasów, w których rządzców nazywano gubernatorami.

A jeżeli się pojawił rzeczywiście posłaniec jaki z góry, żydzi ledwie go nie zadusili, ledwie go nie rozerwali, ciągnąc do siebie, wychwalając doskonałość własnych towarów, ganiąc cudze i przeklinając współzawodników.

Jeżeli nadzieja i żądza zysku poburzała synów Izraela, do niezwykłego ruchu, nie mniejsze zamieszanie panowało pomiędzy mieszkańcami Niżyniec, do lepszego towarzystwa należącymi, a zatem mającymi prawo do bawienia u pana Krajkowskiego, rządzący i dzierżawcy miasteczka Niżyniec z przyległościami, którego dwór był

dla małego miasteczka prawdziwym jakby dworem w stolicy. My w wielkim mieście ani pojąć możemy wrażenia, jakie taki bal na wszystkich wywiera; ani mamy wyobrażenia o namiętnościach, jakie się rozbudzają tem gwałtowniej wybuchających, im więcej zwykle przyduszone samem życiem małomiejским, nadzwyczaj jednostajnem.

— Być albo nie być na balu we dworze — to pierwsze pytanie, które wszystkie domki przebiega, wszystkie głowy rozrusza, sercom drżączkę sprawia, a siły umysłowe natęża, jakby do najwyższego celu życia, do którego dopięcia niema konceptu, niema intrygi, jakiejby małomieszczanin nie próbował.

A gdy się już to pytanie korzystnie rozwiąże, gdy już z zaproszeniem pisemnem w rękę wszyscy wszystkich odwiedzą, by się pochwalić, a co jeszcze przyjemniejsze, by politować się nad niezaprozonymi, następuje drugie ważniejsza jeszcze pytanie:

— Jak być na balu we dworze?... to jest, jak się na niego ustroić.

Jest to prawdziwe pytanie, obchodzące bliżej same kobiety, ale w swych wynikłościach najogromniejszy wpływ wywiera na mężczyzn, którzy jeżeli mają to szczęście czy nieszczęście, być małżonkami lub kochankami, chwili spokoju mieć nie będą, ni w domu, ni w winiarni, ni u sąsiada na wieczornym wisku, ni w kancelarji w czasie urzędowych godzin, dopóki nie zadowolą swych żon lub bogdanek na punkcie stroju. A nie mała to sztuka zadowolić te, które same nigdy nie są zadowolone, bo nie płodniejszego jak kaprys kobiecy w rzeczy stroju balowego. Łatwiej zaiste byłoby zapełnić beczkę dziurawą śp. Danajd. Jeżeli dziwne i nie dające się wyrachować są kaprysy kobiece co do stroju w mieście, jakże daleko więcej niezgruntowanymi są one po małych miasteczkach! Nie mając ani wzorów gotowych, ani częstych przykładów, wyrastają prawdziwie w koncepta najpotworniejsze, które potem figurują na przedstawicielkach małomieszczauńskiej płci pięknej. Dodawszy do tego trudność dostania w małym miasteczku jakich takich strojów, łatwo pojąć, jaki rwetes panuje między paniami. A ile to trzeba geniuszu, żeby z niczego coś stworzyć, a co gorzej stare na nowe przenieść.

Lecz to nic jeszcze, do tego są mężowie, wszak ich to jest obowiązek!... Ale daleko więcej wyekspensują one geniuszu, największych dyplomatów godnego, aby jedna odgadnęła naprzód strój długiej, by w tem współzawodnictwie zostać zwyciężoną. Tu powstają myśli najbujniejsze, a rozbudzają się namiętności najognistsze. Nienawidź współzawodniczek, maską uśmiechu pokryta, dochodzi do najwyższego stopnia. Ile czarnych myśli powstaje w pięknych główkach, ile okropnych zbrodni popełnia się w myśli? gdyby wiedzieć!... włosy by na głowie kołkiem stały.

Dzień ostatni! dzień balu! to prawdziwie sąd ostateczny po domach! Już się bowiem stało, co stać się miało i odstać nie może! Już żadna wstążka barwy, żadna suknia fałdów, żaden czepek szlerek i fontazjów nie przemieni. Nieszczęśliwi domownicy!... od mężów zaczęwszy. Lecz po małych miasteczkach mężowie mają ten głęboki

rozum, że ranek przedbalowy przepędzają u jakiegoś Icka lub Abramka, wprowadzając w praktykę stare przysłowie o każdym frasunku, co się nie może obejść bez trunku.

W taki też dzień zajechawszy do Niżyniec, gdybyśmy mieli władzę djabła kulawego, który pupilowi swemu wszystkie zdzierał dachy, dla jego nauki i doświadczenia, poznalibyśmy od razu i to gruntownie usposobienia i charaktery tych osób, które towarzystwo balowe tworzyć mają. To jest poznalibyśmy kobiety głównie!... i to dosyć! Kobiety wszędzie prawie nadają ton i główną w towarzystwach grają rolę. Kto poznał kobiety zna już i całe towarzystwo, którego one bywają najczęściej uosobieniem. A cóż dopiero w Niżynicach! Bo w Niżynicach, taki już był to od dawna obyczaj, kobiety zupełnie rej wodziły. Modę tę zaprowadziła, jak powiadali mi, sama pani Krajkowska, która była prawdziwie „*hic mulier!*” i miała zupełną słusność, bo miała po temu, pominąwszy rzetelną poczciwość serca, umysł sprężysty, gdy tymczasem sam Krajkowski najpocziwszym był człowiekiem, choć go do rany przyłożył, ale właśnie dla tego za nadto serdecznym. Niema panie nic głupszego nad ludzi a mianowicie mężczyzn serdecznych...

Otóż panie Niżynieckie były paniami w całym tego słowa znaczeniu. I tak to się już zamieniło w obyczaj rzec można prowincjonalny, że choć się pojawiali rozmaite zkadinał przybyłe zuchy męzkie z połowicami potulnymi gdyby trusie, ledwie parę tygodni minęło, zuchy zmiękły, rosły im wielkie uszy zajęcze, a trusiom ostrzyły się ząbki aż miło. Zdania tedy kobiet Niżynieckich były tem samem zdaniem mężczyzn Niżynieckich, którzy tak byli w tej mierze sławnymi, że jakiś żartowniś stołeczny poznawszy bliżej towarzystwo Niżynieckie, wniósł przed burmistrzem i ławnikami, by za herb miasteczka przybrali „wielki pantofel”.

A gdy tedy mowa o zdaniach, mających główny kurs w Niżynicach, by poznać to towarzystwo, z którym wkrótce balować mamy, powiem państwu dla wyświecenia ogólnej charakterystyki, że już to najważniejszym zdaniem Niżyniczank było, nie mieć żadnego pewnego zdania, co stanowiło rozpacz biednych mężów, bo jużciż woleliby już przyzwyczaiwszy się do pewnych zdań, potakiwać tylko, niżeli nakształt wietrznej chorągiewki chwiać się na wszystkie boki, za każdym powiewem małżeńskiej pogody.

Ale że się wszystko zmienia na świecie, stał się i w Niżynicach cud. Zawitały doń pewne zdania, i to tem upartsze, że je kobiety popierać zaczęły. I nagle Niżyniczanki, kiwając się dotąd jak figurki chińskie na wszystkie boki, stanęły jak wryte, jakby w błocie, przy jednych pewnych oznaczonych zdaniach. A że jak wiemy każde zdanie, osobliwie kobiece ma przeciwdanie, czyli raczej zdania ludzkie podobne są do medali o dwóch stronach, więc też w Niżynicach do tego przyszło, że się całe towarzystwo rozdwoiło na dwie części, mniej więcej równe, z której każda stała przy swoim najzawzięciej.

Dwa te stronnictwa odcieniowały się mocno barwami zdań swoich. Ten sam żartowniś stołeczny dał im nazwy, dzieląc Niżyniczanki na lewitki i profanki. Aby zrozumieć przyczynę tej nazwy,

trzeba wiedzieć, że Niżyńce z dawien dawna było miastem nadwyczał pobożnem, do czego przykładał się zakon reformatów, fundowany przez bogobojnych antenatów pana Wyżyńskiego. Wpływ zakonników był zatem wielki bardzo. Wszystkie mieszkanki i mieszkańce Niżyńce stosowali się do nich, biorąc przykład w pobożności, w skromnych nawet dosyć strojach, bo ojcowie bywający po wszystkich dworkach. umieli do serc i umysłów przemawiać.

Nagle rozeszła się nowa i niespodziewana wieść, na którą mężczyźni się krzywili, a kobiety jeźeli nie wszystkie, to przynajmniej w niemałej ilości uśmiechnęły się. Huzary mieli przyjść do miasta, i rzeczywiście nadeszli. W spokojnem dotąd mieście powstał ruch ogromny, prawdziwa rewolucja w zdaniach i życiu. Odtąd to zaczęła się wielka w mieście scysja, i powstały dwa obozy przewodniczone przez pleć piękną. Jedne pozostały wierne dawnym obyczajom, drugie, osobliwie młodsze, zaczęły się więcej zwracać ku światowym zabawom. Mężczyźni choć niechętnie pociągnąć musieli za śmiałemi nowatorami. W niejednym dworku, dotąd spokojnym, odzywały się tony wesółych tańców, i dźwięk ostrogów i pałasza. Z niemałym żalem wielu mężów musiało przestać chodzić na tarozka i szklaneczkę miodu do klasztoru, i musieli uczyć się preferansa i maczka od huzarów.

Ta różnica stronnictw przeszła pomalu i do strojów, które z ciemnych, poważnych i skromnych coraz więcej przechodziły w żywą pstrokaczną. Bal nawet u państwa Krajkowskich, jak to sobie mówiono na ucho, nie był bez pewnego wyższego celu. Pani Krajkowska chciała, sprowadziwszy do siebie oba stronnictwa, przyprowadzić je do świętej zgody.

A była tego potrzeba, bo jak wszystkie stronnictwa na świecie, lewitki i profanki walczyły najstraszliwszą bronią obmowy, jak zwykle obosieczną, a niebezpieczną, bo nic tak nie trafia do przekonania wszystkich sąsiadów i sąsiadek jak plotka, choćby najnieprawdopodobniejsza. Osobliwie w miasteczku małym, które dla braku ważniejszych zajęć i zdarzeń bywa gniazdem plotek najrzęsijszych. W małym miasteczku plotka jest nieśmiertelna, bo jak Feniks z własnych wyradza się popiołów.

Dawszy ogólną charakterystykę towarzystwa Niżyńskiego, nie mając kulawego djabła na rozkazy, wejdźmy po prostu przez drzwi do niektórych dworków, aby poznać główne przedstawicielki tego towarzystwa, do którego mamy wprowadzić naszego bohatera, wiele przez nie pożądanego, bo sława jego piękności już go uprzedziła w Niżyńcach, i małomieszczanom, choć to niby nosy krzywią z dumą plebejuszowską na panów, tytuł każdy ogromnie imponuje. Krzywią się oni i umizgają po trosze jak ów lis w bajce do za wysoko wieszających winogren.

Zacznijmy od dworka, który w pół góry, do gubernii wiodącej, stoi samotny prawie, z ogrodem i okalającymi go sztachetami, na żółto pomalowanemi. Jest to własność i pomieszkanie pana justycjarjusza i mandatarjusza razem, Jana Antoniego dwojga imion Szumskiego. Dworku bliżej opisywać nie będziemy, bo kto raz był

w miasteczku i raz widział dworek, zna już wszystkie. Był to sobie dworek o czterech oknach z frontu, czysto pobielany, z gankiem drewnianym i dziedzińczykiem nieregularnego kształtu, w którego głębi była oborka, stajenka i gumienko, słomą pokryte, a między stajnią i oborką, trochę naprzód wydany najpokaźniejszy budynek gospodarski, cały drewniany, gontem pokryty. Był to chlewek, w którym dopasało się zawsze parę sporych świnek, w filozoficznym spokoju pograżonych. Sam pan Szumski był wielkim wielbicielem tych pożytecznych zwierząt, które zawsze hodował, i do których, gdy się chciał rozerwać, wychodził czasem z uśmiechem serdecznego dla nich współczucia. By prawdę wyznać nic go zwykle nie kosztowały, bo i wieprzaki jakoś darmo przychodziły i karmienie spadało jeżeli nie z nieba, to przynajmniej od opatrności, czuwającej nad mandatarjuszami.

Pan Szumski miał reputacją wielkiej głowy, i zaprawdę w sprawach, do jego urzędu należących, radził się i dobrze, radził tej głowy, pomijając serce, które nie wiem czy u wszystkich, ale u niego było w gardle i żołądku. Z powierzchowności była to sobie niewielka figurka, okropnie czupurna, z wąsem jeszcze czarnym i sterczącym, dzięki częstemu szwarcowaniu. Nos i głowę miał do góry zadarte, a małe, piwne oczy umiały przybrać niepospolitą powagę, gdy mówił do podwładnych. Do pięci pięknej miał słabość niejaką, i wówczas oczy przybierały wyraz pociesznej zalotności. Rodzina jego składała się z żony i dwóch dorosłych już córeczek. Pani Szumska ni brzydka ni ładna, z twarzą zawsze zasepioną, była zawsze główną przedstawicielką, a nawet rzecby można naczelniczką lewittek. Córeczki jedna Basia a druga Teklusia, obie szczere, hoże i dorodne, wprowadziły miasteczkową seysją do domu rodzicielskiego, bo gdy Basia żadnego nie opuściła nabożeństwa, Teklusia nieraz rozmaite wynajdywała sobie sprawunki, by na rynku miejskim popatrzeć na defilujących huzarów, między którymi kadecik jeden wydawał się jej ósmym cudem świata. Nadaremnie karciała ją matka, karciał ojciec kaznodzieja, bywający w domu, Teklusia twierdziła zawsze, że gdyby ją Bóg był stworzył chłopcem, byłaby pewnie poszła do huzarów. Środkowym punktem, na którym godziły się obie mandatarjuszówny, był pan aktuarjusz Szpiegowski, którego już zajrzeliśmy nieco, i o którym nie więcej niema do powiedzenia prócz tego chyba, że nosił niesłychane kolnierzyki, które mu uszy krajały, i niesłychane miał zarozumienie o swojej piękności, zdolnościach i dowcipie. Przystojnym był nibyto, zdolności miał tyle właśnie, ile jej u nas miewali zawsze aktuarjusze za świętych i błogosławionych czasów mandatarjuszowskich, a dowcipu tyle, aby mógł przy zdarzonej sposobności wyłudzić jakie łapowe za plecami pryncypała, zagrać u pani aptekarzowej w cztery kąty i pięć piąty, i zjeść wszędzie i zawsze, co i gdzie mu dali choćby dziesięć razy na dzień. Owoż uważał on to za obowiązek swój aktuarjuszowki, mizdrzyć się do obu córek pryncypała. Panny obie, wziąwszy zapewne po ojcu pociąg do zalotności, uśmiechały się do niego, przy stole rzucały na niego gałkami z chleba, i znajdowały go bardzo miłym i przyzwoitym, osobliwie gdy im rozповідаł o stolicy, w której gdy

kończył infimę, miał mieć wielkie powodzenie po znakomitych towarzystwach.

Lecz dosyć już i zanadto tych opisów. Wchodzimy tedy do dworku pana Szumskiego.

W pokoju środkowym, a był to jadalny i przypierał do kuchni, siedzi sama pani Szumska, jeszcze posepniejsza niż zwykle, bo rozmawia z ojcem kaznodzieją i rozpowiada mu treny nieskończone o zepsuciu obyczajów, o huzarach, o złych przykładach i o aptekarzowej, którą zawsze przy tej sposobności wspominała. Aptekarzowa bowiem, którą później poznamy, była uznaną dowodczynią profanek.

— Oj ta aptekarzowa!... niech Bóg broni! — powtarzały po raz dziesiąty.

Ojciec kaznodzieją przestał już opowiadać na ten temat dobrze sobie znany, i w tej chwili nie mógł, bo był zajęty śniadaniem, które mu zastawiła gościnną gospodyni. A nareszcie nieraz już, ale zawsze nadaremnie wzywał ją do zgody chrześcijańskiej.

— Ja z nią, nigdy, nigdy! — odpowiadała z rzymską statecznością. — Chyba w grobie!... a i tam nie!... bo ona pójdzie prosto do piekła.

Biedny ojciec kaznodzieją, człowiek rozsądny i lubiący spokój, już tylko krząknął na to, bo wiedział z doświadczenia, że polemika z panią Szumską, to prawdziwe kazanie na puszczy.

Na drugiej stronie Basia i Teklusia siedziały przy oknie i coś bardzo żwawo szyły. Kończyły jakiś przybór do stroju balowego. Po drugiej stronie okna na ogródek wychodzącego, stał pan aktuarjusz w przesadnej i malowniczej, jak mu się zdawało, pozyturze. Oczami na wierzch wysadzonemi zwycięzko, jak był tego pewien, zachowując zupełną równowagę między niemi. Jedną ręką poprawiał śpiczaste kołnierzyki, które do nosa mu prawie zaglądały, a w drugiej ręce trzymał gitarę...

Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Jozafat, takie miał imię, posiadał i talent dzwonięcia najfałszywiej na hiszpańskiej gitarze. Umiał nawet śpiewać, i miał nawet na rozkazy dwie piosnki, jedną polską, drugą niemiecką, obie na jedną nutę, bo polska:

„Już się zbliża ta chwila rozstania!...“ była tłumaczeniem niemieckiej:

„Sie naht, sie naht, die fürchterliche Stunde!...“

Właśnie zbierał się do powtarzania wypadającej z kolei niemieckiej, gdy Teklusia podniosłszy się trochę z krzesła, uderzyła go po rękę, ustrojonym w olbrzymi sygnet krwawnikowy z wrytym jakimś apokaliptycznym dziwolągiem, który miał być herbem Szpiegowskich.

— Panno Teklo! pani mnie bijesz! — wyrzekł sentymentalnie, i sentymentalnie westchnął.

— Bo mnie pan nudzisz!...

— O! jabym chciał być tak nudzonym przez panią! — mówił z przesadą, i dodał poprawiając się — przez panie.

— Wolisz mnie pan powiedzieć, którzy oficerowie będą na balu we dworze?

— Tekło! — ozwała się Basia surowo — a po chwili słodziej dodała zwrócona do aktuarjusza — albo przynajmniej zaśpiewać co nabożnego.

— Moje nabożeństwo tu! — odrzekł i tryumfaluie pociągnął za lewy kołnierzyk...

Panienki zarumieniły się i obie spojrzwały z pod oka, czyli nie zdolają dostrzedz, ku której w tej chwili zwrócone było spojrzenie pana aktuarjusza. Lecz pan Jozafat miał rozum. Oczy wybałuszył tak prosto, że nawet na żadną nie popatrzył, wzrok swój puściwszy pomiędzy obiedwie.

I nastąpiło milczenie... wymowne próżnią dalszego konceptu we wszystkich trzech głowach.

— Co też to panie pięknego robią? — zapytał nareszcie.

— Haftujemy chusteczki do nosa! — odpowiedziała panna Tekla.

— Bo to dzisiaj w modzie! — dodała Basia.

— A wiem! wiem! to moda stołeczna! Jak byłem w stolicy! — przemówił z fantazją wielkiego znawcy mody i bywalca, a kołnierzyki podciągnął do niepodobnej już wysokości. On w tej chwili był sam przekonany, że z swojemi kołnierzykami jest typem elegancji. Lecz nie dokończył, bo mu Tekla przerwała.

— No i powiedz że mi pan, czy też pański goździk piękny? — rzekła śmiejąc się.

— Aha! goździk! — dodała Basia.

— Jaki goździk?

— Przecież pan wiesz o kogo się pytamy?

— O to należałoby kogo innego zapytać?...

— A kogo? — zapytały szybko i głośno obie siostry.

Ciekawość to jest zaleta małomieszczańska, i dla tego plotka jest tam najwyższym dowcipem.

— Hrabia Eugenjusz bardzo często jeździ spacerem do pasieki Wiciewicza.

— Młody hrabia? — zawołały rozciekawione. — To być nie może... do ekonomówny... Opowiedz że nam pan! jak to było.

— To nic jeszcze!... ale stary Wiciewicz czegoś jeździ do swojej pasieki...

— Ale fe! ten stary grzyb — rzekła Basia.

— To to będziemy dziś sekować młodego hrabiego — powiedziała Teklusia.

I zaśmiała się i wszyscy troje śmieli się, jakby z najlepszego konceptu.

W czasie tej rozmowy, która ciągnęła się dalej, przerywana czasem tylko brzdąkaniem na gitarze, ojciec panny Basi i Teklusi, którego mimochodem odwiedzimy, siedział w swojej kancelarji przed stołem, napełnionym papierami, systematycznie ułożonemi. Nie pracował zupełnie, ale za to ciągle przypatrywał się sobie samemu, bo naprzeciwko wisiało lusterko, powiernik jego samolubnych i zalotnych myśli. Szanowny Szumski miał się za pięknego, i medytował właśnie jak się będzie umizgać na balu do pani aptekarzowej, która oddawna mu wpadła do oka i serca, niepospolicie łatwo zapalającego się.

Przy tej samej sposobności rozważał on głęboko nad ważnym bardzo pytaniem, czy wiać się na bal czarny frak, czy niebieską czamarkę. Pytanie było nie lada jakie; bo frak dodaje mu powagi, a czamarka wdzięku. Była to walka justycjarjusza z człowiekiem.

Medytację przerwało lekkie zapukanie do drzwi. I wszedł znajomy już nam żebrak, którego poznaliśmy już w rozmowie z Eugenjuszem. Na twarzy żebraka przebijała się zuchwała przebiegłość i udana pokora...

— Niech będzie pochwalony! — wyrzekł kłaniając się nisko.

Pan Szumski zobaczywszy wchodzącego, przybrał co prędzej jedną ze swoich min najwięcej urzędowych i porwał pióro do ręki, udając mocno zajętego...

— Czegoż znowu chcesz ty stary lotrze! — przemówił do niego, a z pod oka popatrzył na ręce jego i na wiszące sakwy. Ręce były próżne, ale sakwy zdawały się być napchane. Na ręce skrzywił się pan sędzia, do sakwów uśmiechnął się:

— Czegoż stoisz! — widzisz przecie, że jestem zatrudniony.

— Pan sędzia dobrodziej zawsze tak bardzo pracuje — mówił żebrak śpiewającym jak zawsze głosem, i rękę wsadził do torby.

— Mówże prędzej! — ozwał się sędzia zawsze zachmurzony.

— Ja proszę jegomości przychodzę od Wasyla...

I zbliżył się żebrak do stolika, a z torby ozwał się głos jakiś. I pomału wysunęły się z niej dwie głowy kaczki.

— Cóż to znowu u djabła!... z kaczkami jakimiś przychodzisz...

— I z jajami! proszę jegomości. Jutro jarmark!... my biedaki chcielibyśmy zarobić nieco pieniędzy.

— Ja nie pozwalam żebrać!... wiesz o tem!... idź precz!... — Żebrak nie odpowiedział, tylko z drugiej strony torby zaczął dobywać jaja.

— Wasyl prosi jegomości, by kilku z nas mogło zająć niektóre miejsca; ja będę przy kościele, Hryćko z krzywą ręką na placu koło Icka, a...

— Nie wolno!...

— Tu jest kopa jaj, a same świeże!... i prosił Wasyl, żeby policjant nie puszczał innych żebraków tylko naszych, a będą mieli znaczek od Wasyla.

— Raz powiedziałem, że nie wolno... Ja was oduczę tej żebracy. Ty i twój Wasyl pójdziecie do kozy.

— Jest i oselka świeżego masła, takie śliczne i żółte.

— Do kroćset djabłów dosyć już tego... Ja nawet z tobą gadać nie chcę, bo jeszczeby kto myślał, że ty śmiesz przynosić mi jakiego kubana.

— I jeden bundz, prosto z gór!...

— Zaczynasz mnie niecierpliwieć... Jeszcze kto dostrzedz gotów. Idźże mi zaraz precz, pókiś cały...

— A gdzie? proszę jegomości łaskawego? — przemówił z uśmiechem naiwnie przebiegłym.

— Ta do kuchni głupcze! tam musi być żona moja. Idź mi

precz ztąd; to przecie kancelarja — odpowiedział pan sędzia z miną jeszcze surowszą.

Żebrak się ukłonił jeszcze niżej, przybrał postawę niby zastraszoną, i zagarnawszy jaja, które już był wyjął, wyszedł z kancelarji. Pan sędzia spojrział za nim z pod oka raz jeszcze, i wzrokiem znawcy kaczce objął głowy. Żebrak zostawił u samej sędziny przyniesione i kaczki, i jaja, i masło, i bundza, i wymknął się z sędziowskiej zagrody. Pan sędzia tymczasem zadowolone rzucił w zwierciadło spojrzenie. Rad był z siebie, że tak po rzymsku prawdziwie wypełnił swój urząd. Mówiliśmy, że pan Szumski nie dla kształtu nosił głowę na karku, i był zewszechmiar na wysokości swej posady urzędowej. Należał on do najzdolniejszych w okolicy mandatarjuszów. W kilka chwil później pojawił się policjant kulawy, co mu nie przeszkadzało do wypełnienia ważnych swych w miasteczku funkcji, do których nóg wcale nie potrzebował, wszakże miał ręce i gardło czysto policjanckie. Zajrzał on zdaleka żebraka i jako człowiek mocno doświadczony, wszedł zaraz do pryncypała swego, by posłuchać jego rozporządzeń.

— Co my też będziemy dalej robić z tymi żebrakami? — przemówił przyszedłszy aż do samego stolika.

— Głupis!...

Policjant ukłonił się z dziękczynną i wielce pojętną miną.

— Ale bo to jakieś nowe żebraki aż z Stanisławowa przywandrowali na jarmark!...

— Głupis! do kozy z niemi...

— Ze wszystkimi żebrakami?..

— Głupis! — powtórzył pan sędzia po raz trzeci.

Policjant zrozumiał doskonale pryncypała swego i mruknawszy...

— Wiem już! wiem!.. — wyszedł co prędzej, aby dogonić jeszcze żebraka, w którego torbie znalazła się jeszcze spora wódki flasza. Nałajał, nakrzyczał, naszturkał nawet żebraka, ale buteleczkę schował do kieszeni.

Idźmy teraz dalej w miasteczko. Niżej od zagrody pana sędziego zdybujemy inne jakieś obejście, z którego nic nie widać tylko kawał komina. Całe bowiem jest oparkanione ogromnie wysokim częstokołem. Podobne jest trochę do fortecy. I rzeczywiście zakrawa na fortecę ogromna brama, zawsze zamknięta na kłódkę. Jest to pomieszkanie pana Wiciewicza. Kto tamtędy przechodzi, mógłby się tam zupełnej domyśleć pustki, taka za częstokołem panuje samotna zdaje się cichość, jakby tam wszystko wymarło.

Wieczorem tylko i w nocy odzywają się mnogie głosy, to cieńsze, to grubsze, to chrapliwe, to śpiewające głosy brytanów. Świat małomieszczański rozprowadzał starą już zresztą facecją, że rzeczywiście żadnego za częstokołem niema brytana, i że sam Wiciewicz poszczekuje od czasu do czasu, by ciekawych złodziei przekonać o nadzwyczajnej czujności urojonych psów. A udanie to do takiej doprowadził doskonałości, że mógłby we względzie szczekania wyprawić koncert.

Mimo czujnych psów, zamkniętej bramy i wysokiego częstokołu, korzystając z powieściarskiego przywileju wejźmy na chwilę do pana prezesa. Domek dosyć stary, nie tyle przez wiek ile brak ciągłej sta-

ranności, równie jak całe obejście szczelnie zamknięty, nie tylko drzwiami, ale i oknami, które po większej części deskami są zabite, wygląda na wyraźne pustkowie, gdyby nie... głośny kaszel, który odzywa się z wnętrza domu, suchy, chrapliwy, który rozchodzi się echem po pustych dworak izbach. Jest to kaszel Marty, jedyne domownika, jakiego Wiciewicz cierpi u siebie. Jest to daleka jakaś kuzynka, gospodyni i sługa razem; egzemplarz szkieletowy prawie, milczący i głuchy.

Głuchota u niej była dla Wiciewicza największą zaletą, i jej ona zawdzięczała to niepospolite dobrodziejstwo, stokroć jej wymawiane przez Wiciewicza, że od 1. stycznia aż do ostatniego grudnia może mrzeć głodem. Można ją nazwać prawdziwą męczenniczką, gdyby nie odwet, jakiego mszcząc się pozwalała sobie. Jeżeli stary zrzedził na nią, co jej łatwo przychodziło mimo głuchego puszczać ucha, ona mu się odwdzięczała twarzą wiecznie zmarszczoną, tonem mowy piskliwie mrukliwym, i słowami, jakimi do swego pana i krewnego przemówiła. Nigdy ona pocziwie nie do niego nie przemówiła, ale lżyła go, jeżeli się kiedy odzywała wyraźnie, wyrazami, którymi przynajmniej na szczerości nie brakowało. W tym względzie miała słownik wyczerpujący wszystkie nazwy skąpcom dawanę. Wiciewicz w takim razie udawał głuchego, i coraz mniejsze wykrawywał dla niej kromki chleba. Bo prócz chleba, soli, wody, i od czasu do czasu kilku kartofelek, żadna inna nie pokazywała się strawa w dworaku starego kutwy, jak go powszechnie w miasteczku nazywano. Było tam jeszcze jedno stworzenie żyjące, którego los nie był godny zażdości. Był to stary kot czarny, okropnej chadości, ulubieniec wielki samej Marty, która o niego srogie nieraz z Wiciewiczem odbywała walki. Wiciewicz uważał go za niepotrzebną zupełnie gębę, bo nawet myszy i szczury wyemigrowały z skąpego domu.

Marta, która sama przyzwyczaiła się z czasem do skąpstwa, dla ulubieńca była szczodra, o ile być nią mogła. Chociaż czy przez skąpstwo czy przez prawość wrodzoną, własności Wiciewicza pilnowała jakby własnej, dla tego jedyne ulubieńca swego pozwalała sobie okradać pryncypała swego. Nad kawałkiem sera zapleśniałego, który skąpiec długo chował, przyszło raz między kuzynami do walnej rozprawy. Wiciewicz przekonawszy się, że go kot spożył, chciał go zadusić.

Marta stanęła w jego obronie z oczami tak srodze iskrzącymi, że się aż Wiciewicz przestraszył, tem więcej, że zasłyszał wymurzone przez Martę słowa o tajemnicach piędźnych, o które bał się więcej jak o życie. Najdotkliwszą jego stroną była bojaźń złodziei. Bojaźń ta była w nim manią i karą razem, nie dała mu ona jednej spokojnej przespać nocy, a choć zasnął kiedy snem niespokojnym, najokropniejsze trapiły go mary, przedstawiając mu w najpotworniejszych postaciach czyhające na jego pieniądze ręce złodziejskie.

Znamy już powierzchowność Wiciewicza, i w tej samej umbrelli i okularach widzimy go siedzącego w ciemnej sypialni, do której światło wpadało tylko przez jedną kwaterek okna wolno w górze zostawioną. Siedział na drewnianym zydelku, koło starego kufra, na

który spoglądał wzrokiem rozpaczliwej pożądlivosti. Kilka razy po- ciągał ręką ku niemu, jakby go chciał otworzyć, i znowu cofał. Naj- wyższą dlań było rozkoszą, liczyć i przeliczać nagromadzone w nim pieniądze, to było jedyne jego użycie, zastępujące mu jadło, napój i wszystkie życia wygody. Ale bał się za nadto często pozwalać sobie przyjemności, by go kto nie wyszedził, to też choć nikt temu nie wierzył, on zawsze przed wszystkimi utyskiwał i płakał na goliznę i dla tej to właśnie przyczyny głuchota Marty była dla niego najważniejszą zaletą. Nieraz w nocy gdy zająrał do kufra i chudemi palcami prze- rzucał nabierane tam rozmaite monety, miłośnem pieścąc je okiem, to jedno go uspokajało, że Marta nie może słyszyć dźwięku monet złotych i srebrnych.

Przemogła nareszcie żądza; pomału i ostrożnie otworzył kufer, podniósł wieko, i skulił się nad nim. W tej chwili coś mu zaświeciło w oczy, i tuż nad uchem ozwał się głos jakiś ponury, szczególny. Zadrżał skąpiec ze strachu, krew się w nim ścięła, włosy stanęły na głowie. Podniósł przerażone oczy. Z wierzchu wieka podniesionego patrzyło nań dwoje oczów iskrzących i ten sam ozwał się głos jękliwy. To kot Marty siedział na wieku i ciekawym zdawał się patrzeć na skąpca wzrokiem, miaucząc z cicha.

Tego już było za nadto dla skąpca, on by w takiej chwili czło- wieka zabił, a cóż dopiero kota. Wyciągnął suche palce, ale kot sko- czył nagle, schował się pod łóżko i rozgniewanym pomrukiwał gło- sem. Zaprzestał dalszej gonitwy, bo się bał, by miauczenie kota nie sprowadziło Marty, ale w duszy zaprzysiął sobie śmiertelną zemstę.

Wrócił nazad do kufra otwartego. Nadto wielka była pokusa. Stało w nim mnóstwo worków różnej wielkości, a między nimi naj- większy skórzany, ku któremu bez myśli prawie wyciągnęły się po- kurczone jak szpony palce. I drżącą ręką podniósł ogromny a tak ciężki worek, że zdawało się niepodobienstwem prawie, by go starca ręce utrzymać mogły. Ale czemu silna nie podola żądza!

— Zajrzyć! czy nie zajrzeć!... — To były dwie myśli bijące się po głowie starca. — Choćby jedną chwilkę popatrzeć na złoto! — mówiła żądza syrenim głosem. — W dzień niebezpiecznie! — prze- strzegała tchórzliwa skąpca bojaźliwość.

I dla takich to chwil zaprzedał nędzny starzec całe swoje życie....

— Nie! nie! — mruknął sam do siebie. I oczy starca zasłyły łzawą mgłą żalu za widokiem złota. — Już dłużej nie mogę wy- trzymać tej bojaźni! — mruczał dalej do siebie. — Tamte worki mogą zostać.... ale ten trzeba zakopać koniecznie....

Tu przycisnął worek do piersi, jakby mu żal było rozstawać się z nim.

— Lecz gdzie?... wiem miejsce doskonałe!... lecz kiedy i jak?... już mi się raz nie udało.... Dziś w nocy możnaby najlepiej.... Wszyscy będą na górze u Krajkowskich.... ale szkoda bału!... szkoda!

Takie myśli tłoczyły się tłumnie do głowy skąpca. Szło mu o skarb, a zatem więcej jak o życie, a przecież z drugiej strony żal

mu było balu. Bo na nim był pewien, że się naje i napije... darmo i na długo się naje i napije.

— Może by jutro, w czasie jarmarku! ale w dzień znowu kto przeschodzić może, a w nocy straszno! straszno!... Jeszcze mówią takie jakieś okropności o tem miejscu... To bajki!... gminu głupiego!... Dziś!... dziś! potrzeba koniecznie...

— Dajcie biednemu! dajcie choć kawałek suchego chleba... już trzy dni nie jadłem! — ozwał się tuż pod oknem zawodzący i fistułowato śpiewający głos jakiś. To głos nam znajomy, głos to żebraka z pod figury.

Stary skąpiec usłyszawszy ten głos tak bliski, tak niespodziewany, zatrząsł się okropnie jakby w febrze. Worek wypadł z jego ręki, i ozwał się z kufra dźwięk czysto metaliczny, dźwięk złota. Dźwięk ten tak mu zawsze miły, jeszcze go więcej przeraził, dźwięk ten mógł go zdradzić.

Zamknął kufer co prędzej, skoczył na środek pokoju, i zaczął wołać:

— Marto! Marto! — zapomniawszy, że daremne było jego krzyczenie, bo i armatnie strzały nie rozbudziły by zamartwego u niej słuchu...

Lecz już w tej chwili usłyszał za oknem kaszlanie Marty. Zażwyczajszy żebraka wybiegła z miotłą, i nuż go lżyć.

— Łotry! darmozjady! włóczęgi! a won ztąd!... Nie tu nie dostaniesz!... czy nie wiesz, że stary kutwa nie da nikomu ani grosza.

— Pannunciu! pannunciu! złota hołubko!.. — zawodził płaczkliwie. — Ja już czwartą dobę nie jadłem.

— Idź precz! zaraz!... ale którądy ty tu się zakradł? — zagadła nagle Marta. — Wszystko szczelnie pozamykane.

Stary w izbie milczał, i duchy w sobie zapierał, ale słuchał z największą uwagą, bo to wejście żebraka do jego dobrze zaopatrzonej zagrody, dawało mu wiele do myślenia.

— Patrzcie go, — zapiszczał na dworze głos Marty, — wyłamał pal jeden z częstokotu.

Pot zimny oblał starego skąpca. Tchórzliwa jego wyobraźnia przedstawiała już mu całą zgraję złodziei i rozbójników, której szpiegiem był żebrak.

— I częstokół wyłamany!... — przemówił sam do siebie załamując ręce — nowy wydatek!

Gdy się już uciszyło na dziedzińcu, wybiegł stary skąpiec z młodzieńczą skwapliwością, aby się przypatrzeć zrobionej szkodzie.

— Zakopię! zakopię!... dziś jeszcze! — mówił sam do siebie, — ale po kolacji aż wyruszę... I kota zabiję!... dopiero będę miał trochę spokoju.

Na dziedzińcu zdybali się kuzynkowie!...

— Przekłęta baba kota trzyma, a nie pilnuje obejścia! — mruzczał stary...

— Brzydki kutwa!.. sknera!... dusigrosz!.. zbiera pieniądze

zamiast żyć porządnie, i kotrów zwabia przez to do siebie... Jeszcze kiedy zarzną mnie w nocy i mego Filunia...

A żebrak biegnąc z góry do miasteczka, mrucał sobie pod nosem :

— Jeszcze nie zakopał, słyszałem brzęczenie pieniędzy, słyszałem wyraźnie!.. Będę ja miał oko na ciebie!..

Wiciewicz długo nie mógł przyjść do siebie, aż nareszcie zabrał się do ubierania, aby broń boże balowego nie stracić obiadu.

Takim to był pan Wiciewicz Karl jak go nazywano, przez pamięć zapewne na czas jego przy urzędzie przepędzony.

Nie wiele już możemy dodać do jego charakterystyki. Skąpstwo i chciwość to były jedyne prawie i główne rysy jego charakteru. Skąpym i chciwym od małego był już dziecka. Chłopcem będąc żałował już sobie wszystkiego, a jeżeli gdzie grosz jaki złapał, to go chował i dusił, lub starał się przez rozmaite facjendy podwoić i potroić. Lichwa stała się trzecim żywiołem jego bytu. Zawód swój zaczął od sławnego procesu. Będąc raz na praktyce w jakimś urzędzie, potrzebował poświadczenia, że ma się czem utrzymywać. Dając przytem nauki synowi jednego obywatela, potrafił go nakłonić do tego, że mu ten dał takie poświadczenie na pewny dochód roczny, mające być naturalnie pozorem tylko.

Przebył praktykę i dochrapał się małego urzędziku. Tymczasem ów obywatel umarł, zostawiwszy syna jedynaka. Wiciewicz pada na myśl godną jego przewrotnej głowy i wydaje synowi zmarłego proces o niewypłacony dochód roczny, dokumentem mu zabezpieczony. Mając rozmaite stosunki i sposoby forsowania, nie tylko że wygrał proces, ale przysadzono mu wszystkie lata zaległe z procentami od summy. Syna swego dobrodzieja zrujnował, ale za to przyszedł od razu do znacznego kapitału, puścił się na najniełitościwszą lichw, pożyczając na ogromne procenta i najczęściej na zastawy. Żadnego w tej mierze nie mając uczucia, zdolny był ostatnią kroplę krwi wysssać z dłużnika, który był jego prawdziwym niewolnikiem. Do prowadzenia takiego zawodu pomagał mu urzędzik z początku niższy, a potem wyższy, choć prowizoryczny. Bano się go, nikt go nie śmiał oskarżyć, a ile inaczej skorzystał z swego położenia społecznego, to mogą powiedzieć ci, co mieli z nim jaki interes, lub zdybali kiedy w życiu podobnego Wiciewicza na podobnym stanowisku, w małym miasteczku. Z początku skupował grunta i realności rozmaite, ale później im mu więcej przybywało grosza, skąpstwo jego stawało się wyraźnie manją, tak, że przywiązanie do pieniędzy trącało o wyraźne szaleństwo. Nie bez walki, ale przestał nakoniec pożyczać już choćby na największą lichwę; składał tylko grosz do grosza i pieścił się jego widokiem. Chyba tylko czasem jeszcze na drogi bardzo zastaw pożyczyl, ale biada dłużnikowi, jeżeli termin minutę przeciągnął, już pewnie nie widział się z zastawionym przedmiotem.

I rzecz dziwna, a raczej rzecz szkaradna!.. Człowiek taki wart przecie najwyższej pogardy, jeżeli go inna ominie kara; wart by się

od niego wszyscy odwrócili na wieki i nieprzebytą granicą wzgardy na zawsze otoczyli. Gdzie tam?... Zupełnie przeciwnie działo się. Wszyscy się pchali do niego, starali o jego łaskę, wszyscy mu pochlebiali i otaczali pewnym choć pozornym zapewne, ale nie mniej przeto gorąco okazywanym szacunkiem. Był to zapewne szacunek nie dla człowieka, ale dla jego złota, którego on był niejako numerycznym przedstawicielem.

Smutne to zawsze przecie takie społeczeństwo, w którym dosyć jest być workiem napchanym dukatami, by stać się przedmiotem poszanowania, względów i najuniżeńszych ukłonów. Złoty cielec jak się pokazuje pozostał bożyszczem wielkiej części ludzi, tańczących i rozmaite przed nim odbywających podrygi pokorne!..

I nie dosyć na tem, że Wiciewicz taką wywierał władzę na płeć męską, złożoną jak to mówią z większości praktycznej, szukającej zawsze rozumu praktycznego w matematyce; ale i u płci pięknej, skłonniejszej od mężczyzn do uczuć delikatniejszych i szlachetniejszych, mimo srogiej brzydoty fizycznej i moralnej, miał jeszcze względy. Kobiety starały się schlebiać jego miłości własnej, przekonawszy się, że pan eksburmistrz dosyć miał pociągu do umizgów. Dowody tego później może zobaczymy. Jak na teraz porzucmy starego sknerę i szkicujmy inne jeszcze obrazki z towarzystwa Niżynieckiego.

Każde miasteczko choćby najmniejsze, ma swoje miejsce uprzywilejowane, czy to plac jaki czy ulicę, stanowiącą część miasteczka arystokratyczną, prawdziwe jego faubourg Saint-Germain. W taką część miasteczka pchają się koniecznie honoratoires, tam się w dzień i wieczór główne odbywają przechadzki, tam bywa znakomitsze miejsce schadzek czy w domie prywatnym, czy w winiarni, czy w kawiarni lub innym jakim sklepie. Takim miejscem w Niżyncach była ulica z rynku prowadząca do gubernii, to jest do pomieszczenia pana komisarza i dzierżawcy. Rynek był dla motłochu chłopskiego, dla jarmarcznej gawiedzi, dla żydowskiego gwaru.

Kwiat arystokracji Niżynieckiej lub mieszkał lub przynajmniej przechadzał się po tej ulicy. Ulica ta w Niżyncach o tyle przed innymi po podobnych miasteczkach ulicami zasługiwała na tę cechę arystokratyczności, że przy niej był najmniej arystokratyczny, a najszlachetniejszy przecie przybytek Boga: był przy niej kościół i klasztor po jednej stronie, a po drugiej kilka dworków, zawierających w sobie smietankę towarzystwa Niżynieckiego.

Głównym i niemal najgłówniejszym punktem była apteka, do której wchodziło się przez ganek historyczny, i w której prócz lekarstw w samym sklepie i pana aptekarza w nim władającego, na drugiej stronie mieszkała sami pani aptekarzowa, o której już kilkakroć wspomnieliśmy, a mówiąc o Niżyncach wspominać ciągle musimy. Ganek nazwaliśmy historycznym, bo będąc dosyć obszernym stawał się w lecie punktem nader dogodnym dla przechodzących tamtędy.

Czy miał kto interes czy nie do apteki lub do aptekarzowej, wstąpił na ganek, i zawsze się jakoś jeden tam z drugim zdybał; a więc łatwo pojąć, jak tam przychodziły na plac wszystkie historie Niżynieckie, najciekawsze i najtajemniejsze, tam jakby w parowym

młynie meła się bez ustanku ulubiona ploteczka na najdrobniejszą marymonką, z której wypiekał się chleb powszedni konieczny, do pożywienia małomiejskiej ciekawości, mającej wielce głodny i strawny żołądek.

Apteka złożona z kilku pomieszczeń, razem polepionych, miała sama w sobie kilku lokatorów, a nawet i rodzaj stryżku był na niej, gustem samej aptekarzowej przerobiony na rodzaj piąterka z wielkim oknem i daszkiem, przypominającym trochę żydowskie synagogi. Po obu stronach aptekarskiego dworku w tył nieco usunięte były cztery jeszcze dworki, niekoniecznie symetrycznie i grzecznie do siebie zwrócone, ale tem ci dogodniejsze dla sąsiadek, które przez to najłatwiej mogły wiedzieć, co która w swej kuchni gotuje, kiedy i jak zabiera się do prania lub innego zajęcia gospodarskiego.

W tych dworkach było naprzód dwie kwatery oficerskich. Po prawicy mieszkał rotmistrz, a po lewicy porucznik. W drugich dwóch dworkach mieszkał miejski chirurg właściwie, ale przez grzeczność nazywano go lekarzem, mieszkał sam pan burmistrz i mieszkał tak zwany rewizor, cichy i spokojny człowiek, który nikomu wody nie zamącił, ale miał za to rewizorową, zdolną całemu miasteczku zawrócić głowę potęgą swych zawieszistych i silnych wdzięków. W samym domu aptekarstwa jako w punkcie najcentralniejszym mieszkała owa modniarka, u której to jak wiemy rezolutna Frania pobierała to wyższe wychowanie, uzdalniające ją do zostania młodą hrabiną. Łatwo pojąć, że w dniu dzisiejszym, dniu tak ważnym dla całego miasteczka, tylny pokój aptekarskiego dworku, mieszczący w sobie modniarkę i jej wszystkie manatki, był punktem ogólnej pielgrzymki dam niżynieckich, których wszystkie niemal najpowabniejsze nadzieje spoczywały tam pokrajane na kawałki fontazjów, szlerek i jakichś okrawków wstążek.

Lecz najważniejszą w tem wszystkim była sama pani aptekarzowa, o której już wiemy, że była naczelniczką profanek. Pomówmy o niej. Ale kiedy to mówiąc o niej trzeba właściwie mówić o paniach aptekarzowych. Bo było ich dwie, tak jest, dwie aptekarzowe w Niżynach. Niemysłcie łaskawi czytelnicy, że tam było i aptek dwie; broń boże, tam była jedna i jak się to trafia po małych partykularzach, doskonale nie tęga. Ale aptekarzowych z dodatkiem samychże aptekarzy było aż dwie, i obie młode jeszcze, obie przystojne, obie przekonane o tem, a zatem żadne hołdów, jakie im się należą. I może jeszcze mieszkają pod jednym dachem. Na szczęście nie!... bo współzawodnictwo obu w oddaleniu z ulicy na ulicę pociesznemi tylko wybrykami pojawiające się, mogłoby sprowadzić tragiczną jaką katastrofę, zakończoną stratą broń Boże ciemnego lub niebieskiego oka.

To statystyczne bogactwo Niżyniec takim się tam wzięło sposobem. Pan Krajkowski, jak już to podobno zasłyszeliśmy, miał rodzinę bardzo liczną. Między starszemi dziećmi posiadał on córkę Piotrunię, którą wydał za pana Fiulkiewicza, poczciwego z kośćcami chłopca, ale gołego, roztrzepanego, prawdziwie do niczego, prócz chyba by być ojcem dzieci bardzo dobrym, do których aż trojga

podobno bardzo prędko przyszedł, i które namiętnie kochał. Nie wiedząc coby się dało zrobić z Fiulkiewicza, zrobił z niego aptekarza, kupiwszy dla niego aptekę w miasteczku. Z początku póki były stare zapasy apteczne, szło jakoś, ale gdy tych zabrakło, Fiulkiewicz nie lubiący mazoły i prowadząc zawsze dom otwarty, zaczął w szczerości serca to dawać, co miał; a że miał najwięcej rumianku, więc rumiankiem miasto innych lekarstw, na recepte zapisywanych, zaczął traktować, przez co wyznać trzeba śmiertelność ani się zwiększyła ani zmniejszyła. Długi rosły na aptece, co widząc Krajkowski odebrał zięciowi aptekę i przedawszy ją drugiemu, córkę i zięcia wziął do siebie. Fiulkiewiczowie przestali mieć aptekę, ale nie przestali zwać się aptekarstwem.

Tym tedy sposobem pojawił się w Niżyńcach drugi aptekarz, pan Szymon Beczyński, którego żona Klimunia jest ową prawdziwą aptekarżową, na przeciw klasztoru mieszkającą. Panowie aptekarze żyli z sobą w największej zgodzie, a nawet przyjaźni. zgadzali się bowiem w dwóch gustach swoich, to jest na punkcie wódeczki i polowania. Oba lubili pociągnąć przy śniadaniu i oba zawzięcie polowali. Jak w jednym tak i drugim nie mieli sobie czego zazdrościć, bo jeżeli oba jednakowo tego pili, oba też równie źle strzelali, i najczęściej z polowań wspólnie odbywanych, wracali z próżnemi torbami i manierkami wysuszonemi. Jeżeli się czasem pokłócili, to chyba na jakim kłamstwie myśliwskim, do którego nie tyle mieli konceptu, ile ochoty.

Nie tak z samemi paniami. I one się lubiły niby, lecz ściskając się zawsze głośno i serdecznie; one się tylko obmawiały. Ale jakże się tu nie obmawiać, kiedy Piotrunia była biała, zbudowana jak lania, i miała jasne włosy i niebieskie oczy. Klimunia zupełnie przeciwnie, była brunetką o czarnych włosach, ciemnych oczach i śniadej pici. Ale zawsze obiedwie były najprzystojniejsze w całym miasteczku, a przecież, jakkolwiek nie wielkie to było miasteczko, gusta mężczyzn były podzielone.

Jakkolwiekbydz takie współzawodnictwo jest zawsze nudne, ztąd więc pochodziły nieskończone plotki, które na drodze z apteki do zamku biegały bez końca, noszone zawsze tam i nazad przez usługujących przyjaciół i równie czułe przyjaciółki. Niemato się do tego przykładała nierówność ich położenia społecznego. Klimunia była majątniejsza i po mężu mieszczanką, gdy tymczasem Piotrunia była obywatelską córką po ojcu i matce, a nawet i Fiulkiewicz posiadał tam jakiś herb i jakiegos wujaszka, posiadającego wioszczyne jakaś. Naturalnie Klimunia drwiła niby z szlachectwa i wszystkich jego przywilejów, ale tylko półgębkiem, bo była to dla niej rana niewygojona. I musiała się patrzeć nieraz, jak na zabawie dawano jej prym; albo co się działo w jej sercu, gdy Piotrunia dla większego zapewne uszanowania, przyjeżdżała do niej powozem z lokajem, który miał guziki herbowe. Mściła się na mężu w takim razie srogimi wymówkami, ale to nic nie pomagało. Dandysi małowiejszy, najgrzeczniejsi i najczulsi na dole w aptece dla pięknej Klimuni, opuszczali ją na górze, by się przypodobać Piotruni.

— Wejdźmy teraz na chwilę do apteki; jest to godzina jedenasta z rana: hora canonica ją nazywał pan Szumski, który z swojego obowiązku coś tam rozumiał po łacinie. Odkąd Niżyńce Niżyńcami taki to już był zwyczaj z dawna zaprowadzony, że około jedenastej znajomi schodzili się do apteki na jakąś mieszaną wódkę, lekarstwem woniejącą, ale pełną dobrych żołądkowych własności. A przytem tam udzielano sobie nawzajem nowinek politycznych i brukowych. Do brukowych był doktor Februar, a co do politycznych pan poczmistrz Pilnauer musiał je najlepiej wiedzieć na poczie.

Nie potrzebujemy powiadać, że dziś właśnie był zupełny komplet, bo każdy chciał się dowiedzieć o dzisiejszym balu, o którym rozpowiadano, a jeszcze się większych nowin spodziewano. Krzyk i gwar ogromny był w aptece, bo wszyscy byli weseli, i kieliszek kilkakroć się już powtórzył.

— Założmy się o nową turę wódki! — krzyczał pan doktor Februar. Był on pochodzenia starozakonnego; ale że dowcipny i lubiący każdemu schlebiać, więc powszechnie był lubiony. Zawsze miał coś wesołego do powiedzenia, a jak nic nie miał to skłamał.

— Załóżcie się! — krzyczeli obaj aptekarze, lubiący powtarzanie kieliszkowych turów.

— Ja się nie założę — odpowiedział poważnie nagabany poczmistrz — ale wiem z pewnością, że będzie.

— Nie będzie! ja panom powiadam. A kiedy pan poczmistrz wie pewnie, dla czego się nie chce założyć?

— Ja się nigdy nie zakładałam.

— A pfe! — przemówili aptekarze, a i drudzy przytomni zawtórowali.

— Pfe! — powtórzył śmiejąc się pan Februar.

— Czy pfe! czy nie pfe! ja się nie będę zakładał, nie głupim!

Nie nie pomógł śmiech i namawianie wszystkich, poczmistrz uparł się. A szło tu wszystkim o podwójną wygranę, bo i o wódkę i o to, by skąpego poczmistrza do zapłacenja namówić. Do tego cała kłótnia była wymierzona przez doktora, który z poczmistrzem w wiecznej żył wojnie. Jakoż nic przeciwniejszego widzieć nie można było, jak ich całe usposobienie i całe ułożenie. Doktor był niewielkiego wzrostu, ale nadzwyczaj rachawy, zawsze wesoły, zawsze do śmiechu gotowy, na żart łapczywy. Pan Pilnauer przeciwnie, wysoki, chudy, sztywny i zawsze wyprężony, bawił się w ogromnego senszata. Rzadko kiedy się zaśmiał, i wszystko na świecie widział w czarnym kolorze, to też jednego przewzali Beksą, drugiego Wesołowskim.

— Niema zakładu — przemówił gospodarz — ale napijmy się wódki.

— Dla czego się wy sprzeczacie moi panowie! — przemówił pan rewizor, młody i wcale przystojny mężczyzna — najlepiej powinien przecie wiedzieć pan Fiułkiewicz, czy stary hrabia będzie na balu czy nie?..

— Ja właściwie! nie mieszam się w to... i nareszcie, ja wole, by był zakład.

— Brawo!... i dla tego napijmy się.

— Będzie! ale tylko młody hrabia! — mówił znowu lekarz — gdzież by stary chciał między nas wleść?...

— Głupia fuma! — ozwał się kolektant, trochę krzywy, trochę kulawy, z okularami na czole, brodawką na nosie, zawzięty nieprzyjaciół panów i szlachty, jako syn i wnuk diaka.

— Co nam do tego! — zagadł pan sędzia, który właśnie nadzedł. — Zabawimy się i bez niego.

— Lepiej żeby i młody nie przyjeżdżał — ozwał się młodzieńki praktykant przy magistracie, który także chorował na demokratę i eleganta. W obu tych postaciach nie chętnie chciał się zdybać z paniczem, przy którym zniknął wszystkie jego zalety.

— Kapitałny i nie głupi chłopak! — zawołał doktor. — I nie podobny do ojca! — dodał z uśmiechem.

— Jako? — zawołało kilku, którzy się czegoś domyślali pod tym uśmiechem. Olbrzymia domyślność jest zwykłą zaletą małomieszczanów, którzy w tym podobni do wielkich filozofów, domyślają się niestworzonych rzeczy, a stworzonych w własnym nie widzą domu.

— Może do matki? — zawołało kilku innych ciekawych, którzyby chcieli pytaniami jak trybuszonem dobyć prawdy.

— I do matki nie! — odrzekł pan Februar z takim samym uśmiechem.

— Jako? — wołali wszyscy otaczając doktora.

Lecz w tej chwili ozwały się głosy stojących przy oknie, między którymi był brat samej aptekarzowej i dwóch czy trzech praktykantów cyrkularnych, których przywieziono z miasta na tancerzów.

— Otóż oni!...

— Oni! kto tacy? — krzyknęli drudzy i pobiegli do okna.

Z naprzeciwna bramy klasztornej, posuwali się poważnym krokiem burmistrz i pan Krajkowski w własnej osobie z dwoma synami Adamem i Saturninem. Była chwila strachu, czy nie pominą apteki, lecz nagle zwrócili się ku niej, i weszli z niemalą radością obecnych, którzy jak wiemy nie wiedzieli dotąd głównego powodu dzisiejszej zabawy, a przytem radziby wiedzieć szczegółowo, kto na niej z obcych będzie. Przywitano tedy nowo przybyłych z ogromnym krzykiem.

Burmistrz była to w małym miasteczku najmniejsza, najsuchsza i najniewinniejsza istota. Rzadko też o nim mówiono w potocznej mowie, ale tem częściej o samej pani burmistrzowej, która nie tylko w domu ale i w całych Niżyńcach burmistrzowała. Biada każdemu, który nie przeszedł pierwej przez kuchnię i spiżarnię pani burmistrzowej.

Krajkowski był za to najotyłszym w Niżyńcach człowiekiem i niezawodnie najlepszym. To też kto w Boga wierzył, korzystał z jego poczciwości. Nikomu nigdy nie odmówił. I serce i kieszeń, stół i spiżarnię, gumno i las, miał na usługi znajomych swoich z miasteczka, którzy też go obdzierali jak groch przy drodze stojący; w oczy pod niebiosa wynosili, a po za oczy szeptali do siebie ruszając ramieniami.

— Bankrut! bankrut oczewisty.

On tymczasem na to nie zważając, lubił żyć, nie wystawnie, ale hojnie i gościnnie. To też mało który dzień był tak szczęśliwy, by

stół we dworze obszedł się bez kilku obcych gości. Cała jego twarz malowała człowieka; zawsze uśmiechnięty, przymrużywał rubasznie oczami i przemawiał nieco akcentem Mazurów, bo ztamąd był rodem.

Synowie byli to także dobre chłopcy. Wychowani w szkole ojca, stali się pierwszymi próżniakami w mieście gotowymi do każdej hulanki, do każdej gry, w karty czy w butelki, czy nawet w serca, bo byli oba dorodni, podobni do siebie, a w rysach twarzy, postawie i ruchach przypominali prawdziwych mazurskich parobczaków.

Ciekawe zgromadzenie, po pierwszych przywitaniach i po powtórzeniu koniecznej kolejki, zabrało się do nowo przybytych, mianowicie do Krajковского, z pytaniami któreby mogły zawstydzić najdowcipniejszą indagację.

— Co? jak? i dla czego? — występowało w coraz nowszych postaciach.

Lecz tym razem indagacja się nie powiodła. Krajkowski, który miał serce na dłoni a myśl na języku, tym razem był zakopertowany jakby list z pieniędzmi, które są jak wiemy największą tajemnicą na świecie.

Zbywał wszystkie odpowiedzi rubasznym uśmiechem i tylko w końcu poszedłszy za ladę do aptekarza, przemówił coś do niego po cichu. Musiało to coś być bardzo ciekawego, bo jak to wszyscy zauważali, ogromne uszy pana aptekarza aż zadrżały i poblądł mu nawet nos zwykle burakowy. Skończywszy przyłożył pan Krajkowski palec do ust i obróciwszy się do gości, wyrzekł z właściwą sobie uprzejmością.

— Wszakże i tak się dowiecie. A może też dla tego prędzej do mnie przyjdziecie. Im prędzej, tem lepiej; przed obiadem mozem się zdybać z kiełbasą, a i stoliki do wiska będą gotowe.

I wyszedł z synami i burmistrzem, który pod nadzwyczaj uroczystą miną starał się ukryć strach jaki go zbierał na myśl, że się przyjdzie tłumaczyć przed burmistrzową z czasu, przy śniadaniu straconego.

Po ich odejściu wszyscy obcesem się rzucili na aptekarza, lecz nadaremnie. Beczyński nie chcąc zdradzić pana komisarza, którego bardzo potrzebował, milczał uporcezywie, rzucił tylko wzrok pełen wymownych wymówek na kolegę aptekarza, który przecież dawniej wiedzieć musiał o tajemnicy i nic mu nie powiedział.

Rozeszli się tedy wszyscy, biegnąc co prędzej do domu, aby się ubrać i gonić na górę, zkad nęciła ich i kiełbasa, i wiseczek, i tajemnica, i znana nareszcie całym Nizyńcom starka.

Przejdźmy teraz na chwilę na drugą stronę, gdzie mieszkała aptekarzowa. Jej mieszkanie ubrane było z całym komfortem małomieszczańskim. Prócz gitary, tej konieczności małych miasteczek, był i gatunek fortepianu, była i serwantka z filiżankami i wielkim na samym wierzchu samowarem; była nawet na kanapie wielka poduszka haftowana, na której czekoladowy ułan po zielonym bujał przestworzu; a przed kanapą na okrągłym stoliku brązowy dzwo-

nek, którego wielkość i głos uzdalniały jeżeli nie do sygnaturki, to przynajmniej na ruskiego kafakoleczyka. Moglibyśmy coś jeszcze powiedzieć o woskowych owocach i wełnianych kwiatach na gzymsie kominkowym, ale nie chcemy nudzić czytelników naszych.

Towarzystwo pań Niżynieckich w wielkim było komplecie, wszystkie prawie zgromadzone były profanki, bo była i pani kasjerowa, i pani kontrolorowa, i pani profesorowa, i kilka asesorowych, i nawet pani rewizorowa, o której mówiono, że potrzebuje trzech najmniej godzin do ustrojenia się, i trzech najmniej łokci wstążki na przepaskę. Wszystkie mimo pory spóźnionej były jeszcze w negliżu. Gwar i pisk panował wielki, o czym gadały, trudno powiedzieć, bo same się nie rozumiały. Widać tylko było ważność tej sesji, po przyspieszonych ruchach z jakimi wszystkie biegały po dosyć sporej izbie, na salony przerobionej. To do okna biegały, jakby coś spodziedz spodziewały się, albo znowu przykładały ucho i oczy do drzwi, czy kto nie przychodzi przez korytarz, który obie strony domu dzielił i przez który szło się do tylnych mieszkań na dziedzińcu. Na wszystkich twarzach malowało się podziwienie i pomieszanie niejakie...

— Niema jej! niema! — woła po raz dziesiąty i jedna i druga.

— I nie była ani ona, ani nikt z góry! — dodała gospodyni, tupając małemi nóżkami, czyli raczej korkami, którymi starała się podwyższyć nieco.

— Możeś nie uważała moja droga — przemówiła piękna rewizorowa głosem trąby...

— Ja? nie uważała!... — odrzekła Klimunia stając na środku... — Alboż to ja która z tych pań, co to nie umieją dojść, gdzie ich mężowie chodzą?

— Mniejsza o nich — ozwały się niektóre z lekceważeniem.

Tylko kasjerowa i kontrolorowa spojrzały z pod oka i sumiasto na siebie, bo trzeba wiedzieć, że obie miały swoich mężów i siebie nawzajem w posądzeniu, i jak twierdzono dosyć głośno w Niżyńcach, obie miały słusność. Dla koniecznej zgody w kasie panowie kasjer i kontrolor patrzyli przez szpary, czyli raczej całkiem nie patrzyli na siebie, choć się nieraz do zamku na jednej zdybywali sięce.

— Ale czyż to może być?...

— Ja sama pojąć nie mogę.

— Przecież w starych sukniach nie będą.

— Znamy je wszystkie doskonale.

— W domu nie robią...

— Żadna igłą ruszyć nie umie.

— Może przecie w dawnych wystąpią...

— Ach!... gdyby!... — zawołały wszystkie z wyrazem niepodobnym do wyrażenia, i podniosły oczy w powagę, jak gdyby błagalne chciały wzniesć modły.

I każda by pewnie upadła na kolanka i gorącą antyfonkę zmó-

wiła, gdyby to mogło być prawdą, że panie ze dworu nie ustroją się w jakieś nowe, nikomu dotąd nieznanne stroje.

Oto też szło właśnie, że nikt w tej mierze nic nie wiedział.

— Czy tylko cię może twoja marszandka nie oszukuje, może ona robi coś potajemnie.

— Kto?... panna Lubina Wilus!... a choćby i chciała, przecież mieszka na moim dziedzińcu i od dwóch tygodni ja wiem każdą i każdego, który wszedł do niej, co przyniósł, a co wyniósł.

Nie wiem dla czego na te słowa uśmiechnęły się zgromadzone profanki.

Od czasu do czasu biegaly to jedna to druga, niedowierzając własnym oczom, to na korytarz, to na dziedziniec, to nawet do samej modniarki. A każda miała dobry pretekst, bo się tam kończył nie jeden jeszcze stroik, mający być wystawionym wieczorem na powszechną admirację.

— Poczekaj! ja teraz pójde! — mówiła gospodyni i zatrzymując drugie, sama najczęściej wybiegała na te wywiady. Przy każdej sposobności przyjaciółki spoglądały na siebie z pod oka. A nawet jak poszła, odzywały się chichoty, chusteczkami tłumione.

Dla czego? tego nie wiem; to wiem tylko, że ile razy przebiegła przez korytarz, każdym razem zatrzymywała się przy schodkach, prowadzących do onego belwederu, na strychu wystawionego. Zapewne jako dobra gospodyni chciała się przekonać, czy schody zamiecione i czy wszystko w porządku. Bo jużci warto dbać o takiego czynszownika, jakiego miała w osobie pana respicjenta.

Był to niedawno przybyły młody i wcale przystojny mężczyzna, pełen talentów, bo nawet czule bardzo dmuchał w czakan. Przytem wieść niosła, że jest bardzo dobrze urodzony, choć się nazywał Hektor Bums, i że miał mieć jakieś znaczne pieniądze w szparkasie, złożone przez jakiegoś tajemnego opiekuna. Płacił dobrze i był tak grzeczny dla gospodyni, tak bardzo grzeczny, że szanowna naczelniczka profanek chętnie byłaby otworzyła nową jakąś sektę browarniczą czy gorzelniczą, by mieć więcej do czynienia z panem respicjentem. Lecz i słońce ma plamy. Mimo całej grzeczności, mimo słów nieraz do niej wymówionych, pełnych głębokiego uczucia, mimo nawet jednej fantazji, którą raz z swej górnej altanki wydmuchał z akcentem tak wymownym, tenże sam pan Bums bywał grzeczny dla Piotruni, i miał dla niej i słówka i spojrzenia i czule podmucho czakanowe.

Raz nawet gdy stanąwszy przy schodach, przypadkiem zapewne głośniej korkiem swym stuknęła, pojawiła się na górze głowa z faworytami w aksamitnej czapce z kutasem i z po za drzwi wymknęła się ręka i pobiegła ku głowie, a potem od ust ku przebiegającej gospodyni wysłała pokłon, towarzyszony spojrzeniem ognistem ciemnego oka. Aż zadrzało czule serce Klimuni i zaczęła się nawet litować nad Piotrunią.

Biedna Klimuniu! coby się z tobą stało, gdyby ci kto teraz szepnął tę samą tajemnicę, którą właśnie w tej chwili Krajkowski szepnął twojemu mężowi.

Owoż gdy znowu po długiej i hałaśliwej zgromadzonych pań debacie, wyszła aptekarzowa na zwiady, z pewną dumą spojrziała ku schodom. Spojrzała i gdyby nie szcztotka do zamiatania w kącie stojąca, o którą się oparła, byłaby upadła niezawodnie!... Ależ bo rzecz okropna! niesłychana!...

Na drugim czy nawet trzecim już schodzie stała Piotrunia w własnej osobie i pan Bums w tej samej czapce z kutasem. I patrzyli na siebie tak jakoś poufale i tak bez najmniejszej żenady, że biedna Klimunia nie mogła powstrzymać wykrzyknienia, w którym się mieścił i cały jej żal i całe oburzenie...

Na to odwróciła się Piotrunia i nie tracąc fantazji bynajmniej, zawołała wesoło i z uśmiechem:

— A to ty Klimuniu!...

— To pani! — odpowiedziała Klimunia, przymuszając żywe swe oczy do jakiegoś suchedniowego spojrzenia.

— Do ciebie właśnie idę...

— Z góry!..

— A jużci z góry! od nas, ze dworu! — odrzekła śmiejąc się pustym śmiechem.

Klimunia miała prawdziwie ochotę od dawna niemianą, przezegnać się.

— No, do widzenia się!... — mówiła dalej Piotrunia, zwrócona do respicjenta, który także nie miał zupełnie miny pomieszanej. — Tylko prędzej!... prędzej!... bardzo proszę.

I dokończyła mowy takim samym pozdrowieniem, jakie Klimunię przed kwadranssem zdybało z wysokości belwederowej. Co by dała Klimunia za to, gdyby to można było wydrapać oczy!...

— A teraz biegnę do ciebie co prędzej, moja dobra Klimuniu, bo chciałam ci coś pokazać.

I teraz dopiero postrzegła Klimunia jakieś lekkie w pakach trzymane zawiniątko, z chusteczki białej zrobione.

Nowy przestrach!... bo doświadczone oko pani Beczyńskiej odgadło jakiś strój. Nie było wszakże czasu do zimnej rozważki, bo Piotrunia porwawszy Klimunię za rękę wpadła z nią jak bomba między zdziwione panie, które tego pojąć nie mogły, że w czasie gwarliwej ich narady, ta na którą czatowali, wpadła niepostrzeżona do domu.

— Dobrze, że tu was zastaję, które jesteście znawczynie — do dała zwrócona do drugich, lekkim je witając kiwnieniem.

Wszystkie ją otoczyły. Klimunia szła jak na stracenie, bo jej serce świeżą zdradą dotknięte, przeczuwało coś okropnego.

— Patrzcie! — mówiła Piotrunia i lekko a zgrabnie z chusteczki wydobyła czepek nowy, paradny, strojny.

— Ach! — wyleciało z wszystkich ust. W tem ach! było zarówno tyle bolu jak i podziwu.

Bo to był czepek, ale jaki czepek! Ja co tyle rzeczy umiem opisywać, nie zdołam opisać czepka: ale możecie mi państwo wierzyć na słowo, że to był czepek nad czepki, taki to tam był dobór i wstążek i tiulów i koronek... A krój!... a gust!...

Musiała to być cudowne wszystko razem, bo twarze pań patrzących wyglądały jakby po zażyciu niesmacznego lekarstwa.

— To ze Lwowa?

— Ze Lwowa! — mruknęły wszystkie przerażone, przypominając sobie swoje dzisiejsze stroje, przerabiane ze starych na wzory, które już dawno całą przebiegły okolicę.

— Tatko kochany sprowadził i dla mnie i dla siostr wszystkie stroje nowiuteńkie ze Lwowa.

— Ze Lwowa! — jęły w około grobowym głosem.

— Od Błotnickiej!

— Od Błotnickiej! — powtórzyły.

Cud to był wielki, że żadna nie zemdląła. Pokazały tym razem Nizyńczanki potężną siłę charakteru. Ale co się działo w ich sercach, to chyba opiszą ci mężowie tych pań, którzy mieli szczęście wpaść pierwsi pod oczy swoich połowic.

— Tatko niczego nie żałował na dzisiejszą uroczystość.

— Uroczystość? — krzyknęły wszystkie. To słowo zgalwanizowało w pół umarte.

— A prawda, że wy nic nie wiecie, moje kochane panie! — przemówiła Piotrunia. — Spieszcie się! spieszcie się! do widzenia się! — I roześmiawszy się głośno, zawinęła cudny czepek i znikła jak senna mara.

— Jak poczwara — mówiły wszystkie oczy patrzące na nią.

Snać niema w Nizyńcach uroczych oczów, bo Piotrunia byłaby padła trupem.

Milcząc zniosły Nizyńczanki cios tak srogi i nic do siebie nie przemówiwszy, bojąc się każda dotkliwego jeszcze w takiej chwili pożałowania, rozbiegły, by się prędzej postroić i pogonić na tę uroczystość, godną sukien i czepków z samego Lwowa, od samej pani Błotnickiej.

V.

Niespodzianki balowe.

Ledwie godzina minęła zaczęły się sypać ze wszystkich dworców roje gości i ciągnęli na górę. Pomału zapełniały się pokoje dworu Nizyńckiego. Dwór ten postawiony z początku na folwark, zwiększał się folwark, zwiększał się ciągle nowymi dobudowaniami, których niemało przybyło za terażniejszego komisarza. Zewnątrz też dla tego wyglądał wcale nie okazale, ale zato wewnątrz był obszerny, wygodny, a nawet umeblowany dosyć porządnie; mianowicie jedna jego strona, przeznaczona dla dziedzica na przypadek jego przybycia, umeblowana z gustem i zbytkiem nawet.

Dziedzic, który lubił pana Krajowskiego, pozwalał mu używać tego pomieszkania w razie większych zjazdów, to też gości naszych miasteczkowych widzimy zgromadzonych w tych pokojach, które za-

wsze wielkie robiły wrażenie na panach i paniach Niżynieckich, usiłujących małpować wytworne onych umeblowanie. Salon bawialny osobliwie, obszerny, z posadzką i aksamitem obite sprzęty, nateżał niepospolicie umysły nasładujących. I każdemu z nich zdawało się, że mniej więcej dobrze nasładował; parę tylko marmurowych głów i porcelanowych urn, były rozpaczą pań, że im były za drogie, a panom, bo ich małżonki nie mało im za to głowy nasuszyły. Ozdobne te i drogie sprzęty były wiecznym wyrzutem małżeństw Niżynieckich. A chociaż z tego powodu ciąglej dozwalali i doznawały zgryzoty, wszyscy cisnęli się chętnie do tego salonu, i mieli sobie za niepospolity zaszczyt i niemłą przyjemność, oglądać swoje świąteczne twarze i stroje w pysznych zwierciadłach, i podziwiać z nosami do góry wzniesionemi ogromną brązową żyrandolę, mnóstwem zwierciadełek błyszczący, lub oprzeć się o marmurową kolumnę i kapeluszać zasadzić, na który z biustów po kątach stojących.

Państwo Krajkowsy chcieli widocznie wystąpić dla tego, co wzbudzało rozmaite między gośćmi szept, na poły podziwiające, na poły krytykujące. To połowiczne uczucie jest podobno wspólne wszystkim na świecie gościom, czy się na nich wielkie miasto, czy małe zbiera miasteczko. Wystawa w przyjęciu aczkolwiek wielka, nie wytrzymałaby surowej krytyki: bo jak to zwykle bywa po takich wiejskich i małomiejskich balach, trafiały się rozmaite sprzeczności, sztukujące łójówkami stearynowe oświetlenie, lub zastępujące brakującą służbę parobkami, awansowanemi na lokai, lub nawet dziewczkami, uwijającemi się niezgrabnie ale z uśmiechem, z rozmaitemi przyborami po ślizkiej, często dla nich niebezpiecznej posadzce.

Lecz nie będziemy ich wymieniać, bo w całym tem przyjęciu widoczna gościnność serdeczna, ta gościnność, którą słusznie przez wieków wiele nazywano staropolską cnotą, i która przechodząc z pańskich pałaców i zamków do szlacheckich dworów i zaściankowych dworków, tak po mału znika, że ją już dziś rzadko zdybać, i te chyba w dworkach uboższej szlachty, u której stare przysłowie: czem bogat, tem rad, istotną jeszcze jest prawdą. Ale gdzie ją jeszcze zdybie, tam jest ona w całej swej okazałości, w całej szczerości szlacheckiej, która prawdziwie chwyta za serce, jeżeli się ma serce do takich blahych rzeczy. Jest w tej gościnności coś rzetelnie rzetownego, bo ona przypomina niepowrotną przeszłość, wraca nas nie tylko w dawne szlacheckie obyczaje, lecz sympatycznym węzłem choć na chwilę wiąże coraz więcej rozrywające się u nas ogniwa naszego rodzinnego społeczeństwa. Mimo krytyki złośliwej i trudniejszej do zbicia krytyki ekonomiczno-politycznej, jak tu mieć za złe poczciwemu szlachcicowi, jak tu się nie rozrzewnić, widząc jak on z serca, możnaby na prawdę powiedzieć, karmi i poi gości własną krwią.

Takiem było przyjęcie poczciwego Krajkowskiego. Wiele u niego bywało, piło jego zdrowie, żywiło się jego obiadami smaczniemi i rzęsystemi, a jakże mało z tych chce dziś o tem pamiętać. I czy kogo głowa zaboli, gdy mu przypadkiem przyjdzie na pamięć, że gdy powiał na niego los niefortunny: stary, owdowiały, pozbawion dzieci,

które rozbiegły się po szerokim świecie, nie mógł znaleźć przyjacielskiego kącika, by starą i znużoną głowę do ostatniego spokoju złożyć. Już to podobno taki los wszystkich poczciwych Krajkowskich, że umierają gdzieś w komornym, na bruku, zapomnieni jeżeli nie ogadani.

Lecz nie smućmy sobie wesołej chwili smutnem rozpamiętywaniem zwykłej doli ludzkiej. Dzisiaj u państwa Krajkowskich huczno i wesoło, dzisiaj wszystko idzie serdecznie z obojej strony. Cała liczna rodzina poczciwego komisarza była na usługi gości; córki i synowie uganiali to tu to tam, by wszystkim było dobrze i wesoło. Mówiłem już podobno, że sam był z mazurów, i cała jego rodzina miała jeden typ, prawdziwie mazurski, rubaszny, śmiejący się, tupający.

To też warto było widzieć, jak wszystkie panny, a było ich trzy na wydaniu tupały na wyścigach po woskowanej posadzce, potrącając się nieraz, przyczem i gościom się czasem dostało; ta po kluczyki do matki, tamta przemykając z jakimś półmiskiem zapomnianym, ta z ogromnym kielichem i większym jeszcze chlebem domowym, chlebem woniejącym, jak tego żadne dziś naśladowania ciastowe nie potrafią. A przebiegając żwawo i raźnie po sali, uśmiechem i spojrzeniem witały znane sobie twarze lub słowem ochoczem do mężczyzn rzuconem, dawały nadzieję wesołych tanów wieczornych, wybierając już naprzód wyrazistym wzrokiem miłszych tancerzy, tych do mazura, a i tamtych podobno do mazura, bo już to u Krajkowskich niema nad mazura. Ten jeden taniec jakoś im szedł od serca prosto w nogi; a inne, to dla tej mody przekłetej, która wszędzie się wsrubuje, i najpoczciwsze nogi polskie najnieznośniej przekręca do jakichś zamorskich tańców, które ni przypięć ni przylatać do naszych ruchów narodowych.

I pani Krajkowska sama nie dała się córkom wyścignąć w obowiązkach gościnnej gospodyni. Mówiliśmy już, że wyszła z domu najmłodszego i znakomitszego, i przyniosła w dom męzowski wychowanie więcej nieco pretensjonalne. To też jak dzisiaj tak i zawsze można było w niej dostrzedz jakieś lekkie popędy do pewnej ceremonialniejszej etykiety, wnet zahukane i zastukane przez rubasznych: męża, synów i córki. A choć czasem chciała na prawdę postawić przy swoich wyobrażeniach o pewnej towarzyskiej przyzwoitości, to syn się tak szczerze zaśmiał, ojciec tak z mazurska połajał, a córka tak głośno od serca pocałowała, że się w końcu sama uśmiechnęła, i do całorodzinnej rubaszności, nie cierpiącej żenady, skłaniała się. To też ktoby był dawniej znał pannę Henrykę, wchodzącą na pierwsze salony, nie byłby jej poznał dzisiaj. Jednem słowem choć na Rusi urodzona, stała się istną mazurką i nawet z mazurska zaciągała, z niemalą męża i dzieci pociechą.

Trudniejszą była dla niej przemiana wyobrażeń o domowej ekonomice. Obdarzona nie tylko sercem najpoczciwszem, ale i zdrowym rozsądkiem, chciałaby była koniecznie i gospodarstwo i domowe życie sprowadzić w jakiś ład; nieraz starała się zaprowadzić jakiś praktyczniejszy stosunek pomiędzy dochodami a wydatkami, przewidyując zły koniec tego wesołego życia bez myśli o jutrze. Gdzie tam!

próżne były jej usiłowania. Kassandrą była w rodzinie Krajzkowskich z swojemi przewidzeniami. A ład zaprowadzić z mężem, z dziećmi!. Jak kura co kaczęta wodzi, daremnie biegała za rozpierzchniętem statkiem. Albo porządek w wydatkach!. Jej perswazje mężowi czynione tyle właśnie pomagały, co by pomogła polska grobla, oceanowi na tamę postawiona. Krajzkowski zalał ją zawsze potopem mazurskich wykrzykników i przysłów, zahuczał śmiechem, zatumanił nowym nawiałem gości. Robiła więc co mogła, i jako gospodyni takiego domu prawdziwych cudów gospodarskich dokazywała, dostarczając jakoś drobiu i pieczywa takiej zgrai, wiecznie objadającej pana Krajzkowskiego. A po prawdzie i sama się zmieniła, o tyle przynajmniej że się do gości przyzwyczaiła, których gdy przybyli, karmiła aż do choroby; a jak ich nie było, to i jej zdało się, że czegoś brakuje w domu.

Nie będziemy szczegółowo rozpisywać się nad całą fetą, ani też wliczać ile było półmisków i jakie, ile butelek i jakie napitki. Już to rzeczywiście było najprzód śniadanie tak sute, że nietylko wszyscy goście mogli by się obejść bez obiadu, ale i drugie tyle nowoprzybyłych gości mogłoby się nie najeść do sytu, ale napchać do zbytku. Ani też myślimy przytaczać rozmowy, jakie się przed, w czasie śniadania i po niem toczyły.

Byłoby to zanadto trudne, niewdzięczne i nudne zadanie, przeliczać całą tę sieczkę nakrajaną przez tyle ust. Było tam o tem wszystkim, co nie jest czemś — ot plewa parowym młynkiem na wiatr puszczone! szukaj że tam ziarnka. A przytem schwytajże, choćbyś miał rozum tak elastyczny jak piłka, a słuch przenikliwszy niż u kreta, schwytaj te rozmówki najróżnorodniejsze, połączone jeno ogólnym wrzaskiem, a podzielone na wszystkie onego piskliwe nuty. Stenografem takiej być rozmowy, nawet stenograf parlamentu frankfurckiego był by nie potrafił. Łatwiej by przyszło sto listów dyktować razem, a nawet sto listów dyktowanych pisać razem.

Już to przed śniadaniem w całej fizjonomii towarzystwa przeważała niecierpliwość objedzenia się jak najprędszego; po śniadaniu zaś niecierpliwość dowiedzenia się o właściwym powodzie tej uroczystości, którego każdy się domyślał na inny sposób, jeden dziwniejszy od drugiego. Bo w te urodziny czy imieniny paui Krajzkowskiej nikt nie wierzył, przypominając sobie lata dawniejsze, a nawet niektórym zdawało się przypominać sobie, że ta solenizacja w innej zupełnie wypadła epoce.

To też po śniadaniu wszyscy byli jak na szpilkach. Nie uważając na higieniczne przepisy trawienia, kręcili się wszyscy z miejsca na miejsce, szperając po wszystkich kątach, czy gdzie ukrytej nie zwietrzą tajemnicy; co chwili podskakiwali wyciągając szyję ku oknu, czy ztamtąd tajemnica nie zawita jaka. Nareszcie niepokoila także nie pomału niebytność rodziny Wyżyńskich, których jak wiemy spodziewali się, i których radziby choć ujrzeć, by spożyć oczami, a słowami przetrawić. Że coś tam było, i jakoś się święciło, to nawet mieli może i słusność. Bo dla czegoż i sami Krajkowscy, a mianowicie on sam i znajoma nasza Piotrunia, która jako mężatka naj-

więcej się ruszała, dla czego tak widocznie się kręca, i do okna zachodzą, i synów na dziedziniec wysyłają, z dodatkiem córek, które na ochotnika z nimi wybiegają. Jedna tylko między niemi, najstarsza po Piotruni, Binia czyli Sabina, znana z swej pustoty i żywości, dziś właśnie najpoważniej się przechodzi z jakimś uroczystym wyrazem na twarzy jej niestosownym. I to nie bez kozery...

Coś zaturkotało. Jakby trzęsienie ziemi wszystkich podrzuciło i spędziło do okna. To ksiądz gwardjan, poznano go po jego krytej, żółto pomalowanej bryczce i po trzech źrebiętach, biejących za dwoma klaczami srokatemi przy bryczce.

A może i na niego czekają? ale dla czego?... jakby prądem elektrycznym przebiegło wszystkie spojrzenia.

Po przywitaniach i różnych grzecznościach jakoś się jeszcze nie kleiło. Pan Krajkowski jeszcze do okna zajrzał i tysiąc nacierał, co u niego było dowodem jakiegoś głębokiego namysłu. Tak minęło z pół godziny, przy ciągłym namłocie sieczki i plewy. Nagle odwrócił się pan Krajkowski, spojrzął na zegar, który w kącie na brązowym kole wskazywał czas ulatujący, krząknął i okiem rzucił na żonę. Pani Krajkowską, obejrawszy się jakby kogo szukała, wyszła z pokoju i po chwili...

Ciężka to była chwila dla towarzystwa Niżynieckiego; nie jedna sznurówka pękała od bijącego ciekawością serca.

Po chwili tedy wróciła prowadząc za sobą Binię, tak czerwoną, jak nigy nie była za pamięci Niżyńczanów, nawet gdy w piłkę z burmistrzównemi i kadetem grała na dziedzińcu u kontrolora przed półtora rokiem. Czerwona jak!... lecz jak mnie tak i wszystkim za-brakło porównania.

— Żle!... to coś będzie! — zadygotały serca.

I ni z tego ni z owego, przysunął się pomалу z środka mężczyzn, występujący poważnie, powolnie z bakenbartami jakby przylepionemi do twarzy, snać je długo z rana chusteczką obwiązywał. Kto?... wystąpił pan respecjent Hektor Bums, o którym nikt nie myślał.

— Zdrajca! — pomyślała aptekarzowa — nigdy tak wygłaskanych nie miał bakenbartów.

Nie dosyć na tem; ale i Piotrunia przysunęła się trzymając w rękę... Co to?... Dalibóg z tacką... Ale co na tacce, nikt jakoś dostrzedz nie mógł. Bodaj te głębokie tacki.

I przystąpił ojciec i przystąpił ksiądz gwardjan...

— Fe! to coś okropnego! — pomyślały wszystkie oczy.

Przemówił ojciec i spłakał się, ale zaraz potem śmiał się i jakimś mazurskim ruszył conceptem.

Matka nic nie przemówiła, ale się także spłakała, i nie prędko chłodny i grzeczny uśmiech rozweselił szczerze zasepioną twarz.

Przemówił ksiądz gwardjan, nie spłakał się, ale za to pobłogosławił tackę, czy to co było w tacce, i wyjął z niej...

To były po prostu zaręczyny panny Sabiny Krajkowskiej z panem Hektorem Bums.

— Na świętego Michała, taj po żniwach będziemy się weselili

— przemówił ojciec, w którego jednym oku była jeszcze łza ojcowska, gdy już drugie miało w sobie figlarnego djablika mazurskiego.

Aptekarzowa sama nie wiedziała, czy ma rozpaczać czy się cieszyć. Bums ją zdradził, ale nie dla exaptekarzowej przecie.

Zaręczony miał postawę spokojną, zimną i uroczystą, jak przystało na taką chwilę i takiego człowieka, który jest już i takim urzędnikiem, i pochodzi z rodu takiego, a ma przytem kilkanaście książeczek szparkasowych.

Panna zaręczona dziwnie jakoś wyglądała, nie było w jej oczach ni prawdziwej uciechy, ni prawdziwego rozczulenia, jakie w takiej chwili wypływa z kolizji uczuć tkliwych. To pewna, że nie była wesoła, nie tak smutkiem, ale raczej jakimś zamysleniem, zdającym się wraz z okiem biedz gdzieś dalej, gdzieśindziej. W jej oku w tej chwili ku oknu zwróconem był rodzaj tęsknoty, i nawet wraz z wzrokiem i myślą pomknęło lekkie westchnienie.

Ileż to razy w życiu ta trójca wybiegnie razem, nie zdybie się, i wróci łąz do oka, kamieniem na serce, kirem żaloby do głowy! Sama ani się domyślała o tem, że jeszcze nigdy w życiu tak piękną nie była, jak w tej chwili. Znikła rubaszna mazurka; stała natomiast dziewica opromieniona uczuciem, które raz choć w życiu każdą Galateę ożywić jest zdolne.

Nawet Niżynieckie panie to pojęły, i mimowolnie szeptały do siebie.

— Jaka piękna! nigdyśmy tego nie uważały.

Ale one przypisywały to wpływowi zaręczyn, które mają już coś w sobie wpływu dnia weselnego. I zamiężne westchnęły za tym dniem, który już nigdy nie wróci. A niezamiężne westchęły, aby ten dzień pożądaný jak najprędzej dla nich przyszedł.

Binia ani się domyślała o wrazeniu, jakie sprawia, ona się sama zapomniała.

— I ani razu nie popatrzyła na pana młodego! — ozwała się z chwilowego rozczulenia budząca się krytyka kobieca.

W oku matki było także podobne jak u córki zamyslenie, i jej oko z rodzajem tęsknego żalu patrzy przez okno gdzieś w dal, w przeszłość może, czy przyszłość! czy tam, gdzie nadzieje są zawiedzione, czy tam, gdzie się próżne roją nadzieje.

— Szkoda! — wymówiła matka półgłosem, i urwała.

To słowo jakby odkleło nieruchomą narzeczoną. Odwróciła się ku matce, jakby chciała mieć to słowo od niej wytłumaczone, i poniosła ku oczom chusteczkę. Do haftowanej chusteczki padł najczęstszy haft chustek ludzkich... łza!...

Znowu zaturkotało. Wszyscy pobiegli znowu do okna, i ujrzeli ładny wcale koczyk, zaprzężony dwoma starymi anglezami, które konesorzy Niżynieccy prawdziwymi anglikami być uznali.

— A to cała awantura! — mówiły usta i oczy przytomnych pań i panów, na widok wysiadającej z powozu rodziny Glinieckich w towarzystwie naszego Eugenjusza, któremu wyższe, estetyczne uczucie wystąpiło na twarz rumieńcem wstydu za towarzystwo, w jakie jak wiemy przymusem wlaź.

Gliniecki za to i obie panny promieniały dumą i nadzieją.

— Geniuszek! przecie! — zawołała cała rodzina Krajzkowskich.

— Mama nie przyjechała! — przemówiła pani Henryka do wchodzącego. — Szkoda! — dodała z wyrazem, który tłumaczył to słowo raz już wyrzeczone.

— Ojciec... — zaczął nie umiejący kłamać młodzieniec.

— Pewnie słaba! — zagadła prędko pani Krajzkowska, przez wzgląd na gości swoich, wyciągających ciekawe szyje i uszy.

— Szkoda! — powtórzyła jak echo panna narzeczona, i czerwienią jeszcze rumieniec okrasili dorodne jej lica.

Lecz to słowo w jej ustach inne miało znaczenie, głębsze daleko. Ona przypomniała sobie w tej chwili dawniejsze lata dzieciństwa i pierwszej młodości, tkwiące w jej sercu dziewiczym. Ileż to razy, gdy dorostkami bawili się z sobą, nazywano ich żartem mężem i żoną. W każdym żarcie połowa jest prawdy, i tak było w słowach rodziców, mianowicie matki, która małego Geniuszka serdecznie kochała i przeczuwała w nim wyższe usposobienie, czulsze serce. Ale w sercu Sabinki słowa te były zupełną prawdą; ona całym sercem przywiązała się do kuzynka, a mierząc jego przywiązanie swem własnem, nieraz słodkie roiła marzenia, niewyraźne, mgłą jeszcze pokryte, ale tak już lubę, tak mocno w serce wrośnięte, że od dnia do dnia oczekiwała jak w starych bajkach wracającego z wypraw ślicznego rycerza po jej serce i rękę. A ten rycerz marzony miał zawsze twarz drogiego kuzynka. Kiedy jej rodzice po raz pierwszy powiedzieli, że pan Hektor oświadczył się o nią, nie mogła wytrzymać, i:

— A Eugenjusz — wyrzekła.

Matka westchnęła tylko, a ojciec zaśmiał się i wylał w dodatku.

— Śmieszna dziewczka! — wyrzekł. — Na co nam tego, i hrabia i goły.

Kolej westchnienia przysłała na Sabinę. Ale w sercu młodemu nadzieja nie tak łatwo gaśnie, ona do ostatniej chwili marzyła o pięknym rycerzu, i mieniając pierścionki nawet spodziewała się, że przyjazd Eugenjusza wszystko przemieni. Dla tego nie popatrzyła nawet na narzeczonego, ale tęsknem okiem patrzyła przed siebie. Ładny rycerz nie przybył, zaręczyny zostały dokonane; marzenie rzeczywistością rozwiane, serdeczną lżą ściekło z oka; ból został w sercu, który wnet wyrugują z niego codzienne zajęcia i nowe obowiązki.

Ileż to takich niedokończonych powieści serca urywa się na zawsze w latach młodości. Zostaje tylko po nich wspomnienie, padające jak promień wiosennego słońca na ciężką tarczkę życia. I jeszcze mocniej zabolęło ją serce, gdy się zbliżył do niej Eugenjusz, na wstępie przez wszystkie głosy Krajzkowskich uwiadomiony o odbytych akcie, i szczerze jej winał..

— Ty mnie winał? — ledwie nie wyrzekła z wyrzutem słowami, co mówiły jej oczy.

Eugenjusz nie zrozumiał niemeo wyrzutu, bo on sercem i myślą był daleko; przy pięknej Hani. Witął się z całą rodziną najser-

deczniej, bo i on przypomniał sobie wesołe lata dziecinne, i własnym uczuciem odgadywał pocziwe serce Krajkowskich. Synowie i córki uściskali go najserdeczniej, zasypując go tysiącami, najprozaiczniejszymi pytaniami.

Eugenjusz oddał uściski, i na pytania odpowiadał najcierpliwiej, chociaż w głębi serca był niesmak. Zwykły to niesmak jaki wynika z uderzenia prozy o uczucie poety. Między nim a mówiącymi stanęła postać Hani, w całym uroku poezji, w jaką ją serce jego odziewało.

— Jaki on piękny! — mówiły panie Niżynieckie do siebie w półgłosem niby, ale tak niecichym, że się aż Piotrunia spoglądając na aptekarżową, stojącą z wlepionymi na Eugenjusza oczami, uśmiechnąć musiała.

— Ale zkąd on przyszedł do towarzystwa Glinieckich? — szeptały panie do siebie, mierząc pogardliwie stare perkalowe sukienki przybyłych panien.

— Hrabskie długi chce spłacić ekonomskimi pieniędzmi — powiedzieli mieszczanie z tą zwykłą im wszystkim niekonsekwencją. Demokraci dla wyższych, arystokraci dla niższych.

Gliniecki tymczasem rozdzielał ukłony na wszystkie boki, wywijając długimi u starego fraka połami; i rozpowiadał każdemu, że młody hrabia sam do niego przyjechał i zabrał z sobą do koczua. A panny Glinieckie wtórowały ojcu dygami, spoglądając ciągle na Eugenjusza, którego niemal już jak swoją własność uważały.

— Pan Eugenjusz rumieni się jak panienka — rzekła głośno śmiała Frania, mrugając na niego.

— Jak róża! — szepnęła Marysia, nie myśląc nawet o tem, że już ją poetyzowało budzące się w niej uczucie.

Ośmielona serdecznym witaniem Sabina, polykając żal, który zresztą nie mógł być gościem w sercu wesołej mazurki, zbliżyła się do niego.

— I któraż z nich podoba ci się lepiej? — spytała wskazując obie Glinieckie, przypatrujące się z upodobaniem w ogromnym lustrze swoim twarzom i szalikom.

— Mnie żadna!...

— Żadna ci się jeszcze nie podoba? — pytała dalej i serce jej zadrżało raz jeszcze.

Eugenjusz z razu nic nie odpowiedział, popatrzył tylko na nią wzrokiem zamysłonym.

— Tyś już szczęśliwa? — wyrzekł nareszcie.

— Szczęśliwa?...

— Kochasz i będziesz jego żoną!...

— On już kocha kogoś! — przemówiło w jej sercu dziewczęciem.

I jeszcze więcej się do niego zbliżyła, i ścisnęła mu rękę z szczerem współuczuciem. Ona mu w tej chwili przebaczyła cały zawód jej serca.

— Pan hrabia dobrodziej nie przypomina mnie sobie! — zagadł głos jakiś tuż nad uchem Eugenjusza.

Pan Szumski w czamarce stał przed nim, przybrawszy uroczystą minę i postawę, jakby protokół zaczynał...

— Nie, prawdziwie!

— Jestem Szumski! — odrzekł pan justycjarjusz głosem takim jakby mówił: jestem Napoleon. Milczenie Engenjusza biorąc za potwierdzenie, ciągnął dalej. — Bywałem w Niżyńcach, gdyś pan był jeszcze małym dzieckiem... Pozwoli pan! — dodał wziawszy za rękę zaambarasowanego młodzieńca, poprowadził wprost do swoich córek, które wraz z licznym gronem dziewcząt stały przy jednym oknie, poskubując rozstawione na niem kwiaty.

— Pan hrabia Eugenjusz Wyżyński... moje córki: Tekla i Barbaro Szumskie.

Eugenjusz ukłonił się ledwie wiedząc, czego chcą od niego. Panny dygnęły, patrząc w około, czy koleżanki widzą zaszczyt, jaki ich spotyka.

— Pan lubi kwiatki! — zagadła czempredzej Teklusia, bojąc się, by ładny hrabia nie wymknął się jej.

— Któżby nie lubił kwiatków! — odrzekł bez myśli, oglądając się za jakim zbawieniem...

— A jakie kwiatki pan lubi najwięcej? — pytała Basia.

— Byle nie w wazonach, które są dla nich więzieniem.

— Pan pewnie lubi goździki — wyrwała się Teklusia cała uradowana, że się jej udało wściubić taki dowcipny i zaczepny koncept.

— Goździki? — odrzekł Eugenjusz machinalnie nie rozumiejąc zapytania, i co prędzej odwrócił się do zbliżającego się Adasia.

— Przyznał się! przyznał! — mówiły siostry do siebie, klaszcząc w dłonie. — I uciekł! bo się wstydzi...

— Co szczebioczą moje rybeczki? — zagadł stary i trzęsący się głos Wiciewicza, ubranego w odwieczny frak bronzowy ze stalowymi guzikami.

Pan Wiciewicz bowiem stał już od chwili, otoczony młodemi dziewczętami, które nie zważając na wiek, brzydotę i okropny zapach tytoniowy, umizgały się do niego na piękne. Bo wieść nosiła, że mimo wieku i skapstwa Wiciewicz miałby ochotę ożenienia się jeszcze. Każda z przytomnych pańienek chętnieby poszła za niego. Mimo panińskiej przyjaźni, jaka łączyła panny Szumskie z kontrolówną i dwiema siostrami pani aptekarzowej, było nawet z tego powodu wielkie między nimi współzawodnictwo. Jedna drugą obmawiała przed Wiciewiczem, sadząc się na uśmiechy zalotne i słówka pełne dwuznacznej słodyczy.

— Jak pan słicznie wyglądasz!

— Pan codzień młodnieje! — mówiła druga.

— Z pana wielki bałamut! — mówiła trzecia.

— Czemu się pan nie żeni! — mówiła najodważniejsza kontrolówna, spuszczać wstydliwie piwne oczęta.

A każda marzy:

— Gdyby mnie wziął stary dziad! — wnetby umarł i zostawił mnie bogatą wdową. — Tobym używała, a przyjaciółki moje jakby mi zazdrościły!

— Czy stary Wiciewicz myślał kiedy o ożenieniu, i czy mógł nawet myśleć o nabyciu sprzętu tak kosztownego, jakim jest żona,

w to się wdawać nie myślimy, ale to pewna, że umizgał się na piękne. I drżącym głosem mówił do nich:

— Moje rybeczki! pomarańczki! moje koteczki!

I podnosząc swoją zatłuszczoną umbrelę pociesznie na nie siwemi oczkami swemi poglądał, cmokając językiem pokazując całe półtora zęba czarnego jakiego posiadał, a nawet nieraz pogłaskał po brodzie i licach zimną jak lód, a brzydką jak ziemia ręką.

Przed obiadem pozasiadali panowie do kart, to do wiska, to do preferansa i taroka. Uformował się nawet ówik, do którego należały prócz księdza gwardjana i milczącego jak grób poczmistrza, pani burmistrzowa i pani Szumska. Burmistrz chodził po pokoju nie grając, chociaż dusznieby zagrał; ale nie śmiał usiąść, czując za sobą świdrujące żoninych oczów spojrzenia.

Po długim oczekiwaniu, które zawdzięczało towarzystwo spitemu jak bela Bazylkowi, kucharzowi państwa Krajzkowskich, podano obiad, któryby się i do północy nie był pojawił, gdyby nie pomoc starego i sławnego na całą okolicę kucharza od Reformatów.

Długo jeszcze trwało zanim usiedli wszyscy do stołu. Bo też nie mała była sztuka, usadowić wszystkie te małomiejskie pretensje, które, jakkolwiek małomieszczanie drwią niby z ceremonij, nazywając je arystokracją, nigdzie tak nie są wielkie jak w małych miasteczkach. Pocciwy mazur Krajkowski pędził gości jak trzodę przed sobą, naganiając, by siadali.

— No! ta przestańcie się ceremoniować. Co tam przyjdzie z tych ceregielów. Wa! ta bo one was nie nasycą! — Daremne było gadanie, bo wszyscy się popychali, by jedna drugą mogła wyprzedzić, wszyscy się przepaszali, ale nikt nie siadał, tylko patrzali się nawzajem, do którego kto zmierzał miejsca. Pani Krajkowska znając ten narów swoich gości, biegła pomiędzy nich, i z niemalym potem i nateżeniem umysłu wyciągała po jednym i własną sadowiła ręką. Nareszcie się to jej udało, o tyle przynajmniej, o ile się to kiedyś udać mogło. Bo zupełnie zadowolnić było niepodobienstwem. Były kwestje tak zawile, że je najdzielniejszy dyplomata nie byłby rostrzygnął. Najtrudniejszą była odwieczna walka, kilka już pokoleń trwająca między kasjerową i kontrolorową, które obie rościły sobie pierwszeństwo.

— Mój mąż kontroluje kasjera! — mówiła jedna.

— Memu mężowi kasę powierzają, a kontrolorowi tylko papiery.

Nie wiem, czy to wielkie pytanie Niżynieckie do dzisiaj zostało rozstrzygnięte.

Obiad był prawdziwie homeryczny, bo by homerowych nasycił bohaterów. Pito też niepospolicie. Zdrowia tylko, ta konieczność obiadów szlacheckich, nie szły w należyтым porządku, bo pocciwy mazur, który nie siedząc sam przy stole, chodził ciągle w około stołu, nie chciał łamać sobie głowy nad wynajdowaniem coraz nowych toastów, dolewał ciągle i ciągle do picia naganiał, czy z toastem czy bez toastu. W końcu obiadu ozwała się muzyka z sali bawiałnej, gdzie przez ten czas sprzątniono do tańców. Młodzieży Niżynieckiej zdarzały skore do tańca nogi, i przy nucie poloneza powstali wszyscy

od stołu. Łącząc się w pary, jak komu przypadło, weszli wszyscy do sali balowej.

Eugenjusz, którego pilnowała rodzina Glinieckich, mimo największej ochoty nie mógł się wymknąć i w drugiej czy trzeciej parze musiał wystąpić z żwawą Franią, która sama porwała go za rękę. A co gorzej, gdy wkrótce zagrano mazura, wmówiła w niego, że ją zamówił, i mimo całej niechęci musiał przewodniczyć mazurówemu kołu. Niemate to było dla niego zadanie, bo nie lubiąc tańca, nie wiele rozumiał się na figurach, w których i tancerka jego, choć wychowana jak ojciec twierdził na pensyi, nie bardzo była doświadczona. Wynikały ztąd rozmaite zamieszania, ale że była szczerą ochotą, tańczono mazura w par kilkanaście ze dwie godzin, nie tyle w takt, ile głośno i wrzaskliwie.

Po mazurze pani aptekarzowa na wspólnkę z panią rewizorową zaimprovizowały francuzkiego kontradansa, który czy szedł po francuzku, trudno było zawyrokować, ale że był bez taktu i gracyi, za to zaręczyć było można.

Na wielkim czy na małym świecie, mniej czy więcej idzie gładko, nie jest to taniec nasz; niestosowny do przyzwyczajen narodowych, których trudno się zaprzeć czy w mowie czy w kroku, wydaje się on zawsze niezgrabnem małpowaniem. Ale cóż robić z modą, dla której małowieszczanie przepadają więcej jeszcze od wielkomieszczanów. Kawaler czy panna wróciwszy z takiego balu na wsi, w miasteczku zapytani bywają zwykle:

— Czy tańczyliście wiele? — nie odpowiedzą inaczej, jeno:

— Tańczyliśmy tyle a tyle kontradansów.

Mniemają bowiem, że to im daje patent na ludzi modnych i światowych.

Na szczęście muzyki, złożonej z żydków Niżynieckich, którzy walili kontradansa w takt ale pewnie nie francuzki, i tańczących, którzy wszyscy naigrawając się z siebie nawzajem, mylili się najnieznośniej, cała rodzina mazurska nadto była przywiązana do rodowitego tańca, aby dała często powtarzać nieswojskiego kadryla.

Kilku mężczyzn z cyrkularnego przybytych miasteczka zażądało od muzyki polki tremblent. Ale zaledwie dwie pary wysinęło się na salę i poczęły swe pocieszne, a wielce nieprzyzwoite wyprawiać podrygi, poczeiwa pani Krajkowska wpadła pomiędzy nich i rozgniewana prawie, lecz zawsze grzecznie odezwała się do tańczących:

— Moi państwo, już to w moim domu nie tańczcie tej polki tremblent. Żadnej z moich córek jabym nigdy jej tańczyć nie pozwoliła.

— Dajcie pokój temu karczemnemu tańcowi! — krzyczał pan Krajkowski, biegając w około z kieliszkiem i butelką.

— Dobrze papa mówi! — krzyczały córki.

— Mazur! mazur! — powtarzali grzeczni kawalerowie.

I mazur brał górę. Eugenjusz był bohaterem tego dnia, bo go sobie panie i panny z rąk do rąk wrywały.

— Kuzynku! a zemną!.. — krzyczała mu do ucha panna narzeczona i jej siostry.

Eugenjusz choć ciągle rozerwany myślą i jak się zdawało zamysłony aż do niezgrabności, z której wszyscy się śmiali, w końcu sam się rozochocił. Bo nasz rażny mazur ma to w sobie, czy w nucie rodzinnej, czy w porywającej skoczności, że w końcu najobojętniejszego rozpali i odurzy. A cóż dopiero gdy ucieli krakowiaka. Choćbyś ołów miał w nogach, to musisz podskoczyć.

Krakowiak dla nas to jakby ów taniec szwajcarski, który porywa duszę i unosi w lube sercu okolice, w lube sercu wspomnienia. Krakowiak przypomni ci i chatkę rodzinną, i lubą matkę, i siostry drogie, i wiosnę życia, i wiosniane marzenia; wszystko ci przypomni, coś kiedykolwiek czuł i dumiał, rozczuli serce, rozteśkni duszę, umysł nawet uniesie tą nutą tak dobrze nam znaną.

Bo krakowiak to nie taniec konwencjonalny, nie śpiewka, chwilowej uludy dziecko — to pieśń ludowa, która gra ci zdaje się od kolełki aż do trumny, przywiązaniem ziemi rodzinnej.

Jakże się też oprzeć tej nucie. W najprozaiczniejszym człowieku rozbudzi się choćby iskra poezji. Eugenjusz z Sabinką szli na przedzie, i zwrotki na przedce klejono, składały się same słowa, w których łączyły się obojga myśli. U niej tęsknota za przeszłością, za swobodą młodzieńczą, której dziś dzień ostatni przemija. U niego pragnienie tej przyszłości, ku której bieży serce młodzieńca tchnieniem poezji i biegiem młodej krwi rozpalone.

Nadaremnie pan Hektor Bums przeciągał twarz, wykrzywił oczy, głośkał faworyty, i z uśmiechem pogardliwym patrzył za kręcącymi się parami.

Nuta skoczego krakowiaka wszystkich mocno upoiła, wszystkich porwała w jakiś wir szalony. Bo czy to w wielkim czy małym mieście, na tę nutę ozwał się serca wszystkie.

Zmęczenie przerwało krakowiaka. Nastąpiła chwila przestanku, chwila milczenia, nagle przerwana głośnym łoskotem burzy, która zawyła na dworze. Światła ogromnej żyrandoli pobladły przy blasku łysekawic; muzyka zamilkła grzmotami zagłuszona. Była krótka chwila powszechnego przest్రachu.

— Niech żyje młoda para! muzyka graj! — zakrzyczał gospodarz pojawiający się w sam czas z ogromnym kielichem.

Nadaremnie uderzył gdzieś niedaleko piorun; nadaremnie błyskawica przemknęła przeraźliwym światłem przez wszystkie okna sali balowej.

— Niech żyje młoda para! — krzyknęły ochoczo wszystkie usta.

A basetlista całej użył sztuki i całej umiejętności swojej, by chrapliwym i huczącym tonem przedrzyźniać się grzmotom huczącej na dworze burzy.

Pan Hektor wyszedł na środek, aby podziękować; i zabierał się coś pięknego zapewne powiedzieć. Wszyscy nadstawili uszu, nadstawiając zarazem kielichy, bo pan narzeczony uchodził w Niżyńcach za mowcę niepospolitego.

I szkoda, wielka szkoda, że nic nie powiedział. Ale inaczej

zradziła fatalność dnia tego. W tej samej chwili ozwał się jakiś głos piskliwy i chrapliwy, a nie mniej przeto donośny.

— Ratujcie!..

I wbiegła do pokoju jakaś kobieta stara, brzydka, w brudnem i ubogiem odzieniu. Z pod chustki kraciastej, którą głowa była obwiązana, dobywały się siwe włosy, rozwiane w nieładzie nie zupełnie estetycznym.

Na jej widok, jak na widok ducha jakiego, zadziwienie i przerażenie rozbiegło się po wszystkich twarzach.

— A to co? — pisnęły kobiety i powtórzyli mężczyźni, którym wszystkim prawie kobieta ta była nieznaną.

Eksburmistrz Wiciewicz, który właśnie rozmyślał, czy czekać jeszcze na kolacją, czy dokonać zamiaru, jaki był sobie na dzisiejszą noc ułożył, skoczył jak oparzony. On jeden znał ją doskonale.

— Doktora! — wołała kobieta.

Przytomni lekarze, a było ich trzech czy czterech, wyskoczyli naprzód!..

— Do kogo? — zawołało kilka osób przytomniejszych.

— Kona!.. — wołała dalej kobieta.

— Kto taki? — ozwało się jeszcze więcej głosów.

— Otruty!.. ratujcie! — krzyczała kobieta.

— Otruty! — wybiegło ze wszystkich ust prawie. Przeważenie ogólne przybierało kolosalne rozmiary.

— Kto taki? — powstał wrzask powszechny...

— Otruł go! otruł bez miłosierdzia! — jęczała kobieta — ale ja się zemszczę!..

— Kto otruty?..

— Kto otruł? — pytali na wyścigi.

Burmistrz wystąpił naprzód, po raz pierwszy może nie poradziwszy się wzroku żony.

— Może tu jest doktor! bo w mieście żadnego nie znalazłam, — mówiła kobieta coraz płacziwszym głosem.

— Ależ do kogo? pytał pan Februar, wyprzedzając kolegów, i już miał kapelusz w ręku....

— Kto otruty? mówże na miłość Boga! — wołał poczciwy Krajkowski...

— Mój stary! mój poczciwy!.. nikomu nic złego w życiu nie zrobił... mój kot!..

W pierwszej chwili przemogło jeszcze powszechne osłupienie. Raptem przerwał milczenie śmiech powszechny, śmiech szalony. Nikt do słowa przyjść nie mógł, bo się wszyscy śmiali. A gdy już przemówić mogli, najpocieszniesze zamieszanie panowało na sali.

Stara Marta, którą zapewne czytelnicy moi dawno już poznali, patrzyła na śmiejących się z wyrazem oburzenia, niepodobnym do oddania. Bo dla niej otrucie kota, jedynego przyjaciela, jakiego miała, jedynego towarzysza od lat tylu, który wraz z nią tyle przeżył nędzy i biedy, który jeden łąsił się koło niej i nie opuścił nigdy, dla Marty był to cios prawdziwy. Komiczność położenia dla niej nie mogła być zrozumianą, bo żal jej był słuszny.

— Ten go otrul!... ten niegodziwiec! — mówiła kobieta, suchym palcem wskazując jeden kąt pokoju.

Wszyscy się rozstąpili i spojrzeli w kąt wskazany. Lecz tam nikogo nie było. Przed chwilą jeszcze drzemał w tym kącie stary Wiciewicz, lecz w czasie zamieszania i śmiechu wyniósł się niepostrzeżony.

Burza tymczasem wścieklej jeszcze zawrzała na dworze. Stuk piorunu rozległ się po sali, towarzyszony łyskawicą długą, przeciągłą.

— Wszelki duch pana Boga chwali! — zawołała Sabinka, stojąca z kuzynkiem Eugenjuszem niedaleko okna. — Ktoś stoi koło okna!... Patrz co to za twarz okropna!

Eugenjusz spojrział za jej palcem i wzrokiem, i w rzeczy samej ujrzał jakąś twarz. Lecz czy istotnie nie była tak okropną, jak się pannie Sabinie przy oświeceniu łyskawicy wydała, czy jako mężczyzna nie był tak wrażliwy, Eugenjusz uśmiechnął się tylko.

— Niema czego się bać, — wyrzekł. I uśmiech ust przeszedł mu do oczów, które zalsniały dziwnym jakimś wyrazem.

I Sabinka ocknęła się z chwilowego przestraschu, i zaczęła się śmiać. I chciała coś znowu przemówić do kuzynka, lecz już go nie było przy niej.

Tymczasem po długich śmiechach, krzykach i zapytaniach rzecz o otrutym kocie wyjaśniła się. Marta ze łzami w oczach rozповідаła, jak nagle kot spoczywający u niej na kolanach, zaczął wic się i kręcić, i ze łzami w oczach a łkaniem na starych trzęsących się ustach błagała lekarzy, by go szli ratować.

Serdeczne jej tzy i błaganie nie nie pomogły. Nowy tylko powstał śmiech, i ledwie ją namówiono, aby wróciła do domu, a może tymczasem jej ulubieniec ozdrowieje.

— Może się objadł! — ozwał się doktor Februar z śmiechem szyderyczym.

— Objadł się! — odrzekła Marta. — Objadł się! — powtórzyła z wyrazem, który mimo całej komiczności tej sceny był prawdziwie tragicznym.

Biedna Marta zrozumiawszy, że nie znajdzie ratunku pomiędzy ludźmi nieczującymi jej smutku, pobiegła do domu. Biedna staruszka modliła się z całą szczerością, aby kota zdrowego zastała. Wszakże to jej cała pociecha. Dochodząc do domu, zajrzała, jak się mignął tuż koło niej jakiś wózek, który zdawał się jechać w dół od dworka Wiciewicza.

— Co to wam Marto? — zapytał ją głos jakiś.

— Co mnie jest? — odpowiedziała z zadziwieniem, że ją kto jeszcze może pytać o to.

I chciała już przejść koło naszego znajomego pana Srula Feigele, który nie zważając na burzę, stał niedaleko wrót Wiciewicza.

— I gdzież to wasz pan tak późno pojechał? — pytał żyd dalej.

— To on pojechał? — odpowiedziała Marta.

— A ktoż inny? ja sam widziałem.

— Gdzie pojechał ten niegodziwiec? Gdzie? pieniądze zakopywać.

— Zakopywać... a gdzie?...

— A gdzież indziej, jeżeli nie w swojej pasiece — odrzekła szybko i wbiegła do domu.

Biedna Marta! Kota zastała już nieżywego.

Wicewicz popędził tymczasem konika i gonił ku znanej nam pasiece. Dla ciągłej jeszcze, choć oddalającej się aż ku góróm burzy, nie widział, że o kilkadziesiąt kroków za nim jechał wóz prosty, w którym siedziało dwóch mężczyzn.

W sali balowej przez ten czas nowe powstało zamieszanie, przybierając tym razem na prawdę coraz tragiczniejszą postawę.

Po wyjściu Marty zagrano na nowo mazura, którym nikt się tak nie cieszył, jak Marysia Gliniecka. Mimo całej nieśmiałości swojej, póty się kręciła koło Eugenjusza, póty przemawiała, póki Eugenjusz nie zamówił do tego mazura.

Uradowana dziewczyna za pierwszym uderzeniem smyczka biegnie do tworzącego się koła, szuka oczami, ale tancerza niema. Wybiegła do drugiego pokoju i tam go niema. W najwyższej rozpacz, bo słyszy już tupot tańczących, szuka po całym domu, lecz nadaremnie. Wraca do sali znowu.

— Gdzie pan Eugenjusz? — pyta, kogo złapie.

Z początku nie wiele na to uważano; lecz w końcu przedłużona niebytność pierwszego gościa balowego uderzyła wszystkich.

— Gdzie jest pan Eugenjusz? — ozwały się głosy w kole mazurówem i po za kołem.

— Musiał się wynieść cichaczem! — rzekł Hektor.

— To być nie może! — odrzekła Sabinka. — Byłby się przecie ze mną pożegnał.

Zadziwienie powszechne wzmagalo się; przerwano mazura. Młodzi Krajkowski wybiegli na dziedziniec, do stajni. Anglezy stały spokojnie przy gościnnym żłobie, a furman najedzony drzemał w czeładnej izbie.

— To coś dziwnego! — mówili wszyscy.

Kwerenda zaczęła się na wielką stopę. Szukano po wszystkich kątach możliwych i niemożliwych. Nadaremnie. Zadziwienie zmieniło się w przestרח. Najdziwniejsze krzyżowały się domysły, przybierające co chwila barwy coraz ciemniejsze, do których Sabina dodała jeszcze widzenie swoje w oknie jakiejś twarzy okropnej, która wyrosła w mgnieniu oka w jakąś powieść straszną, tragiczną, niezrozumianą, ale tłumaczoną na wszystkie najdziwniejsze, najmniej prawdopodobne sposoby.

Bal się przerwał. Krajkowski w nocy jeszcze poleciał do Wyżyniec. Lecz i tam go nie było. Prostuduszny mazur nie umiał ukryć przestרחu swego, ani też zataić powodu, dla którego przyjechał do domu, rzadko przez się odwiedzanego.

Łatwo pojąć przerażenie, jakie powstało w Wyżyncach.

Ojciec najmniej rozpaczał, ale przecież był pomieszany, nie jako ojciec Eugenjusza, ale jako ojciec ostatniego Wyżynskiego.

— Jakiś romansik! — wyrzekł wreszcie, patrząc się w zwier-

wiadło. — Zwyczajnie młody! — I uśmiechnął się uśmiechem arcydyplomatycznym.

— Może pojedynek! — zagadł major. — Ale byłby przecie mnie się zwierzył!

— Romans!... pojedynek!... — powtarzała matka, zalamując ręce i bliska zemdlenia. Ona ledwie rozumiała, co w koło niej mówiono. — Nie! nie! — mówiła dalej. — Nie! to coś innego, coś okropnego. Boże mój! Boże... Ja zawsze przeczuwałam... Ja zawsze patrzyłam na niego... jak nie na swego... Moje przeczucia!... moje sny!...

I padła zemdlona.

Noc przeszła i drugi dzień przeminął. Eugenjusz znikł bez wieści.

Co się działo w Niżyncach, tego na wołowej skórce nie spisać. Wszyscy biegali z domu do domu, a wszyscy z nowinami. Każdy coś powiedział, coś zastyszał, czegoś się domyślał, a wszystko razem najmniejszego nie miało podobieństwa. W aptece był przez cały dzień walny sejm. Nic na nim nie uradzono, ale za to wypito, co tylko było piotunu u pana Beczyńskiego, pod wieczór wzięto się już do kropel hofmańskich.

VI.

Walne zgromadzenie.

Przeniesiemy się teraz do znajomej już nam góry z Monasterem. Po za tą płytą właśnie, na której widzieliśmy piękną Hanię, szła z dołu ścieżka, która kręcąc się jakby waż jak i w koło góry, zachodziła do wszystkich niemal chatek wiejskich, ukrytych w cieniu sadów i bujnej leszczyny. Po jednej stronie cała góra kończyła się przepaścisto, a nad urwiskiem, na samej górze był monaster, trzema szerokimi kopułami świecący, a niżej ku przepaści ciągnął się jakby nad przepaścią zawieszony lasek świerkowy. W nim to niedaleko od siebie, a oddzielone od innych stały dwie chaty tak okryte, tak odosobnione od innych pomieszkań ludzkich, że mogły uchodzić za pomieszkania samotników. Jedna z tych chat wyglądała nieco na dworek, bo przynajmniej miała komin murowany i porządniejsze nieco podwórko, w niej mieszkał Goździkiewicz, o którym choć go jeszcze osobiście nie poznaliśmy wiemy, że był ekonomem u hrabiego Wyżyńskiego.

Druga chata prawdziwa, choć w całym jej składzie powierzchownym i w czystym obieleniu znać było wieśniaczy dostatek, stała nad samem prawie urwiskiem, ale o dwa kroki trudno ją było zobaczyć, tak była otoczona sterczącymi tu i ówdzie skałami i gęstszym w tem miejscu laskiem. Zostawiwszy dworek na później, wejdziemy naprzód do tej chaty. We środku było niby jak w każdej chatce,

a przecież znać było różnicę, uderzającą każdego wchodzącego. Nie było bowiem tej sionki, która jest koniecznością każdej chaty, bo pomieszaniem jest drobiu i prosiątek. Wchodziło się wprost do izby, która zabierając większą chaty połowę, była nadzwyczaj wielka i obszerna. Sprząty były jak zwyczajnie w chacie wieśniaczej, proste i wcale niewykwintne.

Jedynym zbytkiem było mnóstwo obrazków świętych w ramach i bez ram, które zapełniały prawie wszystkie ściany. Najglówniejszą między niemi rolę grał obraz panny najświętszej, dobrze zakopcony, przed którym gorzała co soboty łójówka, w żelazny świecznik włożona i drugi obrazek ogromnie jaskrawy, który przedstawiał ś. Onufrego, jednego z świętych najwięcej szanowanego przez OO. Bazylianów, do których ta góra i ten monasterek należał. Po ścianach i na powale zawieszono były rozmaite kwiaty i zioła zasuszone, które jako poświęcone strzedz miały chatę on wszystkich czarów i złych duchów. W kącie stał tapczan nadzwyczaj szeroki, zasłany stomą i wielką weretą płócienną pokryty. Koło ścian stały ławy, a przed jedną z nich długi stół drewniany, którego jeden róg przykrywał biały, lniany ręcznik z czerwonymi szlakami. Na nim stała ogromna faszka z zielonego szkła, napełniona wódką i także sama szklanka zastępująca miejsce kieliszka. Tuż obok leżał bochenek chleba razowego, którego wielkości dobre dawała świadectwo o objętości piekarskiego pieca, występującego szeroko i buchasto z najbliższego drzwiom kąta izby. Przy chlebie stała stłuczona jakaś miseczka gliniana z solą.

Był to wieczór tego samego dnia, w którym odbywał się bal w Nizyńcach. Za stołem przy rogu nakrytym siedział ów starzec, którego raz już postrzegliśmy, gdy na kamiennej płycie stanął przy pięknej Hani. Z twarzą na jednym ręku opartą siedział starzec sam jeden w chacie i zdawał się być głęboko zadumany. Do tego wyrazu przykładała się najwięcej nieruchomość oczów, które jasne i szeroko rozwarte, zdawały się nigdy nie ruszać, nigdy wyrazu nie zmieniać, zawsze w jednó spoglądać miejsce.

Był oto ów Wasyl, znany w całej okolicy jako król dziadów. Ślepy był i jak wieść okoliczna niosła, ślepy być musiał, aby ten szczególnie urząd króla dziadów, urząd dziedziczny, z ojca na syna przechodzący, mógł piastować. Zanim uzyskał koronę dziadowską, musiał postradać wzrok, ten najdroższy życia skarb. Dziwny to ludziom każdego stanu właściwy popęd do wyższości, do zwierzchnictwa nad drugimi. Wzrok tracić samowolnie, czasem w kwiecie wieku jeszcze, kiedy wszystko co w oczy wpada jest tak pełne uroku, tak nęcące, aby zostać niczem innem jeno żebrakiem, kaleką, ale najstarszym między żebrakami i kalekami! a przecież znalazł się ojciec, znalazła matka, którzy doradzili synowi, a może nawet własnymi rękami do takiego pomagali kalectwa; znalazł się syn, który takie kalectwo dobrowolnie przyjmował z rąk rodziców na resztę życia, jakby nieochybne przeznaczenie jakie. Niemało zapewne przykładała się do tego w takiej rodzinie ta prostemu naszemu ludowi właściwa wiara przesądna w przeznaczenie. Syn króla dziadów od małego dziecka przyzwyczajał się do tej myśli, że musi zostać

ślepy. Slepota była mu błogosławieństwem i spuścizną razem po rodzicach!...

Takim sposobem i Wasyl został po ojcu królem dziadów i dziwny ten urząd piastował od lat niepamiętnych. Mało kto bowiem z okolicy pamiętał starego Wasyla inaczej, jak starym już. Wszakże on dwa już własne pokolenia pochował: synów i córki, wnuków i wnuczki. A sam żył jeszcze, choć siwy jak gołąb, ale czerstwy jeszcze i zdrowy, jak ów dąb stary, co czasem w starym przetrzebionym lesie pozostanie sam jeden, otoczony młodemi drzewkami ledwie dorastającymi do jego pierwszych konarów. Suchy, wysoki, barczysty i trzymający się prosto, zdawał się składać z samych żył i kości. Jak się przed wiekiem późnym nie schylił kark jego, tak też i późna starość nie zdołała ugiąć silnego i energicznego usposobienia jego, które dotąd pomimo oczów nieruchomych malowało się widocznie na twarzy jego. Była to twarz z niestartymi śladami dawnej urody, której siwe, długie włosy i także sama broda, nadawały wyższego wyrazu pewnej szlachetności, u ludzi z ludu rzadko zdybywanej. Szczególny to był wyraz powagi, surowości i tej zdaje się pewnej siebie wyższości, która niczem nie da się złamać, żadnem zaprzeczeniem nie da się poniżyć.

Pomagała mu do tego ślepota, która mimowolnie wzbudza poszanowanie, mianowicie przy włosach siwych. Pomagał w tem i sam sobie, przybierając na wszystkie co mu mówiono, postawę obojętną, którą często zdybać można pomiędzy naszymi wieśniakami. Jest to ich polityka, by się nie zdradzić z niewiadomością, jest to ich także broń odporna, którą jedynie wolno im walczyć; broń koniecznej rezygnacji, skutkiem zapewne długowiekowej niewoli nabrana.

Chociaż nieraz i z różnych stron nagabywany, umiał się Wasyl utrzymać przy swej szczególnej posiadzie, a nawet przy pewnej więtości, jaką miał w okolicy między wyższymi od siebie. Było li to skutkiem długiego życia, które mu większe od drugich dało doświadczenie czy może życie samotne i ciągle rozmyślanie ztąd wynikłe wykształciło jego umysł, to pewna, że ktokolwiek z nim rozmawiał, musiał mu przyznać szczególny rozsądek i bystrość pojęcia w rzeczach takich nawet, które zdaje się koniecznie pomocy wzroku potrzebują. Ekonomowie z sąsiedztwa, mali dzierżawcy, ubożsi mieszczanie z bliskich miasteczek, a nawet niektórzy z księży okolicznych lubili z nim rozmawiać, a nawet czasem zasięgali rad jego w rzeczach dotyczących się gospodarki, lub tak ważnych przy niej zmian powietrza, które przewidywał z szczególnym instynktem. Z tego też poszło, że mimo wyjątkowego swego położenia, mimo ogromnej władzy jaką wywierał na wielkiej liczbie podwładnych sobie żebraków, mimo niczem nieuprawnionej tej posady swojej, mogącej dawać, i w rzeczy samej dającej nieraz pochop do niejednego nadużycia, dano mu w końcu zupełny spokój, na który zresztą sam osobiście zasługiwał, bo prócz pobożności niezwykłej, był szczególnie uczynny, gościnnie w swojej chacie a przytem podwładnych swoich o ile mógł w klubach utrzymywał. Jemu samemu nigdy nie zarzucić nie można było w jego wszystkich z drugimi ludźmi stosunkach.

Łatwo pojąć jakie wrażenie robił na prostym ludzie, który go i szanował i bał się razem. Widząc go tak starym i tak dzielnym umysłowo, prosty lud przypisywał to władzom nadprzyrodzonym. Wieśniacy w okolicy całej wierzyli w to święcie, że on ma jakąś wyższą i tajemną władzę, w której osądzenie nie śmieli się wdawać. To pewna że starego Wasyla żadenby z wieśniaków nie śmiał urazić a tem więcej zrobić mu jaką krzywdę, tak łatwą zdaje się z człowiekiem ciemnym, który zawsze prawie sam jeden w chacie siedział.

— Ba! on ciemny!... ale on lepiej widzi od takich co mają obie oczy.

W dowód czego rozpowiadali tysiące zdarzeń, w których objawiło się to jego cudowne widzenie. Władza nawet ciemnym zwykle właściwa, poznanie drugich po głosie, po stapaniu, po ruchu najmniejszym, u prostego ludu nabrała coś cudownego. Rzeczywiście władza ta i połączony z nią instykt dochodziły u niego do stopnia tak niepospolitego, że nieraz gdyby nie kilkadziesiątletnie przekonanie o jego ślepcie, nie jeden przysiągłby, że on swemi nieruchomemi oczami widzi doskonale.

Wróćmy teraz do siedzącego starca, którego nawet lepiej z działań zapewne poznamy, niżby nas mógł tego nauczyć najdłuższy opis.

Siedział jak mówiliśmy zamysłony. Wyraz ten nawet w skutek może starości, łącząc się zdawał z jakimś smutkiem, żalem, czy tęsknotą, dobywającą się na twarz z głębi jego najwewnętrzniejszych myśli. Ta pewna żalność na twarzy, jakby żałoba po tak długiej przeszłości, co tyle zapewne pochłonęła, była mu zwykłą prawie, i silnie robiąc wrażenie, wzbudzała zajęcie. Jeżeli rąbek biały na czarnej sukni mimowolnie wzbudza współczucie, o ileż więcej żałoba twarzy poruszać musi myśl człowieka zawsze wrażliwą.

Uśmiechu na twarzy jego rzadko kto widział chyba na widok, czyli raczej jak u ciemnego na dotknięcie ładnej twarzy dziecinnej lub młodzieńczej, mianowicie kobiecej. Było to zapewne skutkiem że ostatnią wnuczkę, którą już przed laty kilkunastu pochował, kochał stary Wasyl z nadzwyczajną czułością, pamiętną jeszcze w całej okolicy.

Mimo tego żalnego zamyslenia twarz jego w tej chwili zmieniała czasem wyraz. Podnosił głowę; przez ślepe oczy, skutkiem, zapewne kaganka, który na ścianie przybity, ciemne i migające rzucał światło, martwy jakiś przemknął promień, i zwracał nieruchome oczy ku drzwiom wchodowym, jakby kogo oczekiwał. I może, aby zapobiedz własnej niecierpliwości, zęgnął się stary krzyżem świętym, i w pół głosem jakby mimowolnie wrywał się z piersi jego jakiś śpiew na pół żebaczy, na pół pobożny, w którym przebijała się nawet jakaś dziwna nuta smętna jakby zalulanie dziecka spiącego. Bo te dwie nuty, pierwsza i ostatnia, przy kolebce i trumnie, mają zawsze u ludu naszego coś wspólnego. Nie do rozkoszy on się rodzi, i tę tęsknotę nuty rzadko kiedy przez ciąg życia łyskawicą wesela warjowaną, zachowuje aż do deski grobowej.

Czasem zwrócił oczy ku oknu, po którego przezroczy w noc jasną, czerwcową jakby mgły dymu, przesuwał się cień gromadzących

się na niebie chmur; jakby chciał po gwiazdach poznać godzinę, lub zmianę pogody na niebie wypatrzeć. I z rodzajem niezadowolenia kiwnął stary głową i znowu ją spuścił.

W tej chwili zaskrzypnął drewniany skobel u drzwi i stary nie popatrzył nawet ku drzwiom.

— Iwanie! — rzekł do wchodzącego. — Już późno, burza nadchodzi, a naszych nie widać.

— Ale dziadek dobrze widzi czas i pogodę! — odpowiedział wchodzący z pewnym wyrazem złośliwego szyderstwa.

Nowo przybyły był to bardzo młody człowiek jeszcze, choć może jak to się u wieśniaków naszych trafia w skutek życia od małego dziecka zamizerowanego, starszym się wydawał, niżeli był w istocie. Włosy na głowie miał jasne, szczególnie ładnego blond połysku. I twarz była piękna, piękniejsza nawet niżeli wierzymy, żeby można zdybać u ludu prostego; cały nawet profil twarzy i delikatny zakrój wszystkich rysów miał szczególne, niezwykle u wieśniaków piętno, które gdyby je zdybał jaki fizjonomista salonowy, ale nie w chacie starego żebraka, nazwałby go piętnem arystokratycznym. Lecz tym razem sprzeciwiała się temu piętnu cała postawa młodzieńca a mianowicie jego strój, który nie różnił się prawie od stroju starca. Miał bowiem płótniankę na sobie, w wielu miejscach łataną, chociaż była tak czysta i z płótna tak jeszcze nowego, że łaty zdawały się być niepotrzebnym dodatkiem.

Przez plecy miał zawieszoną torbę żebracza, zupełnie jak widać była próżna, i w rękę gruby i prosty kij. A przecież w tym całym stroju odzywała się pewna pretensja młodzieńca, bo na płótniance był pasek skórzany, nabijany świecami blaszkami, przy koszuli i na czarnym kapeluszu były jaskrawe i szerokie wstążki.

I w postawie ta sama odzywała się sprzeczność. Chociaż prosty jak świeca, był nad kijem swoim zgięty, w skutek może przyzwyczajenia przy zebraniu nabranego. Ruchy jego były prostacze, ale odzywała się w nich pewna śmiałość i rzutność nie bez powabu. Śmiałość ta aż do zuchwałości posunięta, odbijała się na twarzy także, i szpeciła ją niepospolicie. Lecz więcej jeszcze szpecił młodzieńca wyraz oczów, dziki, złośliwy i namiętny, nie godzący się zupełnie z śliczną, błękitną barwą oczów. Dzika złośliwość, przebijająca się w każdym młodzieńca spojrzeniu, miała w sobie coś zło-wrogięgo, bo zdawała się świadczyć o głębokim zepsuciu, boleśnie uderzającym w młodym człowieku, i rokującem w młodym człowieku, na przyszłość najokropniejsze nadzieje. Z oczów tych zdawała się strzelać od czasu do czasu zdrada, czyhająca na chwilę zbrodni.

Stary zwrócił na niego twarz surowszą niż zwykle.

— Nikt się o to nie pyta, co ja widzę, a co nie widzę! — rzekł do niego z wyrazem ostrego wyrzutu.

— Ja chciałem tylko dziadku!...

— Milcz! — zawołał stary głosem tak grzmiącym, że aż dziwić się trzeba było, jak taki głos mógł wyjść z piersi tak starej

I gniew potężny, pełen piorunującej władzy, wystąpił na twarz starca.

— Ja się pytam! — mówił dalej wpadając w ton obojętny, — czy nie widać tam kogo z naszych w karczmie; bo zapewne z tamtą wracasz! — dodał pogardliwie.

— Tym razem pomyliliście się dziadku! — odpowiedział zuchwale i drwiąco prawie.

Ton tej rozmowy między starcem i młodzieńcem miał w sobie coś nadzwyczajnego, bo zdawał się zdradzać zobopólną nienawiść. I tem był dziwniejszy, że Iwan był ostatnim potomkiem licznej niegdys rodziny króla dziadów. On był synem jedynym jego ulubionej wnuczki, a zatem jedynym dziedzicem jego władzy. Wszyscy nawet z podwłanych Wasyla i obojętniejszych sąsiadów wiedzieli o tem i dziwili się niepospolicie temu, że stary nie lubił prawnuka, i od małego dziecka okazywał mu tę nienawiść łajaniem, a nawet biciem nie zawsze sprawiedliwym.

— Ja byłem koło dworka Goździekiewicza.

— Cóż tam wyżebrzesz u tego biedaka, który sam w nędzy, choć na nią nie zasłużył...

— Ja nie żebrał, ja się patrzył przez okno na Hanię.

— Na Hanię! ty? — zagadł znowu stary wybuchając gniewnie. — Czym ci tego już tyle razy nie zakazał? To dobre i miłe dziecko, nie dla takiego jak ty...

— A cóż ona lepszego!... córka ekonoma bez miejsca, a ja przecie syn króla!...

Przycisk mowy z jakim to wymówił, był szatańsko szyderyczy.

— Nie dla takiego łotra jak ty! — mówiłem. — Boży anioł nie dla czarta! — dodał sentencjonalnie.

— Jakoś to będzie! mam ja czas!...

— Ty masz czas!... głupi w swej młodej myśli! ja jeszcze żyję... i zrobię porządek nim umrę.

Zadrzałby stary mimo całej energii swojej, gdyby był mógł dojrzeć wzrok namiętny, jakim Iwan łysnął na niego.

Nastała chwila milczenia, w której Wasyl widocznie się natężył, aby się uspokoić. Iwan tymczasem oparł się o ścianę, ciągle szyderyczem patrząc przed się okiem.

— Czy nie widziałeś Semena? — przemówił nareszcie.

— Semen nie za mną chodzi ciągle.

— Tam chodzi, gdzie ja mu każę.

— Tak! — przeciągnął Iwan. — On teraz ciągle łązi jak cień za tym paniczem z Wyżynieckiego dworu, który się zaczyna mi tu kręcić tam, gdzie ja nie chcę, aby się kręcił. Ale niech się strzeże paniczyk. Bo na kogo Iwan zasiądzie, to tego i Semen nie dopilnuje.

— Co? — zawołał stary głosem przeraźliwym i nagle stanął za stołem z tak groźną postawą i twarzą, takim gniewem pałającą, że tym razem Iwan mimo całej zuchwałości swojej przestraszył się.

— Ja tylko chciałem dziadkowi powiedzieć! — przemówił głosem, który udana oblesność robiła jeszcze fałszywszym i przykrzejszym — że, że...

Stary usiadł nazad na ławę, i pochylił niżej jeszcze głowę jak gdyby złamany wybuchem gniewu. Czy zmęczony, czy zamyślony zdawał się nie uważać na Iwana, i nawet nie słuchać słów jego...

— Że — ciągnął Iwan dalej — mnie to przykro i dokuczno, że Semen tak się przywiązał do syna tego, którego przecie dziadek nie może lubić... bo choć ja dobrze nie wiem ale ten stary hrabia...

Iwan widocznie się wahał, bojąc się rozbudzić gniew starca. Wahał się dokończyć myśli swojej.

— Bóg za nas wszystkich czuwa w niebie! — wyrzekł stary powoli, jakby z własną gadał myślą.

— On was dziadku ukrzywdził... to mnie krew burzy... że wy zamiast zemścić się.. a to by łatwo przyszło i stare nasze dziady nieraz wybierali się... podpalić...

— Jeszcze anioł czuwa!... — mówił stary dalej monotornie, pograżony zdaje się w myślach swoich...

— Anioł! — zagadł Iwan ciekawym tonem...

I to nie zbudziło zadumanego starca...

— Ale on wyleci kiedyś!... porzuci grzesznika!...

— Porzuci?... kto? — coraz ciekawiej badał Iwan...

— A wtenczas stary Wasyl zemści się... i umrze.

Aż się zbliżył Iwan do stariego, tak był ciekawy zrozumieć właściwe tych słów znaczenie.

— Już idą nasi! — przemówił nagle starzec zwyczajnym głosem swoim.

— To burza idzie! — odpowiedział Iwan.

Jakoż w rzeczy samej huk burzy zbliżał się coraz więcej do góry z monasterem.

— Burza idzie do Niżyniec, a nie długo poleci sobie w Karpaty.

Mimo huku burzy dobrze słyszał stary Wasyl kroki idących, bo po krótkiej chwili otwary się drzwi chaty, i zaczęło się schodzić to jeden po drugim, to kilkoro razem, liczne bardzo towarzystwo, które wnet całą prawie zapełniło izbę. A ciekawe było to towarzystwo, zebrane z samych żebraków. W śnie tylko lub w rozognionej wyobraźni można zobaczyć taki zbiór postaci brudnych, obdartych, połamanych, pokrzywionych, kiwających się, z twarzami, na których wryte były wszelkie najohydniejsze namiętności, jakie tylko mogą zeszpecić twarz człowieczą. Byli tam mężczyźni i kobiety, starce i dzieci; ślepi, kulawi, wykrzywieni najokropniej, z najstraszniejszymi ranami, bezwstydnie okazywanymi, jakby najszlachetniejsze znamiona. Byli karzełki z twarzami ogromnymi, jakby od olbrzymów oderwanymi, i olbrzymy plecyste z rękami wielkoludów, z kosturami robójniczemi, z twarzami malutkimi karlemi, na których ledwie pojąć można było, jak się może tyle ohdnych pomieścić wyrazów. I jedni szli rozkraczeni na boki, drudzy suwający się na rękach, na kolanach, pełzając jak węże, jak gadziny, którym jad wyzierał z zyzowatych oczów.

I każdy jak przyszedł, przywłókł się lub przylazł wyrzekł wchodząc:

— Niech będzie pochwalony!...

Tyle ust pokalanych wszystkimi grzechami, aż do zachceń zbrodni posuniętych, śmiały wymówić to wielkie przedwieczne słowo: To Boże! największy może dowód twojej wszechmoności, kiedy i takie usta niegodne przymuszone są chwalić ciebie!

I każdy, jak przyszedł lub przypętał, zbliżył się do starego z uszanowaniem pełnem pokory, jakiejby nie doświadczył może najpierwszy świata monarcha.

Stary każdego pozdrowił poważnie, i każdemu amen odpowiedział na jego pozdrowienie.

I każdy z osobna przeżegnał się znakiem krzyża św. tuż przed starym stojąc, i pocałował go w rękę.

A stary każdego dotknął się czoła, jakby chciał każdego dotknięciem poznać, i znakiem krzyża miasto słów przywitać. I sam nalał wódki do czarke i napił się do nich, i każdemu z osobna nalewał, i podawał czarke wódki do wypicia, na znak swojej królewskiej gościnności.

A potem wskazał na chleb i sól, na znak, że są mu pożądanymi gośćmi. Każdy sięgnął to do torby, to za pas, to za pazuchę; i wydobył jakiś kawał noża; i zaczęli wszyscy krajać chleb, i za każdym razem piskliwym a zawodzącym głosem dziękowali goszczącemu ich królowi.

Wasył nalał dla gości swoich po drugim i trzecim kieliszku wódki, ale sam nie pił już więcej. Po powtórzonych kieliszkach zmieniła się scena do niepoznania, jakby dekoracje teatralne. Podochocone żebraki ożywili się, rozruszali, i coraz więcej prostowali. I nie było już ślepych, nie było chromych, nie było garbatych, nie było krzywych, ani też pełzających. W różnych susach podskoczyli wszyscy, jakby chcieli zrzucić co prędzej udany przymus kalectwa. Popadały kostury, powyrastały karły, gdzieś się podziały pucinanne ręce, palce i jątrzące się przed chwilą poniknięty rany. Nawet głosy zmieniły się, z żałosnych przechodziły co prędzej w silne i naturalne. Najgłośniej zaczęli przemawiać niemi, nawołując się nawzajem najrozmaitszemi głosami, jakby chcieli sobie odwetować przymuszone milczenie. Powstał razem gwar i ruch niesłychany, wesoty, pełen przekleństw i śpiewów nabożnych, pełen śmiechu i zawodzenia razem. Widok tego zgromadzenia byłby w tej chwili zajmujący do najwyższego stopnia, gdyby nie był obrzydliwy zarazem dla fizycznego i moralnego uczucia.

— Cicho teraz! — przemówił nagle stary, głosem donośnym.

I wszyscy umilkli, jakby za poruszeniem pierwszego smyczka w orkiestrze.

— Chodźcie i mówcie, co macie mówić! bo już późna godzina.

I przystąpiła stara kobieta, rzuciwszy na bok drewniane kule, i powiewając chustką, która jej twarz zdrowiuteńką obwijala.

— Ja byłam aż w Sołotwinie! — mówiła głosem rubasznym i z miną wesolą. — Trafiłam na jarmark; ależ to tam było wesoło. To to się człowiek nabawił, napił i nahaśał między tymi poczciwymi góralami. I zebrato się nie mało, bo to lud miłosierny, i lubi śpiewki. A ja im też śpiewała! oj co śpiewała, to śpiewała.

— Kończ Paraszko! — zagadł król krótko.

Paraszka zamilkła, i z węzka w chuście zawiązanego, wyjęła sporą garść rozmaitej monety. Król dziadów wziął pieniądze, przerachował głośno, i zwróciwszy się na bok ku stojącemu przy ławie drewnianemu kufrowi, wrzucił do niego przez otwór w nim zrobiony.

Po niej przyszedł młody chłopiec, ledwie wyszły z pierwszego dzieciństwa. Podrygując krzywemi nogami, przystąpił do stołu, z uśmiechem wesołym i wykrzywieniem twarzy umyślnem, nadzwyczaj komicznem. Był to po Paraszcze najweselszy z całej zgrai żebrak, prawdziwie chybiony komedjant, który z natury naśladował doskonale wszystkie głosy ludzkie i zwierzęce. Na jego widok wszystkie twarze żebraków śmiały się jakby na jakiej komedji.

— Ja byłem tylko w Dolinie. Po co mi było dalej chodzić, i szukać jarmarków i huculów. Ja sobie siedział przy trakcie, co wiedzie do Stanisławowa. A jak kto jechał, ja mu zaraz po nosie poznał, czego mu potrzeba, czy płacziwej pieśni, czy koziolków. I koziolki taki więcej mi przyniosły. Moje koziolki sławne były w Dolinie. Ja czasem przed austerją Dawida Szmulewicza po dwie godzin chodził do góry nogami.

Kończ! wyrzekł znowu król dziadów.

I młody Fedko złożył swoją daninę żebraczą do wspólnej karbonki.

Po nim przyszedł dziad z twarzą okropnie posępną, i z lirą w rękę. To był tragik zgrai żebraków, płaczący zawsze i narzekający, z czego drudzy żebracy śmieli się więcej podobno niż z komicznych spiewek i koziolków Paraszki i Fedka. Chyba że im czasem rozповідаł jakie bajki, które z słyszanych gadek ludowych przerabiał ciągle nie bez pewnego talentu.

— Ja się kręcił aż do koła Kalusza — zaczął płacziwym głosem. — Ale co stary robi! ot bieda staremu. nie tak to było za dawnych czasów; chodzili po świecie czarownicy! — mówił dalej, i otarł brudną weretą lzy kapiące z wiecznie od płaczu zaczerwienionych oczów. — A teraz, dodał — to najwięcej chyba suchy kawał chleba dają człowiekowi.

— Bo ty Tymko żarłok! ciągle byś jadł tylko — zawołała wesoła Paraszka.

— A ty pijaczka! ciągle byś pila! — odpowiedział Tymko żałośnie.

Wszyscy żebracy głośnym parsknęli głosem.

— Cicho! a ty kończ! — zawołał znowu król dziadów.

I mała garstka najdrobniejszej monety wpadła do wspólnej karbonki, towarzyszona łkającym prawie westchnieniem Tymka.

I przyszli inni, jeden po drugim, starzy i młodzi, mężczyźni, kobiety i dzieci, i po krótkim sprawozdaniu przyniesione pieniądze wpadały do karbonki.

Nie będziemy przywozić szczegółowo wszystkich tych sprawozdań, które mniej więcej były do siebie podobne, i znudziłyby czytelnika. Przynajmniej kilka przykładów, chcieliśmy pokazać,

jak się utrzymywało to szczególne towarzystwo żebraków, zespolone w jedną dziwną natury hierarchję.

I nie jest to zmyslenie powieściowe. Takie towarzystwa istniały od dawien dawna u nas i istnieją jeszcze dotąd, chociaż codzien zmniejsza się liczba tych dawniej po całym kraju rozgałęzionych towarzystw, i upada władza króla dziadów.

Jeden król dziadów istnieje dotąd i mieszka w Stryjskiem we wsi Hoszowie, nad rzeką Świcą położonej. Ojciec jego, dziad i pradziad, byli królami. Często królowie muszą być ślepi. a mimo tego ślepe jest dla nich posłuszeństwo podwładnych mu żebraków. Taka hierarchia, mająca za sobą uprawnienie czasu, dziwnem jest zaiste zjawiskiem, i dowodzi tylko, że w każdej najniższej nawet i najciemniejszej klasie odzywa się instynkt stowarzyszenia się w pewne ciała odrębne, ograniczające się od drugih własnymi zwyczajami, i trzymające się razem dla własnej korzyści. Podobne stowarzyszenia na ślepem posłuszeństwie ugruntowane i ustalone tradycyjnym niejako przesądem, istniały od najdawniejszych czasów, nie tylko u nas, ale i w innych krajach. Królowie dziadów istnieją w narodach najoświecenijszych, i mają swoją hierarchją żebraczy; toż samo bywają królowie cyganów, królowie rzezimieszków, o których ślady zdybujemy nie tylko w podaniach ludu, ale i w starych kronikach.

Hierarchia królewska Hoszowskiego króla stoi tedy naprzód na ślepem posłuszeństwie żebraków dla swego króla. Ten ich sprowadza od czasu do czasu, by wysłuchać raportów, dowiedzieć się, gdzie co się dzieje, mianowicie o jarmarkach, zabawach, lub innych okolicznościach, z którychby zebrzący skorzystać mogli.

Król dziadów wysłuchawszy ich, nie pytając o zdania szczególnych członków, nakazuje: by się w tę lub ową udali stronę. zatrzymując się króciej lub dłużej w miejscach naznaczonych. Pieniądze zebrane oddają najwierniej królowi, który pomiędzy nimi samymi ma swoich szpiegów, gotowych zdradzić kolegę, któryby co chciał schować z wyżebranych pieniędzy. Kasa ta jest pod samowolnym zarządem króla, który jej używa jak mu się podoba, mając wszakże wzgląd zawsze na dobro podwładnych, byt ich, wolne wałęsanie się okupując nieraz niemi. Za to w czasie choroby, lub w przypadku śmierci, król daje z kasy na ratunek choremu, umarłemu na pogrzeb. Prócz tego gdy przychodzą do niego, on ich raczy hojnie i gościnnie wódką i chlebem, a czasem nawet aż do zbytku, którego w jedzeniu i picu żebracy są wielkimi miłośnikami.

Biada nieposłusznemu, wyszturkanego nalezycie wypędzają z towarzystwa, co nie mała jest kara; bo gdzie go zdybią, a trudno by nie zdybali, włócząc się po całej okolicy, a nawet po całym kraju, znowu go wyszturkają, i nie dadzą mu żebrąć, a więc odbierają mu jedyny, jaki ma sposób zarabkowania. Tak samo postępują sobie z innymi żebrakami, nie należącymi do hierarchji ich własnej. I tak silną mają przewagę moralną, łatwą wreszcie do wytłumaczenia, że obce nawet żebraki bez oporu ustępują z miejsc, zajętych przez uprzywilejowanych żebraków.

Przepraszając czytelników za ten komiczny ustęp wracam do powieści.

Gdy się skończyły sprawozdania, i wszystkie pieniądze zesły się do karbonki, co długo dosyć trwało, król dziadów powtórzył gościnne przyjęcie, nie pozwalając wszakże, by ochotniejsi do hulanki przebrali miarę w ulubionym trunku. W tym względzie Wasyl był nieubłagany. Ani pijakowi, ani złodziejowi nigdy nie przebaczył. Skoro wina została odkryta, winowajcę zaraz wypędzał.

— Wiecie, że jutro jarmark w Niżynkach?

— A wiemy! — zawołali wszyscy radośnie, bo choć wążające się zawsze prowadzili życie, najmilszym był im ten zakątek, który uważali za swój własny wyłącznie. Każdy i każda mieli w Niżynkach lub koło Niżyniec swoich znajomych; a cóż miłszego dla włości i próżniaka, jak wróciwszy z wędrowki przed znajomymi rozpowiadać i kłamać, co się przeżyło i co się nie przeżyło.

— Jutro trzeba, abście wszyscy byli w Niżynkach. Póki się nabożeństwo nie skończy, wszyscy zasiądziecie przy kościele. Ale abyście się szczerze pomodlili i prosili Boga o przebaczenie grzechów waszych, jak was uczy ojcze nasz!...

— I wrogom przebaczyć trzeba? — ozwał się głos jakiś ze środka żebraków...

— Milcz Semen!... a wy słuchajcie! — odrzekł stary Wasyl z powagą, któraby nawet nie między żebrakami zasłużyła na pewne poszanowanie.

Semen, ów żebrak dobrze już nam znany, który wszedł w tej chwili, zamilkł, chociaż wszyscy wiedzieli, że był prawą ręką i ulubieńcem króla dziadów. Nie mógł przecie wytrzymać i łysnął wzrokiem, który pewnie nie zwiastował przebaczenia wrogom.

— Po nabożeństwie rozejdziecie się po miasteczku i po przedmieściach. Semen wam powie, gdzie który ma stać, i przed którymi dworkami najgłośniej żebrać. Bo wy wiecie!...

— Dziadku! — zawołał fałszywy głos Iwana — tu jest jakiś obcy...

— Obcy — zawołali żebracy, wyciągając groźnie to zylaste pięście, to długie biczyśka, mające ich bronić od psów.

Na te słowa Semen wysunął się naprzód, kryjąc sobą stojącego w cieniu mężczyznę, ubranego po huculsku. Kto był obcy, trudno było poznać po jego powierzchowności, która nie zdradzała zamożnego, ale też nie wiele miała w sobie żebraczego. Suknie jego huculskie były proste, ale czyste i porządne, miał kij w rękę, ale jako prawdziwy góral z toporkiem. Twarzy trudno także było rozpoznać, bo tylko spodnią część dostrzedz można było, po której sądząc musiał być góral młody i śniady. Wierzchnią część twarzy zakrywała biała przepaska przez oko, w pół twarzy przeciągnięta i szeroki huculski kapelusz.

— To góral z za Skolego! — ozwał się Semen, głosem rozkazującym prawie — Ja za niego ręczę...

— Kto?... co? — wołali wszyscy, okazując niezadowolenie groźne dla obcego checi.

Najgłośniej krzyczał Iwan, chcąc się do obcego przepchać przez dzielący go od niego tłumny żebraków ścisk.

— Ty ręczysz za niego Semen? — zapytał stary król najspokojniej, bez wszelkiej oznaki zadziwienia.

— Ja ręczę za niego! — powtórzył Semen. — Spaliła mu się chata i oko przytem; musiał pójść na żeby, i chce się do nas przyłączyć.

— Niema u nas tego zwyczaju! nieprawdaż dziadku! — krzyknął Iwan, a w jego głosie przebijała się dziwna namietność.

— A prawda! niema zwyczaju! — ozwało się kilka głosów pomiędzy żebrakami, których większość zaczynała się uspakajać, bo po królu Wasylu Semen najwięcej między nimi był szanowany.

— Milczcie! — zawołał król. — To do mnie należy!

I wszyscy milczeli...

— Iwanie! ty pójdziesz zaraz! — zagadł znowu starzec głosem znacznie groźniejszym, w którym przebijało się jakieś wzruszenie.

Jak gdyby widział ciemnymi oczami, że się Iwan przybliży milczkiem do nieznajomego i jakby chciał temu przeszkodzić.

— Poprowadzisz starszych z sobą. Idźcie zaraz... słyszycie. Przy figurze św. Florjana pod miasteczkiem czekać będziecie na Semenę, który z młodszymi przyjdzie pod ranek! No idźcie! — dodał spokojniej. — Niech was pan Bóg i przenajświętsza panna i święty Onufry szczęśliwie prowadzi.

— Bądźcie zdrowi batku nasz! — odrzekli wychodzący, pchając przed sobą Iwana, który się ciągle odwracał, i aż zgrzytał zębami ze złości.

— I wy idźcie sobie pomału! — ozwał się znowu stary łagodniejszym głosem. — Semen was dopędzi. On wam wszystkim powie, co macie robić po jarmarku...

I powtorzyło się pożegnanie i pozdrowienie. W izbie pozostali tylko król dziadów, Semen i młody hucul z obwiązaną twarzą. Nastąpiła chwila milczenia. Stary Wasyl zwrócił ślepe swe oczy ku stojącym w kącie. Przybrana powaga i uroczystość ustępowały mu pomału z twarzy, a natomiast występował zwykły wyraz smutku, aż do rzewności prawie posunięty. I hucul zdawał się patrzeć z szczególnem zajęciem na siwego starca. Zezwatego oka wzrok, pod kapełuszem strzelający, promienił się ciekawością i niezwykłą u huculów pojętnością.

— Semen! — przemówił wreszcie król dziadów, a głos jego był tak łagodny, jakby go serdeczne łzy rozmiękczyły — Przybliżcie się obydwu. Jeżeli chcesz być naszym według zwyczaju, ja cię muszę widzieć, by poznać z twarzy, co w twojej jest piersi — prawda czy fałsz!... A że stary król dziadów, jak go ludzie nazywają, ciemny jest i oczami już nie widzieć nie może, Bóg pozwala czasem tej łaski, że temi palcami, gdy się dotknę twarzy i oka, poznam, co w twojej jest piersi — prawda czy fałsz...

Semen odwrócił się do obcego, skrobiąc się w głowę, jakby myślał, jak mu tu rzecz całą wystawić. Lecz hucul nie zważając na mimikę Semena, już stał przy ławie, pociągnięty mimowolnem posza-

nowaniem dla starca siwych włosów, słodkiego głosu, i twarzy pewnej szlachetności.

— Dotknijcie się staruszku! — rzekł głosem mimowolnie wzruszonym, i oczów i twarzy. — Niema dla was fałszu w sercu mojem.

— Głos twój jest piękny i czysty!... Fałszywi ludzie takiego nie mają głosu — rzekł król dziadów głosem coraz łagodniejszym, i podniósł się do pół na spotkanie hucuła. I drżącą ręką pociągnął po jednym góralskiemu oku i po jego gładkiej i śniadej twarzy. W zupełnym milczeniu przeciągnął ręką kilka razy po twarzy, a potem podniósł obie ręce i ruchem szybszym od myśli raz jeszcze złożył je na głowę, z której do pół zsunął się góralski kapelusz. I trzymał chwilę głowę hucuła pod rękami swemi, i przycisnął ją przeciągle...

Dziwne było wzruszenie starca; czy to chwilowe usposobienie, czy może przypomnienie jakie, rozbudzone dotknięciem się młodej głowy, oczy starca nagle zabłysły nie życiem, nie wzrokiem, ale dwoma łzami, które pomału po nieruchomych oczach ściekły jakby po zimnym kamieniu.

I młody hucuł zdrzął mimowolnie. Młode i czułe zapewne serce jego uległo chwilowemu wzruszeniu, wynikiem z całej postawy starca, opromienionej wyrazem takiej wyższej, szczerej rzewności, że się ledwie wstrzymać można było od łez, patrząc na tę twarz prawdziwym uczuciem uszlachetnioną.

Nawet zimnego Semena wzrok fałszywy połagodniał, a na chudych i cienkich ustach ukazał się uśmiech, po raz pierwszy może nie szyderczy.

— Idź teraz i poczekaj za chatą na Semena! on cię zaprowadzi na nocleg!... Ja go zaraz puszczę! — wyrzekł stary.

Młody hucuł wyszedł, a król dziadów pociągał machinalnie ślepiemi oczami za nim.

Po dość długim milczeniu, ozwał się do Semena głosem dawnym już prawie, głosem obojętnym.

— Pilnuj swego hucuła, bo w sercu Iwana drży do niego nie-nawiść...

— Oj ten Iwan! — zawołał gwałtownie Semen — to szatan prawdziwy... poznać w nim...

— Cicho Semenie! — i głos jego stawał się coraz ostrzejszy, surowy prawie i groźny. — Przyjdzie czas!... Bóg dozwoli, że ja się doczekam!... a wtenczas każdy będzie miał podług zasług swoich. A o skarbie tego skąpca czy wiesz co? — dodał po chwili.

— Dziś widziałem jak stary sknera jechał do pasieki i przysięgnę, że wiozł z sobą swój skarb.. Jeżeli zakopał w pasiece, to ja go znajdę...

— Nie potrzeba!... ja wiem to miejsce!... to miejsce! Semenie! i ty je znasz...

— Znam!...

— Lepszego tam niema!... Pilnujże teraz jak oka w głowie, by nikt nie dotknął skarbu...

— Nikt!... jakto?...

— Nikt powtarzam!... aż przyjdzie czas... i raz jeszcze ja będę w tem miejscu!... i będzie ten! ten!...

Tu głos króla dziadów stawał się coraz gwałtowniejszy...

— Idź już! idź Semen!... do swego hucula!... dziś ciepło... tam na strychu na świeżem sianie będzie mu dobrze... A o skarbie nikomu!... nikomu ani słowa!...

— I jemu nie?

— Nikomu! Semen! ty mnie znasz, ja wiem co mówię.

Semen wyszedł, a król dziadów spuścił głowę na piersi i tak całą noc przesiedział. Niewiedzieć czy spał czy marzył.

VII.

Stary ekonom.

Mówiliśmy o drugiej chacie niedaleko chaty Wasyla. Obie były własnością króla dziadów, u którego w drugiej chacie mieszkał komornem, wspomniany już nieraz w tej powieści Goździkiewicz, były ekonom w Wyżyncach. Do tej chaty przeniesiemy się nazajutrz po zdarzeniach, w poprzednim rozdziale opisanych.

Wnętrze chaty bliżej opisywać nie będziemy, bo jak każda inna zwykle, składała się z jednej izby i komory z tym dodatkiem jeno, że i na drugiej stronie była także sama izba z komorą, a w środkowej sieni ulepiono rodzaj skromnej kuchenki, co wszystko razem przy większych nieco oknach nadawało tej chacie pozór dworka niby. Było jednakże w tej chacie-dworku coś jeszcze, co przy pierwszym wstępie każdego uderzyć musiało. Po wszystkich sprzętach, więcej jak skromnych, chociaż świadczących kształtami swemi o dawniejszym lepszym bycie mieszkańców chaty, poznać było dzisiejsze ubóstwo; a przecież uderzała szczególna czystość i porządek, które tak rzadko u nas przy ubóstwie zdybać można. Było, jak to powiadają, ubogo ale chędogo. Na ścianach czysto pobielonych, na podłodze porządnie zamiecionej, w każdym kącie znać było gospodarną i troskliwą rękę. Porządniejsze nieco sprzęciki pierwszej izby, składające się z skromnej kanapki dreliszkowej, komódki i szafki, prosto lakierowanych, chociaż dobrze już starych i zużytych, świeciły się prawdziwie czystością. Jedynym pierwszej izby i całej podobno chaty zbytekiem był zapyłony już przez czas szych, przedstawiający mężczyznę w krakuskiej siermiedze i takież czapce z oczami i pałaszem w ręku ku niebu wzniesionemi. Pod tym obrazkiem wisiały na ścianie w ładnym porządku symetrycznym ułożone, stary jakiś pałasz na krzyż z ładownicą po tej stronie, a fuzyjka nieszczególna z torbą myśliwską po drugiej stronie. W samym środku między temi trofeami myśliwskowojskowemi wisiał obrazek na blasze malowany, po którego barwach mocno już pościeranych, raczej domyślić się niżeli poznać można było wizerunek przenajświętszej panny.

To wszystko razem stanowiło całe bogactwo, a zarazem całe szczęście pana Jana Goździkiewicza, bo tam mieściły się wszystkie jego pamiętki, i lat młodszych, gdy na krótką wymknął się wojaczkę, i lat starszych, gdy co święto i w niedzielę, wolną od zajęć gospodarskich chwilę przepędził w kniei, słuchając zaczyjony za dębem z fuzyjką w rękę, na miłą przygrywkę dwóch piesków, rozchodzącą się hucznie i wesoło po rannej rosie. Sztychowany portret wojownika w siermiedze i blaszaną matkę boską miał od ojca jeszcze, który czas jakiś także z nieboszczykiem panem jeszcze wojował, a wizerunek matki boskiej nosił na piersiach.

— Hej! hej! inne to były czasy! — rozповідаł często, a pasjami rozповідаć lubiał pan Jan Goździkiewicz. A w rozpowiadaniach swoich najpocieszniej mieszał i czasy Napoleona i późniejsze, ubierając też wszystkie fakta słyszane czy widziane, w mniej sławne, ale niemniej miłe i zabawne zdarzenia łowieckie, których zbiór posiadał rzesisty. Do nich miał pamięć ogromną, którą przewyższała wszakże jego wyobraźnia. Poczciwy z kośćcami człowiek, ale w faktach wojennych i myśliwskich lubiał zmyślać sobie, chociaż zawsze twierdził:

— Kłamstwem brzydę się okropnie! U mnie kłamca to gorzej złodzieja.

Goździewicz, gdyby nie za szczupłe już było miejsce, jakie dać mu możemy w naszej powieści, wartby obszerniejszego obrazka. On był typem prawdziwym ekonomów, ale nie takich, jakich sobie każdy z dawniejszemi pokoleniami mało obznajomiony wyobraża, gdy tę nazwę usłyszy. Pod ekonomem każdy prawie wyobraża sobie prostego rubachę, mającego rękę do batoga, gębę do hukania, łajania i łykania, a dowcip do okradania pana swego, a oczy do pielęgnowania własnego dobytku, którego dobre zwykłe wygląkanie weszło u nas prawie w przysłowie: o koniach, krówkach i świnkach. Na nieszczęście trafia się to i bardzo często trafia; młodsze pokolenie innych nie znało ekonomów. Ale my starsi, co jeszcze cokolwiek dawniejsze pamiętamy czasy, powinniśmy dla przyszłych pokoleń zachować obrazek prawdziwego ekonomy polskiego, jak oni wszyscy prawie byli dawniej na naszej żywej ziemi, obrazek tem ciekawszy, że po przemianie stosunków włościańskich u nas, ekonom właściwy znikł już z naszej ziemi, a stary ekonom polski stanie się wnet mytem nikomu niezrozumianym.

Takim to ekonomem dawnych czasów był ostatni może Jan Goździkiewicz, do którego ubogiej zaszliśmy chaty.

Jego dziad, jeżeli nawet nie pradziad, i ojciec byli także ekonomami, i zawsze w rodzinie Wyżyńskich, której zawsze wiernie, chociaż nie bez restrykcjiw ekonomskich może służyli, biorąc najczęściej z dawniejszego fraucymeru, a później z garderoby swojego państwa żony dla siebie, a matki dla swych synów. I takim w większej części bywali dawniejsi wszyscy ekonomowie nasi. Trzymali się zawsze jednego skarbu, jednej rodziny i przywiązywali się zawsze do panów swoich, do ich majątku, a nawet do chłopków podwładnych całym sercem. Tym sposobem łączyły się u nas niższe ogniwa społeczne w kapotach i kurtach, do wyższych w kontuszach i deljach,

w wielki łańcuch patriarchalnej niejako hierarchji, który póki trwał silnie, opasywał i trzymał ciało nasze społeczne.

O ile sięgała tradycja rodziny Goździkiewiczów, dziad już ekonomował u pana kasztelana, dziada dzisiejszych panów Wyżyńskich. Kasztelanowa i ekonomowa jednej nocy powiły synów uradowanym swym małżonkom. O tem zdarzeniu rodzinnem wiekopomnej pamięci, poczciwy pan Jan niestworzone rozповідаł rzeczy, urozmaicone coraz nowszemi szczegółami. To pewna, że kasztelanostwo trzymali do chrztu małego ekonomka, a kasztelanie mocno go polubił, a nawet nieraz małego Tomasza, obdarzonego sprytem, polityką i cierpliwością ekonomską doskonale poczuł. Później nawet wziął go z sobą, gdy jechał do Warszawy, gdzie go jako panicza wielkich nadziei do konwiktu „scholarum pijarum“ jak to mawiano, oddali. Było to jakoś w ostatnich latach panowania Stanisława Augusta. Zaczęły się czasy niespokojne, poformowały się różne partje. Pan Tomasz Goździkiewicz trzymał się naturalnie partji kasztelanica, a że ta była jakoś najpocziwsza, więc i pan Tomasz miał sposobność powojować nieco pod onym wojownikiem w siermiedze, o którym gdy później gadał kiedy, gdyby nawet na łanie wobec chłopców, rzewnie musiał spłakać się łzami.

Nie długo trwała jego wojaczka, bo go doszła wiadomość, że stary ojciec umarł, a więc z obowiązku musiał zamienić oręż na harap ekonomski, i wracać co prędzej do osieroconej posady ekonoma w Wyżyńcach, chociaż mógł mieć nadzieję zostania oficerem. Ale dawniej inaczej rozumiano obowiązek sumienia, i pan Tomasz został ekonomem. Kasztelanie, a dobry był to człowiek, chociaż jak wiemy nie do rzeczy się ożenił, lubił swego ekonoma, i nigdy mu nie zapomniał jego poświęceń, dla kraju i dla niego. A chcąc się wywdzięczyć jak najszlachetniej, postarał się dla Goździkiewicza o przyznanie szlachectwa, co w onym czasie łatwo przychodziło, bo trzeba było tylko poświadczenia któregoś z wojewodów pozostałych w kraju. Kasztelanie pojechał do Krakowa, upijał się dwa razy na dzień przez całe ośm dni z panem wojewodą C. i uzyskał poświadczenie, jako pan Tomasz Goździkiewicz do prawdziwej należy szlachty herbu Lubicz. Tym sposobem choć zawsze ekonom, pan Tomasz został swego pana niejako bratem, bo bratem szlachcicem. I tym sposobem w owym łańcuchu społecznym, kapota lub kurtka mogły się przysunąć do delii lub kontusza.

Tomasz Goździkiewicz żył długo i miał mnóstwo dzieci, co także bywało w zwyczaju u ekonomów naszych, u których zwykle co rok to prorok. Ale to im zupełnie nie zawadzało, bo czuwała nad ekonomami zawsze opatrność uosobniona w postaci pańskiej łaski. I żeby nie wiem ile ich tam było, ten poszedł za pisarza do dóbr na Wołyniu, ten za leśniczego do kuzynka wojewodzica na Litwę, tamta do pani siostry generałowej na pannę respektową, tamtę wydano na Ukrainę za pana marszałka dworu pani podkomorzyny, kochanej stryjanki ciotecznej, i jakoś to było. Pan Jan najstarszy, a zatem następcą natus swego ojca, ciągle był przy ojcu, a nawet razu jednego, a był jak sam opowiadał małym bębniem jeszcze, ojciec wziął go.

z sobą na wóz i powiózł na Podole. Było to zawsze sekretem nigdy nie odkrytym, czy tylko z własnej woli, czy może z polecenia pańskiego, zaczął tam o jakąś ruchawkę, i gdzieś tam puknąwszy a nie źle razy kilka, powiedział do małego Jasia:

— Otóż! żebyś widział ty s... jak się to strzela na wojnie...

— To się ludzi zabija!... tatku? — zapytał naiwny chłopiec.

— A ty myślał ośle!... — odrzekł ojciec, i dla lepszej pamiętki syna pociągnął za uszy.

W parę miesięcy potem, a było to jakoś w końcu r. 1809, pan Tomasz Goździkiewicz płakał jak bóbr, idąc za trumną swego pana. Starszy panicz gdzieś tam uganiał młodym chłopcem jeszcze za owemi orłami, co to, jak epicznie opowiadał pan Jan:

— Uganiały się po całym świecie jak wrony w jesieni.

Młodsze go panicza imość zabrała z sobą do Wiednia, a stary Goździkiewicz został sam jeden w Wyżyncach; ale już mu do śmierci, chociaż żył jeszcze lat przeszło dwadzieścia, nie wrócił dawny dobry humor, bo stary polski ekonom kochał swoich panów i dobrodziejów jakby własnych krewnych, a ich zaszczyty i majątek radował go jakby własne; prawda, że ten majątek doskonale ich utrzymywał, bo stary ekonom, jeżeli pilnował dobra pańskiego, to głównie na-przeciw cudzych, a już ciż siebie uważając za swojaka, mógł sam z niego korzystać. Lecz było to najczęściej korzystanie zachowujące się w granicach sumiennych, i panom lepiej się przy niem działo, niżeli później przy szumnych zabiegach późniejszych mocno edukowanych komisarzy.

Jakże mógł być wesół biedny Tomasz Goździkiewicz, kiedy nikogo z panów swoich na oczy nie widział, a co roku wiosek ubywało, a przybywało coraz nowych figur, to plenipotentów, to komisarzy, to sekwestratorów.

A choć się później młodszy panicz pojawił, ba i starszy powrócił, obaj mieszkali w mieście, a stary ekonom chodził już tylko osołowiały na cmentarz, szukać sobie zapewne miejsca niedaleko od grobu pańskiego.

Pan Jan tymczasem przyuczał się jak mógł do gospodarki, i najczęściej starego wyręczał. Nagle znikł jak kamfora. Stary pan Tomasz zgryzł się i przestraszył. A później uśmiechnął się; znać się co dowiedział lub domyślał.

Cóż to była za zaszłość, i co za łyzy razem, gdy nagle przyszedł list datowany gdzieś tam z daleka, w którym pan Jan pamiętny na nauki ojcowskie, pisał do niego nader lakonicznie.

— Już teraz wiem, tatku, jak to się strzela na wojnie. Jestem u strzelców.

Stary bez czapki wybiegł z listem w rękę. Lecz nie było komu listu pokazać w całych Wyżyncach. Podumał chwilę i pobiegł na cmentarz. Spłakał się na grobie swego pana, co go zrobił szlachcicem. Zaziębł się starowina wróciwszy do domu, dostał pleury i umarł. To szczęście, że pan Jan nie mógł się dowiedzieć szybko o śmierci ojcowskiej, bo byłby zapewne wszystko porzucił, by powrócić do obwiązku ekonomskiego. I drudzy co nadzwoniwszy się pałaszami po

rozmaitych brukach popowracali przed czasem do domu, byliby naszego Goździkiewicza okrzyczeli za podobnego sobie bohatera.

Nasz pan Jan, gdy się dowiedział o śmierci ojca, nie było już i tak co robić, a nareszcie i czas było pomyśleć o nodze, w której jakaś niepoczciwa zagrzeźła kulka.

Posadę swoją zastał niezajętą, dzięki majorowi, który ją dla niego mimo niewielkiej ochoty pana Ignacego potrafił zachować. Pan Ignacy tego ekonomczukowi nigdy nie mógł zapomnieć, z jak szczególnie poufałą wesołością młody chłopiec wybiegł naprzeciw panicza swego, gdy ten raz zjechał do dóbr swoich. A chociaż ta cała poufała wesołość skończyła się na uchwyceniu go za kolana, było w tem coś tak nieprzyzwoitego, tak je ne sais quoi, gburowatego, że czuł do niego odrazę, którą nie zmniejszył zupełnie wybryk heroiczny ekonomia, jak to z uśmiechem nazywał, zupełnie dla ekonomia niestosowny.

Pan Jan nie zważał na częste dasy pana Ignacego, i rozpoczynawszy swoją funkcję ekonomiczną od ożenienia się z jakąś kuzynką rodziny Goździkiewiczów, wstąpił zupełnie w ślady ojca i dziada. Jakoż był rzeczywiście typem starego ekonomia polskiego.

Co do rolniczych wiadomości wierzył jak w ewangelię w starą rutynę gospodarską, i chociaż musiał przyjąć wiele nowych metod co do zmiany pól, nigdy to za dobre nie uważał.

— Nieboszczyk mój dziad, i nieboszczyk mój ojciec nie znali tego różnopolowego gospodarstwa, i dobrze się działo. Kasztelan był kasztelanem; a dziś pan mój jest hrabią, Nizyńce djabli wzięli, a na Wyżynkach są długi. Ta i co!... pan goły, i ekonom goły. — Gnój panie! to grunt! — dodawał. — Ta i co!... trzeba tylko mieć oko i wszystko w gębie!... Pilnować wszystkiego okiem, a wykrzyczeć na mudią gębą. To też u mnie całe gospodarstwo w gębie, i pług w gębie, i obrona w gębie, i gnój w gębie. Ta i co!

Po gnoju i gębie, którą rzeczywiście cudów dokazywał, bo jak huknął na jednym końcu wsi, to już chłopci wychodzili z drugiego końca na pańszczyznę; najwięcej wierzył w harapnik, który jakby buławę odziedziczył po swych przodkach. Co do tego, daremnie by to obwijać w bawelnę. Stary ekonom polski nie może obejść się bez harapnika. To jego grzech rodowy, z krwi zdaje się ekonomicznej pochodzący.

— Już ja to próbował inaczej. Nic nie pomoże. Żadna inna wymowa nie trafi do mudią.

Chłop u starego ekonomia nazywa się zawsze mudiem.

— Chyba jeszcze wódka wymoże co na nim! — dodawał z uśmiechem zupełnej pewności i zadowolenia.

Ale tego mudią pan Jan kochał po swojemu. Nie pardonował mu na polu przy robocie żadnej opieszalności. W tym względzie miał oko naczelnego wodza przy przeglądzie. Każdą nieregularność poststrzegł i pomknawszy od prawego na koniu skakał. Naturalnie nie rozumie służby ekonomicznej inaczej, jeno na koniu.

— Ja nie nadstawnik! — mawiał, puszczając dym z krótkiego cybuszka, z pewną dumą.

Dodajmy do tego, że koń był grubopłaski i silny, by nie łatwo utykał na świeżej roli, a i za chartem pomknął czasem. Przytem miał upodobanie w klaczach głównie i to w srokaty, bo te są najwytrwalsze, mawiał.

Więc tedy przy robocie był nieubłagany na próżniaków i opie-szałych, ale jak taki mudio przyszedł do niego i zaczął się przed nim skarżyć, że mu pomorek padł na bydło, lub że mu nie urodziło, albo myszy wyjadły zboże w stożku, lub co gorzej jeszcze, że mu tam żona czy dziecię zachorowało w chacie, gotów był zaraz z szczerą radą i pomocą.

— Margosiu! — wołał do żony — a daj no tam tych kropli, co to wiesz... Ta i co! najlepiej sama zanieś, bo to głupi mudio nie potrafi dać zażyć. Ale weź tam i krup trochę, bo to dziecku słabemu najlepiej zwarzyć kaszki trochę.

Za zubożałym chłopem wstawiał się do pana, wystawiając się na najgorsze przyjęcie, a jak nic nie uzyskał, to często milczkiem sam przyszedł w pomoc.

A brońże Boże! żeby się chłop przed nim poskarżył na pana, choćby najsluszniej, to jego szczęście, jeżeli wyszedł zelżony tylko, a nie obity. W tej mierze trzymał się prawidła swoich przodków ekonomów, którzy czuli potrzebę zachowania przyjaznego stosunku między panem a chłopem. Stary ekonom polski, choć często zupełnie nie wykształcony, rozumiał politykę solidarności, której późniejsi zabaczyli zupełnie, siejąc naumyślnie niezgodę niedorzecznymi konszachtami z chłopem, a zausznictwem w dworze. I co posieli to zebrali — kąkol biedy dla siebie.

Pan Jan w takich razach stawał się mowcą, kaznodzieją prawdziwym, gdy wywijając ręką a machając harapnikiem, tłumaczył skarżącym się chłopom, że pan nic nie winien.

— Czy wy wiecie chamy! — krzyczał czerwieniejąc się od gniewu i zapału. — Pan jest zawsze ojcem; ta i co!... A wy jego dzieci, a choć pańska ręka spadnie na którego z was, to milczeć i pocałować, jak dzieci ojca. Tak było za waszych i naszych ojców i dobrze było. A pamiętacie!...

I dopiero pocziwy ekonom nabajał im jakieś duby świeżo zaimprowizowane, w których póty przekreślał znajome jakieś zdarzenie, do czego przytoczył inne zdarzenia z czasów nieboszczyków panów i ekonomów, póki chłop skrobiąc się w głowy nie wyrzekli:

— Ta-że to prawda! szo wy każecie! Ale przecie ktoś winien!...

To była pana Jana strona najmocniejsza. To mu najłatwiej przychodziło. Winnego zawsze znalazł, a choćby samego diabła.

To też chłopci mimo krzyku, szturkańców i operacji harapnikowych szczerze przywiązani byli do swego ekonomy i gdy się wynosił bosi prawie i goły z Wyżyniec, wszyscy chłopci płakali, a co więcej, sami mu odwieźli jego skromne sprzęty, a baby szły za wozami niosąc i pieszcząc małe dzieci swego ekonomy. Nie było tygodnia, żeby chłop lub baba Niżynieccy nie przyszli do niego i pozdrowiwszy go Bogiem, nie obdarzyli jakim datkiem choć skromnym, ale z serca

danym, czy to osełką masła, czy plaskanką sera, czy kopą jaj a nawet jakim kogucikiem lub kureczką.

Jeszcze jednej dotknąć musimy, a najdrażliwszej kwestji, to jest, co się tycze moralności ekonomicznej. I w tym względzie pan Jan trzymał się swych przodków ekonomów.

Majątku pańskiego pilnował jak swego i chyba cudem jakim udać się mogła kradzież jaka w stodole, na gumnie, lub w polu, bo jakby miał sto ócz, sto rąk i sto nóg, pan Jan od dnia do dnia jednej prawie i tej samej chwili wszystko zobaczył, wszędzie był i winowajcę, jeżeli mu się nadarzył jaki, własnymi schwytał i skarał palcami. Nieraz, jakby go co tknęło przez sen, wybiegł z domu i piorunem padł na gumno, do obory, lub popędził na sroczce, tak się zwała klacz jego ulubiona, w pole, na łąkę, na sianożęć i jeżeli tylko było co odkryć lub schwytać, odkrył i schwytał pewnie.

Ale pilnując majątku pańskiego jak swego, nic dziwnego, że w niektórych względach uważał ten majątek za swój. Nie ażeby po prostu powiedziawszy kradł, a broń Boże!... pańskiej obory, gumna, stodoly, nie dotknął się, ale na to nie było ratunku, żeby jego obora nie chowała się pańskim sianem, słomą, lub nawet ziarnem.

— Ta i co?... ja nie dla siebie biore, ale dla tych biednych boskich stworzeń, które mi Bóg dał.

Albo co do obrobienia jego ogrodu? oczewisty byłby grzech najmować robotnika mając pańszczyznę. To też choć pewnie i panu najsumienniejszemu dopilnował, niemniej przeto pańską pańszczyznę miał zawsze ogród i swój dodany sobie kawałek pola, tak obrobione, że mógłby karczochy sadzić.

Ale za to stary ekonom nie wdawał się w konszachty z arendarzem, prócz chyba wódeczki, którą mu arendarz sam przynosił i którą stary ekonom płacił zawsze jakimiś mglistymi przyrzeczeniami, jakiegoś wstawienia się u dziedzica.

Toż samo i z obcymi kupcami. Niechby mu który zaproponował jakie szachrajstwo, wyszedłby gorzej od Zabłockiego, bo temu źle poszło po mydle, a tamtemu poszłoby najgorzej po skórze.

I z tego to powodu nawet postradał pan Jan miejsce swoje, zarobione zdaje się własnymi i przodków zasługami. Żydów wogóle nie lubił.

— Oni Chrystusa umęczyli! — mawiał w takim razie — i jeszcze go w ostatniej chwili na trunku oszukali. Naszą szlachtę pocziwają krzyżują codzien i męczą, wyciskając z nich ostatnią krew, a naszego mudia tumania lichą wódką.

Z pomiędzy zaś wszystkich żydów najgorzej nie cierpiał ekonom nasz Srula Feigele. Sam żadnej z nim nie miał styczności, ale tego nie mógł mu darować, że pana hrabięgo wprowadzał w coraz inne, a zawsze lichwiarskie interesa, które przeczuwał, że go do reszty zrujnują.

Nieraz próbował przedstawiać panu hrabiemu z całą pokorą ekonomiczną złe skutki takich układów z żydem, ale ofuknięty i to nieraz dosyć surowo, usuwał się pomału i w końcu już tylko wzdychał ruszając ramionami.

Aż tu razu jednego Srul Fejgele, nabywszy znaczną ilość wódki u pana Ignacego, zaproponował naszemu Goździkiewiczowi, który miał klucze od magazynu, aby na więcej dał wódki, przyczem jemu przeznaczał pewny procent. Rozmowa ta odbywała się we cztery oczy, w magazynie.

Goździkiewicz na te słowa macnął się za pas, bo zawsze prawie rzemieniem był przepasany; jak na toż zapomniał harapnika w domu. Co tu robić; ogląda się na wszystkie boki, szuka oczyma; nadaremnie! Żyd zaczyna blednąć i drżeć. Wtem jeniałna myśl przychodzi Goździkiewiczowi. Ma w ręku cztery olbrzymie klucze gospodarskie na porządnym rzemyku. Nie długo myśląc, jak podniesie, jak wywinie, jak pociągnie, a jak powtórzy! Nigdy jeszcze pan Srul Fejgele nie był w takiej łaźni.

Łatwo pojąć, że żyd, któremu Goździkiewicz na długo klucze wylitografował na skórze, zaprzysiął mu zemstę.

I póty szczył na niego pana Ignacego, póki ten, którego już i rozum odstępował w końcu, nie odprawił najstarszego i najwierniejszego sługę, a wziął notomiast jakiegoś eleganta i franta, zarekomendowanego przez Sruła.

Nie trudno przyszło żydowi namówić pana Ignacego, bo ten jak to już napomknęliśmy, nie lubił nigdy naszego Goździkiewicza. I biedny ekonom nie mało się przez to naciерpiał, ale znosił najcierpliwiej, bo jego życie zrosło się już niejako z tą rodziną, której tak długo służył, z tą wsią, w której się urodził, w której każdego wieśniaka znał po imieniu i w której nareszcie tam za wsią, na cmentarzu topolami otoczonym, leżą dziad i ojciec, babka i matka jego i parę już jego własnych spoczywa dziątek.

Wszystko więc był gotów znieść i znosząc najniesłuszniej bał się oddalenia gorzej śmierci. Pominąwszy traktowanie samego hrabiego, mrukliwe i z góry, a często nawet słowa zelżywe, które go do żywego dolegały, od kilkunastu miesięcy przestał mu płacić zupełnie. Goździkiewicz zrobiwszy parę pokornych przedstawień, spuścił uszy po sobie i zamilkł. A nawet nie skarżył się nigdy przed majorem i samą hrabiną, chociaż wiedział, że ci go lubią i to mu było nie małą pociechą.

— Na co ich gryźć mam — mówił do żony — mają oni już tak nie mało do zniesienia. A to przeciw dzieci nieboszczyka kasztelanica, świeć mu Boże, z którym mój ojciec, ot z tym tam harcował na mazurach. Ta i co! — dodawał — mam tam jeszcze paciuka, a mnie on na co, przedam go i jakoś się tam połata.

I tak paciuk po paciuku, szkapka po szkapce, Goździkiewicz musiał w pół darmo zbywać swój dobytek i coraz był uboższy. A Srul powtarzał hrabiemu, że on umyślnie w gotówkę się wbija, aby mu kiedy przyszło łatwiej wynieść się cichaczem z Wyżyniec.

Aż nareszcie korzystając z niebytności brata, wygonił go zupełnie pan Ignacy, zabrawszy resztę bydełka pod pretekstem, że rachunki nie w porządku.

Rachunki rzeczywiście były jego słabą stroną i bywają nią zwykle u starych ekonomów, ale w tem tylko rozumieniu, że Goździ-

kiewicz jak i wszyscy jego przodkowie zupełnie nie był piśmiennym, a i to co pisał, to nie tego pisał. Ale przy tym wszystkim nieporządku, niesumienności zarzucić mu nie można było.

Nie będziemy opisywali rozpaczki biednego ekonoma, gdy mu się przyszło rozstawać z Wyżynkami. Po charakterze Goździkiewicza, jak go tu opisać staraliśmy się, łatwiej czytelnicy odgadną tę rozpacz, niżbyśmy ją zdołali opisać. Rozpacz była tak wielka, że biedny Goździkiewicz przez jedną noc posiwał i postarzał się o lat kilka.

Najął chatę u starego Wasyla, którego znał od dawna i miał do niego słabość, za którą sam się nieraz gniewał.

— Trzeba być takim i owakim, aby żyć z jakimś dziadem, choć to niby go królem nazywają. Tfu! taki mi to król.

Ale jakże go nie miał lubić, kiedy stary dziad łączył się z jego najdawniejszymi pamiątkami; bo jeszcze ojciec jego rozповідаł o nim i dzieciuną wzbudzał ciekawość gadkami o ogromnej władzy ludzkiej i nadludzkiej króla dziadów.

— Ta i co! — dodawał. — Nikogo nie okradł, nie ocyganił, chociaż jak ludzie mówią, miał żonę cyganekę i ta Olanka wnuczka jego, a śliczna, dalibóg śliczna była, co to była mamką przy Genciu małym — wyglądała jak cyganek.

Stary też król dziadów miał najwięcej może sympatji w całej okolicy do Goździkiewicza. Wszak obydwaj z tej samej pochodzą okolicy; a stary Wasyl może jeszcze dziada pana Jana pamiętał. Dosyć, że król dziadów z największą ochotą odstąpił Goździkiewiczowi chaty swojej, a ten chętnie przyjął to schronienie od Wasyla, o którego kogo innego nie poprosił.

Osobliwie żeby nie w Niżynach. Niżyniec nie cierpiał Goździkiewicza. Nie mógł im tego darować, że przestały być własnością Wyżynskich.

— Te mieszczuchy! — mówił o mieszkańcach Niżyniec z wyrazem pogardy, trudnym do oddania.

Opisawszy Goździkiewicza, nie zostaje nam nic więcej, jak opisać jeszcze jego powierzchowność, chociaż zdaje się nam, że po dotychczasowym opisie, każdy odgadnie człowieka rosnącego, barczystego, przez co wydaje się prawie dobrej tuszy, chociaż rzeczywiście prócz kości i żył nie wiele jest na nim zbytecznego ciała. Włosy ma ogromnie gęste, hyrowate, i niechętnie w ład składające się; były niegdyś ciemne, dziś przeprusza je już siwizna, przemagająca głównie koło skroni i na faworytach, które na jego szerokiej twarzy wyglądają jakby dwa ogromne krzaki, śniegiem posypane.

Rysy twarzy, prócz nosa nieco orlego i oczów z wyrazem poczciwym, wcale nieszczególnie, nawet lubownicy i zwolennicy arystokratycznej fizjonomistyki mogliby je nazwać i nie bez słuszności pospolitemi, do czego się przykładają ogorzałość i nabrzmiałość twarzy, pochodzące z tyłu słońce i tyłu mrozów, którym w swych ekonomicznych obowiązkach śmiało stawiał czoło.

Rozpisał się nad nim za nadto może szeroko, ale zdało nam się, że może być ciekawym taki nikiący już u nas i na zawsze typ,

zupełnie rodzimy, w którym rzeczywiście więcej niż myślimy, było charakteru naszego rodzimego. A potem opis jego charakteru, jego życia, i całego pochodzenia, z dodatkiem nawet szlachectwa, może nas będzie mogło wytłumaczyć, że śmieliśmy piękną jego córkę Hanię wynieść na rodzaj bohaterki. I rzeczywiście tylko w takim domu, przy otoczeniu i zbiegu takich okoliczności, które jeszcze wyjaśnimy w następnym rozdziale, mogło się wyrobić stworzenie, tak lubę, jaką ją zaraz przedstawimy, i za jaką chcielibyśmy, by czytelnicy nasi ją uznali, choć pod tak skromną żyje strzechą.

VIII.

H a n i a.

O piękności Hani już mówiliśmy, gdyśmy ją przez krótkich chwil parę ukazali czytelnikom naszym, stojącą na owej płycie kamiennej naprzeciw pasieki starego Wiciewicza. Rzeczywiście wyglądała ona jako prawdziwy pączek róży na pół rozkwitły, uroczy swą pierwszą barwą wiosnianą, której nie zniszczył żar letnich upałów, ubrylantowany, jeżeli się tak wolno wyrazić, dwoma perłami rosy rannej, jak bardzo dobrze przedstawićby mogły jej śliczne oczęta, patrzące na świat z czystością dwóch prawdziwych kropelek wody, której przejrzystości krystalowej nic jeszcze nie pokalało.

I to podobieństwo do pączka możnaby rozciągnąć do jej uczuć i myśli, które nie rozwinięte jeszcze zupełnie, z różanemi skrzydełkami swych listków czekają na pierwszy promień słońca gorętszy. I od dni kilku pączek serca i pączek myśli Hani zaczyna się rozwijać. Gorętszym słońca promieniem stał jej się wzrok młodzieńca, którego, gdy raz przypadkiem ujrzała, już więcej ślicznej jego twarzy zapomnieć nie mogła, i jakby pociąganiem magnetycznym wiedziona przychodziła codziennie na to samo miejsce, by resztę dnia i nocy przemarzyć o ślicznym czarnookim młodzieńcu.

Hania choć ekonomówna, nie była bez pewnego lepszego wychowania, które przypadkiem stało się jej udziałem. Przypadkiem wszystko nazywać lubimy, co prostą drogą rozumowania nie możemy sobie wytłumaczyć, a tymczasem wielkie jest pytanie, czy ten przypadek nie ma wyższego znaczenia czasem, i czy nie jest wynikiem jakiej nieznaney nam logiki, wyższej od naszych rozumowań, które budujemy na geometrycznych prawie rozumowaniach.

Ledwiebyśmy nie chcieli powiedzieć, że w tym właśnie przez nas dotkniętym razie przypadek tę wyższą odegrał rolę. Hanię przypadek lepszem obdarzył wychowaniem, bo już sama Hania była czemś wyjątkowem w tym świecie, w jakim po raz pierwszy na świat popatrzyła. Każdemu to się trafiło przecie, choć raz w życiu, iż zdybawszy w tej lichej lepiance, którą człowiekiem nazywamy, coś wyższego, nie możemy pojąć jak ta wyższość, ta iskra promienna, tam właśnie padła, gdzie ją zdybujemy. Nas to tem mniej dziwi, i tem

się naturalniejszem wydaje, że rzeczywiście trafiło się nam zdybać podobną Hanię, w domu gdzie była prawdziwie szczególnym meteorem, i jak meteor prędko zgasła.

Nasza Hania zarównoż była dziwnie przez matkę przyrodę uposażoną. W otoczeniu dworka ekonomicznego, pełnego prozy nudnej, codziennej, zaglądnącej przez wszystkie okna dziedzińcowe, rosło dziecię pełne szczególnej poezyi, która się Bóg wie zkad i Bóg wie jak w niej samej wyrabiała, i rzucała na całą okoliczną prozę światło tak promienne, iż nawet najciemniejsi w około przyznać to musieli. Małą Hanię nazywały dziewczki na folwarku i baby ze wsi aniołkiem. Była u niej uroda niepospolita, z tym urokiem, który od niej padał, i każdy najprostszy przedmiot podnosił sposobem, jakim się nań dziewczę zapatrywało i jakim się o nim wyrażało. Nieraz ojciec i matka zdumieni słuchali, jak dziecię małe, patrząc na najprościejsze zajęcie gospodarskie, umiało je same przed sobą podnieść i upoetyzować, czy to jakimś nazwiskiem, czy odwołaniem się do pożyteczności onego, czy najczęściej zwrotem do tej wszechmocnej łaski, z której leje się bez końca tyle dobrodziejstw na ziemię.

I rzeczywiście czyliż one nie padają żywym deszczem poezyi; my im prozą być, za prozę służyć każemy.

Ojciec i matka nie wiele się na tem rozumieli i niedalecy byli od tej myśli przesądnej, którą lud Wyżyniecki zaczynał już rozpowiadać, że to pan Bóg zesłał tylko dla próby aniołka na chwil kilka, poczem wnet zniknie. I kto wie, czyby to jakieś wyższe usposobienie dziewczęcia nie było utonęło wreszcie w prozie przeznaczenia biednej ekonomówniej, gdyby nie przypadek, o którym zaraz mówić będziemy.

To jej usposobienie odzywało się najczęściej błogiem jakimś zamyśleniem, z którego nagle wylatywały słowa, prawdziwe iskry ducha, niktne najczęściej niepostrzeżone. Nie lubiła się bawić jak drugie dzieci, i jeżeli się bawiła to sama jedna, a najmilej przegładając obrazki w starej biblii, spuściźnie po panu Tomaszu Goździkowiczu. Na nich wyrabiała sobie jasnowłosa dziewczynka najpoetyczniejsze wyobrażenia o tej biblijnej przeszłości, schodzącej do jej główki prosto z nieba, po prawdziwej drabince Jakóbowi we śnie objawionej, po drabince cudów na ziemię zesłanych.

Coraz więcej nabierała mała Hania namiętności do długich i samotnych marzeń, na poły mglistych, poezją wyobraźni niewinnej tkanych, na poły pobożnych. I nieraz budziła się z tych marzeń dwoma łzami, które powoli z błękitnego jak niebo oka spływały na śliczną twarzyczkę.

— Czego płaczesz Haniu? — pytała nieraz matka.

— Ja się modłę! — odpowiadała dziewczynka głosem, który słodyczą swoją i dźwiękiem był w zupełnej harmonii z całym jej niezwykłym usposobieniem.

Ten jej stan, jakbyśmy się wyrazili, jasnego marzenia przechodził pomalą w rodzaj chorobliwości, która swą błądzącość rozciągała po przejrzystych dziecka licach, a oczy emitowała mglistą powłoką.

— Ona musi umrzeć! — mówili rodzice po cichu do siebie, i szli dalej do zatrudnień swoich.

Lecz przypadek zrządził inaczej.

Zanim jednakże przystąpimy do opisanego tego przypadku, musimy jeszcze jeden epizod opowiedzieć z dziejów rodziny Goździkiewiczów.

Tomasz Goździkiewicz pomiędzy mnogimi dziećmi swemi miał jedną córkę Weronikę, która młodą dziewczęciem jeszcze zakrawała na wielką piękność. Kasztelanicy polubili ją bardzo, to też Weronia ciągle prawie była we dworze, gdzie pomалу obok rozwijających się wdzięków niemałego nabrała wykształcenia, zanadto wielkiego nawet jak na córkę prostego ekonoma. Pan Tomasz zdrowym rozsądkiem obdarzony, gryził się tem nieraz, najgorsze przewidując skutki.

Zjawiła się tymczasem razu jednego w Wyżyncach pani generałowa, siostra samej kasztelanicy, pani z wielkiego świata i wielkiego majątku. Weronika podobała się jej bardzo, mianowicie z dowcipu i wesołości, której w rzeczy samej miała bardzo wiele, a że generałowa była wdową i sama jedna, bo jedynak syn na dalekich był wojazach, zapragnęła ją mieć przy sobie.

— Ta i lepiej! — powiedział pan Tomasz, nie bez serdecznego westchnienia. — Ona i tak nie zda się już do naszej ubogiej chaty. Niech jedzie w świat.

I pojechała w świat z generałową, nie bez boleśnego i pełnego łez pożegnania z rodzicami i rodzeństwem, bo Weronika miała bardzo dobre serce. Rzadkie o niej miano wiadomości w Wyżyncach, bo generałowa niespokojnym duchem obdarzona jeździła ciągle, to do Warszawy, to do Petersburga, to za granicę. Później i te wiadomości ustały, przynajmniej nie musiały być bardzo wesołe, bo pan Tomasz zapytany o nią, marszczył czoło i uporczywie milczał. A jeżeli go pytano za nadto zdruziliły:

— Ona i tak dla nas umarła — odpowiadał, i uciekał w pole, a zły jego humor robotnicy w polu odpokutować musieli.

Coś musiał wiedzieć i pan Jan, ale także niechętnie o niej gadał, chociaż wspominał ją zawsze w codziennym pacierzu i z rozrzewnieniem nieraz przed żoną mówił, że ją od dziecka z całego rodzeństwa najserdeczniej kochał.

Ludzie, którzy zawsze są ludźmi, nie byli zadowoleni tem milczeniem, a lubiąc jak zwykle każdą rzecz bliźniego się tycającą zgruntować, rozmaite o jej losie tworzyli domniemywania. Już to najwięcej rozpowszechnioną była wieść, że Weronika nie była szczęśliwa, bo jakiś romans z człowiekiem wyższego stanu skrzywił jej całe położenie. Nareszcie, jak to bywa zawsze, zapomniano o niej, jak o umarłej.

Po latach wielu pojawiła się nagle Weronika w domu brata. Jakie jej były losy, nikt z pewnością nie wiedział, prócz brata zapewne, który serdecznie się splotał przy przywitaniu, i przyjął siostrę z otwartymi rękoma. Czy była zameżną czy panną, jeszcze nikt nie wiedział, i nie pytał nawet, bo ona dla wszystkich w okolicy

była obcą prawie, a potem już się wówczas nie najlepiej zaczęło powodzić panu Janowi, a tem samem nie zbyt obszerne były jego stosunki i przyjaźnie. Mówiono tylko czas jakiś, że musi mieć jakiś własny mająteczek, bo się zawsze porządnie choć skromnie ubierała.

Zmienioną była Weronika; były ślady dawnej piękności, ale dawna wesołość, trzpiotowata nawet nieraz, znikła zupełnie. Ale za to cała jej postawa i obejście się z ludźmi, było pełne słodkiej i spokojnej powagi. Doświadczenie życia dało jej zapewne wiele cierni, ale nie zepsuło jej serca; przeciwnie nadało jej wielkiego hartu, który przy widocznie wyższem wykształceniu, zrobił z niej kobietę pełną zalet prawdziwych.

Przywiązała się od razu do małej Hani, z całą siłą serca, wypróbowanego życiem, ale zawsze uczuć łakącego. Poznawszy usposobienie szczególne swej małej bratanki, zajęła się zupełnie jej wychowaniem. Ani nauczycielki, ani uczeniicy usposobienie nie było tego rodzaju, aby to wychowanie mogło być zupełnie skierowane do stanu w jakim się Hania urodziła. Doświadczeniem nauczona ciotka starała się tylko zbytnią egzaltację młodej dziewczyny sprowadzić na tor więcej odpowiedni prozie życia. Nie mogła zaś tego inaczej uskutecznić, jako zajmując jej umysł do marzeń skłonny ciągle nauką, ciągłym kształceniem tych wyższych zdolności, jakie jej przyroda dała. Jeżeli jakie miała Weronika własne fundusiki, obracała je na kupowanie książek, w których wyborze była nadzwyczaj ostrożną. Ale umysł Hani nie mógł się obejść zupełnie bez poezji, z kąd poszło, że Hania mając lat ledwie siedmnaście, znała poetów naszych, i mimo wszelkich starań ciotki, mimo prozaicznego otoczenia, żyła w cudownym i tak dla serc młodych ponętym ich świecie. Lecz ona tę poezję miała w sobie, ale jak wiele innych na jej miejscu uczyniłoby, nie ubierała się w nią jakby w szatę jaką, schlebiającą próżności.

Hania przy całym wykształceniu swoim, wyższem daleko nad stan, była nadzwyczaj skromną, i z dziwnym na jej wiek, na pół instynktowym, na pół przez ciotkę nadanym taktem, umiała się stosować do swojego o tyle niższego od niej otoczenia. Ciotka bowiem zastawszy u Hani silnie podniesione uczucie religijne, użyła go, aby dziewczynę skierować ku zdrowym pojęciom o obowiązku, który w życiu przeważyć powinien wszystkie myśli najwznioslejsze i uczucia najpowabniejsze.

Hania zrozumiała doskonale nauki ciotki, i prawdziwie rozrzuwającym byłby dla człowieka myślącego widok, jak ta młoda, śliczna, pełna wewnętrznej poezji dziewczyna, umiała tę poezję swoją stosować do koniecznej prozy w jakiej żyć musiała; jak starała się poświęcać dla tej prozy, nie okazując na sobie ani śladu, by ją to poświęcenie kosztować miało.

Z największą ochotą, z uprzedzeniem i z wesołością nawet poddawała się ciężkiej pracy, jakiej wymagało jej położenie społeczne i rodzinne. Bo Hania w swojej młodej główce obowiązek umiała ubrać w szatę poezji własnego serca.

— Bóg mnie tak postawił! a co robię to robię dla moich drogiech rodziców i dla lubego rodzeństwa.

Takie lub temu podobne były wówczas jej myśli, i każda robota szła jej prędzej niż drugim w rękę, bo szła od serca.

Ktoby ją widział zajęta przy gospodarstwie, nie byłby uwierzył nawet, że to skromnie odziane dziewczę, skromną wykonując robotę, miało sliczną główkę, pełną najwznioślejszych myśli, a poczciwe serce pełne uczuć najpoetyczniejszych. Czasem tylko, gdy młodym swym i dźwięcznym głosem zanuciła którą z piosnek wieszczów naszych, twarz jej i oczy promieniły się wyższością ducha.

Rodziców i rodzeństwo kochała serdecznie i gotowa była poświęcić im każdą godzinę życia swego, ale ciocię Weronię kochała namiętnie. Wolałaby umrzeć, niż zasłużyć na najmniejszy wyrzut cioteczki, jak ją nazywała.

Taką była bohaterka, którą wprowadzić pozwoliliśmy sobie. Było to dziewczę pełne uroku, i w twarzy i w oku, i w głowie i w sercu, w których drzemały wszystkie myśli i wszystkie uczucia, jakie opatrność daje ludziom wybranym, jakby w zastępstwie utraconego raju.

Lecz to wszystko było w zawiązku dopiero, w pączku pierwszej wiosny. Co się wywinie z pączka, to dopiero zawyrokuje pierwszy dzień burzy letniej.

Czy wytrwa dziewczyna w tem swoim tak odrębnem, tak dziwnie harmonijnem usposobieniu, przyszłość okaże. I niedaleka już ta przyszłość, bo od kilku dni serce jej bije gwałtowniej, błękitne oczy zalewają się łzami, których wstrzymać nie może, i które nagle ustają przy pół westchnieniu a pół uśmiechu, z jakim patrzy przed siebie na ten świat cały tak piękny, tak uroczy, jakim go jeszcze nigdy nie widziała, ani własnymi oczyma, ani oczyma swoich najulubieńszych poetów.

Ona zaczyna kochać! To pierwszy wiersz tego cudnego poematu pierwszej miłości, poematu, w którym śpiewają wszystkie najcudniejsze nuty uczuć, po którym rozlane są bogatsze barwy, raz tylko siłą młodej wyobraźni dobyte.

Ona już kocha! Sama nie wie o tem, sama nie pojmuje tego słodkiego niepokoju, który ciągle bez ustanku zdaje się kołatać od serca do głowy, od głowy do serca. Ona to tylko rozumie, że nic piękniejszego w życiu nie widziała, i nic piękniejszego nie przeczuwała, nad te czarne oczy młodzieńca, który choć nie jeszcze nie mówił, ale temi oczami swemi to jej wypowiedział i to wyśpiewał, co jej dotąd żaden wiersz nie powiedział, żadna piosnka nie zanuciła.

Przyzwyczajona nie tać przed ciotką żadnego wrażenia, byłaby jej zapewne opowiedziała zaraz swoje szczególne zdybanie z temi oczami nieruchomie w nią patrzącemi, ale ciotka była właśnie słaba. Biedna Weronika ostatni swój fundusik oddała, by ratować nędzę brata.

— Cóż teraz będzie z moją Hanią! — była to myśl jej codzienna; to była jej słabość.

A jak pierwszy raz nic nie powiedziała, już jej drugi raz ciężiej przychodziło zwierzyć się cioteczce, i z czem wreszcie?

A przecież po ostatniem widzeniu się z Eugenjuszem, postano-

wiła opowiedzieć koniecznie wszystko; bo była chwila, w której uczyła jakby jakiś wyrzut wewnętrzny. Była to chwila, gdy się nagle na płycie kamiennej pojawił stary król dziadów. Zadrżała mimowolnie, i jeszcze się więcej przestraszyła, gdy po odejściu Eugenjusza stary Wasyl, którego ona bardzo lubiła i w myśli swojej poetyzowała, zapytał ją tym głosem słodkim, który się czasem z ust starca do-
bywał:

— Haniu! czego ty drzysz?

Hania była ulubienicą starego Wasyla. Nieraz on wychodził z chaty swojej wieczorem i całemi godzinami słuchał śpiewu młodej dziewczyny. I nieraz przy czułych poetycznych słowach pieśni, łzami zalały się ślepe oczy, jakby rozumiał te słowa. Bo co staremu żebrakowi brakowało wykształcenia, to mu zapewne dodawało stare doświadczenie życia i tyloletnia marzeńiu oddana samotność. Bóg dobry wlał poezją w każdą pierś człowieczą, a wieszczom dał władzę, by jednym uroczem słowem uderzać w tę strunę poetyczną do wtóru swej pieśni.

— Sama jesteś? — dodał po chwili stary Wasyl, nieruchome wlepiając oczy w zarumienioną dziewczynę.

— Może on go widział? — pomyślała dziewczyna, która w tej chwili przypomniała sobie to wszystko, co sobie lud prosty rozpowiadał o cudownym darze króla dziadów, widzenie wszystkiego mimo ślepych oczów. A cóż skłonnieszego do przesądnych wyobrażeń, jak poetyczne usposobienia.

Nic nie odpowiedziała staremu Wasylowi, ale wracając do domu, mimowolnie pytała sama siebie, idąc za przyzwyczajeniem wlanem w nią przez ciotkę, by w każdej milej czy przykrej życia chwili surowo się zawsze badała.

— Miałooby to być co złego?

I szybszym biegiem poskoczyła do ciotki. Ale ciotka leżała w łóżku.

— Jutro powiem cioteczce! — rzekła sobie w najlepszej wierze.

A nazajutrz ciotka była słabsza jeszcze, a jak przyszła ta godzina wczorajsza, pozawczorajsza, którą jej serce zdało się wybić wyraźnie, pobiegła na płytę. Lecz nikogo nie zastała. Eugenjusz jak wiemy tego dnia pojechał do Nizyniec.

Natomiast zobaczyła spieszącego na bronniaku pana aktuarjusza, którego nie cierpiała, bo już kilka razy zbliżał się do niej, i jakieś takie jej nudne i niezrozumiałe prawil rzeczy, że aż w jej główce zagadało:

— Czy szalony czy co?... ależ nudny!...

Uciekła co prędzej z płyty. Aż tu znowu na ścieżce zdybała Iwana. Zadrżała dziewczyna, bo nie wiedząc dla czego, ona bała się go; na jego widok, jakkolwiek wiemy, że Iwan był bardzo przystojny, czuła jakąś szczególną odrazę, jakiej się doznaje czasem na widok jakiejś poczwarnej postaci, lub płazu obrzydliwego. Nie umiała sobie zdać z tego rachunku, ale mimowolnie oczy Iwana przywodziły jej do głowy przez jakieś dziwne zespolenie myśli obraz ognia piekielnego, który wre wiecznie w oczach potępionych. Nie śmiała sama

przed sobą przyznać, że na widok Iwana budziło się w jej sercu coś na kształt nienawiści.

— Może to przecucie? — zdrząło czasem w jej sercu.

Nie miała wszakże na pozór żadnej przyczyny do takich względem Iwana uczuć, bo Iwan nigdy jej przykrego nie powiedział słowa, przeciwnie robił co mógł, by się jej przypodobać. Jakkolwiek sławny z lenistwa, zadał sobie raz pracę, by uwić dla niej z łożyny koszyk wcale zgrabny, na którym wyrobiona była jej cyfra; bo Iwan miał niby jakieś pojęcie o alfabecie, dzięki staremu bazylianowi, który bardzo lubił starego Wasyla. I wiele razy ją zdybał, zawsze się jej kłaniał, i spoglądał na nią jak mógł najczulej, i jakie miał najpiękniejsze śpiewał jej piosenki, głosem, któryby w innym stanie mógł przynieść mu sławę i majątek może. Nic to nie pomagało; Hania uciekała zawsze od niego. Nie była to z jej strony pogarda; bo Hania dla starego Wasyla miała nawet rodzaj uszanowania, i z najuboższym chłopkiem rozmawiała najuprzejmiej.

I tym razem, gdy go zdybała, oddawszy mu ukłon przyspieszyła kroku.

— Panna Hania ucieka przedemną? — wyrzekł Iwan, a oczy jego zaiskrzyły się zapalczywie.

— Ja spieszę do cioteczki! — odrzekła niepewnym głosem.

— Panna Hania pogardza mną?.. a ja jak zechcę, to przestanę być prostym chłopem. Mój dziadek!..

— Cioteczka słaba! — zagadała Hania co prędzej.

— Wiem! wiem ja! — przemówił znowu Iwan, a w jego głosie i oczach odbił się wyraz złowrogiej namiętności. — Nie było nikogo w pasiece! — mówił dalej — ha! ha! Iwan jak kocha tak kocha, ale jak nienawidzi!.. tego i pan Bóg nie obroni.

Hania ledwie dosłyszała tych słów, których raczej głos zło-wieszczy niżeli znaczenie jej niezrozumiałe, dodało jej skrzydeł.

— Nie było go! nie było dzisiaj! — dzwoniło jej ciągle w uszach, bolało w sercu. — I na cóż tu gadać przed ciotką! On pewnie nie wróci!..

— Nie wróci! — powtórzyło echo westchnienia.

Smutny to był dzień dla Hani; takiego dnia nie pamiętała nigdy.

A przecież nazajutrz pobiegła znowu na płytę. Tęskne oczy pobiegły ku pasiece. Niema nikogo. Już więcej nic widzieć nie mogła, bo dwie ogromne łzy zaćmiły wzrok biednej dziewczyny.

Wtem coś zaszeleściło koło niej. Już chciała uciekać, bo w zbliżającym się do niej zdało się jej poznać Iwana. Ale nie, to nie Iwan, to jakiś góral. Ten sam góral, którego zajrzeliśmy w chacie króla dziadów, ale bez przepaski na oku. Stał koło niej i patrzy w nią dwoma zdrowymi, czarnymi jak węgiel i jak węgiel zarzący palącemi oczyma.

Dziewczyna stanęła jak wryta. Patrzy i patrzy, i coraz widomiej, coraz silniej występuje jej na twarz rumieniec tak krasny, jak zorza na niebie.

— To ten piękny młodzieniec z pasieki! — zaśpiewało jej w bijącej piersi. Ale słowa przemówić nie śmiała.

— Haniu! — przemówił góral, słowem, spojrzaniem i westchnieniem, a tak mile, tak jakoś czarownie, że dziewczynie ledwie serce z piersi nie wyskoczy prosto do pięknego młodzieńca.

Ale słowa przemówić już teraz nie mogła nawet.

— Haniu! — powtórzył góral, jeszcze słodziej, jeszcze czarownie.

Biedna dziewczyna nic odpowiedzieć nie umiała, ale sama o tem nie wiedziała, jak jej ręka pobiegła ku piersi, by przytrzymać zapewne uciekające serce.

Biedna dziewczyno! ni ręką, ni silniejszą od niej wolą nie przytrzymasz już uciekającego serca.

— Nie poznałaś mnie Haniu? — pytał znowu młody góral, a głos jego miał dla niej harmonją najpiękniejszej z jej pieśni ulubionych.

Dziewczyna zaczynała się wstydzić własnego milczenia. Ale cóż na to robić, kiedy tak pełno myśli w główce, a takie mnóstwo uczuć w sercu, że po za uczuciami żadne dobyć się nie może słówko. Ale oczy Hani same z własnej woli pobiegły od młodzieńca i zatrzymały się tam za potokiem, czy owem drzewie w pasiece. Zdrajce oczy!...

— Poznałaś mnie Haniu! — zawołał góral radośnie, i porwał ją za rękę.

Hania ręki wziąć nie bronila, bo jej ręka drżała wraz z sercem ku pięknemu młodzieńcowi. Scisnęła serdecznie, serdecznie odcisnęła. Jakże nie odcisnąć, kiedy on tak patrzył, że ją wzrokiem swoim całą uchwycił i porwał w ten świat cudów i uroku, świat marzeń i ufudy, świat nadziei i szczęścia!...

— Słuchaj Haniu! — rzekł znowu młodzieniec.

I Hania słuchała. O gdyby całe życie słuchać takich słów.

— Haniu! chodźmy! — mówił dalej góral młody.

I poszli oboje po ścieżce pomiędzy skały i drzewa, po nad szumiącym potokiem, wzdłuż łączki zielonej, środkiem krzaków i kwiatów. Szli długo milcząc. Cała piękność okolicy urokiem wiosny ubarwionej, mówiła za nich temi wszystkimi głosami ptaków i kwiatów, nieba i ziemi, które wszystkie mówią do młodych uczuć w wiosnie życia: — Kochajcie się!...

— Ja cię kocham! moja Haniu! — przemówił wreszcie młodzieniec...

— Kocham! — odpowiedziała Hania, bo inaczej odpowiedzieć w tej chwili nie mogła, bo innego słowa ani z głowy, ani z serca dobyć nie potrafiła.

Te dwa słowa przez młodych ludzi wymówione, rozkuły milczenie. Stały się onym talizmanem starej bajki, za którego dotknięciem rozwarły się potężne wrota, wiodące do zaczarowanego ogrodu.

I dwoje dawno znajomych szli dalej ręka w rękę, i zaczęła się między nimi rozmowa swobodna, w którą jedno i drugie wiali oboje wszelkie bogactwo swych myśli i uczuć.

Młody góral rozповідаł jej całą przeszłość swoją, nie prze-

szłość działań swoich, bo i cóż w swym wieku mógł jeszcze zdziałać, nie przeszłość swojego urodzenia; wszakże Hani nie przyszło nawet na myśl zadziwić się, a tem mniej zapytać, dla czego dzisiaj w innym przed nią stanął stroju. On jej rozповідаł przeszłość wszystkich swoich marzeń młodzieńczych, co tylko kiedy przedumał, przeczuwał, co gonił kiedy pierwszym westchnieniem i pierwszą nadzieją.

I wszystko się ziściło. wszystko, gdy ujrzał Hanię.

Dziwna rzecz! gdy Hania zaczęła rozповідаć, pokazało się, że i ona to samo przedumała, przeczuwała, w zorzy rannej, w mgle wieczornej, w pieśni swych piewców najmiłszych, w wierszu swych wieszczów najulubieńszych, przewidywała to samo co on.

I wszystko się ziściło; wszystko, gdy ujrzała młodzieńca.

Oboje zdybali się w środku wyobrażeń poetycznych, swych usposobień tak podobnych do siebie wykształceniem i zapałem. Co chwila, to jakaś im nuta przyszła do ust, z całym bogactwem swego uczuć tonu; to znowu wiersz znany, przy którym serca obojga były pierwiej w oddaleniu, a teraz biją zbliżone wzrokiem obojga, który i to im jeszcze wygadał, czemu słowa nie starczyły.

Lecz dosyć i nadto tego opisu, który gdyby go najżywszem pisać wspomnieniem, będzie zawsze cieniem tylko a raczej echem, coraz ciszej bijącym, im się więcej pierwszy oddala głos.

Łatwo pojąć, że przy usposobieniach obojga tak podobnych do siebie, wzajemne ich uczucia, w tak szczególnej zdybujące się harmonii i głowy i serca, rosły co chwila, i że chwil kilka wzmogły je do takiej siły, do jakiej w innych stosunkach po dłuższej ledwie przyjść może znajomości.

Oboje gotowi byli wszystko dla siebie poświęcić.

Kocham cię nad życie! ten frazes tyle razy poniewierany był w tej chwili najsiłniejszą prawdą ich ust i serc. Czemuż! o czemuż taka chwila długo trwać nie może? czemu tej prawdzie urąga świat i jego proza!

I nasza młoda para miałażby doznać tego smutnego odczarowania?...

Chwila po chwili, godzina po godzinie mijały, a młodzi kochankowie nie mogli się dosyć nagadać tej rozmowy, w którym jedno wyzwanie, jedno słowo jest tylko tłem do najpiękniejszych obrazów... mglistych obrazów! powiada zimna rzeczywistość.

Jak na ich szczęście był to dzień jak wiemy świąteczny. Nikt im nie przeszkadzał; i niebytność Hani w chacie rodzicielskiej przeszła niepostrzeżona.

Wtem zdawało się dziewczynie, że słyszy jakiś głos wołający ją po imieniu.

— To mój mały braciszek woła mnie! — rzekła budząc się jakby z lubego snu. — Muszę wracać do domu! — dodała z westchnieniem i spojrzeniem, które dopowiedziały młodemu góralowi, czego mu usta powiedzieć wstydyły się.

I pomału wracali nazad, po pod łąkę zieloną, wzdłuż szumiącego strumyka, pomiędzy krzaki i kwiaty; wracali tą samą ścieżką, po

której oboje rozrzucili z skarba swych serc młodych tyle myśli, uczuć i słów gorących.

Już byli niedaleko znajomej sobie płyty.

— Jutro przyjdziesz tu! — rzekł do niej rozmarzony młodzieniec.

— Jutro! — odrzekła dziewczyna. I mimowolnie przykre jakieś ozwało się w jej piersi uczucie.

Złowrogie to słowo, to jutro, budzące w człowieku tysiące myśli wątpliwych

U Hani obudziła się rozwaga, uspiona dotąd nawałem uczuć, rozwaga, do której młoda dziewczyna od dziecka przyzwyczaiła się. Stała przez chwilę jakby w zamyśleniu.

— Jutro przyjdziesz do nas? nieprawdaż? — rzekła do niego...

Młodzieniec milczał. Dla czego, sam nie wiedział. Bo czyliż on dotąd zastanowił się nad sobą i swoim położeniem...

— Przyjdiesz do naszej chatki, i... powiesz moim rodzicom, i mojej cioteczce... powiesz...

Tu sama nie wiedziała jak ma dokończyć. Po chwili:

— Gdzie twoja chata... mój miły? — dodała, i nagle zbladła.

Po drodze rozwagi niepodobna się utrzymać. W tej chwili spojrziała na jego ubiór góralski, i dopiero sobie przypomniała tę zmianę jego stroju. Chciała spytać, lecz nie śmiała.

— Co tobie Haniu? — zapytał młodzieniec, widząc nagłą zmianę w jej twarzy...

— Ja chciałam...

— Co?...

Długo trwało, zanim pół słowem zdołała przed nim wytłumaczyć myśli swoją.

Zarumienił się młodzieniec, bo w tej dopiero chwili uczuł nierozwagę swoją. I znowu jej powtórzył, jak ją na przechadzce raz zobaczył, jak zobaczywszy pokochał, i sam przed sobą przysięgł, że ją do śmierci kochać będzie. I dalej opowiadał wymownymi słowy, jak on dawno znudzony już tem życiem nieznośnie obłudnem i prozaicznem, jakie pędzić musi w otoczeniu swoim towarzyskiem; jak tam nic nie przemawia do jego serca, które już od dawna wzdycha za życiem wolnem, któreby odpowiedzieć mogło jego wyobrażeniom i żądom, pełnym wyższej, ołowianemi więzami rzeczywistości nie obciążonej poezji. I że nareszcie teraz znalazłszy ją, nie chce już wrócić nazad w to życie przymusu.

— Starczy nam zawsze na chatkę tam w górach, w naszych pięknych Karpatach, tam gdzie i powietrze i ludzie są swobodniejsi!

Hania słuchała go z uwagą i z zajęciem, bo wszystko co mówił trafiało jej do serca i do przekonania. Ale nadaremnie serce jej upajało się wymową i wdziękiem mowy kochanka, rozwaga jej była już rozbudzona.

— Ale rodzice twoi, mój luby?..

— Rodzice moi! — powtórzył młodzieniec, sam zdziwiony, że to słowo tak mało w nim budzi uczucia.

— Jakże się zowią? — dodała z trwogą, którą drżała mimo-

wolnie. — Jak się zowiesz mój luby? — zmieniła pytanie, przerażona jego milczeniem...

— Eugenjusz!...

— Eugenjusz Wyżyński! — krzyknęła Hania i pobladła okropnie.

Biedna dziewczyno! chciałaś rozwagi, masz rzeczywistość.

Eugenjusz z nowym a szczerym zapałem powtarzał Hani swoje romantyczne zamiary i przysięgi wiecznej miłości.

Hania drżąca jak listek burzą miotany, stała przed nim z oczami w dół spuszczone, niema i blada.

Eugenjusz tłumaczył swoje przebranie tem także, że wiedząc o natręctwie młodego aktuarjusza z Niżyniec, chciał pod tem przebraniem być bliżej, by w każdym razie stanąć w jej obronie.

Hania podziękowała mu czułym spojrzeniem i spojrzeniem powtórzyła mu, że go kocha całym sercem, całą duszą, ale nie rzekła ani słowa.

— Chcesz Haniu, bym przyszedł do twoich rodziców, pójdę zaraz, padnę im do nóg, i powiem, że albo żyć nie będę, albo będę ich synem. Haniu ja bez ciebie umrę...

— Nie mój luby!... nie przychodź!... ja jutro przyjdę tu sama! — wyrzekła nareszcie, ale głos jej był okropnie drżący...

— Przyjdiesz? — pytał Eugenjusz, patrząc z przestachem w jej twarz pomieszaną.

— Przyjdę — odrzekła raz jeszcze i z największym natężeniem zwróciła się chcąc odejść.

— Haniu!... co tobie?... powiedz, że mnie kochasz i do śmierci kochać będziesz.

— Kocham! kocham! — odpowiedziała dziewczyna. — Kocham! do śmierci! — powtórzyła uciekając ku chatce. — Do śmierci! — rzekła raz jeszcze w oddaleniu, a w jej głosie były łzy.

Pierwsze to łzy serdecznej rozpaczki, które Hania splakała. Resztę dnia przepędziła przytulona do kolan kochanej cioteczki, której wszystko, wszystko powiedziała, co tylko miała na sercu.

Eugenjusz długo stał i patrzył ciągle za Hanią, choć mu już dawno z oczów znikła. Tak go zastał Semen, który z dziwnym patrzył na niego współzuciem.

IX.

Rzut oka w przeszłość.

Wieczorem dnia tego siedział Eugenjusz niedaleko chaty króla dziadów. Oparty o skałę patrzył przed siebie okiem nieuważnym. Spoglądał w przepaść tuż pod nogami swemi, i dziwny wyraz smutku odbijał się na pięknej jego twarzy. Słońce zachodzące ostatnimi promieniami ozłacało szumiący w dole potok, wierzchołki drzew i wystający z nich krzyż cerkiewny, który zdawał się ogniem palić. Wieczór

jak w lecie cudownie był piękny, ale Eugenjusz nie uważał ani na piękności okolicy, ani na ten urok, tyle razy dawniej podziwiany przez niego, urok letniego wieczora.

Niedaleko od niego stał o stary pniak oparty Semen, i z niezwykłym zajęciem przypatrywał się młodzieńcowi.

Po chwili już przyszedł, niepostrzeżony przez Eugenjusza, i kilka już razy ruszał się z miejsca swego, jakby chciał zbudzić młodzieńca, którego smutne zadumanie przechodzić zdawało się na twarz żebraka.

Snać już dłużej wytrzymać nie mógł, ozwał się bowiem pierwszy.

— Czego wy tak smutni paniczu?...

— Smutny? — powtórzył Eugenjusz jakby ze snu zbudzony.

— Wszakże was panna Hania kocha.

— Ona mnie kocha?... mówisz!... a przecież ja tu w piersi mej czuję, że niema dla mnie szczęścia.

— Nie mówcie tego paniczu!... by się Bóg nie rozgniewał. Cóż wam brakuje?...

— Ty tego nie rozumiesz...

— Prawda że nie rozumiem, ale Semenowi przykro, bardzo przykro...

— I ja sam nie rozumiem siebie zawsze — mówił Eugenjusz ciszej, jakby sam z sobą rozmawiał. — Tam przenieść się chciałbym, tam gdzie te sine obłoki po nad górami zawisły, precz od tej nudnej codziennej prozy, precz od ludzi zimnych... ale Hania!... Hania czy zechce... Nie! nie!...

— Ale paniczu! Hania zrobi co sami zechcecie, i pójdziecie paniczu w świat jak chcecie!.. i Semen do śmierci wam służyć będzie jak pies wierny.

— Ty Semenie? — zapytał go z niejakim zadziwieniem.

— O bo Semen dałby się zabić za was, Semen was takim chłopackiem pamięta.

— Pamiętasz mnie? — mówił Eugenjusz dalej, patrząc zdumiony na rozrzewnienie żebraka.

Nie od dzisiaj już to uważał, że stary Semen z dziwnem na jego położenie i prawdopodobne wychowanie był dlań przywiązaniem. Od czasu jak wrócił ze stolicy do domu rodzicielskiego, zdybował go wszędzie, i w każdym prawie kroku widział dowody szczególnej jego życzliwości. On to go pierwszy jakby naumyślnie sprowadził do pasieki, gdzie po raz pierwszy ujrzał Hanię. On go przestrzegł o częstem przyjeżdżaniu młodego aktuarjusza z miasteczka, i pierwszy wzbudził myśl zbliżenia się do niej i pilnowania pod przebraniem, któreby możliwem zrobiło pobyt jego pomiędzy chatami wieśniaczemi, bez wzbudzenia podejrzeń. On nareszcie więcej jeszcze podsycił ducha jego niespokojnego swemi opowiadaniem o królu dziadów i o cudnych okolicach i dziwach karpackich, które zdawał się znać doskonale. Dostyc że i Eugenjusz czuł mimowolny jakiś pociąg do starego żebraka, który sobie tłumaczył wdzięcznością za okazywaną mu przychylność. Uczucie to zresztą dla tyle niższego od siebie, godziło się zupełnie z usposobieniem Eugenjusza, który, jak to już mówiliśmy,

w niczem nie stosował się do swojego otoczenia i do położenia społecznego w jakim się urodził, ale natomiast szczególną miał skłonność do wszystkiego, co tchnęło stroną jaką romantyczną lub awanturniczą.

— Czy pamiętam? — pytacie się paniczu. — Ile to ja razy nosił was na rękach, gdy was wyniosła na spacer mamka wasza.

— Mamka moja! — zawołał z silnym wyrazem Eugenjusz.

— Pamiętacie ją paniczu? — zapytał Semen, i łyzy zakreśliły mu się w oczach.

— Pamiętam jakby przez sen!... czarne jej oczy, zawieszona nademną, jakby gwiazdy dwie. Ty ją znałeś?..

— Oj znałem paniczu...

— I już dawno nie żyje zapewne; bo nagle mi znikła, i tylko pamięć jej oczów została.

— Nie żyje! dawno już nie żyje. Ja już miał czas, postarzeć się, a młodym byłem jeszcze człowiekiem, kiedy umarła. Sliczne paniczu miała oczy, jak wasze.

— Opowiedz mi o niej.

— To wy kochacie ją paniczu?... dobrze robicie, bo ona was bardzo kochała.

— Kochała mnie? Ja sobie dziś jeszcze przypominam nieraz jej pieśzcoty, aż mi serce zdradzi tęsknotą za nią.

— Dobry paniczu! — zawołał Semen namiętnie, i pocałował Eugenjusza z zapałem w rękę.

— Słuchajcie paniczu! — mówił dalej. — Stary nasz król miał czterech synów i cztery córki, i piękny to był ród jego, chociaż ludzie mówili, że w nich wszystkich płynie cygańska krew, bo stary Wasyl, gdy jeszcze młodym był chłopcem, poszedł raz o żebrany kiju aż do Dorny, gdzieś tam niedaleko ku węgierskiej ziemi. I tam gdzieś zdybał cygańską bandę, która szła do nas przez góry aż z węgierszczyzny. I była między nimi dziewczyna bardzo młoda jeszcze, tak dziwnie piękna, że ludzie, co ją jeszcze znali, mówili, że w jej piękności jakieś były cudowne uroki, i bodaj czy ludzkie tylko. Wasyl ładny był także, a ojciec jego, który był królem dziadów przed nim, radby go był z najbogatszą ożenił. Ale darmo człowiek naprzód sobie układa; Bóg tymczasem inaczej rozrządzi, i tak się stanie, jak on zechce. Otóż i tu się tak stało. Wasyl pokochał się w cygańskiej dziewczynie, i długo nie wracał do swojej zagrody, bo się tam gdzieś wałęsał razem z cyganami. Aż nagle przyszedł razem z nimi, i tu roztasowali się w tym lasku, niedaleko owej płyty kamiennej. Daremnie ojciec Wasyla płakał, zaklinał i gniewał się, Wasyl się uparł i cygańska dziewczyna została jego żoną. Nie długo on się patrzył na uroczą twarz swojej żony, bo jakoś w miesiąc po ślubie zaniemógł stary król dziadów, a nim umarł, już Wasyl był ślepy.

— Jakto, nagle oślepl?

— Bóg to tam wie, jakto idzie między nimi, ale dosyć że każdy z nich nim zostanie królem, musi być ślepy.

— A to okropnie!

— Cóż robić paniczu! już to taki obyczaj! Cyganka jak tylko

weszła do chaty męzowskiej, straciła i dawne zdrowie i dawną wesołość, tak jej znać chrześcijańskie pomieszkanie na dobre nie wyszło. Oczami tylko świeciła jak pruchnem w nocy, a ludzie mówili, że gdzie spojrziała, to tam wszystko pruchnem się stawało. I tak czterech mieli synów i cztery córki. Chłopcy słysząc wdali się w ojca a córki w matkę; i wszystkie takie były śniade jak matka, i wszystkich oczy paliły jakby ogniem. Ale nie było Bożego błogosławieństwa nad tem małżeństwem i nad ich dziećmi. Chłopcy różnemi sposobami straszniemi poginęli; jeden utonął w płonie gdy zimą poszedł na ryby; drugiego gałąź do ziemi przybiła; inny zginął na polowaniu, a ostatni gdzieś poszedł na wojaczkę, i już więcej nie wrócił. A i córkom zmarło się wcześniej, kiedy były jeszcze dziewczkami. Została tylko najmłodsza i najładniejsza, którą ksiądz jeden od ojców bazylianów jakoś szczęśliwie błogosławieństwem swoim świątobliwem zbawił. I Ksenia poszła za męża, ale także za obcego, który się tu aż z Krakowa przywalał, i z nią ożenił. Tymczasem i matka cyganka umarła i dzieci Kseni powymierały, choć ich wiele było, i tylko Wasyłowi jedna szczególnie po niej została wnuczka. To była Olanka, wasza mamka. Ej śliczota to była mój paniczku! Kto się na nią popatrzył, to już i odpatrzeć się nie mógł, i same oczy biegły za nią, gdy szła do cerkwi, lub gdy stanęła do koła w karczmie przy niedzielnej muzyce. A za oczami i wszystkie paniczku serca biegły za piękną Olanką. Ale napróżno, bo Olanka dumna była dziewczyna, i nawet na tutejszych patrzeć nie chciała. Ona bywało najmiej biegła sama jedna po lasku, i temi swemi oczami patrzy ciągle daleko przed sobą, tam gdzieś w góry i mgły, jakby ją tam polecieć korciąło, jakby jej ztamtąd co przybyć miało. A był tu wtenczas młody jeszcze chłop, któremu król dziadów był wujkiem, i który miał tu niedaleko kawał pięknego gruntu. I młody chłop porzucił i grunt i chatę, i całe gospodarstwo swoje, a miał przecie i swoje woliki i krówki, i inny dobytek. Wszystko porzucił i został dziadem, żebrakiem, aby być bliżej pięknej Olanki. Ot głupi to był chłop, kiedy myślał, że serce dziewczyny można wystużyć jak siermięgę lub kozuch. Dziewczyna była dobra dla niego, jak prawdziwa krewna, jakby siostra, uśmiechała się do niego słodko, bo już to serce u niej to lepsze od złota było, i ona chodziła, szczebiotała z nim, jego piosnkom wtórowała głosem, którym jak zaśpiewała, to nietylko nogi, ale i serca nawet skakać zaczynały. Ale kochać go nie mogła, bo myśl jej błąkała daleko po za lasy, po za góry, po za obłoki. I co chciała wypatrzyła przecie. Pojawił się u nas jakiś węgier niby choć mu taki cygan patrzył z oka. Ładny był to chłopiec i sprytny do wszystkiego, niema co mówić. To też Olanka jak go zobaczyła, zatopila się w nim bez pamięci, i już nie patrzyła ani na góry, ani w obłoki, ale w oczy przybysza takie czarne jak jej własne, i takie ogniste także. Darma jej krewniak secht i mizerniał z miłości, ona z swoim węgrem rady sobie dać nie mogła, krewniaka załowała, ale powtarzała mu zawsze:

— Kiedy ja jego tylko kocham, i do śmierci kochać będę.

Krewniak westchnął tylko, i już się jej więcej nie naprzykrzał,

choć Wasyl chciał koniecznie, by został mężem ukochanej wnuczki. I nawet sam przemawiał za niemi ale nadaremnie, bo Wasyl ani chciał słyszeć o tem:

— Dosyć już tej krwi cygańskiej między mojemi — mówił stary Wasyl, a węgry czy cygana przeklinał i wyganiał z domu.

Tak się też stało, że ten zawoloka jak przyszedł razu jednego, tak i zczesał bez wieści. Co się działo z biedną Olanką to aż strach! Ledwie nie wyplakała tych swoich czarnych oczów za niewdzięcznym, co ją porzucił. Cóż było robić? Krewniak się nie mógł patrzeć na rozpacz Olanki i poszedł w świat, i póty chodził, póty szukał, aż znalazł go przecie aż koło Kęt przy kuźni, bo węgier jak prawdziwy cygan był doskonałym kowalem. Dobrze mu się tam działo i nie chciał wracać do Olanki.

— Niech o mnie zapomni! — mówił do krewniaka Olanki — bo i tak dziadek jej nie pozwala, żebym ja był jej mężem. Na cóż ona ma sobie i mnie świat zawiązywać.

Wszystkie proźby i groźby nic nie pomagały. Kowal został przy kuźni, a krewniak Olanki poszedł z niczem do domu. Lecz jak tylko Olanka dowiedziała się gdzie jej luby mieszka, nie powiedziała nic nikomu, znikła z domu. Dobrze to mówią, że kobieta za kochankiem to i za morze pójdzie. Jak poszła, rok cały ani słyhu o niej było. Stary Wasyl płakał za donią jak dziecko; gdyby nie był ślepy, byłby oczy drugi raz wyplakał. A krewniak nic mu nie śmiał mówić, choć się domyślał dobrze, gdzie się dziewczyna podziała, bo i na coż staremu dodawać zgrzyoty, i sam miał po prawdzie na sumieniu, że dziewczynie powiedział o mieszkaniu kochanka. Sam także nie śmiał jej poszukać w jej nowem przy kochanku pomieszkaniu, bo i jakież miał do tego prawo, i pewny był, że nieszczęśliwa biednej kobiety musi być dola przy cyganie, który choć miał twarz piękną jak na obrazach świętych malują, ale serce u niego było takie, że i czart by się jego nie powstydział.

Eugenjusz słuchał z wielkiem zajęciem prostego opowiadania tego, które dla tej właśnie przyczyny największe sprawiało wrażenie na jego umyśle młodym, niezepsutym i czułem sercu. I było coś w tem opowiadaniu, co mocniej trafiało mu do uczucia, dla tego może, że się ono tyczy mamki, której pamięć coraz silniej odzywa się mu, i nie wiedzieć dla czego zapełnia serce jego jakąś tęsknotą niepojętą, jakimś żalem serdecznym.

— Po roku — ciągnął dalej Semen opowiadanie swoje, — a było to jakoś w późnej jesieni, koło dnia zadusznego; deszczyk kropił drobny, i coraz więcej robiło się błoto, oślizgując drogi i kałużami je zapełniając. Wiatr jesienny szumiał smutno po naszym lesie, podnosząc całe chmury liścia suchego, szeleszczącego po ścieżkach i parowach gajowych.

Smutny to był dzień, i nigdy takim jakimś przykrym głosem nie krakały wrony jak tego dnia. Krewny starego króla, mimo słoty wielkiej szedł na zwykłe swe miejsce pod figurę pana Jezusa, koło pasieki, bo od czasu jak został żebrakiem, tam on najczęściej prze-

siadywał. Ztamtąd on dawniej patrzył nieraz, jak Olanka na kamiennej stanawszy płycie, tęsknemi w świat patrzyła oczami. Tym razem tak mu jakoś było i nudno i żmudno na sercu, że rady sobie dać nie mógł, i do pieśni nabożnej, którą śpiewał po cichu, dodawał i ciężkie westchnienia, i łzy nawet. Tak przyszedł pod samą figurę, gdzie leżał już ten kamień aż do dzisiaj stojący, gdy nagle ujrzał przed sobą kobietę, siedzącą na kamieniu. Skulona, zmoczona deszczem, w ubogiem odzieniu, połatana weretą starała się osłonić małe dziecko. Czy pojmujecie paniczu, jakie było zdziwienie jego, gdy w tej biednej kobiecie poznał Olankę, tę najmilszą kochankę swą, wnuczkę króla dziadów. I prawdziwie on ją sercem tylko poznał, które nagle uderzyło w jego piersiach: o! bo oczami trudno było poznać tę bladą, zmizerowaną postać, pochyloną przez słabość i nędzę, która była tak piękna, że i najpiękniejsze panie musiałyby jej ustąpić. Oczy jej tylko czarne łyszczały, ale już więcej łzami, jak ogniem wewnętrznym. Czasem tylko, gdy spojrzała na małego robaczka przy piersiach, spróbowała uśmiechnąć się do niego, by mu przecie nie zabrakło tego dzieciom tak potrzebnego uśmiechu matczynego; ale aż przykro było patrzeć na ten uśmiech, który zdawał się marszczyć tylko wychudzoną i wyżółkłą na twarzy skórę.

— Spfakali się oboje serdecznie — mówił dalej Semen, głosem coraz więcej zmiękczonym. — On jej żadnych nie robił wymówek, ani też ją pytał o nic. Ona mu tylko pokazała to dziecko! Sliczny to był robaczek! jak aniołek najpiękniejszy w naszym wielkim ołtarzu. Oczy miał matczyne, takie śliczne, takie czarne, a takie rozumne. Paniczu! — dodał z wybuchem namiętnego wzruszenia — on miał oczy tak piękne jak wasze, paniczu!

— Pocziwiy Semen! — wyrzekł Eugenjusz mimowolnie, widząc serdeczne wzruszenie żebraka. — Mów dalej! twoje opowiadanie obchodzi mnie sto razy więcej, niżeli niejedna z naszych powieści nieprawdziwych.

— Nie długo już mam opowiadać — mówił znowu Semen. ścierając obdartym rękawem łzę z oka. — Ona prosiła tylko, aby dziadka mogła przebłagać.

— Jeżeli nie dla mnie, to dla tego biednego dziecka. Ono przynajmniej niewinne. A jeżeli nam nie przebaczy, to chyba do księżego pójdę młynka; tam jest woda najlepsza. I temu dziecku byłoby lepiej, niż tak na świecie ma być sierotą, naprzód bez ojca, i wkrótce bez matki. A potem żebrakiem a może i ślepym.

— Aż skoczyła ze strachu biedna matka! — mówił znowu Semen — i w pierwszej chwili chciała uciekać z dzieckiem na rękę, aż dopiero on ją uspokoił, i dziecko wzięwszy na rękę, przysiągł jej, że cokolwiek się stanie, póki on żywy, to dziecko nie będzie sierotą, nie będzie żebrakiem.

W tej chwili zdało się Semenowi, że słyszy jakieś stapanie. Ogląda się, lecz nic nie dostrzegł i nic nie dosłyszał. A przecież nie mylił się pierwej, bo w tej chwili właśnie skradającym się krokiem, schylając się ostrożnie pomiędzy krzaki, by go nie zasłyszeli, czotgając się prawie jak wąż przysunął się Iwan, ów jak wiemy już,

ostatni prawnuk i ostatni potomek króla dziadów. Stał za ułamkiem skały i przez gęste konary starej brzozy patrzył na Eugenjusza. Jeżeli chód jego przypominał czołgającego się węża, tem podobniejszy jeszcze był wzrok jego jadowity, zły i namiętny, do krwisto lśniącego wzroku gadziny.

— I poszedł z matką i z dzieckiem do króla dziadów, i wraz z niemi klęknął przed starym Wasylem. Nie było tego potrzeba nawet. Jak zobaczył ulubioną ostatnią wnuczkę swoją w takiej nędzy, w takim stanie, nie mógł stary wytrzymać, i ryknął takim płaczem, jakim chyba kobiety czasem zawodzą. I już potem do śmierci zostali oboje i matka i syn przy starym Wasylu.

To rzekłszy Semen spuścił głowę i zamilkł, jakby już skończył całe opowiadanie swoje.

— I cóż dalej! — pytał Eugenjusz rozciekawiony.

— Co dalej!... Paniczu jak ona was kochała...

— Więc zaraz została mamką moją.

— A tak!... ale cóż z tego, kiedy codzien była słabsza, i sama już nieraz o bliskiej rozmawiała śmierci.

— Biedna kobieta!

— Pamiętam jak raz wyszła z paniczem aż na drogę do Niżyniec wiodącą. Jej krewny, ów żebrak z pod figury pana Jezusa, chodził codzien na drogę Wyżyniecką, aby Olankę zobaczyć i tego pięknego panicza, który się do niej uśmiechał tak czule jakby do matki rodzonej. I wtenczas okropnie już wyglądała, a powiedziała mu, że to ostatni już dzień, w którym zostanie w Wyżynicach, bo i jej już sił nie starczy, i państwo, a osobliwie sam pan hrabia stary nie kontent z niej, mówiąc że straszy ludzi swoim wyglądem.

— Biedna! — wyrzekł znowu Eugenjusz, i zakręciły mu się łzy w oczach.

— Oj biedna! prawda że bardzo biedną była, gdy jej przyszło pożegnać się z wami paniczu; co ona łez wylała, ile razy uściskała, a za każdym razem zdawało się jej, że to już będzie dla niej raz ostatni, bo to pożegnanie nad jej siły było. I wtenczas to powiedziała do mnie: Semen! pamiętaj mieć zawsze oko nad tem dzieckiem. I Semen przysiągł i dotrzyma.

Nastała chwila milczenia. Obaj mówiący zadumali się. Jakkolwiek wielka była między nimi różnica i stanu i wychowania, łączyły ich uczucia w tej chwili i wspólne obydwóm łzy, których Eugenjusz nie wstydział się zupełnie. Zaczajony Iwan za to patrzył na obydwóch z wyrazem złośliwego szyderstwa.

— I wkrótce potem umarła? — zapytał znowu Eugenjusz.

— We trzy dni po powrocie z Wyżyniec, już nie żyła...

— I ten węgier czy cygan jak go nazywasz, czy nigdy się nie pojawił?

— Nigdy! i dobrze zrobił... bo ja nie chciałem go zdybać! — odrzekł Semen, w którym ozwał się wyraz srogiej zawziętości. — Wiem tylko, że mu poszło na pohybel... Miał i dom i ładny dobytek!... Spalili go kilka razy, i teraz chodzi po żebrach, gdzieś tam na ziemi węgierskiej.

— Bóg go skarał!...

— A Bóg! — odmrugnął Semen z szyderczym wyrazem.

— A tenże mały jej synek...

— A jest! — odrzekł Semen z obojętnością, która Eugenjusza mocno zadziwiła.

— Tym małym synkiem, jestem ja! — ozwał się nagle głos obcy i przykry, a z po za skały i drzewa wystąpił Iwan z złośliwym uśmiechem na ustach.

— To ty? — zawołał jeszcze więcej zdziwiony Eugenjusz, i spojrział na niego z uwagą. Im więcej mu się przypatrywał, tem więcej rosło jego zdziwienie. Po czułem opowiadaniu Semena inaczej go sobie wyobrażał młody nasz bohater. Ta cała twarz, napiętnowana wszystkimi najgorszymi namiętnościami zrobiła na nim wrażenie nadzwyczaj przykre. — I gdzież te oczy czarne, tak chwalone przez Semena? — pomyślał w tej chwili.

Nastąpiła chwila milczenia. Obaj młodzi ludzie, pan i żebrak, patrzyli na siebie z uwagą, nabierając coraz szczegółniejszych odcieni. Dwa wzroki skrzyżowały się lyskawicą. W spojrzeniu Iwana była wyraźna nienawiść. W spojrzeniu Eugenjusza przeważała zgroza, jakby na widok zbrodniarza. Im więcej wpatrywał się w młodego żebraka, tem mu się to dziwniej wydawało, że w tej twarzy tak złośliwej, a mimo to tak pięknej, uderzył go jakiś rys znajomy, jak gdyby coś podobnego widział niedawno. Lecz gdzie? nie mógł sobie przypomnieć.

I Semen patrzył na obydwóch, a spojrzenie jego zdradzało wewnętrzną walkę uczuć.

— Czego się wałęsasz Iwanie! — zawołał nareszcie głosem pogardliwym. — Skradać się! podsłuchiwać! to tylko umiesz.

— Chiałem tylko przekonać się, czy twego górala zawiązane oko podobne do niezawiązanego! — odrzekł zuchwale i z głośnym uśmiechem.

— Idź już! — mówił Semen coraz gwałtowniej — bo pójdę do twojego dziadka.

— Do mojego dziadka! — odrzekł Iwan, wykrzywiając się Semenowi szyderczym śmiechem. — Idę już, nie chcę wam przeszkadzać! — dodał oddalając się — ale przyjdzie i dla mnie czas, w którym nikt mi już nie przeszkodzi.

Eugenjusz spoglądał za nim z wzrastającą odrazą.

— Więc to on! on! — mówił w pół zamyśloni.

— W tym chłopcu dziesięciu czartów siedzi! wyrośnie on pod szubienicę.

— Syn Olanki! — zagadł Eugenjusz, zdziwiony takim wyrażeniem ze strony Semena. I w dawną zapadł zadumę. Na chwil kółka oderwany od myśli o ukochanej Hani, zamarzył znowu o niej i o dniu jutrzejszym, którego mimowolnie bał się po ostatnich Hani słowach.

Semen, jakby zgadywał myśli młodego człowieka, przemówił znowu łagodząc głos jak pierwej przed przyjściem Iwana.

— I ja wtenczas przysiągłem Olance, i póki jeszcze żywy jestem,

dotrzymam. I choć nędzny żebrak, mogę dotrzymać. Wy paniczu! możecie być szczęśliwym, i będziecie z Hanią.

— Z Hanią! — jak echo odpowiedział młodzieniec.

— Bo choć ja nie śmiem się zbliżać do niej jako do panienki, wiem najlepiej, co to za serce w tem dziewczęciu dobre i pocziwie.

Najlepszego sposobu użył Semen. Eugenjusz bowiem usłyszawszy imię ulubionej, słuchał go z uwagą.

— Ale wy paniczu, tu nie możecie zostać.

— Ja jej nie chcę porzucić.

— Rodzice wasi nie pozwolą.

— Rodzice moi! ja nie niewolnik! — zawołał dumnie i burzliwie. Jeżeli nie zechcą pozwolić, obejdem się bez ich pozwolenia.

— I dla tego najlepiej zrobicie paniczu, jak wyruszyacie ztąd wraz z Hanią, het daleko, tam gdzie i świat piękniejszy, i gdzie ludzie wolniejsi, tam w piękne góry nasze. Ja znam jedno miejsce w górach na samej granicy węgierskiej, miejsce mało komu znane, tam was nikt nie znajdzie, żaden was przymus niewolić nie będzie. Tam możecie mieć śliczny dworek, z którego na obydwu kraje patrzeć możecie, a przy dworku i oborka, i szalasów parę na górskich poloninach, i kilkanaście staj pola, i pastwiska własne, i własny lasek świerkowy.

— Zapomniałeś tylko Semenie, — przerwał Eugenjusz z uśmiechem na pół już wesołym, — że do tych wszystkich pięknych rzeczy brakuje...

— Pieniądzy, myślicie paniczu? Słuchajcie paniczu! — mówił dalej zniżając głos i oglądając się jakby się bał, by go nie podsłuchano. Żeby tylko ten Iwan się znowu gdzie nie schował. — Semen choć biedak, ale wie jeden sposób, wie jedną tajemnicę, i ja wam paniczu odkryję ją, i będziecie szczęśliwi.

— Sposób? tajemnicę? — zapytał Eugenjusz wypatrując na żebraka ciekawe oczy.

— Ale musicie mi przyrzec, że się koniecznie wyniesiecie ztąd.

— Dla czegoż tak ci o to idzie, mój Semenie?

— Bo widzicie paniczu! ja tak myślę, że dla was nie jest życie takie, jakie wy tam pędzicie w Wyżnycach. I potem rodzice czasem różnych rzeczy żądają... ot na przykład, jak to bywa u każdego króla dziadów, że musi zostać ślepym.

— Tego przecie nie mogę się obawiać.

— Zapewne! ale w każdej familii różne są takie jakieś żądania; czyż nie lepiej usunąć się?

— Nie rozumiem cię prawdziwie, mój Semenie?

— Paniczu! ale ja siebie rozumiem. Wiercie mi, wyruszajcie co prędzej. Semen wie co mówi.

— Czyliż mi jakie grozić może niebezpieczeństwo?

— Paniczu! paniczu! czy wy nie wiecie, jak łatwo niebezpieczeństwo przyjść może. Jedźcie! ja was proszę, bo inaczej panna Hania przepadnie dla was.

— Hania nie zezwoli, i sama nie zechce.

— Ej gdzie tam! jak wy zechcecie, to ona porzuci i ojca i matkę i tę swoją cioteczkę, którą najwięcej kocha.

— I ja mam ją namawiać do tego? — zagadł Eugenjusz, któremu po raz pierwszy może zaczęły się oczy otwierać i cały jego wybręk romantyczny w prawdziwym okazywać światło. W tej chwili jednakże przemogła młodzieńcza ciekawość. Chciał się dowiedzieć o tajemnicy Semena. — A gdybym się nareszcie i zdecydował? — zapytał.

— Bylibyście paniezu spokojni, szczęśliwi i bogaci.

— Bogaci nawet?

— Bogatsi niż w Wyzyńcach, bo...

— Mów więc!

— Ja wiem o jednym skarbie!

— O skarbie?

— Zakopanym.

— Gdzie?

— Tu niedaleko, tu jest, ale nie mówcie nikomu, żeby się broń Boże nie dowiedział stary Wasyl, król dziadów.

— Jakiż to skarb?

— Ten stary sknera Wiciewicz zakopał go tamtej nocy. I od dawna już go szpieguję, bo od dawna przeznaczam ten skarb dla was paniezu.

Paś wstydu oblał lica Eugenjusza. Więc jemu śmiało takie robić przedstawienia. Zerwał się z miejsca pełen gniewu; lecz widząc dobroduszość, z jaką mu Semen podobne podaje plany, nie miał śmiałości gniewać się na niego. Zerwał się więc tylko z miejsca swego, i zagadł do Semena.

— Ot marzysz w dzień, zamiast w nocy, mój Semen. Lecz już późno, ja zmęczony.

I pobiegł zostawiając Semena, który w najlepszej wierze przekonany był, że propozycją swoją uszczęśliwił Eugenjusza. Ten tymczasem jak mówiliśmy, coraz wyraźniej poznawał nierozwagę swojego postępowania. Lecz w tej chwili niema na to rady. Jutro ma mówić z Hanią; czyliż nawet jest w stanie zastanowić się zdrowo nad położeniem swoim i rozmyślać, co mu właściwie czynić wypada?

Przyszło nareszcie to jutro gorąco upragnione i ta godzina oczekiwana, która zdaje się oddalać w stosunku przyspieszonego bicia serca. Oparty o drzewo Eugenjusz niedaleko od płyty kamiennej, nie zwracał oka z ścieżki do obu chat króla dziadów wiodącej. I zabielało pomiędzy drzewami; to biała łysnęła sukienka. Serce młodzieńca zadrżało. Hania stała już przed nim.

Eugenjusz wpatrzył się w nią, chcąc z jej twarzy wyczytać najwewnętrzniejszą jej myśl. Twarz Hani była na pozór spokojna jak zawsze, może tylko bledsza. I cóż dziwnego!... Pierwsze cierpienie to jakby pierwszy powiew burzy letniej, skwarnej; jak przed nią tak przed nim pełzną wiosniane barwy kwiatu i dziewiczych liców. Eugenjuszowi twarz ta wydała się dziś stokroć piękniejsza i była nią rzeczywiście, a uszlachetniający jest zawsze wyraz pierwszego silniej-

szego uczucia. W oczach tylko Hani przebiegał głęboki smutek i ciężki ból, mnóstwem gorzkich łez przeplakany.

Smutna to rzecz, gdy w wiosnie życia zawitają pierwsze łyzy bólu serdecznego; już nie wyschną nigdy zupełnie z oczów, a jak wyschną, to padną na serce kamieniem rozpacz, i póty je cisnąć będą, póki to serce nie zamilknie na zawsze.

Hania całą noc przegadła z cioteczką, której powiedziała wszystko, i całą noc przeplakały obiedwie. Ciotka ani jej wymawiała, ani żadnej wyraźnej nie chciała dać rady. Ona jej własne tylko opowiadała dzieje. Dzieje to zwyczajne, stokroć powtórzone w życiu niewiasty; lecz niestety! nic nie pomagają, bo serce niewieście jest jak ów motyl wieczorny, rzucający się na oślep w pałac światła.

I Weronika była młodą, przystojną, z sercem i umysłem wykształconemi i upoetyzowanemi przez lepsze wychowanie. Poznała młodzieńca, syna swojej opiekunki, w którego pięknych oczach widziała wszystko, co tylko widzieć chciała, wszystkie najcudniejsze marzenia, i wszystkie najpoważniejsze nadzieje. I było w tych oczach tyle przyrzeczeń, tyle uroku i tyle prawdy. Naprózno zimny odzywał się rozsądek, życie kobiety całe jest w sercu; i sercem uwierzyła Weronika w słodkie oczy i słodkie słowa młodzieńca, i sercem poświęciła mu się cała. Cudowne, zaczarowane były pierwsze chwile! bo miłość pierwsza zaczyna się od złudzeń, póki nie skończy na odczarowaniu; bo miłość każda to jak poezja młodzieńca, zaczęta od dytyrambów i od ognistych, a skończona najczęściej na elegji konającego lub szydycznej satyrze przesyconego umysłu.

Krótkie są szczęścia chwile. Doznała tego Weronika. Piękne kochanka czy coraz więcej ciemniały, wyraz zapału i prawdy zniknął, a natomiast wyglądało złudzenie i udanie.

Kobieta gdy kocha, opiera się do ostatniego najwyraźniejszej oczywistości. To samo długo się działo z Weroniką, która poświęciwszy kochankowi całe życie swoje, nie chciała wierzyć, żeby jej poświęcenie mogło być kiedy zapomniane, lub niewdzięcznością splacone. Lecz taka jest zwykła kolej ludzka! Poświęcający się zawsze traci, bo nigdy niema słuszności. A ile zawsze najsprawiedliwszych na oko zarzutów zrobi mu ten właśnie, dla którego poświęcenie robi. Poświęcenie tak łatwo przyjąć, a jeszcze łatwiej żądanie wzajemności nazwać żądaniem lichwy.

Przyszła wreszcie czas, w którym musiała to zrozumieć Weronika. Co cierpiała! zrozumiały te tylko, które doznały srogie opuszczenia cierpienie. Naprózno walczyła jeszcze czas jakiś Weronika. Prózna walka, bo gdzieś broń do niej. Dawne wdzięki stają się obojętnymi, jakby widok obrazu choćby najpiękniejszego, którego niezmiennie rysy nie są już w stanie rozdrażnić zubożonej myśli. Podwojone dowody miłości!... To jakby przyprawa potrawy dla smakosza. Codzień pieprzniejsza! codzień mniej smaczna! Narzekanie głośne! to napaść!... to dowód charakteru złośliwego, który tylko z domu wypędzić może. Cicha tęsknota! a to nudy domowe!... to sentymentalna tkliwość zbrzydzać mogąca. Łzy nie tajone!... to chęć

skarżenia się przed całym światem, to rola przybrana! I któż zdoła je wytrzymać!... pominąwszy że tży niszczą pleć i émią oczy!...

Wszystkiego próbowała biedna Weronika, aż w końcu przekonawszy się, że nic już pomódz nie może i każda taka scena choéby najczulszem pogodzeniem skończona, pożycie ich wspólne codzień robi niemożliwszem, nie chcąc być sama kiedyś opuszczoną, opuściła pierwsza, bez wyrzutów, skarg i łez próżnych. Ona chciała przynajmniej choé wdzięczną zostawić po sobie pamiątkę. Życie jej zostało skrzywione na zawsze i zatrute wszystkie uczuć i użycia zdroje! Reszta życia miała być ciągłą walką z rozpaczą serca, której nie sprostą najrozsądniejsze głowy rozumowanie!

Te to sceny najtajemniejsze przebytych walk, dni długich bez pociechy, dłuższych jeszcze nocy bez snu, opowiedziała Weronika synowicy swojej.

— Cioteczko! ty nie znasz Eugenjusza! on lepszy od drugich, on lepszy od całego świata!

— Dziecko jesteś moja Haniu! — odrzekła Weronika smutno. — I jam była kiedyś takim dzieckiem i mój Artur kochał mnie i był rzeczywiście pełen szlachetności. Twój Eugenjusz, którego ledwie parę godzin znasz, może być stokroć lepszy jeszcze, ale mimo najlepszej chęci nie jest w stanie oderwać się od wad człowieczych i od przywar społeczeństwa, w którym się urodził.

— Cioteczko! ty nie gadasz twojem sercem, ale smutnem doświadczeniem, które ci zasępia i zastania świat cały. Kiedy ja czuję, że go kocham wszystkiemi siłami mego serca i duszy mojej. Ja bez niego żyć nie mogę i żyć nie będę.

— Jeżeli go kochasz, to właśnie dla niego poświęć nadzieje krótkotrwałego szczęścia. Czy myślisz, że on będzie szczęśliwy, idąc przeciw woli swoich rodziców? A i ty czy nie uczujesz kiedy żalu, gdy ci na myśl przyjdzie, żeś się sprzeciwiła woli rodziców?

— Tato i mama kochają mnie!... oni nie zechcą mego nie-
szczęścia.

— Czyliż mogą być za związkiem takim? Eugenjusz jest jednakiem w rodzinie, której twój ojciec, dziad i pradziad wiernie i długo służyli.

Długo jeszcze gadały. Hania stawała się coraz cichszą; tży mówiły za nią. A gdy nadszedł ranek, Hania klęcząc przed ciotką ocierała splakane oczy, i gorące ku niebu wznosiła modły.

Postanowienie biednej dziewczyny byto niezmienne, bo czuła, że tak a nie inaczej postąpić musi. A przecież gdy dochodząc do płyty kamiennej ujrzała Eugenjusza, patrzącego na nią z taką szczerą miłością, z tak silnym wyrazem wewnętrznego niepokoju, zadrdzała biedna dziewczyna, czując, że ją odwaga odstępuje. Nie mogła też nawet przyjść zaraz do słowa, bo jej tchu brakowało.

— Haniu moja! — zawołał pierwszy Eugenjusz i porwał ją za rękę.

Hania odpowiedziała mu uściśnieniem ręki i spojrzeniem, które najwymowniej wypowiedziało młodzieńcowi serdeczną jej miłość.

— Haniu czy kochasz mnie? — pytał ją Eugenjusz dalej, mniemając w swem młodzieńczem niedoświadczeniu, że w tem jednym słowie mieści się cała władza, której się serce dziewicze oprzeć nie zdoła.

— Kocham! — odrzekła, ale tak cicho i smutno, że aż łzy przeczucia zawisły na oczach młodzieńca.

— Dla czegoż tak smutną jesteś, moja Haniu luba? Ja ciebie kocham, jak nikt kochać nie może i wierzaj przysiedze mojej, że nigdy kochać cię nie przestanę. Całą życia mego myślą będzie zrobić cię szczęśliwą.

Hania nie odpowiedziała; łzy z początku tłumione coraz rześsiej padać zaczęły z pięknych jej oczów.

— Ty płaczesz? — zawołał przestraszony na prawdę młodzieniec. — Co tobie Haniu?

— Bo dziś ostatni się raz widzimy — odrzekła biedna dziewczyna głośno łkając.

— Zkądże ta myśl? Ja już ciebie do śmierci nie porzucę.

— Ty mnie nie rozumiesz! posłuchaj mnie, mój drogi Eugenjuszu! Że cię kocham z serca, kocham jak tylko kochać można, Bóg to widzi najlepiej i tobie mój drogi najlepszy tej miłości dowód daję, gdy cię proszę o to, byśmy się dzisiaj raz ostatni widzieli.

— Teraz na mnie kolej powiedzieć, że cię nie rozumiem.

— Zapomniałeś, mój Eugenjuszu, co nas dzieli, zapomniałeś, czem są moi rodzice!

— Czyliż mogą być przeciwni naszej miłości? chodźmy do nich! oni zezwolą.

— Nie łudźmy się daremnie. Gdyby nawet oni wiedzeni fałszywym próżności uczuciem zezwolili, ja nie mogę przystać i jak cię kocham, nigdy nie przystanę, bo byś był całe życie nieszczęśliwy.

— Ja nieszczęśliwy z tobą?

— A twoi rodzice — mój Eugenjuszu?

— Matka i stryj przystaną, gdy im powiem, że bez ciebie żyć nie chcę; a ojciec sam jeden sprzeciwi się. A choćby i wszyscy byli przeciwni, czyliż ja się mam poddać cudzym wyobrażeniom, tam gdzie idzie o szczęście mego życia całego i spodziewam się... o twoje także szczęście?

— Tak mówisz teraz i mówisz co czujesz; ale jakby ci przyszło żyć zdala od stosunków, do których od dziecka przyzwyczajony jesteś, z daleka od rodziców, bez ich może błogostawieństwa, uczułyś z czasem żal za nimi, któryby powoli przeszedł w żal do mnie. Wierz mi mój drogi! ja kobieta! a kobiety już są przeznaczone do tego, aby porzuciły dom rodzinny i w oddaleniu od rodziców osobne pędziły życie; a przecież czuję, że nie mogłabym bez wiedzy rodziców porzucić ich domu.

— Dla mnie nawet nie, Haniu?

— Właśnie dla ciebie Eugenjuszu, bo się bałabym, by ci nie udzielić przekleństw moich rodziców, które ciężą okropnie. Eugenjuszu! Bóg świadkiem, że mi się serce rozdziera, gdy te słowa wymówię przychodzi. Rozstańmy się dzisiaj! a przynajmniej zostanie

nam pamiątka kilku chwil najcudniejszych i jak cudnych! o mój Boże! zostanie to przekonanie, żeśmy się poświęcili dla spełnienia obowiązków naszych.

— Nie! nigdy! — wołał Eugenjusz, którego umysł gwałtowny nie pojmował powodów, przez Hanię przytoczonych.

Lecz daremne były wszystkie Eugenjusza słowa; daremne prośby, błagania i zaklinania, daremne gniewy i wyrzuty. W dziewiczym i młodem łonie Hani dzielna mieszkała dusza. Lzy polykała własne, które ciężko spadały na serce srogim cierpieniem bolące; ta boleść wewnętrzna była zdaje się nad jej siły fizyczne, ale w postanowieniu nie uległa.

— Eugenjusz! jeżeli mnie szczerze kochasz, jeżeli nie zechcesz zrobić mnie nieszczęśliwą, nie nalegaj na mnie! — rzekła w końcu załamując przed nim ręce jakby do modlitwy. — Miej litość nademną, ja ciebie błagam i zaklinam, Eugenjusz, ja nigdy twoją być nie mogę! to moje ostatnie słowo.

— Dobrze więc! przyjmuję to słowo — odpowiedział Eugenjusz przybierając postawę zdecydowaną — przyjmuję, dopóki trudności, jakie ty widzisz moja Haniu, usunięte nie będą, a że je usunę, na to ci przysięgam. Rodzice moi sami ci to powiedzą... a wtenczas Haniu!.. wtenczas?...

— Wtenczas! — odrzekła Hania i usta jej zadrżały. — To nigdy nie nastąpi.

— Nigdy! — jakby echo jakie powtórzył głos jakiś obcy.

Wzdrygnęła się przerażona dziewczyna i wyrwała rękę, którą Eugenjusz tulił do łona swego.

— Co to znaczy? — zawołał Eugenjusz. — Ktoś nas podsłuchiwał.

— I śmieje się z was! — rozległ się ten sam głos, jakby z góry pochodzący.

Jakoż rzeczywiście zaśmiał się ten sam głos przeraźliwie i z szyderstwem, tak namiętnie w śmiechu odbitym, że oboje nie mogli się wstrzymać od mimowolnego zadrżenia.

— Znam ten głos! — rzekła Hania po cichu. — To głos Iwana! Eugenjusz, unikaj go, bo w tym młodym jeszcze człowieku jest czarna dusza, jak same piekło. Bądź zdrów! Eugenjusz! — dodała, uciekając ścieżką ku rodzinnej chatce.

— Haniu! powiedz: do widzenia się!

— Do widzenia się, mój drogi! — zawołała oddalając się — tam! — dodała ciszej, a jej oczy błękitne dokończyły wzrokiem w niebo zwróconym.

— Do jutra! — zawołał za nią Eugenjusz, lecz snąć już nie dosłyszała, bo żadnej na to słowo nie odebrał odpowiedzi.

I wbiegł nazad do łasku, zamysłony, niespokojny i smutnemi dręczony przecuciami Daremnie się oglądał na wszystkie strony, Iwana nigdzie nie zdybał, lecz skoro tylko znikł w gęstwinie, poruszyły się gąłężnie wysokiej brzozy, jakby je burza dotknęła i z samego wierzchołka skokiem kota lub raczej tygrysa zbiegł Iwan, szyderczo patrząc na obie strony, przez które znikli kochankowie.

— Do jutra! — powtórzył za Eugenjuszem z szatańską złośliwością. — Jutro do mnie należyć będzie! Wiem wszystko i odbiorę wszystko co mnie należy. Porachujemy się, mój ty paniczku!

Eugenjusz tymczasem schodził zamysłony. W pierwszej chwili postanowił był wrócić zaraz do Wyżyniec, powiedzieć rodzicom i stryjowi wszystko i nie ruszyć się póty, pókiby nie przystali na jego prośby. A jeżeliby odmówili? Nie chciał się nad tem nawet zastanawiać, bo czuł się tak rozdrażnionym, iżby się nie wzdrygnął przed najrozpaczliwszym krokiem. Lecz po chwili namysłu, mianowicie, gdy się zastanowił nad złowrogimi Iwana słowami i przypomniał sobie wszystko, co mu o nim mówił Semen, postanowił nie oddalać się od Hani. I przyszło mu także na myśl to, co wczoraj mu proponował Semen, o zakopanym przez Wiciewicza skarbie.

Jakkolwiek wiele czuł sympatji dla Semena, a mianowicie dla króla dziadów, nie dowierzał im tyle, aby pieniądze zakopane o których wiedzą, mogły być zupełnie między nimi pewne. Zdało mu się nawet, że dowiedziawszy się o nich od Semena, miał niejako moralny obowiązek czuwania nad nimi. Postanowił tedy poszukać kogo pewnego, aby posłać z listem do Wyżyniec; napisać do majora, którego najwięcej może z całej rodziny kochał i najwięcej jemu ufał, zwierzyć mu się z miłością swoją, wypowiedzieć mu niezmiennie postanowienie swoje, a w końcu wspomniawszy o skarbie zakopanym przez Wiciewicza, prosić stryja, by sam przyjechał z dobrą dla niego radą.

Powziąwszy to postanowienie, poszukał Semena, któremu wytłumaczył łatwo, że chce zaspokoić rodziców, którzy od dwóch dni nic o nim nie wiedzą. Jakoż Semen postarał się zaraz i o posłańca pewnego i o sposób napisania listu.

X.

Jeszcze w Wyżynicach.

Zanim list ten dojdzie do Wyżyniec, musimy raz jeszcze zajrzeć do dworu pana hrabiego Wyżyńskiego. Lecz że droga nas wiedzie do Niżyniec, wstąpimy tam choć na to tylko, aby się dowiedzieć, co tam prawią o znikłym Eugenjuszku nasi poczciwi małomieszczanie. O ile ich poznaliśmy, łatwo pojąć możemy, że najdziwniejsze biegały wieści o tem zniknięciu, i im które były nieprawdopodobniejsze, tem więcej trafiły do Niżynieckich umysłów. Co napletli w tej mierze, co nabajali, trudno pospisywać. Były w tem wszystkim szczegóły przyrodzone i nadprzyrodzone, bo i o romansie z jakąś czarownicą gadano, i o rozbójnikach, i o łysej górze, i o upiorach, i Bóg wie o czem jeszcze. Najwięcej jednakże zwolenników znalazł Hektor Bums, któremu jak wiadomo nasz bohater niekoniecznie przypadł do smaku, i który rozpowiadał, że Eugenjusz Wyżyński należał do jakiejś nowej sekty, co z farmazonów wyrosła, i że przez agentów aż z Rzymu przybyłych został zapewne schwytyany.

— Szkoda chłopca! taki ładny! — wołały wszystkie Niżyńczanki. — I cóż z nim zrobią?

Tu Hektor Bums przybierając postawę nader tajemniczą, i mieszając razem Wenecją z Rzymem, rozповідаł nader tragicznie i patetycznie o ogromnym moście ołowianym, do którego wielkich zbrodniarzy zamykają, i po którym łażą jak dusze w czyscu szukają kąta chłodnego, bo ołów roztopiony kapie im na nos, i póty szukają, aż nareszcie upadną do Tybru, i tam się już na wieki chłodzić będą.

— Bo naturalnie! — dodawał pan Bums — ten most postawiony jest po nad Tybrem tak wysoko, że najwyższe okręta przechodzić mogą.

Słuchające Niżyńczanki przeżegnały się i zmówiły paciorek, tak ich przeraziło to kapanie na nos roztopionego ołowiu.

A i u pana Glinieckiego wielki panował żal za naszym bohaterem. Gliniecki sam żałował zięcia; a cóż dopiero powiedzieć o panach, którym ogromnie przypadł do smaku ładny Eugenjusz.

Starsza panna patrzyła na niego jak na swego, bo z nim tańczyła, a młodsza, bo z nim dopiero tańczyć miała.

Wszystko to miało stronę komiczną; ale za to tem prawdziwszą, tem tragiczniejszą była troska o Eugenjusza w Wyżńcach. Nikt tam pojąć nie mógł, co się z nim tak nagle stać mogło.

Major perswadował wszystkim i chwilami sam był przekonany, że to jakiś romans w okolicy stał się tego zniknięcia przyczyną; lecz częściej jeszcze sam powątpiewał, bo się w całej okolicy nie mógł domyśleć przedmiotu do romansu tak zawziętego, ani też po Eugenjuszu poprzedniemu postępowaniu, i po szczupłych jego znajomościach i nie częstem wyjeżdżaniu domyślać wybryku tak nagłego i romantycznego. Były chwile, w których majorowi mimo zimnej jego krwi, mimo rozsądku i doświadczenia żołnierskiego, przychodziły do głowy najczarniejsze myśli.

Biedna matka głucha była na wszelkie perswazje i najprawdopodobniejsze tłumaczenia. Ona powtarzała ciągle jedno:

— On zgubiony dla mnie na zawsze. Ja to od dzieciństwa przewidywałam. Nie wiem dla czego, ale od małego zdało mi się patrzeć na niego, że patrzę na dziecko jakiegoś obce, które lada chwilę może być zabrane. To było przecucie zapewne!...

— Pani bratowa daruje — odpowiadał major, a w głosie jego najpocieszniej łączyła się szorstka ostrość żołnierza i jego do bratowej czulsze przywiązanie — ale nie godzi się wierzyć w jakiegoś tam przecucia! Pfe bratowo!... No! no! nie trzeba płakać.

Matka nic nie odpowiedziała, ale też powstrzymać nie mogła. Biedny major nieraz musiał uciekać, czując z niemalym wstydem dla swojej wojskowej powagi, że i jemu zwilżają się oczy.

Nawet i sam hrabia Ignacy znacznie posmutniał, co objawiał ciąglem zrzedzeniem na żonę i brata, zarzucając im, że to oni swymi pieczytami i wychowaniem, jakie przeciw jego woli dali Eugenjuszowi, narobili wszystkiego złego:

— Gdybyście mnie byli słuchali, i posłali na pensją lub do ja-

kiego zakładu zagranicznego, nie byłby z niego taki romantyczny mazgaj. A teraz macie! Wlazł w jakąś awanturę i basta!...

Czy go żałował jako ojciec, trudno było zaręczyć; zdaje się raczej, że tracąc Eugenjusza tracił ostatni środek ratowania się przez bogate ożenienie się syna. A tak już sobie pięknie ułożył w głowie, jak ożeniwszy syna z Gliniecką n. p. lub z inną podobną dorobkiewiczówną, weźmie się zaraz do posagu, aby Wyżyniec oczyszczyć, a mianowicie pałac dokończyć, i żyć na stopę rodziny Wyżynskich godną.

— On do niczego mieszać się nie będzie — myślał sobie hrabia Ignacy — i ciągle będzie latał po niebie i marzył o niebieskich migdałach. Parweniuszka nie będzie śmiała się nawet odzywać... a ja rządzić, ja żyć, ja bawić się będę.

I ten ładny projekt upadł nagle, jak gmach karciany, jak one bańki mydlane. Jakże tu nie rozpaczać.

W takim to usposobieniu zastajemy pana Ignacego w jego gabinecie, gdzie teraz samotnie przesiadywał, bo ani żona, ani major do salonu nie przychodzili. Nic nie znacząca twarz jego tym razem odznaczała się niepospolitem skrzywieniem, które brzydziło jeszcze jego twarz. U ludzi samolubnych, egoizmem przesiąkniętych, każde cierpienie fizyczne czy moralne objawia się jednakowem skrzywieniem, czy idzie o honor, czy o żołądek.

Tym razem prócz zniknięcia syna, miał inne jeszcze powody do smutku i rozmyślenia, i to powody niepospolite. Leżał właśnie przed nim list ze stolicy pisany przez plenipotentę.

Wiadomości pana plenipotentę były bardzo smutne i przeciw zwyczajowi panów plenipotentów nie obwijane wcale w bawełnę. Panu Krętowiczowi zdruzziło się już być plenipotentem dla honoru tylko, bez żadnego zysku. Donosił tedy panu Ignacemu, że wszystkie jego usiłowania są daremne, pominawszy koszty, które wyliczał z aptekarską dokładnością i aptekarską sumiennością. Mimo wszelkich tedy nateżeń jego głowy, wpływów i zaawansowanych pieniędzy, nie może wstrzymać ani licytacji ostatecznej Wyżyniec, przypadającej już za tydzień, i to „infra praetium“ ani nawet sekwestracji wszystkich ruchomości, którą jakiś starozakonny Szmul Łapsiewicz wyrobił sobie, i którą ma już w rękę komornik Rozbójski, znany z swej komorniczej akuratności i nieubłaganej pożądlivosti diurnowej; że zatem za trzy lub cztery dni najdalej Wny Rozbójski zawita do Wyżyniec; a więc „sapienti sat!...“ kończył Krętowicz po łacinie, aby dowieść, że jest rzetelnym. W końcu było jeszcze „postscriptum“.

W tej chwili dowiadując się, że Abramko Bardach w mocy za-protestowanego wekslu, wyrobił sobie arszet na szanownej osobie J. W. pana, który to dekret p. komornik Rozbójski, J. W. panu nie sprzyjający „ob causam“ dotąd niewypłaconych mu a przysądzonych kosztów komorniczych, ma „sub uno“ z sobą. Donosząc o tym błagam abyś J. W. pan raczył przy takich konjunkturach radzić sobie wedle możliwości, i odbierając mi papiery swoje, uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności, której na mojem czystem sumieniu mieć nie chcę.

Odebrawszy wieści takiego rodzaju, pan Ignacy darmo suszył

głowe, jakim by sposobem ratować się jeszcze. Droga tak wygodna i tak wypraktykowana przez naszych adwokatów, droga delacji, już mu była zamknięta. O kredycie ani myśleć, bo ostatni żyd, który go jeszcze na ogromną lichwę ratował, Srul Feigele, wyraźnie mu przed kilka dniami powiedział, że mu już dalej pomóc nie może.

Położenie było rzeczywiście okropne. Bo ze stanowiska takiego, na jakim był dotąd, zlecieć nagle, i gdzie?... w nędzę, w poniewierkę, na wyciąganie ręki, w błoto jednym słowem, to okropne! Jest to okropne dla każdego, choćby na najniższej stał towarzyskiej drabinie, ale dla pana z rodu, z wychowania, z przyzwyczajenia, jest to stokroć okropniejsze, wyznać musimy na przekór wszelkim niwelatorom społecznym. Daremna rzecz! łatwiej i mniej boleśnie wywrócić się małym drabiniastym wozem, aniżeli ogromną na wysokich resorach zawieszoną karetą, i dla tego to może wszystkie karetki terazniejsze tak niziutko zawieszane. Przyznajemy to, ale tem więcej nam się dziwić wypada nieprzezorności tych, którzy najwięcej takiemu upadkowi majątkowemu podlegają, a którzy przez to samo takiego upadku ustrzedzby się powinni, bo ich minie nawet ta litość, jaką się ma dla ludzi przez jakie ryzykowne przedsięwzięcia zrujnowanych, a jakiej każdy odmówi trwoniącemu przez próżność zbytkowi.

Jakkolwiekby pan Ignacy w prawdziwej był rozpacz, nie w tej rozpacz człowieka charakteru, zdolnego energicznych nateżeń lub energicznego przedsięwzięcia, chociażby nim było samobójstwo. Rozpacz pana Ignacego była podobna, jak słaby i chwiejny jego charakter. On się zżymał i gniewał na świat cały, wszędzie szukał winy, a najwięcej u tych, którzy nie chcą mu pożyczać na zapłacenie lichwiarzy.

On by chętnie bił wszystkich otaczających, aby wyrzucić wewnętrzną złość swoją, aby się zemścić za własne winy. I w swej zapamiętałości każdego widzi winnym, który może a nie chce pomóc, choćby z własnym uszczerbkiem.

Tak obwiniając innych o upadek swej fortuny, a nie biorąc się sam do ratowania jej, bił się pan Ignacy z myślami, a tymczasem godzina ubiegała za godziną. Nie widział żadnego sposobu. Pieniądzy z niskać dostać, pozorów prawnych do odwołania smutnej katastrofy już nawet i plenipotent wynaleść nie mógł.

Wszystko to myślą przebiegł pan Ignacy, zbierając i rozbijając w głowie wszelkie możliwości. Daremna mozola. Ni sposobności! ni energii!... A choćby przynajmniej znalazła się sposobność, toby już na energję zdobyć się można było.

— Więc zginać potrzeba? i zostać pośmiewiskiem całego świata?... — pytał pan Ignacy samego siebie, biegając po kancelarji z złowrogim listem w ręku.

W takim był usposobieniu, gdy się otworzyły nagle drzwi, i wszedł przez nie Srul Feigele. Ze zwykłym u żydów uszanowaniem, które jest raczej u nich dowodem tchórzostwa, skłonił się nisko, a nawet jarmułkę zdjął, a przecież nie mógł wytrzymać, by się nie popatrzył szyderczym wzrokiem na pomieszana twarz pana Ignacego,

- Padam do nóg jaśnie wielmożnego...
- Głupis! — zawołał pan Ignacy zniecierpliwiony — wolałbyś nie padać do nóg, a przecież coś poradzić.
- Aj waj! ja od rady nie uciekam.
- Lub pomódz!... a pewien jestem, że już wiesz, co się ma tu stać za dni parę.
- Coś to ja słyszał!... ale co ja na to pomódz mogę...
- Wy zawsze wiecie, gdzie dostać pieniędzy.
- Ny! my wiemy, ale jakiego hypoteka?
- Więc czegoż mnie nudzisz i po co przyjechałeś tu do mnie? Żyd na to popatrzył z pod oka na pana Ignacego, łypnął oczami, i zbliżywszy się do niego...
- Jaby miał pieniądze!...
- Gdzie! — zawołał z rozpaczą tonącego, któremu i brzytwą zdaje się być ratunkiem.
- Jaby wiedział, gdzie znaleźć, żeby odwaga!
- Jakto odwaga?... nie rozumiem...
- Ja jaśnie panu już opowiadał podobno, że Wiciewicz ma grube pieniądze...
- I cóż z tego? — zapytał pan Ignacy strzyżąc uszami.
- I że wun myśli je zakopywać...
- Więc?...
- Już wun zakopywał!...
- I cóż mnie do tego? co to może mnie pomódz?...
- I ja wiem, gdzie zakopywał...
- Wiesz? — zawołał pan Ignacy podnosząc głos. — To odkopiesz! — dodał ciszej i niby od niechcienia, niby pogardliwie.
- Kiedy ja się boję!...
- Na to ja nie poradzę mój panie Srul! — mówił pan Ignacy, śmiejąc się półgębkiem. — I dla czegoż ty się boisz?...
- Bo to miejsce straszne, gdzie on zakopywał.
- Miejsce straszne znowu!... Ty jesteś doskonały Srule! Alboż to miejsce może być straszne?...
- A pasieka!...
- Pasieka? — przemówił pan Ignacy nagle, i pobladł.
- Pasieka Wiciewicza!... tam pod monasterem!... gdzie jak mówią djabli wzięli jakiegoś pana, co tam miał zamek.
- Nie pana!... to żyda z karczmy porwali! — mówił pan Wyżyński żartem niby, a głos jego drżał widocznie.
- Nastała chwila milczenia. Oba popatrzyli na się z uwagą... ale pan Ignacy zaraz się odwrócił ku stolikowi, jak gdyby szukał papierów jakich.
- Więc się boisz mój Srule? — zagadł pierwszy widząc, że Srul milczy uporezywie.
- I nie wiem w którym miejscu, bo pasieka jest obszerna.
- A tak!...
- I sam w nocy, to jakoś bardzo straszno... Ot tak proszę jasnego pana, żeby z kim drugim.

— Ale cóż mnie to obchodzi? — mówił pan Ignacy z wzrastającą niecierpliwością.

— Ja sobie tak myślał, że gdyby tak kto bardzo gwałtownie potrzebował pieniędzy... to... to...

— Kończ panie Srule! — przemówił pan Wyżyński z wyrazem bardzo wątpliwym.

— To! tobyśmy razem mogli pójść w nocy... i...

— Skończ już raz...

— I... uważa jasny pan... podzielić się...

— No proszę!... ale z kim!...

— Z kim!... nu jasny pan się nie domyśla!...

— Nie jestem bardzo domyślny.

— Nu! jasny pan tylko co mówił, że tak bardzo potrzebny jesteś...

— Słuchaj no żydzie! — zawołał namiętnie pan Ignacy, przybierając postawę dumną, obrażoną i rozgniewaną. Nie chcę się domyślać, bo nie chcę nic mieć z tobą do czynienia... ale przypominam ci, że jeszcze mam ludzi, którzy cię za uszy wyprowadzą z mego domu...

— Jako? jasny pan nie chce? — przemówił znowu żyd wpatrując się w pana Ignacego wzrokiem pół zadziwionym, pół niedowierzającym.

— O tego nadto! — krzyczał pan Ignacy, tupając nogą i przyskakując z wyrazem tak zapalczywym, że się ten aż cofnął ku drzwiom. Wyraz ten czy prawdziwy czy udany, po mistrzowsku był oddany.

— A teraz precz! pókiś cały!... bo nie ręczę za siebie...

— Ale jasny panie, tam musi być z jakich kilkakroć.

— Idź precz, mówię ci!... Ty śmiesz mnie mówić i proponować rzeczy... —

To rzekłszy, podniósł rękę ku dzwonnkowi z wyrazem tak groźnym, że żyd naprawdę przestraszony umknął i co prędzej drzwi za sobą zatrzasnął...

Pan Wyżyński po wyjściu żyda uspokoił się w jednej chwili. Czas jakiś patrzył ku drzwiom, jak gdyby śledził kroki uciekającego. Potem obrócił się pomału, i kilka razy potarł jakby głębokiemu oddany dumaniu.

Żyd tymczasem szybkim krokiem spieszył do bryczki swojej, i ciągle się oglądał, czy go kto nie goni od dworu. Gdy już jedną nogą był na bryczce, uderzył się nagle po głowie...

— Aj waj! ja podobno głupstwo zrobił — mówił sam do siebie. — A jak wun sam spróbuje?... Do Wiciewicza jechać?... Nu ten sknera nic nie da za przestrzeżenie. Samemu iść tam?... gwałt ja się boję... A zatem! achemir już go mam, już wiem... Ja pójdę do Wasyla!... Ten najdzie sposób, a jak przyrzeknie, to pewnie dotrzyma i nie zdradzi mnie.

Po tym monologu wkroczył do bryczki, i zacinając biczykiem kulawego konia, gonił o ile mógł najprędzej w stronę pasieki Wiciewicza i góry z monasterem.

Tego samego dnia wieczorem w pokoju samej pani Wyżyńskiej

siedział major z bratową. Pani Wyżyńska cały dzień była cierpiąca, i nigdzie nie wychodziła z pokoju swego. Pod wieczór zaprosiła do siebie męża i brata na herbatę. Mąż odpowiedział, że jest zajęty, a major który cały dzień biegał jak nie swój, i pełen niespokojności o zdrowie bratowej, co chwilę się o niej dowiadywał, przybiegł na pierwsze wezwanie. Ciemno było już w pokoju chociaż zupełnie na dworze nie zapadł jeszcze zmrok, bo story były pozapuszczane i pozamykane okienice. Lampa na boku stojąca, ledwie oświecała pokój, w którego najciemniejszym kącie siedziała pani Wyżyńska, z głową na bok zwróconą, jak gdyby nie chciała, by ją widział wchodzący major. I tak to zrozumiał pan Stanisław, który przeciwnie chciałby koniecznie ją widzieć, aby ztąd poznać stan zdrowia i usposobienie bratowej, dla której jak wiemy major był z niemałym uczuciem. Zbliżał się nawet w tym celu ku lampie, chcąc ją zwrócić ku siedzącej.

— Światło mnie razi! — ozwała się do niego.

Po kilku słowach obojętnej rozmowa się urwała, i długie nastąpiło milczenie, przerywane tylko przytłumionemi westchnieniami pani Wyżyńskiej, którym major wtórował mimowolnie.

— Bratowa jesteś cierpiąca! — przerwał wreszcie major milczenie. — Może chcesz już odpocząć?..

— Nie jestem więcej cierpiącą... I twoje towarzystwo kochany bracie jest mi jeszcze jedną pociechą nadto.

— A przecie nie widać tego po smutku twoim, kochana bratowo!..

— Smutek jest mi już od dawna nieodstępnym gościem, i już się z nim do śmierci podobno nie rozstanie.

Głos mówiącej był tak żałosny, tak smutny, że major mimo swojej męskiej siły i energii, zadrżał cały i zerwał się z miejsca.

— To się nie godzi! — zawołał na pół z żarzem, na pół z błaganiem. — Wszakże Eugenjusz nie małe dziecko, by tak dał się porwać bez oporu i zginąć bez wieści.

— Nie małe dziecko!.. a przecież od małego dziecka przeczuwałam stratę jego.

— Na miłość Boga bratowo!.. dajże pokój z temi przecuciami... A jeżeli już koniecznie chcesz wierzyć w przecucia, to wierz w moje, które mi mówią, że lada chwila będziemy mieli wiadomość o nim, jeżeli nie jego samego.

— Ty bracie nie wiesz wszystkiego, i pojąć nie możesz jak mi jasno przed oczami stoją przyczyny i skutki, ściśle z sobą połączone.

— Nie wiem wszystkiego, to być może! ale przecież nie rozumiem...

— To co się stało, to co przeczuwałam, w snach moich widziałam, czego się ciągle obawiałam, to się ściśle łączy ze zdarzeniem, tobie bracie nieznanem.

— I którego wiedzieć nie mogę?

— Nie, mój bracie, ty wiesz, że w tobie mam zupełną ufność, a jeżeli dotąd nigdy o tem zdarzeniu nie mówiłam, to głównie dla

tego, że tajemnica nie do mnie samej należała, i nareszcie sam najlepiej zrozumiesz, dlaczego nic mówić nie chciałam, gdy się dowiesz..

— Wierzę.. i szczerze powiadam, że wiedzieć nie chcę, jeżeli ma to być tajemnica.

— I owszem mnie to dawno ciążyło na sercu, i dziś czas, bym wszystko powiedziała. Słuchaj kochany majorze!.. Jeżeli dotąd milczała, to dlatego, że się to tyczyło twego brata.

— I pewnie nic takiego, co by mu zaszczyt przynosić mogło.

— Posłuchaj!.. Znasz bracie tak zwanego króla dziadów, o którego z takim zajęciem pytał się Eugenjusz.

— Król dziadów! — zadrżał major z wyrazem zdziwienia. — A gdy się Eugenjusz pytał, widziałem szczególne pomieszanie na twarzy Gdnacego, i...

— I na mojej!.. tak jest!.. Ten król dziadów jest człowiek szczególnych zdolności, mimo stanu niskiego w jakim się urodził. Podług wszelkiego nawet prawdopodobieństwa on udaje ślepego, bo niby każdy król dziadów ślepym być musi, i ta ślepotą daje mu nadzwyczajną władzę nad jego podwładnymi.

Ojciec mego męża lubił go bardzo, bo jak się zdaje, w sercu jego pod torbą żebracza bito wiele uczuć szlachetnych dla bliźnich i dla kraju. I król dziadów miał szczególne przywiązanie do starego kasztelana, co dowodził mu za życia, ochraniając jego majątności od chmury żebraków, a po śmierci, widziano go styszę, jak na czele swoich podwładnych szedł za trumną nieboszczyka, szczere łzy wylewając. Ztąd poszło, że gdy mąż mój w lat kilka wrócił do siebie, król dziadów odwiedził go, chcąc jak mówił choć dotknąć się twarzy jego, aby poznać młodzieńcem tego, którego widział dzieckiem. A przytem przyrzekł mężowi memu opiekę i w końcu zapytał, czy nie może mu w czem pomódz. Mąż mój przyjął go nienajlepiej, lecz usłyszawszy o obiecanej pomocy, a radząc się już wówczas Sruła który mu powiedział, że wieść chodzi, jakoby król dziadów miał znaczną gotówkę z żebraniny jego podwładnych pochodzącą... Ignacy jak zawsze potrzebny, zawsze goniący za pożyczkami, nie wahał udać się do króla dziadów z prośbą o tę wspólną ich towarzystwa kasę.

— Ha to okropne!.. i nie wstydził się!..

— Niewiem dobrze szczegółów, czyli raczej nie wiem czy, jak je później słyszałam, wszystkie są prawdziwe, daj Boże, by choć w części były przesadzone. Bo aż przykro pomyśleć, by się mógł kto tak dalece przeniżyć jak...

— Jak mój braciszek! dla marnotrawcy byle nowych dostał pieniądze, nic niema świętego.

— Miało więc tak być, że król dziadów zaprowadził go do jakiejś starej piwnicy, gdzieś tam w pasiece koło góry z monasterem, i tam mu tajemnie z owej kasy pożyczył pewną kwotę znaczną, która ledwie czwartą część całej kasy stanowiła. I pożyczył mu bez kwitka, na proste przyrzeczenie. W kilka czy kilkanaście dni później, lecz prawdziwie nie wiem czy mam kończyć!..

— Mów bratowo! ja jestem przygotowany do najgorszego.

— Przychodzi więc król dziadów do schowku swojego w owej piwnicy, ale już ani śladu nie zastał swoich pieniędzy. Łatwo pojmiesz bracie, na kogo musiał mieć podejrzenie, bo jak twierdził, nikomu nigdy tajemnicy schowku swego nie odkrył.

— Tylko Ignacemu!

— Dostyc, że król dziadów przychodził do Ignacego upominać się. Ten nie tylko że go wyłajał i nagroził za owe podejrzenie, ale zaparł się nawet pożyczonych pieniędzy. Król dziadów nie miał żadnego dowodu, musiał zamilknąć, chociaż miał podobno wiele nieprzyjemności z swoimi podwładnymi. Ale zaprzysiął mu zemstę. Słuchaj bracie, zaprzysiął mu zemstę!

— To jest okropne! ale w czymże zemsta?

— W czym! alboż ja wiem, i właśnie dla tego nigdy chwili spokoju nie miałam. Bo żeby się zemścił, jak się zwykle mszczą żebracy, podpaleniem, kradzieżą! Nie! tyle lat minęło, i zawsze jak dawniej byliśmy nienaruszeni przez nich. Nigdy śladu podpalenia. A przecież co roku prawie pojawia się żebrak, który znalazłszy sposobność, przychodził od króla dziadów z powtórzeniem mściwej obietnicy. I wyobraź sobie mój bracie! od czasu urodzenia Eugenjusza poselstwo to złowrogie ustało zupełnie.

— Znudziło go zapewne, próżne przesyłać pogróżki!

— Ty go nie znasz mój bracie! W tym człowieku jest mimo późnego wieku niesłychana jeszcze energia!

— I zkądże bratowa tak dobrze jesteś uwiadomiona o tych wszystkich szczegółach? bo jak się zdaje, wszystko to daleko dawniej się wydarzyło.

— Zaraz opowiem. Tu właśnie muszę dotknąć tajemnych jakichś przeczuć i snów, które dziwnym sposobem łączą się z przyrzeczoną zemstą króla dziadów.

Tys bracie był gdzieś wyjechał, gdy ja miałam Eugenjusza, i mąż mój w interesie oddalił się. Ja byłam sama jedna. Nic jeszcze wówczas nie wiedziałam, i jeżeli nie byłam zupełnie szczęśliwą, byłam o tyle przynajmniej spokojna, że z uczuciem błogiem mogłam patrzeć na to małe stworzenie, które miało być odtąd moją jedyną pociechą. Szukano mamki. Wówczas to przychodzi do mnie kobieta młoda, dziwnej, niezwyklej nawet urody, mimo swej prostej i nawet ubogiej odzieży. Powierzchność jej podobiała mi się bardzo. Niepytając o nic więcej, bez poradzenia się kogokolwiek, wzięłam tę kobietę za mamkę. To była szczególna fatalność!

— Fatalność?

— Ta kobieta była wnuczką króla dziadów, ostatnia wnuczka pozostała mu po licznej niegdyś rodzinie. Ona to opowiedziała mi całe zdarzenie jej dziada z moim mężem.

— Może kłamała? — zawołał poczciwy major z wybuchem radosnej nadziei.

— Daj Boże! — odrzekła pani Wyżyńska z cichem westchnieniem.

— Ale po takim właśnie powiedzeniu nie należało już trzymać tej mamki.

— Ja też powtarzam, że była w tem fatalność! Jej opowiadanie przeraziło mnie okropnie, i tem więcej, że w całej jej powierzchowności był wyraz szczególnej wyższości umysłowej, a w każdym jej słowie, w każdym ruchu przebijała prawda. Drżałam na jej opowiadanie, drżałam na widok jej ciemnych oczów, łyskających oburzeniem, gdy opowiadała krzywdę swego dziadka, a przecież czułam jakiś dziwny do niej pociąg i nareszcie... zdało mi się, że trzymając ją w domu, przebłagam zemstę zaprzysiężoną.

— I tak się zdaje, nic się dotąd z tej zemsty nie wykłuło.

— A zniknięcie terażniejszego Eugenjusza?

— Miałożby to być skutkiem tej zemsty, tak długo odwlekanej?

— Jest jakiś tajemny w tych zdarzeniach związek: o tem jestem przekonana! jaki? Bóg to jeden wie, lecz słuchaj bracie dalej! To co ci jeszcze mam opowiedzieć, wyda się tobie śmiesznem i nic nie znaczącem, bo u was mężczyzn, do życia czynnego przyzwyczajonych, najmniejszego znaczenia niema.. sen błahy.

— Sen! mój Boże! i to jeden sen niepokoi cię kochana bratowa od tak dawna.

— Ale jaki sen! posłuchaj go. Było to w parę dni zaraz po przyjęciu mamki. Byłam bardzo osłabiona, mianowicie nerwy moje były do najwyższego stopnia rozdrażnione. Każdy stukot męczył mnie, i pamiętam jak by to dziś było, jakie na mnie wrażenie sprawiała burza jesienna, hucząca na dworze i po ogrodzie, której głuchy głos dochodził do mnie mimo szczelnie pozastłanianych okien. W skutek tej burzy i usposobienia mego, sen mój był nadzwyczaj niespokojny. Dziwne z początku krzyżowały mi się przez sen postacie, nie połączone zdaje się z sobą żadną myślą wyraźną, Aż nareszcie, zdało mi się, że widzę przed sobą króla dziadów, z postawą rozgniewaną i groźną.

Nadaremnie chciałam uciec lub schować gdzie oczy, wszędzie mnie dopędził, wszędzie stawał mi przed przestraszone oczy. A co najwięcej mnie męczyło, że w tej ucieczce oglądać się musiałam za dzieckiem, które w rękę mamki okropnie płakoło i zdawało się rozpaczliwie wyciągać ku mnie drobne swe rączki. Nagle zdało mi się, że się znalazłam w jakiejś piwnicy, z której żadnego już nie było wychodu. Nadaremnie tłukłam głową i rękami; wszędzie zdybywałam twarde sklepienie. Chciałam wziąć dziecko z rąk mamki, lecz ona odwracała się odemnie, i palcem grożąc wskazywała króla dziadów, który coraz zawzięciej patrzył na mnie i na to biedne dziecko moje. I stanął wreszcie przedemną, wyciągnął ogromną rękę, i porwał nią dziecko moje. Struga krwi spłynęła wzdłuż piwnicy; dziecko krzyknęło przeraźliwie, wszystko znikło, a jam się zbudziła. Zimny pot mnie oblał, trzęsłam się cała jak w febrze, i już wtenczas pewnie nie spałam. Nagle zdało mi się, że ten sam krzyk dziecięcy słyszę wyraźnie, jak dochodzi mnie z ogrodu mimo burzy, kołatającej o suche drzew konary.

Zerwałam się z łóżka, i pobiegłam do drugiego pokoju, gdzie spała mamka i dziecko w kołysce. W tej chwili mamka kładła

dziecię do kolyski i sama, wyraźnie dostrzegłam, miała lzy w oczach. Do pół gorączką rozmarzona, porwałam dziecko na ręce, przycisnęłam je do łona, oglądając się ciągle, czy je kto nie porwie. I w tej to chwili, gdy dziecko przyciskałam do trwogą bijącego serca, dziwnego jakiegoś doznałam uczucia.

Był to jakiś czy ból, jakby coś ostrego i zimnego wpadało mi w serce, czy jakieś przeczucie złowrogie dziecka się tyjące. Mnie się w tej chwili wydało, jak gdybym coś już nie mego przytulala do piersi mojej, czem się długo cieszyć nie będę. Od tego czasu nie mogłam uwolnić się od tej srogiej myśli, że mój syn prędzej czy później podpadnie słusznej ale okropnej zemście króla dziadów.

Po tym śnie i wzruszeniu wpadłam w okropną gorączkę, którą omal życiem nie przeplaciłam. Gdy ozdrowiała, pierwszą myślą moją całą i zdrową było przypomnienie owego snu straszego.

— Straszego! nie zaprzeczam... ale zawsze snu tylko.

— Masz słusność bracie tam w głowie, ale wierz mi, że ja mam słusność tu w sercu mojem.

I zadumane a blade czoło spuściła na podtrzymującą je rękę. Oboje milczeli. Ona była nadto wzruszona, by mogła co powiedzieć. I jego mimowoli opowiadanie to wzruszyło, jakkolwiek fantastyczność szczegółów nie mogła trafić do praktycznej głowy starego żołnierza.

Nagle milczenie zostało przerwane szybkimi krokami, które się ozwały w drugim pokoju. Oboje zbudzeni z zadumania tak nagle zadrżeli, i zwrócili zdumione i ciekawe oczy ku drzwiom wchodowym.

Wszedł przez nie stary sługa majora, który z nim odbywał wszystkie wyprawy wojenne. Był to prawdziwy typ sługi wojskowego. Wysoki, sztywny, wyprężony, miał długie i spiczaste wąsy, codzień woskowane i szwarcowane należycie. Na twarzy wryta była poczciwość, obok nudnej trochę regularności, i niezłomnego dla pana posłuszeństwa.

— Co powiesz Marcynie? — zawołał major z rodzajem niechęci, nie lubił bowiem, żeby go sługa bez rozkazu szukał.

Marcin nie odpowiedział póty, póki nie ustawił się w pozyturze służbowej jaką uważał za stosowną w obec majora, a co więcej w obec pani domu, dla której równie jak i dla całej płci pięknej wielkie miał uszanowanie.

— Proszę pana majora! jakiś tu chłopak przyszedł i przyniósł list. Ledwie mi go wsadził w rękę a ja go się zaczął wypytywać — gdzie? po co? i z kąd? już i znikł, ale tak proszę pana majora, jak ten francuz we Włoszech, co to nam pokazywał sztuki.

— Dobrze już! ale cóż z tym listem?

— A co najdziwniejsza — mówił Marcin wzruszony dalej, bo już to gdy zaczął opowiadać, żadna siła ludzka nie zdołała go powstrzymać lub zwrócić z raz obranego kierunku — to było to, że chłopak ten wyglądał mi na żebraka!

— Na żebraka! — zawołali major i pani Wyżyńska.

— Tak niby podobny był do żebraka i ze stroju i z twarzy, która nie wiele przyrzekała. A choć go nigdy w życiu nie widzia-

łem, na co mógłbym przysiąc, on odrazu przemówił do mnie, już to grzeczniej przemówił, niż się spodziewałem po jego twarzy i odzieniu.

— Marcin kończ już do stu! — zakrzyknął major, którego główną cnotą nie była cierpliwość, z Marcinem nieraz na ciężkie próby wystawiana.

— Zaraz panie majorze!... Powiedział mi tedy: Panie Marcinie, oddajcie ten list waszemu panu majorowi. Zkąd ten chłopak mógł wiedzieć o mojem imieniu?...

— Gdzież ten list nudziarzu? — zawołał major i zerwał się z miejsca swego.

— Zaraz panie majorze! List jest u mnie, ale ten chłopiec tak się wymknął.. iż...

— Mój Marcinie, dawaj list co prędzej! — przemówiła sama pani Wyżyńska.

Na jej słodki i błagający głos rozmarszczyło się czoło starego wojaka, i nawet rodzaj uśmiechu pomarszczył suche jego usta.

— A jest list, proszę wielmożnej pani — odrzekł Marcin, i wy dobył przecie z zanadru list jakiś z grubego papieru.

Major porwał za list i ledwie rzucił nań okiem, zawołał radośnie:

— To od Eugenjusza!...

Usłyszawszy to, matka słowa wyrzec nie mogła, złożyła tylko ręce i oczy wzniosła ku niebu, jakby chciała naprzód modlitwą Bogu podziękować za to szczęście niespodziewane.

— Ja zaraz myślałem — ozwał się Marcin — i dla tego aż tu przyszedłem.

— Żyje?... zdrów? — zawołała wreszcie matka, odzyskując głos.

— Zdrów jak ryba, — odrzekł major składając list — ale oczywiście oszalał.

Marcin tymczasem jako rozumny sługa, nie chcąc słuchać pańskich sekretów, oddawszy pokłon wojskowy, wyszedł z pokoju.

— Cóż się z nim dzieje? — wołała dalej matka.

— Oszalał wyraźnie! — zakochał się po uszy.

— W kim? — pytała matka, i odetchnęła, bo cóż dla niej strasznego być mogło w zakochaniu się syna.

— Goździkiewiczównie!... warjat prawdziwy.

— Dla czego?... Hania śliczna, pocziwa dziewczyna i wcale dobrze ma w główce.

— Ale ekonomówna!...

— Byle był z nią szczęśliwy...

— No! no!... już ja zrobię porządek z tym jego romantyzmem, do którego wy moje panie macie także słabość. Ale pisze mi tu na końcu jakąś historję o skarbie zakopanym przez tego sknerę Wiciewicza, który jest w niebezpieczeństwie, bo już o nim wiedzą żebracy, i ten ich król.

— Król dziadów! — zawołała matka z wyrazem przerażenia.

— Czy zawsze stawać będzie na drodze naszego życia. Boże mój! ratuj mnie od niego.

— Kochana bratowo, uspokój się! jeszcze nie możesz przyjść do siebie po wzruszeniu. Eugenjusz żyje i nic mu się nie stanie. Ja sam zaraz tam jadę do niego, pomówię z nim mądre słowo, a z królem dziadów, jeżeli go tam gdzie zdybię na mojej drodze, dam także radę sobie... A co do tego głupiego skarbu, trzeba dać znać Wiciewiczowi, niech tam go sobie nazad wykopie.

— Drogi bracie! tylko Eugenjusza przywieź co prędzej... I na to wszakto przystań... jeżeli mi kiedykolwiek co dobrego życzysz... Czy myślisz, że małżeństwo bez miłości przynosi szczęście?..

— Eugenjusz! — odrzekł major pół głosem, i zarumienił się jak młode dziewczę... — A nareszcie!... dodał, Goździkiewicz szlachcic a co więcej poczciwy człowiek, o... nasz!... Ha!... niech się dzieje wola Boża...

— Już już! już bracie!... ale trzeba by donieść Ignacemu o tej wesołej wieści...

— Masz pani bratowa słusznosc... Zapomniałem o tem; a to przecie ojciec.

— Chodźmy! — odrzekła pani Wyżyńska.

I weszli oboje do znajomej już nam kancelarji pana Ignacego. Lecz jego nie zastali. Służący pana Ignacego zapytany powiedział, że już parę godzin temu, jak wkrótce po rozmowie z Srulem wyszedł gdzieś... Gdzie poszedł nikt nie wiedział.

Oboje, brat i żona popatrzyli na siebie zdziwieni, bo wiedzieli z doświadczenia, że pan Ignacy zupełnie nie był przyjacielem piechotnych przechadzek. W pokoju jego wszystko tak stało, jak przed wyjściem jego. Na stole leżały papiery sądowe i list od pełnomocnika, zwiastujący mu jak wiemy zupełną ruinę majątkową. Na pół z roztargnieniem, na pół z niespokojnością przeglądał major złowieszcze papiery, i po raz pierwszy zadrżało mu w sercu uczucie dziwnego jakiegoś niepokoju. Mimowolnie spojrzął na ścianę, gdzie dla parady raczej niż dla potrzeby lub gustu samego pana Ignacego wisało dwie czy trzy pary pistoletów. I poznał od razu, że jednego brakuje. Nie dał wprawdzie poznać tego po sobie, ale złowrogie przeczucie ścisnęło mu serce.

— Gdzie on mógł pójść? — zagadła pani Wyżyńska głosem zmienionym. Bo i ją, choć nie wiedziała dla czego, mimowolna przejęła trwoga.

— Chciał się przejść i wkrótce wróci zapewne. Idź bratowa do siebie i połóż się: ja jadę zaraz.

— Ja idę modlić się.

— I to nie zawadzi: — mruknął stary major odchodząc do siebie. — Dziwna rzecz! — myślał dalej siadając na ulubionego ka-

rosza — nigdy jeszcze takiego nie miałem uczucia... nawet gdy na armaty szedłem. Cóż u diabła, czy już ze mnie taka baba na starość się zrobiła?

I spał konia ostrogami. Za nim jechał Marcin z miną poważną, trzymając konia powodowego, owego znanego nam karosza, przygotowanego dla Eugenjusza.

Przed odjazdem wysłał posłańca do Wiciewicza, donosząc mu w krótkich słowach, co usłyszał o zakopanym przez niego skarbie.

XI.

Skarb zakopany.

Sliczny był wieczór, prawdziwie letni, prawdziwie czerwcowy. Droga cała od Wyżyniec ku monasterowi i rzece, wiodąca wzdłuż wysoką trawą porośniętych błoni i łęgów karłowatemi krzakami pokrytych, przy oświetleniu księżyca, odbijającego od rześkiej rosy, wyglądała jakby iskrzącymi brylancikami zasłana, do których co chwila z krzaków i drzew przybywały świętojańskie robaczki, niby latające iskry diamentowe. Ile było uroku, tyle było i woni, która zewsząd i z drzew i kwiatów, z krzewów i trawy, z siana tu i owdzie pokoszonego, z dalszych pól zbożem zasianych, unosiła się po powietrzu, łącząc cudny krajobraz i pogodne niebo, w czarującą całość, z którą cudownie harmonizowała ta cisza wieczorna, z rzadka przerywana wszystkimi temi głosami coraz cichszymi, które poprzedzają zupełne uspienie natury.

Wieczorny ten krajobraz, tchnący sielskim pokojem i urokiem, zmieniał się jak już wiemy, im bliżej drogi z Wyżyniec i Niżyniec zbliżały się do sterczącej z dala góry, nikuńcej po połowie w fantastycznym mgły wieczornej płaszczu. Coraz gęstsze i ciemniejsze krzaki, dodawały tam całemu krajobrazowi nowego powabu tajemniczości, wyglądającej z łona cieniastych zakątków.

I coraz ciszej i spokojniej było. Żaden wietrzyk się nie ruszył i najsilniej nateżone ucho nie usłyszałoby ani ludzkiego ani zwierzęcego kroku. Nagle zaszeleściło w jednym z gęstych krzaków nadbrzeżnych; zadrzały liście, jakby wiatrem poruszone i pomału, ostrożnie wywinęła się z gęstwiny jakaś postać ludzka. Sledzące najprzód wystąpiły oczy, a za nimi posuwała się z wolna ciemna postać wzdłuż krzaków nadbrzeżnych. Musiał to być wędrowiec nieprzyzwyczajony do takich nocnych wycieczek, lubo miał ważne tajemnia się przyczyną, bo z każdym niemal krokiem zatrzymywał się i z nieufnością przypatrywał każdemu dalej występującemu cieniowi, z trwogą przysłuchiwał się najniewinniejszym głosom, jakie go dochodziły to z futorków dalekich, to z pastwisk, zapelniających się chtopcami, wiodącemi konie na nocną paszę.

Zbliżył się nareszcie wędrowiec do ostatnich krzaków nadbrze-

żnych, od których należało przejść przez miejsce otwarte, światłem księżycy jakby w dzień oświecone, aby stanąć przy krzyżu nam, już znajomym, i przy pasiece, do której samotny zdawał się dążyć.

Zawahał się chwilę i ostrożnie wyciągnął szyję. Lecz tak było cicho i spokojnie w około, jakby cała okolica snem wiecznym usnęła. I cichym krokiem zgarbiwszy się, jakby się chciał ukryć w cieniu bujnej trawy, przeszedł to miejsce tak jasne, że ktobykolwiek stał wówczas czy przy figurze czy na znanej płycie kamiennej, albo nawet był ukryty w cieniu drzew na górze rosnących, musiałby poznać wsuwającego się do pasieki.

Lecz zapewne nikt go nie widział, bo żaden ruch ogólnej nie przerwał ciszy. Tam tylko nie daleko płyty, w jednym z krzaków zadrżały liście i łysnęły księżycowymi promieniami, ale tak z lekka, że to chyba zbudzona snem niespokojnym ptaszyna poruszyła się na swej gałązce.

Wędrowiec odważniejszy w cieniu drzew pasieki szybszym krokiem przebiegł jej przestrzeń, i zbliżył się do jednego rogu, który wyglądał jakby stara mogiła zielskiem i krzakami zarosła.

Stanął znowu i pomału dobył z za ciemnej szaty dwa przedmioty, które załyszczwały nieco. Była to rurka pistoletu i blacha małej latarki. Trzymając oba te przedmioty w ręku, zaczął pomału przechadzać się w około owej mogiły, odchylając wolną ręką bujne zieliska i krzewy, jakby tam szukał czego. Po kilku chwilach szukania znalazł, bo się zatrzymał, zgiął i nagle zniknął jakby się w ziemi zapadł.

I znowu coś łysnęło, zaszeleściło; przemknęło się przez krótką chwilę jakieś światełko niby, może to robaczek świętojański, i znowu było cicho i ciemno w koło zarosłej mogiły.

Zanim się dowiemy, po co przyszedł ten wędrowiec, i co się z nim stało, przenieśmy się na chwilę do chaty starego króla dziadów.

Wasył siedział na zwykłym miejscu swoim przy stole, i z zwykłą nieruchomością a powagą patrzył niby przed siebie.

Przed nim stał Śrul Feigele, w postawie daleko skromniejszej i potulniejszej, aniżeliśmy go widzieli przed parą godzinami w Wyżyncach. Bo żyd jakkolwiek bogaty, i właśnie może dla tego że bogaty, ogromnym był tchórzem, i Wasyla bał się jednego w całej okolicy. Dla czego się bał, nie umiałby nikomu wytłumaczyć, ale oczywiście jak u nas żyd choćby najbogatszy, mało wykształcony, najdziwniejsze miał wyobrażenie o władzy przyrodzonej i nadprzyrodzonej króla dziadów. Przybył on do niego przed godziną dopiero, bo jego nędzny konik włókł się nieznośnie, i skorciło go jeszcze wstąpić na bok do karczemki, trzymanej przez zięcia, z którym miał rozmaite rachunki.

Nie wiele było rozmowy z starym Wasylem, który jako prawdziwy wieśniak ruski, to tylko rozumiał i słyszał, co chciał zrozumieć i usłyszeć. Cała zaś przemowa żydowska od samego początku nie przypadła do smaku staremu, który prócz tego dzisiaj właśnie dziwne jakieś, niespokojne i rozdrażnione miał usposobienie. Jak to się często trafia między ludem prostym, u tych którzy pewną władzę

niby tajemną mają nad drugimi, że w końcu sami w nie uwierzą i lada wewnętrzny niepokój uważają za jakieś natchnienie, za głos nadprzyrodzony, tak i stary Wasyl pomału przyszedł do tego niezłomnego w nim przekonania, że przeczuwa i przewiduje rzeczy drugim niedosięgnięte, każdy więc swój niepokój, każde staremu jego wiekowi a silnym pomimo namiętnościom właściwe rozdrażnienie, to uważał za ów głos wewnętrzny, przeczuciem jakiegoś ważnego zdarzenia przemawiający.

I dziś co chwila zdało mu się, że ważna zajdzie przemiana w jego życiu. Czy smutna czy wesola nadaremnie biedził się przewidzieć; ale każdy ruch za chatą, każdy głos nieco donośniejszy, uderzył go jako zwiastun tej ważnej, co krok już bliższej a stanowczej chwili. Łatwo pojąć, że przybycie Srula w takiej chwili najnieprzyjemniej go trąciło, odrywając od samotnego rozpamiętywania, którem stary przygotował się niejako do owej stanowczej zmiany. A może i przedmiot przez żyda w rozmowie podniesiony miał coś w sobie takiego, co nie wpadało w myśli i plany starca.

— Albo on głupi zakopywać! — rzekł po chwili milczenia król dziadów. — Cóż się wam uroiło mój Srulku!...

— Ja pewny jestem... i jeżelibyście chcieli... moglibyśmy razem...

— Ot pleciecie arendarzu!... ja stary już, do niczego i o niczem wiedzieć nie chcę...

Żyd się wpatrywał w niego, bo to ciągle zaprzeczanie, zaczynało naprowadzać podejrzliwego zawsze żyda na różne myśli.

— Wy jak zechcecie! — ozwał się znowu...

— I dziś nie dzień do odkopywania skarbów...

— Dla czego dziś nie dzień? — zagadł ciekawy i przestraszony nieco żyd.

— Co ty rozumiesz niewierny żydzie? — ofuknął go król dziadów. — Ktoby dziś chciał skarb wykopywać, tegoby zdybało największe nieszczeście.

Ledwie ostatnie wymówił słowo, gdy obaj mówiący usłyszeli szybkie stąpanie bosych nóg, drzwi się otworzyły, i wbiegł przez nie zadyszany Semen z twarzą zdradzającą coś nadzwyczajnego.

— Ktoś wkradnął się do pasieki! — wyrzekł szybko.

To zadrżenie listków w ciemnym krzaku niedaleko od płyty kamiennej, pochodziło od Semena, który po całych dniach, wieczorach i nocach bacznego nie spuszczał oka z miejsca, gdzie miał być skarb zakopany, którego pilnując niby dla króla dziadów, pilnował właściwie dla swego ulubionego panicza.

— To on już! — zawołał żyd. — Ja to przeczuwał.

— To on! — powtórzył Semen — poznał ja go zdaleka.

— To on! — krzyknął król dziadów, i zerwał się z miejsca swego, jak gdyby mu pół wieku ubywało. — Tyś żydzie jemu powiedział? ..

— Ja tak!... jemu coś bąknął...

— Nie ty żydzie!... ale ten co nami wszystkiemi włada!... ten

co mi w dzień i nocy powtarzał ciągle: „Przyjdzie Wasylu twój dzień“. I przyszedł!... Chodźcie za mną...

To rzekłszy poszedł tak prosto i żwawo ku drzwiom, a oczy takim zabłyszczały blaskiem, jak gdyby nie był ślepy.

— Gdzie jest góral? — spytał król dziadów już we drzwiach — spi już na strychu?...

— Nie wiem!...

— To źle!... powinien byś wiedzieć!... Boże! — dodał ciszej, i podniósł oczy i twarz do góry.

Twarz i oczy błyszczały dziwnie szlachetnym i energicznym wyrazem.

Wyszli z chaty, Wasyl i Semen na przędzie; żyd z tyłu trzęsąc się już ze strachu i przeklinając swoje niepotrzebne wdanie się w tę sprawę.

A gdy za pierwszą znikli skałą, z chaty wyszedł jeszcze czwarty, i poszedł zdala za nimi. Był to Eugenjusz, zawsze w stroju góralskim. On nie spał, bo czekał na odpowiedź majora. Zasłyszawszy kilka słów z nadto żwawej rozmowy, zmiarkował, że rzecz iść może o ów skarb, który go o tyle obchodził, że mimowolnie się o nim dowiedział.

Zdało się mu więc być obowiązkiem czuwać nad nim aż do przyjazdu majora, którego się spodziewał i serdecznie wyglądał.

Wracajmy teraz do nieznanego, który tam w krzakach mogiłę otaczających znikł nagle.

Jako świadomy dobrze tego miejsca, wiedział on, że ta kupa zielskiem zarosła nie była mogiłą, ale starem rumowiskiem z dawnego jakiegoś budynku powstałym, które czasami nielubiący nagich zwalisk, pokrył już od dawna bujną roślinnością.

Rumowisko to było ostatnim szczytkiem czy onego rozbójniczego zamku, czy onej zbójckiej karczmy, o której wieść niosła. I szczyłek ten mógł zarówno stosować się do zamku jak i do karczmy, bo było w nim wnijscie zieleń i krzakami zasłonięte, prowadzące do obszernej piwnicy. Mówiliśmy już, że cała ta pasieka złą bardzo miała reputację u ludu, i po zachodzie słońca od dawna już niktby nie zaszedł za wszystkie skarby świata. Starsi tylko przebąkaliwali czasem o jakiejś wielkiej piwnicy, do której czy pan zamku czy pan karczmy, bogatych gości swoich trupami wrzucał, i po której od północy do rannego kura wszystkie dusze zamordowanych bez spowiedzi niestworzone wyprawiają hece.

Nie wdając się w to, jak to było w samej rzeczy, chodźmy za nocnym wędrowcem, który wsunawszy się przez krzaki ku piwnicy i zapaliwszy latarkę, wnet znalazł ciasne dosyć wnijscie, które się coraz rozszerzało i kilką schodami wsuwało się do wielkiej obszernej sklepionej piwnicy. Już był nogą posunął, by na pierwszym stancie schodzie, gdy zdawało mu się, że tuż za krzakami usłyszał jakiś głuchy szelest, jakby ciche stąpanie. Może to był i skutek rozbudzonej wyobraźni, ale jak dobrze przysłowie powiada: na złodzieju czapka gore. Nieznajomy zdrzął, dech w sobie zaparł, i w pierwszym przestachu pistolet wypadł mu z ręki. Długą chwilę stał i czekał,

lecz nie nie słyszał prócz bicia własnego, zastraszonego serca. Uspokojony nieco, posunął się znowu ku wejściu, lecz gdy nie mógł od razu znaleźć pistoletu, czy może rad, by copędzej zniknąć w piwnicy, a może też i w tej chwili przyszło mu na myśl to szczerze przed sobą samym wyznanie, że ten pistolet nie wieleby mu pomógł, bo by mu zapewne w razie odkrycia zabrakło potrzebnej do użycia go odwagi. Cobądź było, dosyć, że nie znalazłszy pistoletu od razu, wsunął się copędzej do otworu, i wnet znalazł się w piwnicy.

Ktoby się wówczas był przypatrzył panu Ignacemu, bo że on był tym nocnym wędrowcem, czytelnicy moi dawno już odgadli, nie byłby w nim poznał zapewne ani salonowca, a co więcej, nie zrozumiałby, zkaąd się w człowieku wszelkiej energii pozbawionym, bojaźliwym, zebrało na taką odwagę. Twarz jego pobladła okropnie, była zmieniona do niepoznania. Była na niej rozpaczliwa determinacja, przypominająca nieco wyraz prowadzonego na śmierć zbrodniarza. Ta zaś niby odwaga, którą opłacał śmiertelną drżączką i potem, co mu gorąco z wnętrza wychodził, a lodem stygł na ciele, ta odwaga nieszcześliwa dowodzi tylko, co człowiek bez prawdziwej wartości moralnej, bez szlachetności duszy, którą ani rodem, ani majątkiem się nie nabywa — co taki człowiek jest w stanie zrobić dla pieniędzy. Od skoczek na linwie tańczącego, aż do złodzieja z wytrychem w rękę, wszystko zrobi, byle nie pracować po prostu na chleb powszedni.

Biedny pan Ignacy był w pół nieżywy, i sto razy z drogi byłby już dawno uciekł, gdyby nie rozpacz wczorajszego pana, jutrzejszą nędzą rozbudzona.

— Czy tak zginać, czy tak! — powtarzał sobie, kłapiąc zębami. — A nuż się uda.

I drżał, i wzdychał, i modlił się nawet po raz pierwszy może od lat trzydziestu, i szedł naprzód na uginających się nogach, bo w końcu tej okropnej wędrówki widział złoto... Złoto! tylko złota jak najwięcej!... a potem!... A niech tam potem i świat cały runie do góry nogami.

Znalazłszy się w piwnicy odetchnął trochę pan Ignacy i podniósł latarkę do góry...

Monolog jego był niemy i krótki...

— Jest to miejsce, w którym musiał schować Wiciewicz swój skarb ogromny. Innego lepszego miejsca niema w całej pasiece. Znam to miejsce od dawna, i skarb ów podług wszelkiego prawdopodobieństwa jest tam gdzie przed laty...

Tu choć ani słówka nie mówił głośnego, samą myśl dalszą połknął bez wyraźniejszego w głowie odcieniowania.

— Mam czas, nikt tu nie przyjdzie, bo się wszyscy tego miejsca boją — tak się ciągnął niemy monolog. — Pewien jestem, że ten szelest, co mnie przestraszył, był skutkiem wyobraźni rozognionej gorączką obawy, żądzą złota i nadzieją pełnego użycia. Przysięgnę, że nikomu się nie śni szpiegować mnie.

Musimy przerwać monolog raz jeszcze, aby powiedzieć, że pan Ignacy byłby przywoprzysięgnął. Ow szelest usłyszany nie był dziełem wyobraźni — był on nadzwyczaj naturalny.

Pod owem drzewem, o które oparty Eugenjusz oczekiwał na przybycie pięknej Hani, w wysokiej trawie leżał jakiś człowiek. On nie myślał szpiegować pana Ignacego, o którego przybyciu dziś w nocy ani mu się śniło. Ale szpiegował przecie. Należał bowiem do tych ludzi, którym szpiegowanie jest rozrywką, jest życiem, jest instynktem, jest potrzebą, jest namiętnością. Gdyby inne urodzenie, inne wychowanie i inny czas, Iwan, bo to on był, zostałby niezawodnie zaszczytem ulicy jerozolimskiej w Paryżu, prawą ręką sławnego księcia Otranti.

Iwan, prawnuk króla dziadów, prócz ochoty do szpiegowania miał i swoje powody. Dorozumiał się wielu rzeczy, które podpatrzył i podsłuchał, ale dorozumiewał się po części tylko. Zrozumiawszy wszakże, że w tajemnicach, o jakich nieraz gadali król dziadów i Semen, i on jest zainteresowany, tem więcej nasadzał się na szpiegowstwo. Tym sposobem zasłyszal coś i o skarbie i o pasiece, a osobliwie przekonał się, że Eugenjusz kocha się w Hani i jest od niej nawzajem kochany. Nadmieniliśmy już, że mimo młodego bardzo wieku miał w sobie zarody wszelkich najgorszych namiętności, obok dzikiej i energicznej, chociaż skrytej w sobie natury, jaką często w ludziach jego rodzaju wyrobi zupełne zaniedbanie wychowania moralnego i religijnego. Hanię kochał namiętnie. Dla czego kochał i jak mógł kochać, należy to do owych tajemnic nigdy zupełnie nieodgadnionego serca ludzkiego. Po miłości do Hani, najsilniejsza w nim namiętność była nienawiść do Eugenjusza i całej jego rodziny, nienawiść, której psychologiczna przyczyna, pominąwszy zazdrość jaka wre nieraz w ludziach jego stanu, spoczywała może w dawnych jeszcze przypomnieniach dawniej wyszpiegowanych.

Temi to wszystkimi pobudkami razem połączonemi wiedziony, zaczął się pod owem drzewem, aby i skarbu i pasieki pilnować, i czuwać nad krokami swego nienawistnego rywala. Postrzegłszy kogoś wchodzącego do pasieki o czasie tak niezwykłym, przycołgał się za nim, i widział jak nieznajomy wsunął się między krzaki otaczające piwnicę, o której istnieniu rzeczywiście nie wiedział.

Pana Ignacego poznał od razu, bo ludzie jego usposobienia mają zwykle doskonałe oczy, do kocich podobne. Tem więcej jeszcze pobudzony, chciał zaraz pospieszyć za nim, i gdy się przedzierał przez krzaki, omal się nie zdradził. Przycupnął chwilę, lecz wnet wsunął się po cichu za krzaki, wehód do piwnicy ukrywające, i macając w koło jedną rękę wsunął do otworu, gdy druga przez przypadek, bo zrządzenie wyższe chętnie nazywamy przypadkiem, uchwycił opuszczony przez pana Ignacego pistolet. Zatrzymał się chwilę, rozmyślając, czy ma iść dalej, czy czekać na powrót pana Ignacego, którego przybycie tam, że miało styczność z owym skarbem łatwo odgadł.

I miał nad czem pomyśleć:

— On przyszedł po skarb; a więc wyjdzie z nim. On jest sam, i ja sam. On ze skarbem, ja z moją nienawiścią. On bezbronny, ja z bronią morderczą w ręku. Noc, nikogo niema.. skarb może być mój.

Takie mniej więcej były myśli jego, gdy usłyszał inne zbliżające się kroki. A więc odsunął się i czekał, co dalej nastąpi.

Pan Ignacy tymczasem kończył swój niemy monolog.

— Znam to miejsce... poszukajmy w niem.

I postawiwszy latarkę z rozpaczliwym pospiechem poszedł wprost do jednego rogu piwnicy. Tam był stos kamieni, które, jeżeli wieść ludu była prawdziwa, służyły może kiedyś na zawalenie lochu, do którego wrzucano trupy pomordowanych.

Z gorączkowym ruchem zaczął ręką szukać pomiędzy kamieniami. I snąc znalazł, spocone rozjaśniało się czoło. Przyklął, i ręka znikła w jakimś dole, który zakrywał stos kamieni. Zgięty aż do ziemi nic nie wiedział, nic nie słyszał; słuch i wzrok były w ręku, która coraz głębiej tonęła w lochu.

Była długa chwila oczekiwania i niepewności, której przebycie dla człowieka takiego jakim był pan Ignacy, było już ogromną karą. Bo co było jeszcze w nim szlachetniejszego, co mu zostało z wychowania, co się wyrobiło przez dumę rodową, co się mniej czy więcej wykształciło przez polor światowy, i to życie w wyższej sferze, obdarzające mimowolnie jakimś uczuciem, jeżeli nie szlachetniejszym, to przynajmniej delikatniejszym, wszystko to razem rozbudziło się w nim i szarpało jego sumienie przekonaniem o własnej niegodziwości. Bo sumienie nigdy w żadnej życia chwili i w żadnym położeniu nie milczy zupełnie.

— Tam nędza!... tu ratunek! — przemknęło tyskawicą przez głowę, która w takiej chwili nie zdołała nawet zdrowo sądzić. I ręka sięgała coraz niżej. Wszystkie zmysły, wszystkie myśli, wszystkie uczucia drgały w pięciu tej ręki palcach.

I dotknął, dosięgnął, porwał w ręce i wyciągnął...

To był rzeczywiście skórzany worek Wiciewicza, niewinna przyczyna śmierci Marty kota.

Podniósł się pan Ignacy, błydy, drżący okropnem nateżeniem. Odwrócił się ku zostawionej na środku latarce, i... zdybał się oko w oko z stojącym na przeciwko niego królem dziadów.. A dalej w cieniu stał Semen, i drugie dwoje oczów złowrogich patrzyły na osłupiałego.

Tego uczucia jakiego doznał w tej chwili pan Ignacy, żadne pióro nie opisze, bo ledwie je zdoła wyobrazić sobie najognistsza wyobraźnia.

Worek wypadł z bezwładnej pana Ignacego ręki i z brzękiem uderzył o ziemię. I z rozpękniętej worka skóry posypało się złoto ze swoim czystym i ponętym dźwiękiem. Złoto posypało się między nim i królem dziadów; złoto to pierwsza jednego przewina, a drugiemu przyczyna na długó karmionej nienawiści i zemsty.

Zimno i złowrogo patrzyły na niego oczy króla dziadów, złowrogo i złośliwie patrzyły oczy Semena. A ileżby okropniejsze było uczucie pana Ignacego, gdyby mógł widzieć jeszcze dwoje oczów, które patrzyły na niego z głębi wnijścia, z wyrazem, w którym mieniały się ciągle zgroza i przestrasz, oburzenie i litość, przywiązanie i pogarda; wszystkie te najsprzeczniesze uczucia, jakie mieścić się

mogą w sercu czuć zdolnem. Bo to były oczy syna patrzącego na hańbę i wstyd własnego ojca. Kto w tej chwili więcej cierpiał, ojciec czy syn? Bóg to chyba jeden odgadnie. Eugenjusz wsunawszy się za idącymi niepostrzeżony pozostał w tyle, i zrozumiał część tej sceny, część okropną. Okropniejszej się już spodziewać nie mógł.

A wyżej nad nim jeszcze dwoje patrzyło oczów, zawieszonych przy samem wnijsciu jakby dwa płomieniste kagańce, godne oświetlać tę scenę złowrogim wzrokiem swoim. To były Iwana oczy, zaczajone, szpiegujące.

Srula nie było. Zanadto był przestraszony żyd, i zanadto już bogaty, by się chciał dalej ryzykować. Przy wnijsciu do pasieki umknął niepostrzeżony, i złapawszy konika w krzakach schowanego, pogonił przed siebie. Tak był pomiészany, że tą samą wracał drogą, którą z Wyżyniec nadjechał.

I dla tego niedaleko ujechawszy zdybał majora z Marcinem. Postrzegłszy majora, czy może go sumienie ruszyło, czy może był to skutek przestachu, zaczął mu opowiadać wszystko, co widział i czego się domyślał, bo Srul jako prawdziwy żyd miał zawsze sposób dowiedzieć się o tem, jeżeli się nie domyślić, co mało kto inny mógł wiedzieć.

Lecz w skutek przestachu i pomiészania zatrzymał majora z pół godziny, zanim się o tyle wytłumaczył, że go major zdołał zrozumieć.

Major zrozumiawszy o co rzecz idzie, przerażony do najwyższego stopnia, spał konia ostrogami. Ale pół godziny już stracił. A pół godziny!... to czasem zbawić, to czasem zgubić może.

W piwnicy tymczasem czas jeszcze jakiś ponure trwało milczenie. Pan Ignacy nie tylko słowa żadnego nie był w stanie wymówić, ale całą myśl jedną nie zdołał skleić. Wszystko w nim było poszarpane, popękane, rozpierchnięte. Cierpiał tylko, ale cierpiał tem wszystkim, czem człowiek cierpieć jest w stanie.

— Zdybujemy się raz jeszcze w tem samem miejscu! — ozwał się wreszcie król dziadów; a głos jego był suchy, urywany. — Jasny pan przybyłeś znowu po pieniądze! — dodał głosem, który stawał się coraz więcej szyderczy.

Pan Ignacy uczył szyderstwo bolem prawie fizycznym, lecz siły do odpowiedzi nie było w nim.

— I znowu po cudze! — mówił dalej król dziadów głosem coraz donośniejszym, coraz namiętniejszym.

Pan Ignacy milczał, ostatnie dobywając z siebie siły, aby nie odpowiedzieć zanadto widocznem drżeniem lub przestraszonym dzwonieniem zębów. Na zwaliskach innych uczuć, trzymała się jeszcze дума, jakby ostatnia wieża rozburzonego zamczyska.

— Wiedziałem, że się zdybiemy — mówił po chwili stary Wasyl, i w oczach jego zaświecił wyraz tryumfu. — Bóg tak chciał, żeby staremu królowi dziadów ziściła się zaprzysiężona zemsta. I ta cię jasny panie nie minie.

Szybko jak błyskawica przyskoczył Eugenjusz i stanął między

ojcem i królem dziadów. Nic nie mówił, ale na dzielnej młodzieńca twarzy było energiczne postanowienie.

— Zemsta! — zawołał — Miejcie się na ostrożności; i ja tu jestem.

— I ty tu jesteś młody góralu! — wyrzekł król dziadów, a głos jego zmięknął nieco. — Dobrze się stało, to Bóg tak zrządził... Słuchaj więc, co stary król dziadów ma do powiedzenia, bo Wasyl słowami tylko się zemści, nie inną karą... To kradzione złoto, co się rozsypało, samo jest już karą. Moja zemsta dalszych czasów sięga, i pokaże się dziś inaczej, niż się wszyscy spodziewacie.

Tu po raz pierwszy od początku tej sceny pan Ignacy śmielsze przed się rzucił spojrzenie, i niejaką ciekawością popatrzył na króla dziadów.

— Ja byłem przyjacielem waszego rodu! — mówił znowu Wasyl, ale coraz poważniej. — Wiedział o tem dobrze stary nieboszczyk, a przecież syn jego zabrał mu pokryjomu i jawnie wszystkie pieniądze, i wyparł się zupełnie. Przysiągłem zemstę... i dokonałem jej... i dwadzieścia lat się nią cieszę...

Ojciec i syn nie mogli powstrzymać ciekawości.

— Urodził ci się jasny panie syn, a cieszyłeś się nim lat dwadzieścia — nieprawdaż?

Tu się król dziadów rozśmiał tak przeraźliwie, aż wszyscy zadrżeli...

— Moja wnuczka była mamką nowo-narodzonego... A z nią czuwała zemsta moja. Śmiech mnie bierze, gdy pomyszę jak jednym słowem mogę...

— Co możesz? — wyrzekł po raz pierwszy pan Ignacy głosem cichym przyduszonym.

— Mogę powiedzieć... żem ci moją zemstę pożyczył na lat dwadzieścia. Nieprawdaż, że to śmieszne...

Ojciec i syn patrzali na mówiącego wyteżonym wzrokiem.

— Pożyczyłem jaśnie panu mego prawnuka.

— Co? — wykrzyknęły usta ojca i syna.

— Eugenjusz nie jest synem jaśnie pana... Czy rozumiesz jasny panie?

— Kłamstwo! — krzyknął pan Ignacy, któremu zwrot rozmowy dodał otuchy i dawną rozbudził butność.

— Moja wnuczka przemieniła dzieci, a ten ot Semen wyniósł sam w nocy młodego chłopca aż tu do nas, a zostawił dziecko mojej wnuczki...

— Ja na to przysięgnę! — ozwał się Semen.

W czasie tej rozmowy Iwan wysuwał się coraz dalej, i łatwo pojąć z jakim nateżeniem słuchał. Oczy jego naprzód wydane świeciły złowrogim blaskiem, jakby oczy tygrysa, czyhającego na łup jaki.

— Ale za to — mówił stary Wasyl dalej — wychowałem pańskiego synka jakby swego. Wyrósł pięknie, sliczny chłopiec!... Jasny pan będzie miał z niego pociechę — dodał śmiejąc się szyderczo.

— Iwan? — w pół zamyślony z cicha zagadł Eugenjusz, któremu w tej chwili przyszło na myśl całe Semena opowiadanie.

— Można go będzie przechrzcić! — szydził dalej król dziadów. — Jasny pan możesz go sobie zaraz wziąć.

— Synu chodźmy ztąd! — ozwał się pan Ignacy, który pomału odzyskał zupełną przytomność. — Jest to jak widzę zasadzka na nas uczyniona przez tych nędzników.

— Piękna zasadzka! — mówił znowu król dziadów, — a lepsze były cudze pieniądze?...

— Dowiedziawszy się od Srula, że je tu Wicewicz zakopał, chciałem je ratować i dobrzem zrobił, bom tylko o kilka chwil was uprzedził.

Jakkolwiek niekoniecznie do prawdy podobne było to tłumaczenie, Eugenjusz przyjął je z wielką pociechą, nie zastanawiając się nawet nad nią. Jakoż zbliżył się do ojca, i spojrzał na niego wzrokiem przepraszającym prawie.

— Mniejsza o skarb Wicewicza, — zagadł król dziadów. — Sąd rozstrzygnie, kto go chciał zabrać. Ja tylko żądam, aby mi moje dziecko zostało oddane, a panu hrabiemu chcę nazad oddać jego synka.

— Bezwstydnosc tych ludzi dochodzi do najwyższego stopnia, lecz i my znajdziemy sprawiedliwość. Chodźmy mój synu.

— Chodźmy kochany ojcze! — odpowiedział z większym niż zwykle uczuciem, bo go ta cała scena nadzwyczaj oburzała, nie przez wzgląd na swój własny los, bo się nad nim nie zastanawiał, ale przez wzgląd raczej na cały nieprawdy i haniebny pozór tej sceny.

— Chodźmy! — powtórzył, i z determinacją podał ojcu rękę.

— Czy tak? — ozwał się nagle głos nowy, chrapliwy, syczący.

Był to głos Iwana, który zawsze stał jeszcze ukryty przy wnieścieniu do piwnicy. Rozmowa którą słyszał, rozjaśniła wszystkie wątpliwości, jakie już miał dawniej, i otworzyła mu niejako inną zupełnie przyszłość, która tak mu się wydała ponętą, że się jej uczepił z całą swoją namiętą energią. Mimo swej przebiegłości, zanadto był ograniczony w swych pojęciach, aby na chwilę powątpiewać mógł o prawdopodobieństwie takiej szczególnej zmiany losu. Już nawet chciał występować z ukrycia swego, by zaraz wstąpić w nowe koleje, gdy usłyszawszy słowa ojca i syna, zaczął się obawiać. By go to szczęście nie minęło. Jakkolwiek chwila namysłu była krótka a namysł nie łatwy, energiczne i dzikie usposobienie Iwana znalazło sposób wybawczy.

— Czy tak? — powtórzył jeszcze namiętniej... — Oni nie chcą — oni mnie chcą krzywdę zrobić... dla kogo... dla tego... który i u Hani stoi mi na zawadzie... I ja będę cierpiał...

To była treść myśli, która lotem przeleciała mu przez głowę.

— Mam pistolet w rękę! — to był rezultat wszelkiego namysłu.

I szybszym od myśli ruchem wyciągnął pistolet.

Obecni, przerażeni nowym głosem, stali jeszcze w milczeniu, gdy nagle zabłysła im z łona ciemności kula pistoletu i dwoje oczów fosforycznym palających ogniem. Jeden Semen zrozumiał, czyli raczej odgadł od razu, co się święci, i rzucił się ku Eugenjuszowi. Lecz już było za późno.

Łysnął strzał, huk się rozległ po sklepieniach piwnicy, a gdy przestraszeni przejrzeć mogli przez chmurę dymu, postrzegli Eugenjusza leżącego już na ziemi. Strumień krwi lał mu się z piersi.

Na ten widok zadrzał pan Ignacy więcej z przestachu o siebie, niżeli z żalu za synem. A król dziadów z okropnym jękiem rzucił się na Eugenjusza, i to płacząc jak kobieta, to miotając najenergiczniejsze przekleństwa, jął go tulić do siebie.

Najbezstronniejszy sędzia, gdyby był temu obecny, musiałby to przyznać przynajmniej, że jeżeli to była komedja, to komedja doskonała. I Semen przyskoczył i ukląkszy u nóg Eugenjusza leżącego bez wszelkiego ruchu, z przerażającym wyrazem twarzy jął zawodzić okropnie, ścisnąć i całować nogi jego.

W tem pomieszaniu nikt nie słyszał tętentu koni, który już przed chwilą słyhać było. Był to major i Marcin, którzy dojeżdżali właśnie, gdy usłyszeli strzał, i za blaskiem strzału idąc wpadli na Iwana, który w rękę trzymając dymiący jeszcze pistolet, patrzył w dół z dzikim tryumfem. Marcin porwał go za plecy, a major skończył w środek piwnicy, by zobaczyć tę całą przerażającą scenę...

Nadaremnie patrzył po wszystkich twarzach, by zrozumieć co się stało. Pan Ignacy spuścił oczy i milczał. Król dziadów i Semen na żadne odpowiedzi nie chcieli zapanie. Oni klęcząc koło Eugenjusza, powtarzali tylko:

— Dajcież nam go teraz przynajmniej. On nasz!..

Rzucmy zasłonę na tę scenę okropną. Jak w życiu ludzkim mieniają się największe sprzeczności, tak i w piwnicy, która tylko co była widownią sceny tak tragicznej, w kilka chwil później odbywała się scena prawdziwie komiczna.

Odebrawszy list od majora, przyleciał Wicewicz z kilką adiutantami Niżynieckimi, których pochwytał krzycząc gwałtu po miasteczku. Skoro wpadł do piwnicy i ujrzał sakwę z dukatami rozpekniętą, rzucił się na nią z wściekłym zapalem, i póty się z miejsca nie ruszył, póki kilka razy nie przerachował, oglądając się na wszystkich, czy mu kto z pod ręki dukata jakiego nie wyciągnie.

Rzecz całą zrzuciono oczywiście na Iwana, któremu Marcin dał jakieś imię. Czy to była przypadkowa, czy umyślna niezgrabność, nigdy na jasne wyluszczone nie zostało.

Eugenjusza, nie dającego żadnego znaku życia, zaniesiono do

dworku Goździkiewicza. Szli za nim major, król dziadów i Semen. Biedna Hania! Pan Ignacy uczuł się tak okropnie zalterowanym, że powrócił do domu.

Tej samej nocy umarł król dziadów bezdzietny.

* * *

W rok czy więcej może, rozczulająca odbywała się scena w jednym dworku w Delatynie, położonym na wzgórkach, w miejscu nadzwyczaj malowniczym.

Był to dzień jesienny, ale pełen jeszcze przypomnień letnich, bo było jeszcze ciepłe słońce, była woń bijąca ożywczo, od gór sosnami i smerekami pokrytych, była jeszcze zieloność ledwie gdzie niedzicie z lekka pocieniowana tą bogatą zawsze a w górach najbogatszą rozmaitością barw jesiennych.

Okno jedno dworka było odemknięte, i z niego roztaczał się cudowny widok na rozrzucone tu i ówdzie chaty i sady, które przerywał wesoło gwarzący Prut, i dalej na podnoszące się coraz wyżej gdyby schody olbrzymie pagórki i wzgórze wszystkie, pokryte gajami, lasami i borami, a tłem do tego obrazu były Karpaty, na których czubach kędzierzawych osiadły mgły jesienne, mgły to przecucia, mgły zwiastunki bliskiej zimy.

Koło okna otwartego w wielkim poręczowym krześle siedział młodzieniec cudnej urody, ale blady i chudy okropnie. Na twarzy tej przeciągniętej chorobliwie, nie znać już było życia, ale za to wszystko życie, wszystkie myśli i wszystkie czucie weszło mu w ciemne oczy, które zwiększone zdaje się przez słabość z głębokich i pociemniałych obwódok świeciły jeszcze tak jasno, tak czule i tak rozumnie. On jeszcze temi oczami umiał zamarzyć, najwznioślejszą strzelić myśl, najczystsze błysnąć uczuciem, popatrzeć czy tu koło siebie na piękną ziemię, czy tam nad sobą na piękniejsze jeszcze niebo; wzrok ciała i wzrok duszy umiał połączyć w tych oczach, którymi potrafił i zapłakać jeszcze. Tylko się już niemi zaśmiać nie potrafił. Ale co najwięcej umiał, to patrzeć przez to okno na cudną okolicę, a więcej jeszcze na dwie postacie kobiece, które u nóg jego klęczały patrząc mu w oczy, jakby czekały jego skinienia, całym życiem swoim zawieszona na jego spojrzeniu, w którym chciałyby upatrzeć każdą jego myśl, każde drgnienie jego serca, każdy objaw jego woli, każdy puls jego siły żywotnej. I wszystko co chciały, w oczach młodzieńca widziały, wszystko odgadły, wszystko znalazły, prócz nadziei.

W jego oczach była śmierć, w ich oczach były łzy, łzy którymi sączy się krew serdeczna aż do ostatniej kropelki.

Okropna to rozmowa, ostatnia, pożegnawcza.

Młodym człowiekiem umierającym na ostatni stopień suchoty był Eugenjusz. Kobiety przed nim klęczące była Hania, żona jego od roku, i pani Wyżyńska, matka jego. Matka! bo nią była przez serce

swoje, przywiązane całym uczuciem do Eugenjusza. Po latach 20. przywiązania, czyliż mogła się zmienić dla kilku słów nędznego żebraka, wymówionych w złości! A gdyby nawet! widząc cierpiącego, czyliżby nazad nie odzyskała każda kobieta serca macierzyńskiego? O! kobiety w tej mierze mają niewyczerpane źródło czulej miłości! A choć jej czasem myśl jaka wątpliwa przemknęła, ona powtórnie została matką, patrząc na blade lica młodzieńca, na które anioł śmierci rzucał już cień swoich skrzydeł.

Eugenjusz po odebranej ranie długo walczył ze śmiercią. Opuzczony przez lekarzy, cudem ozdrowiał, cudem miłości możnaby powiedzieć. Hani bytność, Hani oczy ciągle na niego zwrócone, Hani gorące modły wyratowały go na chwil jeszcze kilka, by mu te chwile zrobić rajem na ziemi.

I rzeczywiście ten krótki przeciąg czasu, w którym po ozdrowieniu z rany, pojawiły się nieuleczone suchoty, stał się dla młodzieńca istnym rajem. Miłość i poświęcenie się obu kobiet były bez granic. I wszystko troje w tem życiu odosobnionem, przy otoczeniu cudownej przyrody, tak doskonale harmonizowały w swych myślach, za nadto poetycznych na zimną prozę życia, w swych uczuciach za nadto romantycznych na tę lodową rzeczywistość, która zwykle mści się za pogardę jej matematycznych prawideł, przedwczesną śmiercią, nędzą lub szalenstwem.

W tej loterii dla Eugenjusza wypadł los najszcześniejszy. Umierał młody, nieodczarowany doświadczeniem, niezłamany walką, z tą hydrą bajeczną o wiecznie odrastających głowach, któremi są dzisiaj, wszystkie jutra niepewne!...

Od kilku dni co chwila był już starszy. W sercach nawet matki i kochającej żony wygasta ostatnia isierka nadziei. A więc musiał umrzeć.

W ostatni może dzień pogodny chciał jeszcze odetchnąć tem powietrzem górskim, napatrzeć się na te piękne góry, ku którym wdychał w swych młodzieńczych uniesieniach.

I tak przy oknie przesiedział dzień cały. Jeszcze zapragnął widzieć ostatnie promienie zachodzącego słońca.

Nie sprzeciwiały mu się biedne kobiety, bo wiedziały, że już mu nie zaszkodzić nie mogło.

I ujrzał te ostatnie promienie, jak łamiąc się to po falach rzeki, to po niższych warstwach krajobrazu, to coraz wyżej po wzgórzach rozbałwanionych po gajach, lasach, borach, po omglonych gór szczytach wspaniale piętrzących się, wlewały się pomału w purpurowe morze zachodniego nieba.

— Co może być piękniejszego, — przemówił słabym głosem, który odbijał się jakby echo dawnej siły młodzieńczej. — Lubilem zawsze zachód słońca, który miał dla mnie urok niezwykłej tajemniczości, jakby przechód życia powolny w wieczność, w nieskończoność nieodgadnioną. I z wami razem patrzeć na ten widok cudowny!... Najdroższe!... to rozkosz, to użycie!...

— Synu!...

— Mężu! — przemówiły kobiety, bo nic więcej przemówić nie umiały. W tych słowach dwóch mieściło się ich całe życie ze wszystkimi myślami i uczuciami.

— Nie płaczcie — mówił dalej i spuścił ku nim wzrok pełen słodyczy. — Kochany od was!... kocham was!... jestem szczęśliwy...

Myśli tlały w nim jeszcze, ale już piersi osłabione nie starczyły im głosu.

— Mam prośbę do was! — przemówił po chwili wyciągając ręce ku obydwoj.

Obie kobiety porwały za ręce i przycisnęły do nich usta swoje; a na każdą rękę padła łza gorąca matki i żony.

— Powiedz drogi, co chcesz? — szepnęły obiedwie.

— Żyćcie!... żyćcie!... ja was proszę! — wyrzekł jeszcze z ostatniem prawie natężeniem. A w oczach była prośba, błaganie, modlitwa.

— Będziemy żyły! — odrzekły obie głośno.

— Jeśli będziemy mogły! — odpowiedziały im po cichu zbolale serca.

— Dzięki wam! zasnąć jeszcze!... zasnąć... cicho!... jak niegdyś w kołysce! — wymówił głosem urywanym, i spuszczał powoli głowę, i wielkie zamknął oczy.

Cicho, bardzo cicho było w pokoju. Eugenjusz zasnął snem najspokojniejszym, bo bez przebudzenia... snem wiecznym.

Obie kobiety klęczały i modliły się. Dwie rzewne modlitwy stały się skrzydłami godnemi tej młodzieńczej duszy, w niebo swych marzeń ulatującej.

* * *

Najsmutniejszy jest obowiązek powieściarza, kończyć koniecznie powieść swoją dodatkowem opowiadaniem, jakby z gazety wyciągniętem wszystkich drobnych następstw skończonej już katastrofy, jakby dawał spis rannych i pobitych po skończonym już buletynie.

Ale ponieważ jest to obowiązek, spełnić go należy.

Pani Wyżyńska nie długo przeżyła syna. Wkrótce po niej umarł stary major. Hania nie umarła, bo odżyła w gorącej wierze religijnej. Została siostrą miłosierdzia.

Pan Ignacy ratując swoje stanowisko, wkrótce po owdowieniu ożenił się ze starszą panną Gliniecką, a że jakoś szczęście nań powiało, i ta umarła mu żona, a więc co prędzej mógł się ożenić z młodszą panną Gliniecką. Tym sposobem zabrał cały majątek pana Glinieckiego, który objadłszy się na przenosinach drugiej córki umarł na niestrawność. Pan Ignacy został znowu panem i nawet doczekał się jeszcze dwóch synów.

Semen rozpił się i u żyda pod ławą umarł. O Iwanie żadnej pewnej nie było wieści. Przebakiwano tylko o jakimś oprysku sławnym w Karpatach, którego po jasnych włosach nazywano białym djabełem, albo białym Iwanem.

Co zaś do Niżyńczanów i Niżyńczanek!.. Żyją oczywiście, i żyć będą zawsze, bo małomieszczenie, jak wiadomo przecie, chociaż zapomniiał o tem Buffon i Cuvier, należą do istot nieśmiertelnych. Jeden Hektor Bums!.. nie umarł także; ale jak twierdzi pani aptekarzowa Nr. 2, mocno cierpi na głowę.

Goździkiewiczów ród wymarł zupełnie. Szkoda ich, ale cóż robić? Nie wrócą już, ani czasy owe, w których żyli!..

LEKARZ MAGNETYCZNY.

(Pierw. wyd. 1844 r.)

I.

Byłem młody, starym i teraz nie jestem, jeżeli wierzyć metryce i twarzy; ale sercem stary, doświadczony, zgrzybiały. Burzą przeleciały wszystkie pory życia mego; ni kwiatów letnich, ni owoców jesieni; jednym skokiem z wiosny do zimy przeskoczyłem. Pączki mej wiosny, nadzieje mej młodości, burzą poparzone, przedwczesnym szronem ścięte opadły pączkami!... Wtenczas byłem młody! a młody, to poeta!... bo jego myśli są poezją; marzenia, to są śpiewy góralskie tęskne, poezje przecucia!... żądze, to gorące barkarole włoskie, płomieniem wezuwjusza tchnące! pierwsza miłość, to śpiew gitary hiszpańskiej, pieszczony i płomienisty!... a chęci szerokie jak świat, za krańce ziemi lecące, w niebo wskakujące, to pienia Luizjady, oceanowe pieśni Kolumba, szumiące po przedpotopowych borach!.. a życie młode, to wielki dramat odegrany przez wszystkie uczucia i namiętności.

Byłem młody i po raz pierwszy wyjechałem wolny z miasta, gdzie się chowałem od dzieciństwa przy surowym opiece; jechałem zaś o mil kilkadziesiąt do matki, którą małem dzieckiem opuściłem. Byłem wtenczas szczęśliwy, wolną pierśią oddychałem po szerokich Wołynia polach; zachwycali mnie okolice jakkolwiek jednostajne, ale zaczarowane tchnieniem wiosny, ubarwione pędzlem młodej wyobraźni; łzami tkliwej radości zwilżane oczy wyteżałem, by prędzej ujrzeć miejsce mego urodzenia, miejsca zabaw dziecińczych; i w myśli mojej zatańcowały czarodziejskim ruchem wszystkie minione obrazki.

Już się zbliżałem, poznałem okolice poważne i posępne; stępy lasowe, Polesie! już mnie miła tylko jedna dzielila, już ostatni lasek przejeżdżałem; niewymowne uczucia tłoczyły się do serca, łzą i westchnieniem ulatywały w pogodne niebo!... Witalem was dęby rozłożyste, sosny niebotyczne, brzozy wysmukłe, jak braci, jak towarzyszków dziecińczych. Już się las rozrzedził, a krzaczki dzieci, które ja dziecko żegnałem przed laty, dorosłemi drzewami witają wracającego młodzieńca: pierwsza to odmiana, pierwsze zadziwienie, pierwsza myśl cięższa!.. O drzewka młode mojej ziemi rodzinnej, wy o mężkiej

sile szerokimi konary witać będziecie, przyszłe pokolenia!... a jaż latorośl waszej ziemi, nigdy już do was nie powrócę?...

Minąłem lasek; już widzę wioskę, zdała dom się bieli, krzyż rodzinnej kaplicy błyszczy; rzucam okiem w koło, szukam, truchleję i nie znalazłem!...

Kiedy małem jeszcze byłem dzieckiem, jedynak sierota po ojcu, ulubieniec matki, jako błagalne za mnie wotum wzniesiono na tej samej drodze, która miała być drogą w świat dla mnie, drewniany krzyż z panem Jezusem. Choć byłem małym chłopcem, pamiętam jakby to dzisiaj było: niesiony na rękę, wśród procesji chłopków ze wsi, przy brzmieniu dzwonów cerkiewnych i pobożnego śpiewu księży, widziałem jak kilkudziesiąt rękami pociągniony wznosił się pomalutku krzyż pomalowany jaskrawo z bladą twarzą zbawiciela; wesołym okrzykiem przywitano stojącą już figurę; ze łzami w oczach patrzyła matka na te pobożne wotum miłości macierzyńskiej; rozplakałem się płaczem dziecka! Starszy nieco chodziłem tam z matką, sadziłem kwiaty i krzewy, modliłem się, nauk matki słuchałem. Matka poszła za męż; nowy mąż, nowe dzieci, nowe obowiązki... wywieziono mnie na wychowanie do bogatego i mądrego stryja... długo, długo modliłem się wówczas przy figurze; przecuciową żalostí przyjęty, zagnałem się z tym przyjacielem dziecinny, z krzyżem, który nieruchomymi ramionami zdawał się wskazywać miejsce zkąd wyjeżdżałem, i miejsce dokąd jechałem...

Gdzie figura moja?... darmo szukam, pole tylko zorane świeżem zieleni się zbożem; ledwie poznał miejsce po bujniejszym zbożu. Zatrzymałem się na tem miejscu; rozmaite myśli przebiegały przez głowę, to w dziecinne wracałem lata, i dziecinny płakałem łzami za figurą, zakładałem szczęścia mego; to znowu z suchem okiem marzyłem o przyszłości, choć pierwszy smutek zabolął w sercu. Była to pierwsza proza w poezji życia mego, pierwszy akord fałszywy w harmonji uczuć moich, pierwsza chmura na wiośnianem niebie. Wstałem starszy o jedno doświadczenie, którem zapełniłem przestrzeń między obrazem wystawionej figury dla ulubionego jedynaka, a terażniejszością tak różną... syn dawno zapomnianego męża, niemły współdziedzic lubyh dziełek dzisiejszych, gdzieś daleko wychowany, chronologicznym lat porządkiem byłem od serca matki oddalony.

Bogatszy o jeden smutek, uboższy o jedną wiarę, przestąpiłem święte progi rodzinne. Uczucie wielkie, jedyne!... raz cię tylko doznałem, bom raz był młody, raz czułem po młodemu; przestępywałem starszy te same drzwi; drzwiami mi już tylko były, a pierwwej bramą świątyni. O czemuż tak łatwo nika młode uczucia, tępieje serce? Lata moje, myśli, uczucia i marzenia, gdzieżeście?.. Próżny żal!... Teraz zimny czytam, sylabizuję własne dzieje, sercem starym ledwie zrozumieć mogę młode serce; stępiąłem okiem ledwie doścignąć potrafię nadpowietrzne szlaki lata młodego; a jeżeli kiedy nuta młoda, harmonijna, przedrze się echem do zdziwionego ucha, zadrzę jakby na odgłos muzyki pogrzebowej, zapłaczę jakby nad trumną.

Przywitałem, obiegłem wszystkie kąty wesoły, bo młody; codzień jednakże wracałem na miejsce mojej figury, która burzą zwałona

dawno płomieniem i dymem uleciała. Żalem przejęty stałem między figurą, którą przeżyłem, a oweni drzewkami, które mnie kiedyś przeżyją. Szczere to wyobrażenie człowieka, który zawsze stoi między smętartem swojego rówieśniczego pokolenia, a kolebką pokoleń przyszłych. Tam na tem pustem miejscu nauczyłem się marzyć bez celu.

II.

W pogodny wieczór czerwcowy cichy i spokojny schodziłem piechotą ze sporej dosyć góry; powóz czekał na mnie w dole. Jechałem dotąd okolicą górzystą i leśną, gdzie mnie góry jakby głędy olbrzymie włosami lasów porośle jednostajnością swych rysów znudziły; czasem tylko błękitne zwierciadło stawku, lub zielona wstążka strumyka rozweselały to piętno surowości i smutku jaki odznacza zawsze okolice górzyste lasami zamknięte..

Stałem zdziwiony!... Droga którą stąpałem, zwolna szła krętym i spadzistym wąwozem, który dzielił dwie ciemne góry bliźnięce, nagle na zakręcie z ciasnego wąwozu gardła, postrzegłem jak przez rurkę perspektywy okolicę płaską, jakby ogród angielski, klombami gajów i wiosek zasadzonych przerznięty szeroką rzeką, której fale tchem wieczora połuszczone, z jednej strony zachodzące słońce czerwieniło, a z drugiej wschodzące srebrzyły gwiazdy. Konające życie dnia dochodziło uszów moich niewyraźnym szmerem, a połączone z cichym szeptem drzew, z mručeniem rzeki przemawiało harmonijnym głosem młodej wiosny do młodego życia. Uspokojony całą tą poezją natury, długo stałem zadumany, długo bez celu błądziłem okiem, długą bez celu wolną bujałem myślą, aż nareszcie okiem i myślą zatrzymałem się na wiejskim domku, który z pomiędzy zielonych topoli srebrnem szyb okiem patrzył się na mnie, zdawał mrugać wesoło, witać i przemawiać. Do tego właśnie domu jechałem, i nie wiem czy ta chwila uroczysta, czy młoda myśl moja dziwnem i ciekawem zagadały do mnie przecuciem.

Zeszedłem z góry, i wnet szybkim lotem koni minąłem mostek, wioskę, rząd topoli; stanąłem przed domem. Przyjazd mój był spodziewany, i przed gankiem wśród drzew i kwiatów przywitała mnie młoda dziewczina, dziecinnego niegdyś wieku towarzyszka. Piękną była; piękną ją znalazłem; ona dziś jeszcze, kiedym już wiekiem i cierpieniem od tej chwili daleki, najpiękniejszą mi się wydaje; a wtenczas, wśród całego uroczego otoczenia, wydała mi się równie piękną jak ta wiosna, co mnie otaczała; jak ta wiosna, co była we mnie. Rysy, oczy, włosy, i dziś jeszcze odmaluję; ale któż mi odczaruje oczy moje młode, kto wskrzesi dawne uczucia moje? Poznaliśmy się od razu; zaczęliśmy się ścisnąć dawne dzieci, a kończyli rumienić młodzi, pełni życia i ognia wiosnianego; ta chwila była stanowcza; pierwsza miłość zagrała na zegarze naszego życia. Wzięła mnie za rękę, i powiodła do domu, do swojej matki.

Była to ciotka moja, której serce niezrozumiane od pierwszych lat zameścia zaciemniło całe życie smutkiem. Długo jeździła po zagranicy, cudowne zwiedzała wody ale choroba jej była nieuleczoną; całe życie spaczone, uczucia powiędłe, nadzieje poniszczone; to były cierpienia, które tylko jej serce rozumiało, i Bóg znał; a ludzie nie rozumieli, gorzkimi lekarstwami i gorzką litością leczyli śmiertelną słabość.

Mąż a później syn, były to regularne zegarki, by oznaczać chwilę zażycia lekarstw, a nie rozumiejąc i nie mogąc ją rozumieć, płacili jej zimnym obowiązkiem, czego ona gorącą miłością dla gorącego żądała serca. Później dopiero córka gdy dorosła, pierwsza nieszczęśliwą matkę zrozumiała, a nie odstępując ją na chwilę, była dla niej najmocniejszym lekarstwem, bo jedynym węzłem życia, ostatnią nadzieją, a razem pamiątką lat młodzieńczych w rodzicielskim domu przepędzonych. Przez czas jej podróży dla zdrowa, młoda Maria chowała się przez lat kilka w domu matki mojej; ztąd mocne macierzyńskie prawie przywiązanie ciotki do mnie.

— Poczekaj! tylko co lekarstwo zażyła; kwadras przynajmniej spoczywać powinna; to taka bieda, trzeba ją jak małe dziecko pilnować. Jak się masz; wyrosłeś mocno! — powiedział pan wujaszek czerstwy cnoć stary.

— Poczekaj! teraz matce spokój potrzebny, a zobaczywszy ciebie zaraz zacznie płakać, spazmować; oj! te uczucia niepotrzebne niemało zdrowia jej zabrały, i gdyby nie nasza staranność... Ale jakżeś utył! czy na długo do nas? — powiedział pan cioteczny brat młody, ale mniej czerstwy od ojca, bo żółty, nalany, skrzywiony. Śnać brak uczuć nie zawsze dodaje zdrowia.

— Jego widok mamie nie zaszkodzi; mama go tak kochała, zawsze o nim wspomina, i widzieć go pragnie!... Chodź ze mną! — powiedziała Marja, i weszliśmy.

Czułe było przywitanie; pamiętam jakby dzisiaj, i dzisiaj lży im się cisną do oczów na to wspomnienie, jak wtenczas przy przywitaniu, ale i lży dzisiaj jak różne od tamtych. Jak mnie ścisnęła, witała słowy, spojrzaniem i łzami; ile pytań czułych, ile prośb do Marji, by mi na niczem nie zbywało. O ja bardzo kochałem ciotkę biedną; matkę kochającą wraz z szatą dziecinną zostawiłem za sobą, ojca nie znałem, stryj był mi tylko nauczycielem. Jedyny epizod czułości, pieśczęt co tak miłe są sercu, przeżyłem w domu dobrej ciotki; krótki to był epizod; jedna oaza zielona na stepach życia mego!...

O gdybym mógł wszystkie chwile te, jedno po drugim wskrzesić, iskry w popiele rozniecić, odczarować dawne życie, odżywić zamarte perły życia mego, jabym pisał cudowne poezie, bo moje dzieje były poematem, godziny i chwile przechodziły jak piosnki, jak dumki; myśli moje były dobre i wielkie, chęci wyniosłe, uczucia szczytne, a marzenia latały tak wysoko, że ja nędzny karzeł drzę na wspomnienie olbrzymich gmachów, w których memu życiu było za ciasno;

bom był dobry, był młody, bom kochał, i jak kochałem! Najgorętsze mi dziś zostały łzy; gdybym temi nawet był zdolny pisać, pisałbym nędzną prozę. I byłem kochany!.. nasze serca zrozumiały się prędzej niżeli słowa, niżeli oczy nawet!.. Zimne słowa dzisiejsze, wyście pędzłem, by kształt ciała odmalować, wyście cyrklem, by geometryczny zrobić rozbiór; ale nie wam na jaw wydać duszę, poezję, młodość i miłość!..

Rysy twarzy zmieniają się i ścierają w pamięci, choćby to była twarz przyjaciela lub kochanki; któż jest w stanie oddać wszystkie odcienia stanowiące fizjonomię mocnego uczucia, odcienia, które są półświatłem, pół-cieniem, falą na wodzie, obłokiem na niebie!.. dosyć że kochałem i byłem kochany. Chwila po chwili, dzień po dniu miały spokojnie jak wiersz po wierszu z wielkiego poematu, którego byliśmy twórcami i przedmiotem razem. A choć czasem dotknęła nas proza ojca lub brata, były to jakby godziny bijące na domowym zegarze, którego pamięć nikuie wraz z głosem! nie kochali mnie, i nieraz uważałem, że krzywo patrzali na naszą miłość widoczną, ale życie ich było tak odrębne od naszego, i chociaż ledwie pokojem oddzielone, przecie dalekie o całą różnicę Grenlandii i Włoch, że mało zważaliśmy na nich. Prócz tego pokój chorej matki był naszą świątynią, dla nich nudne niezrozumiane; widzieli przytem dobrze, że matka we wszystkim uległa, była niugiętą, gdy szło o los i szczęście jedynej przyjaciółki i córki. Marja zupełnie w tem podobna do matki, silna jej przywiązaniem, miała moc duszy, której niezłomnego hartu nieraz już poznali w mniejszych rzeczach; a zatem z cicha tylko pomrukując zdybywali nas swoim chodem zegarkowym.

Matka zaś nie była dla nas prozą; jej życie chorowite, twarz blada, cierpienia nerwowe, głos ledwie dosłyszany, były poezją smutku. Miłość dla niej i jej pobożne modlitwy naszą były wiarą!.. I całe swe serce czułe, całą moc przywiązania przez tyle lat cierpienia i samotności zebraną dzieliła równo między nas, tak jak my dzieliiliśmy wszystkie około niej starania na równe części. Dobrze ona rozumiała uczucia nasze i chociaż nie rozmawiała z nami o tem, z wyraźną pociechą patrzała na nas. I coż dziwnego! miłość nasza była dla niej ostatnim uśmiechem uciekającego życia!..

Zresztą byliśmy zupełnie wolni; osobliwie wieczory!.. boskie wieczory! ileż ja od tego czasu przepędziłem wieczorów!.. hucznych, wieczorów wiejskich, pełnych biesiad, kobiet, światła, tańców, ubiorów, zapachów; wieczorów wiejskich, w ogrodzie pod drzewem, przy świetle księżycy, przy pieniu słowika, na wodzie, wśród szmeru fali rozkosznej łódki ukolysanej ruchem; garści lat moich rzucałem za rozkosze wieczorne, garści marzeń rzucałem w ogród, w wody, w niebo, w księżyc, w pienia słowicze, a przecież wszystkie wieczory moje oddałbym za jeden, jakich tam przeżyłem tyle. Była wielka ulica lipowa przeszłych pokoleń powiernica, była nią również dla nas, jak będzie dla pokoleń przyszłych. Tam spędzaliśmy zwykle wieczory nasze; ile tam zostało słów naszych, ile uczuć i marzeń!.. Nieraz do północy chodziliśmy po ciemnej ulicy, rozmawiali słowy, milczeniem i westchnieniami!.. ile planów na przyszłość, gmachów

sztuką wyobraźni wzniesionych!... Odwieczne lipy! nieme świadki naszych rozmów i uniesień, wy stoicie nieruchome, a nasze gmachy w proch runęły! wy stoicie, tym samym szeptaając głosem do starszego pokolenia na ich codzienne obojętne troski, jakim odpowiadałście na poetyczne uniesienia młodych kochanków!... Chodząc po ulicy modliła się; ja cicho szedłem koło niej, i byłem pobożny, wiara, w jej czystą duszę złożoną; a potem codzien jedno, codzien nowe pożegnanie; i jeszcze raz wracaliśmy, żegnali drzewa, żegnali siebie do jutra; odprowadzałem ją do domu, rękę uściśnąłem, uściśnięty nawzajem, i wracałem sam nazad do ulicy lipowej, by rozpamiętywać każde słowo, każde wejrzenie!... Skąpy bogacz rachowałem po tysiąc razy skarb mój; bo miłość Marji, i szczęście z nią rojone, były mi najdroższym skarbem.

III.

— Nie wierzę, aby ci ten zachwalony nowy doktor mógł co pomódz; wszakże jeździliśmy od doktora do doktora, od miasta do miasta... cóż to pomogło, natraciłem panie dobrodziejku pieniędzy nie mało, i na tem skończyło się — mówił pan wujaszek.

— Ten pan Szmitian wydaje się być szarlatanem; jakiś magnetyzer!... przyznam się szczerze, że nie wierzę w magnetyzm, bo nie widzę logiki, a zatem boję się, aby raczej nie zaszkodził matce — dodał pan cioteczny brat.

— Już mi podobno nic nie pomoże — cichym głosem odezwała się ciotka.

— Ja także nie rozumiem magnetyzmu, tak jak wielu innych rzeczy nie rozumiemy, ale dla tego czyż już koniecznie potępiać potrzeba? kiedy zwyczajne lekarstwa mamie nie pomagają, dla czegoż nie udać się do tego lekarza, o którego cudownych prawie kuracjach codzien tyle słyszymy?

— Mnie się nawet zdaje, że właśnie na cierpienia ciotki najwięcej pomoże magnetyzm, który sposoby niewidzialnymi nowe życie wlewa w nerwy... Ja wierzę zupełnie w magnetyzm! — dodałem po chwili patrząc na Marję.

Długo walczyliśmy z uporem ojca i brata, których długa i kosztowna choroba żony i matki najmocniej znudziła; przemogliśmy narreszcie, posłano po pana Szmitiana, który od niedawnego czasu był się pojawił w pobliskim miasteczku. Ratunek tem był konieczniejszy, bo ciotka codzien była słabszą, codzien opadała na siłach, osobiwie trapiły ją bezsenne nocy, i choć nieraz, kiedy długo czytałem jej głośno, rozweseliła się na chwilę i z widocznym upodobaniem patrzyła na nas, wnet przychodząc do poważniejszych myśli, mówiła do nas z chorobliwą tklivością o życiu przyszłym, jakby już nie długo miała mieszkać między nami. Z rozrzewnieniem słuchaliśmy czułych jej wyrazów, nie śmiejąc jednakże zaprzeczać temu, o czem sami w głębi serca przekonani byliśmy.

Przyjechał pan Szmitian. Tak dziwnej i brzydkiej twarzy nie

widziałem nigdy; głowa gęstymi włosami rudemi pokryta, była nadzwyczajnej wielkości; czoło wypukłe i wyniosłe zdawało się oznaczać umysł głęboki, ale była na niem wklęsłość tak, nie należąca do niego, iż mu nadawała jakiś wyraz niezwyczajny i przykry; twarz chuda trójkątny prawie, wielkimi sterczała kośćmi, i nosem przelamanym przez środek z jakim malują Sokratesa; usta szerokie i zapadłe kurczyły i rozciągały nad miarę uśmiech wiecznie szyderczy, a oczy siwe barwą chmury siwej wyrazem nieodgadnione; długo się w nie wpatrywałem, i po długiej znajomości zostały mi zagadką; w stanie obojętnym wydawały się szklanne prawie, ale według uczuć tyle nabierały rozmaitych wyrazów, iż je ledwie schwytać można było; przemagało jeno szyderstwo tak przenikliwe, że każdy mimowolnie oczy spuszczać musiał, by wzrok ten nie odkrył najgłębszej tajemnicy, i nie śmiał się z niej potem. Czterdziestoletnie dzieje życia burzliwego i namiętnego malowały się przedwczesnemi zmarszczkami na twarzy jego, ale i te były tak ruchome jak wyraz oczów. Na pierwsze spojrzenie cała twarz zdawała się być środkiem między głową trupią, i głową małpy, i cała ta ciekawa głowa spoczywała na ciele tak wysokiej i kształtnej budowy, żeby jej rzeźbiarz zarówno mógł użyć za wzór do Herkulesa, jak i do Apolina. Był to paszkwil szatana na tworze boskim.

Dziś jeszcze żywo wyobraża mi się pierwsze mocne wrażenie jakie zrobił na mnie, gdy wszedł do pokoju, który poprzedzał pokój chorej; obojętny rzuciwszy wzrok na wszystkich, na mnie najdłużej zatrzymał spojrzenie ostre i ciężkie razem, a potem zwrócił je na Marję; uśmiech szyderczy rozciągnął usta, i zdawało mi się w tej chwili jak gdyby pytanie, które zawierał wzrok jego rzucony na mnie, rozwiązało się na twarzy Marji w pewność, i w ten uśmiech, który prawdziwie szatańskim mi się wydał, odstraszał mnie bowiem, a razem przyciągnął tajemniczością swoją.

— Gdzie jest chora? — zapytał mnie głosem pełnym i dźwięcznym, prawdziwie śpiewnym.

Weszliśmy do pokoju chorej. Zobojętniała twarz jego; dobre pół godziny przypatrywał się chorej, brał za puls, dotykał piersi, potem zerwał się z krzesła, stojące na stoliku i szafce liczne buteleczki lekarstw wziął, i wszystkie powyrzucił przez otwarte drzwi szklanne do ogrodu.

— Będzie zdrowa! — wyrzekł tym samym głosem dźwięcznym, który w tej chwili anielskim mi się wydał. — Gdzie mój pokój? — dodał, i odszedł. Przez resztę dnia zamknięty u siebie nie wychodził.

Zwyczajem naszym zeszlśmy się wieczorem w ulicy lipowej, i oboje zapytali razem o nowego gościa. Twarz przybyłego podobne zrobiła wrażenie na Marji, jak i na mnie; długo rozmawialiśmy o nim i w końcu zgodzili na to, że jest dla nas zagadką, z tą tylko różnicą, że dla Marji był zagadką nie ciekawą, czy za trudną do odgadnienia, czy nie wartą pracy odgadywania; dla mnie zaś była to zagadka, tak ciekawa i zajmująca, że mi się jej rozwiązanie jakby przecucie jakie snuło po głowie. Chciałem nieraz zwrócić rozmowę, ale mimowolnie wracałem do niego; aż mi w końcu Marja w pół

z uśmiechem, a w pół z żalem zrobiła uwagę, że nic o niej, nic o naszej nie mówię miłości. Byliśmy smutni jak gdyby co niezrozumiałego stało się między nami. Wracaliśmy pomału w milczeniu ulicą lipową ku domowi, gdy raptem z końca ulicy zaświeciły jakby kocie, oczy pana Szmitiana, stojącego z założonymi na krzyż rękoma. Mimowolny dreszcz przebiegł mnie, a po drżące ręce Marji poznałem, że się przestraszyła mocniej odemnie. Zatrzymaliśmy się... spojrzaliśmy na nas, i zmierzył oboje lodowatym wzrokiem.

— Przerwałem rozmowę zajmującą zapewne? — wyrzekł, i zatrzymał się jakby czekał odpowiedzi. — Wieczór wiosenny — ciągnął dalej po chwili milczenia — ma wielki powab, nawet pod zimnym słońcem polskim; ale kto chce doznać prawdziwych przyjemności wieczornych niech jedzie do Włoch; w Neapolu nad morzem, kiedy w około cicho, ale tak cicho, iż się własny słyzy oddech, ledwie czasem fala pluśnie o brzeg, łódka zaszumi na wodzie, daleka nuta lazarónów tęskna i dzika przerwie uroczystą ciszę: a gwiazdy złote brylantami odbite w morzu, a powietrze upajające wonią... w taki wieczór pod takim niebem marzyć, kochać, i modlić się... kto jeszcze wierzy w miłość i Boga! — przerwał i roześmiał się jednym z tych uśmiechów wątpliwych, które więcej przyrzekają niż posiadają. — Ale ja przeszkadzam. a czas ulatuje, szkoda jednego wieczora, jednej rozmowy... Dobranoc!..

Odszedł i z dala usłyszeliśmy śpiew; jeżeli gadał dźwięcznie, śpiewał niezrównanie, nie podobnego nie słyszałem; głos wolny, czysty i giętki zadziwił nas i zaczarował, nuta była dziwna, z szalonej wesołości przeskakiwała w ponurą żalność. Słuchaliśmy zachwyceni, bośmy młodzi nie wiedzieli jeszcze, ile metoda włoska dodaje wdzięku głosowi mężczyemu.

Pan Szmitian zaczął leczyć; wszystko co było zabronionem chorej pozwolił, magnetyzował ją codzień po godzinie, czasami dawał lekarstwa przez siebie sporządzone, i codzień zdrowsza była ciotka; sen zaczął wracać, siły przychodziły do tego stopnia, że choć pierwiej kilka kroków zrobić nie mogła, teraz zaczęła się przechadzać po pokoju, a nawet i po ogrodzie: ledwie czternaście dni minęło, zaczęła już wyjeżdżać na przechadzkę. Radość nasza była niewymowna, twarz nawet lekarza wypiękniła w oczach naszych; pełen wdzięczności zacząłem się więcej zbliżać do niego, i on też nawzajem choć dla wszystkich milejący i obojętny, ze mną chętnie rozmawiał.

Gdyby mi było do śmiechu, musiałby mnie rozweselić jego dziwaczny stosunek do ojca i syna; wprawdaż ich zwykle w rozumowania tak zuchwałę, iż oni nie chcąc się dać wyprzedzić, gonili za nim, robiąc prawdziwie pocieszne i rozpaczliwe skoki po mgłach filozoficznych, kędy ich wodził, a potem niemiłosiernie spuszczał na ziemię, i wysmiewał bez litości. Mimo twarzy odrażającej, mimo spojrzenia najczęściej badawczego, zacząłem się przyzwyczajać do niego, kiedy razu jednego zdawało mi się postrzegać, że wzrok jego dłużej spoczywał na Marji. Przykro mi było; nie była to zazdrość, bo wzrok nic nie miał czułego, ale gniewał mnie ten uśmiech szydery, którym zdawał się przemawiać, że odgadł naszą miłość, i że

mu się śmieszną wydaje. Kto kochał prawdziwie, łatwo zrozumie jak przykro jest dla kochanków to natrętne zdzieranie zasłony tajemniczej, którą się okrywać tak lubią młodzi kochankowie. Chciałem się usunąć od niego, lecz daremne były chęci moje i usiłowania; wszędzie go zdybywałem, wszędzie mnie ścigał ten jego wzrok pilnujący; nieraz nagle zbudzonemu ze snów niespokojnych zdało mi się widzieć oczy jego z łona ciemności błyszczące nieruchomie nademną. Wieczory nawet nasze straciły swój zwykły powab, bo zawsze gdyśmy się najmniej spodziewali, pojawiał się nam, i nieraz niemy świadek naszej niemej rozmowy krok w krok za nami chodził, z wiecznie jednym przenikającym spojrzeniem, i niezmiennym uśmiechem szyderczym. Był to prawdziwie nasz zły duch; a przez wzgląd na ciotkę nie śmiałem mu nic powiedzieć, a nawet, choć wstydziłem się przyznać do tego, mimowolnie bałem się jego i szanowałem. Rzadsze były zatem rozmowy moje z Marją, i chociaż miłość była ta sama, zawsze silna i niezmienna, zdawało się jakby coś cudzego, ziębiącego staowało między nią a mną: ja łamałem sobie głowę nad pierwszą zagadką, którą zdybałem, Marja zaś pojąć nie mogła, co mnie robi tak roztrzępanym? Lekarz zaś widocznie odgadywał każdą myśl naszą, i nieraz oczów podnieść nie śmiałem, pewien że wyczytał już w jego wzroku myśl ledwie poczętą w głębi mej duszy, i poznam tryumf wyższego ducha nad słabszym.

IV.

W pogodny wieczór czerwcowy chodziliśmy smutni z Marją po naszej ulicy; był to ostatni wieczór, któryśmy tam przepędzić mieli, wyjeżdżaliśmy bowiem wszyscy oprócz wuja o mil dwadzieścia do dziada naszego. Ciotka czując się codziennie zdrowszą, chciała odwiedzić ojca, a razem zawieść lekarza tak dobrego do starca, który od lat kilku niemocą był zdjęty. Cieszyliśmy się ze zdrowia naszej matki, pewni, że i tam będziemy razem, ale nie wiem dla czego z smutnem przecuciem żegnałem to miejsce naszymi schadzkami uświęcone; napróżno powtarzałem Marji czułe słowa miłosne, napróżno zapewniałem ją i siebie, że każde miejsce obojętne dla nas, nic w losie naszym zmienić nie może, wyrazy wychodziły zimne i bez przekonania; wewnętrzny głos mówił mi, że te chwile szczęścia już nie wrócą, że szczęście nasze zostawiamy w ulicy lipowej. Wierzyłem zawsze w przecucie, które tem jest dla duszy człowieka, czem oko dla ciała; jeżeli bystrzejszem okiem tam zajrzysz, gdzie drugi nie dosięgnie, dla czegoż wzrok duszy nie może być tak ostry, by się aż w przecucie przemienił? Po długiej rozmowie, pożegnaniach i przysięgach wracaliśmy żalem przejści; na końcu ulicy stał jak zwykle lekarz; błyskawicą wzroku zmierzył nas, i obojętnym wyrzekł głosem:

— Szkoda że tej pięknej ulicy z sobą wzięść nie możemy, choć zapewne wszędzie są drzewa, ulice ogrodowe, wszędzie wieczór letni jest piękny... póki wiatr jesienny liści nie pozrywa, zamieć zimowa

ulic nie zawieje!... tak, bo lato trwać zawsze nie może, wszystko się zmienia, i zima mroźna i żalobna przyjsć musi.

Po pierwszych słowach Marja lekko skłoniwszy się lekarzowi, ścisnęła mnie za rękę, i poszła ku domowi; pan Szmitian nie zważając na to, mówił dalej:

— Dziwne ludzi urojenia! budują gmachy, przyszłość ubierają w dowolne szaty terażniejszości, jak gdyby nic się zmienić nie miało, a czas postępuje, jedna chwila nie podobna do drugiej, liść do liścia, kropla wody różni się od drugiej. Cóż stałego, coź niezmiennego na świecie?...

— Są przecie uczucia! — odpowiedziałem.

— Uczucia, cacko młodości, woń wiosenna!... cacko się zepsuje, lub znudzi, kwiat inaczej pachnie z rana, inaczej w południe, inaczej wieczorem; uczucia inne na czczo, inne po obiedzie; uczucie jest to wrażenie teatralne od sali, od aktorów, od orkiestry zawisłe!...

— Ja wierzę w przyjaźń! — odpowiedziałem.

— Tak, — przerwał — w przyjaźń i w miłość, dwa wielkie słowa, dwa wielkie nic; o religji już nie mówisz, bo już pomału przestajesz wierzyć, że wszystko najmądrzej i najlepiej stworzone; pomału doświadczysz, że przyjaźń jest tylko potrzebą samolubnej pomocy, miłość potrzebą cielesną!...

Wzdrygnąłem się na teorię tak obrzydliwą, i chciałem żywo odpowiedzieć, lecz mi nie dał przyjsć do słowa, porwał mnie za rękę, utkwil we mnie błyszczące oczy i dzwicznym głosem zaczął czarować.

— Doświadczysz i ty, jak ja doświadczyłem.. I ja byłem młody, zapalczywy!... Ty nie znasz Grecji, tego nieba pogodnego, a czy rozumiesz jaki powab w tem słowie, jestem w Grecji, w kolebce bogów i bohaterów, stąkam po klasycznym prochu wielkich ludzi, i wielkich wieków; nie pojmujesz kobiety greckiej, z oczami, w których mitologiczne namiętności palą się ogniem tajemniczym, z twarzami jakby na wzór dla Apellesa, z kibicią niby rzeźbą Fidiasa, Olimpu słońcem ożywioną, z ustami śpiewającemi pieśni homerowe... Ja znam, bo ja tam żyłem młody, pełen wiary, ja tam pod niebem greckim kochałem Greczynkę; marzyłem chodząc z nią po gruzach dawnych świątyn; młodego życia wyobraźnią prostowałem połamane kolumny marmurowe; śpiewałem z nią miłośne żale Safony... Była tam także ulica z odwiecznych platanów. po niej chodziliśmy w wieczory letnie greckie, gdzie gwiazdy, księżyc i niebo są poezją; powietrze, szmer liści i woń kwiatów miłością tchną; chodziliśmy tam codzien.. Przyszła zima z wiatrem i deszczem; ja zawsze chodziłem do mojej ulicy, ale już samotny!... Nie wiedziałem, że w pysznej łaźni marmurowej młodego Greka, którego ja sam krwią własną zlany z pomiędzy rozjuszonych wyciągnąłem muzułmanów, cieplej jak w ulicy platanowej; nie wiedziałem, że dobrze przemarzyć lato z marzącym Niemcem, ale w zimie lepiej przy alabastrowej lampie wśród wschodnich woni używać z pięknym choć rzeczywistym Grekiem... Dowiedziałem się, przekonałem się, i...

Tu zaiskrzyły się oczy lekarza płomieniem tak szatańskim, iż zgrozą przejęty zawolałem: — I cóż?...

— I cóż?... znasz ty jedno uczucie całe, pełne i silne, co warto uczuciem nazwać, uczucie co ci całą pierś zaleje, wszystkie siły natęży, krew rozgrzeje?... znasz ty zemstę?... Zostawiłem za sobą gruzy historyczne, gruzy moich uczuć i wiary, gruzy piękności i młodości, a sam pojechałem do stolicy meczetów i tam na miękkim dywanie spałem, piłem kawę jakiej ty nie znasz, sorbet jakiegoś nie pił, kurzyłem tytoń jakiegoś nie palił, uściskałem kobiety jakich nie widziałeś w zimnej Polsce; używałem opium i marzyłem... Po zemście. nie znam silniejszego uczucia nad marzenie przez opium sprawione; to mozaika myśli, uczuć i rozkoszy, kolorytem wyobraźni ubarwiona; arabesk fantastyczny okolic i ludzi; a obrazy przesuwają się jeden po drugim, miękkie ulotne i mgliste; dziewicy hurysy, oczy gwiazdy, usta korale, pierś alabaster żyjący; a ogrody rajskie, niebo turkusowe, słońce brylantowe, drzewa szmaragdowe!... i wszystkie te obrazy czerwcowe drżą w powietrzu, które jak zasłona przezroczysta w codziennych kołyszach się zwrotach, marszczy się i ciemnieje... Ale zbudziłem się...

Niewymowne ciekawości i zgrozy uczucie tajemniczem przeszło mnie drżeniem; zdawało mi się, że stoję przed zakrytym prawdy posągami w Sais, której zasłona drży w ręku lekarza: pierwsze wątpiewanie zabolalo w sercu, pierwsza ciekawość zaciężyła na mej głowie; głosy świata nowego dla mnie, nowych przedmiotów, nowego życia zagrzmiały całą orkiestrą, tony dzikimi i zachwycającymi, pełnemi przeczuciem i żądzy; ledwie zdala dochodził mnie głos prosty, czysty, głos wiary... flet pastuszy!..

— Nie chcę wierzyć i nie wierzę; są myśli wielkie; myśli co wieki przetrwały, a przez muogię przechodząc pokolenia wzrosły w olbrzymów, w bohaterów, w czyny... Są uczucia, które nowym potopem całe wieki i całe ludy przerobiły.

— Rozumiem cię!... szukałem tego uczucia; wymysły żaków, bańki po historycznych kronik morzu pływające, marzenia heraldyczne, śpiewki minstrelów, dumania zakonne, wynalazki słabej głowy, lub słabej wątroby. Szukałem i młody, żem znalazł, uwierzyłem; myśli wiekowej, uczucia wiekowego, szukałem w wiekowym z bogów zrodzonym narodzie; walczyłem między Grekami. Mnie z Getyngi uciekłemu śniły się Termopile, Salaminy, Miltiady i Solony; miasto tego ujrzałem, zdradę krwią kupioną, krew pieniędzmi płaconą; widziałem noże rozbójnicze z maratońskich oręży wykute, karły w ruinach olbrzymów... ale dajmy temu pokój... Szukałem tej myśli i tego uczucia od południa na północ, widziałem niskie zdolności, a wielkie żądze, cedry w grządkę sadzone... Szczęśliwy kto umarł jak Byron śmiercią fizyczną; ja omal nie umarłem śmiercią moralną!... Jedna myśl istotna jest grób!... gniazdo nowego rzetelnego życia; szerokie kraje nogą mą zmierzyłem, i znalazłem je w gnieździe świata; grób obok kolebki, w Egipcie, w grobowych piramidach.

— Czyż być może?... a przecież jako lekarz poświęcasz się ludzkości, którą zdajesz się pogardzać...

— Co mi tam do ludzkości!... ja ludzi nie kocham, nienawidzić nie warto; ja się z nich śmieję, i jako rzemieślnik teorię z grobów dobyta, stosuję i doświadczam.

Odszedł lekarz ciała, choroba dla mojej duszy, choroba co robakiem wryzła się w moje młode życie. Ledwie chwil kilka uleciało, a każda przecuciem, smutkiem, ciekawością rozciągnięta, godziną, miesiącem, rokiem zaciążyła na mej głowie, ołowiem przycisnęła serce..

V.

Zastaliśmy dziada naszego mocno chorego; pan Szmitian wziął się do leczenia, w chwili zaś wolnej, zamknięty u siebie, nigdzie nie wychodził, i uważałem że od ostatniej rozmowy jeszcze więcej milczał, zdawał się mnie nawet unikać. Mniej na to zważałem, bo młody i pełen miłości zapomniałem pomatu wszystkie myśli, które był lekarz wywołał; czasami jeszcze słowa jego jak widma tajemnicze mąciły spokojność moja, ale jedno Marji słowo, jedno uściśnienie ręki, spojrzenie czułe, rozweselało myśli moje. Żyjąc z dnia na dzień, bez trosk, marząc o przyszłości piękniejszej, byłem szczęśliwy z dnia, który minał, cieszyłem się dniem jutrzejszym. Ciotka, która zdawała się przychodzić zupełnie do zdrowia, wyrazy pełnemi miłości macierzyńskiej wzbudzała słodką nadzieję, że kiedyś połączony będę z Marją; były zaiste trudności, byliśmy młodzi bardzo, zezwolenie ojca było niepewne; niepokoiły nas wprawdzie te myśli, ale wierzyłem w stałość charakteru Marji, w sobie czułem dosyć siły do przełamania wszelkich trudności, a zresztą, ubogi w doświadczenie, które starszych rozczarowuje, byłem bogaty w ufność prawdziwie młodzieńczą.

Ale przelotne były zawsze dla mnie chwile szczęścia; nie długo trwała spokojność moja; zagłuszone tylko, nie zniszczone były w sercu mojem wyobrażenia nowe wywołane słowami lekarza; najmocniej utkwilo w pamięci opowiadanie jego o Greczynce, i utajone w sercu mojem nowe uczucie dobywało się gwałtownie z łona mego. Zazdrość była w moim charakterze, i dotąd mimo wszelkie rozumowania nie wierzę w miłość bez zazdrości. Nie rozumiem ja przez zazdrość brak ufności w kochanej osobie, czuję to tylko, że ja dla kochanki powinienem być wszystkim — kochankiem, rodzeństwem, przyjacielem, światem całym; każde słowo grzecznie powiedziane, uśmiech uprzejmy choć obojętny, spojrzenia na kogo innego częściej zwracane, było wedle mego przekonania świętokradztwem przeciw mnie popełnionem. W miłości czy przyjaźni żądam zawsze uczucia odrębnego, któreby się nie dzieliło na tysiączne związki pokrewieństwa, grzeczności i uprzejmości; w uczuciach podziału nie rozumiem. Kochankę, przyjaciela chciałbym mojem niebem otoczyć, moim widnokregiem jak ramionami memi okolić!... Jest to wiele żądać od ludzi i życia, więcej daleko niżeli oddać jest w stanie rzeczywistość, która uczucia z płomienia zwykła spłacać monetą z lodu.

W domu dziada mego same okoliczności sprzysięgały się na

mnie; mnogie sąsiedztwa zajeżdżały dom ciągle; młoda, ładna i majątna dziewczyna sprowadzała w dom roje obojętnych wielbicieli, motylów z rzemiosła. Marja jako wnuczka gospodarza domu musiała wszystkich grzecznie przyjmować, żartować z nimi, i chociaż poznała słabość moją, bo któraż kobieta jeżeli sama szczerze kocha, nie pozna swego kochanka wszystkie dobre i złe strony; jednakże mimo najszczęśliwszych chęci nie mogła zawsze uniknąć położenia, sprawiających mi nieraz najnieznośniejsze katusze.

A tańce!.. te przeklęte tańce!.. ja lubiłem tańcować, ale tylko z Marją, ona zaś namiętnie lubiąc tańce, chętnie ze wszystkimi skakała; osobliwie walca znieść nie mogłem; widzieć pierś o pierś przyciśniętą, dłoń w dłoni, usta tak blisko siebie, że się oddech łączy z oddechem, a krew która ogniem płynie po żyłach, świat kręci się w koło, i znika, wszystkie mieszają się przedmioty, w szalonym nikań zawrocie... to były męczarnie dla mnie!.. W takich chwilach nieraz przysięgałem sobie, że żona i moja córka tańczyć walca nie będą; żona chyba ze mną, córka chyba z narzeczonym. Brzydziłem się tańcem zawsze, widząc w nim coś bezwstydnego; coż się ze mną dzieć musiało, kiedy Marja, którą chciałem z objęcia matki w moje porwać objęcia na zawsze, lotem ptaka kręciła się szalonym wirem porwana, uściskana ręką płaskiego eleganta. Unikała zapewne walca przez wzgląd na mnie, ale nie zawsze się jej to udawało; ja nie śmiałem wyraźnie zabronić, a tak często obwiniałem ją; często zazdrość podawała mi tę przykrą myśl, że ją pociągam tylko za sobą na wysokość moich uczuć, niepojętych dobrze przez prozaiczną dziewczynę.

Szmilian, który po dniach kilkunastu milczenia znowu się do mnie zbliżył, przypatrywał się najczęściej tańcom, robiąc zimne uwagi, któremi znając moją nienawiść do tańców zdawał się umyślnie podbudzać zazdrość moją. Raz późno już w nocy zagrano walca; Marja przyrzekła mi, że tego wieczora już tańczyć nie będzie, kiedy raptem milczący tańców świadek, lekarz porywa ją, krzyczy na muzykę, by prędzej grała, i walcować zaczyna. Kręcił się zaś tak prędko, że ich ledwie dostrzedz mogłem; było coś nadzwyczajnego w tym tańcu; wszyscy stali zadziwieni, ja ledwie wytrzymać mogłem. I „coraz prędzej!“ woła, coraz prędzej kręci się; oczy zaiskrzyły mu się światłem jaśniejszem od świec, które zdawały się być bledsze. Umysł mój niespokojny, ścigając ich ciągle porwany w szalone zawroty walcowe, zakręcił się z nimi, tak mi wszystko z oczów ponikło, czasem tylko dostrzegałem ich niewyraźnie jak przez mgłę snu! Brzydka twarz lekarza zacerwieniła się rumieńcem przeraźliwie żywym, a Marja zbłądła jak trup; chciałem krzyknąć, ciężar cetnarowy cisnął piersi moje, oczy tylko moje latały szalenie za szalonym tańcem; w tej chwili twarz jego ciemno-pasowa, jakby krwią zbrzyzgana, wyobrażała mi upiora ssącego krew z białych śmiertelnie ust Marji. Bałem się by co chwila ta para ulatująca nad posadzką, jak widmo, jak mara nocna nie znikła.... W największym pędzie stanął raptem, w pół omdlały posadził na krześle, sam zaś niezmeńczony porwał za kieliszek wina, mnie drugi nalał, uderzył w niego, i z zwyczajnym wyrzekł uśmiechem:

— Podziękuj mi, nie prędko walca tańczyć będzie!

Tak byłem odurzony, że nie odpowiedzieć nie mogłem, a może i nie śmiałem, gdyż prawdę wyznać, miał on nademną władzę niepojętą; znał najskrytsze tajniki serca mego, i bez żadnego z mej strony zwierzania się, zgadywał prawie myśli moje, a czarem rozmowy swojej tak mnie obalamował, że byłem całkiem w mocy jego; sercem i umysłem moim władał jak woskiem giętkim; gwałtem porywał mnie za popędem magnetyczniejszym swej woli... Uczuć moich wytłumaczyć sobie nie mogłem, ale nieraz słuchając jego mowy śpiewnej, patrząc w jego wzrok przenikliwy, wierzyłem w głos syreny, w oczy bazyliuszka... Był on zawsze dla mnie zagadką, ale już pomalą niewinna niewiadomość moja zaczęła opadać ze mnie, i pełną piersią polykałem obrazy fantastyczne, które w czarownych słowach wylatywały z ust jego.

Rozmowy jego ze mną były zajmujące i częste. Zwiedził wiele krajów, i dobrze zwiedził, a lepiej jeszcze opowiadał o nich, słowami żywiej od pędzla malował... Słuchając jego, nieraz zdawało się, że widzę ciemnobłękitne niebo włoskie, dumam w kolizeum, marzę pomiędzy gruzy i pałace miasta, pani świata, z którego Cezarów i papieżów głosy grzmiąły orężem i krzyżem po całym szerokim świecie!... Widzę miasto syrenę w morzu kąpiącą się!... przy tęsknej gondolierów muzyce w miękkiej kołysze się gondoli, słyszę szelest jedwabnego domina kryjącego miłość lub zemstę; lwy Marka, Dożów ryczą na mnie głosem; sławny most napowietrzny westchnieniami wieków i cierpień przemawia do mnie!... To znowu jaskrawy brzask Wezuwiusza oświeca marmury Neapolu i fale spokojnego morza; leje się lawa płomienistym potokiem, brzęczy w koło pieszczona nuta włoskich pieśni, których każdy ton miłością dźwięczy, roskoszą wzdycha, i miłością roskoszą pachnie powietrze, oddech włoskiej ziemi!... Wtenczas myślą gonię kunsztownym pędzlem skreślone obrazy, chęcią rzucam się w ten świat ciekawy, tęsknię po za mgłą przed sobą, żądam sięgam po za obłoki!.. błądzę bez celu, i tu, i tam!... I wnet zakończy gorące obrazy zimną uwagą, łamie otowianą prozą świeżo wyrosłe skrzydła... i młody zapal z głębi duszy wydobyty niknie w próżnym westchnieniu, w łzie bezowocnej...

To znowu klasyczną ziemię Grecji przebiega; żelaznym rylcem żelazne dzieje ryje, i zdało mi się nieraz, że mimo chęci sam się unosił, gdy opisywał dzieje Suliotów, górali, a wśród nich ród Botzarisów. Garstka ludzi pozostała z mnogiego pokolenia; i z skały na skałę przechodząc bronią każdego kamienia, ostatniej góry-fortecy, która jedna została im z szerokiego kraju; a każda skała czerwieni się krwią, czerni się stosami trupów tureckich, a każda skała dźwiga jednego Botzaris. I już mała garstka na samym szczycie góry; poginęli jeden Suliota po drugim; popadali jeden Botzaris po drugim, a na samym wierzchołku wśród obłoków prawie, kilką tylko otoczony Suliotami, stoi ostatni Marko Botzaris; siedmiu synów stracił jednego po drugim; stoi nieruchomy, suchem okiem patrzy na okalający go kraj gruzami, trupami zasłany, widzi konanie swego narodu, i sam jeden w szatę obłoków owinięty wznosi się po nad ziemią bohaterów...

a w około wieniec złotych półksiężyców i spojrzeń srogich; a w około rozlega się dzikie przeraźliwe Ałlach!... i wolnemi echemi rozniesiony od skały do skały niknie w pustej krainie... Ostatni z narodu Suliotów, ostatni Botzaris zanucił pieśń rodu swego bohaterską; na wolę puszcza labędzi głos pożegnania; śpiewa słowa starogreckie rytmem dawnych pieśni olimpijskich... Słucham zadumany śpiewu lekarza!... ten głos pełny wdzięku i wyrażenia niesie do uszów moich słowa dziwnie harmonijne, śpiewne hieroglify przebrzmiałych wieków sławy i sztuki, i z piersi moich gwałtownie dobywa się wszystko co jest szczytnem i dobrem.... I znowu fantastyczną karykaturą kończy cudowny obraz... i znowu w próżnem westchnieniu wyższy niknie zapał..

Albo prowadzi mnie do kolebki świata, szerokiego Nilu, prowadzi brzegiem, tajemnicze słowa, hieroglify sylabizuje; w kilkunasto wiekowe wprowadza piramidy, groby królów; podziemnym prowadzi labiryntem między bramą życia a śmierci; ukryte czarodziejstwa starych kapłanów z łona wiecznej nocy wywołuje, dobywa tajemnice grobu z ciemnych twarz mumij, a tajemniczą zasłonę w fantastyczne zwiijając odcienia, to starem bóstwem zaświeci, to starym czarem zaciemni!.. Olbrzymie sztuki i umiejętności w olbrzymich grobach karłowatych królów zagrzebane z pyłu wieków oczyszcza, na jaw dobywa; z łona śmierci sztuczne duchów życie mocą namysłu wykradzione w istotne wprowadza życie....

To była jego najmiłsza rozmowa, i jakkolwiek zimniej sądząc dzisiaj, cały ten epizod życia mego śmiesznym mi się wydaje, wyznać muszę, że wówczas mocą szatańskiej wymowy swojej porывał mnie w ciemne kabalistyczne tajemnie świata duchów. A choć ogólnemi tylko słowy mówił o cudownych arkanach kapłanów egipskich w sztuce leczenia, obrazy jego były tak żywe, słowa tak wymowne, pozór tajemniczy taką wzbudzał ciekawość, że mimo lepszego przekonania mego, codzień byłem słabszy, codzień więcej wiary przykładalem do jego słów; niemało przykładały się do tego jego cudowne leki, które własnymi oglądałem oczyma, a któremi cała grzmiała okolica. Przytem całe życie jego było tajemnicze; pokój jego osobny zawsze był zamknięty, nawet okiennice mocno zaparte; dniem i nocą paliło się światło, które czerwonym lunem wymykało się przez szczeliny, drzwiów i okiennic. Były znowu czasy, w których zdawał się go trapić jakiś czarny smutek; wtenczas twarz jego była okropna, oczy miały wyraz grobowy; wtenczas po całych nocach błędził samotny po ogrodzie, i nieraz w nocy później budził mnie jego śpiew nadzwyczaj żalobny. Jednem słowem całe jego życie odrębne robiło na mnie wielkie wrażenie; życie moje przestało być spokojnem; zagadka stała mi olbrzymem w drodze żywota mego, i mimo gwałtownej miłości mojej do Marji, nie mało już chwil spędzałem na samotnych rozpamiętywaniach, marzeniach obszernych jak świat, albo ciasnych jak powicie egipskiej mumii.

VI.

Ciotka wydawała się zdrową, chociaż z przykrością uważałem, że głębszy coraz smutek osiadał na bladych licach. W częstych z nią rozmowach nie tała myśli głęboko wkorzenionej, że niedługo trwać będzie ten stan zdrowia, że nie długo z nami bawić będzie. W tychto chwilach malowała słowami pełnymi czułości obrazy młodości swojej; wtenczasto lepiej ją poznałem, lepiej pojąłem to życie niezrozumianej kobiety, pełne ofiar bezowocnych, poświęceń niepoznanych; życie ciężkie i nudne, w którym ogień wewnętrzny sam w sobie pali się i pożera, a jeżeli kiedy wybucha, to zimnymi słowy, bo słowa uczuć byłyby niezrozumiane jeżeli nie pogardzone; życie pełne rezygnacji i walki nieustającej między poezją serca, a prozą życia. Ile mi ona nauk dawała pełnych głębokiego doświadczenia, bo choć jej życie nie wiele na zewnątrz się objawiło, ale za to wewnątrz ile przemarzyła, przeczula i odgadła. Patrząc na mnie jak na przyszłego zięcia, widziała we mnie szczęście lub nieszczęście córki, a poznawszy moją dążność do życia marzeń, z własnego losu biorąc przykłady, nauczała i przestrzegała!...

Pocziwa ciotko, przywiązanie twoje i nauki zostaną na zawsze w sercu mojem, i wiecznie brzmieć będą głosem lepszego życia; choć już dawno wyrzekłem się nadziei, pamiętki karmię własnem życiem!... Biedna ciotko! ty już nie żyjesz, wszystko wokoło mnie się zmieniło, a dziś jeszcze pamiętam każde prawie słowo, każdy ton twojej mowy. I z Marją miewałem rozmowy poważniejsze, o naszej przyszłości zawsze pięknej, ale już ocienionej ciemniejszymi myślami memi, które coraz bujniej wyrastały z nasienia rzuconego przez pana Szmitiana, który jak zły duch ciągnął mnie słowami swemi po za obręby życia zwyczajnego. Chwile szczęścia, które już z woli losu skąpo mi porachowane były, sam sobie bruzdziłem!...

Tak przebiegło parę miesięcy; już wiatr jesienny szumiał suchym liściem po ogrodzie; rzadsze już były dni pogodne, rzadsze nasze przechadzki wieczorne, czas nieubłagany uleciał z tem co miał najlepszego dla mnie. Smutny byłem, i mimowolnie na widok żółtych drzew przychodziła mi myśl zimy, a z nią dzwoniły w ucho słowa lekarza, który uśmiechem jeszcze więcej szyderyczym zdawał się żegnać każdy listek żółkły z drzewa urwany, pędem wiatru niesiony. Jego brak wiary we wszystko coraz się więcej odbijał w mowie jego, której barwa tajemnicza doskonale odpowiadała myślom moim, i porze jesiennej. Marja była duchem moim opiekuńczym; ona bowiem czy przez chęć bycia ze mną, czy przeczuciem powodowana, odrywała mnie ciągle od niebezpiecznych rozmów z lekarzem.

Kiedy raptem w końcu prawie września, w mglisty zimny poranek, zajechał powóz; wybiegam, i zadziwiony stoję naprzeciw ojca Marji. Zupełnie był niespodziewany; nagły jego przyjazd zadziwił mnie niepomału, a przy smutnem usposobieniu mojem ciemne przeczucie jakies ścisnęło me serce. Przywitanie moje przyjął bardzo zimno, i zdało mi się widzieć w oczach jego jakiś wyraz złośliwy,

wyraz starca cieszącego się z przykrości młodszych od siebie. Wszedł do pokoju, i gdy za nim pójść chciałem, porwał mnie Szmitian za rękę, pociągnął za sobą do ogrodu, i wprowadził w nieskończenie długą rozmowę o magnetyzmie. Słuchałem go z roztargnieniem, wymowniejszy niż zwykle, tłumaczył mi cuda mocą magnetyzmu działające.

— Dziś magnetyzm wskrzeszony — dodał w końcu — ale słabszy od dawniejszego; pierwiej mędrzec, prorok, lekarz potrafił za pomocą magnetyzmu stare przywrócić życie, dzisiaj zaś siła magnetyczna może dać tylko sztuczne, chwilowe życie, którego nie zawsze można być pewnym. My lekarze mamy tym sposobem większą nawet władzę, bo sami własne nadajemy życie; my panami, chorzy niewolnikami naszymi, wpływom naszej woli, która magnetyczną siłą swoją i za krańcami grobu władać niewolnikiem nie przestaje; na skinienie nasze, grobowe nawet upaść muszą zapory.

Wyrwałem się przecie i wbiegłem do domu; wchodzę, pokoje ciotki puste; mówią mi, że z mężem i córką już od godziny są u dziada; nowe przecucie, nowa boleść przeszły serce moje. Pelen niecierpliwości biegam po pokoju; tysiączne myśli krzyżują się po głowie mojej. Wyszli nareszcie; ostupiałem; Marja była jak śmierć biała: oczy od łez czerwone zwróciła na mnie z rozdzierającym spojrzeniem. Ciotka była nadzwyczaj czerwona, widać było jakieś poruszenie niezwykłe; pan wuj zeszpecił sobie jeszcze twarz starą, jakimś tryumfującym spojrzeniem. Nim zdołałem przemówić słowo, już weszli do swoich pokojów, i słyszałem zamknięcie drzwi; tuż koło mnie stał Szmitian ze swoim wiecznym uśmiechem, i po chwili rzekł do mnie zacierając ręce.

— Tak tu chłodno; znać zbliżanie się zimy.

Wstrząsnęłam się jak gdybym gadzinę zobaczył; pobiegłem do ogrodu, przez resztę dnia nie widziałem ani ciotki ani Marji; przy obiedzie siedziałem jak na szpilkach między tryumfującą twarzą wuja, a szyderczym uśmiechem nad swój zwyczaj wesolego lekarza. Noc całą przepędziłem bez snu; smutne myśli jak mary nocne snuły mi się po głowie; zgadywałem, że rzecz szła o mnie, ale napróżno łamałem sobie głowę, nad tem co się stało. Nad rankiem zasnąłem snem niespokojnym, ale myśli moje przekształcone w widma dziwaczne krzywiły się przedemną w obrazach fantastycznych. Nagle dotknięciem ręki zbudzony, zrywam się, i widzę przed sobą lekarza, ze wzrokiem we mnie wlepionym.

— Co się stało? — pytam przestraszony.

— Za dni pięć ciotka twoja umrze! — odrzekł, uśmiechnął się, i odszedł.

Ubieram się, lecę jak szalony, wszystko jeszcze; pytam służącej — Jak się pani ma?

— Nie wiem jak się ma dzisiaj, bo jeszcze drzemie.

— To jeszcze nie słabą?

Zadziwiona zmierzyla mnie służąca.

— A panna Marja? — pytam dalej.

— Panna spi także, długo w noc pakowała się...

— Jakto ?

— Ma jechać dzisiaj po obiedzie, z panem, albo jutro rano do ciotki podobno...

Jakby piorunem rażony od zmysłów prawie odszedłem; myśli moich skleić nie mogłem; tyle ciosów spadło na mnie razem, że zupełnie odurzony błądziłem go ogrodzie. Wyjazd Marji tak nagły, był dla mnie niezrozumiały; onaby miała opuścić matkę w takim stanie, matkę, która bez niej żyć nie może... tu przez chwilę zapomniana myśl nowym bolem ścisnęła serce moje. Miałżeby Szmilian żartować ze mnie?.. o nie!... to nie był żart; oczy jego, gdy gadał ze mną, nie żartowały!... Wracam pędem do domu.

— Czy był tu dzisiaj pan Szmilian?..

— Od wczorajszego wieczora nie był jeszcze... ale teraz posłano po niego, bo pani skarży się na mocniejszy ból piersi...

— Na miłość Boga prosz pannę do mnie!

— Ach biedna panienska, tak rzewnie płacze aż serce boli; nie chce odjeżdżać od matki...

Przeszedł w tej chwili lekarz koło mnie.; o nie ma już nadziei, pomyślałem, spojrzawszy w twarz jego.

Co-ja się nacierpiałem, wyrazić trudno. Siedziałem znowu koło ciotki, której stan na oko zdawał się nie być zatrwająający. Z początku ucieszyłem się, bo dla słabości matki Marja uparła się zostać i przemogła. Siedziała koło mnie z zapłakanemi oczyma, ale nie śmiałem ją o nic pytać, okropna bowiem pewność że ciotka umrzeć musi, którą z głowy wyrozumować sobie nie mogłem, zatrzymywała wszystkie słowa: patrzałem tylko na nią ze wzrokiem pełnym rozpacz. Okropna pewność! mieć ją w głowie i w sercu, a kłamać usty przed córką, słyszeć słowa pełne nadziei samej chorej i otaczających, a wśród tego zimna postawa lekarza rozdającego rozkazy obojętnym głosem. Darmo szukałem pociechy w szklanym jego oku; czytałem w nim wyrok niecofniony!... darmo szukałem nadziei w bladej twarzy ciotki; i z niej wyszczerzała się śmierć boleścią wyrzta, z liców zapadłych, z gasnących oczów, z tych ciemnych obwódok, które coraz szerszem kołem otaczały w pół przyknięte oczy.

Nie odstępowałem przez cztery dnie i noce łoża boleści, w którym widocznie przed okiem mojem konała jedyna przyjaciółka moja, nikła ostatnia nadzieja szczęścia. Widziałem jak jedna po drugiej odstępowały ją siły żywotne, widziałem jak oznaki śmierci jedna po drugiej rozciągały się po bladej twarzy, wyciągały rysy, kurczyły usta... A w koło zimne domniemywania obojętnych, wyrazy Marji nacechowane nadzieją sztyletami raniły serce moje. Marja która dawniej codzien się bała śmierci matki, teraz przez dziwne zaślepienie nie wierzyła w nią, i widziałem nawet w jej oczach ukryty zarzut mnie czyniony, że ja żadnem słowem nie potwierdzam tej nadziei; ale ja nie śmiałem ani słowa pociechy powiedzieć, cały zajęty stratą jaka nas czeka, na sieroctwo tak bliskie mojej kochanej Marji... Godziny tylko rachowałem z uczuciem niepodobnem do opisanja.

Piąty dzień jesienny i mglisty zaświtał. Ciotki drzemające oczy otworzyły się na krótką chwilę; spojrzała niemi wkoło siebie: Marja

drzemala, lekarz w kącie czytał książkę, ja siedziałem zatopiony w myślach. Ledwie dostrzeżonym ruchem ręki dała mi znak; zbliżyłem się.

— Wnet się wszystko skończy! — cichym przemówiła głosem — żałuję ciebie, bo jeszcze była nadzieja w mojej woli i stałości Marji, ale teraz wszystko już przepadło... Po mnie sierota, ojca słuchać powinna... nie odwodź ją od tego świętego obowiązku; zapomnij, jeżeli możesz, i bądź zawsze jej przyjacielem.

Zniżyłem głowę by ucałować jej ręce; włożyła je na głowę moją, i wybladłe jej usta zaszeptaly niewyraźne błogosławieństwo, jakie spadło na głowę moją! kiedy podniosłem głowę, oczy jej były zamknięte, a po cichym i spokojnym oddechu zdawało się, że drzemie.

Cały dzień drzemala chora, i z całej twarzy palcem śmierci naznaczonej łatwo poznawałem, że z tego ostatniego snu życia przejdzie w wieczny sen grobu. Swieca żałobne rzuciła światło fantastycznym migającym cieniem po bladej twarzy; Marja i ja w uroczystym siedliśmy milczeniu; lekarz zaś stał zamyślony.. Spojrzał na zegar, była godzina ósma, a milczenie tak głębokie panowało, że styszałem chód zegara powolny, i każde jego kołatanie, które porывało ciekające jej życie, odbijało się bolesnie w sercu mojem... Zadrżałem; tuż nad uchem usłyszałem głos lekarza.

— Chcesz widzieć skutki siły magnetycznej, która na chwilę władzę samej śmierci zwalczyć może?... patrz!...

Zbliżył się, podniósł wielką i silną rękę, i pociągnął żywą dłoń nad martwym już ciałem twarzy; chwil kilka pociągał ręką od góry na dół, a oczy swoje silnym ogniem ożywione wlepił w żółte chorej policzki!... zdało mi się, że co chwila usłyszę jakąś dziwną formułę zaklęcia, wychodzącą z niemych ust lekarza. Niewymowne uczucie zadrgało w sercu mojem, a światło cieniujące na twarzy palce obrzynie lekarza zdało mi się żywotną siłą z zdrowej ręki do słabego ciała wchodzącą... I sine już usta różowym ożywiły się rąbkiem, rysy twarzy śmiercią przeciągnięte zaokrąglaly się pomału, ledwie dojrzany rumieniec rozchodził się powoli po bladych licach, powieki ciężkim ruchem podniosły się do góry, oczy szklanne i nieruchome nabierały barwy, światła, ruchu i życia... I pociągnął raz jeszcze szeroką dłoń, i wznosił ją w jednej trzymając mierze, jak gdyby mocą tej silnej dłoni utrzymywał śmierć ulatującą nad łóżkiem; w tej chwili uwierzyłem w sztuczne życie, o którym mi wczoraj mówił. Chora powolnym ruchem obróciła oczy w koło siebie, i snać wszystkich poznała, bo głosem chociaż cichym, ale swoim zwyczajnym prawie, przemówiła do lekarza.

— Panie Szmitian; czy nie masz już żadnego sposobu ratowania mnie?

Zamilkła, spojrzała na Marję, która drżąca obok stała, wzniosła oczy do góry, ustami lekko poruszyła, ale bez wyraźnego głosu i tym samym porządkiem życie sztuczne siłą cudowną wywołane ustępowało pomału; spadły powieki, zbladłe przeciągnęły się rysy

twarży, zsiniały usta, i zmęczona ręka lekarza opadła, i znowu ten sam stan nieczułości wrócił, środkujący między życiem a śmiercią.

Wyszedł lekarz; długo stałem bez ruchu, tylko bieg zegara kołatał także po sercu, po żyłach i krwi; nie mogłem wytrzymać tego stanu; prosiłem Marji, by się na spoczynek udała, ale gdy odmówiła, wybiegłem trochę na świeże powietrze, by ochłodzić wzburzoną krew. Siadłem na ganku, i obwinąłem się w płaszcz; zmęczone bezsennością skleiły się powieki. Sen był męczący; obrazy gorączką skreślone krzywiły się ciągle przed oczyma w różnych dziwnych zmianach: moje przeszłe życie bez trosk, życie młodości i spokoju przesuwano się przed duszą, potem znowu widma tajemnicze skakały z twarzą lekarza, wykrzywiały się i śmiały, i znowu blade ciotki ciała, i Marja kręcąca się z lekarzem w szatańskim walcu, a nad tem wszystkim olbrzymia ręka przez całe niebo rozciągnięta, której ogromne palce w dziwne znaki pogieęte wydawały się jakby litery, hieroglify jakieś, nad których wyczytaniem umysł boleśnie natężyłem. Sen mój był mocny; nagle konwulsyjne drżenie przebiegło przez wszystkie żyły; zbudziłem się; serce mi chodem zegarka klekotało po piersi.

Wróciłem do pokoju chorej, zbliżam się do łóżka. Marja położyła głowę na koniec matczynej poduszki, i znużona zadrzemała: ze strachem spoglądam na twarz chorej!... Już było po wszystkim. Piętno śmierci wyraźnie wypisane spojrzalo na mnie. Musiała w tej chwili skończyć, bo zdało mi się, że ostatnim oddechem podniesiona warga zapadła w oczach moich; przyłożyłem drżące ręce do oczów, i zakryłem twarz, bojąc się, by się Marja nie obudziła... Spojrzałem na zegar!... sama dwunasta; skończył się piąty dzień, dotrzymała śmierć słowu lekarza. Marja drzemała spokojnie; jakiś wdzięczny sen kotysał się uśmiechem na pięknej twarzy spokojnie złożonej na poduszce, a na tejże samej poduszce o jedną piędź dalej leży martwa głowa matki; sen spokojny córki, i sen wieczny matki tak razem; sen życia igrający i swawolny, i sen uroczysty śmierci tak blisko siebie!...

Co cierpiałem wtenczas, dziś próżnemi nie wydam słowy, to tylko pamiętam, że najwięcej bałem się, by Marja obudziwszy się raptem, o okropnej nie przekonała rzeczywistości.. Głębką boleść zamknąłem w sercu, była to pierwsza nasza boleść, co kirem zaciemniła wiosnę moją, był to chrzest cierpienia!... Schowałem świecę, obudziłem Marję powoli, i nie wiem z kąd dobytej mocy, z kąd słów dobytej, by ją namówić do wyjścia z tego pokoju; uwierzyła wreszcie, że nie grozi żadne niebezpieczeństwo i wyszła do swojego pokoju. Spokojniejszy, gdym ją odprowadził, chciałem się wyplakać, ale żadnej łzy dobrać nie mogłem: sucha rozpacz gorączką piekła zmęczone oczy. Na ganku z otwartymi oczyma prześniłem całą noc, przemarzyłem przecuciem odgadłem całą przyszłość moją już ustaloną i smutną!...

VII.

Nowy ranek zaświtał, nowa epoka dla mnie! com przecierpiał i sam, i dzieląc Marji słuszny żal, przemilczeć wolę, bo nie wydam zimnemi słowy tych scen okropnych rozpacz, łzów i pogrzebu. Widok Marji dawał mi dosyć siły do znoszenia własnych cierpień, pocieszając ją nie próżnemi słowy, ale serdecznem współczuciem. Odbył się nareszcie pogrzeb, i nazajutrz równo ze świtem miała wyjechać Marja z ojcem. Rozmowa jaką miałem z nim, przekonała mnie dostatecznie, że razem z śmiercią ciotki wszystko dla mnie umarło, że uczucia moje i nadzieje powinienem w sercu zagrzebać; nieugięty starzec zimny na śmierć żony, na rozpacz córki, zastawiał się młodością moją, widokami memi na przyszłość, które by mogło zawczesne zburzyć ożenienie; jednym słowem, ja gadałem do niego sercem, on odpowiadał głową, jam przemawiał uczuciem, on odpowiadał rozumem. Przyrzekałem czekać, czekać długie lata, byłem miał nadzieję; nic mi przyrzec nie chciał, dodał tylko w końcu, że sam najlepszym sędzią szczęścia córki, a tego nie widzi w zamęściu ze mną.

— Tobie potrzeba światu, a jej ustronia; wasze drogi rozchodzą się, i nigdyby się nie były zdybały, gdyby uważniejszą była żona moja; zresztą zasłaniał się wolą dziada, który się także związkowi temu sprzeciwiał...

Pobiegłem do dziada, ledwie mnie zrozumiał, przeżywszy kochaną córkę, przeżył sam siebie; skureczony lodem wieku słuchał z zimną twarzą, okiem zadziwionem, nierozumiejącem moich uniesień zapalczywych: w końcu wziął książkę, zaczął modlić się za duszę córki, i mnie kazał modlić się. Za daleko stały nasze wieki, nasze uczucia, abyśmy się zrozumieć mogli, on kończył życie długie: daleko za sobą zostawił wszystkie lat młodych omamienia; ja zaczynałem życie urojeń i nadziei. Na dwóch końcach życia stojąc, nie mogliśmy się rozumieć.

Odszedłem; z Marją od przyjazdu ojca nic nie mówiłem, w czasie słabości matki nie myślałem o tem, a teraz ledwie chwil kilka sami byliśmy, a żalem przejści myśleliśmy tylko o świeżej stracie, miałem jednakże tyle czasu, że wymogłem na niej przyrzeczenie, iż się zejdziemy wieczorem w kaplicy familijnej, w którą zrana złożono zwłoki umarłej. Chcieliśmy razem połączyć ostatnie pożegnanie nasze, i pożegnać miejsce w którym na zawsze zostawialiśmy matkę naszą, ale pomimo woli snuła mi się nadzieja, że może znajdziemy sposób ratowania się.

Tysiączne myśli burzą latały mi po głowie!... Chciałem prze-módz siłą mej woli wszystkie trudności, chciałem porwać Marję. i znowu malowały mi się obrazy mego wywyższenia; wojowałem, w radzie zasiadałem, i wawrzynem uwieńczony, wracałem dopominać się o szczęście moje, o rękę Marji... i z nią wchodziłem w progi domowe, pędziłem w ojczystej zagrodzie, w wiejskiej ustroni życie spokojne, wspólne, życie raj... dobry ojciec dla swych dzieci, dobry pan

dla włościan, pożyteczny ziomek dla rodaków... to znowu zbudzony rzeczywistością łamałem ledwie co poklejone obrazy, by nowe skreślić chimerycznym wyobraźni pędzlem; marzyłem, i budziłem się na przemiany.

Już się wieczór zbliżał; ja ciągle zadumany, biegałem po pustych ogrodzie ulicach, nie zważając na jesienny wiatr, który jęcząc po suchych liściach z drzew opadłych mroził mnie swoim powiewem jak deszczyk przenikliwy, który mnie na wskrós przechodził, kiedy raptem na zakręcie ulicy zdybuję lekarza; od śmierci ciotki nie widziałem go prawie, albowiem siedział ciągle u siebie. Zbliżył się do mnie jak zwyczajnie, ale wyraz twarzy, ust i oczów był różny, ciemne światło oczów jakby odbrzask uczuć posępnych cieniowało się na całej twarzy, oświecało uśmiech złośliwy ust, i nadawało całemu wyrazowi cechę jakąś tajemniczą i ciekawą.

— Próżny żal! — zagadał — niegodny żal!... traciłem i ja wiele w życiu, ale zimny patrzałem na te zdarzenia, jak na zwyczajne życia koleje; burzom czoła nie ugiąłem; ja traciłem, ale większe i częstsze były razy; przetrwałem, i teraz śmieję się, a ty młody, silny, za pierwszym podmuchem burzy kurczysz się jak robak, zginasz jak trzcina, drżysz jak kobieta...

— Nie znasz położenia mego — przerwałem.

— Ja go nie znam! i cóż jest czego ja nie znam? — odpowiedział, i podniósł dumne oczy — dawno tajemnica twoja dziecinna przestała być tajemnicą dla mnie!... Wielka dziwna tajemnica! kochałeś!... bo się to już skończyło; miałeś wiosnę, miałeś lato, używałeś, powinieneś być używać; teraz jesień, zapomnij i ucz się, by cię zima gołego, nieporośłego w pierze nie zastała. Miłość, to cacko chwil kilku, żądza używania, burzenie się krwi młodej; serce, to drżenie nerwów niezahartowanych... to nie życie! to nie istota rzeczy!... to próżna przedmowa, obrazek, tytuł!... Tu! — dodał z ręką na czole — tu życie! tu świat! świat nauki, która wziętem silnym łączymy byt z nicością, wieczność z pyłem, tu nieśmiertelność, tu najwyższe bóstwo!... rozum!... a szkoła!... nie gwiazdy, niebo, ziemia! próżna to deklamacja, szkoła grób!... bądź cierpliwy i ucz się!... Płacz i uczucia zostaw bawelnianym duszom; dusze z żelaza, dusze mężkie hartują się w ogniu, nie pękają w burzy!...

I zamilkł, ale okiem we mnie utkwionem kończył zaczęłą mowę; zdawało się, że jak w owej nocy z ręki jego wylatywały cząstki życia sztucznego, tak teraz z oczów jego strzelają we mnie łyskawice nowych myśli, i nowych tajemnic; magnetyczną siłą wzroku swego zaczarował mnie. Nie mówiłem nic, bo mi dawne słowa przestraszone uciekły, a nowe pomału wywijają się z łona głowy. Po chwili uroczystego milczenia ścisnął mnie za rękę, i głosem jak zawsze wymownym dodał:

— Kochałeś tę ciotkę!... będziesz ją raz jeszcze widział. — Odwrócił się, i szybkim znikł krokiem.

Biegałem jak szalony po ogrodzie; nowe myśli silną wolą lekarza wywołane, labiryntem powiktane skakały po mej głowie, a ostatnie jego słowa dzwoniły mi tajemniczym głosem w uchu. W każdym

drzewie obnażonem zdawało mi się widzieć duchy jakieś dziwne, olbrzymiami okalające mnie ramionami! z każdej ulicy świeciły mi oczy trupie ciotki; strach nieznanym zimnym dreszczem latał po żyłach.

Bez przytomności prawie, nieświadomy siebie, zaszedłem do mego pokoju i rzuciłem się ubrany na łóżko. Nie wiem czy spałem, czy marzyłem; to tylko pamiętam, że krew gorączką rozpalona tańcowała w fantastycznych obrazach po mózgu. Barwy obrazów dawnych i nowych, pomieszane w dziwną mozajkę, to się iskrzyły, to znowu zaciemniały i mglistą pokrywały się powłoką...

I w tej chwili!... czy snu zjawienie, czy widmo gorączki, czy mara wyobraźni, czy duch z grobu wywołany, spostrzegłem tuż koło siebie postać schorowaną i bladą zmarłej ciotki!.. Widziałem ją wyraźnie, z tą samą twarzą, temiż oczyma w pół ożywionemi siłą magnetyczną lekarza, i nawet zdało mi się, iż widzę nad tą postacią ulotną, wznoszącą się olbrzymią rękę lekarza, jak wtenczas nad łóżkiem śmiertelnem... Tak byłem zmęczony, że bez wrażenia prawie, bez żadnego zadziwienia patrzałem na to zjawisko.

Ocknąłem się, przetarłem oczy; wszystko znikło, tylko w pół otwartych drzwiach stał lekarz z zimnem obliczem, okiem wyteżonem, i tą samą rękę, jakem pierwej widział, trzymał wyciągniętą z wyprężonemi żyłami... i wyrzekł głosem czy pewności, czy zapytania: — Widziałeś!.. — i wyszedł..

Już wtenczas pewnie nie spałem; całe tej sceny uroczystością jakby elektrycznym uderzeniem wskrós przejęty, stałem na środku pokoju, i chronologicznym porządkiem przechodziłem w myśli wszystkie zdarzenia, które się w przeciągu kilku dni tak tłumnie przesunęły. Nie umiałem nic sobie wytłumaczyć, ale w tej chwili we wszystko uwierzyłem, i gdyby wtenczas zaraz był przyszedł lekarz, byłby mnie zastał zupełnie przygotowanym, byłby ślepo mnie za sobą pociągnął w ciemne i tajemnicze państwo duchów, które mnie już od dawna w jego przytomności dreszczem przechodziło, z ocz błyskało, z brzydkiej wyzierało twarzy, dźwięczną mową namawiało i czarowało.

On nie przyszedł; krew ostygła pomału; z pamięcią wróciło do myśli przyrzeczenie widzenia się z Marją; wolnym krokiem poszedłem do kaplicy. Ożywiony ostrym wiatrem, który wilczym wyciem szumiał nad domem, ogrodem i całą okolicą, postanowiłem milczeć o tem całym zdarzeniu, osobliwie przed Marją; na jej wspomnienie prawdziwa miłość młodzieńcza rozlała się dobroczynnem gorącem po piersi mojej. Wszedłem do kaplicy.

Kaplica odziana była kirem od rana; wiatr wbiegał przez szczeliny drzwi i okien, szeleścił żalobnem pokryciem, ruszał światłem lampy, które kołysząc się za jego powiewem, olbrzymie rzucało cienie na kolosalny krzyż biały na środku zawieszony, barwą kościotrupa od czarnego sukna odbijający się po białych pomnikach, po złotych napisach, i trupich głowach. Po obu stronach wystawały z dna czarnego dwie głowy ludzkie; po jednej stronie głowa siwa i łysa palcem wieku odznaczona, na której bladych i przeciągłych

licach światło lampy i uczucia ostatnie z głębi lat i zdarzeń wydobyte w różne cieniujące się kształty zdawały się być walką życia i śmierci; po drugiej stronie głowa młoda niewieścia, której rysy pełnem życiem zaakraglone żał głęboki nieruchomością posagu powłóki; oczy z jednej strony w pół umarłe, porcelanowe, świeciły się tylko światłem lampy; po drugiej stronie oczy młode świeciły się łzami jasnymi. Był to dziad i wnuczka, modlili się nad grobem córki i matki; dwa pokolenia przeciwległe nad pokoleniem środkującym... ostatnia pamiątka i ostatnia nadzieja zmarłej, stojąca nad jej zwłokami. Po nure było milczenie, ledwie czasem przerwane stłumionem wyciem wiatru, szeptem niewyraźnym modlącego się starca i gorącym westchnieniem dziewczyny mgłą ulatującym po zimnem powietrzu; a nieruchomy i surowy wyraz boleści ukrzyżowanego Zbawiciela spoglądał z góry na tę scenę żalobną, oderwaną z obszernego dramatu życia ludzkiego. Wszystkie moje myśli wzburzone, myśli lotne, myśli ciemne, uczucia płomieniste i żalobne wzdęły pierś moją, i gorącą łzą rozrzewnienia ściekały na zimną twarz, a z nią ulatywały pomału wszystkie czarne mary, kruki szarpiące tajemniczem zakłębieniem lekarza wywołane. Długo stałem nieporuszony i niepostrzeżony; długie chwile biciem mego serca rachowane przebiegły w uroczystem milczeniu. Powstał starzec zsiniały od zimna, powłókił zagasłem okiem, spojrzeniem zgrzybiałego dzieciństwa w koło siebie, postrzegł nas, i drżącym rzekł głosem, przykładając palec do ust:

— Cicho dzieci!... moja Antosia spi.

Biedny starzec ze spleśniałego skarbu swoich pamiątek wydobył może obraz córki śpiącej snem niewinności. Biedny starcze! oby się poplątana pamięć twoja nie rozwinęła, okropne byłoby obudzenie po tak pięknym śnie.

— Cicho! — szepnął raz jeszcze; jakiś zapomniany, wiekiem zakłęty uśmiech wydobył się na zwiędłych ustach, obłąkaniem odbił się na twarzy, i wlekącym się krokiem wyszedł z kaplicy.

Zbliżyłem się do Marji, ukląknęłam razem z nią na kamiennej posadzce, pod którą złote nasze spoczywały nadzieje grobowem wiekiem na zawsze zamknięte, i długo w milczeniu modliliśmy się modlitwą i marzeniem. Byłem tak odurzony, że słówka jednego wyrzec nie mogłem; pierwsza podniosła się Marja, otarła oczy, i wzięwszy mnie za rękę, drugą podniosłszy do góry:

— Nasza matka słyszy nas! — rzekła do mnie — za jej pozwoleniem wieczną ci miłość przyrzekłam; i przyrzeczenia mego święcie dochowam. Ojcu posłuszną być powinnam, ale ręki mej nie oddam tylko tobie, chyba byś sam tego żądał odemnie; jestem odtąd twoją, przysięgam ci na pamięć matki naszej; jesteśmy młodzi, miejmy w Bogu ufność, wiarę w siebie!... A teraz mój kochany próżnym nie dręczmy się żalem, pożegnajmy się na grobie naszej matki, i rozejdźmy w nasze drogi; miłość będzie nam przewodniczyć, a może kiedyś weseli i szczęśliwsi witać się będziemy na tym samym grobie.

Piękna jej twarz zajaśniała natchnieniem; słowa pełne wyższego zapału niewypowiedzianą harmonją tręcały o wszystkie serca mego

struny: w tej chwili, kochałem tylko, wierzyłem, ufałem, świętą przysięgą stwierdziłem przyrzeczenie wiecznej miłości... i wyszliśmy.

Idąc pomału do domu, dowiedziałem się od Marji, jak jej ojciec cudem prawie uwiadomiony o planie matki przerobienia dziada na naszą stronę, planie, który powoli byłby się pewnie udał, raptem przyjechawszy, zaraz mu rzecz całą inaczej wystawił; jak dziad na wszystkie prośby córki i wnuczki odpowiadał widokami memi na przyszłość moją, młodością moją, z której się miał wywinąć kiedyś mąż wielki; a nakoniec podbudzony przez zięcia wyrzekł niecofnione „tak chcę, i tak być musi!“ Starcze nie chciałbyś, by ci córka umarła, a przecież nie stało się gwołi twojej; chciałeś rozerwać dwa młode serca, i stało się jak chciałeś!... Dziwne losu zrządzenie!...

Długo żegnaliśmy się słowy, płaczem, ściśnieniem ręki; my, cośmy się w wiosnie naszego życia, w wiosnie roku witali i pokochali, żegnaliśmy się teraz, skołatani burzą losu, otoczeni burzą jesieni!

VIII.

Chodząc u siebie po pokoju, czekałem dnia, bo spać nie mogłem. Przeżyłem w samotnem marzeniu, całe raz już przeżyte życie, przeżyłem w samotnem dumaniu całą przyszłość moją; a wszystkie myśli i uczucia kręciły się około miłości, która z całą władzą serce moje opanowała; w ciasne ramy chwil kilku mieściłem wszystkie obrazy, stanowiska, pomysły, domniemywania i plany. Nagle iskierką zatliła w głębi duszy myśl nowa, płomieniem ogarnęła mnie w mgnieniu oka... Od dziada wszystko zależy!... lekarz, którego moralnej władzy doznałem nieraz, leczy go, ma wielki wpływ... tak, on może wszystko przerobić, jeżeli zechce, a zechce pewnie, bo mi wyraźnie sprzyja, mnie jednemu z całego domu dawał ciągłe dowody swojej przychylności, przyjaźni nawet; i cóż mu to może szkodzić pomódz mnie!... Nadzieja zatętniała mocniejszym biciem serca!... O! ta nadzieja, jest to fałszywy ognek, co się wędrowcowi pokazuje; przy ostatniem nawet pomazaniu wisi jeszcze nad umierającym!... Mało jeszcze uczony w szkole doświadczenia nie byłem się pozbył jeszcze tej poetycznej błyskotki; polecałem do lekarza.

Po raz pierwszy szedłem do jego pomieszkania, a taką tajemnicą otoczone było życie jego, że nie bez dreszczu szedłem. Nie spodziewanie zastałem drzwi w pół otwarte. Wszedłem; pierwszy wzrok poświęcony był dawno tłumionej ciekawości. Na stole zarzuconej papierami stały obok siebie alabastrowa lampa rzadkiego kształtu, i trupia głowa niepospolitej wielkości; przy łóżku mnóstwo broni różnego rodzaju, różnych wieków, i kilkanaście buteleczek bardzo drobnych, pełnych płynu różnobarwnego; w jednym kącie stało mnóstwo ksiąg, w drugim, narzędzia do przyrządzeń chemicznych służące. Sam pan Szmitian stał obrócony twarzą do okna; zatrzymałem się chwilę, i nigdy tak piękną nie wydała mi się ta postać, jak teraz kiedy twarzy brzydkiej nie widziałem. Zbliżyłem się; twarzą spo-

glądał w okno, jakby się przypatrywał burzy huczącej na dworze; a uśmiech jego jak zawsze szyderski, zdawał się być naigrawaniem spokojnego człowieka ze wzburzonej natury. Obrócił się do mnie bez żadnego zadziwienia, i nieruchome utkwil we mnie oczy.

— Czekałem cię! — powiedział i zamilkł.

Przyzwyczajony, że zawsze prawie najskrytsze myśli moje zgadywał, ośmieliłem się na to powiedzenie, i słowa wymownemi, nadzieją i miłością, przedstawiałem mu prośbę moja...

Milczał ciągle, ciężkim tylko wzrokiem swoim cisnął głowę i serce moje, uśmiech złośliwie szatański przeleciał łyskawicą przez twarz; oczy zalsniały, i jak pochodnie, jak strzały paliły i raniły mnie: zakrzyczał nareszcie do mnie głosem donośnym; prawdziwie zakrzyczał, bo każde słowo, każda zgłoska pełnym głosem wylana, dzwoniła po całym pokoju, a głos chociaż zawsze harmonijny, był tak różny od zwyczajnego, jak huk fali wzburzonych od mruczenia strumyka, a każde słowo piorunem mnie raziło, a każda pauza była długa i okropna, ciężąca nademną jak suchy wiatr puszczy w pośród burzy.

— Ja? ja mam być sprężyną twoich intryg miłośnych, i czyżes mnie dotąd nie poznał?... Ja, który dawne życie ciała, życie pyłu rzuciłem za siebie; ja, który w piersi zagrzebałem, lawą zalałem, popiołem zasypałem wszystko, co było ziemskim i ludzkim; ja mam być teatralnym powiernikiem, węzłem pięcioaktowej farsy?... I ty, który boisz się mego oka, boisz rudych włosów, boisz twarzy życiem przepalonej, technieniem grobu zbrzydzonej, ty śmiałeś przestąpić progi moje żebraku miłośny!... Jażbym uiszczył własne dzieło?... chciałem rozerwać ten węzeł śmieszny, pasek dziecinny, i zerwałem; moją wolą wprowadzony ten głupi starzec! Co chciałem to zrobiłem, boś ty był mój, ty byłeś moją własnością; koło życia twego weszło w karby moich działań, bo ja chciałem wykuć zdrój ze skały, iskrę z krzemienia!... krzesałem miękkie drzewo!... Chciałem z niemowlęcych pieluch ciała, ducha ożywić, wskrzesić!... Jam cię elektryzował widokiem nowego świata, i nowych obrazów; jam cuda całego świata w galwaniczne układał kolumny, by cię poruszyć; jam ciebie magnetyzował okiem mojem, nauką moją, tajemnicą moją, bo chciałem młode życie wcielić w lata moje, aby to co może kiedyś światu wiecznotrwałem słońcem z łona grobów zaświecić nie zastygło w starej krwi, w pół drogi nie urwało się!... Tyś był moim, bo ci natura dała życie robaka; jam cię przetwarzał na życie ducha. Odrzucasz!... idź więc i pełzaj! jedno złudzenie więcej na drodze żywota mego!... Dąb silny, wiekowych burz świadek, nie zegnę się łatwo!... Idź trzcino! przeniosłeś kobietę, jabłko zgnitego morza! jedz więc popiół!... poznasz kobiety! zdradzony, zdradzać będziesz!... Bez siły, bez sternika, bez nauki wyższej, bez kompasu, burzą namietności z żagłów odarty statek pływać będziesz po morzu mierności!... ani słońcem w dzień, ani gwiazdą w nocy nie zaświecisz! ani aniołem w niebie, ani szatanem w piekle! A karą twoją będą żądze wielkie przy małych zdolnościach; okiem tęsknem rzucać będziesz w świat daleki, piękny i czarujący, ale nogą ciężką nie zmierzysz tych przestrzeni niezmiernych!...

Niski, pełzający, znudzony, przemarzysz i przetestniesz życie, przedumasz myśl samobójstwa; duch nijaki przeblądzisz cały wiek nad granicznym piekła potokiem!... ale śmierć piorun nie dotknie ciebie, bo piorun wyższe łamie głowy; robaki giną naturalnym rozbiorem części chemicznych... Idź!... skrzyżowały się drogi nasze, i bodaj się nigdy nie zdybały; a jeżeli! jeżeli się zdybia!... ty wroga zdybiesz!...

Długo szumiały mi w uszach słowa lekarza, głos jego grzmiał w powietrzu, oczy jego paliły mnie, chociaż dawno już siedziałem u siebie, cierpiąc ból głowy nieznośny i trawiony palącą gorączką... Młody wytrzymałem!... i w godzin kilka za murowaną bramą dworu, dwoma ulicami przeciwległemi, oddalały się dwa powozy!...

IX.

Wróciłem do stołecznego miasta, do poważnego domu surowego stryja. Długo jeszcze bladłem nad starymi książkami; ale próżne były usiłowania moje; nie tak łatwo przebrzmiały słowa lekarza, jego rozmowy, i obrazy wyczarowane z łona mego; miłość zaś do Marji przeżyła i nauki, i pierwszą życia wiosnę. Z cichych nauk w szalone rzucałem się zabawy, ale czy w samotności, czy w ruchu, nie mogłem przegiąć skrzydeł moich w jeden kierunek zagiętych... ciągle kochałem, marzyłem i żądałem...

Zgadł lekarz!... we dwa lata po tych zdarzeniach przychodzi do mnie przystojny człowiek, i przynosi list!... List to był od Marji pierwszy, chociaż ja tomy całe pisałem; ściskam go, całuję, otwieram... Mnóstwo słów, rzeczy mało; ojciec żąda i nakazuje, aby szła za mąż; pamiętna na przysięgę prosi mnie o radę, i dla tego posyła list ten przez swego narzeczonego. Piękna miłość, piękna logika!... Siadłem, odpisałem i pozwoliłem!... Zmieniła się, bo się wszystko zmienia, chwila do chwili niepodobna, liść do liścia niepodobny, dobrze mówił lekarz; a mówił to w ulicy lipowej!.. Tak się skończył mój epizod miłośny! Żem kochał, do śmierci kochał, byłoby śmiesznością powiedzieć; bo kto zna serce ludzkie, łatwo uwierzy, że ten epizod wpłynął na całe życie moje. Myśli moje wielkie przemarzyłem bez skutku; uczucia moje ponikły iskrami bez płomienia! Lekarz zgadł, a dziad pocziwy omylił się!... Widoki spelzły na niczem; a ja mimo nauk i talentów próżnemi żądzami wylatuję na świat, tęsknię za tem, co tam gdzieś daleko, za mgłą marzeń moich!...

Przeżyłem i przetrwałem; a przecież bez rozrzewnienia nie mogę przypomnieć sobie scen mojej wiosny!... Ciotka pocziwa i kochana; ulica moja lipowa, i Marja nie rzeczywistości, ale Marja wyobraźni mojej; pamiątki drogie!... wy gwiazdy mojego zarania!... rozczulonem was zawsze śledzę okiem po zasepionem niebie życia mego!... i choć chmury czarne okoliły mnie, widzę was sercem duszą!...

Nieki potwarzy, zmięzoły, przemarzały i przetręskany żyć, prze-
 gnasz nęci samobójstwa; duch nijski paxepłdix cały wiek nad
 granicznymi piekła potokami... ale samotne pionem nie dotkniesz siebie.
 do pionem wyzaxe tamże słowy; robaki gnuj naktakulym rozpiorem
 ekspozicjonizym... Ila... skrzyżowały się drogi naxa i bołaj się
 nigdy nie xdybaly; a kszelil jexeli się xdybia... ty wroga xdybiesz...
 Długo xamniał mi w nazach słowa lekarska, głos jego xstuniał
 w powietrzu, ocozy jego pacilly minie, eboisiz dawno już siedziałem
 a niebo eierpine bol głowy niekocny i trawiony był... gongolki...
 Długo wyxymniałem... i w kobain kiba za mowowam iowm dlowm
 hucna uliana paxewidziem, ebołaly się dusz powozy...

IX

Wzrostem do stożecznego nijsia, do powłazego domu sniowego
 szła długo jexaxa bladym nad słatami kajakami; ale prowe
 były niłowania nęci; nie tak łatwo paxepłdixialy słowa lekarska.
 lewo roznowy i obaxzy wyxawiane x baba nęcy; niłose xas do
 Maltji paxexyla i nanki i pierwaxyl xycia wiozno. Z nęciw nank
 w xaxone xamniał się xaxax, nie cny w samoności, cny w tu ha.
 nie montem paxentim ektaxelil moim w bolim kienimk naxętyla...
 xaxę kabalim naxętyla i ebalim...

Xaxę lekarski... we dwa lata po tocz xaxepłdixial paxętyla
 do nęci paxętyla xowiel i paxętyla był... Ista to był od Maltji
 paxętyla eboisiz ja tam cny paxentim; eboim do cny eboisiz...
 Maltjow słow, xaxętyla; eboisiz xaxętyla i nęciw nank xaxętyla
 paxentim na paxętyla paxętyla o nęci, i dla tego paxętyla był ten
 eboisiz xaxętyla paxentim, Ista nęciw nęciw paxętyla...
 eboisiz i paxentim... Xaxentim się do cny xaxętyla xaxentim.
 eboisiz do cny paxentim, use do cny paxentim, eboisiz moim
 lekarski; a moim to w nęci paxętyla... Tak się eboisiz moim eboisiz
 nęciw... Xaxętyla do eboisiz lekarski, eboisiz eboisiz paxętyla
 eboisiz; do cny xaxętyla paxętyla paxętyla; xaxętyla eboisiz paxętyla
 do cny paxętyla. Xaxętyla nęciw nęciw paxentim paxętyla
 eboisiz moim nęciw nęciw paxentim. Ista xaxętyla, a dla
 paxentim moim nęciw nęciw... W doli eboisiz na nęciw; a ja nęciw nęciw
 i paxentim paxentim eboisiz eboisiz na nęciw, eboisiz xaxętyla
 eboisiz eboisiz xaxętyla xaxętyla nęciw nęciw...

Paxentim i paxentim; a paxentim paxentim paxentim nęciw
 nęciw paxentim; eboisiz eboisiz paxentim. Długo paxentim i po-
 cny; eboisiz moim nęciw nęciw i dla nęciw nęciw, eboisiz
 eboisiz nęciw; paxentim paxentim... eboisiz paxentim paxentim...
 paxentim nęciw nęciw eboisiz eboisiz paxentim paxentim nęciw nęciw
 eboisiz i eboisiz eboisiz eboisiz nęciw, eboisiz paxentim
 eboisiz...

STŁUCZONE OKNO.

(Pierw. wyd. 1844 r.)

I.

Przy pręgiertzu.

Roku 18... dnia nie pomnę którego, wiem tylko, że był to dzień wiosenny, jeden z tych dni kwietniowych, który jak zgrabna zalotnica, co chwila odmienna, to wesołem spojrzeniem rozkosz objękuje, to znowu zasepionym i mglistym wzrokiem swoim, najbujniejsze niszczy nadzieje; w taki dzień napół promienny, napół posępny, o godzinie dziesiątej z rana, ciekawe tłumy miejskich próżniaków ściągają się z różnych ulic do rynku stołecznego. Jakkolwiek w tej chwili wiosenne świeciło słońce, nie chęćto przechadzki zdaje się wszystkich pociągać; miarkując po przyspieszonych krokach, po oczach z ciekawością w jedno miejsce zwracanych, inny ich tam wiedzie powód, zajmując wszystkie umysły. Nie trudno w mieście o wzbudzenie gotowej zawsze ciekawości, która z równym zapalem biegnie na smutne czy wesołe widowisko: czy warto, czy nie warto, wszyscy biegną, byle czem nowem zająć oczy do ciągłego patrzenia wzwyczajone, rozmaitością przedmiotów nasuwających się w mieście codzien co godzina; dla próżniaczej gawiedzi równie zajmującym jest najpyszniejszy przegląd wojskowy, jak i najobrzydliwsze konanie przejechanego psa... Tą razą zdaje się, że powód zbiegowiska nie jest jeszcze, a przynajmniej nie wszystkim jest znany, bo jużciż naróżna fontanna, wkoło której najwięcej jest ludzi, nie ma w sobie nic ciekawszego dzisiaj, czegoby wczoraj nie miała, a gwar złożony z tysięcznych krzyżujących się pytań i odpowiedzi, ruchy niespokojne i oglądania ciągle dowodzą, że się tu odbywa najciekawsza część każdego widowiska miejskiego, a tą jest obfite w domysły oczekiwanie. W takich razach nie brakuje na opowiadaczach miejskich, którzyto najlepiej wiedzą przyczyny, istotę i wynikiłości każdego objawiającego się zdarzenia; niepłatne cycerony sypią przed ciekawemi cały skarb swoich wszechstronnych wiadomości; najkapryśniejszy domysł przytomnych ma gotową u nich odpowiedź, a razem zaród nowych domniemywań, bo

choć prawią wiele, ale w ich opowiadaniach więcej jest przedmowy zaostrzającej ciekawości, aniżeli zaspakajającego dzieła; a tyle mieszają rozlicznych epizodów, iż prawdziwie posadzić ich się chce o namyślną czy mimowolną współkę z ciekawemi tajemnic kieszeniowych, których każdy taki zbiór ludu mieści zawsze w swoim łonie. Coraz więcej ciekawych przybywa, i chociaż żaden z nich nie wie o co rzecz idzie, jeden goni za drugim, bo w tem jednym kredyt gawiedzi miejskiej jest nieograniczony; ciekawość tylko bankructwami najpiękniejszych nadziei niezrażona ma zawsze swoje oko i nogi gotowe, byle nie serce, bo te ciekawy czy w domu zostawia, czyli ma przytępione ciągłą zmianą rozmaitych widoków, nie wiem, ale to pewna, że nadaremnie uderzają w nie najsmutniejsze i najweselsze sceny. Ciekawość miejska jestto rodzaj rzemiosła, to też ciekawy z profesji, czuły w domu ojciec, mąż, przyjaciel, jest na ulicy tak obojętny jak lekarz przy łożu śmiertelnem swojego pacjenta; jak lekarza choroba obchodzi tylko symptomami zewnątrznie, tak ciekawy z profesji widzi tylko w każdym zdarzeniu powierzchowne onego znamiona, które je robią mniej lub więcej ciekawem: jednym słowem ciało zdarzenia jest dla ciekawego z profesji, dusza zaś zdarzenia jest mu póty obojętna, póki przyszedłszy do domu nie opowie mu jej jaki dobry przyjaciel, lub nie wyczyta z kolumny dziennika jakiego; wówczas gotów nawet zapłakać nad martwym oddaniem tego, co widział żywym przed sobą.

Najdobitniej okazała się ta obojętność, gdy nagle z końca ulicy pojawił się prowadzony przez straż miejską mężczyzna jakiś w grubej więziennej sukmanie; rozstąpiły się milczące tłumy, a więzień chwiejącym krokiem stanął na przygotowane rusztowanie, na którym wznosząc się po nad głowy ciekawych stał się celem wszystkich spojrzeń. Tablica na piersi więźnia zawieszona zimno odpowiedziała ciekawości zimnej. „Falszywe świadectwo”. Długo trwało zanim zgromadzeni wyczytali zupełnie tę krótką odpowiedź na ich długie oczekiwanie i obszerną ciekawość, jakby z każdej zgłoski miało się im coś nowego objawić; dłużej trwało jeszcze, zanim wysylabizowali pismo cierpien zwyczajnych wypisane na twarzy więźnia stojącego pod przegierzem...

Rozłamały się tłumy w mniejsze grona znajomych, którzy się zdybali, i nieznanym żądnych pogadanki; jakoż wszczynają się różnorodne rozmowy towarzyszone spojrzeciami na więźnia rzucanemi, z których podług własnych usposobień wyrabiają wyobrażenia o nim, jego przestępstwie i karze. Gdyby można jednym rzutem oka przebiec na raz wszystkie twarze zebrane, dowiedzielibyśmy się z niemalem zadziwieniem jak bogatą jest w odcienia, tak mało na pozór wyrazista obojętność ciekawych z profesji; a wszystkie razem trącają tak mocno o śmieszność, że patrzący na nich z góry więzień, gdyby zdołał inne tajemniejsze odrzucić na bok myśli i uczucia, mógłby zasłużeńszym odpowiedzieć szyderstwem na szyderstwo jakie rozbiega po całym zgromadzeniu, towarzyszone komentarzami o jego postawie: on by mógł być widzem ciekawszym daleko pocieszniejszego widowiska.

— Bo uważa pani, szło o grubą sumę; podskrobał jedno na-

zwisko, drugie zfałszował — gadał niski jegomość w tabaczkowy surdut tonący, a głowę zadzierał do góry w silnem przekonaniu, że równego z drugimi jest wzrostu.

— Jakto? proszę pana — odpowiedziała chuda i wysoka jejmość w czepku kwiatami więcej upstrzonym, niżeli stara twarz zmarszczkami — cóż on fałszował; ja słyszałam, że tylko banknoty fałszują...

— To on banknoty fałszował? — zapytał otyły jegomość, który z godną połowicą równej otyłości ledwie się dopchał na to nieco wolniejsze miejsce.

— Uważasz Leopold, jak się to trzeba strzedz; dobrze pan Piłka mówił wczoraj, że ta piątka, którą ów jegomość ospowaty w czamarcie dawał za kawę była fałszywa... O bo pan Piłka doświadczony człowiek.

— Ta piątka była prawdziwa, a pan Piłka niech swego nosa pilnuje.

— Nie bzdurzyłybyś przynajmniej między ludźmi... oj! gdyby nie p. Piłka, nie wiem, co byś ty robił...

— Ja! jak ja, ale ty?...

— Cicho! cicho! już się rozgadał; wolisz patrzeć na tego kryminalistę.

— Owa! czy ja to już jednego widział...

— A i pani Fusowa tu...

— Ale że pani Cykorja wyszła przecie...

— Ot ten głupi Leopold wyprowadził mnie tutaj... ale że pana Piłki niema jeszcze, on by to nam opowiedział najlepiej...

— Niema co opowiadać!... fałszował banknoty, i koniec!...

— Ale nie banknoty!...

— Otoż macie, dowiedz że się tu czego!.. żeby już pan Piłka przyszedł raz.

— A jaki niepokażny.

— A jaki chudy! jak szczepa — dodała tłusta Cykorja, zwrócona ku chudej Fusowej.

— Widziałam ja i tłustych jak się wypiekali na pręgieryzu — odrzekła chuda Fusowa, zwrócona do tłustej Cykorji.

— Otóż i pan Piłka! — Nadeszły w tej chwili pan Piłka był podobniejszy do pilnika, tak nędznie połamano wyglądał ze starego wytartego surduta sieraczkowego, ale za to miną, ruchem skaczącym, głosem natężonym poprawiał wady swojej powierzchowności.

— Powiedz nam pan, co to za jeden?...

— Bo pani Cykorja powiada, że go pan zna.

— Jabym miał znać takiego urwisza, draba!... ach niech mnie pan Bóg strzeże od tego.

— Już to prawda wygląda jak prawdziwy kryminalista; taki wymokły, nędzny, kościsty! nie prawdaż pani Fusowa?...

— Tajemne tylko grzechy tuczą człowieka, nieprawdaż pani Cykorjo?...

— Cóż on fałszował przecie? — przerwał ciekawy pan Cykorja...

— Cessję zfałszował! mówiłem już to pani Fusowej.

— Cessię! Cessję! proszę kogo! o to lotr!... ależ panie Piłko, co to jest cessja?...

— Nie cessję, nie banknoty; ja to państwu co do słoweczka opowiem; trzeba wiedzieć...

— Patrz Leopold, jak on tu spogląda...

— Ale proszę nie przerywać... trzeba wiedzieć, że on był dawniej służącym u adwokata...

— Ha! ha! — zaśiniało się głośno wysokie jakieś panisko stare chude, mocnymi rysami twarzy i kościstymi członkami odznaczone, a z laską i parasolem w rękę prawdziwie na dzień kwietniowy wybrany; zwyczajną swoją odbywając przechadzkę po rynku, stanął na przeciw pręgierza. — U adwokata — mruknął — nie koniecznie... znajoma mi gdzieś ta twarz...

— Proszę pana dobrodzieja — zwróciła się Cykorja do niego — ależ pan Piłko powiada...

— To sobie wacani wierz panu Piłce...

— Wacani! wacani! — zapyrzyła się Cykorja, aż chustką pot obcierać musiała z tłustej, obwisłej a karmazynowej twarzy. Parasolowy jegomość poszedł dalej, należał bowiem nie do ciekawych z profesji, ale z przypadku.

— Nie przeszkadzajcie państwo! ja opowiem co do słoweczka, trzeba wiedzieć, że gdy był służącym u adwokata, razu jednego ten adwokat...

— O! o! czegoś niby szuka pomiędzy ludźmi.

— Ależ nie przerywajcie!...

— Kiedyż tak okropnie wyszczerzył oczy aż mnie strach przeje muje... panie Piłko! czy mocne ma on łańcuchy?

— Co też pani boi się takiego chrząszcza... słuchajcie raz...

— Nie! nie! ja do domu pójdę, bo on strasznie patrzy; djabeł nie spi, może tam kiedy człowieka znał, i nuż się przyzna...

— A jak dziko z pod łba spogląda! założyłbym się, że musiał kogo zabić...

— Okradł, to więcej jakby zabił, prawdziwych sukcesorów fałszywym testamentem...

— Ten testament patrzy mu z oczów, jabym z nim nie spała razem w jednym pokoju. — W rzeczy zaś samej twarz więźnia i spojżenia jego nie były tak odrażające, jakimi je widziała ciekawość popółstwa. Był to człowiek już nie młody, zmarszczki pokrywały twarz, której ogólnym wyrazem było cierpienie, co wprzód w czasach wolności i swobody było na tej twarzy poznać niepodobna; ale ani w niej, ani w oczach nie widać żadnego mocno odbitego wyrazu, jakim bywają napiętnowane twarze wielkich zbrodniarzy; ani pomieszania, ani bezwstydnego zakamieniałości; gdyby nie otaczające go inne oznaki, możnaby go wziąć za dobrego i prostodusznego staruszka oddanego smutnemu zadumaniu. Czasem tylko wyraz silniejszy jakby kurczem natężenia przebiegnie przez twarz, oczy zamarte ożywią się łzą. Łza w oczach zbrodniarza nie wzbudzi litości w zgromadzonym tłumie, bo wszyscy widzowie przedewszystkiem są ściśle moralne

członki towarzystwa, z którego zbrodniarz prawem osądzony na zawsze wykluczony.

— Patrz jak ten łotr płacze!.. bo mu się nie udało!.. Złapali ptaszka! — takie i tym podobne sprawiedliwe może, ale wszelkiego pozbawione miłosierdzia słowa przebiegały zgromadzenie, i może doszły choć w części uszu więźnia, bo łaza ledwie zaświeciła już i zgasła; oczy lekkim ruchem wzniosły się ku niebu wy pogodzonemu, usta się otwały jakby coś przemówić chciały; a gdy po chwili spuścił oczy i spojrzał niemi po zgromadzeniu, prawdziwie najszlachetniejszą ze wszystkich wydała się twarz więźnia na przęgierzu. Oddaniem się losowi swemu uspokoje spojrzenia przesuwiał po przytomnych tak uprzejmie, jakby dziękował, że go odwidzili po raz ostatni, jakby im z serca przebaczał te zelżywe ich słowa, i zelżywsze jeszcze twarz wyrazy. A może i szukał kogo w tłumie, bo czasem dalej po za koło zgromadzone puszczał oczy w głąb ulicy naprzeciw której stał; ale darmo szukać się zdaje, oko zwraca się nazad, i dłużej już wzniesione ku górze pozostaje: tam łatwiej przyjdzie więźniowi znaleźć, tę co to szuka pociechy.

Z przeciwnej ulicy szedł mężczyzna jakiś posuwistym krokiem, jakby mu pilno było; zbliżywszy się do rogu ulicy stanął, wahał się przez chwilę, lecz wnet posunął ku zgromadzeniu. Twarz i postawa godnie odpowiadają całemu jego ułożeniu niedbałemu i obojętnemu; zawiesiste a szeroko rozrzucone wąsy idą w parze z tym krokiem, tak zuchwale zamaszystym, jakby na zwojowanie całego szedł świata; oczy na wierzchu osadzone śmiało poglądną na wszystkie strony; jeżeli się można tak wyrazić, są one wymowne brakiem wszelkiego odrębnego wyrazu; ni tam dowcipu, ni też głupoty; żadne żywsze ludzkie uczucie nie musiało przez nie poglądnąć; wszystkie te odcienia jakich wzrok nasz przez ciąg życia nabywa, i które właściwie stanowią najwyrazistszą barwę moralną oka, wszystkie pochłonał w nim wyraz niedbającej o nic, nieczulej i czułości niewymagającej obojętności... Czoło wyniosłe widać z pod kapelusza na bakier zwieszono, ale trudno zawyrokować czy nie więcej jest wytarte bezwstydem, niżeli długi bajowy surdut przenoszeniem; twarz nawet, której zarysów pięknych odmówić nie podobna, pokryta jest barwą śniadą, a tak świecąca, jakby była powleczona pokostem bezwstydu, mającym ją bronić od natarczywości wszelkich wzruszeń. Była to twarz miedziana w całym tego słowa znaczeniu. Ruchy przytem wszystkie pewne siebie, niepodległe ani zwyczajom ani modzie, stąpienie dobitne, wielka, gruba i sękowata laska, którą wywijał w koło siebie, uzupełniały całość tego nowego przybysza nadto oryginalną, by mogła się wydać śmieszna. Wiek jego istotny trudno odgadnąć, tyle tylko na pierwszy rzut oka powiedzieć można, że nie stary jeszcze, choć mimowolnie nasuwa się myśl, że mnogich, długich i ciężkich doświadczeń wynikłością być musiało to usposobienie rozlane w całej jego postawie. Zbliżył się do grona otaczającego panią Cykorję; znać znał wszystkich, kiwnieniem bowiem laski protekcyjnalnym prawie pozdrowił ich, a przywitał uśmiechem sztydzącym ze wszystkiego i niedbającym o nikogo.

— Piękna pani Cykorja tutaj; i pan Piłka oczywiście, a w domu rozgardijaszył..

— Kto taki? — zapytał pan Leopold.

— Kawy, likworów żądają goście bez końca, a Hanusia szczerzy ząbki do młodego praktykanta.

— Widzisz Leopold! zawsze mnie namówisz do jakiegoś głupstwa... i coż tu tak ciekawego? jakiś mizerak, niema się patrzeć na kogo. — Spojrzał się nań nowo przybyły z uwagą...

— Przez tego łotra będę miała w domu ubytek...

— Nie mów pani tak o nim! — szepnęła Piłka.

— I któż mi zabroni nazwać każdego po jego nazwisku?...

— Ale bo ten!.. o ten! — i wskazał okiem wąsacza.

— Cóż ten? — zapytała Cykorja z iskrzącymi od ciekawości oczyma...

— W domu pani opowiem.. oni się znają — i ruchem oczu wieleznaczącym, zwróconym kolejnie na więźnia i pana w bajowym surducie, dopowiedział reszty.

— Pan Szumiło?... czy być może?...

— Cyt! cyt! patrzy tu! — Przez ten czas pan Szumiło nie spuszczał oka z więźnia, wpatrywał się weni z uwagą niezwykłą przy tak zimnem usposobieniu.

— No! Leopold! chodźmy do domu!.. znów ten kryminalista spojrzął ku nam; złemi oczyma gotów odpędzić gości naszych.

— Byle kawa była dobra, a tańsza! — zaśmiał się pan Szumiło.

Więzień z jednostajną cierpliwością znosił przykrość położenia swego, i te wszystkie ócz wejrzenia, i wszystkie ust uwagi, które pluły na niego obelgi i przekleństwa; ciągle to w górę podnosił oczy, to śledził niemi po całym zgromadzeniu; nagle utkwiał je w jedno miejsce, twarz jego zajaśniała wyrazem błogiej pociechy, usta jego poruszyły się, jakby mówić chciały, rodzaj nawet uśmiechu rozpromienił blade lica.

— On patrzy! tu gdzieś! na kogoś! — zaczęli mówić między sobą zgrozą przejęci, że jakiś zbrodniarza znajomy znajduje się między nimi...

— A co? nie mówiłem drogiej pani! — szeptał Piłka.

— Ktoby się spodziewał tego po nim, udaje panicza; muszę też zajrzeć do mojej książki, jak też on tam stoi zapisany.

Pan Szumiło zdybał się ze spojrzzeniami więźnia, i patrzył mu czas jakiś oko w oko; oczy więźnia coraz czulej i tkliwiej patrząc, zdawały się mówić najwymowniejszym językiem jaki natura dała człowiekowi. Pan Szumiło został niepuroszony jak głaz; zrozumieli to wejrzenie czy nie, któż odgadnie z twarzy, do której ostatni uśmiech złośliwy przyłgnał jakby przez zapomnienie: lecz gdy się oczy przytomnych zaczęły zwracać na niego, obrócił się nagle jakby syt widoku, po który przyszedł, i zwyczajnym idąc krokiem, rozpychał skupione tłumy.

Gdy się to działo, koło rusztowania przybyło dwóch nowych widzów niepostrzeżonych. W oknach pierwszopiatrowych dwóch domów narożnych zjawily się dwie postacie, które przypadek zapewne

tam przyprowadził, bo zwykle pierwszopiątrowa arystokracja ciekawość swoją na ważniejsze zachowuje przedmioty. W jednym oknie narożnym stał mężczyzna, w drugim kobieta; oboje nie młodzi; na obydwóch twarzach, jakkolwiek różnych od siebie, bo mężczyzna jest mocno chudy, a kobieta mocno otyła, jednakowy prawie jest wyraz zimnej zobojętniałości; jest to najrodzinniejsze podobieństwo nabyte życiem zużytem i przesyconem, które stośownie do różnych usposobień fizycznych, jednego na żółtą mumię wysuszyło, a drugę wydeło w tę fałszywą nalaną i chorowitą otyłość. Jedną zapewne myślą poruszeni, stanęli w oknach otwartych, by może wiośnianem odetchnąć powietrzem, bezmyślnie z początku patrzyli ku zgromadzeniu zebranemu, gdy nagle z większą zaczęli się przypatrywać uwagą więźniowi, którego twarz słońcem oświeconą dostrzedz mogli wyraźnie. Wpatrują się coraz żywiej, i twarz wyschła i twarz nadęta ożywiają się pomalu ciemnem jakimś przypomnieniem, które powoli wysuwa się z łona przeszłości. Jakby namówieni cofnęli się od okna w chęci odejścia; ale siłą wyższą nad chęć zatrzymuje; nie mogą spuścić oka z biednego coraz więcej zmęczonego więźnia. W tej chwili więzień rzucając za odchodzącym panem Szumiłą ostatnie spojrzenie, w którym coraz smutniejsze i tęskniejsze odbijały się uczucia, dostrzegł patrzących przez okno; wyraz inny wystąpił na twarz jego, oczy wybiegły na wierzch, blada twarz pokryła się rumieńcem jaskrawym; zadrżał, rękę chciał podnieść ale tylko łańcuchy zadzwoniły. Na ten dźwięk zadrżeli widzowie, ale jakby czarem przykuci oderwać się nie mogą od okna, i patrzą oczami szeroko rozwartemi w biednego więźnia. Zdybały się ich oczy ze wzrokiem więźnia, a idąc za biegającym jego okiem, spojrzeli po sobie. Jak błyskawica przebiegł wyraz okropny wzajemnego poznania się przez trzy twarze; zadziwieniem i przestraczem skurczył twarze widzów, zgrozą i boleścią twarz więźnia. Krótka była to chwila, okropna zapewne jeżeli się znali... salon z pręgięrzem!... Pierwszy opamiętał się mężczyzna suchy; ręką drżącą czy od starości czy od wewnętrznego poruszenia pociągnął okno ku sobie, by je zamknąć, ale niezgrabnem pociągnięciem przyciśniona szyba pękła z łoskotem. Na ten odgłos stłuczonej szyby niedosłyszany prawie w gwarze napełniającym rynek, idący zamaszystym krokiem pan Szumiło podniósł oczy, a choć wszystko jedną tylko chwilę trwało, dostrzegł te trzy wyrazy na trzech twarzach, wzajemnego poznania się, przestraczu i zgrozy; musiały też być okropne, kiedy zatrzymał się Szumiło wpół kroku, wyraz jakiś dziwnie ciekawy wybiegł na miedzianą twarz, i z niezwykłym sobie zajęciem wpatrywał się w mężczyznę, którego dłużej mógł widzieć. Zuchwałym wzrokiem swoim oglądał twarz chuda, jakby chciał ją na zawsze w pamięci zachować; najdłużej wpatrywał się w dawną jakąś czy bliźnę czy zamię nad lewem okiem mężczyzny w oknie.

Znikły postacie obie, wszystko pozostało jak dawniej na rynku. Pan Szumiło idąc wolniejszym krokiem, potracił nie jednego znajomego, z niemałym zadziwieniem patrzących na tego ze swej wesołości i małobania o wszystko znanego oczajduszę. Ciekawi rozchodzili się pomalu niezadowoleni jak zwykle z widowiska, które ich oczę-

kiwaniu nie odpowiedziało należycie. Najdłużej pozostał biedny więzień; długo jeszcze spoglądał z wycisniętem na twarzy poruszeniem głębokiem w próżne okna, aż nareszcie pobladał jak dawniej i jak pierwwej wzniosły się oczy jego ku niebu z wyrazem szczerzego oddania się Bogu. Więzień modlił się na przegierzu!...

II.

W kawiarni.

Na jednej z głównych ulic stolicy była kawiarnia, która się nie zalecała ani wymyślną wystawnością szyldu, ani wytwornością wewnętrznego przystrojenia, ani też doborem rozdawanych w niej trunków; jedyną i odrębną jej cechą była ciasnota niezwykła w takim miejscu: była to kawiarnia w dwunastówce, a przecież cicho, skromnie i spokojnie przebyła ona nie jeden rok, przetrwała nie jedną burzę finansową, niszczącą tyle wytworniejszych od niej kawiarni. Licznych gości nie miewała, i gdzieżby ich pomieścić mogła? jakoż możnaby tę kawiarnię nazwać familijną, tak nielicznie i niezmiennie jedno bywało grono bawiących się w niej gości; wszyscy spokrewnieni z gospodarstwem i między sobą, przez te długich lat przebyte razem koleje, przez tę ścisłą znajomość wszystkich swoich zalet, wad i narowów. Jeżeli kiedy, co się przecie trafiało w poobiedniej porze, zjawił się jakiś nowy przybysz czarnej kawy żądający, oglądali go gospodarstwo z nieufnością; jeżeli powtórzył odwiedziny, przypatrywali mu się uważniej w tysiącne wikłając pytania: i długo trwało zanim mógł być przyjęty do rodzinnego grona, na którego czele stali państwo Cykorja i pan Piłka, najpoufalszy przyjaciel domu. Pan Piłka był najpotrzebniejszą koniecznością domu, gdy bowiem gospodarstwo oddani systematycznemu pasieniu potężnych już swych brzuchoń i podbródków zawieszistych, mało wychodzili z kawiarni, on sprowadzał gości pieniężnych, on znosił miejskie nowinki, a co najważęcej on należał do wszystkich tajemnic budoarowych i budżetowych samej pani Cykorji, ukrywanych starannie przed mężem. Trzeba bowiem wiedzieć, że chociaż do zarządu kawiarniowego należały wspólnie te trzy osoby, pani Cykorja zajmowała pierwsze miejsce, i miała wotum stanowcze, po niej następował pan Piłka jako władza wykonawcza, pan Ignacy Cykorja wreszcie miał tylko wotum doradcze; był ministrem bez władzy, ale z odpowiedzialnością. Nieraz w nocy gdy przychodziła kolej na panią Cykorję siedzieć w kawiarni przy smutnem świetle dogorywającej lampy na środku pokoiku zawieszonej, i dogorywających węgli na kominku, z jakąś wdzięcznością słuchała wernego Piłkę, który ją w takich razach nie odstępował; zawsze coś miał nowego i ciekawego do opowiadania, a wybierał zwykle przedmioty ze skandalicznej kroniki miejskiej: to była najprzyjemniejsza dla niej rozmowa. Ileż to nocy samotnych zimowych przeszło niepostrzeżonych przy lubej o bliźnich pogadance, bo to

i serce ma się dobre, i lubi się utyskiwać nad zdrożnościami światowemi! Od niejakiego czasu coraz częstsze bywały takie wieczorynki, tylko smutniejsze, albowiem dla przyczyn nie należących do tej powieści, znalazło się w rodzinie kawiarniowej kilku odszczepieńców, którzy przenieśli swoje penaty o parę ulic dalej do pani Herbaty; a w tej usługach tracili swoje zwykle dawniej u pani Cykorji traczone pieniądze rekreacyjne. Był to cios okropny dla Cykorji; darmo Piłka zwijał się, pustował, dowcipkował, nieporuszona Cykorja smutnemi patrzyła oczy na pustą skórzaną kanapę; myśli nad środkami poprawienia zrobionej w budżecie dziury, nawet już Ignacego do rady wzywa; ale ten gderająca żonę odsyła do Piłki. „Piłko radź!“ długo kłopotala mu głowę, aż nareszcie Piłka wpadł na myśl szczęśliwą; i na parę tygodni przed zaczęciem niniejszej powieści pojawiła się nowa kawiarka, którą teraz widzimy za ladą, zastępującą miejsce dawnej, wysłużonej już i wiekowej Pauliny.

Kasia była dziewczyna młoda i tak ładna, że trzeba było zdumiewać się nad kaprysem losu, który ją na takim osadził stanowisku. Ledwie wierzyć można było, by te ciemne, wielkie, a wyraziste oczy sypiące więcej iskier, niżeli wiecznie gorejący komin; ta płeć tak biała, tak delikatna, tak aksamitna, że ją nawet wyziewy fajczane, i dym kominowy poźółcić nie śmiały; ten nosk zgrabnie zadarty po nad ustami pełnemi, małemi, rumianemi jak najczernerwiejsza czerezsznia; ta owalnie zaokrąglona twarz, te dwa dolki pełne śmiechu, żartów i naiwność czy prawdziwej czy zalotnej; czoło białe jak najczystszy marmur żadną żyłką fałszywą niepokalany, ujęte w ramy włosów czarnych, gęstych i świecących od wdzięcznego i gładkiego uczesania; a nadewszystko te dwa łuki brwi czarnych, a tak cienko odznaczonych, iż mimowolnie na ich widok przychodzi na myśl wiersz jakiegoś wschodniego poety:

Pięknie piszesz Małachana!

Jak włos każda zgłoska twoja...

Nic to nic!... o bo brew moja

Jeszcze ciemniej wypisana...

...by to wszystko razem było własnością prostej kawiarki. Tymczasem tak było w istocie; z kąd ją wytropił pan Piłka, tego powiedzieć nie umiem, ale to rzecz pewna, że od pierwszej chwili zajęła piękna Kasia swoje stanowisko z taką pewnością siebie, takim obeznaniem tajemnic kawiarniowych, że się aż radowało serce pani Cykorji. Przytem młoda kawiarka była widocznie przy śmietance życia swego; jakoż myśl pana Piłki szczęśliwa rozpladzała coraz nowe roje much żądnych tej śmietanki, która jedna zdołała smaczniemi uczynić cykorjowe fesy bez końca odgrzewane...

Było to po obiedzie; goście czarnokawowi już odeszli, a herbaciani i śmietankowi byli później spodziewani; piękna kawiarka siedzi przy kominku ze zwieszoną głową; zdawałoby się, że drzymie, tak spokojnie spoczywa jej głowa na ręce, której spracowana białość klóci się z picią twarzy i czoła, gdyby nie rzut oka często zwracany ku drzwiom; a spojrzenie to nie tak wesołe jak zawsze, bo i kawiarka ma myśli, ma serce, a wesołość pozorną dla gości, nieraz w samo-

tności przepłaca gorzkim i głęboko gryzącym żalem. Są tajnie w życiu kawiarki, równie dramatyczne jak w życiu modnej damy spokojnie usadowionej na sofie salonowej; jedna jak i druga, inna w salonie, inna w buduarze; salonem dla kawiarki, salonem rozmownym, roztrzepanym, pełnym słów, śmiechu, spojrzeń i zalotów jest kawiarnia; budoarem rozpamiętywań, oczekiwań, nadziei i marzeń jest samotne krzesło przy kominku.

Na kanapie skórzanej zasiadł rząd kawiarniowy w pełnym komplecie; coś ważnego zająć musiało, nadzwyczajnie bowiem uroczyście wyglądają te trzy twarze ożywione jakąś myślą wewnętrzną. Żywsze ruchy, spojrzenia niecierpliwie zwrócone to ku drzwiom, to ku oknu ulicznemu, koło którego snują się przechodzące postacie jak cienie katarynkowe; wszystko to dowodzi, że się coś wielkiego święci. A trudno odgadnąć, bo nastąpiła chwila milczenia, ledwie przerywana syczącym kipieniem fusów męczonych przy ogniu nieustającym jak dusze potępione w piekle.

— Słuchajże Ignacy! — przerwała milczenie pani Cykorja — jak tylko przyjdzie, zaraz mu z góry zapowiedz!...

— Ja? ja nie myślę, kiedy Piłka piwa nawarzył, niech Piłka go wypije...

— Ależ pan Ignacy jako gospodarz domu...

— Owa! gospodarz, jak wam potrzeba mną się zastawić, a nie gospodarz, gdy mi się zechce jednego garnuszka śmietanki więcej...

— Ej Ignacy! Ignacy! — pogroziła małżonka.

— Nie powiem, i basta!... djabeł nie spi, Piłka Bóg wie gdzie złapał tę wiadomość, może to i bajka...

— Ależ kumie, słyszałem to od pana Zarwickiego, który przecie dependuje u...

— Wierz tylko dependentom, a adwokatom, to dobrze wyjdiesz...

— Więc nie chcesz?...

— Nie chcę... a jak mi odpowie po swojemu, pamiętasz jak odpowiedział przy dominie kupeczykowi od Brega, który mu zadawał, że kamyk jeden schował... miał co nosić przez dwa miesiące na nosie...

— Żal się Boże, żem takiego tchórza za męża obrała; o gdybym była wiedziała, byłbyś sobie całe życie kelnerował.

— Miałem ja wtenczas i pieniędzy i spokoju więcej — a przypomniawszy sobie błogie czasy, nakładał potężną lulkę porcelanową tytoniem z puszki ołowianej.

— Ot! wolałbyś nie wypalać tytoniu dla gości przeznaczonego... a więc kiedy się ten dumny Ignas boi, to ty kochany panie Piłka, jak tylko wejdzie ten Szumiło...

— Ja! ja!... to jakoś nie uchodzi, ja nie gospodarz...

W tej chwili zabłysły znowu oczy Kasi żywiej niż iskry w kominku; z wyrazem pełnym pogardy spojrzała na mówiących, i zamknęła oczy na nowo; drzymie li czy myśli!...

— To wszystko jedno! — ciągnęła zawzięta gospodyni dalej — w naszym imieniu będziesz mówił...

Pokiwał Piłka głową, i po chwili namysłu rzekł:

— Już to z nim niema co żartować: pamiętasz pani tego apte-

karza, jak go potraktował przy preferansie, to dobrze musiał się aptekarz plastrów nanosić...

— Tak! tak! panie Piłka! Tfu!... otoż mam dwóch chłopów; zuchy do gęby i z gęby; a jak przyjdzie co do czego, to gorsi od baby... więc ja baba wam pokażę, że się nie zastraszę zuchwałej miny tego Szumilo, i wytnę mu kapitułę, aż mu w piętach zastygnie... Cożto mój dom taki jak tej rozlanej Fusowej, albo tej cieniokiej Herbaty?... u mnie sama noblesa bywa; a jak się dowiedzą, kto jest ten Szumilo, gotowi się rozgniewać i nie przyjdą więcej: ot ten pan Miodowicz, co tu zawsze dwa razy na tydzień wypija z przyjaciółmi swymi najmniej czterdzieści szklanek ponczu, jakby się broń Boże dowiedział, ani by już zajrzał. Niechno przyjdzie tylko, już ja mu tak natrę uszów, że pewnie nie przyjdzie więcej ten zawadyjaka... O!... fusy wykipią, a ta próżniaczka aż chrapie. — W samej rzeczy ozwał się od kominka przytłumiony głos, ale do westchnienia podobniejszy jak do chrapania. Jeżeli spała, lekki musiał być jej sen, gdyż skoczyła z miejsca swego, i obróciwszy się do kominka, zamarzyła patrząc na żarzące węgle, a kilka razy czarnym fartuszkciem przecierała oczy — zaspane zapewne... — Urwiesz taki! proszę kogo! — mówiła Cykorja dalej — a udaje obywatelskiego syna... zobaczymy, zobaczymy... ale co to znaczy, już czwarta, a jego niema jeszcze...

— Jego kawa czeka dawno! — w pół głośno ozwała się Kasia.

— Nie dawać mu więcej kawy, póki nie zapłaci tego co winien... jużby powinien nadejść... co to znaczy — i niecierpliwie patrzyła to ku oknu, to ku drzwiom...

Pan Szumilo nie przychodził, i przyjść nie mógł, bo się w tej chwili znajdował w więzieniu. Po rannem zdarzeniu chodził pan Szumilo po ulicach miasta zamyślony jak nigdy; kilkakrotnie przeszedł się po rynku opuszczonym przez widzów i przez widowisko, i za każdym spojrzeniem ku stłuczonej szybie w oknie narożnem przychodziły mu na myśl te trzy twarze patrzące na siebie. Wyraz tych twarzy, jakkolwiek mógł być okropny i ciekawy dla badacza tajemnic wewnętrznych, nie byłby ani na chwilę zwrócił jego uwagi, gdyby nie jakieś myśli wewnętrzne, które mu ciągle przedstawiały mężczyznę z blizną nad lewem okiem, jako widzianą już kiedyś postać... lecz gdzie i jak! nie mógł sobie przypomnieć. A potem pan Szumilo był to jeden z tych błędnych rycerzy miejskich, którzy goniąc z dnia w dzień za powszednim chlebem, mają umysł ciągle zwrócony ku własnemu dobru. Czy więc głuche przypomnienie przeszłości, czy chęć obrócenia tej przez się już dziwnej okoliczności na własny pożytek, coby nie było, nasz bohater uliczny przez pomyłkę niby wstąpił do obu domów, i dowiedział się, że w jednym mieszka hrabina Rowoska, a w drugim świeżo z za granicy przybyły hrabia Replński; oboje zaś należeli do najwyższych szczebli towarzystwa wielkoświatowego, którego byli najcelniejszą pianką. Wyszedłszy z tych domów biegał z ulicy w ulicę, obiadu nie jadł, czy przez zapomnienie, czy przez niemożność, co mu się często trafiało, a myślał bez ustanku, chcąc koniecznie w całość powiązać domniemywania swoje, oparte na tych trzech ostatnich spojrzeniach salonu i pręgierza.

Niepojęta siła jakaś pędziła go koniecznie, by zajrzeć w tę tajemnicę; bo jest w tem tajemnica, i to jakaś okropna, obrzydliwa i występna tajemnica. Nadto jest pan Szumiło zimno rozumujący, aby się tego nie domyślał, nadto często życiem swoim całem zaglądał we wszystkie kloaki świata, napatrzył się rozlicznych brudów, o które się ciągle ocierał, aby nie zwietrzyć występkę w głębi tych spojrzeń; a występki odkryte, to kapitał dla niego... i zabrzmiały mu w uchu kawałki szkła stłuczonego jak garście złota sypiące mu się do zgłodniałej i nienasyconej kieszeni. Hrabina i hrabia są bogaci!... ta myśl wystawia na tortury jego dowcip łamiący się tysiąciami domysłami. Oni bogaci! on ubogi!... to mu bodźcem, to go goni po ulicach; a i głód, tak często cierpiany w tem jego życiu nędzy, zazdrości i chciwości zaostrza coraz więcej jego władze umysłowe. Budzą się wszystkie myśli wyniesienia się, wydrapania do życia pełnego, roskosznego, do życia, które mu każdy kamień brukowy tylekroć i tyle laty przez niego zbijany wyobraża w całej świetności lecących powozów, liberji, galonów, i najwonnejszych wyziewów jakie go dochodzą z traktjerni i winnych sklepów; pozbycia się tego życia, które mu każdy kamień brukowy tylekroć, i tyle laty przez niego zbijany, wystawia w całej okropności niedostatku, głodu, pragnienia i zimna. Mniejby może myślał o rannem zdarzeniu, gdyby nie but dziurawy, przez którego wilgoć miejskiego bruku przechodzi dreszczem rzeczywistości, a gorączką żądry... W obrębach myśli jakie przez ten czas przebiegły przez głowę pana Szumiły, mieściło się całe jego życie minione; z brudów, śmieci i błota ulicznego, które od najmłodszych lat było jego pomieszkaniem i towarzystwem całem, nie mogły tylko same najjadliwsze wyrastać myśli i uczuć grzyby. Odkąd siebie zapamiętał, zawsze żądał, a nigdy nie używał — a używać dla człowieka, który od dziecka zazdrościł muzyki balowej, śpiewów artystek, nóg baletniczek, piany szampana, wystawnej nawet parady umarłego magnata — takie używać jest w pokrewieństwie z wydrzeć!... Dziś okiem pożądlivem zdaje się zdzierać ze wszystkich przesuających mu się co chwila świetności błyskotnych, powierzchownych pozłotę; jutro!... odejm bojaźń prawa tak dobitnie trafiającego do umysłu zimnego i wyrachowanego, dodaj kilka kropel więcej mocnego trunku, jutro!.. ręką pociągnie po okiem zakosztowane roskosze. On nigdy nie miał nic swojego; nawet rodu, któryby mu służył za tarczę przeciw brudnym pokusom; nawet ojca, któryby mu dawał zbawienne nauki i dobre przykłady; nawet matki, któraby wpięściła w jego serce czulsze uczucia, jakby anioły stróże broniące od złego!... Nie miał nic swojego; wszystko jest cudze; a więc cudzego zażądał!... Darmo łamie sobie głowę, nazwisko hrabiego i hrabiny nieznanne mu równie jak ich stosunki, salony bowiem wielkoświatowe, świecą mu tylko z dala jak czarowne zamki, z zaklętymi niedotykalnymi godami swemi; on znał tylko błoto, którem mu w oczy bryzgała arystokracja przelatująca czwałem przez ulicę!... Zatrzymał się raptem; wzrok starca na przegierzu żywo mu stanął przed oczyma!... On wie! ale nie odkryje, znam go nie od dzisiaj, jest tajemnica w jego życiu i w mojem, ale jaka?... tak mówi Szumiło sam do siebie. Lecz

kto nie waży ten nie wygra! to jego dewiza od dawna, a więc przyspieszył kroku i stanął u bramy więzienia...

Może przed zupełnem na długie lata zamknięcie, sędziowie pozwolili zbrodniarzowi ostatniej wolności gorąco błaganemu przez niego, dosyć że dozorca więźniów, skoro zoczył naszego Szumiłę, wpuścił go do więznej izdebki. Staruszek mocno był od rana zmieniony, postarzał jeszcze, zgarbaciał prawie, widać, że go zrana prostowały resztki sił moralnych. Z niemilem uczuciem wszedł pan Szumiło; ciemne korytarze, straż wojskowa, i ta cisza ponura brzękiem tylko kajdan, zrobiły przykre na nim wrażenie; może przecucie zagadało, że marzenia podobne tym jakim się oddawał przed chwilą kończą się często w tem złowrogim pomieszkaniu, a prócz tego rozmowa ze starcem, którego znał doskonale, nigdy mu miłą nie była: równi prawie usposobieniem umysłowem nie rozumieli się sercem. Coby nie było, stanął przed nim ze zwykłym sobie spojrzeniem bezwstydnem. Starzec spojrział na niego z wyrazem tak pełnym uczucia i szczerego przywiązania, że zdołałby poruszyć skałę ale nie naszego Szumiłę; to starca przywiązanie do niego było może jego jedną i prawdziwą cnotą, przejrzaną przez sąd ludzki, ale przedwieczny porachuje mu ją zapewne w swej wyższej nad sądy ludzkie sprawiedliwości...

— Przyszedłeś mnie przecie odwiedzić Karolu!... dzięki ci za tę ostatnią pociechę, dzięki!... dla czegoż milczysz!...

— Cóż wam powiedzieć mogę — odrzekł mrukliwie — lepiejby było, bym tu nie przychodził...

— Zapewne lepiej, lecz już się stało... lepiej dla mnie, starca biednego...

— Lepiej dla mnie, bo nie potrzebowałbym wstydzić się, idąc do was.

— Wstydzić! wstydzić! — krzyknął więzień i wyprostował się jak z rana...

— A jużciż wstyd dla mnie, że znam człowieka, który skazany za występki...

— Prawda! występny jestem!...

— Nicby to nie było, gdybyście się nie dali tak głupio złapać...

— Bóg chciał mojej kary; musiałem wyznać...

— Trzeba było zaprzeczać, nie wdawać się w gadaniny, które tak lubicie, zaprzeczać, zaprzeczać do końca...

— Daj temu pokój! to się już nie odstanie, ale co ty Karolu będziesz robić bezemnie?...

— A cóż robiłem z wami — zaśmiał się szyderyzo Szumiło — i śmiech i złość bierze mnie razem, cóż tak wielkiego robiliście dla mnie będąc wolnym?...

— Czyniłem wiele, bo czyniłem co mogłem, i więcej, daleko więcej...

— Surdut mój łatany, buty dziurawe, dzisiejszy dzień jak i wiele innych bez obiadu, to dowody najmocniejsze...

— I ta sukmana dodaj! — zakrzyczał więzień wskazując na ubiór swój ze wzrokiem boleśnym i wznioślejszym nad stan i miejsce w jakim się znajdował...

— Ta sukmana?...

— Tak ta sukmana! przez ciebie i dla ciebie w niej siedzę; darmo się krzywisz i odwracasz, ty wiesz to najlepiej. O Boże mój! on mi wyrzuca swój ubior łatany; ty widzisz, że póki mogłem, nic sobie nie zostawiłem, wszystkie moje gorzko zarobione zasługi dawałem jemu...

— Lokajskie zasługi!...

— Bo zamłodu nie czyłem się, nie miałem takiego, któryby mnie oddawał do szkół...

— Głupie szkoły! cóż mi z nich, to chyba tylko, żebym lepiej zrozumiał jak nędzne jest stworzenie na tym świecie, gdzie wszyscy używają prócz mnie jednego; nawet języka żadnego nie umiem... lepiej było rzemiosła jakiego mnie nauczyć...

— Lokajskie zasługi mówi — ciągnął dalej staruszek — a przecież ty Karolu żyłeś za nie, nie pracując lepiej niż ja przy gorzkiej podległości; i bodaj czy nie Boski to dopust za próżniackie życie twoje, którem żyłeś jak sam chciałeś, od rana do wieczora...

— Od kawiarni, w której nie miałem za co się napić, do traktjerni, w której nie było za co obiadu kupić; żyłem zapewne jak pan, bo i nędza to wolne państwo. Kiedyś przyjdzie, jak się do reszty rozleci mój surdut dwuroczny, ubrać się w wasz strój dzisiejszy! przez was to, przez wasz upór całe moje życie spacone; dla jakiej przyczyny chowanej przedemną chcieliście mnie wynieść nad stan wasz?...

— Boże mój! a ja go chciałem widzieć i słyszeć raz jeszcze, i widzę i słyszę co odrzucałem zawsze od myśli mojej, że ty wolny, gorszy odemnie zbrodniarza w kajdanach. Śmiejesz się z tej sukmany!.. pracowałem, głodem morzyłem się, by tobie więcej dawać; a ty coraz więcej żądałeś; serce mi się krajało, gdyś nie miał podług rozrzutnej swojej chęci ubioru dosyć modnego, by w nim udawać pana...

— Przestań stary gaduło...

— Nie przestanę, powiem ci wszystko! ja byłem dawniej znany z poczciwości mojej, złej myśli jak grzechu się bałem... O pamiętam jakby dzisiaj ten dzień przeklęty, w którym stojąc w przedpokoju ostatniego mego pana, tego sławnego adwokata, podsłuchiwałem mimowolnie znowę jego z panem jakimś, któremu umarła daleka krewna bez testamentu. Do fałszywego testamentu świadka im było potrzeba, świadka koniecznie choćby go złotem zapłacić. Ciemno mi się w oczach zrobiło, chciałem uciekać, bo mi się zdawało, że mnie szatan wypcha do pokoju, zkad można było wynieść złoto — nie dla mnie, ale dla ciebie niewdzięczny!... a tyś przyszedł, i płakał, i ścisnął, i namawiał, samobójstwem mnie straszył; a ja w życiu tylko ciebie jednego przedewszystkiem kochałem; i wszedłem do pokoju ubogi w pieniądze, ale bogaty w czyste sumienie... a wyszedłem bogaty w złoto, a ubogi w dawny spokój; i te złoto, a było go wiele, oddałem tobie; cóżś zrobił z tem tak drogo opłaconem złotem?...

— Przegrałem!... przepiłem! — śmiejąc się i śpiewając odrzekł Szumiło!...

— Gdyby nie te twoje łzy fałszywe, i namowy zdradzieckie...

— Milcz stary! — krzyczał Szumiło i zębami zgrzytał — **roz-**powiadaj! odkryj! abyś mnie miał na zawsze przy sobie...

— Nie bój się tego, co ja wiem a nie chcę powiedzieć, tego nie powiem, choćby mnie rozświetlowali — wyrzekł głosem uroczystym, a twarz jego wyładniała od wyższego uczucia, które zabłysło na niej.

— Wiem ja o tem, gdyby nie te twoje tajemnice jakieś, które od dziecka umysł mój bałamuciły, gdyby nie ten upor twój z jakim tailęś je przedemną, możebym mógł być czem więcej — zagadł Szumiło powolniej, a oczy utkwiał w starca.

— Nie! nie! — odrzekł z pospiechem; — nie, ty niczem więcej nie jesteś, tylko synem moim...

— Synem lokaja!...

— Może wolisz, synem zbrodniarza!

Uderzył się Szumiło w głowę, milczał przez chwilę, a różne uczucia jak chmury burzą pędzone przesuwały się przez miedzianą twarz jego. — Nie moja wina! darujcie ojcze! ale sami nieraz wbiłaliście we mnie dumę.

— Własnego to serca złego wymysł; z najniewinniejszych słów moich chciałeś koniecznie wyciągnąć tajemnicę jakąś, bo ci się chciało być więcej jak synem lokaja. Dawniej gdy w poufnej pogadance rozpowiadałem tobie jak dziecku stare dzieje moje...

— Tak, tak! dawne dzieje! — powtórzył Szumiło, a oczy stworzył jakby chciał połknąć każde słowo starca — ja lubiłem słu-chać te dzieje...

— I zawsze pytałeś mnie, dla czego wyniosłem się z Warszawy, boś zawsze gonił jakieś nadzieje urojone; listy jeżeli jakie odbierałem ztamtąd, które dziecku nie chciałem pokazać, i ztąd roileś niestworzone rzeczy...

— Tak listy! listy! — powtarzał Szumiło tak wzruszony, aż mu palce drżały z niecierpliwości — dobre to były czasy — dodał słodszy głosem — sam ojcze powiadałeś mi nieraz, bym się uczył, a kto wie, co ze mnie będzie...

— Wypędź te próżne myśli, ot zwyczajnie jak ojciec pochlebiałem sobie, że może kiedyś mój dawny pan...

— Pan dawny! — wrzasnął Szumiło z takim natężeniem, aż przestraszony odskoczył więzień. — Pan dawny! o którym tyle naga-dałeś dziecku, chwalać go; tak przypominam sobie... pan dawny, u którego służyliście jak był kawalerem... który do was pisywał... ale te listy, choć was zaklinałem, nigdy, nigdy pokazać nie chcieliście... Ojcze dopowiedz reszty!... dziecinna pamięć dopomóż mi!... pan dawny!... on miał pojedynek, opowiadałeś mi o nim... A cóż to było, gdy raz w nocy spałem snem dziecka, aż raptem zbudzony ujrzałem nad sobą twarz mężczyzny jakiegoś wpatrującego się z uwagą we mnie...

Stary oniemiał, patrzył tylko w oczy mówiącego, a drżał jak liść.

— Zasnąłem wkrótce, i zapomniałem to nocne zjawisko o... wysoki! chudy!... z twarzą bladą i... ha! ha! ha! starcze! bliźnę on miał nad

lewem okiem... od pojedynku zapewne... tak! przypominam sobie tę bliźnię nad okiem.. Czego on przychodził do mnie w nocy?... czego?... ojciec! błagam ciebie... tu klękam przed tobą... powiedz wszystko!... to może moje szczęście... los mój... cała przyszłość! wszak ty mnie kochasz!... odkryj całą tę tajemnicę; wszak ten pan z bliźnią nad okiem patrzył na was dziś z rana...

— Nie! nie!... ja nikogo nie widziałem dzisiaj, tylko ciebie... nie! nie! — krzyczał stary z ostatniem prawie sił natężeniem... — Ty jesteś moim synem! przysiągłem!... przysięgam!..

— Przysiągłeś! — z uśmiechem szatańskim krzyknął Szumiło — rozumiem... bądź zdrów tatuniu!..

— Nie słuchaj słów moich; to więzienie zniszczyło wszystkie moje siły; ja ledwie wiem co mówię... Karolu! ty jesteś moim synem!...

— Dobrze!... dobrze!... do widzenia się!... za dziesięć lat podobno. i zaśmiał się w głos...

— Do widzenia się tam!... wyrodny synu! — A gdy Szumiło wybiegł z więzienia pełen krzyżujących mu się myśli po głowie, długo jeszcze stał więzień ze wzniesionemi do góry oczyma...

W kawiarni tymczasem tak cicho, aż się wierzyć nie chce, że to jest miejsce do wesołej zabawy; już się zmierzchać zaczęło, gdy rządząca trójka znudzona daremnie oczekiwaniem zadrzemała spokojnie na kanapie. I Kasia zdaje się drzemać, czasem tylko z łoną zaciemnionego kąta, w którym siedzi, lśnienie coś, czy to iskra w kominku, czy czarne kawiarki cko... Cień po cieniu, ledwie już dostrzeżone postacie przechodzących przesuwają się koło okna; a przecież raptem podniosła się kawiarka żywszym ruchem, przeczuwszy snąc gościa, wesołej spojrziała ku drzwiom, i z młodzieńcem zawołała rozrzepaniem: „Idzie już!”

Jakoż w rzeczy samej otworzyły się drzwi, i budzącej się trójce okazał się pan Karol Szumiło w całej okazałości swojej postawy rubasznej i ruchów zawsze zamaszystych; ani dojrzeć śladów rozmowy, jaką przed chwilą prowadził. Kapelusza nie zdjął, nikogo nie przywitał, nawet spojrzeniem nie uczcił, choć przecie u samych drzwi przywitało go żywe i ogniste spojrzenie pięknej kawiarki obudzonej z całogodzinnego znużenia, do właściwego sobie kawiarniowego życia: bo kawiarka żyje gośćmi i dla gości; ona dobrze rozumie, że to są jej własni goście; kawa jest tylko pozorem, kawiarka celem; nawet starsi goście mniej dla leniwie i bez smaku używanego napoju przychodzą, jak raczej aby zamarzyć o dawno minionych czasach w blasku tych promienistych spojrzeń, które młoda kawiarka rozdaje między ulubieńców swoich. Daremne było tą razą spojrzenie Kasi, a przecież dobyła go z najtajemniejszego skarbcza swego; pan Szumiło krzyknął głosem potężnym i pełnym przewagi, którą sobie zwykle dodawał. „Kawy! dwie śmietanki! i trzy rogaliki!... tylko prędzej, bom głodny; nie jadłem od śniadania, na którym byłem z hrabią Kazim Lunięckim...”

— Kawy? kawy? — powtórzyła Cykorja, biorąc się pod boki... Nie zważając na mimikę gospodyni przystąpił do kominka, i musiał się zapewne odwdziżyć należycie za witające spojrzenia,

bo się Kasia uśmiechnęła do niego z całym urokiem młodości i piękności, która na przekor herbarzom i starym zpodagrzałym moralistom, jest młodą i piękną równie w kawiarni, jak i w salonowej damie...
— Będzie burza! — szepnęła z cicha; i prędko poddała mu tackę z kawą już dawno gotową...

Szumiło rzucił laskę i kapelusz pod sam nos prawie gospodyni, i zabrał się do posiłku tem potrzebniejszego, że śniadanie z hrabią Kazimem było łaskawym wymysłem jego hojnej wyobraźni...

— Niema kawy! — krzyczała pani Ignacowa chrapliwym głosem, a sapiała ze złości jak sum, a poczerwieniała ni to rak, ni to burak...

— I owszem jest, i to niezła, — odpowiedział Szumiło z filiżanką przy ustach...

— U Brygitek lepsza kawa!...

— To sobie tam idź!...

— Ja nie mam tam ani znajomych, ani rodziców!...

Nie nie odpowiedział Szumiło, zajęty smaczem zajadaniem...

— Mój dom chwala Bogu dobrze reputowany nie od dzisiaj; chodzą do mnie sami ludzie uczciwi, stateczni, którzy nie chcą żyć z kryminalistami!...

— Jakimi kryminalistami? — zapytał obojętnie na pozor, a zagryzł wargi aż do krwi...

— Są ludzie, którzy myślą, że zdurzą kogo miną zuchwałą, czupryną zadartą do góry, a nosem jeszcze wyżej; chcą to niby rolę odegrać panów, jakichś tam synów obywatelskich z Wołoszczyzny, czy z Węgierszczyzny; a jak co do czego przyjdzie, to się okaże, że to jakiś syn, jeżeli jeszcze prawdziwy syn, jakiegoś tam urwisza, złodzieja na pręgierzu wystawionego — i pękając prawie ze złości na widok obojętnie pijącego kawę... palcem go wskazała!...

Zaiskrzyły się oczy gęstemi brwiami osłonione; rzucił filiżankę o ziemię, obtarł wąsy, skoczył i stanął, porwawszy za grubą swą laskę, przed Cykorją z postawą tak zuchwałą, że mimo całej odwagi dzielna Cykorja wsuwała się jak mogła za stolik, by nim jak tarczą zdradziecki brzuch zastonić!...

— Ktoż to asani powiedział?...

— Asani! asani! — temporyzowała Cykorja!...

— Kto to asani powiedział? — powtórzył groźniej, a laska wzniosła się do góry, sękowata gruba i straszna!...

— Powiedział mi! — Na te słowa pan Piłka korzystając z cienkiej swej figury wysuwał się ku tylnym drzwiom w okolicy kominka. Powiedział mi pan Piłka, dodała z niejakim wahaniem!...

Piłką za kłamkę.

— Gdzie pan idziesz? — odezwała się kawiarka, porywając za poły surdutowe, a żywy gniewu i radości razem rumieniec wystąpił na jej twarz — nie tędy droga, kiedyś pan licha narobił, to siedź pan!...

— Kasiu duszko! dam ci nowy fartuszek!...

— Nic z tego nie będzie! — i trzyma ciągle za poję, której znajome mu osłabienie wstrzymuje Piłkę, jakby przykutego!...

— Kasiu serce!... dam ci sukienkę...

— Nie! nie! nie! pan zawsze donosisz, szpiegujesz jak i co gadam z panem Szumiłą; wiem dla czego, ale nic z tego, dla takiej starej małpy — figa! — i w całej rzeczywistości zgrabnym ruchem palców utworzona figa ukazała się oczom bladego jak ściana Pilki...

— Gdzież ta Pilka? niechno ja zagram w nią tą moją paleczką, krzyknął Szumiło i skoczył ku w pół od strachu nieżywemu. Już go miała dosięgnąć, ale miłosierniejsza czynem niż mową dziewczyna, puściła poję, i wyskoczył Pilka z duszą na ramieniu. A kawiarka porwała Szumiłę za rękę, ścisnęła ją z przyciskiem, spojrziała tak słodko, uśmiechnęła tak czule, i przemówiła z takim umizgiem coś cicho do ucha, że się udobruchał i opamiętał nasz zawedyja...

— Ignacy po wartę idź! na odwach Ignacy! on bije Pilkę... zabił go!... — krzyczała Cykorja zamrużywszy ze strachu oczy; lecz darmo krzyczy, bo Ignacy w czasie pierwszego już ataku z rejterował przez główne drzwi — poczekaj! zgnijesz ty jak twój tatko w kryminale...

Kasia trzyma wyrwijącego się, prosi, błaga i przymila jak kotka. — Dla mnie, dla mnie — mówi z cicha — gdzież się będziemy widzieć, wszak ja ztąd nie mogę się oddalać; zagodź tę kłótnię jeżeli kochasz. — W tej chwili poruszenia i przestrachu piękniejszą była niż zawsze ładna kawiarka...

Opuścił laskę, odcisnął dłoń i pomału zbliżył się do trzępiącej nogami gospodyni. — Więc pani wierzy plotkom jak uważam, niech i tak będzie, ja wychodzę na zawsze, ale za mną wyjdą na zawsze wszyscy gracze dominowi, którym — tu porwał za szkatułkę z dominami — pokażę znaki porobione przez panią, zacnego jej męża i szanownego Pilkę na kamykach, i skończy się niezła intratka; dawno już namawiali mnie, by się schadzać u pani Fusowej, albo u pani Herbaty; a za dominowymi graczami pójdą preferansowi goście, którym też odkryję niektóre zgrabne fortele używane. — Słyszając spokojniejszą rozmowę przez drzwi jedne i drugie, pokazały się podsłuchujące głowy pana Cykorji i pana Pilki...

— Ale fe panie Szumiło!.. to żarty panie Karolu!..

— Ale fe!... To żarty! — powtarzały głosy we drzwiach. — A do zwykłej wesołości powrócona Kasia, aż się kładła ze śmiechu. Tłusta Cykorja pomału odmykała oczy, potem coraz szerzej i szerzej wyszczerzała przestraszona gróźbami trafiającymi do przekonania...

— Ej zgoda!.. Ej przyjaźń jak dawniej! — powtarzały głosy ze drzwi, coraz dalej otwierających się...

— Ależ za kawę już mi się tyle i tak dawno należy!...

— Za kawę? — krzyknął Szumiło z pogardą, — za kawę ode mnie! — i z groźnem zadziwieniem spojrział ku kawiarcie — cóż się tam należy?...

— Od pana!.. tak! nie się nie należy — odpowiedziała kawiarka, i szybkim ruchem wydobywszy woreczek, gdzieś koło serca chowany dodała — zapomniałam oddać pani pieniądze, które dziś z rana zapłacił pan Szumiło. — Biedaczka dla świętej zgody oddała ostatni dług składany grosz, całe kilkomiesięczne marzenie o nowej

sukience, o chusteczce pąsowej, w której byłoby jej tak do twarzy — i mówią, że kawiarki nie mają serca!...

Wiele jeszcze było gadania, wiele przymówek i wymówek, wiele układów, aż nareszcie nastąpiła zgoda, która nastąpić musiała między tak dobrze rozumiejącymi się i potrzebnymi sobie istotami. Nadeszli goście, jedni i drudzy, znajomsi; było domino, w którym pan Szumiło prym wodził; nadeszli amatorowie śmietanki i otoczyli kawiarkę. Szumiło nie zdawał się uważać, chociaż nieraz kawiarka pomiędzy otaczające ją głowy rzucała ku niemu spojrzenia niespokojne — czy jego bała się przegranej, czy swojej?... tego z twarzy kawiarki choć prostej, nie ukształconej, nie wyuczonyj w szkole świata wielkiego nie poznasz: bo zalotność kawiarki jest to jej rzemiosło konieczne, nieodzowne, broń i tarcza razem.

Późno już było, wszyscy się rozeszli, nawet młody i majątny kupczyk z pięknie utrefionym włosom i modnym tużurkiem wyszedł rozmarzony nadzieją i oczekiwaniem, a pan Szumiło zatopiony w myślach siedział na miejscu, wygranę w domino przepił już dawno, a nie odchodził przecie. Kolej czuwania wypadła tej nocy na pana Ignacego; o gdyby był o tem wiedział kupczyk, byłby został niezawodnie ale mu Kasia zdradliwie podszeptnęła, że pani Cykorja w kawiarni zostaje, a wszystkim jej gościom dobrze było wiadomo, że się jej wszystkie hołdy należą. Pan Ignacy zwyczajem swoim usiadł w kącie kanapy, wziął rozmaitości w rękę, i jak zawsze zachrapał nad ledwie przesyłabizowanym tytułem. Zbliżył się Szumiło do koninka, i zaczęła się pogadanka szczerą i poufną; bo jak nikogo niema w kawiarni i nikogo się już spodziewać nie można, kawiarka przestaje być kawiarką, i staje się sama sobą. Taka pogadanka w pół szeptana, a w pół mówiona, była dla pięknej Kasi najmiłszą częścią jej życia, jej jedyną pagrodą za cały dzień nudów, krzątania się i udawania; bo Kasia wiercie mi państwo jeżeli chcecie, kocha Szumiłę z całą prawdą i szczerością pierwszej miłości; a pierwsza miłość jest zawsze prawdziwą, nawet w kawiarnie, która przymyła się do wszystkich z obowiązku a kocha jednego z serca. Długo się łąsiła, słodkimi słowy, spojrzeniami i trzepiotaniem rozrywała, zanim zdołała zdjąć z twarzy Szumiły ten wyraz zadumania, jaki po raz pierwszy w nim dostrzegła.

— Co tobie Karolu, dlaczegoś tak smutny jak nigdy — i lza zabłysła w wesołym oku — może już mnie nie kochasz? milczysz! coż ja nieszczęśliwa zrobię bez twojej miłości; ty wiesz najlepiej, że ja to miejsce przyjąłem dla ciebie tylko, tyś mi doradził; Karolu co tobie?...

— Kocham cię, kocham jak dawniej!

Trzeba było być tak niedoświadczoną i zaślepioną jak ona, by widzieć uczucie w zimnym wyrazie tych słów, by nie zaśmiać się na widok tej twarzy miedzianej wykrzywającej czułość kochanka...

— Czy pamiętasz, kiedyś mnie pierwszy raz zobaczył tam za miastem w ogrodzie najmywanym przez moją matkę?...

— Pamiętam Kasiu, pamiętam dobre twoje serce z jakim przybiągał ku mnie, gdym zmęczony prosił cię o szklanekę wody.

— Mój Boże! ile to się zmieniło od tego czasu, moja matka

umarta, musiałam porzucić ten ogród, w którym dzieckiem jeszcze skakałam wesoła i swobodna, i z rady twojej przyszłam tu: ja tobie wierzę, jak wierzyłam mojej matce, ale od pewnego czasu ty się zmieniłeś....

— Daj temu pokój, ja ciebie kocham i chciałbym jak najprędzej przekonać cię o prawdzie....

— O Karolu, ja nigdy nie wierzyłam temu, co ten fałszywy Piłka rozповідаł o tobie....

— Przekonam cię Kasiu, już nie długo trwać będzie mój proces, wygram go koniecznie, i ty będziesz żoną moją....

Aż skoczyła z radości, bo mąż, to najwyższy szczebel szczęścia kawiarki. — Karolu ty się ożenisz ze mną, a ja ciebie zawsze kochać będę....

— Zawsze?... a ten kupczyk? — i z uwagą wpatrywał się w jej oczy szczerze ku niemu zwrócone....

— Cóż robić! ja muszę udawać, ja go nie cierpię....

— On jest bogaty!...

— Ty bogatszy dla mnie, bo kochany....

— Ale — wymówił i przestał, a oczy spuścił jakby się głęboko zamysłał....

— Co tobie Karolu! zmiłuj się nademną powiedz!...

— Ty mnie pomóżd nie możesz! — uderzył się w czoło — jutro! — i zamilkł....

— Co jutro! — krzyknęła przestraszona, aż się pan Leopold wpół obudzony na drugi bok przewrócił....

— Nic! nic! — i porwał za kapelusz jakby odejść chciał....

— Ja ciebie nie puszcę tak Karolu! — i porwała go wpół — powiedz co jutro? ty wiesz, że ja jestem głupia dziewczyna, ja nic nie rozumiem, ale kocham, i życie moje za ciebie chętnie oddam....

— Co to pomoże! bądź zdrowa Kasiu! — wyrzekł i westchnął....

— Nie, ty nie pójdziesz! — i trzymała go z całej siły, ukłękła prawie przed nim, oczy zalały się łzami — powiedz jeżeli mnie kochasz?...

— Pieniądzy potrzebuję na jutro, bo inaczej... źle, bardzo źle będzie....

— Nie mam! nie mam! ostatni grajcar oddałam za twój dług, by cię ta baba nie nudziła....

— Coż robić! bądź zdrowa....

— Ah! Boże co ja pocznę!...

— Porzuć mnie nieszczęśliwego, co ja ci dać mogę, nawet najmniejszego podarunku; nie tak jak ten kupczyk, który dobrzem to przy grze słyszał, gadał ci o dwiestu reńskich...

Zarumieniała się dziewczyna. — Ty wiesz, że ja ciebie kocham tylko.

— Może on pożyczyci! te dwieście reńskich wybawiłyby mnie od nieszczęścia większego niż myślisz..., okropne jest położenie moje. ..

— Od nieszczęścia! — rozpacz wystąpiła na jej twarz....

Długo jeszcze szeptali między sobą; były łzy, zaklinania, przysięgi. Dobrze już po północy odprowadzała Kasia zapłakana aż do sieni Szumile, znacznie rozweselonego....

— Zrobię wszystko dla ciebie — powiedziała mu na pożegnanie — ale pamiętaj Karolu, byś mnie nigdy kochać nie przestał, bo ja umrę...

— Nie umrzesz dziecko! tylko miej rozum...

Jeszcze jeden pocałunek i rozeszła się. A gdy wróciła do kawiarni, gorzko zapłakała biedna Kasia, ciemne jakieś przeczucie mówiło jej, że się przyjdzie na zawsze rozstać z dotychczasowem wesołem usposobieniem swoim.

Zaczynała rozumieć życie kawiarniowe. Biedna kawiarko! pierwszy krok tylko kosztuje... za rok... za rok śmiać się będziesz z tego, co ci dziś lży wyciska... Przez ten czas pan Ignacy wyspał się i wychrapał doskonale...

III.

W kościele.

Był to wielki piątek; mgła kwietniowa zawisła nad miastem jak olbrzymia chmura tylowikowej żaloby, smutkiem i pobożnością obchodzonej: żaden głos dzwonu nie śmiał swym dźwiękiem przerywać ciszy i milczenia jakie zaległo wszystkie świątynie napełnione ludem: szczere i pobożne rozpamiętywanie nad wielką ofiarą Zbawiciela za grzechy człowiecze nie potrzebuje głosu, by było zrozumiane. W jednym z kościołów oparty o filar wiekiem zaciemniony stał kołniercem przykryty stół; przed nim w pobożnem zrzeczeniu się pychy światowej zasiadła pani w żałobne szaty przebrana, i pobożne zbiera jałmużny na wielką srebrną tacę. Z cienia filarów, sukien żałobnych i ciemności kościelnych występuje jej twarz tak błada i nieruchoma, iż wydaje się jakby zawieszona na ciemnem tle, albo wystająca z jakiej staroświeckiej rzeźby. Czasem tylko, gdy powiewem poruszone światło stojącej na stoliku świecy, chwilową łyskawicą przemknie przez twarz, okażą się rysy odznaczone życiem, ale życiem tak dawnem, zamartwem i niemem, iż nie jednemu przechodniowi wydać się musiała jak twarz grobowego posągu. Czy modli się czy marzy, czy drzemie, ledwie odgadniesz, bo jej postawa na poły zamysłona z oczami nieruchomie w pobożną książkę spuszczone, wszystkie te trzy nosi na sobie cechy. Obojętny, pobożny, lub ciekawy nowych widoków, z jakich składają się po większej części przesuwające się tłumy, nie innego nie dostrzeże w twarzy pani hrabiny; ale ktoby ją znał bliżej, widział wczoraj, pozawczoraj w jednym z najświetniejszych stolicy salonów, na którego jest czele, zadziwiłby się, jak się tak prędko zmienić mogła kobieta, która nie mogąc przez wiek straconej odzyskać już twarzy, nagradzała stratę niepowetowaną strojem, rozmową, dowcipem i ułożeniem tak wytwornem, iż ją nieraz zdybywały hołdy szersze może nad dawniejsze sztabuchowem już tylko życiem żyjące. Nieraz w salonie najprzystojniejsi i najmłodszy mód królowie opuszczali młodsze i ładniejsze kobiety, by ją tylko słuchać i podziwiać; w jej przytomności brzydły

wszystkie piękności jakby zamówione jej czarującą rozmową, zazdrość i opuszczenie dodawały im lat, których zdawało się hrabinie ubywać w tem świetnym otoczeniu, rozpromienionej fajerwerkiem, dowcipnej, żywej, i niewyczerpanej pogadanki. Jakże różna dzisiaj: nie samej to pobożności przelotny zwykle odcisk wycisnął na jej twarzy ten wyraz głębszego zadumania, którego nie może się pozbyć ani pacierzem, ani westchnieniami, ani spojrzzeniami lekliwemi prawie, jakie rzuca na obraz ukrzyżowanego zbawiciela. Jeżeli to skrucha!... to nie bez wielkiej przyczyny; jeżeli już pokuta!... to zasłużona być musi; jeżeli cierpienie,... popatrz niewiasto na ten boski wyraz na twarzy zbawiciela cierpienia bez winy!... O! inne być musi; ziemskim błotem pokalane to cierpienie! które zdarło z jej twarzy wielki urok udany!... Maski salonowej pozbawiona zbrzydła, zestarażała do niepoznania prawie. Podniosła oczy... kilka bowiem wytworniejszym strojem odznaczonych przemknęło postaci; kurcz natężenia przebiegł przez twarz, ale nadaremnie: miał to być uśmiech dawny wesóły, salonowy; był tylko skrzywieniem bólu wewnętrznego. Zabrzmiała muzyka cichemi i żalobnemi tony, jakby łkania przytłumione, i zamilkła w jednym westchnieniu, wyrzuconem z piersi całego ludu. I hrabina westchnęła, rzuciła oczy z całym natężeniem salonowej wiary swojej ku twarzy zbawiciela — nadaremnie!... cały lud widział w tym boskim wyrazie twarzy politowanie i przebaczenie; ona postrzegła tylko zimny i niemy narmur...

Coraz ciemniej w kościele; już wieczór; coraz mniej pobożnych; rzadko już przedłużony cień jaki przemknie po filarze, kobiercu i bladej twarzy, tak niewyraźny i fantastyczny, jak jej ciemne myśli, które ciągle bez końca przesuwają się po jej głowie nietoperzem skrzydłem pamiętek. W długich przestankach odzywa się muzyka kościelna, to jak błaganie, to znowu jak nadzieja; szept pacierza cichy, westchnienie czasem urwane; i znowu cicho jakby cały kościół stał się grobem. Upadła twarz blada na piersi; czy modli się, czy marzy, czy drzemie...

Raptem zadrżała; nowy cień przesunął się po jej twarzy... i z czystym dźwiękiem padł dukat na srebrną tace... Spojrzała salonowa dama, naprzeciw niej stał hrabia z bliźną nad lewem okiem bladą i niemą twarzą. Jeszcze mocniej zadrżała. Zdybały się ich spojrzenia, i na ich twarzy zgniła i chorowita bladeścią spokrewnione, wystąpił wyraz podobny wczorajszemu z okien rynkowych. Że się znali, i dobrze znali, wątpić niepodobna; własne ich spojrzenia zdradzały: ale bez przywitania stali długą chwilę naprzeciw siebie, a patrzali w swe twarze, jakby z nich dawnej przeszłości chcieli wyczytać dzieje. Długie było milczenie; zwrócili się oboje ku światłu buchającemu z pobocznej kaplicy, jakby się pomodlić chcieli, ale dla czego ich twarze pozostały tak nieme, zimne i nieruchome?... dla czego oczy ich tak przeraźliwie wyszczerzone w jedno miejsce?... Oni marzyli zapewne...

Dawno już temu!... Był to jak dziś dzień kwietniowy, ale pełen woni, światła, ciepła; pierwszym wiosny oddechem obwiane, wśród listków zielonych pączków w pół rozwitych zjawilo się świetne i strojne.

grono dam w Saskim ogrodzie. Cała Warszawa wyległa oddychać powietrzem, które wszystkich zdawało się ożywiać nadzieją dni pięknych; cały ogród był żywą wystawą strojów, kwiatków i wdzięków, w której natura walczyła ze sztuką o pierwszeństwo, ale najpiękniejsze jakby klomb żywy wdziękiem i świeżością przechadzało się grono pań wielkoświatowych, a z pośród nich najurodziwsza jak królowa kwiatów wyglądała sławna pięknoscią, wychowaniem i rodem hrabianka Malwina. Szybkim krokiem zbliżył się do tego grona młodzieniec w świetnym łańskim stroju, skończony bohater, czy na woskowanej posadzce, czy na miękkim dywanie buduarowym, czy na chropowatym biwakowym posłaniu. Tylko co gońcem przyleciał od wojska; całe miasto witało jego mundur, jego depesze, i zgrabne ułożenie. Hrabia Alfred przywitał znajome sobie panie, a zdumionem okiem spoczął na pięknej Malwinie; w nadsekwańskiej stolicy, którą niedawno porzucił, nie zdybał podobnej piękności; i słowa nie mógł znaleźć, by przywitać od lat dziecinnych niewidzianą jeszcze, a bliską krewną swoją. Znikł w uroczym klombie, który w różnych wdzięcznych przemianach przewijał się w około dwojga krewniaków, rozmawiających poufale i wesoło o przeskakanej razem dziecinniej przeszłości; ona z marzeniem o zabawach stołecznych, on z marzeniem o sławie. Hrabia Alfred zabawił dni kilkanaście pod pozorem udanej słabości; wśród zabaw, muzyki, tańców i przechadzek, czy wśród ludzi, czy w samotności nieodstępny był towarzyszem pięknej hrabianki. Przemknęły raczo różnobarwne te chwile, jak rój motyli; i pożegnali się, ze łzą i westchnieniem — ona za sławą! on za zabawami stołecznymi... Takie było pierwsze ich zdybanie!...

Dawno już temu!... Byłto dzień zimowy, ale świetniejszy jeszcze wonią, kwiatami, światłem i strojami na dzień kwietniowy: słońce zastępowały oświecone pająki jak olbrzymie brylanty zawieszzone na środku sali balowej. Syt niewygodnej a niebezpiecznej w owym czasie sławy przemienił hrabia Alfred kurtkę łańską na salonowy frak. I zdybali się z radością w oku, z dreszczem w sercu; w zakrętach mazura, szalonych walca zwrotach, przy oknie, przy fortepianie; i zdybali się wszędzie oko w oko, myśl w myśl, dłoń w dłoń, aż nareszcie w wonnej, cichej i miękkiej ustroni buduarowej, przy alabastrowej lampy półświetle, półcieniu, z westchnieniem pół żalu, pół rozkoszy zdybały się usta przy ustach... Takie było ich zdybanie drugie!...

Dawno już temu!... Była noc ciemna; a ciemniejszy jeszcze poikoik lichej chaty przedmiejskiej; skąpy kaganek więcej rzucał cienia niżeli światła na gołe, brudem tylko pomalowane ściany. Zawyla burza, głośno uderzając w źle przymknięte okiennice; głośniejsze jeszcze dały się słyszeć jęki ze środka chaty, to donośniejsze, to więcej przytłumiane... Tak ciemno było w brudnej izdebce, iż jak cienie tylko przesuwwały się kilka ludzkich postaci... Raptem głośniejszy ozwał się krzyk przeraźliwy; silny wicher zaświstał w szczeliny drzwi strupieszających, a kaganek gwałtownie podmuchnięty, jaśniejsze rzucił pasmo światła na twarze zawsze piękne i młode hrabianki i hrabiego... ale zamiast dawnych, tak czułych wyrazów,

tam widać tylko cierpienie ciała, a tu cierpienie znudzenia, na obydwóch zaś twarzach — wyraz przesyconej obojętności, trącającej prawie o nienawiść, która zastępowała miejsce dawnych uczuć czułych. Kilka słów ozwało się urwanym, przyrzeczeniem wiecznej tajemnicy, jaka miała pokryć na zawsze to ich zejście się. I zgasio światło, ciemno w chałupie, wiatr świszczę, huczy i wyje, leci para powozów ku miastu, i eicho i ciemno!... Takie było ich zdybanie trzecie!...

A teraz ze zmarszczkami na twarzy i wygasłem do reszty uczuciem w sercu zdybali się po raz czwarty; i bodaj czy nie ostatni, jeżeli wierzyć ukradkowym spojrzением, jakie rzucają na siebie pełne pogardy, nienawiści i odrazy. Miłość dawna i przez nią uczucia szlachetniejsze minęły na zawsze. Rozłączeni przez przesyconie i potrzeby małżeństw dla pieniędzy zawartych, używali oboje świata przysawszy się jak pijawki do wszystkich życia światowego rozkoszy, a gdy wyszali wszystko, zbrzydła im wyciśnięta skórka cytrynowa. W takim życiu rozdzieleni przestrzenią różnych świata stolic, zapomnieli o sobie, zapomnieli o dawno przebrzmiałych chwilach, a nawet radziby zapewne byli nigdy pamięcią przypadkową nie powracać do tej przeszłości, która swoim wdziękiem, świeżością i urokiem przedrzeźnia okropnie uczucia jak złote grono ustom Tantalą. Chcieliby zapomnieć, a przecież nie mogą zupełnie, bo jest w tej przeszłości w pośród jej barw zatartych już prawie, jeden smug ciemny, jedna plama niezmazana, jak ta plama na bladym czole hrabiego, pochodząca z rany odebranej w pojedynku za nadwreżoną przez złośliwą obmowę kuzynki sławę odbytym. I nic tej plamy zetrzeć nie może, bo gdy je śmiechem, żartem, pogardą z myśli i serca nawet wypędzili, padła ona na ich sumienie, i ztamtąd przez ten ich wzrok niepewnie błędzący w około wyszczerza się widomie, i w tym to wzroku jest prawdziwe podobieństwo ich rodzinne. Zwrócili się znowu ku sobie; pobożność czy marzenie ustąpić musiało zapewne, bo na obie twarze wbiegł uśmiech przymuszony, którym chcieli sami w sobie i przed sobą ukryć i pogardę i nienawiść i plamę przeszłości i wewnętrzne cierpienia; uśmiechnęli się, by się oszukać, bo przemówić chcieli do siebie: uśmiechem zimnym i fałszywym, razem, chcieli zgrabnie przeskoczyć z wczoraj do dzisiaj... A w koło nich coraz ciszej i ciemniej, i coraz mniej modlących się, coraz olbrzymiejsze rozchodzą się cienie; od czasu tylko do czasu głos muzyki zabrzmiał uroczyście i żalobny, jakby się do grobu dobijał głos dalekiej żalobnej tęsknoty jakiej.

Pierwszy zagadł hrabia Alfred głosem suchym i chorowitym, a choć pusto w kościele, zaczął rozmowę po francuzku; bez przywitania poprzedniego, bo i na cóż mają się witać tak dobrze znajomi, i jakież mogłoby być to ich przywitanie: w salonie, to co innego, ale w kościele po godzinie rozpamiętywania nad sobą i przeszłością, w obec wizerunku odwiecznej prawdy, to nie podobna. — Poznałaś mnie pani od razu!...

Hrabina milczała, ręką tylko przyciskała mocniej nabożną książkę.

— Bo i ja poznałem od razu, poznani podobno oboje...

Popatrzała hrabina na hrabiego z uwagą podwojoną, a zaostrzoną przez mimowolne przelęknięcie; to miejsce, ta samotność, ta twarz śmiertelnie prawie blada, zrobiły na niej mocne wrażenie.

— Była to chwila wzajemnego poznania; poznani, poznaliśmy hrabino...

— Po tak dawnym widzeniu się, robi to zaszczyt pana hrabiego pamięci — odrzekła hrabina z szyderezym przyciskiem.

— Są rzeczy, o których mimo najszczerzych chęci zapomnieć niepodobna.

— Mnie się zdaje, że nic łatwiejszego jak dawne zapomnieć uczucia.

Pani hrabina żartuje łaskawie; ja mówię tu o osobach, o twarzach, które mimo wieku i zmienionych usposobień tak się wciskają w pamięć... wciskają w sumienie! — ciszej dodał.

— W sumienie?... mnie się zdaje panie hrabio, że pozawczoraj źle spaliśmy oboje; to być musiało przyczyną wrażenia dosyć śmiesznego, za które okno tylko odpowiedziało — i przymuszając się do uśmiechu, chciała rozmowę na weselsze sprowadzić pole...

— Ale on żyje!...

— Żyje? — krzyknęła hrabina, i zadrżała aż książka padła na ziemię z łoskotem, który długim i posepnem echem rozchodził się po pustych kościoła sklepieniach. — Żyje! — dodała, jakby przychodząc do siebie — ale w więzieniu...

— A jeżeli więzienie przemówi!...

— Głos więźnia mój panie hrabio na ulicach niknie, salonów naszych nie dosięgnie, ani pokojów sypialnych; możesz więc panie hrabio spać spokojnie, i złowrogimi słowy nie przestraszać kobiety w pośród tylu przedmiotów działających na wyobraźnię. Więzienie panie hrabio to grób prawie!... a grób pokrywa wszystko... nieprawdaż? — a gdy to wymówiła, było coś więcej w oczach hrabiny jak proste zalotne zapytanie...

— Grób! zapewne! — po chwili dodał. — Żal mi tego starca, może zostawił dziecko, któremu był potrzebny... coż w takim razie pani hrabino?...

— Co! co! — ozwała się hrabina; a jej poruszenie wzrastało w miarę jak się wpatrywała w oczy hrabiego — co rozumiesz hrabio pod tem, wszak mi mówiłeś podobno... to tak dawno, iż nie pamiętam dobrze... że... że zginął... ślad...

— Co mówiłem, to i ja nie pamiętam; to tylko pamiętam dobrze, że przyrzekłem zastosować się do woli pani, ale nie mogłem przenieść na siebie, abym sam...

— Nie sam! — przerwała hrabina w zupełnym zapomnieniu przybranej roli — ale ten wierny sługa...

— Mielśmy pani hrabino obydwaj resztki sumienia.

— Nie żartuj hrabio!... dokończ!.. więc... — Spojrzeli po sobie wzrokiem wymowniejszym nad słowa i zrozumieli się doskonale.

— Powiedzieć to pani przyszedłem tutaj, bo tutaj zlituje się może nad nami najmiłosierniejszy od nas Bóg. — Zakrył hrabia oczy ręką; hrabina drżała, a jej bladeść była coraz okropniejsza: po chwili

milczenia ciągnął hrabia dalej. — Przygotować panią na każdy przypadek chciałem, przysięgł mi wprawdzie, ale człowiek który zbrodnię popełnić mógł, czyż dotrzyma przysięgi? może już tajemnica nasza oddana w ręce drugie... wzrok jaki rzucił na nas nie wiele mi obiecuje... czy uważałaś pani ten wzrok? — Zamilkli oboje i zamyśloni w dół spuścili oczy.

Lekki szmer dał się słyszeć koło nich; z ciężkim dźwiękiem padł prosty grajcar na srebrną tace, aż się zadziwione rozskoczyły oczy.

— Za duszę więźnia który pozawczoraj stał pod pręgierzem — ozwał się głos ostry, gruby i szyderycy; i przestraszonym zkamieniałym prawie salonowcom okazała się postać nieznana im zupełnie naszego Szumiły, który raptem z po za ukrywającego filaru przystąpił ku nim.

Trzy wzroki okropne prawdą i przerażeniem spotkały się przez krótką chwilę; spojrzenia hrabiego i hrabiny wnet uciekły przed wzrokiem Szumiły, który z wyszczerzonymi oczyma, wyrazem bezwstydnego zawziętej i chciwej ciekawości spoglądał na nich. Ciężka była to chwila, w czasie której Szumiło oblewał ich strumieniem najzjadliwszych spojrzeń, wciskał się niemi aż w głąb ich myśli, wymawiał, przeklinał i szydził; jak ogniem palącym rzucał w źle zagojoną ranę ich sumienia: salonowe udawanie uległo przed wzrokiem grubożądliwym, jak sztuka szermierza fechtmistrza przed krzyżową sztuką nieuka. A w kościele cicho i ciemno, długie cienie kirowych okryć kościoła, przesuwają się jak duchów cienie; głosy muzyczne jakby głosy życia dochodzą zdala niewyraźne, uroczyste i żalobne: i ozwał się głos smutny śpiewających kapłanów, jakby głos którym grób odpowiada życiu.

Szumiło trzyma ich ciągle pod przemocą spojrzeń oślepiających natarczywym i upartym wpatrywaniem się; drżą jak dzieci czyli raczej jak winowajcy przed sądem, bo ta plama ich sumienia stanęła przed nimi widomie — i jaka plama! wszystkie siły umysłowe, które oboje tak dzielnie umieli władać, odstąpiły im raptem; mąci się im w głowie. W tej dopiero chwili, stali się pobożni prawdziwie, bo uwierzyli w Boską karę.

Szumiło nie ruszał ani kroku; dzięki wychowaniu wysmianemu przez niego pozawczoraj połapał tyle francuszczyzny; że rozumiał całą ich rozmowę, a słuchał jej od początku ukryty za filarem, bo od pozawczoraj śledzi on wszystkie ich kroki, skrada się za nimi jak tygrys wietrzący żer dla siebie. Widzi przed sobą tajemnicę, odgaduje ją, wietrzy korzysć, drży z niecierpliwości, by ją schwytać, ale sam nie wie jak się wziąć do tego; milczy więc także i w głowie swej przewraca, szuka sposobu jakim by zdołał jak najwięcej wyciągnąć z tej tak szczęśliwej dla niego okoliczności. Gdyby obojętny patrzył z boku na te trzy postacie mimo całego widocznie rozlanego na nich piętna niezwykłości, nie mógłby się zarazem wstrzymać od śmiechu na widok naszego Szumiły, który w stroju dziwacznie zebranych ze świeżo na tandecie kupionych różnorodnych ubiorów, z całym swoim ułożeniem prostackim i niezgrabnym tak silną wywierał przewagę

nad temi dwoma wyższościami towarzyskiemi — prawdziwą przewagę ulicy nad salonem!...

— Kto pan jesteś? — przemówił nareszcie hrabia, widząc nieruchomości Szumiła.

— Kto? — jak echo powtórzyła ciszej hrabina.

— Syn więźnia, który stał pod pręgierzem.

— Syn! — krzyknęli oboje.

— Syn! — zaśmiał się do nich Szumiło szyderezo. Jeszcze jeden wzrok rzucili na niego oboje, w którym ciekawość, przestrach i obrzydzenie następowały kolejno; i hrabia uspokojonym nieco głosem dodał — Masz pan mój adres, proszę jutro do siebie...

Nazajutrz wieczorem była taka hulanka w małej kawiarni, jakiej nie pamiętają ani gospodarstwo, ani pan Piłka; krzyki i śpiewy szalone, jakby w domie warjatów: pan Szumiło trakuje znajomych i nieznanym, przyjaciół i nieprzyjaciół... Ponez, wino, rum leją się potokiem. Zjajany, spocony i spity jak suseł, Szumiło siedzi pośrodku, a krzyczy bez ustanku. „Pić! dawaj pić!...” „Pić!” powtarzają wszyscy krzykliwym echem...

— Więcej szklanek! — woła; i coraz nowe szklanki to pełne, to próżne; bo pragnienie pijaków nienasycone. — Więcej gości!... niech znają, że ich hrabia trakuje! — wrzeszczy Szumiło, a dzwoni złotem, którego pełno w kieszeni...

— Nie pij tyle Karolu! — szeptem kawiarka; — będzie ci szkodzić!... szkoda pieniędzy.

— Nie potrzebuję rad!... idź głupia z radami!... Więcej ponezu! więcej gości — Już ich kawiarnia więcej pomieścić nie może; z ulicy przechodniów zapraszają pijani; to toż zebrało się towarzystwo i liczne i dobrane zaprawdę. Wszystkie fusy i brudy towarzyskie razem; z twarzami na których malują się najobrzydliwsze namiętności; wyszczerza się fałsz z ust pijanych, bo fałsz ich prawdą; wykrzywia bezwstyd i zepsucie z oczów rozognionych trunkiem, a z postaci niezgrabnych, krzyków niesfornych, słów zuchwałych objawia się gotowość do wszystkiego złego. — Pijcie! hrabia was trakuje... bo ja jestem hrabią!

— Ależ Szumiłku drogi — zagadł niski garbaty i zyooki arfiarz uliczny — powiedz jakim sposobem zostałeś hrabią...

— Co tobie do tego, rzempicielu nieznośny...

— Wczoraj Szumiło!... dziś hrabia! — przerwał suchy i wysoki jak cybuch, kelner z pod sroczki w zielonym, brudnym i łatanym kaftanie.

— Szumiłeczku serdeczny! — krzyczy mu w ucho pękaty z małą główką do moździerza z tłuczkiem podobny laborant z apteki, z szarawym fartuszkem w rękę — napijmy się naprzód... a potem odkryj nam, gdzieś zażył to hrabstwo...

— I jakież to hrabia dopytał się do ciebie? — dodał kulawy i połamany jak znak pytania, stary wysłużony nauczyciel tańców w długim ogoniastym fraku, który dziwnie przypominał manjaki na postrach wróblów stawiane.

— Ojciec! co tam ojciec! mniejsza o niego, ojcostwa nie chciał mi dać, i nie wiele tam o tem gadajcie wy pijanice, bo gotów się rozgniewać i nie dać mi nic więcej... ale dał mi hrabstwo... oto jest moje hrabstwo! — i rzucił pełną garść dukatów na stół.

Złotą zazdrością odbiło się złoto w roziskrzonych oczach przytomnych, mimowolnie wszystkie ręce wyteżyły się ku stolikowi, lecz szybkim ruchem Szumiły porwane złoto znikło nazad w jego kieszeni z czystym dźwiękiem, który wszystkich gości polaskotał nielitościwie.

— Wara do mojego hrabstwa! macie poncz! pijcie i wiercie, zem hrabia..

— Niech żyje hrabia! wiwat hrabia Szumiło! — wrzasło całe towarzystwo dobranym chórem z samych fałszywych tonów.

— Karolu! — szepcze dziewczyna na poły uradowana, na poły przestraszona — i śmiać i płakać mi się chce.

— Tak! tak! moja kawiareczko, jestem hrabią i basta... Chodź tłusta Cykorjo, potańczuj z hrabią.

— Hejże! hola! muzyki! chór zawołać. — Uliczna banda zagrała; tylko tego jeszcze brakowało, aby towarzystwo nabrało więcej podobieństwa do potępieńców wyjących w szaleństwie.

— Walca! mazura! poloneza! — krzyczą razem. Pijana muzyka zagrała wszystko razem; i nuż tańcować: Szumiło z Cykorją, cybuch z moździerzem, znak zapytania z zyzem; a wszyscy tańczują za taktom nóg pijanych rącej, niżeli za taktom muzyki; skaczą, wiją się, kręcą jak Derwisze w szale zapalu.

— Karolu zlituj się, nie pij tak, jak mnie kochasz!...

— Ha! ha! — zaśmiał się — jak gdyby hrabia mógł kochać; mój ojciec nie kochał mojej matki, a jest przecie hrabią... pijcie! pijcie!...

— Wiwat hrabia Szumiło!...

— Mój Karolu! czyż ty już mnie nie kochasz?..

— Tfu! — splunął — hrabia kawiarkę!...

— Więc te twoje przysięgi!...

— Hrabia nie dotrzymuje przysięgi!... Weźcie odemnie tę głupią dziewczynę!...

— Nie nudź hrabię! — krzyczą przyjaciele — wolisz pić z nami!... Kto nie pije ten nie żyje!.. Brawo! Brawo! Stańmy tu w koło! — śmieją się skaczą, śpiewają, a piją przedewszystkiem nienasyceń jak beczka Danaid...

— Czy już nic nie pamiętasz?.. ani wiernej i szczerzej miłości mojej!...

— Ja kocham moje hrabstwo!... tu w kieszeni!.. moje hrabstwo tu w szklance!... moje hrabstwo wszędzie tam, gdzie dukatem dostanę... Wiwat moje hrabstwo!...

— Wiwat hrabstwo Szumiły!.. Ponczu! ponczu więcej!...

— Karolu, tyś bogaty teraz!.. ale ja biedna, bardzo biedna, bo moje serce dla ciebie...

— Precz z sercem! dawaj rumu! to mi serce prawdziwe, bo serca dodaje... Nie piszcz mi nad głową; idź do swojego kupczyka, który ci daje po dwieście reńskich!...

— Karolu!... ciszej!... tyś pijany!...

— Ja trzeźwy! nie chcę ciebie i basta!... idź do tego, który pieniądze daje i...

— Ależ ja tobie oddałam je wczoraj...

— Chcesz może, bym ci je oddał?

— Nie chcę Karolu tych przeklętych pieniędzy!...

— I ja też nie głupi oddawać!... Ja cię drożej kupilem niż ten twój kupczyk; ja ci dałem miejsce, dobre miejsce; ty nie wiesz, co może kawiarka; spytaj naszej Cykorji, i ona była kawiarką, nim wyszła na panią; i ona miała amantów, nim zeszła na Pilkę, któremu coś się jeszcze należy odemnie... byleś umiała korzystać!.. jesteś młoda, piękna dosyć!... Otóż takie miejsce, to więcej jak te lichych dwieście reńskich, z których ledwie kapotę sprawilem sobie, aby się przecie zaprezentować hrabiemu ojcu, i hrabinie matce... czuła to była scena; w kościele, bardzo uroczyście! ale motus! bo mi gotowi nie dać więcej pieniędzy, któremi gębę mi zapchali... a więc z tego wszystkiego uważasz dziewczyno, że cię po hrabsku zapłaciłem... prawda panowie koledzy!

— Prawdę mówi, jak prawdziwy hrabia, czuje jak prawdziwy hrabia!... Wiwat hrabia Szumiło! Pijmy — krzyczą, aż pochrypli — hulajmy hracia, to nasz dzień! precz z jutrem!... Wiwat hrabia dzisiaj!... — I śmiech powstał szalony.

Hanusia polyka gwałtem łyż, które jej padają aż na serce. — Karolu ty jesteś okrutny!

— Ja hrabia! ha! ha! ha!...

— Ty jesteś niegodziwy!..

— Ja hrabia! ha! ha! ha!...

— Ty zdrajca!...

— Ja hrabia ha! ha! ha!... — I krzyczą dalej, śmieją się i piją... Szumiło płaci gotówką, sypie złotem, hałasuje, skacze, jakby od tarantuli ukąszony, a pije bez końca, i drugim pić każe, grozi i przymusza.

Wtem przez tłum przesuwa się jakiś posługacz więzień, i donosi mu, że jego ojciec na śmiertelnej leży pościeli. Zachnął się Szumiło, aż kilku pijanych przewrócił.

— Jaki ojciec! ja hrabia! jaki to mniejsza o to; nie macie się czego śmiać urwisze, kiedy wam leją w gardło, i to gratis; powiedz temu drabowi, niech sobie umiera; to mi wszystko jedno, na co fałszował testamenta... posłańcowi dajcie pić, niech wie, że hrabia traktuje.

— Pić nie chcę... ale panie on kona, i zaklina was byście przyszli po błogosławieństwo.

— Błogosławieństwa nie potrzebuję, mam dukaty, jutro jadę na wojaż; a kiedy pić nie chcesz idź do diabła razem ze swoim kryminalistą.

— Wiwat hrabia Szumiło! — dzikim chórem zagrzmieili pijani

i dalej nowe szklanki pija i tłuką, a Szumiło płaci. Wśród tej piekielnej wrzawy słyhać od czasu do czasu żałośne wzdychania biednej Kasi, której po raz pierwszy pojawiła się straszna rzeczywistość z całym uajokropniejszym odczarowaniem, a ta lodem mroząc na zawsze wszystkie szlachetniejsze uczucia, pada zarówno na serce kawiarki, jak i na serce salonowej pani.

Pijana wrzawa trwała aż do rana. Państwo Cykorja i pan Piłka naśmiali się do woli z hrabiego Szumiły, który na drugi dzień znikł z miasta jak kamfora.

Hrabia Alfred odjechał do Paryża zkąd niedawno był wrócił, bo mu w ojczyźnie nudno. Hrabina Malwina wyruszyła do Florencji, bo jej w ojczyźnie zimno. I więzień przemienił pomieszkowanie swoje na lepsze i spokojniejsze... w czasie hulanki pana Szumiły skołał.

DWA ZDYBANIA

(pierw. wyd. 18'4)

I.

Pożeganie.

Jeżeli są jeszcze jakie domy u nas po wsiach, mało jest już takich, jakim był do niedawna dom pani Staroliskiej; bo też i dom, i sama pani starościna, jak ją nazywają, nie z dzisiejszych czasów. Chociaż o mil tylko kilkanaście od stolicy oddalony zachował się w tym samym stanie, w jakim się po raz pierwszy okazał oczom starościny, gdy w poszóstnej karecie wjeżdżała przez sklepioną bramę na brukowany onego dziedziniec. Pan starosta choć już dobrze zaszedł w lata, bo się jeszcze w czasie konfederacji tarnogrodzkiej urodził, syt wolności kawalerskiej i próżnego wałęsania się, poznał, pokochał i poślubił piękną, młodą i niewinną Basię, a na szpakowatym tureczynie, towarzyszył wjeżdżającej małżonce do dworu, który nieboszczyk ojciec kasztelan halicki z gruzów starego zamczyska, przez Tatarów spalonego, wybudował pół zamkiem a pół pałacem. Działo się to w r. 1770; nastąpiły rozterki domowe: należał do nich starosta, uganiał z konfederatami po kraju, rzadkim bywał gościem w domu, aż nareszcie srodze ranny pod Maciejowicami musiał powrócić w ojczyste progi, i tam po kilku latach, wdychając za przeszłością, skonał na rękę wiernie kochającej starościny, otoczony mnogiem gronem dzieci. Przeszła żałoba powierzchowna, choć w sercu została na zawsze; różne przeszły zdarzenia po nad dworem w Lipowie, dni wiosny świetne nadzieją, dni jesieni zachmurzone smutkiem i odczarowaniem!... Ile przez ten czas barw rozmaitych przybierały dwory okoliczne, ile odmian i przerabień? Dwór starościny pozostał niezmienny; darmo synowie i córki, którzy się rozbiegli po świecie znosili w dni zjazdów familijnych nowe przyzwyczajenia, i tak łatwo przystające do nas mody; starościna rada dzieciom, słuchała ich z uwagą, uznawała nieraz pożyteczność nowych wynalazków, nie gniewała się na drugich popęd ku nowościom, cieszyła się nawet postępem oświaty oglądającej wszystko; ale w domu swoim nie pozwałała nic przemieniać, bo jej najmilej było w tym świecie dawnych

sprzętów, sklepionych pokoi, strzyżonych szpalerów, jakby w towarzystwie starych i wiernych przyjaciół, świadków złej i dobrej doli, łez i śmiechu, chrztów i ślubów dzieci, a osobiście ostatnich westchnień starosty; którego pamiętka smutna i wesoła razem każdy kątem domu otaczała urokiem niezrozumiałym dla pokolenia dzisiejszego, lecącego cwałem naprzód. Zaiste uczucie starościny trudnoby nam przyszło pojąć i rozebrać. W dzisiejszego życia bezspoczynkowej gonitwie, w której godzina godzinie nierówna, chwilowe tylko natchnienie odgadnąć może urok starożytnej kościoła nawy, jeżeli przypadkiem wszedłszy do niego zastanowimy się nad całością jego tak ściśle połączoną, że dosyć jest jednej łaty nowego obrazu, by zeszcpecić ogólną piękność. Thorwaldsena arcydzieło, posąg żywy mistrzowskimi dłutem, żywy pamiętką tak wymowną dla nas, jakże szpeci daleko szpetniejsze od siebie groby i rzeźby w katedrze krakowskiej!

To wszystko są słowa; ale by pojąć uczucie starościny, trzeba było koniecznie widzieć ją samą w ulubionej sali marmurowej, tak nazwanej od posadzki, wykładanej płytami marmuru czarnego i białego; tam widzieć ją siedzącą pod olbrzymim kominem, gdzie się nieśmiertelny palił ogień, który nie tyle dawał ciepła, ile sypał iskier, rozścielał barw po ścianach, rodził marzeń rozmaitych; i te krzesła wygodne, poręczowe, ciemne skórą, a jasne strumieniem świecących w koło świeczków, i rozsypanem bogactwem krzewów i zwierząt złotem wyciskanych, i powalę w rzeźby rozmaite, z pomiędzy których jakby z łona hieroglificznych potworów przeszłości wygląda herbowna tarcza z łacińskim sensem moralnym, krótkim ale dobitnym; i obrazy w koło ścian przemawiające mgłą dawnego kolorytu i dawnych wieków, a pod niemi szeregi krzesel z wysokimi i wązkimi poręczami, i w kącie zegar olbrzymi w kształcie starożytnej świątyni pogańskiej z całym systematem planetarnym, którego bieg spokojny, przypadek czy brak zgrabnej ręki tak nagle zatrzymał, że na wierzchniej galeryjce stojący Rzymianin, zdaje się trzymać w dłoni młot podniesiony; by nim na gwałt uderzyć w godzinny dzwon: wszystko to razem tak jest odpowiednie jedno drugiemu, że gdy starościna przebrana w żałobne szaty, które wdziała na siebie, od czasu jak najmłodszy jej syn skonał na matczynych rękach, przemówiła pełnym jeszcze głosem, a słowa niepoplątanemi cudzoziemską składnią i cudzemi wyrażeniami; wówczas dopiero zrozumieliśmy stały się związek ciała i duszy.

W zimie roku 1835 panował ruch niemały w domu starościny, ruch niezwykły w poważniejszej jednostajności dworu lipowskiego. Starościna siedziała jak zawsze przed kominem, którego potrzebą tem więcej czuć się dawała, że wiatrem mroźnym pędzony śnieg tłukł o szyby wysokich sali okien; na pierwszy rzut oka twarz jej wydaje się być jak codzienną, napół poważną, napół obojętną, ale dla uważniej wpatrującego się okazałyby się, w jej oku czystem, jasnym i otwartym, gdzieś w głębi mgła, podobna do chmur śnieżnych na dworze: deszczem łez spłynąć musi, lub cichym śniegiem stłumionego żalu padnie na zboliałe serce. Przy jednym z okien stoi dwóch mło-

dzieńców; podobni wiekiem choć różni wyrazem, jakim ten młody ich wiek z żywych oczu przemawia. Na niższego jaśniejszej i weselszej twarzy zdaje się więcej przemawiać zdrowie ciała, na wyższego zaś chudszych i ciemniejszych licach zdrowie duszy; w błękitnych oczach tamtego spojrzenie jasne, spokojne, jakby blask fali połuszczonej lekkim podmuchaem rannego wiatru; tamtego czoło otwarte i szerokie choć niskie wyrazem dobroduszości zdaje się patrzeć na okolający go świat; gdy drugiego czoło wyniosłe zdaje się sięgać w górę, w niebo!.. Z poza wysokiej poręczy krzesła starościny wygląda twarzyczka okrągła, biała i piękna; zdawałoby się, że to głowa marmurowego aniołka, ze rzeźby kominowej wystająca, gdyby nie blask oczu ciemnobłękitnych, które rzucając spojrzenia żywe i niespokojne prawie, to do okna ku młodzieńcom, to do siedzącej staruszki; gdyby nie białość liców, okraszona rumieńcem życia; gdyby nie usta w półotwarte czy do uśmiechu czy do westchnienia.

Milczenie panuje głębokie w sali; żadnem słowem nie śmieją przytomni przerywać pacierza staruszki, który ta miarkując po ruchu ust, i po powolnem przesuwanu bursztynowego rozańca odmawia w tej chwili. Skończyła pacierz, i oczy pobożnie ku górze wzniesione spuściła pomału w dół; starościna mimo osmdziesięciu lat, miała rysy przyjemne jeszcze, a w tej chwili dziwnie je uszlachetniał wyraz prawdziwej pobożności, który jakkolwiek nieraz lepiej się nam podoba na twarzyczce młodej i pięknej, jednakże najprawdziwiej wydaje się na twarzy sędziwej, jeżeli tylko ta wolna jest od wyrazu brudnych namiętności. Powaga twarzy wiekowej lepiej godzi się z modlitwą, która powinna być wolna od wszelkiego młodzieńczego roztrzepania; i starego modlitwa lepiej jest zrozumiana, bo rozpamiętywaniem zimnem, nie chwilowego zapалу popędem wywołana, a skuteczniejsza być musi, bo o tyle szczerza, o ile starzec czuje się bliższym rozwiązaniu tej ostatniej życia zagadki. Z wyrazem niewymownie słodkim spoczęła wzrokiem na otaczających, jakby radość i pociechę z góry czerpane chciała podzielić między nich; po chwili uśmiechnęła się z lekka.

— I za was modliłam się, moje dzieci, zanadto bowiem roztrągnięone myśli wasze.

— Chyba Władzia — przerwała dziewczyna — i pana Zygmunta, który marzy już o tem słońcu południowem, za którym tęskno mu w ojczyźnie; bo moje przeciwnie...

— Ty modliłaś się? Wawrzyńko! — zapytała starościna rumieniającej się dziewczyny.

— Ja, nie babciu! bo mi żal serce ścisła.

— Żal! — jakby echo odpowiedział głos wyższego młodzieńca.

— Czyż to na wieki! — dodał niższy z wyrazem, któremu darmo dodawał naturalnej swej wesołości; przebijają się w nim odcienie smutniejsze.

— Dzisiaj się mniej modlą — mówiła staruszka dalej, jakby idąc za popędem pierwszej myśli — nie mówię ja, by trzeba ciągle klepać pacierze; dobre uczynki to najmilsza Bogu modlitwa; ale przecież nie odzwyczajajcie się dzieci moje od niej.. krótko ale szczerze!.. w dobrej doli modlitwa jest powinnością, a w złej pociechą!...

— Wierzyć i modlić się! — wyrzekł wyższy młodzieniec z zapalem — są chwile, w których wiara i modlitwa są koniecznością!...

— Byle nie zapalanej wyobraźni! — przerwała staruszka — modlitwa z czystszeo źródła pochodzić powinna: wam młodym modlitwa jest poezją!...

— Najszczytniejszą!...

— Nie zrozumiałeś staruszki, mój młody Zygmunccie!... kiedyś, jeżeli takim dotrwasz jakim jesteś dzisiaj, zrozumiesz różnicę pobożności twojej i mojej!... bądź tylko dobry, a nauką wieku nie wypędzaj uczuć młodzieńczych; tamtę do głowy, a te bierz do serca!... Władzia mego kochaj, i pilnuj jak brata!... wart jesteś być bratem memu Władziowi!...

— Bratem Władzia! — powtórzyła dziewczyna — kochającym bratem... mego brata — dodała ciszej — będziesz nim panie Zygmunccie?... nie prawdaż?... wszak prawdziwy przyjaciel, to więcej jak brat?...

— Więcej! więcej! — z pełnem uczuciem odrzekł Zygmunt.

— Dobry Zygmunccie! — rozczulony dodał Władysław.

— Ty nawzajem Władziu bądź bratem panu Zygmutowi; — ciągnęła starościna poważnie, i nie bez znaków rozczulenia — masz listy rekomendacyjne, które ci matka przysłała, te ci otworzą najpierwsze domy za granicą, i tam nie zapomnij przyjaciela, który godzien zewszecmiar, by z tobą wszędzie bywał: a z tobą, spodziewam się, że pan Zygmunt Orlecki wszędzie dobrze przyjętym być powinien...

Spuścił oczy Zygmunt, a usta ścisnął, jakby ból jaki uczuł.

— Co też babcia powiada?... czyż pan Zygmunt potrzebuje być przez kogokolwiek wprowadzanym...

— Wawrzyńko! Wawrzyńko!... chłopcem powinnaś się była urodzić, tak mi żywością a roztrzepaniem przypominasz mego Kazia, ojca twego. Na to wspomnienie spuściła oczy w dół, i zamarzyła staruszka.

A spojrzenie jakie rzucił Zygmunt na Wawrzynę, było tak wymowne wdzięcznością, aż zadrżała piętnastoletnia dziewczyna.

— Prawda! prawda!... inaczej dziś rzeczy bierzecie, jak je brano dawniej; czy lepiej, nie chcę ja staruszka sądzić; urodzenie poszło dziś w poniewierkę; chcieć urodzeniem tylko błyszczeć jest śmiesznością zapewne; ale wiercie mi moje dzieci, trudniej zbłądzić, gdy się ma przodków imienia i cnoty niepokalanej. Daruj kochany Zygmunccie! tobie przykróś wyrządza; nie w złej to myśli powiedziałam, bo wiesz ile cię cenię; ale szczerą jestem, co w myśli to i na ustach; a potem... może lepiej być pierwszym swojego rodu, niżeli ostatnim; lepiej nieznaną nazwisko sławą ochrzcić, niżeli znane obryzgiwać hańbą, lub głupstwem!... Tobie Zygmunccie rokuję ja sławę...

— Babcia choć o dawnych czasach mówi, a przecie jak powie czasem, to jakby słowami naszych poetów!...

— Pani! dzięki ci za dobre życzenia!... dzięki za opiekę jakiej doznałem; jeżeli talentem moim uzyszczę jaką sławę, tobie ja pani winien będę, ciebie pani czcic zawsze będę...

— Pamięć moją chyba dobry Zygmuncie! moje jutro niepewne!...

— Ja nie chcę babciu, je nie chcę tego!...

— Przy pożegnaniu możemy to sobie powiedzieć; wszakże zawsze do widzenia się dzieci moje!...

— To ja nie pojedę! nie pojedę! ja nie chcę babci porzucać.

— Pojedziesz Wawrzynko, bo tego żąda matka twoja; a rodziców słuchać uczę boskie przykazanie, i ja ciebie uczyłam.

— Ale babcia to więcej jak matka.

— W stolicy lepiej bawić się będziesz, niżeli u starej babki; otoczona przepychem nowożytnym modnego świata, zapomnisz starą babkę wraz ze starym jej domem i staroświeckimi gratami, jak dziś nazywają starych moich przyjaciół.

— Nie zapomnę do śmierci!...

— Byleś nie zapomniała tych nauk, które chociaż czerpałaś ze starych ust moich, równie są dobre, jak gdybyś je z welinowej wyczytała książki; i równie się dziś przydadzą, jak się dawniej przydawały, bo cnota jedna być powinna, i przy naszych wysmianych robronach, i przy naszych fontaziach...

— Ja nie chcę babciu jechać; niech babcia do mamy napisze...

— Jedź moje dziecko! tobie potrzebne towarzystwo; wołałabym może o parę lat później, więcejbyś była ustalona w zasadach dobrych, i więcej uzbrojona do walki: wasze bowiem życie stołeczne to ciągła walka; pamiętaj o tem, nie ufaj temu, co ci będzie przychodzić z przyjemnością i łatwością; wolisz to wybierać, co ci będzie trudniejszym a przykrzejszem; zresztą Bóg czuwać będzie nad tobą, jeżeli mu się oddasz szczerze!...

— Boże mój, Boże! ja się nigdy do miasta nie przyzwyczaję...

— Przyzwyczaisz! i prędko nawet — z uśmiechem odpowiedziała starościna.

— Przyzwyczaisz Wawrzynko! — dodał Władysław chcąc naumyślnie przerwać smutek, który wszystkich ogarnął — balet, teatr, muzyka, a nareszcie młodzi i przystojni kawalerowie jak za, czną zapraszać do mazura i prawie grzeczności, kto wie co od dziś za rok...

— Pfe Władziu! mniemałam, że lepiej znasz siostrę — odpowiedziała, i wyprostowawszy się stanęła w całej okazałości swojej giętkiej, zgrabnej dziewczęco zaokrąglałej się postawy; a, z oczów strzelił wyraz tak pewny, szczerzy i dumny razem, że w tej chwili wydała się o lat kilka starszą. — Pojadę, bo tak żąda matka moja, bo tak każe droga babcia; ale potrafię poznać się na błahych grzecznościach i ocenić wedle ich wartości... za to zaręczam — i podniosłszy rękę z uroczystym wyrazem, rzuciła ku oknu spojrzenie, którego czy przypadkiem czy naumyślnie, najlepsza i najwymowniejsza część padła na Zygmunta.

Starościna zwróciła się ku niej, i z wyrazem niewymownej niespokojności patrzyła na nią.

— Wawrzynko! Wawrzynko! pamiętaj na to, com ci nieraz mówiła: kobieta mniej dumy mieć powinna, a więcej pokory... nie bądź tak pewna siebie!...

— Daruj pani, że się sprzeciwić muszę jej zdaniu, ale sama chwalać otwartość przebaczysz mi; wiara w siebie jest najmocniejszą tarczą kobiety!...

— To poezja! mój młody Zygmuncie! biada kobiecie, któraby innej tarczy nie miała prócz wiary w siebie; za ciężka to tarcza w chwili walki: nie słuchaj go, nie słuchaj Wawrzyńko! a jak przyjdzie dzień walki, rzuć ją od siebie, i złóż ręce do kornej modlitwy.. Mężczyźnie duma i wiara w siebie przystoją, osobliwie tobie Zygmuncie Orlecki; ale tobie moja Wawrzyńko, sieroto bez ojca, wnuko moja wnuko! — Tu uderzyła staruszka dłoń o dłoń, przerwała nagle, i z bolesnym wyrazem rzuciła oczy na przeciwległą ścianę, z której poglądał ku niej portret mężczyzny w żelaznej zbroi; był to portret nieboszczyka starosty, którego każde wspomnienie choć po latach tyłu poruszało boleśnie niepokieszoną wdowę.

Nastąpiła chwila milczenia, w której wszyscy przytomni zamarzyli stosownie do swoich usposobień. Korzystając z tej chwili wypada mi czytelników moich bliżej obznajomić z działającymi osobami. Starościna owdowiawszy, trudniła się wychowaniem dzieci, a gdy te dorosły i pomatu oddaliły się z domu rodzicielskiego, najdłużej został przy niej najmłodszy syn Kazimierz, którego, właśnie może dla tego że najmłodszy, lub dla wielkiego podobieństwa do zmarłego starosty, najwięcej kochać się zdawała; chcąc to ostatnie dziecko swoje zachować przy sobie, ożeniła go wkrótce z panną dobrego rodu, majątną, i jak się zdawało dobrego wychowania... Omyliła ta rachuba starościny; synowa po ślubie odkryła usposobienie zupełnie niezgodne z usposobieniem męża i matki mężowskiej; roztrzepana, zalotna, lubiąca stroje i zabawy, rozrzutna, a przytem niezgodna i kłótniwa, zamieszała spokój domowy starościny: pan Kazimierz choć prędko i gwałtowny, długo znosił przez wzgląd na matkę, później zaczął z domu wyjeżdżać, a w końcu nie mogąc znosić ciągłych niepokojów domowych, wiedziony przytem ułudną nadzieją, która tyłu wówczas Polaków ogarnęła umysły, w napoleońskie zaciągnął się szeregi. Kilka lat wojaczki odbywszy, mocno ranny pod Dreznem powrócił do Lipowa; tam walcząc codziennie z domowym niesmakiem, umarł po kilku léciech czy w skutek ran, czy co podobniej w skutek zniszczonego przez żonę szczęścia i zdrowia: opiece matki polecił dzieci swoje, Władysława i Wawrzynę, których wychowanie porucił jej ostatnią wolą swoją. Co uczuła starościna, Bóg to jeden widział, bo jemu tylko jednemu w samotnych zwierzała się modlitwach; synowa szczęśliwa, iż się mogła pozbyć dzieci jako niepotrzebnych dla niej ciężarów, wyjechała do stolicy, by tam trwonić czas, zdrowie i majątek. Wawrzyna, wolno wychowana pod okiem namiętnie ją kochającej starościny, nabrała tego niepodległego usposobienia z jakim ją widzimy; przytem dobra, otwarta i szczerą, była rozkoszą babki, która z rzadkim na wiek swój rozsądkiem dawała jej nauki na jakie nie jedna dzisiejsza guwernantka z profesji zdobyłaby się nie potrafiła. Tak doszła do roku piętnastego, gdy nagle matka zdająca się dotąd zapominać o dzieciach swoich, przysłała po córkę, którą chciała wprowadzić w salony stołeczne; nie chciała się starościna sprzeciwić woli

synowej, chociaż w głębi duszy bolała na to rozdzielenie, a osobliwie okropne przewidywała skutki, z powodu nieugruntowanych jeszcze zasad wnuczki, które tak łatwo zniszczyć mogły matczyne przykłady.

Zygmunt Orlecki był to syn mieszczanina ze stolicy; poznał się w szkołach z młodym Staroliskim, i zawiązała się między nimi przyjaźń szkolna tak łatwa zwykle, choć trwała nieraz nad inne; a że babce trudno przychodziło odmawiać Władziowi, nierozdzielni przyjeżdżali co roku na wakacje do Lipowa. Zygmunt miał wrodzony talent do malarstwa; jakoż skoro starościna dostrzegła pierwsze młodego chłopca po ścianach i papierach bazgrane próby, kosztem swoim kazala go uczyć w stolicy przez najlepszych mistrzów; talent Zygmunta rozwijał się coraz więcej, i coraz więcej przyzwyczajala się starościna do tego młodzieńca, piętnem wyższości nacechowanego. Wawrzyna żywa i namiętna od dzieciństwa przyzwyczaila się wierzyć w Zygmunta jakby w wyższą jaką istotę, a kochając Władzia, przywiązała się i do przyjaciela jego. Ostatni rok przepędzili obydwaj młodzi ludzie cały prawie w Lipowie, albowiem starościna chcąc dogodzić obydwom postanowiła wyprawić ich razem za granicę. Był to rok szczęścia dla młodych ludzi, rok marzeń szczytnych, rok w którym młode umysły czy w swobodnej rozmowie, czy w samotnem dumaniu, czy w wspólnem czytaniu dzieł najnowszych poili się tą najpiękniejszą i najprawdziwszą poezją: poezją wiosny życia, niezakłóconego ani skwarem lata, ani mgłą jesieni, ani lodem zimy. Lecz ponieważ wszystko przejść musi, przeszedł i ten rok niepowrotny, i przyszedł dzień rozstania. Pożegnanie to musiało być smutne dla młodych ludzi, lecz oni mieli jeszcze nadzieje, któremi barwili przyszłość swoją; jakże okropne być musiało dla starościny, ośmdziesiątletniej kobiety, której wszystkie już nadzieje dawno zasypane mogiłami pamiątek, gdy przyszło żegnać tych dwoje ostatnich najmilszych wnucząt... może na zawsze!...

— Tout est prêt! — ozwał się głos od drzwi wchodowych, i weszła do sali przysłana od matki francuzica, jakaś otyła i stara, ale tak dziwacznie strojem, rużem i przedrzyżnianiem mody odmłodzona, że wydawała się jeszcze śmieszniejszą, aniżeli nią była w istocie; najokropniej odbijała od starego dworu i poważnej starościny; wiekiem tak podobna, a strojem tak różna, wydawała się paszkwilem wysłanym przez świat dzisiejszej mody, do świata mumij, zachowanego w Lipowie.

— Tak, już czas dzieci moje! chodźcie tu wszyscy! niech was pobłogosławie na drogę!... Stanisławie — dodała, i spojrzała raz jeszcze na obraz męża; — to twoje wnuki, pobłogosław je także i módl się za nimi!... Chodźcie tu dzieci moje! — klękły rozczulone wnuczki; a Zygmunt o parę kroków dalej stał z oczami błyskającymi od wewnętrzznego poruszenia. — I ty chodź Zygmuncie! przed błogosławieństwem, jak w kościele wszyscy są równi!...

— Błogosław! — wykrzyknął klękający Zygmunt — błogosław mnie matko, mojej przyszłości!...

— Bądź szczęśliwy Zygmuncie Orlecki, Kochaj moje wnuki, i nigdy im tego nie zapominaj, że ja ciebie kochała. — Złożyła ręce staruszka nad głowami klęczących, i krótkę zmówiła modlitwę. — Bogu was oddaję!...

A gdy powstawali, Zygmunt tak szczęśliwy jakby po odebraniu korony, podał rękę Wawrzynie; jej ręka zadrżała przyciśnięta silnie, a z oczu strzelił wyraz nie tak zaszępiiony pożegnaniem, jak raczej ożywiony przywitaniem niby nowej czy myśli, czy uczucia, czy nadziei!... Jeszcze raz pewne rzuciła spojrzenie na Zygmunta; potem przycisnąwszy ręce do wzruszonych piersi, dobitnym i prawie męzkim wyrzekła głosem. — To błogosławieństwo przyniesie nam szczęście!...

— Amen! — powtórzyli drudzy...

— Comme c'est tendre! — odezwał się paszkwil, przewracając oczyma na wsze boki...

— Żegnajcie się dzieci moje, żegnajcie mnie, i jedźcie w imię boże.

Jeszcze parę spojrzeń, parę uściśnień, lecz nawet kilka, wyrazów w pół urwanych, które uczucie z piersi wyrzucało, i uczucie w piersiach zatrzymywało; jeszcze staruszka obwinęła szyję wnuczki z troskliwością codzienną jakby na przechadzkę wyprawiała — i cicho zrobiło się w sali. cicho jak w kościele, bo staruszka z wrokiem wlepionym w obraz męża modli się; cicho jak w grobie, bo staruszka została już tylko z pamiątką a modlitwą.

Na brukowanym dziedzińcu stały dwa powozy śniegiem oprószone; śnać długo czekają, a w sieniach nieme i wymowne pożegnanie: brata, siostry, przyjaciela; pożegnanie miejsc, w których tak lubo przeszły godziny szczęścia i spokoju; pożegnanie przedmiotów, z którymi zaprzyjaźnili się od dziecka. Tu się kończy przedmowa ich życia; do dzieła kroczyć musi młodzież!... wiosna, igraszki dziecięce, marzenia młodzieńcze zostają w tyle; naprzód dziewico, naprzód młodzieńcze w życie!... Jest to chwila niewymowna, trudna do opisania; każdy ją przeżył, lecz nie każdy świadomie!...

I podał Zygmunt rękę Wawrzynie, siadającej do powozu, w którym znudzona francuzica mruczała nie bardzo eleganckie choć francuzkie przekleństwa... Drżał młodzieniec jak liść wiatrem poruszany; dziewica ścisnęła go silnie za trzymającą rękę, i w tej chwili uczuł zdziwiony i odurzony Zygmunt papier, wsuwający mu się do ręki; nad twarzą powiał oddech młodej dziewczyny, a w ucho wcisnęły mu się słowa:

— Przeczytasz Zygmuncie w Rzymie dopiero!...

Zaskrzypiały sanie jedne i drugie; a za bramą dwa śniegu tumany popędziły w dwie przeciwne strony.

W jednym powozie obok drzemiącej francuzki siedziała Wawrzyna smutna, ale bez łzy w oku; wstydziłaby się płakać, bo dzieckiem wyszedłszy z domu babki, czuje że dziewczicą mężną i silną jedzie w świat nowy...

A w powozie drugim milczenie długie i smutne; wiatr tylko słyhać, który znajomym świstem zdaje się żegnać młodzieńców jadących z zimnej ojczyzny, ku cieplejszemu południowi. I bezmyślnie prawie wyrzekł Zygmunt wpółgłosno :

A ja tęsknię z wieczora,
Z rana tęsknię i płacze,
Bom pożegnał się wczora
I nie jutro zobaczę...

II.

Przywitanie.

Było to jednakże szczególne wydarzenie w salonie lipowskim, które się przytrafiło w lecie roku 1841; bo proszę tylko posłuchać...

Jak to było zwyczajem od kilku miesięcy, siedziała w godzinach popołudniowych gospodyni tego salonu pani hrabina Rowoska, dama dobrze w stolicy znana z dobrego tonu, którego jest nieomylną ochmistrzynią; oparta o kanapę rzuciła książkę, a zadarty swój nos do góry wzniosłszy, zdaje się nie tak marzyć o myśli jakiej jak raczej wietrzyć za nią: tuż koło niej siedzi jej córka, zajęta przerzucaniem świeżo nadeszłych ze stolicy żurnalów.

• Dalej nieco siedzi przy oknie mężczyzna ciekawej ze wszech miar postawy; twarz jego brzydka stara i zgrzybiała nawet, policzki zapadłe, żółtością starego pergaminu powleczone, usta sine, oczy zaś bez wyrazu prawie jak dwa gasnące węgle popiołem starości zasypane ledwie się świeciły przez zgrabne okulary złote; więc to starzec! ale strój jego jakby z ostatniego żurnalu wycięty, pełen wytworności i lekkiej świeżości, barwy sukien żywe, wiośniane, jaskrawa chusteczka skrzydlatym węzłem spleta na wyschłej ztwardniałymi żyłami jakby sękami sterzczącej szyi; bogactwo włosów na głowie ciemnych choć się czerwienieją przeciw światłu, młodzieńcem go być wydają: siedzi nawet na taboreciku tak filigranowym, i tak się lekko o niego opiera, iż prawdziwie dziwić się wypada, jakim sposobem na tak małym miejscu może pomieścić i lata swoje, i ociężałość zgrzybiałego ciała, i podagryczne napady. Gdyby nie wyraz chciwości i namiętności źle wygaszonych, które się wyszczerzają z obwisłych ust jego, zrobiłbym mu zaszczyt porównania go do naszego poczciwego starego zamku krakowskiego, którego sędziwe zarzysy ubrało dzisiejsze pokolenie tak pięknym zielonym i świeżym młodych szkarpów strojem. I siedział młody ów starzec głęboko zajęty czytaniem olbrzymich, prześcieradłowych dzienników zagranicznych.

Owóz dotąd nic nadzwyczajnego w salonie lipowskim, który od roku już przyzwyczał się do tej trójki nierozdzielnej.. proszę jeno słuchać dalej!... Nagle cichość poobiednią przerwało stąpanie mocne męskie i gwałtowne, które nie zdawało się zwiaśtować gościa godnego salonu pani hrabiny; drzwi się otwały z łoskotem godnym karczmę a przynajmniej parafjańskich sąsiadów Lipowa — i wszedł!.. wszedł!.. proszę uważać... nie anonowany jakiś jegomość w paletocie podróżnym. Wietrzący nos hrabiny wyciągnął się naprzód; poszły za nim oczy trójki zdziwionej, a co gorzej, stanął we drzwiach otwartych z wyrazem tak szczególnym, iż trudno odgadnąć, co w nim przeważało, żdziwienie, radość, czy smutek? Stoł jakby przykuty, czyli raczej przelepiony do zielonego sukna, którem dla większej wytworności wybito posadzkę salonu; ogląda się w koło tak niezgrabnie, jaka by w lesie drogi szukał, ani myśli witać siedzącej i zaperzonej gospodyni, która jednakże rzutem oka doświadczonego dostrzegła w podróżnym, paletocie przystojnego, pełnego życia i ognia czarnookiego młodzieńca, z bródką na twarzy świadcząca o lepszej znajomości światowej, niżeli tego dowodził nieprzyzwoitem wstąpieniem swoim do salonu.

— C'est inouï! — rzekła córeczka.

— Et on laisse entrer: — dodała mamunia.

Temi słowy zbudzony młodzieniec szybkim krokiem przyskoczył do kanapy, rzucił damom przelotny ukłon, w którym więcej było istotnej znajomości świata, niżeli chęci brylowania, i wyrzekł głosem nadzwyczajnie dźwięcznym.

— Panie darują memu roztargnieniu, ale wszedłszy w to miejsce, tyle myśli i przypomnień tłoczyło mi się do głowy, iż prawdziwie odszedłem od siebie; już tak dawno nie byłem tutaj... tak dawno! — dodał po chwili, rzucił się na krzesło i uderzył w głowę jakby chciał odegnać przykre myśli swoje.

Spojrzały damy po sobie z zadziwieniem trudnem do opisania i posuniętem aż do pół przestachu; stary elegant zaczął pomalutku zbliżać się do kanapy z przezornością kota.

— To bardzo pięknie! — przemówiła hrabina — mais..

— Mais — powtórzyła córka.

— Qui êtes vous? — dodała matka.

— Przebaczcie panie, ale mniemałem być im znajomym, mniemałem, że mnie panie poznają, choć lat tyle minęło.

— Zareczam... zapewniam pana — odpowiedziała hrabina, która prawdziwie mimo całej światowości swojej nie wiedziała, co jej mówić wypada, mając bowiem wzgląd na ułożenie nieznanego, mogące zwiaśtować ważniejszą nad pozór osobę, bała się, by się nie nadto wymówić — Je suis très charmée ale je n'ai pas l'avantage; Mariette vous connaissez monsieur?

— Mnie się zdaje, że my na komedji — odrzekła dowcipna Marysia.

— Jestem...

— Bon jour ma tante! — ozwał się głos od drzwi wchodowych.

— Vous êtes bien aimable ma nièce, żeś o nas nie zapomniała.

Na ten głos młody, niewieści, jakby elektryczną iskrą poruszony, skoczył młodzieniec z siedzenia swego, chciał pobiedz ku wchodzącej; lecz postrzegłszy wyraz zimny, obojętny i prawie zadziwiony na pięknej twarzy, stanął nagle i z widocznym rzekł przymusem: — Te panie mnie nie poznały; panna Wawrzyna zechce łaskawie..

— Wawrzyna! — z uśmiechem pełnym złośliwości powtórzyła hrabianka — cóż to za Wawrzyna?..

— To po polsku — odrzekła matka pogardliwie — zamiast Laury, dobre słowo w botanice.

— Zechce łaskawie przedstawić mnie tym paniom — ciągnął młodzieniec dalej.

Nowo przybyła rzuciła wzrok długi i przeciągły na mówiącego; z twarzy nie zrozumieć czy go poznała, z ciągłą bowiem obojętnością zrzuciwszy kapelusz podróżny, przystąpiła bliżej i rzekła:

— Tak jest w rzeczy samej, nie mylę się, to pan Zygmunt Orlecki, towarzyszył podróży biednego Władzia, que je vous présente ma tante.

— Pan Orlecki! — przeciągnęła matka.

— Pan Orlecki! — powtórzyła córka.

— A przypominam sobie, de vous avoir vu au feu starościny matki mojej; pan z zagranicy powraca? słyszeliśmy wiele o jego talencie malarskim.

Zygmunt nie odpowiedział, nie wiem czy słyszał nawet słowa, których tylko głos niewyraźny dochodził uszów jego; on patrzył w lica pięknej Wawrzyny, która stała o parę kroków od niego w całej okazałości rozkwitłej urody dziewiczej, patrzył w lica białe jak marmur, i jak marmur nieruchome: żaden rys przelotny nie zdradza jej myśli wewnętrznych, bo tam na czole jakby wieńca królewskiego brylanty świecą: duma, obojętność i wiara w siebie. Piękniejszego posagu nie widział Zygmunt w całej podróży swojej.

Przez usta niepięknej i dawno przekwitłej Marysi przeleciał uśmiech szyderycy. — Ja nawet widziałam jeden obraz tego pana; podobno trzy parki snujące nic życia bardzo naturalnie; osobliwie udały się panu nożyce... te nożyce — i świszczącym uśmiechem zakończyła koncept, którego dowcip by zrozumieć, trzeba było wiedzieć, że ojciec Zygmunta był krawcem.

— Soyez le bien venu! — przerwała matka — mój salon otwarty dla wszystkich talentów: grace à Dieu minęły czasy, w których uważano na urodzenie; za feu starościny matki mojej to jeszcze z herbazem w rękę przyjmowano gości do tego samego salonu.

— Pani starościny arystokracja — odpowiedział Zygmunt — była arystokracją aniołów; o znam ja ten salon! — i jeszcze się raz obejrzał, lecz w pamięci już tylko mógł go poznać, tak przez jeden rok potrafiła hrabina zmienić dom lipowski, który po śmierci starościny działem spadł na nią. Obrazy poszły precz, na strych zapewne, ich miejsce zastąpiły obicia w świecące szerokie kwieciste pasy, a meble zaś u hrabiny rokoko; a przecież to rokoko, co niby ma być powrotem do starożytności, jakże się różni od prawdziwego dawnego przystrojenia, rzeźbami i kształtem niezgrabnie naśladowanym, zdaje

się przedrzeźniać owe dawne sprzęty, których najlepszą ozdobą był istotny pożytek i trwałość, zdaje się, że jędrne mocne wyroby dawnych rzemieślników, jakiś naśladowca nieudolny rozdarł, rozdzielił, rozszturował, wiatrem nadał. by sterczały na te tysiączne rznięte, dęte i krajane meble, na których niebezpiecznie siadać ku pełnej wygodzie.

— Dziś te arystokratyczne przemieniły się czasy; my innego jesteśmy zdania; najlepszy tego dowód w naszej pan widzisz familji; ma fille à épousé pana Widmot, który był un des premiers medecins w Londynie, que je vous présente ici.

Zygmunt darmo słuchał, on nic nie rozumiał, bo nie mógł zrozumieć wyrazu na twarzy pięknej Wawrzyny, którą słyszeć i widzieć tyle dni, miesięcy i lat żądał; on nic nie widział, choć się w koło oglądał, bo nie mógł dostrzedz na twarzy pięknej Wawrzyny tego wyrazu, o którym jadąc do ojczyzny marzył dnie i noce. Jemu się zdawało jakby był w pół obudzony, i co sen, co rzeczywistość, pojąć jeszcze nie może, w głowie mu się mąci, serce bije namiętnie, oczy rzucają tak ogniste, tak gorące spojrzenia! a przecież posągowa oziębłość pięknej Wawrzyny nie topnieje przed tym ogniem, przed pigmalionowemi spojrzeniami jego piękna nie ożywia się Galatea: i chce obudzić się, domyśla się, że w tym salonie Wawrzyna inną być nie może, ale w samotnej chwili!... o tak on zdybie dawną niewinną Wawrzynkę; wszak jeżeli się nie myli, tylko co rzuciła choć przelotne ale naumyślnie ku niemu zwrócone spojrzenie... Czy co było w tem spojrzeniu czy nie?... on malarz, poeta, młody, marzony swój raj w niem widział, i uspokoił się na chwilę, a postanowił mężką wolę zrzucić z siebie ten pozór niezgrabności tak nieprzyzwoitej w salonie zacnej hrabiny.

— Pan zapewne osiedlić się zamysła w ojczyźnie — zagadł pan Widmot zdejmując złote okulary — i sprawiedliwie, talentem zarabiać to bardzo pięknie, a jeszcze piękniej do ojczyzny przywieść zarobiony kapitał, aby nim rozsądnie działając...

— Teraz jest wiele dóbr do przedania — ciągnęła pani domu.

W tej chwili kiedy Zygmunt myślał właśnie nad odpowiedzią stosowną i ku hrabinie się zwrócił, spojrzała na niego Wawrzyna z uwagą niezwykłą.

— Ja myślę, że nie talent bogaci, ale raczej usposobienie osobiste, które nie zawsze bywa skłonne do składania kapitałów; wielu znałem artystów za granicą, którzy więcej dla sławy niż dla złota pracowali...

— Mais c'est très beau, ale pan jesteś zapewne pour l'utile!...

— Ja mniemam, że w tej mierze najlepiej byloby połączyć pożyteczne z przyjemnem... Ale nadto długo już trwa roztargnienie moje, które mi pozwoliło wejść w stroju tak zaniedbanym...

— Będziemy mieli dzisiaj wieczorem une petite reunion; tak sobie po wiejsku... nous vous attendons Monsieur — dodała z ukłonem prawie żegnającym: a gdy wyszedł pan Zygmunt, hrabina obróciła się do bratanki, i rzekła z wyrazem pełnym pogardy. — Ten twój malarz jest goły jak uważam.

— Szkoda, bo wcale nie brzydki; nieprawdaż ma cousine?...

— Dla czegoż tak jesteś milcząca dzisiaj, czyś nie słaba Lorko?...

— Myślałam w tej chwili o Władziu, którego mnie pan Orlecki żywo przypomniał...

— Jakkolwiek zdaje się być goły, wypada go zatrzymać — dodał Widmot idąc do swojego stolika — niech nam przynajmniej kilka obrazów wymaluje; czytałem w konstytucjonelu rozbiór jednego obrazu historycznego, który był na wystawie w Paryżu, i wielce się podobał: konstytucjonel całe dwie kolumny napisał o młodym Orleckim; Anglik jeden kupił ten obraz za 20.000 franków.

— Vous avez raison monsieur Vidmot; il faut exploiter ce talent, a ty kuzynko pomożesz nam do tego...

— Ja? — zapytała, i po raz pierwszy od czasu wejścia do salonu twarz jej ożywiła się lekkim ledwie dostrzeżonym rumieńcem — żartujesz sobie Marysiu, ale czas uchodzi, trzeba pomyśleć o tualetcie...

— Warto nawet moja Lorko; będziemy mieli kilku panów, ale jakich? nie powiem, bo to siurpryza dla ciebie...

— Une pauvre surprise assurancement...

— Au contraire ma cousine; une bien riche.

By zrozumieć uczucia jakie miotaly Zygmuntem przez czas strojenia się na bal, trzeba by się wcielić w to usposobienie jego namiętne i burzliwe; wejrzeć w to całe życie artystyczne jakiemu się oddawał przez sześć lat niebytności w ojczyźnie; te życie podrózne pełne poezji istotnej i wymarzonej; całe tygodnie poświęcone pracy pożytecznej, połykającej wszystkie siły żywotne młodzieńcze, a w nagrodę całe miesiące oddane marzeniom poetycznym, nieba włoskiego, gór Szwajcjarji, najpiękniejszych dzieł sztuki, które pojąć i zrozumieć Zygmunt umiał doskonale. I przez ten cały czas jedna myśl towarzyszyła mu do pracowni, wlewała mu się w pędzel, w doborze barw jaśniała, w wyborze przedmiotów przewodniczyła, do pracy nagliła, i pracy była najmilszą nagrodą; i przez ten cały czas jedno uczucie grało w piersi młodej, żadnym fałszywym oddźwiękiem niezepsutej, jedno na fali morza adriatyckiego, jedno na szczycie Alp, jedno i niezmiennione w towarzystwach żyjących i ponętniejszych dla niego towarzystwach posągów i obrazów!... A dziś czemże przyczepić tę nić złotą myśli do rzeczywistości; jakim uczuciem spoić wczoraj i dzisiaj... Nie opisać zimnemi słowy tego stanu, którego on sam nie jest dokładnie świadomy!...

Zjeżdżali się goście, i zaczął się bal; wszedł w towarzystwo młody Zygmunt. Zgroza go przejęła; na salę balową przemieniono galerję wychodzącą na ogród, rodzaj staroświeckiego krużganka, w którym za starościny pozawieszane były stare zbroje i obrazy rodowe i historyczne razem, bo dzieje przodków starosty ściśle wplątane były w dzieje ojczyste. Znikły zbroje, znikły stare obrazy; ich miejsce zastąpiły nowożytne malowidła, sztychy, litografie!... Jeszcze więcej cudzym ujrzał się Zymunt w tym domu, który mu tak długo zastępował miejsce gniazda ojczystego; tu w tej galerji gonil pierwsze swe myśli, banki mydlane; tu widok zbroi dawnych uszlachetniał duszę jego; widok obrazów rozruszał pierwszą iskrę talentu; tu on przeżył tyle chwil swobodnych, bogatych w rojoną przyszłość, a nie-

powrotnych!... Towarzystwo mu nieznanne; wśród ludzi jak w pustyni szuka twarzy człowieczej!... Są stroje, kwiaty, brylanty, jakby w pierwszym salonie ukształconego świata, ale rozmowa... Zimno biednemu poecie, malarzowi!...

Długo szukał, zdybał nareszcie; nieśmiały stanął przed nią, chciałby uklęknąć jak przed królową, chciałby uścisnąć jak siostrę lat młodszych; ucałować jak towarzyszkę podróży, marzeń i pracy. Śnać grzeczna Wawrzyna zlitowała się nad nieśmiałością jego, i przemówiła do niego głosem, owym głosem, który mu ciągle z ojczyzny przez góry i przestrzenie dolatywał zawsze żywy, zawsze dźwięczny, zawsze miły.

— Pan Orlecki daruje moje przywitanie; byłam zmieszana tyłu razem pamiątkami przeszłości...

— Więc nie zgasły te pamiątki? — wykrzyknął...

— Czyż przyjaciel brata mego może wątpić?... — Wtem rój młodzieży, który zdala okalał piękną Wawrzynę, zbliżył się do mówiących. — Spodziewam się, że pan nie gniewasz się na mnie, a na dowód nie odmówisz pierwszego kontradansa — i znikła jak widziadło w chmurze czarno strojnej młodzieży...

Po chwili zagrała muzyka; z trudnością przepychał się Zygmunt przez cudze sobie tłumy, które go ciekawemi mierzył oczyma. Ułamki słów w koło niego mówionych ledwie go dochodził, a szkoda! z nich bowiem byłby się dowiedział jak ważną dla wielu ciekawych jest figurą.

— Kto to taki? — pyta jedna i druga matka obciążone córkami, wiszącymi u boku jak pełne prześcigle, upadkiem grożące grona obok wysychającego drzewa rodzinnego.

— To cudzoziemiec!...

— Coś ma szlachetnego w sobie...

— Jakoś mu źle patrzy z oczów.

— To bogacz — wrzeszczy do ucha jeden nowiniarz żartobliwy.

— To hołysz! — szepce głosem trąbki drugi złowieszczy nowiniarz.

— To śpiewak włoski!...

— Mamo! mamó! niech on ze mną śpiewa, Idolo mio z Tankreda — powiada parafianeczka, która przed dwudziestu jeszcze laty była w stolicy.

— To poeta!...

— Brawo! będzie nam deklamował!...

— To książę incognito!...

— O mój Boże jaki on ładny, jak ten Apollo co tu wisi! — Bym nie zapomniał, powiesiła go hrabina w miejscu naszej dzielnej Chrzanowskiej.

Przepchał się nareszcie, i pociągnął odważnie jak po swoją, po rękę ślicznej Wawrzyny...

— Je danse avec Monsieur — rzekła mu głośno; a ciszej: — nie mogłam temu panu odmówić — i poszła do figury z owym jego-
mością, którego część najważniejszą stanowił okrągły choć obcisły
brzuszek usadowiony na dwóch cienkich nóżeczkach.

— Kto jest ten pan? — zapytał Zygmunt ze zgrzytnieniem
stojących dwóch młodzików z długimi utrefionymi włosami na głowie,
jakby u dzieci małych.

— To pan Bożycki!.. nowa spadła na niego sukcesyja, po ja-
kimś tam wujaszku; mówią, że będzie miał teraz ze dwadzieścia
tysięcy czerwonych złotych dochodu...

— A ojciec jego golił brody!..

— Szczęśliwy! — westchnęli obydwa... Jeden z mówiących
był hrabia goły, drugi książę jeszcze golszy: usłyszał ich nazwiska
Zygmunt i zadrżał... Ból czuje jeszcze większy w sercu, ale głowa
zaczyna już lepiej rozumieć! Ucieka; zatrzymuje go w drodze nowy
ścisk; kilku parafrzańskich sąsiadów hrabiny, co poznać po kroju fra-
ków nie tegorocznych, a minach rześstych i rubasznych rozmawia
między sobą.

— Głupstwo!.. nie warto polować; skóra lisia po niczemu...
o zajęcza nikt nie pyta nawet...

— A jak posłać do miasteczka zająca lub dubelta, nikt kupić
nie chce...

— Mówią nawet dobrodzieju, że już za wilki płacić nie
będą.

Włosy na głowie Zygmunta powstały; i tu pieniądze!.. Goni
dalej po sali, szukając spoczynku, i natrafił na grono nietańczących
dziewcząt, stojących razem jakby klomb kwiatów...

— Wierz mi moja Stasiu — mówi jedna — ja to słyszałam od
papy: zadłużony po uszy...

— Ależ powóz, konie, pierścienie...

— To pożyczone na lichwę — zagadła gruba do ściśniętego
przez pół worka podobna dziewczęta głosem basu...

— Wolę ja Ferelskiego; konie w starych chomontach; koczyk,
jak ciotunia powiada, Dangłowski jeszcze, ale ma dukaciki w szkatule...

— I wiesz Zosiu, gdzie je chowa?..

— Gdzie?... gdzie?... gdzie?..

— Nie mogę głośno powiedzieć — i zaszepiała do drugiej...

— Pfe! to nie może być! — Śmiech wesół powstał, a Zygmunt
zadrżał, widząc jak daleko przez czas jego niebytności posunęło się
wykształcenie w jego ojczyźnie: skoczył jakby od gadziny ukąszony,
aż się wszyscy obejrżeli na niego.

— To aktor pierwszy w Paryżu! — szeptał nowiniarz żarto-
bliwy...

— Strzeżcie się panie, to warjat, uciekł z Pijarów — mruzczał
nowiniarz złowieszczy...

Oparł się Zygmunt w ostatnim oknie galerji: same pamiątki, same odczarowania... tu z tego okna, ileż razy patrzył tam na staw, na ogród; ile razy czarujący ten widok pokazywał Władziowi, Wawrzynie; tu nieraz śpiewali razem, tu poezje pamiętane dodawali do poezji widoku, do poezji księżycy, wody i młodego wieku!... Gdzie ta przeszłość?... gdzie nadzieje rojone? gdzie te dawne obrazy?... i żywo obrócił się do ściany, bo tu na niej, naprzeciw tego okna wisiał ulubiony młodego Zygmunta obraz przedstawiający księcia Józefa Poniatowskiego skaczącego w rzekę... Patrzy; i ściana to samo mu odpowiedziała, co mu od czasu przyjazdu do Lipowa mówi ciągle całe towarzystwo — pieniądze! zamiast dawnego obrazu widzi portret sztychowany męczyzny w czarnym fraku z wyrazem zimnym choć dowcipnym na twarzy; a podpisano wielkimi literami, imię jakiegoś bankiera. Różnica przeszłości i terazniejszości stanęła mu żywo przed oczy; różnica starościny i hrabiny, towarzystw dawniejszych i dzisiejszych; nadziei i rzeczywistości!... Zbiegł schodami do ogrodu, i znanymi ścieżkami pogonił ku pawilonowi, który niegdyś wystawił pan Kazimierz, najmłodszy syn starościny, a w którym przed swym wyjazdem za granicę mieszkał sam z Władysławem Starolskim; przeszedł kilka pokoi, raptem stanął; rozrzuconych parę strojów kobiecych, gotownia pełna fraszek ładnych, lekkich i wonnych zdawały się świadczyć, że tu niewiasta jakaś mieszka: od wchodu dał się słyszeć szelest, i wbiegła Wawrzyna trzymając w ręku girlandę z kwiatów, która się odpięła z głowy w czasie tańcu... Zdziwieni stanęli naprzeciw siebie!...

— Przeznaczenie nas tu przywiodło! — wyrzekł głosem pewnym Zygmunt; przed tą chwilą stanowczą, tak długo wymarzoną, drżał nieraz Zygmunt jak mała dziewczynka przed pierwszą spowiedzią, ale teraz miotany niepewnością i przeczuwaniem złego, gorszego nad najgorszą pewnością, stał się śmiały — tak jest przeznaczenie!... Wawrzyno! Wawrzyno! wszak tyś się nie zmieniła, gdy się tak okropnie w całym domu wszystko przemieniło...

— Prócz twojej panie Zygmuncie porywczosci namiętnej — odpowiedziała z zimnym choć słodkim uśmiechem...

— Wawrzyno! mów do mnie jak dawniej; pamiętasz tu w ogrodzie, w zamku, ach! wszędzie są pamiątki naszych rozmów dawniejszych; pamiętasz chwilę przy stawie, kiedy nie pomnę jakim czy słowem, czy wzrokiem twoim do rozpaczki przywiedziony, chciałem się rzucić w wodę: i mówiłem albo ty, albo grób! — a tyś Wawrzyno głosem tym samym co dzisiaj powiedziała zatrzymując za rękę: Mnie!... mnie! powtórzyłaś; Bóg to słyszał, a Władzio nas uściskał!...

— Panie Orlecki ja to pamiętam, żeś był przyjacielem mego brata, biednego Władzia mego!... żegnając go, czyż mogłam powiedzieć, że go już nigdy nie zobaczę...

— Na moich rękach skonał!... O Boże! ty widzisz, co cierpiałem...

— Śmierć jego przyspieszyła zgon babki naszej... wkrótce potem i matka moja...

— On mi był bratem do ostatniej chwili... i czy wiesz Wawrzyno jakie były ostatnie słowa jego? Bracie! rzekł: Wawrzynki szczęście tobie polecam... I przysiągłem, twoje szczęście okupić własnem; powiedz Wawrzyno! chceszli bym cię porzucił, chcesz bym zginął?... bo zawsze, zawsze powtarzać będę... ty albo grób!... Powiedz! powiedz! słowo, jedno słowo, Wawrzynko moich marzeń, powiedz!...

— Wtenczas bylam Wawrzynką, i wolno mi było myśleć i czuć jak Wawrzynka...

— A tenże list pamiętasz? list przy pożegnaniu mi dany; na sercu go trzymałem mojem przez całą drogę; biciem tegoż serca chciałem przyspieszyć podróż, by prędzej stanąć w Rzymie... Otworzyłem!... gdybyś wiedziała roskosz jaka mnie przejęła! jam w tej chwili wolność moją tobie na wieki zaprzedał... Tu! tu jest ten sam list!... Wawrzyno słuchaj!... „Zygmuncie! ja ciebie kocham, kocham nad życie; pierwsza ci to mówię, bo taka miłość jak moja dziecinny nie powinna kłaść się wstydem. Chcę byś list ten w Rzymie przeczytał; tym bowiem sposobem pierwsza może myśl twoja nie będzie poświęcona dziełom sztuki, do których się spieszysz: a za sześć lat kiedy już tak długo macie zabawić, jak wrócisz, zastaniesz niezmienną i wierną do śmierci oblubienicę twoją Wawrzynkę“...

— Wawrzynkę! — powtórzyła głosem tak zimnym, aż dreszcz przebiegła przez kości Zygmunta. — Panie Orlecki, sześć lat doświadczenia powinny cię były nauczyć, że co przystawało Wawrzynce i Zygmuntkowi dzieciom, to nie przystaje Wawrzynie Staroliskiej, i Zygmunтови Orleckiemu, dziewicy i mężowi...

— A jeżeli to doświadczenie nic mnie nie nauczyło? Wawrzyno, zastanów się nad tem co mówisz; sześć lat minęło powiadasz!... a wieszże o tem, że przez całe te sześć lat ja pracowałem dla ciebie tylko, ja marzyłem o tobie tylko, tobą żyłem, nadzieją widzenia ciebie... Słuchaj! jeżeli mój pędzel uzyskał nieco sławy, to dla tego, że rysy twoje, uczucia moje i nadzieje rzucał ognistemi barwami na płótno!... Zobacz jeno!... najpiękniejsze obrazy moje są te, w których ty, zawsze ty! Wawrzyno czy z piany morskiej występująca!... zawsze ty! czy w koronie książęcej, czy w szacie pastuszej, czy w wieńcu męczeńskim; i te obrazy wszystkie są moim skarbem!... Garście podtego złota odrzucałem, bo to moja własność... i dla tego Wawrzyno ja nie mam kapitałów, ja nie mam za co kupować majątku ani w ojczyźnie, ani w obczyźnie, ale mam serce!... takie serce, które sześć lat przetrwało wiary niezłomnej, nie jestże droższem nad złoto, nad urodzenie?...

— Panie Zygmuncie! ty byłeś i jesteś poetą; całe twoje uczucie jest poezją, jest pięknem zapewne cackiem twojej wyobraźni, ale kruchem cackiem zawsze: rzeczywistość innemi przemawia do ciebie słowami. Dla ciebie panie Zygmuncie życie przeskakujące ze zbytku do nędzy, z pałacu do lepianki, z opery włoskiej do puszczy odludnej:

dla ciebie, ponieważ tak sobie wybrałaś życie pełne poezji, życie pełne ułudy: dla mnie kobiety, w zimnej Polsce urodzonej, kobiety zwyczajnej, codziennej, dla mnie życie spokojne i wygodne; smutno to powiedzieć i przykrem ci się to wydać może, ale tak jest w istocie: dla ciebie sława, dla mnie majątek. Ty bez sławy żyć nie możesz, a ja ci powiem szczerze, bez majątku nie obejdę się.

— Wawrzyno nie chcesz, bym się tobą brzydził, tobą, którą ubustwiałem..

— Przesady poetyckie mój panie Orlecki, z jednej ostateczności przeskakujesz do drugiej; bądźmy rozsadni!... Wierz mi mój Zygmuncie, ja ci szczerze sprzyjam i pamiętam naszą przeszłość dziecinną jak sen piękny, najpiękniejszy może, piękniejszy od tego wszystkiego, co mi dotąd dało życie rzeczywiste, ale zawsze sen tylko! a juźciż musimy żyć na jawie. Chcę twojego szczęścia, i dla tego właśnie nie chcę do twego podróznego życia lekkiego pakunku wymagającego przyczepiać ciężar żony, wziętej z salonu miejskiego; ja się mój przyjacielu nie pomieszczę w austerji kalabryjskiej tak bogatej dla ciebie w dziką poezję, a tak ubogiej dla mnie w konieczne wygody: w twojem życiu inny jest rachunek, a w naszem zupełnie inny; waszą monetą są chwile, naszym pieniądzem po prostu złoto i banknoty. Patrząc na mnie zdziwiony, nie pojmujesz mnie, ja ci jednakże szczerze mówię i fałszu nie używam naprzeciw przyjacielu mej młodości; mam piętnaście tysięcy czerwonych złotych majątku, to wiele na kilka chwil waszych, to bardzo mało na moje życie, strojów, salonów, powozów, koni i brylantów; przez chwilę jedną pędzłem zarobisz, przez drugą chwilę wyrzucisz za okno i będziesz przecie szczęśliwy; a ja do szczęścia mego potrzebuję koniecznie męża, któryby miał czystego i pewnego dochodu najmniej dziesięć tysięcy dukatów.

— Wawrzyno, ty jesteś okrutna!...

— Ja jestem szczerą i nie poetką! Zygmuncie masz rękę moją, uściśnij ją po przyjacielsku.

— Precz! precz z nią! — a po chwili w której wszystkie żyły jego drgały jakby pęknąć miały, dodał, — bodaj czego nie dotkniesz zamieniło się w złoto!...

— Dziękuję za życzenie, byłabym wówczas szczęśliwa! — rzekła z uśmiechem, i przypiąwszy szybko girlandę do głowy, znikła.

A gdy bal się skończył, nie było już Zygmunta w Lipowie.

W rok potem siedziała trójka w salonie; Wawrzyna nadjechała jak przed rokiem; panna dotąd, chociaż miała starających się po pięć, sześć nawet ośm tysięcy dukatów dochodu, nie poszła przecież za mąż: zawsze zimną i obojętną, ni uczucia bólu, ni rozkoszy nie widać na obumartej twarzy.

— Jeszcze rok! — mówiła do ciotki, — a spuszczę obrachowanie moje na osiem tysięcy dochodu.

— Słuchajcie! słuchajcie! — krzyknął pan Widmot — wiadomość z Algieru. Dnia 7. maja na forpocztach zginął słynny z talentu

malarskiego Polak nazwiskiem Zygmunt Orlecki; twierdzą, że umyślnie narażał życie, które mu się sprzyrzyło z przyczyny nieszczęśliwej miłości, powiadają nawet, że jakiś list kobiecą ręką pisany znaleźli przy nim.

— To nasz przeszłoroczny jegomość w paletocie, — ozwała się ciocia.

— Szkoda go, c'était un belhomme! n'est-ce pas cousine?

Wawrzyna nic nie odpowiedziała, twarz pozostała zimna i obojętna jak dawniej, ale złośliwa pani Widmot mówiła później przed matką, że widziała łzę w jej oku...

PRÓŻNIAK.

(Pierwsze wydanie 1856 r.)

PROZMIAN

(Przewodnik w czasie 1898 r.)

I.

Bohater występuje w szlafroku i w pantoflach.

— Szymonie! — zawołał pan Gabin, podnosząc głowę z poduszki. — Szymonie! — krzychał głośniejsz po krótkiej chwili, żadnej nie odbierając odpowiedzi, a oczy jego patrzyły ku drzwiom, zdziwione i przestraszone.

Chwilę czekał, a gdy Szymon nie dawał żadnego znaku życia, zerwał się pan Gabin, usiadł na łóżku, i z gwałtownym ruchem spojrział na zegarek kieszonkowy, który na ścianie nad łóżkiem spoczywał, miękko zawieszony na poduszczyku jedwabnej, barwy niegdyś białej, dziś już popielatej, z dwoma gołąbkami czekoladowymi, które coś manipulowały koło różowego serca z zielonemi cyframi. Była to pamiątka, jak łatwo pojąć, haftowana piękną jakąś rączką dla pana Gabina.

Widok zegarka zdawał się go jeszcze więcej poruszać. Jakoż gwałtownym ruchem stanął na nogi, odział się w szlafrok o barwach jaskrawych z chińskiemi figurkami, nasadził pantofle w arabeski haftowane, i poleciał co prędzej do biurka, na którym stał wielki zegar staroświecki. Oczy jego ledwie nie wybiegły mu na wierzch z przerażenia.

— Ósma! — mruzczał sam do siebie.

Dla większej pewności pobiegł z pokoju sypialnego do bawialnego, gdzie na ścianie wisiał inny, bronzowy zegarek. Nie tylko oczy, ale i uszy jego przeświadczyły się o niezawodnej prawdzie. Różnemi głosami wydzwoniły naraz trzy zegarki ósmą godzinę, bo pan Gabin posiadał w przedpokoju trzeci jeszcze zegarek drewniany z ogromnemi wagami. A wszystkie najregularniej nakręcone o jednym były czasie.

— Ósma! ósma! — powtarzał, rozpaczliwe w koto siebie rzucając spojrzenia.

Wbiegł do przedpokoju, niema nikogo. On do drzwi, drzwi zamknięte. Stał przez chwilę jak wryty. Po twarzy pana Gabina widocznie poznać można było, że to całe zdarzenie ranne było nad jego pojęcie.

— Szymonie! — zawołał raz jeszcze, głosem drżącym z wielkiego zmieszania.

Nadaremnie; o Szymonie ani słychu, a drzwi na klucz zamknięte. Wrócił nazad do sypialni, i zaczął biegać po niej coraz niespokoj-

niejszy, zatrzymując się od czasu do czasu i natężając uszów, ażali nie usłyszeli tylekroć wołanego Szymona.

Snać nowa myśl zaświtała mu w głowie. Skoczył bowiem ku biurku, gdzie nad zegarem, pod wielkiem zwierciadłem wisiał ścienny kalendarzyk. Przekonawszy się o godzinie, chciał zapewne przekonać się o dniu.

— Co, poniedziałek? — zawołał pytając sam siebie. — Wszak to wtorek? wtorek przecie!...

Na dobitkę nieszczęście dnia tego, pod tak smutnemi wróżbami poczynającego się, pokazało się, że wysuwany kalendarzyk nie nastawiony, co przecie od czasu, jak siebie pamięta, odbywało się u niego codziennie wieczorem. A może raczej można było nazwać to szczęściem, bo się pan Gabin wziął co rychlej do uregulowania kalendarzyka, co mu nieco czasu zabrało i zajęło zniecierpliwionego. Po kalendarzyku pokazało się nieco prochu na zegarze, a więc zetrzeć go należało. Nagle, oczom swoim wierzyć nie chce; to wyraźnie dzień feralny! Kałamarz zsunięty z podkładki papierowej, a czerwony ołówek zamiast na prawej jak zwykle, na lewą stronę jak najniedbalej rzucony.

Nowe przerażenie, nowych kilka minut zajęcia. Lecz i to się skończyło, a czas nieubłagany uchodził bez litości.

Spojrzał w górę ku zegarowi, i zdybał się w zwierciadle z własną twarzą. Zdziwiony po raz dziesiąty dzisiaj, sam siebie nie poznał. Wszakże ten niezwykły w życiu nieporządek rozciągnął się aż do jego głowy, nie ubranej w ranną czapeczkę pasową, złotem haftowaną, z długim złotym kutasem, która była koniecznością rannego stroju. Obejrzał się za czapką i trochę się pocieszył, bo czapka spoczywała na zwykłym miejscu, pokrywając z szyderczą fantazją głowę biustu Mickiewicza, na komodzie stojącego pomiędzy filizankami i figurkami chińskimi rokoko, opartego o samowar.

Chciał się uśmiechnąć nawet, nie tyle do czapki, nie tyle do Mickiewicza, ile do samowaru, tak doskonale wyczyszczonego, że błyszczał jak złoto. Lecz uśmiech niezupełnie rozkwitnięty, zwiędł nagle. Trzy zegary wydzwoniły kwadrans. To już było nadto na pana Gabina. Uśmiech zastąpiło skrzywienie. Ale jakie? Szkoda że przestał patrzeć w zwierciadło; byłby musiał mimowolnie wyśmiać samego siebie, tak potężnie komicznym był w tej chwili wyraz jego twarzy. Najlepsza zdarza się nam teraz sposobność opisać tę twarz.

Była to jedna z tych twarzy szczęśliwych, które zadowolają właściciela onej, a obcych nie łudzą. Nikt na niej nie był w stanie oszukać się choćby na chwilę. Całe usposobienie pana Gabina było na twarzy, jakby na dłoni. Nie będziemy się rozciągać nad szczegółem odmalowaniem wszystkich rysów. Pan Gabin był blondynem; włosy miał jasne, barwy niepewnej trochę, a gęste, twarde, gdyby grzywa końska. Takież same bakenbarty z dodatkiem przebijających się siwych włosków; oczy były jasno-błękitne, osadzone na wierzchu, wystające nawet z nieustanną ciekawością. Jednym słowem, była to twarz przystojna w całym tego słowa znaczeniu, mimo lat czterdziestu, może z górą nawet, które się kilkunastu zmarszczkami wkoपाły w twarz czerstwą jeszcze, zanadto nawet białoróżową, jak na

taki wiek. Najważniejszym na tej twarzy był ogólny jej wyraz doskonałego zadowolenia i spokoju wewnętrznego. Spojrzawszy na nią, każdy poznał od razu, że pan Gabin mocno zadowolony z siebie, a ten spokój na twarzy rozlany, to najszcześniejszy w życiu spokój snu moralnego i uczuciowego. Snać pan Gabin nie głupi, by łamać sobie głowę nad ważniejszymi zadaniami ludzkiego żywota, lub tam sercem rozbijać się za jakimiś mrzonkami, dobremi dla gołych artystów i czułych poetów, ale nie dla porządnego szlachcica i obywatela. W sprzeczności nieco z tym wyrazem zadowolenia wewnętrznego, ale jako wpływ może wewnętrznego spokoju, na ustach spoczywała powaga. Zdawało się, że te usta odrzucają uśmiech, jako rzecz niegodną tego wewnętrznego przeświadczenia o własnej wartości. Uśmiech zostawia się roztrzępancom życia; ale człowiekowi, czemś ważnym zajętemu, uśmiech nie przystoi. Owoż ta powaga nie była czem innym, jeno odbiciem przekonania o ważności tych zajęć. Znać było po twarzy pana Gabina, że choć szczęśliw i spokojny, obawia się przecie, by czego nie zapomniał, co wypełnić należało, by broń Boże nie zaniedbał jakiego z codziennych zajęć koniecznych. To też powaga mając wzbudzać pewne poszanowanie, wyglądała nieco na jedną z tych masek, karykaturujących powagę mędrców i ludzi myślących.

Jeszcze chwil parę stał na środku pokoju, a twarz jego coraz wyraźniejszą krzywiła się rozpaczą, gdy zazgrzytał wręście klucz we drzwiach wchodowych, i wszedł tak niecierpliwie oczekiwany. Rozgniewany pan poskoczył naprzeciw niemu.

— Gdzieżeś był Szymonie? — zawołał z wyrazem wyrzutu.

— Tylko co ósma wybiła... Ale zdybałem proszę jaśnie pana...

— Szymonie! czyś oszalał z twojem gadaniem, wszak słyszysz, już minął kwadrans na dziewiątą.

— Zaraz, zaraz, tylko opowiem....

— Na miłość Boga!...

— Zdybałem starego Franciszka...

— A dziś przecie... — Chciał mówić dalej, ale gadatliwy Szymon nie dał mu przyjść do słowa.

— Wczoraj przyjechali...

— Kto taki? — spytał pan Gabin z roztargnieniem.

— Pan Alfred ze starym Franciszkiem...

— Alfred! mój brat cioteczny, on w Paryżu!...

— Już wrócili. Nie mógł mi się dosyć nagadać Franciszek o tym Paryżu. To takie proszę jegomości miasto jak las słyszę, że po nim po całych dniach błądzić można, a lud taki mądry, że ot takie małe bębny gadają już po francuzku.

— Dobrze! dobrze, ale zapominasz...

— Z nim się rozgadałem... a pan Alfred trochę znużony prosił, by jegomość odwiedził go u Żorża...

— Przestań już raz gaduło nieznośny, bo mnie przyprowadzisz do złości. Czyś zapomniał?...

— Albo co?...

— Dziś przecie wtorek!

— A wiem, pozawczoraj była niedziela...

— Wtorek, Szymonie! wyrzekł pan Gabin podnosząc głos, i spojrzął na służącego ze znaczeniem.

— A wtorek, i cóż z tego? — odpowiedział Szymon najspokojniej uśmiechnięty. Snać sobie przypominał jeszcze rozmowę ze starym Franciszkiem, tak wesołą i zajmującą zaprawdę, iż mu aż nos poczerwieniał.

— Wtorek powiadam! a ty pytasz jeszcze, — wykrzyknął pan Gabin, skandalizowany niepospolicie niepojętnością czy brakiem pamięci służącego. Aż klasnął w dłoń z oburzenia i zadziwienia. — To dzisiaj mój dzień golenia brody! — wyrzekł poważnie, i utkwiał w służącego oczy, by go mocniej jeszcze skruszyć.

— Aha! — odrzekł Szymon z najobojętniejszym uśmiechem. — Woda będzie zaraz... to nic nie szkodzi...

— Nic nie szkodzi! nie szkodzi! — zawołał pan Gabin i spojrzął ku zegarowi, jakby go brał za świadka. — Ależ dzisiaj wszystko się spóźni, wszystko! wszystko!... powtarzał mrużąc i załamując ręce.

— O wa!.. — mrużać także Szymon — diabli wiedzą, co się tam spóźni... Ale ten Paryż, to mi z głowy wyleźć nie może!

Już stanął na środku pokoju mały stoliczek z wrzącą w garnuszczyku wodą, ze zwierciadłem, mydłem i brzytwami. Już nawet brzytwy systematycznie włożone do wrzątku wyparzały się, a mydło, w szklanej czareczce poruszane przez samego Gabina, rosło w coraz bielszą, gęstszą i ogromniejszą pianę, a przecie spokój nie wracał na twarz mocno zafrasowanego pana. Z pewnym gorączkowym i przyspieszonym ruchem machał pan Gabin angielską brzytwą koło twarzy. Snać przeczuwał najgorsze skutki tego spóźnienia.

— To wszystko przez ciebie! — krzyknął na Szymona w kilka minut później, stojąc przed wielkim zwierciadłem, i przykładając kawałek bibuły do lekko zranionej brody.

— Ani znaku prawie!

— Ale czas! czas, — zawołał pan Gabin. — Ile ci to razy mówiłem, — dodał patetycznie, — że nic droższego nad czas, który nieubłaganie przemija.

— To i najlepiej robi!... — pół głosem mrużać Szymon, który jak widać nie wiele przykładał wagi do moralnych zasad swego pana.

— A żadna godzina nie powinna darmo przechodzić, mówił dalej pan Gabin, wyciskając krew rącznikami z rany i ostrożnie przewiązując bakenbarty czarną chusteczką jedwabną. — Każda powinna mieć swoje pewne zajęcie. Ale to mówić do ciebie, to groch na ścianę... — Szymon milczał, jeno głową kiwał, sprzątajac w pokoju.

— Patrz na mnie!... czy widzisz kiedy, żebym próżnował?... U mnie każda godzina ma swoje przeznaczenie...

— A prawda, — mruknął znowu Szymon półgębkiem. Ale z wrażliwością trudno było zrozumieć, czy na prawdę potakuje, czy broń Boże nie drwi sobie. Już to ze wszystkiego widać, że Szymon ma wielką skłonność do zupełnego wyemancypowania się. Opowiadanie o Paryżu i o francuzach do reszty pomieszało jego polsko-fagasowskie wyobrażenia.

— A dziś przez ciebie! nie wiem prawdziwie jak sobie dam rady...

— Jeszcze wcześniej!...

— Pięknie wcześniej!... już kwadrans na dziesiątą.. O jedenastej w kościele, o dwunastej w rynku..

— Aby kupić cygara, — mruknął szyderczo Szymon. — Dwie godzin blisko, — wyrzekł głośniej, — to dosyć czasu, aby się jego-
mość ubrać.

— Co? — krzyknął, i głos pana Gabina aż się zatrzęsł z wielkiego wzruszenia. — Zapomniałeś nieszczęśliwy, że nim wyjdę, muszę zajrzeć do szafy z sukniami, i przeczytać co trochę. To godzina czytania, od dziesiątej do jedenastej.

— A wiem! — odpowiedział Szymon z uśmiechem, zdmuchując proch z stojącej w kącie fajkarni.

Jak widzimy, pan Gabin był niepospolitym człowiekiem co do systematyczności i porządku. I dla tego aby go lepiej poznać, bo takiego człowieka zawsze poznać warto, postanowiliśmy iść za nim krok w krok przez ten cały dzień pierwszej naszej znajomości.

Warto było widzieć jak się pan Gabin umywał, cesał i ubierał. W każdym jego zajęciu widać, że co robi to robi *con amore*, serdecznie, a zawsze troskliwie i uroczyście. Widać było, że to człowiek działa. Ta człowieczeńska powaga odbijała się w najmniejszej jego czynności. Po samem przyczesywaniu włosów i starannem onych gładzeniu ostrą szczotką, poznać można było zaraz wyższe stanowisko pana Gabina, że przecie nie należy do tłumu, który wszystko co robi, bezmyślnie robi... A to powolne rozwiązanie chusteczki czarnej na bakenbartach, by się żaden nie podnosił lub nie skrzywił włosów! To też i malarz regularniejszych nie stworzył bakenbartów na portrecie. A wąsy, ach te wąsy pana Gabina! prawda że cudnie zaokrąglone, w półkole zakręcone do góry, cienkim ostrzem gdyby pędzlikiem zakończone. Ale też muskanie i zakręcanie trwa kwadrans cały. Już się wreszcie ubrać, o cały kwadrans później niż zwykle. To też nie dwa, nie dziesięć razy zpozierał na Szymona z cierpkim wyrazem ciężkiego wyrzutu.

Ubrawszy się, pił dopiero filiżankę kawy, która codziennie wedle higienicznych przepisów musiała być między dwoma wodami. Pił bowiem po szklance wody przed kawą i po kawie. Po kawie powinno było być trzy kwadransy na dziesiątą, a tymczasem była dziesiąta. Głosy bijących zegarów wyrwały westchnienie z piersi pana Gabina.

Jak tu pomieścić wszystkie zajęcia przedkościelne? A naprzód trzeba zajrzeć do szafy. W tej szafie wiszą suknie. Niema tam pyłku, niema proszku. Fraki, surduty i pantalone wiszą w najprzykładniejszym porządku; ale zawsze to nie zawadzi, wyjmować codziennie każdy surducik i każde pantalone z osobna, przejrzeć i oglądnąć na wszystkie boki, pogłaskać ręką po lustrowanej barwie, i strzepawszy w rękę powiesić nazad. Ba!... ludzie bezmyślni, co się nad tem nie zastanawiają, nie pojmą nawet, jaka to czasem przybiegnie do głowy myśl doskonała, jakby to zmienić porządek wiszących sukien.

Ot naprzykład. Długo nie wiedział pan Gabin, dla czego na

klapie czarnego fraka dostrzega zawsze barwę rozburzoną mimo codziennego gładzenia i szczotkowania wzdłuż barwy. Ktoby odgadł tego przyczynę?.. Prawda że nikt? Owoż pan Gabin zgadł.

Przekładając suknie codzien, dostrzegł, że pantalon sprzączką dotykają frakowej klapy. I on to pierwszy zaprowadził tę wiekopomną odmianę, że odtąd pantalon wieszają sprzączką do frontu.

Następowała godzina czytania, której pilnował pan Gabin najsumiennie. Trzymając się zasady owego cesarza rzymskiego, który wyrzekł: *nulla dies sine linea*, nie opuścił on żadnego dnia, by nie wzbogacił umysłu swego nowym jakim żywiołem, wlewany jak olej do lampy mózgowej. Nie rzesiście zaprawdę dolewał, to też i lampa świeciła dość skąpo. Wierny systematyczności, przyjętej raz za godło życia, pan Gabin postanowił czytać codzien. Lecz w tem pytanie, co czytać? Wnet zrozumiał przenikliwym swym dowcipem, że wszyskiego co drukują, żaden śmiertelnik przeczytać nie jest w stanie. Oczywiście nie ma mowy o dziełach inno-językowych, lecz od niejakięgo czasu i w polskim języku tyle namnożyło się dzieł i rośnie ich codzien więcej, jakby grzybów po deszczu, że pan Gabin, po długim namyśle, tak się zdecydował:

Przedewszystkiem wybrał sobie pan Gabin jedną gałąź drukowanej wiedzy ludzkiej, bo na wszystkie, życie jednego człowieka nie wystarczy, a potem pan Gabin był przeciwny wszelkiej encyklopedyczności w naukach.

— To jak gdybym chciał do komody mojej więcej pchać rzeczy, niż się tam zmieścić może; zauważał bardzo rozsądnie. — A więc aby ułile z dulce pomieścić, wybrał sobie gałąź powieściową. — Tęgo dziś najwięcej piszą i najwięcej czytają, rzekł do siebie: musi to być najlepsze.

Ba, ale i powieści sypią się jak z rogu obfitości, a powieściarzy takie mnóstwo powstaje, że na dziesięciu znajomych, zdybanych w mieście, z jednym przynajmniej powieściarzem witać się trzeba koniecznie. Powieściarstwo stanie się wkrótce, jeżeli się już nie stało, składową częścią statystyki narodowej. A więc niepodobna jest czytać wszystkich powieściarzy. Po drodze zatem systematycznego namysłu przyszedł do takiego planu w czytaniu. Czytywał utwory powieściowe tych tylko autorów, którzy najwięcej napisali tomów. Śnać są najlepsi. Rozumowanie to wcale dobre. Bo jeżeli najmąjdniejszym jest ten, który ma najwięcej banknotów i wiosek, najmądrszym być musi ten, którego mądrość dowodzi największa ilość tomów.

I że tym razem dobrze rozumował, najlepszym jest dowodem, że przedewszystkiem musiał wybrać Kraszewskiego. A po nim wybrał Korzeniowskiego, za którym już go pociągało to samo, że był także i komedjo-pisarzem. Pan Gabin zaś pomiędzy innymi swemi właściwościami był naiwnym lubownikiem komedji. Do teatru chodził każdym razem, gdzie takie przedstawiano utwory komiczne, bo na tragedję nie chodził.

— Po co rozwodzić się i boleć nad cudzą biedą?..

Pan Gabin był to troszkę egoista, zanadto był sobą samym zajęty, by się jeszcze miał zajmować drugimi.

— Na honor! nie mam czasu nawet — mówił nieraz przykładając najsumienniejszą rękę po piersi.

A na każdej komedji, mimo całego swego usposobienia poważnego, śmiał się najszczerzej i najserdeczniej. To też psychologowie zawyrokowali, że śmiech łatwy oznaką jest poczciwości serca. Tędy psychologowie! Przecież przy najlepszem sercu można być egoistą... Z powodu tego zamiłowania do komedji, musimy dodać, że pan Gabin nieraz wzdychać musiał, bo sam sobie czynił niejaki zarzuty. Przenosił on komedję, a mianowicie krotchwilę i farsy. Wydawały mu się lepsze, bo daleko więcej się naśmiał przy nich.

Z pomiędzy tedy wszystkich powieściarzy, wybrał sobie Kraszewskiego i Korzeniowskiego. O późniejszych ani chciał wiedzieć. Kaczkowskiego nie wzięłby do ręki za żadne skarby świata. Lecz i ci wybrani za nadto wiele pisali dla niego. Wszystko przeczytać, co oni wydadzą, było mu niepodobieństwem. Pan Gabin jakkolwiek lubił czytanie passjami, jak sam mówił, wierny zasadzie, że każda rzecz w swoim czasie czynioną być powinna, i że jedno zajęcie nie powinno krzywdzić drugiego, przeznaczył na czytanie jedną godzinę. A przez jedną godzinę, i tak codzień skracaną przez tysiączne okoliczności, nie wiele mógł przeczytać, bo jak wszystko tak i czytanie odbywał z ogromnym namysłem i systematyczną flegmą. Cóż robić na to?

Idźmy za nim do szafy z książkami o drzwiach szklanych, stojącej w pokoju bawialnym. Powolnym stanąwszy przed nią krokiem, ziewnął razy kilka. Już to był taki porządek w systematycznym życiu pana Gabina. Godzina czytania była u niego godziną ziewania także. Wyjął kluczyk z kamizelki i szafkę otworzył. Na wierzchnich półkach stały książki nowiuteńkie, woniejące prawie jeszcze świeżością drukarską. To były dzieła nieczytane jeszcze Kraszewskiego i Korzeniowskiego, bo wierny swemu postanowieniu, kupował je wszystkie. Czy je przeczyta kiedy? Ma naprawdę chęci najlepsze, a reszta jak wszystko w życiu, spoczywa w mgłę przyszłości niezbadanej. Na dalszych półkach spoczywały książki już przeczytane. Znać to po dobrze obszarganych komputurkach. Czytanie pana Gabina było wielce pracowite. Tam także spoczywały dzieła, których się czytaniem właśnie zajmował. Pan Gabin szedł tedy z dołu do góry. Dawniejszy dziejopisarz żywota Gabinowego, szukając w tym starym zwyczajem aluzji jakiej, dałby mu za godło:

— Sic itur ad astra!

W bawialnym pokoju było wielkie balzakowskie krzesło, w kształcie sofy. To było miejsce do czytania przeznaczone. Miejsce nader wygodne i do czytania i do ziewania. A jeżeli się kiedy i drzemka udała, cóż robić? Nikt z śmiertelnych wolnym nie jest od błędów człowieczeństwa.

Tam usiadł z książką w rękę. Zapomnieliśmy powiedzieć, że dotąd doszedł do latarni Czarnoksiężkiej Kraszewskiego, mianowicie do pierwszego tomu pierwszej części. Jakkolwiek bądź, nie mógł dalej dojść do roku 1850, w którym się powieść nasza zaczyna.

Już to nie jedno mu zawadzało przy czytaniu. Nieraz gdy ochota ziewania zwykłą przebierała miarę, by rozerwać umysł zbyt-
niem natężeniem zmęczony, rzucał oczami w koło siebie. I zawsze coś dostrzegł, co oburzało jego umysł porządku. Bodaj pyłek na stoliku, źle zawiązana tasiemka przy pokrowcach kanapowych, nie dobrze ułożony piasek w spluwacze, muszka jakaś, co się szpiegiem wkradła do pokoju. Na muchy był pan Gabin nieubłagany. Wojnę z nimi toczył nieustanną. Miał nawet poobiedną godzinę, przeznaczoną zupełnie na zgubę much, które wielkiem skrzydłem orłem wypędzał. a ogromną paczką skórzaną mordował.

A więc w takich razach trzeba było przerwać czytanie, by pyłek zdmuchnąć, tasiemkę przywiązać w nowy fontaż, piasek porządniej ukarbować, gonitwę za muchą odbyć. A tymczasem wybiło pół do jedenastej. Wprawdzie godzina czytania nie skończyła się jeszcze. Ale nim się zbierze, nim mianowicie kapelusz wygładzi, by łyszczał jak zwierciadło, nim zajdzie do katedry.

Tu miejsce wyznać w pokorze, że widownia scen jakie opisać zamysłamy, jest Lwów, nasza i naszych powieści ulubiona stolica. Ze strachem robimy to wyznanie, widząc już naprzód, jak się nie jedno czoło sroży, marszczy, marsuje, przeczuwając jakieś osobiste zaczepki. Ale cóż robić na to? My musimy kończyć raz rozpoczętą powieść, i czyliż możemy inne wybrać miasto, nad to, które tak dobrze znamy, a lubimy tak serdecznie?... Dla zaspokojenia wszelako własnego sumienia, bo naszych czytelników, którym się zwykle zawsze odzywają gdzieś nożyczki, nie zaspokoić nie zdoła; przysiegamy na wiarę powieściarską, że za wiedzą naszą i chęcią naszą żadnej nie dotykaliśmy osobistości. A jeżeli? aż włosy nam stają na głowie; jeżeli przypadkiem zdybie kto jakie podobieństwo między życiem i powieścią, niech nam to chyba służy za wymówkę, że lat temu będzie ze czterdzieści, jak się Kropiński i Bernatowicz, dwaj koledzy nasi, byli powieściarze swego czasu, zdybali na jednej i tej samej treści powieściowej. Jeden ją nazwał Julją i Adolfem, drugi Ślubami nierozsądnymi. A obaj przecie przysięgali przed całą publicznością, że jeden drugiego nie okradł.

Mieszkał zaś pan Gabin na ulicy Ormiańskiej, czy na wyższej czy na niższej, a pod którym numerem, niech nam wolno będzie zamilczeć. Do katedry droga niedaleka. Zapewne, ale wyszedłszy z rana do miasta, zdybuje się po drodze różne, czas zabierające zawady. Lecz nie antycypujmy. Wszak pójdziemy za panem Gabinem.

Już ubrany. Kapelusz lśniący na-głowie; laska z wielkim psem słoniowym w rękę. Raz się jeszcze obejrzał na progę; bo pan Gabin kocha nadewszystko domową zaciszę. I dla czegożby nie miał kochać? Tak mu jakoś czas w domu niepostrzeżenie przechodzi, a to przecie rzecz w życiu najgłówniejsza. Bo czas to skarb i wróg razem. Jeżeli skarb, miło go trwonić; jeżeli wróg, lubo go zabić!...

Raz jeszcze obejrzał się po wszystkich kątach, czy wszystko w porządku, i by w pamięci zachować położenie wszystkich sprzętów. Jako człowiek przezorny, z rana już przegotowuje sobie zajęcie na poobiedzie, bo wie, że Szymona sprzątanie to woda na jego młyn. I już za klamkę uchwycił, gdy nagle Szymon przemówił za nim.

— A niech jegomość nie zapomni, widzieć się z panem Alfredem!...

— Jeżeli mi czas pozwoli! — odrzekł z najzimniejszą krwią i wyszedł. Trzeba przyznać wszakże, że westchnął odchodząc.

O ten czas nieubłagany!... Pan Alfred był jedynym pana Gabina krewnym, i był do niego szczerze przywiązany. Nie było go dwa lata w kraju, bo podróżował po całym Zachodzie. Pan Gabin kochał go także, i dusznieby pospieszył przywitać i uściskać go. Gdyby czas!... ale gdzie go wziąć? i jakże zaniedbać tyle ważnych zajęć!... Ważnemi już są przez długi czas trwania, przez samo przyzwyczajenie.

Już to nikt nie ma mniej czasu, jak... próźniacy.

II.

Wędrowki pana Gabina po mieście.

Dopędzamy naszego bohatera przy rogu rynku. Jest to pierwsza jego stacja, a konieczna. Trzeba bowiem przeczytać na obu rogach poprzyklepane afisze i ogłoszenia; co grają w teatrze? kto odegrał ostatnią życia scenę, komu ostatni kątek domowy na publicznej sprzedaż licytacji?... A dobrze także dowiedzieć się o zmianach sklepowych; nie zawadzi też mieć wiadomość o nowych pomieszkaniach. Bo to i kwadrans czasu przejdzie, i jest nowa treść do pogadanki przy wizytach i zdybaniach ze znajomymi. A co niemal najważniejsza, trzeba obejrzeć wchodzących i wychodzących z cukierni Polla. Codzienną prawie te same i dobrze znane postacie. Ale właśnie dla tego nie ciekawszego jak przypatrywać się, ażali jaka zmiana nie zaszła na znanych twarzach. A co to szkodzi?.. Ot jakoś z dziesięć minut czasu przejdzie. Chwała Bogu!...

To też na kwadrans lub minut dziesięć przed jedenastą, stoi na tym rogu pan Gabin codziennie. pogoda czy słońce. Z laską w rękę, lub z parasolem nad głową, ale stoi niezawodnie. Wszystko przeczyta, wszędzie się oglądnie; ba, spojrzy koniecznie na wieżę, i do bywszy zegarka porówna godziny. Wie dobrze, że jego zegarek regularnie idzie, ale zawsze to miło, zawsze to pochlebia miłości własnej, że ta sama godzina co na ratuszowej wieży. I nowych minut parę przejdzie.

Gdy tak stoi na rogu swoim zwyczajem, nagle zaturkotało. Powóz porządny na leżących resorach, z galonową liberją przejechał tuż koło pana Gabina z krakowskiej ulicy. Pan Gabin spojrzął i zachnął się, jakby co ukłuło go nagle. Dwie piękne kobiety wyglądały

z niego i przypadkiem patrząc na róg rynku, ujrzały pana Gabina. Szepnęły coś do siebie i uśmiechnęły się nieco szyderczo, zerkając z pod oka na pana Gabina. Muszą być znajome pana Gabina, i jest zapewne coś ważnego i tajemniczego w tej znajomości!... Pan Gabin nigdy jeszcze od czasu, gdy młodem chłopięciem wlaź w pokrzywę, tak się nie zatrząsł i nie zachnął gwałtownie.

— To one! na honor one! — rzekł sam do siebie, z niezwykłą przy takiej powadze żywością. — I w powozie!... — ciągnął dalej. — Lokaj i furman w galonach; powóz wiedeński, konie szpakowate. Fiu! fiu!... Zarumienił się i pobiegł ku katedrze.

Lecz nim dalej pójdziemy za panem Gabinem, zdaje się nam, że jest na czasie poznać bliżej czytelników naszych z bohaterem powieści i jego przeszłością. Jakim był, czytelnicy nasi już zapewne poznali mniej więcej z tej próbki codziennego życia jego. Nie było nic zapewne nadzwyczajnego w tem jego usposobieniu, ale zawsze ciekawą będzie rzeczą dowiedzieć się, o ile przeszłość jego wpłynęła na to usposobienie systematycznego próżniaka, jakim był niezaprzeczenie nasz bohater.

Przedewszystkiem pan Gabin był szlachcicem z rodu, szlachcicem z wychowania, nawyczek i przesądów, po naszych dworach szlacheckich tak łatwo i często zdybywanych, obok równie łatwych i częstych cnót i zalet szlacheckich. Pan Gabin na Pilnicy Pilnicki był herbu: panna na niedźwiedziu. Nieboszczyk ojciec jego, ś. p. Dyzma na Pilnicy Pilnicki, był wielkim uczonym, zaprawdę w heraldyce tylko, ale za to grubo był uczonym w tej herbarzowej umiejętności, którą posiadał expedite, jak to mówią na palcach. O własnym herbie tuszył wiele, i miał bardzo wiele do powiedzenia o tej pannie na niedźwiedziu, której początek wedle niego niknął w mgle onych wieków bajecznych, gdy ród niewieści, równie dzielny siłą i odwagą jak mężki, wydawał zuchwałe księżniczki, co się nie zlekły najdzikszego zwierza, i z oszczepem w rękę chodziły na łowy.

Owoz wedle niego zdarzyło się onego czasu, jak rozповідаł pan Dyzma, Stolnikiewicz Sochaczewski, że była księżna u Obotrytów jeszcze, strasznie ładna i strasznie odważna. O mężu jakoś nie wiele wspominał. Snać i Obotrytów kobiety nosiły pantofelki do domowego użytku. Dodajmy, że Stolnikiewicz nie wiele się wdawał w wywody historyczne o Obotrytach. Gdzie i kiedy byli, to mniejsza o to; co tam szlachcicowi do tego. Dosyć że byli, kiedy mieli księżniczkę, która na łowach wyratowała życie mężowi, powalonemu przez niedźwiedzia. Skoczyła nań, jak na rumaka, poskromionego zawiodła do książęcego pałacu, w którym odtąd dwóch już miała ugłaskanych i przywiązanych: męża i niedźwiedzia. Od tej to Obotryckiej księżniczki poszedł herb i ród na Pilnicy Pilnickich.

O tem pochodzeniu książęciem stolnikiewicz lubił często rozpowiadać, i miał ten zwyczaj przy takich kominkowych pogadankach, ongi dosyć rozpowszechniony, że za każdym razem nowe dodawał do opowieści adormenta, bogacąc rodową epopeję coraz nowemi epizodami. Jedynekowi, gdy jeszcze był przy mamce, rozpowiadał już

o tym rodowym klejnocie, a później największą dla chłopca była kara, gdy mu ojciec powiedział:

— Nie godzienes mieć w herbie panny na niedźwiedziu.

A na Gnieździe Cnoty Paprockiego uczył go sylabizować. Do szkół go nie oddawał, aby się o plebejuszów nie ocierał.

— Naucz mi się rzeczy do niczego — mawiał stolnikiewicz — na co nam Pilnickim tego. Niechaj słucha moich opowiadań; więcej się z nich nauczy niż z ksiązek. A zresztą jest szlachcicem i ma wieś.

Gabinek był słabowitem bardzo dzieckiem; jako jedynak i długo upragniony przez rodziców, którzy lat kilkanaście w bezpotomnem żyli małżeństwie, był on pieszczochem matki i ojca. Matka kochała go i pieściła, jako matka oczywiście syna, a ojciec jako jedynego i ostatniego potomka rodu Pilnickich.

Długi czas nie uczono go niczego, aby nie nateżać zbyt sła-
bych sił jego. Później wzięto do niego nauczyciela, czyli jak to za
czasów pierwszej połowy naszego wieku nazywano, guwenera, a ra-
czej guwernerów. Bo wielu prawdziwie zdatnych odpędził pan stol-
nikiewicz, zanim trafił na takiego, co mu przypadł do smaku. Był to
naturalnie jakiś Bywalski, co z niejednego pieca chleb jadał, i na-
bywawszy nieraz pod wozem, umiał się zastosować do fantazji
panno-niedźwiedziowych swego pryncypała. To też nie tylko, że
uczni swego nie męczył naukami, ale mało kiedy go widywał, jeź-
dząc z stolnikowiczem po polowaniach, które tenże lubił, przez ro-
dzinny niejako obowiązek i popijając z tymże rodowitą madere, któ-
rej tenże mocnym był lubownikiem, bo nawet wedle niego gust ten
wypływał z naocznej konneksji, jaka jest między miodem, barcją
i niedźwiedziem.

Gabinek tymczasem wychowywał się w matczynej garderobie —
ot tak jak Bóg dał. Chuchano na niego, pieszczono, karmiono, stro-
jono i głaskano, aż póki się nie wyrobił z niego prawdziwy jak to
mówią babibozek.

I ojciec w tym względzie podbijał mu bębenka.

— Nie męcz się!... jesteś szlachcicem herbu panna na niedź-
wiedziu.

Ojciec w skutek miodku dostał podagry, i miasto polowań, mu-
siał pozostać przy ciepłym kominku, otoczony starami ogarami i wy-
żłami, które obok niego przedrzymywały resztę żywota. Guwerner
poszedł do garderoby, a Gabinek zasiadł przy ojcu na wygodnej
sofie, i jeżeli nie słuchał stokroć słyszanych opowiadań ojcowskich,
to drzemał przy kominku wraz z ojcem i drzemiąciami ogarami i wy-
żłami. A drzemanie to często powtarzało się, bo opowiadania stolni-
kiewicza makową miały władzę. Tak przeszło dzieciństwo i pierwsze
lata młodzieńcze Gabinkowi, którego siły ciała wzmagaly się kosztem
władz duszy, usponych i otrętwiąłych.

I długo tak było, bardzo długo, bo stolnikiewicz późnej dożył
starości, przeżywszy wszystkich i żonę, i ostatniego wyżła, który
razu jednego przy opowiadaniu o księżniczce Obotryckiej, ziewnął
po raz ostatni i zadrzemał snem bez obudzenia. Syna więc nie

puszczał od siebie, i obaj, stary i młody, w błogiem zadumaniu, zdala od wrzawy światowej, w przypadłej podgórskiej wiosce, za lasami i jarami, przeżyli roczek nie jeden. Guwerner mieszkał z nimi, ale gdy jakoś nie stało po śmierci stolnikiewiczowej garderoby, a jemu samemu przybyło lat i czerwoności na nosie, ztetryczał i mocno zpobożniał. Nie wychodził prawie z własnej izby, oddany medytacjom ekstazy. Złośliwi twierdzili, że ekstazy te były wielce ziemskie, bo butelkowe. Prawda że u guwenera, przemienionego na pół rządcę a pół rezydenta, od dawna już były klucze od piwnicy.

Mijały lata; w młodym Gabinie zadrzemało wreszcie wszystko. Niczem się nie zajmował, i tak mu to weszło w zwyczaj, że nawet niczem się już zajmować nie potrafił, gdy przyszła tego potrzeba, po śmierci ojca, który umarł na wieki na swoim krześle przy swoim kominku, w tej chwili właśnie, gdy jego antenatka wsiadała w opowiadaniu, codziennie powtarzanem, na niedźwiedzia.

I cóż dziwnego, że z pana Gabina taki typ wyrobił się próżniaka? Nie jest to osobistość, nie obmowa to, ani paszkwil moi państwo, ale tak po przyjacielsku, możemy między sobą powiedzieć na ucho, że po dziś dzień jeszcze nie w jednym dworku szlacheckim wychowują się takie próżniaki do niczego, bo to ani do korda, ani do różańca. I żeby to się tylko na próżniactwie kończyło, ale za niem idzie zubożenie, a po zubożeniu przychodzi konieczność ratowania się po drodze jak najmniej uciążliwej. Taki próżniak gdy wyjdzie na golca, pamiętny na miękkie wygodki, czegoż się nie dopuści, aby wrócić do dawnego bytu? Ztąd to pochodzi zapewne, że nieraz aż serce ściśnie się boleśnie, gdy taki potomek szlacheckiego rodu, choćby nie po paunie na niedźwiedziu, pójdzie niecną drogą jaką, na poniżenie i swoje i swoich!...

Po śmierci ojca pan Gabin pozostał długi czas w osłupiałej nieruchomości. Nie wiedział, co ma z sobą robić dalej, sam jeden na świecie. Nudzil się potężnie, ale ani mu przyszło na myśl, by to się całe jego położenie dało zmienić w jaki sposób. Tyle się tylko zmieniło, że z sofki przeniósł się na krzesło ojcowskie, i jak stary zegar, co tam w kącie klekotał, życie jego przechodziło porządnie i regularnie, podzielone na niezmiennie, codziennie wracające epoki. Czas jakiś uszło to, bo żył guwerner dawny, który choć cokolwiek w chwilach od ekstazy wolnych zajmował się gospodarstwem, które szło jako tako.

Ale gdy jednego poranku po kilkudniowej ekstazie znaleziono guwenera nieboszczykiem, a głównie gdy pańszczyzna umarła, pan Gabin nie umiał już sam dać sobie rady. Jak tu samemu gospodarować, i jeszcze bez pańszczyzny?... To było zadanie zanadto trudne dla skromnej intelegencji pana Gabina. Chciał z początku podolać temu, lecz zanadto się już przyzwyczaił do próżniactwa, by mógł podolać nudnym i żmudnym dosyć zajęciom gospodarskim. A co więcej, przekonał się z niemałym zadziwieniem, że całe położenie finansowe nie zbyt było świetne. Całe gospodarstwo było najmocniej zaniedbane; pustki w gumnie, pustki w szpichlerzu, pustki w oborze i stajni. Już to największe były pustki w piwnicy, która za nieboszczyka stolni-

kiewiczza pewnej sławy używała w całej okolicy co do win i miodów starych, a osobiwie co do słynnego zieleniaku. Już to guwerner w sam czas umarł, bo po skonie ostatniej beczki. Pan Gabin widząc tedy, że się coraz zmniejszają dochody a zwiększają długi, postanowił sprzedać majątność i wynieść się do miasta.

Tym sposobem dostał się nasz bohater do Lwowa, z kapitałem dosyć jeszcze znacznym, choć uszczuplonym przez długi. Z próżniaka wiejskiego został miejskim, z dodatkiem ciekawości próżniaczej, która jest właściwością konieczną miejskiego próżniaka.

Jest to wszakże właściwość najuiewdzięczniejsza i najmniej odpowiadająca celowi swemu; bo ta ciekawość miejskiego próżniaka, to prawdziwa waserzupka homeopatyczna, która nigdy nie nasyci. Wodu warysz, woda bude, mówi przysłowie ruskie, stosujące się doskonale do ciekawych zbijaczy bruku miejskiego. Pan Gabin nudził się bardzo, chociaż cały dzień nie miał czasu niby, i cały dzień był niby zajęty. Chodząc po mieście z kąta w kąt, z kościoła do kawiarni, z kawiarni do teatru, lub na pewną jaką partyjkę preferansową u znajomego, nosił wszędzie mimo to jakąś atmosferę nudoty z sobą, tak, że sam jego widok i mowa powolna, mdła i rozlazła, sprawiały powszechne ziewanie.

Chociaż w sile wieku jeszcze, stał się wnet typem starego kawalera. A nic pod słońcem nudniejszego być nie może, jak stary kawaler. Starej panie zostaje często jedna namiętność; zostaje niepowściągniona złość na cały rodzaj ludzki, w dwóch jego rodzajach. Na rodzaj mężki, że nią pogardził, na niewieści, że zwyciężył w fatalnem współzawodnictwie. Złość ta u starej panny objawia się plotkarstwem i obmową, które jakkolwiek szkodliwe i nieznośne nieraz, mogą przecie zabawić czasem, i są zawsze oznaką życia jeszcze. U starego kawalera zaś nic nie zostaje, coby mogło znamionować, że życie w nim jeszcze nie wygasło. Stary kawaler, to chodzący trup, to posąg Komandora Donżuanowskiego, ziejący chłód i nudę. U starej panuy zaostrza się język czasami. U starego kawalera zawsze się przeciwnie stępia. Stara panna to czasami grzyb zjadliwy, rodzaj muchomoru; żyje jadem. Stary kawaler to jest zawsze ów grzyb hubkowy, co stare drzewa obrasta, bez smaku, woni i jadu, włóknisty, bezpożyteczny. Panna na starość czasami gadziną się stanie; kawaler zaś, gdy się zestarzeje, staje się zawsze ropuchą.

Takim był pan Gabin, w chwili gdy go poznaliśmy i wyprawili do katedry, gdzie go wnet dogonimy. W przeciągu lat kilku tak sobie doskonale urządził życie, że wszystko szło jakby w zegarku regularnie i porządnie, a on sam był jakby koń w mtynie-deptaku, po niezmiennem stąpający kółku. Długi czas miał jeszcze jeden niepokój z funduszem swoim, za który nakupił rozmaitych papierów bankowych.

Zmienny ich kurs utrzymywał go w pewnym niepokoju; lecz gdy pomału i ta zmienność się zmniejszyła, a kurs się mniej więcej ustalił, pan Gabin życie swe w ten sposób urządził, że wyrobił przedewszystkiem budżet sobie jak najwięcej szczegółowy. Każdy w nim wydatek był poszczególniony i miał cyfrę swą ściśle naznaczoną.

I za nic w świecie nie zmieniby tego porządku, by naprzykład, jak się to zdarza w życiu ludzi mniej porządných, jeden wydatek wedle potrzeby lub fantazji zwiększyć lub zmniejszyć kosztem drugiego. Za nic w świecie nie byłby pan Gabin poszedł do tetru o jeden raz więcej, choćby się nudził w domu piekielnie, i zanieby nie zjadł o jedną potrawę mniej jak sobie w budzecie przepisał, choćby miał dostać niestrawności.

Kościół należał także do konieczności życia pana Gabina; jakoż jak to już powiedzieliśmy. o godzinie jedenastej z rana musiał być w katedrze koniecznie. Nie dla tego, by pan Gabin był nabożny, nie był zapewne i ateuszem, ale po prostu nigdy mu na myśl nie przyszło zastanowić się w tej mierze głębiej nad sobą samym i nad zasadami religijnymi. Zanadto był zajęty, by miał czas na to. A potem nieboszczyk stolnikiewicz, chociaż dobry zresztą polak i lepszy jeszcze szlachcic, a więc jako taki powinien był być religijnym, bo przecie przez tyle wieków byliśmy zelatorami religijnymi, i szczególnie nabożnemi do orędowniczki korony naszej, do Panny Przenajświętszej, pan stolnikiewicz był mimo tego dzieckiem swojego wieku.

Nie darmo żył za czasów Stanisława Augusta, czasów w których się miało przewrócić do góry nogami wszystko co było swojskie, by natomiast przywdziać jakieś obce lachmany, z najrozmaitszych, ale jaskrawych łątek zszyte. Stolnikiewicz nawet za zwyczajem owoczesnych trefnisiów idąc, odwiedzał Paryż często, i żył nawet na przyjaźnej stopie z markizami i encyklopedystami, którzy w najweselszym humorze, przeskakując wszystkie fundamenta społecznego gmachu, chcąc go zapewne przebudować lepiej od dachu zacząwszy, aż wreszcie gmach runął na ich głowy, i potłukł ich na miazgę.

Stolnikiewicz tedy, choć mu nieraz gdy siedział przy rodzinnym kominku zdawało się w głosie świerszcza, słyszeć dawno zapomniany głos matki, szeptać cudowną koronkę do Matki Boskiej nad głową drogiego dziecięcia, bawił się w wolnomysłnego ateusza, i jako taki nie czuł potrzeby czuwać nad religijem syna wychowaniem.

— Niech sobie sam wyrobi, jakie mu najlepiej przychodzą do smaku wyobrażenia. Ja tak zrobiłem — mówił nieraz do guwernera, który także jedno tylko miał nabożeństwo do trunków, a modlił się do butelki jeno.

Z takiego wyszedłszy wychowania nasz bohater, był sobie bez żadnej religji. Ale że ludzie chodzą do kościoła, jako prawdziwy próżniak, chodził za innymi; a że drudzy żegnają się i poruszają ustami, więc i pan Gabin niby się żegnał i poruszał ustami za drugimi, myśląc najczęściej o czem innym, lub raczej nie myśląc o niczem. Takie bywanie po kościołach nie jest u nas rzadkością i często gęsto do najmniej nabożnych należą ci, którzy najskrupulatniej chodzą do kościoła.

A nareszcie dobrze zabić pół godzinki czasu, i to najtrudniejszego i najnudniejszego w godzinach przedobiednych. Chodzenie do kościoła daje przytem dobrą renomę pomiędzy dewotkami, które wiele wazą w szczegółowych losach każdego czy znajomego czy nieznanego. Przytem jest to przyjemnie widzieć tyle twarzy razem, za-

glądać im w oczy, gapić się pomiędzy różnobarwnemi kapeluszymi! Dla próżniaka kościół to rodzaj widowiska bezpłatnego, ciekawszego od desek teatralnych, bo się na niem podchwytną częstokroć nie udane, ale prawdziwe intrygi, te niespodzianki najprzyjemniejsze dla próżniaka, który najchętniej mienia swój czas na ploteczki.

Pan Gabin też spieszył codzien do kościoła, gdzie go już wszystkie dziady znali i witali zwykle z uśmiechem znajomości. Dla bab siedzących u wnijscia był on prawdziwym zegarem. Zegnały się zawsze, gdy go wchodzącego ujrzały, bo wiedziały dobrze, choćby dzwonek nie doszedł ich uszów, że w tej właśnie chwili ksiądz ze mszą idzie do kaplicy z ukrzyżowanym Zbawicielem.

W tej kaplicy pan Gabin miał ulubioną ławeczkę, w którą sadowił się z tą swoją arey-poważną miną, robiącą zwykle wielkie wrażenie na chłopcach, służących do mszy. W ich naiwnem wyobrażeniu był on znakomitością jakąś niepospolitą. Odehodząc nawet od ołtarza, obdarzali go ukłonem pełnym uszanowania, na który pan Gabin odpowiadał krząknieniem wiele znaczącem, i kolistem spojrzeniem, rzuconem na mnogie, w kaplicy tej zebrane zwykle przedstawicielki płci pięknej, i to najwięcej w prawdziwym tego słowa znaczeniu.

Lecz chodźmy już za panem Gabinem, który czy by odzyskać czas utracony, czy dla innej jakiej przyczyny podwoił kroku, i pospiesza niepospolicie. Na twarzy jego rumieniec wydaje się nienaturalnym i zdradza jakieś wzruszenie. Tak mu spieszno, że co się nigdy jeszcze w życiu nie przytrafiło, nie spostrzegł kłaniającego mu się. A przecież tym kłaniającym się był dobrze mu znajomy adwokat, którego się radził czasem w sprawach pieniężnych, i bywał u niego dwa razy na tydzień na preferansie.

Pan Krzaczkiewicz zdziwiony obejrzał się i nawet kiwnął głową za naszym bohaterem, który tymczasem zbliżał się już do katedry. Powóz, ów powóz elegancki, który go pierwszy tak jakoś poruszył, stał przed kościołem. Z myślą o powozie i o szpakowatych koniach wszedł pan Gabin do świątyni pańskiej. Cóż winien próżniak, że jest ciekawym? Odejmu mu ciekawość, a umrze z nudów.

A kto wie?.. może i co innego wlało do głowy pana Gabina. Wszak i próżniacy miewają słabe swe godziny, w których mogą podlegać innym zwykłym warunkom człowieczeństwa. To pewna, że dawniej pan Gabin siadał zawsze w szerokich stallach od wehodu, i miał do tych miejsc predylekcją nawet, bo się tam często gęsto z podobnymi sobie zdybował i bywał nieraz poczęstowany tabaczką, ba nawet i ploteczką niewinną o przechodzących bliźnich płci obojej.

Lecz trafiło się razu jednego, że zauważał lekką jakąś i zgrabną postać kobiecą w czarnej mantylce i niebieskim kapelusiku, która się przemykała tuż koło niego. Dla czego ją dziś właśnie zauważał, należy to do niezbadanych tajemnic owego wszechwładnego przypadku, który ważniejsze przecie płata figle, bo wali i wznosi trony, a nawet nie rzadko nam powieściarzom podsuwa przedmioty gotowiutenkie do naszych, niby z własnej głowy czerpanych utworów. Już to wyznać trzeba, że tym razem padł na pana Gabina wyższy promyk tego oka

czarnego, co tam tak zdradziecko spoczywa między wyniosłem a białem jak marmur czołem, a między tym noskiem figlarnym, co tak wyzywająco zadziera się z lekka do góry. A oko to było, jak to łatwo można się było dorożumieć, niewyczerpanem źródłiskiem takich promyków, które i salamandrze, jakkolwiek twierdzą, że jest niepalną, kto wie czy by nie zaszkoziły.

Jakkolwiek serce próżniaka, nie wiem jakim prawem dzieiectwa, posiada zwykle siedmioskórną tarcz Achillesa, ale te czarne oczy miewają czasem spojżenia, od Hektorskiej dzidy niebezpieczniejsze. To prawdziwe czary siedzą czasem w tych czarnych oczach; nie tylko przemawiają ale i zamawiają nawet. O biada zamówionemu! Czytelniku jeżeliś młody, musisz wiedzieć o tem i może w tej chwili właśnie, gdy to czytasz, jesteś w zadzierżgnienu; a jeżeliś starszy, to ręczę, że gdy to czytasz przemknęły ci po przed książkę czarne oczy, owe niezapomniane, tęsknem nieraz westchnieniem przypominane.

Tym razem pan Gabin spojrział tylko uważniej za czarną mantylką i niebieskim kapeluszem, i widział jak oboje znikły w kaplicy z panem Jezusem, żegnając go ostatnim ruchem wielce powabnym ciemnych mantylki fałdów. Ale ten raz powtórzył się razy kilka, i jakkolwiek pan Gabin dla kontenansu i zachowania powagi zaszerał do tabakierki sąsiada, miłość własna szeptała mu syrenim głosem, że te czarne oczy za każdym razem zwracały się ku stalleom, i za każdym razem jakimś przypadkiem padały ich co raz silniejsze promienie na twarz naszego bohatera. Z armatniami strzałami można się oswoić; widziałem nawet tchórzów, co stali w szeregu; prawda, że stać musieli, i wolno im było kiwać głowami, co niby zdaniem wiarusów zaspakaja nieco w czasie takiej kulowej pukaniny. Ale z czarnych oczów spojżeniem trudno być ostrzelanym. Ot, w najpóźniejszym wieku, gdyby człowiek nie wiem jak tam serce wcisnął w żołądek, jak strzelą czarne oczy, załaskocze coś koło serca, i z tych popiołów serdecznych zatli jeszcze choćby ostatnia, choćby dawno zamarła iskierka dawnych uczuć. Urocze są czarne oczy!

Nie zaręczamy wszakże, czy serce się poruszyło w łonie naszego bohatera, czy może tylko próżniacza jego ciekawość. To pewna, że razu jednego stallowy pana Gabina nadaremnie go szukał z otwartą szczodrze tabakiera. Pan Gabin siedział w kaplicy. Naprzeciwko siedziała czarna mantylka, a czarne oczy łyskały tem żywiej, im ciemniej było w kaplicy. I tak się jakoś zdarzało, że gdy oboje spoglądali w górę lub ku ołtarzowi, wracając nazad zdybywały się ich spojżenia w pół drogi. W tej potyczce oczów, tchórzliwemi były oczy pana Gabina, co prędzej uciekające do sygneta złotego na palcu z panną na niedźwiedziu. Czarne oczy, to zuchy niepospolite, nawetby ułanów naszych gotowe przesadzić w odwadze — one nie uciekały; i nie raz czuł pan Gabin to spojżenie przez kilka sekund.

To szczęście, że pomiędzy człowieczemi namiętnościami, próżniacza ciekawość, to jakby wilgocią przemoczony proch fajerwerkowy. Popstryka trochę, ale się nie zapali. Zdawało się nawet panu Gabinowi, że w czasie tych pojedynków spojżeniowych, i rumiane pod niemi a drobniutkie i pełne aż miło usteczka, uśmiechały się. To już zdrada

oczywista! podwójną naraz walczyć bronią, to jakby napaść na przeciwnika z pistoletem i szablą.

Co się tam działo w panu Gabinie, nie potrzebujemy tak doskonale rozbierać, bo serce próżniaka, to tak jak niektóre płazy pół żyjące, pół martwe, które przed nożem nawet anatomicznym chowają tajemnicę swego utworu. Do kaplicy przychodził, codzień się oglądał za czarną mantylą, codzień dotknięty spojrzeniem i uśmiechem. Lecz na tem kończyło się wszystko.

Wyszedłszy z kościoła o zwykłej godzinie, próżniaka miejskiego krokiem, i jednego dłużej kwadransa czasu nie byłby poświęcił ku czci cudnych czarnych oczów. Czy kiedy o nich zamarzył, nie możemy powiedzieć; ale wątpimy, bo pan Gabin był zanadto pedantycznym, by w innych godzinach o tem myśleć, co do tych godzin nie należało. I nareszcie w ogóle natężenie umysłowe nie było jego stroną najsilniejszą. Najwięcej, jeżeli był nieco ciekawy dowiedzieć się, kto jest właścicielką takich oczów i takiego uśmiechu? czy rzeczywiście na niego patrzy? i nareszcie, dla czego patrzy?

Ciekawość tę podwoiła dziś nowa okoliczność z powozem i końmi. Gadajmy sobie co chcemy, ale wszyscy jesteśmy ludźmi i koniec końców czarne oczy daleko mocniej intrygują, gdy z eleganckiego spoglądają powozu. Dotąd pan Gabin w domniemaniach swoich domyślał się jakiejś mieszczyki lub urzędniczki, jednym słowem czegoś zwyczajnego a nawet jako próżniak, co się tak łatwo nie zadziwi i nie zajmie, a ulicznego doświadczenia ma co nie miara, w oszacowaniu mantylki i kapelusza nie wiele odbiegł od ocenienia tandeciarskiego. Darujcie państwo, ale pan Gabin nie był romantyczny.

Ale powóz! ale szpakowate konie! I ta druga pani nieznajoma z bukietem sztucznych fiołków na ryżowym kapeluszu! Wchodzi do kaplicy; na zwykłym miejscu siedzi brunetka, a przy niej druga, dla przeciwieństwa, blondynka.

— Czy spojrzj na mnie? — pomyślał pan Gabin wnosząc oczy na ołtarz.

W powrocie jak zawsze spojrzwały czarne oczy, uśmiechnęły się usta; oczy jeszcze więcej urocze, usteczka jeszcze czarowniejsze. I głaz by się poruszył. I blondynka jakby się chciała przekonać o przedmiocie, który towarzyszka obdarza wzrokiem tak przeciągłym, spojrzwała na pana Gabina wzrokiem oczów niebieskich, tak gołębim, tak naiwnym, a przecież tak figlarnym i aż do rozpusty uśmiechniętym. Między takimi dwoma oczów parami i święty by nie wytrzymał. Pan Gabin zmieszał się, bo jużciż teraz ani mógł wątpić, że na niego umyślnie patrzą dwie damy, znakomite oczywiście. Szpakowate dam konie wzmogły mimowolnie szacunek, jaki nasz bobater miał sam do siebie. Nadewszystko dopiekała mu niepowściągnięta ciekawość. Tak mu się jakoś dziwnie zrobiło, że zatęsknił za tabakierką sąsiada, doskonałą w chwilach krytycznych. Lecz czas nabożeństwa przeminął. Próżniak wstrzemięźliwszy w tej mierze od Scypiona, powstał i wyszedł z kościoła nie obejrzawszy się nawet. Pan Gabin miał coś Brutusowskiego w swoim usposobieniu.

Zatrzymać się dłużej nie mógł, bo już z ratuszowej wieży dzwoniło na dwunastą, a o dwunastej gdyby gromy i pioruny, musi być na ulicy dominikańskiej. Na samym właśnie był skrawie do rynku wiodącym, gdy nagle zawołał ktoś z boku.

— Gabinku serce! jak się masz?

Był to głos młody, żywy, pełny uczucia i szczerości. Mimo-wolnie zadrżał nasz bohater, bo głos ten był mu dobrze znajomy. Głosowi odpowiadała doskonale cała powierzchowność mówiącego.

Był to młody jeszcze człowiek; szatyn z półjasnymi oczyma, z długimi naturalnie ufryzowanymi włosami, i z twarzą jakoś mile uśmiechniętą, tak zdaje się przezroczystą, jak krystal woda, przez który aż do głębi zajrzeć można. Widząc po raz pierwszy tego młodzieńca, trzeba go było pokochać koniecznie, tyle w całej twarzy i postawie jest prawdziwego wyrazu, tyle szlachetności na czole, serdeczności w oczach, a swawoli na ustach. Była to jedna z tych twarzy, jakie jeszcze dzięki Bogu zdarza się zdybać po naszych wiejskich dworach, i które są rzetelnym siedliskiem onych dawnych cnót i zalet, co były ozdobą naszą. Szczere, otwarte, gościnne wylanie się gdy potrzeba, posunięte aż do dobytka korda w sprawie uczciwej i przyjacielskiej, aż do poświęcenia i zaparcia siebie samego. Krew dawna szlachecka i szlachetna odzywała się w całym układzie naszego młodzieńca.

— To ty kochany Arturze! — zawołał Gabin, głosem rzeczywiście więcej ożywionym niż zwykle. Bo mimowolnie przychodziły mu na myśl lata młodsze, kiedy jeszcze próżnowanie nie zabiło mu wszelkich uczuć. To przecie jedyny jego krewniak, z którym choć starszy od niego, kilka lat młodości swojej przepędził, lat najswobodniejszych i najweselszych.

Aż westchnął pan Gabin. Któżby nie westchnął, za tem co było i nie wróci nigdy? A po prawdzie był zarówno ucieszony jak i zgryziony. Ucieszył się serdecznie uściskawszy kuzynka, który jak wiemy tylko co wrócił z podróży. Ale z drugiej strony, to zdybanie było mu nie na rękę zupełnie, bo biedny próżniak nie ma czasu oddać się nieprzygotowanemu popędowi serca.

— Jakże jestem szczęśliwy, że cię widzę, — szczebiotał Alfred; — doskonale wyglądasz, tylko zawsze serjo. Uśmiechnij ze się Gabinku i uściśnij mnie. Dobrze żem cię złapał.

— Poczciwy Alfred!... ja się cieszę... ty wiesz jak ja ciebie kocham — mruczał kwaśno słodkim głosem pan Gabin i na pół rozczulony, na pół niespokojny że czas upływa.

To nie żarty, już wartę odmieniają na głównym odwachu!

— Dobrze żem cię złapał! już cię nie puszcę przez cały dzień.

— To jest... ja... bo uważasz...

— Nic nie pomoże! rozpowiadać będę tobie cuda o Paryżu. O Gabinku drogi! to miasto nad miasta!... To jakby druga Warszawa! Chodźmy na śniadanie, a potem pójdziemy na obiad.

— Z całego serca, ale...

— A wiesz gdzie pójdziemy!... Ale prawda, ty nie nie wiesz..
Ja się Kocham...

— Kochasz się?... — zawołał Gabin, i miał ochotę cofnąć się jako od zapowietrzonego.

— Poznałem w Dreźnie Malwinę!... sliczną! aniołek Corregja prawdziwy, a przytem oczy polskie, wdowa! nawet majątna!... i to nie zawadzi. Kocham się w niej szalenie. I wiesz ona już ciebie zna.

— Mnie? nie mam przyjemności...

— To cała historia romantyczna!.. Oj ty, ty! świętoszku!..

— Ja... prawdziwie!... jak cię Kocham... — mówił Gabin zmieszany głosem przerywanym.

— Nie wypieraj się!... wiem wszystko... Malwina, która mnie uprzedziła i już tu od dni kilku bawi, zna ją doskonale, bo były z sobą razem na pensji.

— Ale na honor, nie mam żadnej...

— A nabożny, i kłamać ha! ha!... I owszem, chwala Bogu! niema jak miłość mój drogi!... Przystaniesz się nudzić, daję ci słowo. Kochaj się, jedź do Paryża! a przestaniesz się nudzić w tem arcy-nudnym mieście.

— Słowo honoru!... jak cię Kocham! ja nic nie wiem.

— Nie bój się! cały wieczór mówiliśmy wczoraj o tobie. Malwina się tem zajęła. I powiem ci do ucha, że zrobiłeś wrażenie. Tylko odwagi, bo polki nie lubią tchórzów. U nich podobno zachowała się jeszcze najczystsza część krwi naszej.

— Wytłumacz mi, bo ja nie potrafię...

— Potrafisz, tylko zechcij. . Ona będzie na obiedzie u Malwiny, i tam u niej przepędzimy całe poobiedzie, cały wieczór. Czy rozumiesz! Ja przy mojej bogdance jak mówił nieboszczyk nasz wuj, pułkownik Fortunat, ty przy twojej, będziemy się umizgać, gwarzyć, patrzeć w te piękny oczy, co się do nas uśmiechają. Niech mnie djabli wezmą, mój Gabinku, życie ludzkie ma swe cudne rokosze. No chodź! i porzuć tę wielkopostną fizjonomję.

— Z duszy i serca radbym. Wiesz jak cię Kocham.

— Wierzę ci, i wiem, że masz najlepsze mimo całego starokawalerskiego nudziarstwa, którem trącis jak stary bekas o dziesięć kroków. I właśnie dla tego...

— Zaręczam ci honorem, że nie mogę teraz.

— Nie możesz, ale dla czego?..

— Bo nie mam czasu!..

— Bo nie masz czasu!.. a to doskonale. — I tak się zaśmiał serdecznie, aż się za boki wziąć musiał, aż ciekawi, w próżniactwie towarzysze Gabina, stawali na ulicy.

Pan Gabin był na torturach prawdziwych, bo rzeczywiście za-intrygował go Alfred niepospolicie, i był ciekawy nadzwyczaj dowiedzieć się ostatniego tej zagadki słowa. Ale z drugiej strony było niepodobieństwem oderwać się od zwykłego dziennego życia regulaminu, który przez przyzwyczajenie drugą stał mu się naturą. Na

domiar nieszczęścia i fatalności, spostrzegł o kilka kroków stojącego na trotuarze starozakonnego Sruła, jednookiego faktora, który z kapeluszem w rękę wykręcał się na wszystkie boki, to jarmurkę poprawiał, to się za pejsy i brodę pociągał, to oczami przewracał, a wszystko to widocznie dla tego robił, aby pokazać Gabinowi, że ma mu coś ważnego do powiedzenia

— No i cóż! — mówił znowu Alfred, naśmiewszy się do woli i porwał Gabina za ramię. — Idziesz ze mną?...

— Jak cię kocham, Alfredzie!... rzecz nader ważna, na honor!...

— Ważna! ale czy pewnie?...

Kiedy ci powiadam...

— Lecz przyjdiesz po obiedzie?... my ją zatrzymamy, dobry masz gust, niech mnie diabli wezmą. Przyjdziesz pewnie?...

— Przyjdę niezawodnie jak się tylko ułatwię...

— Pamiętajże nudziarzu!... Przyjdź Gabinku, jak mnie kochasz. I rozeszli się kuzynkowie.

Faktor Sruł jak koń tresowany w podskokach zbliżył się do naszego Gabina, kłaniając mu się i wyginając na wszystkie boki. Oczami piwnymi mrugał, a szerokimi ustami uśmiechał się i cmokał, z wyrazem pełnym znaczenia. Jednooki Sruł był to typ zwykły naszego żyda faktora, typ tak doskonale znany, i tak mało mający zmian u nas, że się więcej nad psychologicznym onego opisem rozpisywać nie myślimy.

— Nie chciałem jegomości przeszkadzać, — wyrzekł przesuwając rudą brodę do uszów Gabina, jakby mu co najtajemniejszego miał powierzyć. — Jegomość jego dawno nie widział!... ja przecie także jego faktor; to bardzo dobry i rzetelny puryc!.. aj waj!... jakich ja interesów z nim robiłem.

— No i cóż dowiedziałeś się? — przerwał Gabin. — Mów bo wiesz, że ja zatrudniony.

— Aj waj! czy ja nie wiem — odpowiedział faktor ze zwykłym schlebaniem. — Dla czego ja się nie miał dowiedzieć. Sruł wszystko się dowie, Sruł wszystko wie...

— Mów że!... wiesz kto ona?...

Jakkolwiek nam to przykro przychodzi, musimy wykryć plamę w statecznym charakterze pana Gabina. Nie mogąc wytrzymać z ciekawości jaka nim miotała, poleciał Srułowi faktorowi, aby się wywiedział kto jest ta pani, co przychodzi codziennie do kościoła, siada z nim razem w jednej kaplicy, i tak promiennymi a czarnymi spogląda nań oczami. Wiemy, że bohater nasz nie mało upadnie w zdaniu Zoilów delikatności romantyczno-uczuciowej, czerpanej z mnogiej ilości przeczytanych romansów; lecz cóż na to poradzić możemy. Prawda przedewszystkiem!... Pan Gabin był prawym synem swego narodu i swego pochodzenia. Jako polak i szlachcic do tego, nie mógł się obejść bez faktora. Darmo mamy się taić z tem; brodata twarz starozakonnego faktora, wsuwająca się przez drzwi, okna i wszystkie szyby, to konieczność szlacheckiego u nas żywota. Człowiek w domu czy za domem, na wsi czy w mieście, w podróży czy

na jarmarku, bez faktora, to jakby bez prawej ręki. Bo czego człowiek przed żoną i księdzem się nie wypowiada, to jakoś powierzy faktorowi, pewien, że co tylko jest możliwego na tym padole, to faktor wyszpera, wyszachruje i wyszpiguje. I ledwiebyśmy się nie założyli, że nieboszczyk stolnikiewicz chociaż encyklopedysta i zapalony stronnik postępu, nie ruszył się z miejsca bez żyda faktora. A panu Alfredowi, choć się tak podobało w tym lubym Paryżu, jeżeli mu czego tam brakowało, to pewnie żyda faktora.

— Jakto ja nie mam wiedzieć! — odrzekł Srul mrugając oczami i pocmokując ustami. — Auf meine munes, śliczna pani!..

— Mężatka, wdowa, czy panna? — pytał dalej pan Gabin z przyzwoitą flegmą i zwykłą akuracnością.

— Aches mir!.. Co to jegomości obchodzi!.. Kiedy taka śliczna Randelech!.. A Randelech, to zawsze piękny, czy na wielkiego kamień, czy oberznięty kulfon.. Zawsze znajdzie kupca.

— Głupsi!.. więc któż ona jest? mów jeżeli wiesz.

— Jegomość wątpi! — odpowiedział niezmiészany, przybierając postawę i wyraz udanego czy prawdziwego urażenia. — Srul chwala Bogu nie dzisiejszy Srul, znany pomiędzy państwem. Graf Adam nawet zna Srula, i raz tak buło, abym pękł jeżeli prawdy nie mówię, a buł to interes nie taki, jegomość rozum, co to teatr wchodzi do tego; to graf Adam, aż mnie pocałował w brodę, taki buł kontentny ze mnie, i zaraz się upił na wiwat; i mnie naliwał! aj waj!.. co to się wtenczas przepilo!..

— Ja nie wątpię... ale nie mam czasu...

— To prawda! Jegomość o tym czasie nie ma nigdy czasu; niech Jegomość idzie zdrów, i będzie bezpieczny, że kiedy Srul ma ten interes na głowie, to wszystko pójdzie jakby po maslem.

Pan Gabin wymową żyda w pół przekonany, zaczynał się wahać, czy ma go dalej indagować, czy w swoją zwykłą o tym czasie puścić się drogę.

— Ja powiem jegomości — szepnął mu na dobitek w samo ucho — że wona jest dobra znajoma tej purycy co się pan Alfred do niej kocha, i będzie się z nią ożenić. Wona nawet w jej powozie z nim jeździła. Widzi jegomość — dodał tryumfalnie — że Srul wszystko wie. Ale już pół do pierwsza dochodzi. Ja muszę się spieszyć do grafa Erazma. Czy jegomość go zna: Ach! co to za rozum! aż strach! jakiego on bogata żona wzioł! wielki puryc!.. Caluje po nogi jegomości — krzyknął mu jeszcze na pożegnanie i zwrócił się co prędzej.

A na twarzy jego wystąpił wyraz szydery; wyraz to częsty na twarzach naszych faktorów, którzy obdzierając nas, drwią i słusznie z naszej łatwowierności i nieudolności.

Czy to wiedział Srul na prawdę, i dla jakichś sobie znanych przyczyn powiedzieć mu nie chciał, czy się nie dowiedzieć nie mógł, co także prawdopodobnem było, bo pan Srul był trochę za leniwy na małych rybków, jak nazywał sprawy mniej ważne i klientów nie zbyt majątnych lub nie zbyt szczodrych, do jakich porządny i state-

czny Gabin należał oczywiście, jedno czy drugie, trudnoby nam przyszło teraz zawyrokować. Pan Gabin zaś tak był przez faktora zagadniony i zatumaniony, że jakoś nie jasno mu stało przed oczami, gdy się od faktora to samo dowiedział, co już i tak przed chwilą wiedział. Ani nawet nie miał czasu nad tem się zastanowić, bo w tej właśnie chwili uderzyło już pół do pierwszej. Odkąd mieszka we Lwowie, nie trafił mu się taki nieporządek, by najdalej dziesięć minut po dwunastej nie stać już przy trafikce na ulicy dominikańskiej, gdzie był ferlag tytoniu, tabaki i cygarów, jeden ferlag, w którym pan Gabin robił swoje lulczane sprawunki. A ferlag ten stanowił ważną kartę w dziejach jego żywota.

To też co prędzej goni rynkiem na przelaj. Nie stanął nawet na rogu, by przeczytać, ażali co na nim nowego nie przylepili. Już jest na rogu ulicy dominikańskiej; już widzi trafikę! i patrzy ku niej z twarzą uśmiechniętą. Lecz jakież jego zadziwienie? twarz i oko posepnieją!... Darmo! nie widzi w okienku tej twarzy, która go z niego od lat tylu witała uśmiechem i szufadką z cygarami.

Wprawdzie inna patrzy nań twarzyczka, i zaprawdę nie brzydka, wcale przyjemna, i warta przypatrzenia się bliższego, ale zawsze to nie ta twarz codzienna, twarz znajoma. Bo to twarzyczka!... Lecz cały ten ustęp z życia naszego bohatera zanadto jest ważny i stanowczy, byśmy go mimochodem przejść mogli. Wart jest zaprawdę osobnego rozdziału.

III.

Nasz bohater kupuje cygara.

Ładna to była twarzyczka, o jasnych włosach, o niebieskich oczkach, ale to twarz dziecka jeszcze. Jeszcze rysy niewyrobane, bo jak to zwykle bywa przy wzroście dzieci, zanadto ostre, kantowate. Ani też nie ma wyrazu pewnego na twarzy pół dziecięcej, na której odbija się jeszcze swawola i nieświadomość dziecięca. Taką była twarzyczka, którą nasz bohater ujrzał w okienku ferlagowem. Dodajmy, że twarz ta dziewczynki może dwunastoletniej, była blada, nieco jakby cierpiąca czy na słabość fizyczną, czy może jak to się zdarza u dorastających dziewczynek, na myśl wewnętrzną, starszą od wieku.

U Haluni Bodiakówny, tak się nazywała dziewczynka z ferlagu, nie mógł to być zbytek myśli wewnętrznych, bo jej wychowanie mocno było zaniedbane. Zaledwie umiała czytać i pisać o tyle, by wyczytać modlitewkę jaką z książki nabożnej, i spisać rejestr wybranych paczek tytoniu i cygarów z głównego ferlagu. Innych wiadomości nie posiadała żadnych prawie, prócz tego chyba, co od rozmawiających kiedy w domu rodzinnym zasłyszała. A słuchać mówiących, była w stanie po całych godzinach, bo Halunia jak to mówią ciekawem była dzieckiem, i miała pojęcie nad swój wiek, a osobiwie

nad stan swój i otoczenie. Jeżeli jej cera była blada i żółta trochę, to pochodziło nie tylko z ciągłego zamknięcia ciała w atmosferze tabaczej, ale i z zamknięcia mózgu duszy, pragnącej się wydrzeć z ciasnych granic stanowiska, jakie zając była przymuszona. Jeżeli duszne powietrze szkodzi nieraz ciału, o ileż więcej szkodzi duszy także powietrze w moralnem znaczeniu? Dla tego też Halunia ciągle prawie smutną była i niechętnie dzieliła zabawy huczne i krzykliwe rówieśnic, choć się jej to zdarzało w kamienicy, gdzie na samym tyle w dziedzińcu z matką mieszkała. Wolała siedzieć w okienku ze zwieszoną główką, zamysłona... o niebieskich migdałach, mówiła matka w takim razie w pół gniewna a w pół rozżalona, tem wyglądaniem jedynaczki, którą jako matka namiętnie kochała.

I zapewne były to niebieskie migdały, o których jasnowłosa marzyła dziewczynka, bo jej myśl młoda, niedoświadczona, bujała po jakimś ciemnym, nierozwikłanym chaosie wewnętrznych rzutów ku czemuś dalekiemu, nieznanemu. Jej dusza jakby niewolnica, kratami gęstemi od świata oddzielona, nie może przez nie dostrzedz tego świata pięknego, który przeczuwa, że musi być cudny za kratami, i chciałaby odgadnąć, ale ciemnem więzienia tłem otoczonej, brakuje barw do tego; tęskni więc tylko za nim i usycha. Halunia nie wie sama czego jej brakuje, ale czuje, że jej czegoś nie dostaje w tym ciasnym pokoiku, co właśnie uszczęśliwić by ją mogło. Nad słowem tej zagadki marzy blada i żółta dziewczynka przez długie godziny. I nieraz wieczorem, gdy matka jeszcze nie wróciła z budki swojej, patrząc w pałace się w piecyku drewna, gdy zamarzy i zapatrzy się na kapryśne płomyków arabeski, zdaje się jej, że widzi jakieś obrazy niewidziane, niesłyszane, niewyraźnie odznaczone, ale dla tego właśnie pełne uroku.

— Ty drzemiesz Haluniu! — nieraz zawołała jej wówczas nad głową matka, wracająca z ferlagu.

— A może i zdrzemałam się...

— Nie śniły ci się jakie numera? — pytała matka, ciekawie wytrzeszczając siwe oczy.

— Mnie numera? — odpowiedziała zadziwiona dziewczynka — mnie się zdało, że widzę nieboszczyka tata...

— I cóż? — zamruczała matka i westchnęła, bo i ona nieboszczyka męża odżałować się nie mogła, czy z miłości, czy dla większej pensji jaką pobierał? — A któż tam zdoła odgadnąć tajemnicę serca ludzkiego w ogóle, a serca kobiecego w szczególności?...

— Ach mamó! — mówiła w pół rozmarzona dziewczynka dalej — jakie mi śliczne rzeczy tato rozповідаł, a jakie śliczniejsze jeszcze pokazywał.

— Lepiej, aby był numera ci powiedział...

— Były tam rzeczy pisane, wiele pisanego jak w książkach — a po chwili dodała — żeby to tato powiedział mi jakie numera..

— Jezu drogi, żeby my to mogli wygrać na loterji.

— Jabył sobie książek nakupiła...

— Książek! — mruknęła matka, i westchnąwszy głęboko, zapomniiała i o loterji, i o kolacji niezgotowanej jeszcze. Bo serce ko-

chanej matki szło w pomoc ograniczonej głowie, i w takich chwilach rozumiała czego córce potrzeba. To nie bladaczka co ją robi tak mizerną, ale tłuczenie się tej biednej niewolnicy w ciemnych murach więziennych, tęsknota duszy za wiedzą...

Co było książek w domu, przesyłabizowała Halunia. Po tacie nieboszczyku zostały: Podróże Guliwera, Rynaldo Rynaldyni i Henryk szósty na łowach. Nie wiele z nich biedaczka nauczyć się mogła, ale jej dusza uwieczniona przeczuła z tych trzech książek, trzy światy: świat fantazji, świat romansowy, i świat dziejowy. Trzy nowe zagadki w najpiękniejszych zarysach!... a gdzie słowo odgadnienia?

Miała Halunia kotka ulubionego, czarnego jak gałka. Stary już kotek, zapomniawszy dawnej wesołości młodzieńczej, drzemał większą część dnia, najszczęśliwszy, jeżeli mógł zasnąć na kolanach młodej pani swojej. Najmilszym też był on dla niej towarzyszem, gdy sama jedna zamarzyła w domu. Mruczenie kotka, o szarej godzinie, przy tlejących główkach, miało dla niej szczególny jakiś powab. Jej się zdawało, że to głos tych wszystkich marzeń fantastycznych, co po główce biegają, tak niewyraźny i tajemniczy jak i same obrazy, mgłą zasłonię. Tak razu jednego, gdy zamarzyła, a kot mruczał rozłożony wygodnie na kolanach dziewczynki, zgasł ogień w piecyku i ciemno a cicho było w pokoju. Dziewczynki tylko dusza widziała i słuchała. Bezmyślnie pogłaskała Halunia koteczka swego, i pod jej palcami sypane się iskry. Zdziwiona ale nie przestraszona, zerwała się i powtórzyła doświadczenie. Nowe i rześistsze jeszcze iskry zaświeciły się na ciemnym tle w ciemnej izdebce. Jakaś wielka, jakaś nowa otworzyła się przed nią przestrzeń, pełna najrozmaitszych marzeń i domniemywań. Biedna dziewczyna brnęła w morzu wyobraźni.

— To skutek elektryczności! — wyrzekł przypadkiem razu jednego pan Gabin, gdy była mowa o czarnych kotach.

Dziewczyna nastawiła uszy i wyteżyła wzrok.

— Co to jest elektryczność? — zapytała ciekawie.

Pan Gabin powiedział, co wiedział, a więc nie wiele powiedział, bo sam mało wiedział. Za mało, by ciekawej dziewczynie wszystko wytłumaczyć, ale dosyć, by jej umysł rzucić na nowe pole. Nowy świat otworzył się przed nią, świat nauk i umiejętności, obszerniejszy i więcej niezgłębiony od świata fantazji, romansu i dziejów ludzkich. Lecz który ciekawszy, który prawdziwszy, któż odkryje biednej Haluni? Kto powie czy te iskry są skutkiem jakiejś nieznannej elektryki, czy może przecie są to skaczące, widome i jasne duchy tego pełnego uroku świata fantazji?... Chciałaby się dowiedzieć, ale jak? Z książek i od ludzi!... mówiła nieraz dziewczynka sama do siebie. Książek nie było, i nie było gdzie ich dostać, bo nie wielkie były stosunki matki Haluni, a znajomości jakie miały, stały z niemi na równi w umysłowym wykształceniu. Są kółka towarzyskie i wiele takich na całym świecie, dla których książki są nieznanne zupełnie, są oczywistym zbytkiem, bo nie należą do potrzeb życia. I żyją jakoś bez nich, i żyją często szczęśliwsi od tych, co szperają po uszy w morzu najrozmaitszych wiadomości, spragnieni zawsze. Bo gdy się ludzkiemu umysłowi roztworzą wszystkie pola wiedzy ludzkiej z całym ogromem

swej nieskończoności, umysł jakkolwiek chyży i rzutki, zdolen rzucić się we wszystkie kierunki, w niebo i w piekło, ku słońcu i ku odwiecznej ciemności, zmęczy się i nic nie osiągnie. Olbrzymem zacznie, olbrzymem woli własnej, skończy karłem powątpiewania, skurczy się zmęczeniem.

I ludzi nie było, by mogła Halunia z nimi pogwarzyć o swoich marzeniach, i coś się od nich dowiedzieć i nauczyć. Wyśmieliby ją znajomi i znajome, gdyby zaczęła opowiadać dzieje swoich marzeń wieczornych, przy trzeszczeniu drzewek w piecu i mruczeniu czarnego kotka. I tak sąsiadki kamieniczne zadecydowały, że Halunia niedługowieczna.

— To i lepiej! — mówiły na dziedzińcu krawcowa z sąsiadką między sobą. — Nie ma to zdrowia, ma bladaczkę; Bóg to święty raczy wiedzieć z jakiej przyczyny; a potem jej tu coś brakuje! — dodawały zacne kumoszki, pukając palcami w twarde swe głowy. Litowały się zacne niewiasty, którym nic nie brakuje w głowach, nad to co brakuje w bladej i zmęczonej główce. Wielka to i odwieczna ironja, powtarzająca się od czasu Kolumba, z którego drwiły nawet baby w Sewilli i Barcelonie.

Jedynym tedy człowiekiem, który się jej objawił jako coś wyższego, był nasz pan Gabin poczciwy, a którego jak go poznaliśmy, nie mogliśmy zapewne posądzać, by go za wyższość jaką uważano, i który sam się takiego zapewne posądzenia nie spodziewał. I nic dziwnego, że się naszej Haluni takim wydał, bo dla niej jego mowa układniejsza i grzeczniejsza, wielki musiała mieć powab. Nareszcie należał on do tego świata, co coś wie, co coś czyta; do tego świata pełnego ciekawych tajemnic, którego blada dziewczynka tak żądna, i do którego dostaje się tylko ukradkiem na skrzydłach wyobraźni. Od chwili gdy jej powiedział o iskierkach elektrycznych, wydał się jej wielkim człowiekiem, o całą głowę wyższym od drugich, pan Gabin o całą i to głowę!... A jak go polubiła, gdy się raz jednego zdobył na prezent, a tym prezentem była biblja z obrazkami. Halunia rzuciła się z zapalem do czytania nowej książki, polykała z nadzwyczajną żądzą te pełne cudów powieści, którym obrazki dodawały wyrazistszej jeszcze jasności.

To też każdym razem witała Halunia pana Gabina z najszczerzym i najśladszym uśmiechem. Rada choć kilka słów usłyszeć od niego, nieco różnych od tych słów, jakie codzień słyszała w zwykłym swem otoczeniu, wyglądała nawet go z pewną tęsknotą. Poczciwa Halunia najnaiwniej była przekonana, że on jest klucznikiem tych skarbów, przed nią dotąd ukrytych. Gdyby się raz nad nią zlitował, i otworzył te skarby!... Wierzyła, że ta chwila przyjdzie kiedyś, bo choć się rozumem mylić mogła, sercem się nie myliła, gdy przeżuwała w panu Gabinie dobre serce. Bo on je miał w samej rzeczy.

I tym razem najśladszy swój dobyła uśmiech, aby go przywitać, lecz pan Gabin jak zwykle, tak i teraz nie wiele na nią zwracał uwagi, bo i cóż go tam mogło dziecko jakieś obchodzić?...

— Gdzie mama? — zapytał z pewnym niepokojem.

Zasępiła się blada twarz dziewczynki.

— Mama coś słaba!... Duszność ma wielką od niejakiego czasu w piersiach.

— I nie przyszła?... — ozwał się z wyrazem naiwności, do szczytu posuniętym. Nie mogło mu się w głowie pomieścić, by mu mógł zabraknąć ktoś, z nalezących koniecznie do jego życia.

— Jakże przyjść mogła, kiedy ledwie słowo wymówić może?

— Aha! — zamruknał, i westchnął podobno. Niema nic czulszego, jak egoista, żałujący każdego swego, chociażby najmniejszego użycia.

— A mówiła mama, że tak by rada widzieć się z panem Dobrodziejem.

Gabin zdziwione wypatrzył oczy. Nie mógł się jeszcze połapać, o ile to żądanie zgadza się z jego egoizmem. Lecz postrzegł obok uśmiechu na bladej twarzyczce, łezki w niebieskiem oku; po raz pierwszy przypatrzył się bliżej tej twarzyczce, i przez uśmiech wydała mu się piękniejszą. Łzy te go mimowolnie poruszyły, bo jak już mówiliśmy, pan Gabin miał czułe serce. Martwy to zwykle kapitał w życiu czułe serce, ledwie czasem kilka chłodnych wyrazów współczucia przyniesie w procencie.

— Ja odwiedzę matkę... odwiedzę!...

— Pan tam pójdzie zaraz! — zawołała Halunia, klaszcząc w dłonie.

Pan Gabin zolbrzymiał w tej chwili w jej wyobrażeniu.

— Zaraz?... a moje cygara! — odpowiedział nasz bohater, urażony nieco, i wyciągnął rękę ku okienku. — Pójde później! — dodał, patrząc na parę grubszych łez, które już dziewczynce z oka uciekały. Jak mi tylko czas pozwoli po obiedzie.

— Dziewczynka już mu przebaczyła, i co prędzej podała paczkę z cygarami, z której sobie pan Gabin robił całodzienną prowizję cagar.

Lecz czytelnik nie wie jeszcze, jaki to był stosunek pana Gabina z matką Haluni. Bardzo prosty. W pierwszym zaraz roku jego w stolicy pobytu, przechodząc przez ulicę stanął nagle jak wryty. Zapomniał cygarów w domu, a choć mu było niedaleko wrócić, nie widział sam co uczynić, przestraszony na prawdę o stratę swego tak ważnego i tak dobrze rozłożonego czasu. Oglądnał się w tej rozpacz i wątpliwości i spostrzegł ferlag! Przybliżył się do niego i przy wybieraniu cygarów, podanych mu przez niemłodą już kobietę, wielce mu się podobała jej gadatliwość. Zanim wybrał dziesięć cygar, już mu wymieniła trzydzieści osób, co u niej biorą cygara, i to nie samych nazwisk tylko, ale z dodatkiem rozmaitych anegdot z ich najtajemniejszego życia. To była niepospolita dla niego gratyska. Ledwie wybrał cygara, co przy zuanej nam jego systematyczności dość długo trwać musiało, jakiś jegomość, który stał także przy oknie, i który mu z razu najgrzeczniej się uklonił i tabaczką go razy kilka z wielką uprzejmością traktował, wydobyl co prędzej paczkę zapałek i podał mu ogień, przy czem opowiedział naprędce facecję o wypadkach wypalenia dziur w sukni przez zapałki. Nasz bohater był jak w raju. Dawno mu tak nie było przyjemnie jak w tej chwili, ani też przypominał sobie, ażeby kiedy tak czas szybko przeminął. Dla próżniaka każda pogadanka, to rozkosz; a im próżniejsza, tem

przyjemniejsza. Bo i czas przechodzi, i człowiek sobie głowę nie łamie i uśmieje się wreszcie, co ma być bardzo zdrowo na żołądek. To też nazajutrz gdy wyszedł z domu, zatrzymał się długą chwilę nad własną paczką z cygarami.

— Wziąć z sobą czy nie wziąć? — odbyła się nie mniejsza od walki Hamletowej, walka Gabina.

I zamyślony wyszedł z pokoju, zdradziecko udając sam przed sobą, że zapomniał znowu wziąć cygara z sobą. Stał przy okienku i znowu kwadransik przeminał. Jejmość do każdego cygara dodawała jakąś ploteczkę gratis, a jegomość także pod oknem stał sobie, i nie żałował wielkiej tabakierki i ognia do cygarów. Drugim razem dodał nawet jakieś zdarzenie wojenne, dziwnie ciekawe i wielce prawdziwe, o harmacie, co zaalarmowała cały obóz, wystrzeliwszy sobie bez luntu, z wypadku zapalnikowego.

Przyszedł więc pan Gabin i raz trzeci i dziesiąty pod okienko znanego już sobie ferlagu, i znowu przepędził tam miły bardzo kwadransik, bo sprzedająca była zawsze równie gadatliwa, a jegomość ów z wielką tabakierką, jakby już czekał na niego z tabakierką i anegdotką. I tak się pomału przyzwyczaił, że za nicby jednego dnia nie opuścił, by nie odwiedził trafiki ferlagowej; nie zaś na świecie stałszego nad próżniackie przyzwyczajenia. Gdyby o tem kobiety chciały się przeświadczyć! Nie byłoby próżniaków bez żony, a przynajmniej bez kochanek.

Jedna bardzo dowcipna kobieta — przepraszam dama, którą znałem przed laty, wyrzekła przy mnie słowo wielkiej głębokości. Ot tak jakoś żartem zarzucano jej, że lubi się podobać, uśmiechać a nawet i żąbki wyszczerzać, co w końcu mogło by się mężowi niepodobać.

— Memu mężowi! — zawołała z szczerym śmiechem, obcierając rumiane usta, jakby pudełeczko z perłami najczystszej wody. — Znałto jest on próżniakiem na to.

Nie zrozumieliśmy od razu, muszę to wyznać w zupełnej pokorze.

— Żaden próżniak! — dodała po chwili, rzucając rakiety spojrzeniowe między nas — nie przemieni wygodnej swej sofeczki, choćby się najbardziej zepsuła i zestarzała.

Argument był nie do zbiccia, i dla tego przytaczam go na użytek łaskawych czytelników.

Taki był stosunek naszego bohatera z sprzedającą cygara, którą poznamy w następującym rozdziale; oraz z owym grzecznym jegomością o wielkiej tabakierze, o zapalnikach i rozmaitych anegdotach. Dodamy jeszcze, że z czasem ten stosunek przypadkowy, mimo różnicy położenia społecznego, stał się o tyle poufałym przez samo bliższe stykanie się i zażyłość, że pan Gabin był powiernikiem wszystkich wynurzeń się i zdarzeń rodzinnych pani Franciszki Bo-diak, matki bladej Haluni.

By ją bliżej poznać, wejdźmy do jej pomieszkania. Wszak i tak mamy czasu dosyć, bo pan Gabin, wybrawszy zwykle cygara, obdarzył Halunię słodszy niż zwykle uśmiechem, aż jej serce zdrzało,

nie wiedzieć dla czego. I poszedł do zwykłej traktyerni na obiad, gdzie za nim nie pójdziemy, jakkolwiek zasłużyłby może na bliższe studjowanie obiad próżniaka, osobliwie sposób, z jakim najsystematyczniej i najpowolniej wybiera potrawy ze znanego sobie doskonale jadłospisu, oraz jakie przy każdej przypadkowej zmianie długie następują dysertacje i debaty z kelnerami i gospodarzem. Lecz niechcąc dłuższymi opisami zawadzać biegowi powieści naszej, przenosimy się do pani Bodiakowej.

IV.

Najstalsza miłość na zimno.

Z ulicy Dominikańskiej ku nowszej części naszych plantacji wałowych, szkarpami zwanych, prowadzi uliczka wązka, którą każdy zna u nas, ale mało kto się zapewne nad tem zastanowił, jakie to na niej smutne być musi życie, w tej ciemności, bez słońca prawie, które się nie może wdrzeć do głębi ulicy tak ciemnej, więc tylko chyba po wysokich przeszkliznie się dachach, i rzadko kiedy zajrzy ukosem do najwyższych piąter. Ale w dolnych pomieszkaniach, po zabudowanych dziedzińcach, tak bywa ciemno w dnie najjaśniejsze, że biedni tej ulicy mieszkańcy, rzemieślnicy po większej części, w dzień nawet bez świecy obejść się nie mogą. My co znamy tajemnice Paryża, Londynu i innych stolic Europejskich, opisane z mniejszym lub większym talentem, nie ciekawi jesteśmy zupełnie tajemnic własnego miasta, jakie się kryją po biedniejszych i ciasnych uliczkach naszych.

— Co tam zresztą ciekawego być może? — mówimy lub myślimy — czegoby nam Eugenjusz Sue lub Francis Trolopp nie opisali. U nas niema takich nadzwyczajności. Nasze miasto to zwykła, codzienna proza.

Z pewnego stanowiska mają słuszość ci panowie, tak zapaleni do obczyzny. Takich występków, jakie obcy przytoczeni pisarze pozbierali razem, wypróżniwszy po temu wszystkie pieczary więzienne, wszystkie dzieje kryminalne, i wszystką sprężystość własnej wyobraźni, takich występków nie znajdujemy po naszych ciemnych uliczkach, po naszych zaciemnionych dziedzińcach i niskich a dziurawych poddaszach. W tej mierze i nasze miasto, i nasi pisarze są prozaiczni. Ale co do obrazów nędzy i ubóstwa, w tych nie ustąpilibyśmy ani Paryżowi, ani Londynowi, ani też do jej opisu potrzebowalibyśmy wyobraźni panów Sue i Trolopp. Lecz to właśnie najmniej bawi w opisie powieściowym! Występki co innego. Nie tylko że to działa jakoś na nerwy, ale staje się powodem najwznioślejszych pogadanek o wzrastającym zepsuciu moralnem, osobliwie w klasach niższych, przyczem każdy z mówiących może się tanim kosztem okazać filozofem, moralistą, badaczem ekonomii narodowej, człowiekiem uczonym pełnym wyższych zasad i pojęć o potrzebach ludzkości, usterkach cy-

wilizacji i postępu, ba, nawet o prawodawstwie i społecznym porządku.

Przy opisie nędzy paryskiej lub londyńskiej, można się wywinąć westchnieniem, wykrzyknikiem, a na razie i łezką czułości. Jużci czego innego obce i tak od nas odległe okolice żądać nie mogą. Lecz jak zbyć sprawę westchnieniem lub łzą współczucia, gdy mowa o nędzy, tuż zaraz o jedną ulicę, o dwie kamienice dalej. Dla tego najlepiej dać spokój przedmiotowi tak drażliwemu, zostawić to licznym u nas zakładom dobroczynnym, a nasi pisarze niech się nie wdają w takie za ważne dla ich lekkiego pióra przedmioty, jeżeli chcą, byśmy ich czytali, a choć nie czytali, to przynajmniej kupowali. Wyznać także trzeba; że wypadki nędzy u nas nie mogą stać na równi ze zwykłą nędzą proletariatu na zachodzie, bo dzięki opatrności, nie znamy jeszcze tej społecznej rany, tego raka co toczy i stoczyć musi choćby najzdrowsze ciało społeczne. A przecież ktoby zaglądnął w jeden z takich dziedzińczyków, w owej którą wspominaliśmy ciasnej uliczce, przestraszyłby się zaprawdę, widząc oznaki najsmutniejszego ubóstwa. Do takich dziedzińców pchają się zwykle ludzie najubożsi, którzy kosztem zdrowia swego, dla większej taniości mieszkają, po prawdziwych dziurach, niechlujstwem otoczonych, ściśnieni całymi rodzinami w malutkich przestrzeniach, bez światła i powietrza.

Wszedłszy na taki dziedzińczyk, uderzy na cię powietrze najokropniejsze, złożone z najróżnorodniejszych wyciewów. Wieczne na nim gniją kałuże, których wypami są śmieciska odwieczne, góry co dzień się wzmagające, a kanałami wyłomy w bruku, po których sączy się woda, bez pewnej barwy, ale niestety nie bez pewnej woni. Jeżeli to przejdiesz po omacku a przejdiesz szczęśliwie, i wnijdiesz po dwóch trzęsących się schodach do takiego dolnego pomieszkania, gdzie się mieści cała rodzina rzemieślników, zadrzysz, jeżeli masz uczucie, i przekonasz się, że i u nas daćby można neder dramatyczne, serce rozdzierające obrazy nędzy. Zobaczysz ciasną izdebkę, niepopielaną od lat niepamiętnych, bo czynszownik odnowić nie może, a gospodarz nie chce. Jedyłą bazgraniną tych ścian są tkanki pajęczne, i ślady przechodu rozmaitego plugastwa. Izdebka niska, ale że zanadto ciasna, więc przez pół ściany na jej wysokość jest przepierzenie kunsztowne, do którego jak na piąterko przechodzi się po drabince trzęsącej się, z połamaniami szczeblami. Na dole mieszka sam majster i majstrowa z całym drobnym zarybkiem; na wyższym zaś przepierzeniu są bartłogi służących, czeladników i chłopców. Wszystko to razem, dół i górę, ogrzewa mały poszczerbiony piecyk żelazny, przez którego szczeliny iskrzy się ogień i dym wybiega, a który tak bywa zwykle przepalony, tak powalany przygrzewaniami strawami, że się z niego rozchodzi swąd zabijający, nieustanny, który padając na płuca, tworzy owe żółte, wymokłe, blade i schorzone twarze, jakie zdybujemy w młodszym mianowicie pokoleniu naszego stanu rzemieślniczego. Cóż dziwnego, że do takich pomieszkań wchodzi najczęściej jedyna w takiej nędzy pocieszycielka, jedyna dla nędzarzów czarodziejka, która zdoła im brudne ściany w różnobarwne przebrać.

szaty, próżne zapelnąć kufry, dziury polatać, śpiew nawet chrypliwy z suchotniczej wydobyć piersi — wódka, to opium naszego klimatu.

Nieraz w takie otoczenie, w taki świat, w takie powietrze, coś rzuci biedaka, co z dalszego krańca przywędrował, by za pomocą nauki wydobyć się na wierzch. Biedny student mieszka kątem (jak to nazywają) u rzemieślnika. Smutne to życie dla młodego chłopca, który zapomnieć jeszcze nie może swych gór rodzinnych, zielonych łąk, niw urodzajnych, miodem pachnących lasów. Ile to trzeba hartu w młodej duszy, by przebyć te wszystkie trudności, i nie uleść talentem, nie uleść sercem, nie upaść na zdrowiu fizycznym i na zdrowiu moralnym. A jeżeli nie zgaśnie o tatusia iskra zapалу, jeżeli z gasienicy wyleci barwny motyl, jeżeli rzemożny talent w chwili oswobodzenia zanuci pieśń tryumfalną, i w tej chwili nie zdoła wytrzymać, żeby nie sarknął na przeszłość, lub nie poskarżył się na ludzi, których poniewierkę tak długo znosić musiał, ileż to powstanie na niego wrzasku!.. Paszkwilantem go okrzyczą, bo za wiernie malował!.. Wielu nie zna nawet takich siedzib nędzy, ani rozumie tę nędzę w jej najrozmaitszych pojawach, i dla tego pojąć nigdy nie może tych uczuć jakie wzbudza widok, a nawet samo przypomnienie tych wszystkich cierpień, które przechodzić muszą tysiące i miliony, zanim przejdą tę dla nich drogę Golgoty, od kolebki do trumny.

Jedno z takich przypomnień wywołało ten ustęp, za które wracając do przedmiotu naszego, przepraszamy czytelników naszych.

Chcieliśmy tylko powiedzieć, że na jednym z takich dziedzińców, wśród opisanej tylko co nędzy, co się tam ze wszystkich kątów wyszczerza, mieszkała matka naszej Haluni. W jednym końcu dziedzińca, zarzuconego rozmaitem śmieciem, po którym niezliczone igrały szczury, były drzwi do jej pomieszkania, które jakkolwiek ciasne, ciemne i wilgotne, czyściej daleko i przyjemniej wyglądały od sąsiednich pomieszkań, zajętych przez ubogich rzemieślników. Pani Franciszka Bodiak, einnemerka, jak ją sąsiedzi nazywali, miała się lepiej nieco, to też i ściany u niej bywały czasem bielone, i podłoga wmyta, a nawet przesianym piaskiem posypana, i było tam nieco sprzączek koniecznych, na które bogatszy ani by chciał się popatrzeć, a popatrzysz nie mógłby zrozumieć, jak ludzie na nich spać, siadać i ich używać mogą, a które między uboższymi są przedmiotem podziwu i wzajemnej zazdrości.

Matka Haluni była to kobieta już nie młoda; życie pracowite, wystawione codziennie na wszystkie niepogody, wydawało ją starszą. Po prawdzie powiedziawszy, jej powierzchowność nie zdradzała złego bytu; była to bowiem babina, obdarzona niepospolitą otyłością, co przy niskim wzroście robiło ją do kuli podobną. Twarz szeroka o kilku podbródkach, wyglądała jakby spuchnięta, i ledwie z niej dwoje małych ocząt, jakby dwoje szpilek świecących wyglądało. Przy opaleniu i żółtej cerze trudno było zaprawdę zrozumieć, czy ta otyłość była skutkiem zdrowia, czy chorobliwej puchliny jakiej. Za drugą przemawiała częsta duszność, która jej nawet przeszkadzała w mówieniu, przerywanem ciągiem sapaniem i pokaszliwaniem. Za

pierwszem przemawiała niepospolita jej żywość. Przymuszona w swoim ferlagu siedzące prowadzić życie, i nie mając nawet miejsca do ruchu w ciasnej budzie, starała się to wynagradzać najpociesznieszmi podskokami na jednym miejscu, tak nieraz nagłemi i nie przygotowanemi, gdy się rzucała to po paczki wyżej ułożone, to po buncik papierowy na tabakę, nakształt wieńca u powały wiszącej, to znowu sięgając po słoć, wonną albanką napelnioną a dla utrzymania wilgoci na podłodze stojący, że kto ją w takiej chwili zajrzał, nie mógł się powstrzymać od śmiechu. A byli i tacy, którzy te ruchy gwałtowne uważali za jakiś pojaw niedobry.

— Pani Einnemerowej brakuje piątej krokiewki, — mówiły łaskawe sąsiadki, chociaż wszystkie lubiły panią Franciszkę. Ale już to we wszystkich podobno stanach rzecz jest sąsiedzka, obmawiać sąsiadów

Pan Bazyli Pawluk, którego zaraz poznamy, jako jedną z najważniejszych figur naszego wielce prawdziwego obrazka, jeszcze się lepiej o niej wyrażał:

— Perpetuum nobile! — nazywał ją, przemieniając literę w najlepszej wierze, co mu nareszcie przebaczyć należało, bo przecie ani fizyki ani języka łacińskiego nie posiadał.

I gniewał się nawet, gdy kto poprawiał, mówiąc:

— Perpetuum mobile! Pan chcesz powiedzieć...

— A ja to wiem lepiej mój panie! — odpowiadał.

Na dowód czego powtarzał wcale pocieszną anegdotę o jakimś tokarzu, który mu dowodził, że żadna kula bilardowa nie może być zupełnie okrągła, bo inaczej byłoby w niej perpetuum nobile.

Żywość swoją pani Einnemerowa objawiała najczęściej niepospolitą szczebiotliwością. Nie mogąc zawsze ruszać nogami i rękami, odwetowywała się językiem, w którym właściwie siedzieć musiała to pana Bazylego perpetuum nobile. Gadała najzawzięciej o wszystkim i o niczem, od rana do wieczora, byle gadać tylko. Do niej można byłoby przytoczyć owe przysłowie nasze: Rada gęba kiedy pan spi. Siedząc w trafice, gadała bez ustanku i to nader szybko do wszystkich kupujących, ba nawet i do przechodzących, których nieraz choć nieznajomi, haczyła rozmaitemi uwagami potocznemi, z tego zapewne wychodząc stanowiska: A nuż się uda wprowadzić go w rozmowę. Najsilniejszą wszakże była w monologach, które samotnie nieraz będącej w trafice swojej, były jedynym środkiem sowitego wygadania się. I sztukę monologową doprowadziła do niesłychanej doskonałości, bo mówiąc sama do siebie, odbywała to sposobem dialogowym. Nieraz gdy jaki przedmiot wydał się jej godnym głębszej debaty, a osobliwie gdy ją co rozniewało w słowach lub obejściu którego z kupujących, długo jeszcze po jego odejściu to przemawiała do siebie, to sobie odpowiadała. A że jak to bywa przy charakterze żywym, była dosyć prędka i z tego w swojej części miasta była dobrze znaną; nieraz złośliwi, najczęściej młodzi, dla własnej rozrywki starali się ją rozniewać. Jak zegarek z repetycjami, gdy pociągniesz za sznurek, babina szczebiotała coraz prędzej, im więcej była roz-

gniewana. I choć dawno już odeszli ci co ją droczyli, ona gwarzyła dalej, w pełnym zapale monologowym. Najwięcej ją gniewali cygarowi kupcy, udający umyślnie, że chcą się targować.

— Jak to targować! — krzyczała — to jak kukielka za grosz.

— Ale daj imość trzy cygara za dwa grajczary! — mawiali żartownisie, dusząc się od śmiechu. — Dziś przecie na wszystko targ jest na świecie.

— Nawet na próżne makówki! — odpowiadała w gniewie, tym lub innym odgryzając się sensem moralnym.

Zostawszy sama, wpadała dopiero w gwałtowny gniew, gniew podwójny, bo i na tych co ją droczyli, i na siebie samą, że się dała unieść. I zaczynał się na piękne dialog, któremu nieraz znajomi pani Franciszki przysłuchiwali się z boku, dusząc się od śmiechu. W takich dialogach sama siebie zwykle fajała, sama sobie wyrzucała i przedkość i gadatliwość.

— Na takich chłystków się gniewać!... tfu!... w twoim wieku! — mówiła do siebie. — Jaka mi młoda! nikomu nic do tego. Ale teraz odpowiadać, a komu jeszcze? kupcowi; z kupca przecież żyjesz... Już się rozgadała!... a miele gębą jak we młynie... Alboż nie wolno gadać?... Obyś lepiej milczała! ktoś idzie; to przecie pan Bazyli! — mówiła coraz słodziej — I oczy jej, roziskrzone dyskusją coraz słodziej się mrużyły, tak, że ledwie je już widać było. Wszystko to na przywitanie pana Bazylego. Bo pan Bazyli Pawluk...

Lecz wejdźmy już raz do niej, uprzedzając naszego bohatera, który przyszedł odwiedzić chorą.

Einnehmerka... tu już muszę powiedzieć, że nazywano ją Einnehmerową lub po prostu Einnehmerką po nieboszczyku panu Ignacym Bodiak, wysłużonym żołnierzu, który w małej mieścinie jakiejś einnehmerował na rogatce, zanim w nagrodę zasług swoich wojskowych dostał pozwolenie otwarcia trafiki. Pani Einnehmerowa tedy siedziała przymuszenie w domu, bo astmatyczny jej kaszel wilgocią kilku dni dżdżystych rozbudzony, męczył ją niepospolicie, a męczył tem okropniej, iż nie tylko nie mogła siedzieć w ulubionem swem okienku ferlagowem, do którego była serdecznie przyzwyczajoną, nie tylko musiała zaniechać rozmów z przechodzącymi i kupującymi, ale nawet w takim stanie monologi, ta jedyna samotności pociecha i rozrywka, ustać musiały.

W chustce kratkowanej na głowie, z pod której ciemne dobywały się włosy, w ogromnym kaftanie flanelowym, niegdyś białym, i w barchanowej spodnicy barwy nijakiej, przechadzała się pani Einnehmerowa z ogromną tabakierą w rękę, jedyną jej pocieszycielką, w czasie ciężkich chwil chorobliwej samotności i przymuszonego milczenia. Nie mogąc mówić, czy to otwierając, czy uderzając po niej, czy czerpiąc z niej wonny proszek, ileż to ona powierzała jej myśli, dialogując z tą tyloletnią powiernicą, chociażby myślą, chociażby gestami. Wpatrzywszy się bliżej w twarz pani Bodiakowej, widać było resztki dawnej urody; i dziś nawet mimo zbytniej otyłości, mimo okopconej dymem zdaje się cygarowym cery, mimo nosa, niecierpliwem zażywaniem tabaki zbyt rozepchanego, nie była brzydka, a nawet ogólny

wyraz twarzy przyjemne robił wrażenie, przez dobroduszną uśmiechniętą i do wesołości skłoną, rozlaną widocznie na niej.

Chodziła tedy jak mówiliśmy po maleńkiej izdebce, zaglądając od czasu do czasu do żelaznego piecyka, który był kuchenką zarazem, i pilnując garnka, zawierającego cały jej obiad. Zdawała się być mocno zamyśloną, i o ważnej a zajmującej zapewne rzeczy, bo mimowolnie rozmaite rękami robiła gesta, i krzywieniem twarzy a ruchem ust zdawała się im wtórować. Palcami głównie machała, jakby co rachowała, towarzysząc rachunkowi przymuszenie niemym ruchem ust. I tak była zatopiona w swej myśli, że nie słyszała nawet jak się zwolna drzwi otworzyły.

— Niech będzie pochwalony! — ozwał się głos ode drzwi.

Einnehmerka obudzona z zadumania, obróciła się ku drzwiom i widząc wchodzącego, przywitała go uśmiechem tak słodkim, że prawdziwie, aż wyładniała i odmłodniała. Chciała przemówić, ale przy pierwszym słowie tak się zakaszła, że musiała tylko poprzestać na wymownem przyłożeniu ręki do zbolątej i przyduszonej piersi. A nawet czy to w skutek zakaszania się, czy może w skutek myśli jakiejś wewnętrznej, małe jej oczki zabłyśły dwoma łzami. W tej chwili znikła cała proza jej powierzchowności i otoczenia, bo łączy się w życiu ludzkim smutną, elegijną, ale prawdziwą poezją. Uczucie prawdziwe, do którego posiadania niema ani ludzi ani stanów uprzywilejowanych, rozpromienia najpospolitszą twarz.

— Jejmość znowu chora! — odpowiedział głosem piskliwym zawsze, a w tej chwili drżącym nieco.

— Złe panie Bazyli! — odszepnęła chora niewyraźnym głosem. I smutno, bardzo smutno popatrzyli oboje na siebie.

— A jam się tak cieszył idąc tutaj! — mówił nowo przybyły gość, a twarz jego uśmiechnięta rzeczywiście przy wejściu, posępniała co chwilę. Przejście to na jego twarz, jakkolwiek szczere, miało stronę komiczną. On temu nie był winien, ale twarz i postawa jakimi go natura obdarzyła.

Był to mężczyzna, pięćdziesiątki już może dobiegający, jak to świadczyły już dobrze szpakowate na głowie włosy, dziwnie odbijające od czarnych jak gałka a rześzystych faworytów, i takichże wąsów, doskonale wywoskowanych, wysmarowanych i zakończonych dwoma długimi i ostremi szpicami, do góry podniesionemi, jakby rogi wołów węgierskich w miniaturze. Wzrost miał ogromny prawdziwie grenaderski, ale przytem chudość twarzy i całej figury była fenomenalną; gdyby nie trochę skóry i nieco żył przez nią przeglądających, byłby to istny kościotrup. Najciekawsze w jego całej postawie były nogi nieproporcjonalnie długie; stanowiły one większą daleko część całego człowieka; nogi te zdawały się być stworzone do długich przechodów, do lauferskiej prawie bieganiny; były to nogi, przypominające bajkę o siedmiomilowych butach, stworzonych zdaje się dla tych właśnie długich nóg. Po nogach, twarz także warta zastanowienia i to właściwie nie twarz, ale raczej brak twarzy. Bo na głowie nie było czoła widać z pod gęsto od brwi prawie zarastających włosów:

a z pomiędzy dwóch lasów faworytowych, sterczał tylko nos, gdyby skała ze środka borów ciemnych.

Prawda, że nos był prawdziwie potężnym, co na dwie wystarczyłyby twarze, bo to i długi i gruby, a ciekawie sterczący naprzód. Nie byłoby wszakże wyrazu na tej twarzy, bo sam nos wyrazu dodać nie potrafi, gdyby nie wielkie, ciemno-piwnie oczy, na wierzchu osadzone, na których po pierwszym spojrzeniu niktby się nie mógł pomylić o ich właścicielu. Oczy te dziwnie naiwnie a ciekawie na świat patrzące, były najprawdziwszym obrazem wewnętrznej prostoduszności. I choć się już z pięćdziesiąt lat patrzą na świat, są one takiego rodzaju, że mogą i sto patrzeć, ale patrzeć będą daremnie, bo nic nie wypatrzą. Ale też nic nie ukryją i nikogo nie zwiedą. Od razu widać, że w całym tym chudym człowieku niema ani fałszu ani zdrady. Stosownie do żołnierskich wąsów, stara sobie ich właściciel nadać i postawę i wyraz surowo uroczysty, lecz tyle mu tylko się zdaje, że postawę ma sztywną, a wyraz oczów poważny. Posmutniały nagle oczy, a ręka tylko przez przyzwyczajenie pobiegła do koleczastych wąsów.

— Ja się tak ucieszyłem! — powtórzył raz jeszcze. — A jejmość słaba znowu...

Jejmościne oczy ciekawie spojrzwały na mówiącego i zdawały się wymownie pytać o powód uciechy...

— Cóż to? — zaczęła, i znowu przeszkodziło jej kaszlanie.

Wąsaty jegomość zrozumiał ciekawość, i dobył z pod pachy ogromny facykuł papierów, po których składzie od razu poznać było można, że to są papiery sądowe. I każdy poznałby także, że wąsacz był onych roznosicielem, jakoż w samej rzeczy był woźnym jednego z sądów. Rozwinął facykuły, i z pomiędzy nich dobył rodzaj podługowatego pugilaresu dobrze wytartego, w którym zwykle woźni chowają papiery ważniejsze i protokoły roznoszonych dekretów. A ze skórzanego pokrowca, przerzuciwszy niektóre papiery, wyciągnął i z ruchem tryumfalnym rozwinął i potrząsł banknot dziesięcioreńskiowy.

Oko i ręka kaszlącej pobiegły ku banknotowi. Kaszel nawet ustał, i oboje patrzali z rodzajem uszanowania na ten kawałek papieru, który jest przecie przedstawicielem najwierzytelniejszym znaczenia, władzy i szczęścia w dzisiejszym pojęciu. Radośnie patrzali oboje na banknot, ale w tem spojrzeniu nie brudna przemagała chciwość. Było w niem coś więcej, bo w wyrazie radości przebijał się odcień jakiegoś rozrzewnienia.

— Dziesięć reńskich! — szepnęła pani Franciszka! — To wasze? panie Bazyli...

— Moje własne! — odrzekł dumnie pan Bazyli. — Dostałem od tego młodego kupca.

— Z czerwonym wąsem?

— Gdy mu przyniosłem przyznanie dziedzictwa po starej ciotce.

— A ja właśnie nimescie nadeszli, rachowałam...

— I cóż?...

— I cóż?.. brakuje jeszcze...

— Brakuje?... a wiele? — ciszej i z przestrachem prawie za-
pytał Bazyli.

— Jest dziewięćset pięćdziesiąt dziewięć, a z tym..

— Zawsze brakować będzie jeszcze trzydzieści jeden..

I oboje westchnęli, i oboje popatrzyli na siebie tak smutno a tak czule, że obojga oczy zabłysły łzami. I znowu znikła komiczność i cała obojga twarzy pospolitość. By te łzy i ten smutek, z rachunku pochodzący zrozumieć, wypada bliżej czytelników obznajomić z przeszłością tych dwojga ludzi.

Franciszek Bodiak, zmarły mąż naszej tłustej Einnemerki, i Bazyli Pawluk byli parobczakami w jednej wsi, z której była także i dzisiejsza pani Franciszkowa, wówczas hoża i dorodna dziewczucha, która służąc przy dworze nabrała trochę poluru, co oczywiście wielkie na wsi robiło wrażenie. Obaj parobczaki pokochali się jakoś w pięknej Tance, jak ją wówczas nazywali. Tanka po prawdzie nie kochała ani jednego ani drugiego, bo to było dobre, ale puste i o cały świat niedbałe dziewczę. Rada była, że kiedy jej państwo pozwolą pójść do karczmy, ma gotowych dwóch tancerzy, z którymi się wyhula jak żadna inna we wsi dziewczka. Ot żeby tak było wolno, obydwóch podobno byłaby wzięła za mężów, bo obydwóch lubiła jednakowo, obydwaj się równoważyli w jej zdaniu. Jeżeli Bodiak lepiej i zamieszysćie wywijal w kołomyjce, to znowu Pawluk kręcił się cudownie w stejerze, którego się był lepiej nauczył od bawiących we wsi urlopników. Ale Bodiak miał większe już prawo, bo już się dawniej oświadczył, i sama pani dziedziczka, a dobra to była bardzo pani, mówiła do niej:

— Ty pójdziesz za Bodiaka!... z niego dobry mąż. Pawluk musi jeszcze swoje przehulać na świecie.

Tanka na takie słowa padała dziedziczce do nóg i fartuszkciem kryjąc zawstydzoną niby twarz, której więcej było do śmiechu, niżeli do rumieńca:

— A kiedy taka wola boska i wasza! — odpowiadała z pokorą.

A w duszy myślała, że jej to jest rzeczą zupełnie obojętną.

— Ale moja Tanko! ty i Bodiak musicie pierwej nauczyć się czytać i modlić na księżce.

Franka skrobała się w głowę i nigdy dobrze pojąć nie mogła tej fantazji pani dziedziczki. I my ledwie pojmujemy, jakim sposobem taka myśl powstać mogła przed laty trzydziestu w głowie którejś z dziedziczek. Tymczasem tak było rzeczywiście, a przeciwko prawdzie historycznej trudno walczyć.

Żyła taka dziedziczka błogosławionej pamięci, w niewielkiej wiosce na Pokuciu, i była w niej szkołka, jej kosztem założona i utrzymywana. Najlepszym tego dowodem, że i Tanka i Bodiak, i nawet Pawluk przez miłość dla Tanki wyuczyl się czytać. Krzywili się nie pomału przy nauce, która nie zbyt szła sporo, i nieraz mrużąc na dziką fantazję dziedziczki, nie przewidywali, że będą błogosławić kiedyś jej pamięci. Wszystko z czasem przechodzi, więc i ten czas nauki przeszedł szczęśliwie. Tanka została żoną Bodiaka.

I rzecz dziwna! wzięwszy dopiero ślub, gdy się już weselne skończyły gody, jakieś szczególne przypłynęły jej myśli do głowy.

— Ot może lepiej było pójść za Pawluka — mówiła głowa, a nawet i serce wtórowało, powtarzając bez ustanku: — On ciebie tak kocha, więcej daleko od męża.

Było to jakieś uczucie niewyraźne i kapryśne, co tylko zdaje się dowodzić, że płeć piękna czy w pałacu czy chacie miewa swe nieodgadnione kaprysyki. Tymczasem nowe i prawdziwe zaszły do żalu powody. Nagle przyszedł rozkaz o rekrutacji. Bodiak mimo prośb żony i wstawień się pocziwej dziedziczki, został żołnierzem. I Pawluk, któremu od czasu Tanczynego ślubu jakoś niemiło było we wsi rodzinnej, powiedział sobie i znajomym: ot będę także żołnierzem. I poszedł razem z Bodiakiem do wojska.

Nie będziemy krok w krok chodzić za nimi. Los rozrzucił ich jak to się najczęściej trafia z całemi rodzinami, na wszystkie strony świata. I trwało to tak długo, bardzo długo, aż po latach wielu a wielu przypadek zrządził, że zesłzi się razem wszystko troje w stolicy. Bodiakowi mieli już trafikę i matą córeczkę, Pawluk zaś był woźnym. Wielka to była radość wszystkich trojga, gdy niespodziewając się zdybali, przy tej samej trafice, gdzie raz w szczęśliwą godzinę Pawluk goniąc za jakimś dłużnikiem, przed dekretem uciekającym, zaszedł by kupić sobie pół tuta tabaki. Mężczyźni pociągnęli oczywiście do najbliższego szynku, by sobie przypomnieć dawne dzieje, i wieś rodzinną, i młodość w niej przepędzoną, i dawno już zapomniane nazwiska, i znajomości, Bóg wie gdzie i pod jakim tam leżące grobem. A za każdym kieliszkiem gorzałki nowe napływały im przypomnienia. Bo to nie wiem jacyś nudziarze powiedzieli, że na dnie kieliszka mieszka zapomnienie, i mieliśmy poetę nawet, który trunek porównał do rzeki Lethe. Gdzie tam! pomylili się jedni i drudzy. Hofmann także dowiódł, że na dnie kielicha mieszkają najcudniejsze fantazji utwory, a nasza gorzałka, spytajcie się tylko jej lubowników, daje co komu najpotrzebniejsze; jednego pocieszy zapomnieniem aż do uśmiechu, a drugiemu odświeży pamięć aż do łez rozczulenia. Tak się też stało z obydwojma wojskowymi; a gdy się dobrze napili, do czego Bodiak miał wielki pociąg, i dobrze napłakali, wrócili do domu, by się z panią Franciszkową podzielić i łzami i pamiątkami.

Odtąd dawny stosunek przyjaźni ustalił się między nimi na zawsze. Jak pierwaj wspólni pamiątkami, tak się dalej dzielili codziennemi życia troskami. Najszcześniejszym z zdybania był Bodiak, który od dawna czuł, że już mu nie długo zostać przy wonnej tabace, i wonniejszej nadto gorzałeczce. Siły jego były dawno styrane trochę w skutek długiej żołnierki, trochę w skutek tej, której mocno hołdował, przyjaciółki i pocieszycielki. Czuł codzien, że już dogorywa, i codzien był czulszy dla przyjaciela odszukanego, codzien się więcej zatapiał w myśli i rozmowie o przyszłości żony i dziecka. Bo śmierć ma to w sobie dziwnego, że nie tylko najnierówniejszych zrówna grobem, ale zarówno tak najmniej jak i najwięcej ukształconemu na łóżku śmiertelnem poetyzuje ostatnie chwile bogactwem myśli i uczuć,

które zdają się naumyślnie z tamtego przybywać świata, by duszę człowieka w godnym jej otoczeniu porwać z sobą. W ostatniej chwili ostatniem spojrzeniem, ostatniem słowem obdarzył żonę i przyjaciela, cisnąc ich ręce do wychłodzonej, śmiertelnym już potem wilgotnej piersi.

— Pamiętajcie o mojej Halce! — wyrzekł głosem połamanym, z wyrazem na twarzy pełnym znaczenia.

Po śmierci męża, gdy go już pogrzebali, i szczerym żalem a łzami na świeżej podzielili mogile, razu jednego w poufnej rozmowie powiedzieli sobie żona i przyjaciel zmarłego:

— Pobierzmy się!...

A to powiedzenie było tak czyste, że nawet nieboszczyk Bodiak, jeżeliby je z tamtego usłyszał świata, byłby się niemi ucieszył, i uśmiechnął do nich błogim wiecznym spokojem uśmiechem.

— Ale pierwaj postaramy się o posag dla Halki, — powiedzieli oboje.

I po ścisłym namyśle i rozważeniu obopólnego położenia, udecydowali, że ten posag miał wynosić dwa tysiące reńskich, które miały się składać u Bodiakowej. Za pierwszą wkładkę służyły małe bardzo kwoty, oszczędzone przez obojga. Westchnęli mimowolnie, gdy zobaczyli, jaka to mała jest kwota, jak wiele jeszcze brakuje, lecz to nie zmieniło ich poczciwego postanowienia. Łzy się im obojgu zakreśliły; a te łzy mówiły:

— A choćby się i do śmierci nie doczekać.

I spojrzeli w górę jakby namówieni, wspólną poruszeni myślą:

— On tam w górze będzie się radował, i będzie nam błogosławił.

Po chwili uśmiech zaspokojenia zewnętrznego na obojgu był twarzach:

— Choć na starość będziemy szczęśliwi! — rzekli sobie, i rozszli się zaręczeni wspólnem słowem i szlachetną myślą.

U ludzi prostych było to święte postanowienie, pełne wzniosłej szlachetności, a może właśnie dla tego, że u ludzi prostych, u których głowy nie są zaprzątzione temi mnogimi rozumowaniami, co to wszystko na czarno i na biało przerozumują, a serca nie zalane temi odcieniami uczuciwami, tak rozmaitemi i tak mieniącemi się, że przez nie trudno dojść, jakiej prawdziwie barwy jest to serce. Ludzie wyżsi, co to z góry patrzą na to drobnych stworzeń mrówisko, uśmiechną się tylko litośnie i szydęczo, i pójdą dalej stawiać kolumny cyfrowe, te jedyne dzisiaj kolumny galwaniczne, poruszyć zimny świat zdolne. I choć im nieraz przykro było w sercu, bo się codziennie więcej przywiązywali do siebie, czekali cierpliwie, wynagradzając sobie zwiększonym do Halki przywiązaniem. Choć nieraz ciężkie przychodziły chwile w obojga gospodarstwie, i nie jedno potrzebne nawet zawitało jej lub jemu zachcenie, choć nieraz z prawdziwym przyszło walczyć niedostatkiem, pozostali wierni postanowieniu swemu, i składali grosz do grosza na posag dla Haluni. Im to na myśl nie przyszło, że ostatni grosz tego posagu może przyjść na zakupienie trumien dla nich obojga. Skapili sobie, odejrnawali od ust, od wszystkich

potrzeb i zachceń, i nie było dnia, żeby oboje do ukrytej skarbonki nie dodali choćby parę wdowich zaprawdę groszy. Sumiennosc ich w tej mierze byla bez granic.

Łatwo pojac jakie kazda stabosc robila na nich wrazenie. Bo mimowolnie przychodzila na mysł bojazn, ze jedna chwila moze rozbić cały ten tak dla nich nęcący plan. Lecz tyle bylo prawdziwej poczciwosci w tych prostych sercach, iż azeby się w takich smutnych pocieszyc chwilach, mówili do siebie przy najprozaicniejszym niuchu tabaki:

— Byle wystarczyło czasu złożyć posag dla Haluni.

Teraz pojac możemy i smutek na obojgu twarzach, i lzy jakie zaświeciły w obojgu oczach. Niemniej przeto poszła Einnemerka do starej komódki, i otworzywszy ją wyjęła zamykaną szkatułkę, i do niej włożyła owe przez pana Bazylego zarobione dziesięć reńskich. Oboje uśmiechnęli się mimowolnie do tego skarbu swojej przyszłości, i dotknęli go oboje rękami, przewracając tę rozmaitą monetę, z jakiej skarb się składał. A były tam i papierki, i złoto, i różnego rodzaju drobniejsze srebrne monety.

— Ot poczekany przecie! — wyrzekł Bazyl, dodając sobie i przyjaciółce odwagi, chociaż z rodzajem trwogi spoglądał w pozostałe Einnemerki powieki. I westchnął mimowolnie. A to westchnienie, Bóg wie gdzie poleciało, może het tam w przeszłość, w młode lata, na zawsze już darmo stracone. Może tem westchnieniem przypominał sobie ową Tanke, żywą, młodą i pełną powabów, z którą przed laty, mnogimi tak dziarsko sztejera wykręcał.

Pani Franciszkowa chciała także westchnąć, ale zakaszła tylko.

— Nic to nic! — rzekła po chwili, gdy się kaszel uspokoił — jakoś to będzie. Ale ja panie Bazylu inną kłopotczę się myślą.

— Inną? — zapytał Bazyl z największą ciekawością.

— Posłuchaj!..

Nie dokończyła, bo w tej chwili otwarły się drzwi, i wszedł przez nie pan Gabin.

V.

Pierwsze naszego bohatera rozczulenie się.

Pan Gabin wszedł do izby Einnemerki z jedną ze swoich miu najuroczystszych. A co do układania twarzy w pewien wyraz, do okoliczności stosowny, pan Gabin był rzetelnym mistrzem. Naturalnie wchodząc do chorego, wyraz musiał być smutno uroczysty, z dodatkiem pewnej powagi, jaka przystoi szlachcicowi (a nie zapomnijmy, że się pieczętuje panną na niedźwiedziu), odwiedzającemu niższych od siebie w stosunku społecznym.

Nie pierwszy to raz odwiedzał skromne pani Einnemerowej pomieszkanie. By zrozumieć tę niejednemu może z czytelników naszych

niezrozumiała popularność naszego szlachcica, powiemy przedewszystkiem, że próżniak zalezie wszędzie, byle czas zabić. Próżniak to jak gracz, który do zielonego stolika z każdym bez wyboru zasiędzie, chociażby się z nim na ulicy zdybać wstydził, byle zdobył pieniądze.

Pan Gabin lubił rozmawiać z panią Franciszkową a osobiwie z panem Bazyliem, bo mu oni rozpowiadali rozmaite zdarzenia życia, po wszystkich kątach wędrującego. Nie wiem jakby to psychologowie ze stanowiska naukowego wytłumaczyli, ale to pewna, że ile znałem próżniaków, woleli zawsze słuchać mówiących, niżeli czytać książkę. Rozmowa najpowszedniejsza, z człowiekiem najmniej wykształconym, przeważy u nich najzabawniejszą książkę, przez najznakomitszego napisaną autora. Może próżniakowi zawadza samotność przy książce, a może ta cisza jaka panuje przy samotnem książki czytaniu. Może prócz treści zajmującej, dla próżnej głowy potrzebny jest do lepszego zabicia czasu, ten szum głosu mówiącego.

Była jeszcze prócz tego inna przyczyna tej pana Gabina sympatji do pani Einnemerowej. Owa poczciwa dziewczka, u której Einnemerowa młodą jeszcze Tanką przy dworze służyła, była ciotką rodzoną pana Gabina. A ta ciotka, była jedyną pamiętką w życiu pana Gabina, wyższem uczuciem naznaczona.

Mimo obojętności jaka przeważała w usposobieniu pana Gabina, ile razy przypomniat sobie zmarłą już dawno ciotkę, tylekroć odzywało mu się w sercu jakieś rzewne uczucie. Ależ bo po wczesnej śmierci matki, był to jedyny epizod jego dziecinnego życia, który mu pozostał w pamięci pełen szczególnego uroku jakim się w późniejszym wieku oblekają pamiętki pierwszej epoki życia. I nieraz gdy znudzony życiem beczynnem, usiadł u siebie samotny, by przesiedzieć ten czas, ciężący mu tak mocno, i mimowolnie przesuwały mu się przed myślą sceny życia minionego, wszystkie nudne, wszystkie jednostajne.

Aż nagle pan Gabin westchnął! to ciotka mu się przypomniiała. I jakkolwiek fantazja u niego nie przemagała, zdawało mu się w takich razach, że czuje jeszcze przy swej twarzy miękką rękę pieścącą i gorący pocałunek; i zdało mu się, że widzi jej oczy, patrzące na małego chłopca tak czule, a tak rzewnie. Snać rozsądna ciotka, odwiedzająca nie często dom brata, od którego o mil kilkadziesiąt mieszkała, przewidywała jakim kierunkiem pójdzie wychowanie i przyszłość bratanka. I przypominał sobie jej dary często. Zdało mu się widzieć ową książeczkę, tak ślicznie oprawną, a z takimi ładnymi powiastkami a ładniejszymi jeszcze obrazkami. Snać ciotka chciała rozbudzić zasypiający w gnusności umysł młodego chłopca. Nie udało się biednej ciotce. Została tylko w głębi serca pana Gabina pamięć po niej. Tą tylko pamiętką żyło jego serce, dla wszystkich innych uczuć obumarłe.

Ta to pamiętka zbliżyła go najwięcej do pani Bodiakowej. Bo gdy się raz przypadkiem rozgadali, pokazało się nawet, że Einnemerowa przypomina sobie pana Gabina dzieckiem małym jeszcze. A że lubiła gawędzić i pamięć miała dobrą, a gdzie pamięć nie starczyła,

jak wszystkie gaduły, umiała sztukować opowiadania swoje własnymi dodatkami, więc mu opowiadała długo i szeroko o nieboszczce pani, jak ona młodego kochała panicza, ile to ona razy, ile rzeczy mówiła o nim, przytaczając najdrobniejsze szczegóły o pierwszych malca ząbkach, o jego pierwszych ozwaniach się, ba nawet o niektórych ładniejszych sukienkach, jakiej były barwy i jakiego kroju.

Warto było widzieć, jak w takich razach pan Gabin słuchał z uwagą po raz setny gadatliwej babiny. Oparty o ladę trafiki, z gębą stał otwartą i z cygarem w palcach, zgaśniętem lub ciągle gasnącem, a słuchał i słuchał. Próźniak to jak dziecko, słuchałby po dniach i nocach byle mu co bajano, i to cobądź, bez wyboru, a tem ciekawsze im drobniejsze są szczególiki. Próźniaka i dziecko nie tyle uderzy twarz człowieka, na której przecie odbija się jego dusza, ile długość kołnierzyka i kształt tabakierki; a w historii ważniejszemi dla nich nad Napoleona, są płaszcz jego i koń.

Ze wszystkich stosunków jakie sprowadziwszy się do miasta poczynić musiał, najlepszą była jego zażyłość z tabaczarką, jak ją przedrwiwając gawiedź uliczna nazywała. Obojętny dla wszystkich znajomości, do niej jednej czuł pociąg niejaki. Dla tego dowiedziawszy się o jej słabości, ledwie gębę obtarł po obiedzie, poświęciwszy nawet czarną kawę i drzymkę przy gazecie w kawiarni, poszedł ją odwiedzić. Wchodząc, pełen był niespokojności, ażali to nie jest niebezpieczna słabość jaka. Cóż by się bowiem stało z temi najmilszemi mu opowiadaniem? Ucieszył się zatem niepospolicie, widząc babinę chodzącą po pokoju.

Mimo powagi na twarzy, raczył się pan Gabin uśmiechnąć. A uśmiechnął z podwójnem zadowoleniem, bo jak zwykle, Bodiakowa i Pawluk całowali wyciągniętą rękę pana Gabina. To go także niepomalu chwytalo za serce, czyli raczej za próżność. W całej stolicy oni jedni całowali go w ręce z pewnem poszanowaniem. Odkrząknął jak zwykle, co robił po każdym rak ucałowaniu, i zażywając tabakę, z naprędce przez Pawluka podanej tabakierki, wyrzekł:

— Przestraszyła mnie Helenka...

— Lepiej mi teraz trochę, ale duszno mi, bardzo duszno, panie kochany, — odpowiedziała babina z bardzo smutnym na twarzy wyrazem

— Nie to! nie nie będzie! — ozwał się Pawluk, zażywając tabakę zawzięcie, by ukryć parą łez, co mu się mimowolnie do oczów cisnęły.

— Nie! nie! — powtórzył pan Gabin, z tą egoistyczną pewnością, której wyłączny przywilej posiadają takie bez celu po mieście błądzące dusze.

— I mówiła mi Helenka...

— Tak jest, śmiałam prosić jegomości, by raczył mnie odwiedzić... przepraszam bardzo.

— No! no! o cóż to idzie!...

— Ja miałam prośbę, wielką prośbę.

Pan Gabin mocno krząknął. Już to prośb nie był wielkim przy-

jacielem; osobliwie pożyczających, a takich w mieście mnóstwo, bał się jak dżumy...

— Chciałam się poradzić! — ciągnęła babina dalej..

Przeciągnięta twarz pana Gabina zaokrągliła się nazad do uśmiechu, ale natomiast wystąpiło na twarz nieco zadziwienia i ambarasu nawet. Radzenie było słabą jego stroną. Jak tu radzić komu innemu, kiedy sam sobie podobno nie wiele by poradził. Pani Franciszkowa przeciwnie wierzyła z dawien dawna, że u wyższych stanowiskiem społecznym, najlepiej zasięgać rady, bo równie wyższymi muszą być umysłowo. Jest to wiara wspólna wszystkim niższymi klasom społeczeństwa.

— Może ja mam wyjść? — mruknął pan Bazyli skromnie.

— Zostańcie panie Bazyli!... ja właśnie chciałam wam powiedzieć, gdy jegomość wszedł. To idzie o Helenkę.

— O Helenkę? — zapytali obydwoj.

— Ot po prawdzie powiedziawszy, ja niepewna swego zdrowia i życia, bo jakoś czuję...

— Co też pleciecie! — zawołał pan Bazyli.

— Fe! fe! z takimi myślami! — dodał pan Gabin krzywiąc się jakby rumberbarum zażywał.

— Czuję wielką odmianę w sobie...

— To aura terazniejsza! — zauważał pan Gabin sentencjonalnie.

— Paskudny weter mamy tego roku! — objaśnił pan Bazyli.

— W boskiem wszystko jest ręką — mówiła pani Franciszkowa dalej. — Na wszystko trzeba być przygotowanym. A jak wypadnie tak, co się stanie z moją biedną Halką?

— A ja? — zawołał Bazyli z szczerym zapalem.

— A ja? — chciał już wyrzec pan Gabin, ale jakoś w sam czas przypomniał sobie, że ma w herbie pannę na niedzwiedziu, a więc nie wypadało mu się kompromitować.

— Wiem ja, — ciągnęła babina dalej, — że wy panie Bazyli nie opuście sieroty, i bratanek mojej dobrodziejki takżeby pamiętał na sierotę po dawnej służce.

Pan Gabin trzy razy, i to silnie odkrzakał.

— I jak Bazyli wie, już tam jest coś dla niej złożonego, ale mnie idzie o co innego. Ot tak człowiek jeżeli zdrow, na nic nie uważa, ale tak w słabości różne przychodzą myśli. Dziwna to dziecizna, ta Halka! jakby nie moja i nie mego nieboszczyka córka!...

Bazyli ogromne zrobił oczy, bo mu te słowa nie laży jakoś do głowy.

— Jej co innego w głowie, nie nasze życie zwyczajne. Ona innego pragnie życia. A Bóg wie; może to już takie jej przecucie.

I pan Gabin i Bazyli, jedną wiedzeni myślą, zażyli tabaki, dla jaśniejszego pojęcia przedmiotu, który im się nader ciemno przedstawiał.

— Jej potrzeba innego wychowania.

Bazyli coś się roześmiał; tak mu się to śmiesznem i nieprawdopodobnem wydało.

— Wychowania! — zawołał zdziwiony Gabin.

— Ona ginie za książkami, tęskni, ja to widzę dobrze; tęskni za czemś wyższem, za czemś lepszem, czego w naszym stanie nie znajdzie. A tylko przez lepsze wychowanie ze stanu tego wyjść by mogła.

Bazyli zamyślił się, bo choć nie tęgą miał głowę, ale poczciwe mu serce mówiło, że może i słuszność ma matka; jakoż sam sobie zaczął przypominać niektóre dotąd nieuważane szczegóły.

Pan Gabin nic nie myślał; to nie było jego rzeczą, i nareszcie to nie jego do myślenia godzina.

— Chciałam się tedy pana łaskawego poradzić. Pan co jesteś uczony — wyrzekła z przyciskiem i umilkła na chwilę...

Pan Gabin popatrzył uważnie na nią, czy naiwność czy szyderstwo z niej przemawia.

— Pan będziesz łaskaw mnie poradzić, czy mam się postarać o to lepsze dla Halki wychowanie, czy nie?... Póki jeszcze płacę nogami na tym świecie, póty dałoby się jeszcze zarobić przy pracy... Bo jak umrę!... hej! hej!... to już darmo!... a może na sumieniu grzech będę miała, żem jedynemu dziecku to odmówiła, w czem ono widzi szczęście, i co może jej przynieść to szczęście. — Tu zamilkła pani Franciszkowa, bo się jej łzy gwałtownie puściły.

I długie nastąpiło milczenie. Bazylemu ścisnęło coś za serce jakby przecucie złowrogie. Miałyżby jego wszystkie nadzieje, cała cierpliwość i wytrwałość być nadaremne? Pan Gabin milczał także, bo sam sobie nie mógł poradzić, jaką tu dać radę. A i na niego słowa biednej matki wrażenie jakieś zrobiły. I jemu żal się starej zrobiło.

— A nawet nie wiem jakim by to sposobem — kończyła Franciszkowa — jej dać sposobność do tego lepszego wychowania.

— Na pensję oddać! — przerwał praktyczny woźny.

— A tak na pensję!... oczywiście na pensję! — powtórzył pan Gabin, rzuciwszy bokiem spojrzenie na Bazylego, podziwiając nieco głębokie jego pojęcie rzeczy.

— Ha niechby się działa wola Boża... ale gdzie oddać; na jaką pensję?... czy ja wiem?... i czy środki moje wystarczą?... chociażbym się chętnie do ostatniego ściągnęła, byle tylko Halka nie przeklinała kiedy mojej pamięci.

Pan Gabin spojrział znowu na Bazylego, odstępując mu oczywiście inicjatywę.

— Znaleść pensję! to najłatwiej...

— Nic łatwiejszego!... ho!... ho!...

— Ale powiem wam pani Franciszkowa, że zawsze się trzeba nad tem zastanowić, bo co nagle, to po djabie...

Tym razem pan Gabin spojrział na Bazylego, z zupełnem podziwieniem tej jenjalnej myśli...

— Moja rada, — rzekł powtórnie, — jest zastanowić się, tak jest, dobrze zastanowić się...

— Więc pan będzie łaskaw...

— Namyslić się nad tem.

— I poradzić nam swym delikatnym rozumem.

— Tak jest, pomyślę i poradzę...

— Niech panu pan Bóg da za to szczęścia w każdej chwili!... Ale niech pan łaskawy pamięta, że każde jutro niepewne!... Mnie tu duszno, bardzo duszno... Ostatniem słowem będę się modlić za pana łaskawego.

Rada się rozeszła. Panu Gabinowi jakoś było ckliwo na sercu. Sam nie wiedział, co mu jest takiego. Słowa pani Franciszkowej pobudziły szereg myśli smutnych. I nie wiedzieć w obec czego przyszła mu nagle na myśl cała sucha jego rzeczywistość, ta samotność w jakiej żyje z dnia w dzień, bez celu...

— I bez pożytku! — szepnęło mu do ucha gdzieś tam z głębi sumienia. — Trzeba by jej poradzić! pomódz!... ale jak? — latało mu bezładnie po głowie. Przechodził właśnie koto ferlagu. Zdybało go tam spojrzenie i uśmiech bladej dziewczynki. Dziwna rzecz! po raz pierwszy zauważał ładne dziewczynki rysy, i to pełne wyrazu spojrzenie. I ani wiedział jakim sposobem zaszedł aż przed własne pomieszkanie. Już było za późno iść do kawiarni, a i tak trzeba się przebrać na wizytę! Wszedł więc do siebie.

Szymon zbudzony nagle z najsmaczniejszego snu zwrócił na pana swego oczy, pełne wyrzutu. I nie mógł wytrzymać, by nie powiedzieć:

— A jegomość zkąd?

I miał słusność się gniewać, bo to był dzień jego; odkąd jest w służbie, nigdy mu się to nie trafiło. To też przespawszy się, miał właśnie wyjść na przechadzkę z najdroższą serca kochanką z sąsiedztwa. Pan Gabin nic nie odpowiedział, a może nawet nie słyszał. Tak był zamysłony, że zapomniał nawet zdjąć kapelusz z głowy i powiesić naumyślnie na to przeznaczonym kołeczku nad fajkarnią.

Nie omyliliśmy się, mówiąc, że był to dzień widocznie dla niego feralny. Od dawien dawna tyle nie doznał wzruszeń co dzisiaj. Zaczawszy od spóźnionego ogolenia brody, ile to dziś niepotrzebnych zebrało się okoliczności, by człowieka, tak zwykle spokojnego i w swej spokojności szczęśliwego, wyrwać z tej tak słodkiej codziennej obojętności! Najprzód te czarne oczy w powozie i w kościele rozmowa z kuzynem, smutne prośby chorej Einnemerki z dodatkiem tak słodkiego spojrzenia bladej dziewczynki.

— Czy mi potrzeba kłopotać się tem wszystkim! — przemawiał zadawniały egoizm próżniaka miejskiego. — Ale trzeba by przecie pomódz! — odzywała się krew szlachecka — bo to przecie nie darmo pieczętuje się panną na niedźwiedziu — odzywały się przed wszystkim pamiętki rodzinne, a między niemi najdroższa ciotki pamiętka. I nagle stanął jak wryty. Czoło mu się rozjaśniło, snąc jasna myśl przeleciała mu przez nie błyskawicą. I oko zalsniło mocniej, twarz ożywiła się dawno niewidzialnym wyrazem. Pan Gabin wypiękniał i odmłoniał w tej chwili. Snąc myśl szlachetna przemknęła mu się przez duszę.

Pospieszył do biórka swego. Otworzył, pocisnął sprężynę; od-

sunęła się kryjówka, sztucznie schowana. Wyjął z kryjówki pakiecik jakiś opieczętowany z wielkim napisem na wierzchu: Na nieprzewidziane wypadki.

Pan Gabin jako porządny i ostrożny człowiek, odkładał sobie co roku pewną kwotę na wypadki nieprzewidzianej słabości, lub innego nieszczęścia, ba nawet i śmierci, by przecie szlachcic herbowy należycie był pochowany.

Wpatrywał się długo w napis; już nawet była chwila, że chciał pakiecik włożyć znowu do kryjówki.

Lecz nie!... wyjaśniało mu znowu na czole, w oczach i na twarzy. Pakiecik wyjął zupełnie i położył na biórko, a kryjówkę zasunął próżną.

W tej chwili przypomniał sobie, że ma oddać wizytę ciotecz-nemu bratu przyrzeczoną. I jaką wizytę?... Spojrzał do zwierciadła: aż się sam zdziwił, i dusznie odmłodził. Oczywiście dzień feralny; po raz pierwszy od lat wielu a wielu, czuł serce w piersi, odzywające się wyraźnie przyspieszonym biciem.

— Szymonie — zawołał głosem rezolutnym.

— A panu co takiego? — mówiły zdziwione Szymona oczy.

— Frak i aksamitną kamizelkę! — odrzekł pan Gabin krótko i żwawo.

Nigdy jeszcze tak prędko się nie zdecydował. To też Szymona brała chętna przeżegnać się. Będąc przywiązany na prawdę do swego pana, zaczynał bać się o niego. Ubrany prędzej jak zwykle, bo nawet nad fontaziem u chusteczki o pięć minut krócej powątpiewał i pracował, wsadził pakiecik do kieszeni i wyszedł tak raźnie zawadjacko nawet, że długo, bardzo długo stał Szymon na schodach z gębą rozwartą. Splunął wreszcie.

— Tfu! — wyrzekł z zapalem. — Wierz że tu teraz człowiekowi!... Taki spokojny i wygodny pan!... Co się jemu stało?

Pan Gabin tymczasem lekszy niż zwykle, krokiem spieszniejszym niż zawsze, kroczył do oberży Żorża. Sam nie wiedział jak przebiegł rynek i Halickie; ani razu się nie obejrzał, ani nawet zatrzymał się przed wystawą Jürgensa, śledzić nowe karykatury, których był zapalonym miłośnikiem. Bo czy może być co stosowniejszego dla próżniaka, jak karykatura, tak dalece, że jak w bajce buskupa Warmińskiego, możnaby się zapytać, czy karykatura dla próżniaków, czy próżniacy wymyśleni dla karykatury?

Tak mu było jakos błogo i przyjemnie. I mimowolnie w głębi duszy ozwało mu się pytanie po raz pierwszy rozbudzone: Miałoby uczucie być lepszym od obojętności, a wrażliwość od systematycznego spokoju?... Już stał przed laską szwajcara, tak podobnego do szwajcara jak oświetlenie naszego miasta do rzeczywistego światła. Jeszcze pod wpływem niezwykłej tegości, raźnie spytał szwajcara o naznaczony mu przez Alfreda numer. I na schody szedł jako tako. Lecz przeddrzwiami z szukanym numerem, zaczynała odwaga upadać, i dawny wrócił Gabin.

Wizyta u kobiet! to taka niezwykłość! dzwoniło mu wyraźnie

w uszach. Po co mi tej żenady! mówił zdrowy rozsądek próżniaka. Czy nie lepiej pójść do kawiarni lub na preferansa.

Machinalnie wszakże porwał już za klamkę. Aż mu włosy na głowie stanęły, aż mu tchu zabrakło, bo w tej chwili właśnie usłyszał przez drzwi śmiech wesoły, dźwięczny, kobiecy. A śmiechu kobiecego biedny Gabin okrutnie się obawiał. Śmiech zaś słyszany wydał mu się podwójnie niebezpiecznym, bo się wyraźnie odbywał duetem, nie tyle dobranym, ile głośnym i przenikliwym. Jakżeby chętnie uciekł za dziesiątą górę, lecz już tam zasłyszano poruszenie klamki. Aż dreszcz przeszedł biedaka, gdy się ozwał nagle głosik tak jakoś mięciutki, tak harmonijny, oczywiście pełen zdrady.

— Entrez!

Nie było rady; trzeba było wejść.

Upředźmy go na chwilę, aby zrozumieć powód tego wesołego śmiechu. O gdyby pan Gabin mógł być przewidzieć, jaki to był powód!...

VI.

Tajemne spiski.

Sliczne były obie panie śmiejące się, bo było ich dwie, a śmiały się tak serdecznie, aż miło.

Jużeśmy je obiedwie zdybali dzisiaj; są to bowiem obie te panie, co jechały powozem i niemało zaintrygowały pana Gabina w kościele. Już je nawet po części opisaliśmy, mówiąc, że obie piękne choć jedna blondynka a druga brunetka. Czyliż to nie wystarczy dla czytelników naszych, którzy nie przy pierwszej zapewne będąc powieści, mają w pamięci cały zbiór takich opisów, ze wszystkimi odmianami i dodatkami, jakie stworzyć tylko może nateżona powieściopisarzy wyobraźnia. Wybrawszy najpiękniejsze, będziecie szanowni czytelnicy mieli wyobrażenie o moich obu śmiejących się paniach. I zaprawdę nie tak to łatwo te dwie moje opisać piękności! Bo choć powiem, że brunetka miała nosek grecki, delikatnie wykrojony, a blondynka trochę zadarty, że jednej oczy miały blask czarnych djamentów, a drugiej szafir nieba, choćbym najobszerniej opisał te zdradliwe dołki przy ustach, które jakkolwiek malutkie i cudne dla oka, są przecie prawdziwemi łapkami, a nawet wilczemi dołkami, w które się dajemy tylekroć łapać niebaczni; gdybyśmy to wszystko opisali słowy najwymowniejzemi, byłby to przecie opis niedostateczny, jak to wiemy z własnego doświadczenia, bo dla czytającego przy takim opisie, jeżeli jest młody, stanie przed oczy ta najpiękniejsza, którą kocha dzisiaj, kochał wczoraj, lub jutro kochać zamysła. A jeżeli stary, to przypomni sobie ową bogdanę piękniejszą od najpiękniejszych, bo się okazuje w perspektywie czasu, okraszona całym czarem pierwszej miłości i niepowrotnej uczuć pory.

Przekonani zatem o bezużyteczności takich opisów, powiemy, że obie były piękne w swoim rodzaju, i obie miały ten wyraz, głównie

polkom naszym właściwy; wyraz jakiejś pustej i wesołej swobody, w której po równej jest połowie, trochę zalotności i trochę serdeczności. Jakże się tu oprzeć takiemu wyrazowi! jakże się tu nie zakochać na śmierć? Dla tego też polki słusznie uchodzą za najpowabniejsze, bo mają dla się zawsze wedle potrzeby śmiech, by się rozweselić, i łezkę perłową, by z tobą szczerze zapłakać; a czy śmiech czy łza, obie pochodzą prosto z serca.

Tento wyraz zalotno-serdeczny, o uśmiech i łzę graniczący, na obu był twarzach. U brunetki jeno skłania się więcej do pustoty, u blondynki do uczucia.

A powód wesołego śmiechu?...

Kobietom nigdy na nim nie braknie. Ledwie się zdybią, ledwie sobie coś szepną do ucha, już się i śmieją: wesołe, zapominające, szczęśliwe!... Stokroć szczęśliwe, bo do najpóźniejszego wieku uchowają tę niedbałą lekkość, która mężczyznom nie jest właściwa, chyba w wiosnie życia.

— Czy pamiętasz Malwińciu?...

— Czy przypominasz sobie Honorciu? — mówią do siebie.

Aż się przytuliły do siebie w serdecznym śmiechu. Obie były przyjaciółkami z pensji jeszcze. Pisarze, mężczyźni oczywiście, wiele nabajali i nie mało się nadrwili z tych przyjaźni kobiecych, na pensji początych. Różnie to się zapewne plecie na tym świecie. Malwina jednakże i Honorata dla mody i dźwięku na Honorynę przemieniona, choć już lata minęły od błogich czasów, kochają się tak szczerze i serdecznie, jak gdyby po raz pierwszy po ukradkowym przeczytaniu „ślubów nierozsądnych“, wieczną przysięgły sobie przyjaźń.

Chociaż młode jeszcze!... już to o wieku przemilczeć wolę, bo o wieku płci pięknej mówić niegrzecznie, i trudno się na prawdę dowiedzieć, chociaż tedy młode jeszcze, ale już z niejednym zdybały się uczuciem silniejszym, co to ma niby ostudzać chłodną i tak przyjaźń kobiecą. A przecież słuchają się tak serdecznie, jak dnia tego kiedy Malwina po lekcji rysunku, a Honoryna po lekcji tańca powiedziały sobie na ucho, co jednej metr rysunku a drugiej metr tańca powiedział.

I żadne współzawodnictwo owego nie zerwało stosunku; żadne, ani współzawodnictwo zwierciadła, ani współzawodnictwo żurnalu, ani nawet współzawodnictwo wielbicieli. Prawda, bo w każdym opisie trzeba być akuratywnym, że się lat już kilka nie widziały, i obie w innych żyją stosunkach. Malwina na wsi lub za granicą, a Honoryna w nadpeltewskiej stolicy.

I tak tedy przypominając sobie to i owo, właśnie przechodząc dzieje dzień po dniu prawie, śmiały się co chwila i śmiały najserdeczniej. Ależ bo te przypomnienia!

— Jak on czule spoglądał, ten metr rysunków.

— Ale ciągle żuł jakieś pastylki!...

— A metr od tańca, jakie wzdychania czułe.

— I brodawka na nosie!...

— Jakże się nie śmiać.

— A tabakiera naszej madamy!...

- Z portretem jakiegoś nieboszczyka w czerwonym mundurze.
- A nos do tej tabakiery.
- Pamiętasz ciemierzycę?...
- Coś ty dosypała?...
- Nie ja!... to ty!...
- I złożyłyśmy na garbatą kupcównę.
- Biedaczka!... różgami dostała...
- A pamiętasz!... przy tej karze, gdy...
- Nie mów! nie mów, bo zginę ze śmiechu.

I tak z przypomienia w przypomnienie przechodząc, przyszły aż do czasów ostatnich. Tu choć same były, zaczęły szeptać, bo już to wszystkie na świecie kobiety kochają się w tajemniczości.

Nieraz myślałyby kto, widząc schylone ku sobie z minami poważnemi, i mówiące coś na ucho, z wyrazem coraz uroczytszym, że Bóg wie jakie sobie robią zwierzenia.

— Jaką ja będę miała mantylę — szepcze jedna do drugiej — z ćwierćfokciowemi koronkami.

— Ale pamiętaj moja droga! miej formę od Igiełkowej; bo uważasz z inną formą nawet się pokazać nie można między ludźmi.

Przy tem tedy szepcaniu zaczęły obie śmiać się najmocniej, odzywając się tylko czasami, urywanemi słowami i wykrzyknikami, z których trudnoby było słuchającemu nawet dowiedzieć się, o co rzecz idzie.

W tej chwili nadszedł Alfred, i snać zasłyszal kilka słów z ich rozmowy.

— Spiskujecie koniecznie, moje panie na Gabina! — ozwał się do nich.

— Na Gabina! — zawołały obie, i głośniejszym jeszcze parsknęły śmiechem.

Śmiech jak ziewanie jest zaraźliwy. Patrząc na twarze uśmiechnięte obu pań, nie mógł się Alfred oprzeć, i zawtórował im szczerym śmiechem.

— On ma swoje śmieszności!... ale dobry bardzo człowiek i bliski mój kuzyn nareszcie — ozwał się po chwili pan Alfred.

— Czy pan Alfred boi się, byśmy pięknego kuzynka nie zjadły — odpowiedziała Malwina, wśród śmiechu wykrzywiając twarz do wyrazu urażenia.

— Niema tego niebezpieczeństwa! — dodała brunetka. — Nie mamy go za tak smaczną potrawę.

— Ja chętnie do żartu należę, lecz...

— Lecz nie będąc jeszcze mężem, zaczynasz gderać po męzowsku!... To za wcześnie, mój panie.

Sliczna była Malwina udając urażoną.

— O my nieszczęśliwe kobiety! — zawołała Honoryna z niemniej pociesznie patetycznym wyrazem...

— Nawet nam pożartować nie można.

— Zawsze tyrani! a my ofiary.

— Ależ moje panie! — mówił pan Alfred, kłaniając się to ku jednej, to ku drugiej, i udając pokorę. — Nie idzie o to!...

— Idź sobie pan do swego Gabina...

— Ale bo...

— Obejździemy się bez panów...

— O gdybyśmy zawsze same być mogły...

— Same na świecie!...

— Chciałbym tylko wiedzieć przyczynę tego spisku na niego, tego niby żartu, do którego niby i ja mam należeć; bo przecież o cóż to rzecz idzie?...

— A więc to ciekawość mój panie! ślicznie!...

— I mówią, że kobiety tylko ciekawe.

— Brawo! brawo! panie Alfredzie.

— I to niby współczucie dla kuzynka...

— Nie ciekawość u mnie przemawia — przerwał Alfred pomiarkowawszy się, ale...

— Ale co?...

— Mówże pan?...

— A nuż biedny Gabin zakocha się na prawdę? — przemówił Alfred poważnie, i uśmiech znikł z twarzy jego.

— Więc mój przysły pan i małżonek zakochanie ma za nieszczęście?

— Czyliżem niegodna wzbudzić miłość? — szczebiotała druga.

— Moje panie, ja między wami zawsze będę zwyciężony. Że zakochanie się najwyższem mienię być szczęściem, dowód najlepszy, że sam w tym stanie jestem, odkąd zobaczyłem po raz pierwszy w Dreźnie cudne oczy niebieskie. Że dla pani niczem wzbudzić miłość i to miłość wielką, wierzę, i dla tego właśnie boję się o Gabina.

— Patrzaj jaki pochlebnik!...

— Obydwóm nam uciał po komplementcie...

— A który był szerszy?... Oj panie Alfredzie — wyrzekła Malwina grożąc różowym paluszkiem.

Ale obydwóch pań uśmiech był słodszy. Bo mimo doświadczeń bez liku, pochlebstwo dla kobiet, to jak słodka trucizna dla much, jak wódeczka dla pijaka.

— Malwina wie najlepiej! — mówił Alfred z uczuciem — że miłość jest dla mnie uczuciem świętem. Nie rozumiem z niem żartu, i dla tego obawiam się o spokój mego kuzyna, bo pani nie możesz przecie... chyba że...

— Niech się pan o mnie nie lęka — przerwała Honoryna na prędce.

— I to może będzie z awantazem dla twojego Gabina... panie Alfredzie, nie mogę tego imienia wymówić bez śmiechu. Sam nieraz mówiłeś jak on nieszczęśliwy z tem nijakiem usposobieniem. Nowe a silne uczucie może go rozruszać.

— I zabić! — odrzekł pan Alfred.

— Niech pan nie bierze tego tak tragicznie. Pan Gabin nie stworzony na bohatera romansów! — ozwała się znowu Honoryna. —

A potem — dodała po chwili — może ja się chcę zemścić!... może mam do tego powody!

— Zemścić na Gabinie!... za co? — zawołał pan Alfred z wyrazem pociesznie zdziwionym, że obie panie głośnym i przedłużonym parskniętym śmiechem.

W tej to właśnie chwili ozwało się poruszenie klamki i metodyczne zapukanie.

— Entrez! — zawołała pani Malwina, rzucając znaczący wzrok na przyjaciółkę.

— Jeżeli mnie pan kocha! — szepnęła Alfredowi, przykładając palec do ust z ruchem pełnym gracji i podwójnego znaczenia, bo ten paluszek przy ustach i milczenie nakazywał, i catus niby posyłał.

Wszedł pan Gabin. Postrzegłszy obie panie, a osobliwie te dwie pary oczów, zwróconych ciekawie na siebie, zarumienił się po uszy i ukłonił dosyć niezgrabnie.

Już to z reguły, nic niezgrabniejszego jak stary kawaler w obec młodych pań, których towarzystwa zwykle unika i boi się niepospolicie. I nic nadto naturalniejszego. Trochę wstydzi się swego starokawalerstwa, a trochę poczuwa się do winy i uchybienia naprzeciw tym, które uraził niejako, wybraniem stanu kawalerskiego. Wygląda trochę na studenta, co do szkoły nie uczęszcza, gdy nagle stanie przed profesorem. Jakże tu nie zmieszać się przed tym wzrokiem surowym, mierzącym z góry, szydersko-przeszywającym, a zabójczo-zalotnym razem, jaki cała pleć piękna, w tej mierze trzymająca się solidarnie i po farmazonku, ma na pogotowiu dla starych kawalerów.

Nie wiemy jeszcze szczególniejszych powodów, jeżeli są jakie, do wyrzeczonej przez Honorynę zemsty, ale czyliż do spisku na spokój i serce biednego Gabina nie starczyła vendetta niewieścia, wszystkim starym kawalerom zaprzysiężona.

Pan Gabin, jak go już poznaliśmy, nie mógł należeć do najodważniejszych w tym względzie. Prócz złego sumienia, co mu się odzywało w starokawalerskiej piersi, i jako próżniak miejski, nie wiele mieć mógł odwagi w obec pań, z którymi tak próżniak rzadko kiedy obcuje, chyba że je tam kiedy spostrzeże w powozie, lub przez okno zagapiwszy się przed wystawą modniarki. A do tego te czarne oczy, których nigdy nie widział z tak bliska. Zdało się prawdziwie biedakowi, że miasto promieni, zarem go osypują. Spuścił oczy, ale ciekawość je znowu podnosiła, bo te ozarne oczy po raz pierwszy rozbudziły w nim jakieś przypomnienie.

Pan Alfred spostrzegłszy minę Gabina, powiedzmy po prostu a z przeproszeniem, głupiuteńką, zaprezentował go paniom co prędzej po imieniu i nazwisku. Ledwie że i herbu nie wymienił, bo tak wielką miał ochotę dobry ale pusty Malwiny narzeczony. Pan Gabin czerwoniuteńki kłaniał się i kłaniał. Panie spoglądały na siebie z pod oka; śmiech dusiły w sobie, ale oczami powtarzały spisek na niego uknuty.

— Poczekaj ty stary kawalerze! — zdawały się ich oczy mówić złośliwie a zawzięcie.

Śnać i w piersi naszego Gabina ozwało się złowrogie przecucie,

bo jakkolwiek nieskłony do tego westchnął potężnie. O jakby dusznie chciał się widzieć na ulicy, gdzie mu tak swobodnie, albo w kawiarni, uśmiechając się półgębkiem do Salfrowskich lub innych niemieckiego humoru konceptów.

— Pani Malwina Bozińska!... narzeczona moja — ciągnął pan Alfred dalej ceremoniał przedstawienia.

Pan Gabin uklonił się na nowo. Wielką miał chętkę umknąć z pokoju.

— A to! — chciał mówić dalej zwrócony do Honoryny, lecz mu szybko przerwała Malwina, bojąc się zapewne, by się nie wymówił.

— Moja przyjaciółka najlepsza! — mówiła Malwina — Honorka, to jakby rodzona siostra moja!...

Nowy ukłon pana Gabina, a nowy rak już się nawet nie miał gdzie pomieścić na jego twarzy. I jak na złość jego ciekawość próżniacza nie została zadowoloną. I my z nim razem tracimy przez jakiś kaprys pani Malwiny, bo kto jest ta Honorka z zabójczemi oczyma czarnemi, nie wiemy dotąd.

— Bardzo mi przyjemnie poznać pana! — mówiła pani Malwina z wielką szybkością. — Chociaż znałam już z opisu pana Alfreda, który pana tak często w Dreźnie jeszcze wspominał. On pana tak kocha! i ja prawdziwie pragnęłam poznać pana, nasłuchawszy się tyle dobrego.

Biedny Gabin rumienił się i rumienił, ale po prawdzie zaczynały go lechać słodziutkie Malwiny słowa. Odważył się spojrzeć ku Honorynie. I czarne oczy patrzyły słodko na niego. Stokroć biedny!... Nie widzi niebezpieczeństwa własnego, i już wpadł w łapkę. Płec piękna jest w takich razach zdradziecko-zgrabna. Chcąc pewniej dobić tego, kogo już raz wzięły na kieł, słodziutkiemi pochlebstwami torują sobie drogę, chcąc uspić przeciwnika przezorność i ukołysać go. Tem łatwiej potem, jakby ptak zwabiony, sam na sztych im wpada.

— I Honorka tyle mi dobrego mówiła o panu. — Tu umyślnie umilkła Malwina na chwilę, jakby szukała odpowiedzi.

— Prawdziwie! — wyjąkał biedny Gabin. Ale dalej ani rusz; dosztukował więc reszty nowym ukłonem.

— Wszak państwo znają się już dawniej! — ciągnęła Malwina dalej, a oczy jej iskrzyły się złościwością i pustotą.

— To jest... ja... prawdziwie! — zaczął i urwał Gabin.

Jakże tu przyznać się do znajomości z kobietą, którą się widziało parę razy w kościele! Alfred był także jak na niemieckiem kazaniu; ale po mince narzeczonej przeczuwał coś złego.

— Pan zapomniał już! — ozwała się Honorka słodko kwaśnym głosem. — Nic dziwnego! — dodała, a w jej głosie dziwnie dźwięcznym odzywało się coś jakby łyzy.

Głos ten, po raz pierwszy usłyszany, uderzył bohatera. Aż się wstrząsł; ciemne dotąd przypomnienie nabierało coraz więcej odcieni i barw. Spojrzył na Honorynę.

— Nic dziwnego — dodała z przyciskiem coraz smutniejszym. — Wszystko się zapomina.

Gabin patrzył na nią ciągle wzrokiem oślepiałym. Czy poznał

nie wiem, ale nastąpiła chwila dziwnie zaambarasowanego milczenia. Wszyscy patrzali przed siebie zdziwieni; najwięcej zdziwionym był Alfred, który tylko powierzchownie był wtajemniczony przez obie panie.

Z przestanku tego w rozmowie bohaterów naszych skorzystajmy, aby ten zakończyć rozdział a inny rozpocząć.

VII.

Krótki epizod.

Była noc zimowa. Po śnieżnej przestrzeni sunęły się sanki, czwórka tęgich koni ciągnięone. W saniach otwartych, dywanem wysłanych, siedział podróżny, otulony w futra i chustki. Konie były rączce, przecież młody na koźle furman, po krakowsku ubrany, i ręką i biczem i głosem do coraz przedszego napędzał biegu. Snać pilno podróżnemu, który co chwila to się po-za siebie obraca, to furmanowi gestem lub słowem krótkim pospiech nakazuje. Ciemna to była noc, bo niebo całe zasunięte było grubemi chmurami, które tak nisko wisały, że zdawały się już spadać na ziemię; czasem tylko zajaśniało coś na niebie; to księżyc blade i niewyraźne światło, z po-za ściśniętych chmur się dobywające. Zimno nie było przenikliwe, ale był to rodzaj najnieprzejemniejszego zimna wilgotnego, jak to zwykle bywa w przechodzie zimy do wiosny, zimna, kości przenikającego. Cisza panowała zupełna, cisza nocna jak zwyczajnie, cisza zimowa, jakby świat cały obumarł. Żadnego nie było głosu między niebem a ziemią. Było wszakże w tej zupełnej ciszy coś nienaturalnego i duszącego, jakby przecucie burzy. Te chmury, tak nisko przechadzające się po nad ziemią, to jakby trzody złych duchów, z złemi myślami wędrujących po nad ziemią. Czasem tylko ciszę tę przerwie głos wiatru niewyraźny, który pociągnie po śnieżnej płaszczyźnie, to do wycia smutnego podobny, to jakby jęk puszczyków naśladowujący. Z wiatrem dziwna jakaś woń przebiega powietrze, woń duszna, nieokreślona prawie, bo z rozmaitych złożona pierwiastków, to spalenizny, to wilgoci. Coraz niespokojniej kręci się podróżny krakowiaczek, coraz ciszej popędza konie. I po gładkiej, śnieżnej płaszczyźnie, wiatrem pędzą sanie, a tak cicho jakby widma jakie, jak nocnych tajemnic zjawiska; na górze gdyby duchy, gdyby widma suną się a suną chmury bez końca.

Nowy pociągnął wiatr, lecz nie ustał tym razem. Dziwny wiatru głos! czy to wycie głodnych wilków? To nie wilki wyją, bo gdyby tysiące ich tam gdzie wyło, nie byłoby przecie tak silnego huku i świstu. Głos ten wiatru niby coraz silniejszy! To jakby huk morza, gdy jego bałwany zaczęły tłuc o granitowe brzegi. Straszne, bezrozumne bałwany! I wiatr ten huczy tak jakoś szeroko i rozlegle pomiędzy niebem i ziemią, że nie tylko huk morza ale i piorunne a zabójcze gromy niebios przypomina. To coś silniejszego od wiatru w powietrzu, od bałwanów na ziemi, od gromów na niebie. I choć

się nie poruszały ani grzywy na koniach, ani długie włosy krakowiaczka, ani końce chustek okutanego podróżnika, dreszcz widomy przebiegł i pana i sługę i konie nawet. To już nie wiatru, ale przecucia chyba lub strachu skutek.

Nowe, nadzwyczajne zjawisko zawtórowało dziwnym głosem. Chmury coraz grubsze, księżyc coraz więcej omglony, i robi się przecie coraz jaśniej na śnieżnej przestrzeni.

Podróżny z widocznym ogląda się niepokojem. W koło, het w dali po końcach widnokregu, coraz jaśniej; aż śnieg w około zarumienił się krwawo różowemi smugami, aż się ciemne chmury na niebie poczerwieniały na krwawo. Huk się wzmacnia, i wzmacnia krwawe śniegu i chmur oświetlenie. A z hukiem i oświetleniem rozlega się w powietrzu woń spalenizny i wilgoci.

— Franek! goń co konie mogą wyskoczyć!... — ozwał się głos z sanek.

Niepotrzebne napomnienie! bo i Franek popędzał jak wściekły, z bladą twarzą i oczami naprzód wysadzonemi. I konie same cwałowały brzuchami śniegów dotykając, z najeżoną sierścią i narozżonemi uszami.

Trwoga! ogromna trwoga zdawała się być w powietrzu! na niebie i ziemi, u ludzi i zwierząt! Trwoga na skrzydłach tego huku dzikiego, który już nie wiatrem był, nie bałwanami ryczał, nie gromami huczał, ale ludzkie naśladował wrzaski, jakby te szatany w szatach z chmur na górze, wstąpiły w krzyczące tłumy. Trwoga w tem krwawem tysiącu łun oświetlenu; trwoga w tej coraz przykrzejszej, za serce chwytającej woni.

Coraz głośniejsze, coraz jaśniej!...

— Widzisz wieżę! — mówił podróżny drżącym głosem — to już miasteczko! zacinaj konie!...

Nagle mignęło coś przed konie. Zachnęły się konie, stawając dęba; krakowiaczek pociągnął za lejce z całej siły, aż się na sanie położył prawie. Okutany podróżny mimowolnym ruchem pociągnął za chustkę, co mu twarz obwijała, jakby chciał lepiej zobaczyć!...

— Mamo! mamó! — ozwał się głos ludzki, prawdziwy, pełny jęku, trwogi i łzów. — Mamo! mamó! — powtórzył głos cichszy już, ale tak żalony, jakby to miał być jęk ostatni, jęk konającej rozpacz.

Konie stanęły jak wryte. Tuż przed ich w górę podniesionemi kopytami leżało coś białego, bielszego zdaje się od śniegu na ziemi.

Zeskoczyli pan i furman i podnieśli ciało ludzkie. Była to dziewczynka, ledwie otulona w lekką sukienkę, o bosych nóżkach, po których białości, poznać było można, że nie przyzwyczajone do pieśzej wędrowki. Sliczna to była, szesnastoletnia może dziewczyna; czarne jak heban włosy rozsypały się w gęstych spletach w około twarzy bladej, ale cudnie w profil grecki wykrojonej. Oczy w pół rozwarte świeciły się blaskiem łez, gorączki i cudnie śniącej, gwiazdzistej ciemnej barwy. I usta były w pół rozwarte; ruszały się jeszcze, jakby co wymówić chciały, ale żaden się już z nich nie dobywał głos. Bóg łaskaw nad dziewczęciem! W skutek trwogi, znu-

żenia i innych uczuć wzbarzonych, zesłał jej zemdleńie, by przestała myśleć i rozpaczać...

Krakowiaczek porwał ją na silne ramiona i poniósł ku saniom. Podróżny obejrzał się nieśmiało, i nawet rękę wyciągnął ku furmanowi, by go wstrzymać; lecz ten ani zważał na to, ani też mógł się domyślić tego, by pan jego innego był zdania. Złożył dziewczynkę co prędzej na sanie, obwinął zmarznięte ciało dywanem, futrem do nóg służącym bieluchne obwinął stopki, a z pod ferezji krakowskiej zdjawszy swój kozuch, kośniejące przykrył ciało. Aż to zrobił, oglądnał się na pana, który stał na miejscu z wyrazem wątpliwości na swej młodej i przystojnej twarzy. Dał panu znak energiczny, by usiadł na sanie, a sam z podwójną szybkością wziął się do lejców i koni. Zdecydował się też pan usiąść na sam róg sani, bo mu krakowiaczek więcej nie zostawił miejsca, i zaczął z pewnem osłupiałem zadziwieniem patrzeć na leżącą.

Krakowiaczek tymczasem cmoknął na konie, machnął długim biczem, aż świsnęło w powietrzu, i wiatrem pogoził naprzód, patrząc na wieżę miasta coraz już bliższą, bo coraz wyraźniej odrysowaną na tle nieba. Sanie leciały szalonym i cichym pędem, a za nimi gnało dzikie wycie, krwawe łun oświecenia i przykra woń jakaś.

Podróżny patrzył zaambarasowany na leżącą obok niego dziewczynkę, rzucając wszakże ukradkowe w koło siebie spojrzenia, jakby się czegoś obawiał. Zauważywszy nareszcie, że się krakowiaczka kozuszek w szybkim usunął pędzie, obwinął sam lepiej ciało dziewczynki, a nawet po dłuższym nieco namyśle zdjął jedną z chustek co go obwijały, i otulił nią główkę, ku poręczy sankowej schyloną.

Dziewczyna ciepłem otoczeniem rozgrzana, zdawała się przychodzić do siebie, bo kilka razy nawet szerzej otwierała oczy, i oglądnęła się nawet niemi z wyrazem przerażenia i rozpaczki, i usta także roztwierały się jakby chciały wykrzyknąć głosem, co tam boli okropnie w piersiach. Ale znużenie snąć przemogło. I powoli sklepiły się oczy, usta się przymknęły, lekki rumieniec na śliczną wystąpił twarzyczkę. Dziewczyna nieświadoma siebie, usnęła tak spokojnie, jakby u siebie na własnem łóżeczku, jakby dziecko w kolebce. Czasem tylko otworzyły się usteczka coraz rumieńsze, i czy przez sen, czy przez przypomnienie przebytej trwogi przemówiły z cicha, głósikiem dźwięcznym:

— Mamo! moja mamol...

Było coś za serce chwytnącego w tej scenie całej. Krakowiaczek jakkolwiek prosty chłopak i syn tej ziemi, po której jechali, brat dziki rozrukanych po niej tłumów, miał serce dziwnie wzruszone i lzy w siwych oczach. Pan jego nawet, mimo że jak się zdawało, był to sobie flegmatyk i człowiek przezorny, uczył niejakić wrażenie.

— Mamo! mamol — ozwało się dziewczę znowu, i po białej twarzyczce popłynęło dwie łezki, dwie perełki.

Bez dalszego przypadku konie dobiegły do miasteczka, w którym mimo ciemnej i zimnej nocy, panował ruch i gwar ogromny, bo już do miasteczka zabiegły owe głosy wyjące po śnieżnej przestrzeni,

i owa na niebie i na ziemi luna. A za niemi przebiegły smutne wieści, i z wieściami razem świadki tej sceny okropnej, naznaczonej napadami dzikich i rozbestwionych tłumów.

Jedną z ofiar tej nocy złowrogiej była dziewczynka blada, po której twarzy, sukience i bieliznie poznać było można, że do lepszego należy stanu. Podróżnego przypadek zapędził w te strony, w których miał jakieś obrachunki najprozaiczniejsze na świecie, bo równie jak on sam prozaiczne. I przypadek napędził mu w środku drogi zdarzenie pełne poezji, bez którego gdyby go się spytać na prawdę, byłby bardzo chętnie się obszedł. Miał on w tem mieście daleką krewną, z którą miał tylko co wspomniane obrachunki; do niej więc odwiózł biedną spiącą i w pół zmarzłą dziewczynę. Nad raniem przyszła biedaczka do przytomności na to tylko, aby się oddać najwyższej rozpacz. Wtenczas dopiero dowiedziano się o tem zdarzeniu.

Owej nocy spokojnie spała w samotnym dworku nie wielkiej wioski, która należała do jej rodziców. Spiącej w dziewczem łóżeczku najśodsze śniły się może marzenia, gdy nagle zbudził ją hałas okropny w sąsiednim rodziców pokoju. Przestraszona zerwała się, i ledwie miała czas pierwszą lepszą wdziać na się sukienkę, gdy nagle ujrzała przy oświetleniu pałacych się gumien i zabudowań dworskich, jak jakaś tłuszcza pijana, uzbrojona w najdziwniejsze bronie krzyżąc przeraźliwie przekleństwa, które miotala i ku ziemi i ku niebu, wyciągnęła matkę w pół naga za włosy na dziedziniec. Krzyknęła przeraźliwie, bo się jej zdawało, że matkę ciągną prosto ku palącemu się gumnu, jakby ją tam chciano rzucić w środek płomieni, i chciała biedz jej na ratunek, ale przemógł przestach nienaturalny. W szaleństwie prawie, trwogą nieslychaną gnana, przez ogród wybiegła na pole, i tam przez płoty i rowy, po zimnym śniegu bosemi nogami, póty biegła, póki w ostatniem zmęczeniu nie upadła, jakieśmy to już opowiedzieli, przed samemi saniami naszego podróżnego.

Bóg wszakże czuwał nad biedną dziewczyną; nie dozwolił jej zostać zupełną sierotą. Po długich, bezowocnych poszukiwaniach, pokazało się, że ojciec wymknąwszy się na wieś, złapał kilku przywiązanych do siebie chłopów, i z nimi razem zdołał żonę od pewnej a okropnej wyratować śmierci, i na prędce zawiózł do znajomych w bezpieczniejszym mieszkających miejscu. Co się z biednemi rodzicami, co działo z matką nieszczęśliwą, gdy daremnie rozpytywała wszystkich o jedynaczkę swoją? Trudno opisać; trzeba by pióro umaczać w te wszystkie łzy i wszystką krew, przelane tej nocy pamiętnej! Szczęśliwsi od tylu innych, którzy, jeżeli przed śmiercią okropną, to na to tylko, aby wpaść w rozpacz po stracie najdroższych istot, odszukali się przecie.

Jeżeli trudno było opisać rodziców i rozpacz córki, trudniej daleko opisać radość ich, gdy nareszcie padli sobie w objęcia. Bo język ludzki ma wiele i bardzo wiele barw do oddania wszelkich smutku i rozpaczki odcieni. Na odmalowanie zaś radości, brakuje nam silnych dość wyrazów, może dla tego tylko, że wszyscy więcej do

smutnych aniżeli do wesołych zdarzeń jesteśmy przyzwyczajeni. Westchnieniem jeno dziękczynnem, ku niebu wzniesionem, umiemy jej najmocniej wyrazić; to też rodzice i córka w objęciu serdecznem padli na kolana, i sercem a łzami modlili się do przedwiecznego, który ich tak cudownym wyratował sposobem. I modląc trzymali się w uścisku, jakby się bali na jedną nawet rozłączyć chwilę.

Podróżnym owym, jak się łatwo domyślą czytelnicy nasi, by pan Gabin, który w tej chwili przypomniął sobie cały ten epizod dawno w niepamięci jego obojętnego usposobienia zagrzebany. Pamięć próżniaka to jakby wielkie pudło, do którego kobiety zrzucają mnóstwo najróżnorodniejszych okrawków. Pakuje on do niej łapczywie, co mu się gdzie nawinie, ale tak to tam wszystko leży bezładnie, że tylko przypadek może ztamtąd, to lub owo wydobyć.

Nasz bohater przypomniawszy tedy sobie jak mówiliśmy, ten cały życia swego epizod, zaczął sobie przypominać i inne łączące się z nim zdarzenia. I przyszło mu na myśl, jak to on dłużej zabawić musiał w miasteczku, trochę dla interesów, trochę ze strachu przed owoczesnemi niepokojami, a czy nie trochę dla pięknych oczów zdybanej dziewicy, tego sobie mimo największego natężenia przypomnieć nie mógł.

Dziewczyna i jej rodzice zamieszkali także w miasteczku na czas jakiś, i pana Gabina zapraszali jak najczęściej. Bo jakże to nie okazywać wdzięczności człowiekowi, którego im opatrność tak dobroczynnie w środek ich życia wprowadziła.

Dziewczyna, jak to zwykle bywa w wieku młodym, bardzo prędko przyszła do siebie i odzyskała swoją wesołość roztrzepaną, stanowiącą główną podstawę jej lekkiego nieco usposobienia, a co więcej, pręcej jeszcze odzyskała swoje szesnastoletnie a niepospolite wdzięki; osobiwie oczy, które pierwszym silniejszym uczuciem roziskrzzone, pierwszymi zmyte łzami, gwieździściej jeszcze świeciły. Wszyscy w domu byli jak łatwo zrozumieć bardzo uprzejmi dla pana Gabina, któremu u córki nie zawadzała uroda i młodość, a u rodziców, znajome jego stanowisko finansowe i społeczne. Pan Gabin był nieśmiały, jak wszyscy ludzie oddani życiu samotnemu, żadną pracą, żadną walką nieodznaczonemu. Zawsze mało mówny, tem mniej mówił w obec oczu dziewczyny, tak jakoś dziwnie nań patrzących. Z początku przysłuchiwał się bardzo chętnie opowiadaniom i panny i rodziców, o wszystkich mniej lub więcej tragicznych wydarzeniach ówczesnych. Wolałby zapewne komedje pan Gabin, ale kiedy nadarzyła się tylko tragedja... Cóż robić! trzeba słuchać, byle czas zabić!... Gdy już treści mówiącym zabrakło, a pan Gabin nie już nie miał do słuchania... zaczął ziewać!... On najszczerzej, najnaiwniej ziewał, bo wysłuchawszy wszystko, co wysłuchać można było, zaczynał się nudzić.

Dziewczyna ziewanie wzięła za wdychanie i marząc po młodemu o powodach tego wdychania, sama wdychać zaczęła. Rodzice doświadczeni od córki, wnet zrozumieli całą nijakość naszego Gabina, i dali pokój wszelkim projektom. Pan Gabin nareszcie skończywszy

interesa, postanowił wyjechać z miasteczka, bo już nawet zateśknął za domem samotnym, za wygodnym fotelem i płonącem kominkiem.

I było to ostatniego dnia, gdy pan Gabin przyszedł z pożegnaniem. W salonie siedzieli sami, Gabin i czarnooka dziewczyna. Oboje milczeli, oboje mieli oczy spuszczone w dół, oboje byli zadumani. Ktokolwiek by z boku spojrział na nich, domyśliłby się sceny nadzwyczaj romantycznej. Tak to mylą pozory!... Tym razem wzdychali oboje na prawdę. Dziewczyna w marzeniach swych, roiła sobie rozmaite nadzieje, lekkie motyle o cudnych barwach. Pan Gabin zamyslił się najpotężniej. On szukał z całym umysłu natężeniem sposobu, jakby to już raz zakończyć to milczenie, i gonił za słowami pożegnania.

Byłoby milczenie przeciągnęło się w nieskończoność, gdyby nie dziewczyna. Smielsza zdobyła się na pierwsze słowa, którei bez ogródki chciała trafić w rzecz samą.

— Pan zapominasz nas! — rzekła, i spojrzała na niego wzrokiem tak ognistym, że nieboszczyka by wskrzesiła.

— O nie! — zaczął pan Gabin, i urwał dokończywszy pół ziewnieniem, które mogło bezpiecznie uchodzić za westchnienie i ponosowym rumieńcem, którego znaczenie w oczach dziewcząt jest olbrzymie. Rumieniec na twarzy młodzieńca, to pół wyznania prawie.

— Czy pewnie? — mówiła dalej dziewczyna, coraz słodsze rzucając spojrzenia.

— Pani wątpi!... — jękał się biedak coraz więcej zaambarasowany gonitwą za przypoitemi wyrażeniami.

— Bo to tak łatwo zapomnieć!... — mówiła dalej z instynktową zgrabnością, by wyciągnąć kawalera na jakie słówko więcej stanowcze.

Próżna zgrabność!... prędzejby wóz ładowny wyciągnął z ukraińskiego błota na czarnym szlaku, aniżeli coś stanowczego z ust i głowy pana Gabina.

— Proszę pani!.. — ozwał się i położył rękę na piersi, jakby się chciał zaklinać.

Nie było w tem nic bardzo wyraźnego, lecz musiała się dziewczyna tymczasem i tem kontentować. Miała wszakże ochotę do dalszej indagacji, gdy nagle zerwał się pan Gabin na obie nogi, bo już mu dosyć było tego ambarasu. Wyekspensował już cały zapas loków komuniów.

— Żegnam panią! — wyrzekł mocno z dodatkiem mnóstwa równie mocnych gościów. Okiem nawet podobno przewrócił.

— Już! — wymówiła dziewczyna z przyciskiem prawdziwego uczucia. I dwie łez wielkich zawisły u długich rzesów. Łzy były szczerze i prawdziwe. On ją przecie wyratował; on był przystojny, on miał majątek wcale przyzwoity, on w jej główce wyrobił się na męża wcale stosownego.

— Muszę! — powiedział znowu pan Gabin, i patrząc w te śliczne oczy, tak błyszczące w tej chwili uczuciem i łzami, dodał: Wierz mi pani, że ..

Urwał, bo nie wiedział co dalej powiedzieć, i nareszcie skrzyknęły drzwi wchodowe. Ale porwał ją za rękę, co było najwyższym wysileniem jego odwagi i pocałował. Ale nim pocałował, ścisnął za piękną rączkę, ścisnął z pełnym uczuciem, bo go to mniej kosztowało od grzecznych i wytwornych słówek.

Dziewczyna zaczerwieniła się po uszy; aż się uśmiechnęli wchodzący właśnie rodzice. Nie było już czasu do tłumaczeń, bo pan Gabin pożegnał się z rodzicami dosyć sztywnie i ceremonjalnie i wyszedł co prędzej. Nie wyszedł, ale wyskoczył i wyleciał, jakby z łaźni uciekał gorącej, otrząsł się, szczęśliwy, że ciężkiej pozbył się pracy, i jak siadł do powozu! nuż uciekać do spokojnej ustroni domowej. Zanim domowe przestąpił progi, z kąd wionęła ku niemu cała makowa atmosfera próżniaczego życia, już zapomniał o całym epizodzie, który sobie spoczął w jego głowie, jak czasem w kalendarzu urodzin dziecka obok urodzin byczka kasztanowatego z łysinką i czarną łatką.

Nie tak dziewczyna!...

To ostatnie uściśnienie ręki starczyło jej na długie dnie i noce, pełne najcudniejszych marzeń i najśliczniejszych nadziei. Jak to mało potrzeba dla szesnastoletniej dziewczyny, by w żywej główce wybudować gmaszek tak ponętny, że się w nim chętnie widzi gniazdeczko przyszłego szczęścia .. wiecznego. Próżne, ale słodkie marzenia! Szczęśliwy kto je raz przebył, choć mu runęły, bo nie niema wiecznego na świecie!... Gruzy porosną nowemi i świeżemi kwiatkami, i zostaną w pamięci czeze mogiły, które stanowią szlak uczuciowy, przez który się kroczyło i ku którym tak lubo jest oglądać się z pewnem rzewnem i tęsknem uczuciem. Dzień za dniem mijały, a dziewczyna ciągle wierzyła, ciągle się spodziewała, a gdy w końcu i marzenie wionie bez śladu, i wiara się złamie, i nadzieja motylem uleci skrzydłem, można się dziwić, że w sercu młodej marzycielki zostanie gorycz. Miłość wymarzona, to jakby ferment jaki nadto słodki, musi skwaśnić. Biada drugiemu co potem przyjdzie! będzie mu zaiste gorzko kwaśno!...

Wróćmy teraz do naszego towarzystwa, zebranego w hotelu Żorża.

VIII.

Ciąg dalszy tajemnego spisku.

Pan Gabin tedy jak mówiliśmy, przypomniał sobie ów epizod, ale i teraz przypomniawszy, nie pamiętał, czyli prawdziwiej powiedziawszy, nie miał świadomości o tych wszystkich, drobnych szczegółach, jakie tu przytoczyliśmy. Inaczej się działo z piękną Honorką, w której domyślni czytelnicy nasi odgadli już zapewne ową bosą dziewczynkę, uciekającą po śniegu przed rozhukanym i pijanym tłumem.

Honorka nic nie zapomiała. W rzeczach uczuciowych kobiety mają pamięć, któraby nawet sławnego lingwistę Mezzofantego zawstydzić zdołała. Jest to pamięć nieubłagana, bo żadnego nie przebaczy szczegółu; gotowa przypomnieć sobie barwę sukienki, przed którą ukląkł pierwszy kochanek, całując z nieśmiałością świeży jej rąbek. Jest to pamięć pełna zawziętego konserwatyzmu, jakby ta pamięć francuskich emigrantów, którzy wedle Napoleona nic nie zapomnieli, i niczego się nie nauczyli. Pamięć ta nie wierzy w skruchę i w żadną poprawę, pamięć ta nic nie przebaczy; choćby lata minęły, przypomni sobie brudne rękawiczki nawet pierwszego wielbiciela, które ją tak przy pierwszym urazily wyznaniu, gdy śmiały się zbliżyć w ruchu namiętnym do jej czystej rączki i nawet do jej czystszej jeszcze i tak doskonale krochmalnej sukienki.

Honorka nie zapomiała ani jednego Gabinowego westchnienia, których rachunek знаła jak najskrupulatniej. A to ostatnie uściśnienie tak silne, miałażby ona zapomnieć?... Uściśnienie, którem musiała się lat parę karmić? O nie!... I dla tego nie były to czeze owe słowa o zemście, jakie wyrzekła Honorka na chwilę przed wejściem Gabina. Tak jest, chciała się zemścić, zemścić jak to lubią kobiety, w dwójnasób, w trójnasób, jeżeli nie więcej.

— Niech się rozkocha! o niech! — mówiła sama do siebie lub w pół wyznawała przed przyjaciółką. — Ale musi się szalenie rozkochać!... nieprawdaż?... I rozkocha pewnie!... — To mówiła w samotnym a najrzadszym monologu przed zwierciadłem. — A jak się rozkocha, będą nieubłagana...

To „powiedzmy na ucho“ mówi się zawsze bardzo głośno, ale nie bez cichej restrыkcji.

— Niech wycierpi za moje! — mówi dalej przed sobą, wpadając w krasomowczy ferwor. — Za każdą godzinę próżnych marzeń!... A te noce nieprzespane!... O szalona! ja zaczęłam już haftować mu sakiewkę czerwoną z srebrnymi rzutkami!... Z sakiewki tej, (to sobie epizodycznie przypomina) zrobiłam kaptuszek dla tego kapitana co to... Niechże teraz kocha, klęka, przysięga, mdleje, niech narzeka i zębami zgrzyta! Niech się wije u nóg moich płaczący jak bóbr, wdychający jak miech, jęczący jak okiennica na zardzewiałym haku!... A ja stanę naprzeciw niego, poważna w postawie surowej, majestatycznej, a niema i nieruchoma jak głaz.

Tu patrząc w zwierciadło, by się w majestatyczną postawę uszykować, przedewszystkiem głaz w myśli swej przemienia w marmur, a nawet w alabaster, mając wzgląd na płeć własną, widocznie tak białą, że jest bielsza od pici wszystkich najserdeczniejszych przyjaciółek. Im dłużej patrzy się w zwierciadło, tem się więcej sama nad sobą lituje, tem staje się nieubłagańszą, bo oczywiście występek zdraycy wydaje się ogromniejszym w obec coraz jaśniej i wyraźniej występujących wdzięków.

— Mnie! mnie on to zrobił!... — Porywa ją śmiech żony Makbetowej. Zemsta zwiększa się o pogardę. — Zwycięzę, zwyciężyć muszę, bo zwyciężyć chcę...

To jest ostateczny sens moralny, tej całej złości, tego gniewu, tej żądzy zemsty. A potem! co będzie po zwycięztwie?... Nad tem się zastanawia, a raczej nie zadaje sobie nawet takiego pytania. Często gęsto dziwne są losu zdarzenia i dziwnie się plecie na tym dziwnym świecie. Dzieje świata i ludzi uczą nas, że nieraz tak bywało, że z niewolników stawały się tyrani, a tyrani musieli cienko śpiewać!... To jest pewna, i to z serdeczną przyznajemy radością, że w gruncie serca kobiece są bardzo dobre, a ich zawziętość nie jest niezłomną!...

Takiemi to myślami wiedziona Honorka, wyznawszy je przed ukochaną Malwiną, którą po latach kilku z radością powitała, postanowiła rozkochać biednego Gabina, gdy jej po raz pierwszy na swoje nieszczęście wstąpił w drogę, w katedralnym kościele. Myśl ta obu paniom nadzwyczaj się podobała, ani też obiem przyszło na myśl, jakie mogą być skutki tego, i rzecz sama zgadza się z położeniem dzisiejszem Honorki, które nie znamy jeszcze, ale poznać będziemy mieli sposobność. Alfred jako zakochany nie mógł naturalnie oprzeć się swojej bogdance, przystał więc pomagać wedle mocy swojej spiskowi, uknutemu naprzeciw Gabinowi, który z niewinnością dziecka małego szedł do łapki, jakby zwierzę na rzeź.

Jakkolwiek w sumieniu swoim nie poczuwał się do żadnej winy, przypomnienia te wszystkie, wywołane słowami Honorki, mocno go jakoś zaambarasowały. Wstydił się niejako i sam przed sobą i przed nią, że widząc ją tyle razy w kościele, nie poznał.

— Pani daruje!... — wyjąknął, — ale czas... okoliczności!...

— I mężka pamięć! — dodała Malwina, z słodko-zdradzieckim uśmiechem.

— No broń się Gabinku!... — śmiał się Alfred.

— Pan Gabin mniema zapewne, — przerwała Honorka; — że nie warto się bronić...

— Czyż pani może wierzyć!... przeciwnie!... ja zawsze!... — mówił pan Gabin sztukując prawdę głosem.

— Zapewne zmieniłaś się bardzo! — ozwała się zdradliwa Malwina.

— A tak! tak bardzo!... — zaczął biedny Gabin, który jak niezgrabny pojedykarz sam się przebija szpadą przeciwnika.

— Zestarzałam i zbrzydłam bardzo! — rzekła Honorka, głosem niby skromniutkim i pokornym.

— Ale nie! gdzież tam! przeciwnie!... ja właśnie!... — wywijał się i wykręcał płaczącym prawie głosem nasz bohater, na wskrzesz przesyty.

— O Gabinie! Gabinie, — wołał Alfred przeginając się na kanapie od śmiechu.

Pomięszanie naszego bohatera było bez granic; była chwila w której już chciał uciec z salonu, jak to mówią po angielsku, bez pożegnania. Lecz panie były nadto dobrze wychowane, by go długo zostawiły w tak przykrem pomięszaniu. Były też nadto kobietami. A kobiety, gdy im taka wpadnie w ręce ofiara, to istne koteczki;

nie zabijają od razu, ale tylko podrażnią, uderzając to pazurkiem, to aksamitną łapczką.

— To są żarty panie dobrodzieju! — ozwała się Honoryna, rzucając na bohatera naszego spojrzenie aż do czułości słodkie. — Daj pokój Malwino! ty nie wiesz dobrze szczegółów naszego poznania. — Tu westchnęła, i w głosie jej było prawdziwe rozczulenie. W tej chwili zadrgała może w jej sercu dawna nuta pierwszych wrażeń młodości. O kobiety są nader wrażliwe!... — Panu wolno było zapomnieć! — dodała, — ale mnie nigdy!... I nie zapomnę, chciej pan temu wierzyć. — I dwoje łez nawet zabłysło w pięknych jej oczach, dwa brylanty przeczystej wody.

Jeżeli to udanie, o biedny nasz bohater; jeżeli prawda, stokroć biedniejszy!

Już nawet pan Gabin uczuł dziwne jakieś uczucie w sercu, które zaczynało się odzywać po raz pierwszy pewnem życiem prawdziwym. Jakby mrówki po nim biedz zaczynały; a wedle najlepszych medyków znak to najlepszy, że odzywa się zaumarła lub sparaliżowana część ciała. Spojrzał ku mówiącej i postrzegł dwie łyzy, i tak mu jakoś dziwnie zakręciło w nosie, że aż sobie mimowolnie przypomniał poczciwego Pawluka z ogromną tabakierą. Czuł, że w tej chwili niuszek tabaki choćby najdrobniejszy mógłby go zbawić. Po Pawluku przypomniła mu się cała scena u Einnehmerki, i jego myśli poprzednie, i pakiet z pieniędzmi w kieszeni. To przypomnienie stało mu się najlepszem lekarstwem na wzmagające rozczulenie, bo rozchwiany nieco umysł jego przyprowadziło do równowagi i zwykłej systematyczności w ułożonych działaniach. Dotknąwszy się zatem piersi, by bytność pieniędzy stwierdzić, co pani Honoryna mogła wziąć za inny romantyczniejszy daleko ruch, bo jak na nieszczęście krawcy dają boczną kieszeń na stronie serca, zaczął przemyśliwać, jakby tu wypełnić wzięte na się zobowiązanie.

Pani Honoryna tymczasem rozpowiedziała całe to znane już nam nocne zdarzenie ze wszystkimi najdrobniejszymi szczegółami tej nocy okropnej. tak wszystkim pamiętnej, że jakkolwiek umysły wszystkich słuchających zwrócone były przed chwilą ku pustocie i śmiechowi, zadrżały serca, zpoważniały twarze, a oczy!... oczy piorun-nemi zaiskrzyły się błyskawicami.

Honoryna rozповідаła z zapalem największym, a ten zapal zaprawdę nie był udany. Bo kobiety wszystkie, a szczególnie nasze kobiety polskie, to dziwne stworzenie. W rzeczach ważnych, stanowczych, rzeczy publicznej dotykających, szlachetne, wzniosłe, hartowne i nieugięte jak stal, wszelkiej ofiary aż do męczeństwa zdolne, w rzeczach małych, codziennych, kapryśne, zmienne jak chorągiewka, drobiazgowo aż do śmieszności. I dla tego to może u nas jako matki, najlepsze; wszak jeżeli co jeszcze w nas pozostało dawnych cnót naszych obywatelskich, dawnych pamiątek, co nam jeszcze serca, za prądem zimnego egoizmu idące, rozgrzewają — tośmy winni naszym matkom!... Jako kochanki bywają zdradliwe. Lecz i na słońcu są plamy.

Gdy przyszła do szczegółów, jej samej dotyczących, z całym uczuciem opowiedziała Honoryna własne położenie, i z rozczuleniem nawet podwoiła wmięszanie się pana Gabina, ratunek, który zupełnie jemu przypisywała. Opowiadanie to musiało być żywe, bo bohater nasz nawet po raz pierwszy poznał całe bohaterstwo swojego postępowania w onej nocy, sam się nad sobą dziwił i rozczulał, zapomniawszy zupełnie o swoim krakowiaczku, który naturalnie zniknął z opowiadania, jak znikają w dziejach dzielni żołnierze, obok często nie dzielnych wodzów. Kończąc opowiadanie swoje wyjazdem pana Gabina i ostatniem pożegnaniem, nadaremnie już chciała wrócić do tonu jak pierwiej żartobliwego. Przemagało rzewne jakieś usposobienie. Taki to już narów człowieczy, że przeszłości nie można wspomnieć bez żalu. I cóż dziwnego, wszak przeszłość to wielki ementarz naszych wszystkich marzeń, złudzeń i nadziei.

Ostatniemu słowu towarzyszyło ostatnie spojrzenie, zwrócone na pana Gabina. Spojrzenie wymowne, bo szczere, bez wszelkiej obłudy. Odbijała w niem wymówka, gorzka wymówka.

Po raz pierwszy w życiu zatliła w Gabinowej głowie dzika myśl.

— Jabył się mógł być ożenić!...

Biedny próżniak! czy po takiej myśli zdoła już wrócić do swego życia swobodnego i niedbatego?... Dobrze mówiliśmy, że był to dzień dla niego feralny!

Rozmowa tymczasem schodziła na tor zwyczajny, znajomy każdemu, jak dziura w moście wioski rodzinnej, co to ją nikt nowym niezalała dylem. Rozmową tą pryśnicowską oziębiony nasz bohater, wracał pomalu do swego zakłopotania, które coraz widoczniej występowało mu na twarz, wlewało we wszystkie ruchy. To się oglądał, to się obracał i kręcił na fotelu, to coś skubał przy kapeluszu, lub poprawiał przy ogromnych kołnierzykach, niewiem dla czego fatermerderami zwanych.

Zakłopotanie to było tak widoczne, że się zlitował wreszcie nad nim pan Alfred, i spojrzal na zegarek, ułatwiając mu tym sposobem rejteradę. Czy nie rozumiał tego sygnału, czy inną był myślą zaprzątiniony, nasz bohater pozostał na fotelu, nie ustając wszakże w swoich jakby niecierpliwych ruchach, przybierających kształty coraz pociesniejsze. Już nawet kobiety zaczęły przykładać chustki do ust, by ukryć niegrzeczne cichotanie.

— Tobie coś brakuje?... — zapytał nagle roztrzepany Alfred którego już kuzynek zaczął niecierpliwie.

— Nic! słowo honoru!... jak cię kocham.

Malwina już wytrzymać nie mogła; musiała się do okna obrócić, by mu się w twarz nie rozśmiać. Honoryna przeciwnie, w skutek litościwego w tej chwili usposobienia, chciała mu przyjść w pomoc.

— Pan zdajesz się być zajęty... zamysłony?... — wyrzekła.

— Tak jest! odpowiedział pan Gabin z uśmiechem ulżenia. — Ja właściwie chciałem się poradzić!

— Nas! — zawołała Malwina...

— To jest... Alfred może by...

— A więc to może tajemnica?... — zagadła Honoryna.

— Zupełnie nie!... i owszem! jeżeli panie mają czas; choć to nie tak ciekawego!...

— Słuchamy najchętniej! — zdecydowała Honoryna

Pan Gabin nie bez wahania się i strachu zaczął rozpowiadać o Bodiakowej, Pawluku i Halce. Jakkolwiek nie był Cyceronem poczciwy bohater, treść sama tak dalece za sobą mówiła, i kobiety nasze mają tyle zawsze taktu, że opowiadanie najlepszym zostało uwieńczone skutkiem, bo wzbudziło uwagę przytomnych. Nie mało do tego się przyłożyło, że z samego okazało się początku, jako pani Bodiakowa służyła niegdyś u matki Alfreda.

— Więc tej Halce chce się lepszego wychowania? — zapytała Malwina.

— Musi być ładna? — dodała Honoryna.

— Nie wiem prawdziwie! to dziecko jeszcze!... ma podobno trzynaście czy czternaście lat! — odpowiedział pan Gabin najnaiwniej. — Biedne, blade dziewczę, ale ciche i dobre.

Zawstydzily się obie panie; a Honoryna odezwała się po krótkiej chwili namysłu:

— Ja mam takie miejsce!

— Dobrze?... — zapytał pan Gabin.

— Tak mi się zdaje; jeżeli zechcesz w tej mierze mnie zaufać.

— Pani, najzupełniej!

— A jeżeli koszta jakie będą potrzebne, ja się najchętniej przyłożę! — zawołał pan Alfred.

— I ja! — dodała Malwina.

— Potrzebne pieniądze na koszta już są — odpowiedział Gabin, i znowu uderzył się w piersi czyli raczej po kieszeni.

— Jakto? pan?... — zapytała Honoryna, ciekawe nań rzucając spojrzenie.

— Ja! tak jest! — odrzekł zaczerwieniony Gabin, i naglony pytaniami, rozpowiedział naiwnie całą historję pakietu z banknotami, na niespodziewane wypadki przeznaczanego, który chce ofiarować na dobry uczynek.

Słuchali go wszyscy w milczeniu i z nieudaną powagą. Ładna myśl i ładny czyn trafiają zawsze do serca naszych kobiet. Cała śmieszność pana Gabina znikła przed rozczulonemi paniami, które w duszy wstydziły się swojej dotychczasowej drwiącej złośliwości. Alfred go serdecznie uściskał, a o mało brakowało, że go i kobiety nie nasładowały. Na twarz Honoryny wystąpił rumieniec, a z jej piersi wyknęło się westchnienie. Z kąd się dobył rumieniec i gdzie westchnienie poleciało któż odgadnie. Malwina spojrzała na przyjaciółkę z pewną trwożliwą troskliwością. Kobiety najlepiej się rozumieją na pochodzeniu rumieńców i przeznaczeniu westchnień. W kilku słowach rzecz cała została ułożona. Pan Gabin miał nazajutrz przyprowadzić Helenkę do pani Malwiny, a pani Honoryna

przrzekła przez ten czas wszystko urządzić, aby dziewczynka mogła być od razu przyjąta do domu, gdzie jej miano dać wychowanie.

Pan Gabin wyszedł. Szumiało mu w głowie i czuł, że mu coś brakuje. Poszedł do kawiarni, lecz go gazety znudziły; wiadomości z Kalifornii które go zawsze zajmowały, przeskoczył tym razem; nawet go koncepta humorystyczne z ilustrowanych dzienników nie zdołały zabawić. Poszedł na kolację, jadł bez apetytu, wyraźnie z obowiązku tylko. Wrócił nareszcie do siebie. Tam mu zawsze było najmilej, najswobodniej. Dla czegoż tak mu się dziś wydały pokoje puste? Chodził po nich zamyślony, a za nim szedł Szymon krok w krok z fałdzistym szlafrokiem na rękę, coraz wyraziściej kiwając głową. To mu bowiem żadnym sposobem do głowy wleść nie mogło, że pan biega po pokoju, kiedy zwykle wieczorem, skoro przyszedł do siebie, zwykł się był rozbierać, i czem prędzej wdziewać ulubiony i wygodny szlafrok. Frasował się biedny Szymon widząc taką nie zwykłą w panu swym odmianę, nie przez współczucie dla pana, ale tak było mu dotąd dobrze z regularnem i obojętnem pana usposobieniem.

Pan Gabin choć nie był przyzwyczajony do głębokich rozmyślań, tym razem mimowolnie rekapitulował cały dzień miniony. I nie mógł sobie zdać z niego sprawy.

Był to li dzień dobry dla niego, czy zły?..

To mu tylko w odpowiedzi szumiało w głowie, że to nie taki dzień jak wszystkie inne. Systematycznie rozbierając zdarzenie po zdarzeniu, widział wyraźnie, że to dzień stracony, bo żadne ze zwykłych zajęć nie wypadło na zwykłą godzinę; aż mu włosy wstawały do góry, gdy sobie przypomniał ile to zajęć musiał zaniedbać. Nie był w kawiarni o zwykłej godzinie; zapomniał nawet, że jakiegos Roszka-Cymbalka grają w teatrze.

A z tem wszystkim coś mu tam szeptało do ucha, że ten dzień przeszedł mu przyjemniej daleko, niż którykolwiek inny w życiu. Kolejno przebiegały mu przed oczy, to blada Helenki twarzyczka, to czarne iskrzące się Honoryny oczy; i twarz i oczy tak jakoś słodko uśmiechały się do niego, tak czule przymilały, że aż mu serce uderzyło w piersi. Uczuł serce!... To było dlań nowe odkrycie, nie mniejsze od Kolumbowego dla starej Europy. Tak jest, uczuł serce. Pierwszy raz w życiu doznał jakichś uczuć, pochodzących nie ze zwykłego zbiegu okoliczności, nie z codziennych życia zdarzeń, i to go tak poruszyło, to mu dzień tak miłym robiło. Pierwsze uderzenie serca w próżniaku, to jak pierwsze uderzenie dłuta

— Ależ szlafrok panie! — zawołał po raz czwarty zdesperowany Szymon, pociągając pana za połę frakową. — Już dziewiąta wybiła! — dodał płacząwie prawie.

I jakże nie miał rozpaczać, kiedy o jedenastej wszystkie szynki zamykają. Ledwie wdział szlafrok, już i ziewnął zaraz. Co to przecie za wielka władza przyzwyczajenia!... Przy drugiej kartce powieści Kraszewskiego już zasnął.

IX.

Drugie naszego bohatera rozczulenie się.

Nazajutrz w ubogiem pomieszkaniu pani Bodiakowej odbyła się scena bardzo rozrzewniająca.

Od rana już panował tam wielki ruch; pani Bodiakowa była już o wszystkim uwiadomiona przez Szymona, z polecenia pana Gabina. Żal i radość ścisnęły ją razem za serce; żal za jedynem dziećciem swoim, które po raz pierwszy porzuci ją, i rzuci może na zawsze. Radość, że to rozłączenie dogodzi chęciom jedynaczki, i może ustalić jej szczęście. Jakkolwiek wiele prawią o gnuśnym oporze klas niższych przeciw wszelkiemu oświeceniu, i ich zatwardziałości w ciemnocie, stokrotnie doświadczenia dowodzą nieprawdę.

Pracując ciężko na kawałek chleba, trudno się im zdobyć na poszukanie tego światła, które strasznie drogo i z wielką rozdają stronnicością dla klas wyższych, osobliwie dla bogatszych, na których i pan bakałarz i klasa promocyjna łaskawsze. Biednemu prócz kosztów jest często niepodobieństwem nawet wysyłać do szkoły dzieci, których praca w domu jest konieczną częścią kapitału, do utrzymania życia potrzebnego.

Pani Bodiakowa cieszyła się zatem w duszy, choć w oczach miała łzy, krzując się od rana, by uporządkować skromną dla córki wyprawę w nowy świat.

Bogaci nie rozumieją tego uczucia, z jakim ubogi ogląda każdy sprzątek, każdą sukienkę, każdą koszulkę, którą bierze lub daje na własność. Bogaty rzuci pieniądz, i sto rąk pospieszy na jego rozkaz. Model, krój czy haft zachowany? czy materja dość modna i arystokratyczna? obejrzą, i na tem koniec. U ubogiego, do każdej szmatki najlichszej przyłączone są długie jej dzieje; dzieje nocy bezsennych, dzieje głodu, mrozu i łez!..

Łzy się zakreśliły w oczach Bodiakowej, gdy składała, a troskliwie, by się nie wkradł żaden fałdzik niepotrzebny, ową sukienkę czarną jedwabną. Ta suknia przemawiała do niej całą przeszłością. To była jej własna suknia, gdy na rękę męża nieboszczyka, jako einnumerowa paradowała w niedzielę po błotnych małego miasteczka ulicach. W niej była na solennych własnego dziecka chrzcinach; w niej na ostatniej mszy, zmówionej za duszę zmarłego męża, w niej po raz ostatni, gdy za otrzymaną dziękowała trafikę. I jakże szczęśliwa była szczęściem Haluni, gdy ta po raz pierwszy w przerobionej z matki sukience czarnej, jechała na odpust do Wiunik, a patrzyła na około czy ją podziwiają, i to z fiakra najętego przez poczciwego Pawluka. I dziś składając ją starannie, wnet się babina uśmiechnęła weselej, wyobrażając sobie jak Halunia ślicznie w niej wyglądać będzie pomiędzy zazdroszczącemi rówieśnicami.

— Bo to przecie i materja i barwa najmodniejsza; jedwab i czarna barwa; to i najwyższe panie noszą... — mówiła sama do

siebie... — Czarna — powtórzyła po chwili kiwając smutnie głową; to barwa żaloby. Ha kto wie! jak jej prędko będzie potrzebna! — dodała w myśli, i jakby na potwierdzenie mocniejszy jeszcze dusił ją kaszel. — Już ja ją może nie zobaczę nigdy! — myślała dalej, wpadwszy na szereg czarnych myśli, które jak kruki tłumnymi lecą chmurami. A choć zobaczę, kto jej łóżeczko pościeli, kto na dzieńdobry uściśnie. Biedna Helenka! biedna ja!... Ale nie, ona będzie panią!... Ona będzie panią!...

Z ilu to chat i poddaszy ubogich odzywa się takiż sam głos, gdy z nich wychodzą w świat biedne nędznych izdebek mieszkanki!... I gonią z radością w oku młodem naprzód. Jakże mało tych świetnych zjści się nadziei! To państwo wymarzone, to dzień, godzina chwila szczęścia, okupiona łzami żalu, wstydu i długoletniej zgryzoty. Bodajby była lepiej została w swej chacie lub poddaszu, aniżeli miała wracać potamana wiekiem i życiem, z łachmanami świetnych niegdyś myśli uczuć i sukni!...

Za krzątającą się babiną chodził Pawluk długi krok w krok, prawdziwy bocian, to na jednej to na drugiej stawał nodze, chcąc pomódz przyjaciółce w tak ważnej chwili. On to uwiadomiony zaraz o wielkiem zdarzeniu, wyszukał jakąś dziewczynkę, by Helenkę zastąpiła w trafice przez czas słabości pani Bodiakowej; on biegając za nią po pokoju, za każdym niuchem tabaki cuda rozpowiadał o świetnej przyszłości kochanej Hulki, w dowód czego przytaczał kapitana, u którego czas jakiś jako prywatny posługacz przebywał, a który ożenił się z dziewczyną.

— Ale jaką! — mruczał dowcipnie mrugając oczyma — nie z takiego jak nasza Halka domu. To była proszę imości!...

— Już wiem! wszak mi to sto razy opowiadałeś — odrzekła Bodiakowa surowym głosem, rzucając wzrok znaczący na Halce, która się tymczasem koło kuchni krzątała. — Ot wolicie! — dodała słodszy głosem — pomódz mi włożyć tę sukienkę do kuferka, by się nie zmiała!...

— A co to za sukienka! — ozwał się Pawluk zgięty we dwoje nad kuferkiem, z tonem pełnym szczerego podziwu.

— A ta chustka, to była moja!... Ja ją daję Halce!... czy pamiętacie panie Pawluk? — rzekła babina, i spojrzała nań czule.

Pawluk musiał uciec się do tabakiery, tak mu jakoś zakręciło w nosie. Ta chustka był to jego własny dar; to dzieje ich tyloletniego przywiązania.

Helenka tymczasem jak mówiliśmy krzątała się koło kuchni. Ona chciała zastępując matkę, czem innem zajętą, zgotować obiad, obiad ostatni, który zjeść miała w domu rodzicielskim. Helunia była zupełnie odurzona; wszystkie jej myśli i uczucia w bezładnym były chaosie. W głowie jej coś szumiało, w sercu coś pukato, ale co, samaby nie umiała powiedzieć. Wiele było żalu, i wiele radości w tym chaosie. Matka ukochana i Pawluk poczciwy i biedne rówieśniczki na ciemnym dziedzińcu, z którymi wyrosła i bawiła się, zdawali się stawać przed nią, i to żegnać łzami, to winszować uśmiechem. Przeszłość spokojna, cicha, swobodna, z pieszcotami matczynymi,

z pamiętką ojca i dziecinnych igraszek, tak ją jakoś nie puszczała, ściskając za piersi, za serce, aż łezki padały na bladą twarzyczkę. I zatańcowała przed nią przyszłość tem czarowniejsza, że w rysach niewyraźnych, ale wszystkie tak cudnie barwne, tak cudnie świecące, i to wszystko w najczarowniejszych postaciach na pół przysłonionych, wyciągających ku niej ręce z uśmiechniętymi twarzyczkami; aż jej piersiachtchu braknie, aż się jej twarzyczka zarumieni, i dołek uśmiechu koło małych wykopie się usteczek. A w tym chaosie dawnych i nowych postaci, jedna postać przewyższa wszystkie, i zdaje się patrzeć na nią z góry wzrokiem, pełnym wyrazu opiekuńczego; aż się ręce składających jakby do pacierza, by się do niej pomodlić. Serce jej bije mocniej, bo nie wie jak uzczyć tę postać, i główka aż zaboli, tak szuka wyrazów, jakiemiby mogła uczucie to wyrazić, co przepełnia jej serce i głowę. I jedno tylko znalazła, jedno co przez całe życie wyraża najmocniej nasze myśli i uczucia. Znalazła westchnienie.

To nasz poczciwy Gabin tak zolbrzymiał w sercu i główce biednej dziewczyny.

O Boże! wszak przez niego otwiera się jej świat dawno porządany, świat ten nauki, świat wszystkich zagadek, wszystkich sfinksów, które ją od tak dawna nęca swemi ciekawemi postaciami. Matka dała mi życie! on mi da światło!... szeptało jej do uszów tajemniczym głosem.

A to światło! jakże my je wszyscy różnie, ale zawsze w najświetniejszych barwach wyobraźni wystawiamy. To światło, za którym gonimy nie oglądając się po za siebie, choć tam w cieniu młodych gajów i lip starych zostawiamy i domek rodzinny, i spokój domowy, i poczciwe przywiązane twarze, co się do naszej uśmiechały kolebki!... I gonimy bez ustanku po stepach gorących a pustych, po skalistych ścieżkach, dzielących dwie przepaści własnej niemocy i szaleństwa... pędzimy dalej i dalej!... A to światło, ileż razy staje się błędnym ognikiem, i rzuci nas w kałużę, w której brniemy przez resztę życia; jakże często staje się ogniem pożarnym, w który rzucamy się szaleni jak one wdowy indyjskie, by się przepalić w popiół, aż do ostatniego uczucia, aż do ostatniej myśli!...

Ani się spodziewał pan Gabin, który wchodził w tej chwili, że na takiego wyrósł olbrzyma w myśli i uczuciach bladego dziewczęcia.

Wypiękniała, wyrosła z dziecka w dziewicę i zarumieniła się Halka, istny pączek z róży rozwijającej się, gdy ujrzała naszego bohatera. Wszyscy go oskoczyli, i jakkolwiek się wywijał, wypraszał i wykrecał, porwali go za ręce, by je ucałować. Ta wdzięczność, której się nie spodziewał, której nie rozumiał, bo się nigdy nie zastanawiał nad uczuciami ludzkimi, poruszyła go do żywego. Bodiakowa wzięła jedną rękę, Pawluk drugą, i oboje całowali tak serdecznie, że się im aż łzy puściły, i padło ich kilka na ręce pana Gabina. Helenka przyskoczyła do niego z łzą w oku a uśmiechem na twarzy, zarumieniona, tak była śliczna teraz, jak prawdziwy aniołek. Anielskie też drgały w jej sercu uczucia. Zdumiał się pan Gabin, bo mu się nigdy tak ładną nie wydała; zdumiał, bo zdało mu się widzieć przed sobą dorosłą dziewczynę. Halka nie miała wolnej

ręki by ją ucałować; uczuciem szczerem wiedziona, padła przed nim na kolana i złożyła ręczki, jakby do modlitwy, a spojrzała na niego wzrokiem, w którym rada była pomieścić wszystkie serca swego uczucia.

Wielka jest potęga oka człowieczego. Władza to prawdziwie czarodziejska, gdy przez nie przemówi cała dusza, stokroć wymowniej od najwymowniejszych słów. Działa zaprawdę magnetycznie, bo wiąże duszę z duszą węzłem niewidzialnym, tajemniczym, nierozzerwanym. Wzrok ten zrobił na panu Gabinie nadzwyczajne wrażenie. Po raz pierwszy zrozumiał całą siłę uczucia, w jego najdelikatniejszym odcieniu. Po raz pierwszy miał dwie wielkie szczerych łez w oczach. Uczuł przywiązanie do dziewczęcia, które przed chwilą było mu jeszcze obojętne.

Przyszła chwila rozstania się córki z matką.

Stokroć powiedzieli sobie z uśmiechem, że za dni kilka widzieć się będą, i stokroć nic nie pomógł uśmiech przymuszony. Spłakały się rzewnie. Uczucie zawsze przeważa rozumowanie, uśmiech był wyrozumowany, a łzy serdeczne. Patrzały w siebie, jakby się bały nigdy już nie zobaczyć, jak gdyby chciały sobie jeszcze mocniej wyrzeć własne twarze w pamięci, jakby się bały zapomnieć nawzajem. Patrzyły i napatrzeć się nie mogły. Bo to matka żegna się z córką; matka, która tylko w dzieciach swych żyje, i córka, której miłości macierzyńskiej nie zastąpić nie może. Te dwie miłości matki i córki, najlepiej się rozumieją. Tak tylko mogą się kochać ojciec z synem. I padły sobie w objęcia, i nie mogły się dosyć naściskać. Kto raz żegnał w życiu dom rodzinny i drogą matkę, ten tylko zdoła zrozumieć siłę tego uczucia, któremu nic już nie zrówna w życiu; bo żadna siła nie odczaruje tej świeżości uczuć, co się wylewa łzami dziecka, rozłączającego się po raz pierwszy z rodzicami.

Na tę czułą scenę patrzyli stojąc z boku, pan Gabin i Pawluk.

Pan Gabin nie śmiał przerywać jej, chociaż sam sobie ciągle przypominał, że czas upływa, że nie miał czasu dziś przeczytać Kraszewskiego, że nie był w kościele, że czekają na niego u Malwiny. Wszystkie te w każdym innym razie ważne wypadki wydawały mu się błahemi. Było mu dziwnie smutno i dziwnie miło. To była pierwsza nagroda dobrego uczynku!... Pawluk stał przed nim schylony. Trzymał tabakierkę otwartą, bo właśnie panu Gabinowi dla kontenansu ofiarował tabaczkę. Ani uważał jak dwie łez wielkich jak groch polny, padły mu do tabaki.

W tej chwili znikła cała prozaiczność tego nędznego otoczenia, tej ciasnej izdebki, tych ubogich sprzętów. Znikła cała śmieszność tych dwóch postaci, któreby w każdym innym razie nie odpowiedziały wymaganiom kapryśnym wybrednej estetyki światowej. W brudnej izbie ciemnego podwórza, było w tej chwili więcej daleko poezji prawdziwej, niżeli w stu złotem świecących salonach, gdzie tak łatwo łyż ronią nad romansowemi nieszczęściami. Często, bardzo często trafia się ta sprzeczność!...

Wyszli nareszcie, Helenka z Gabinem i Pawlukiem, bo Bodiakowa nie mogła sama odprowadzić. Pan Gabin był tak dalece nie

swój w tej chwili, że przystał na to bez wahania, chociaż w każdym innym razie towarzystwo woźnego, i bytność takiej figury w damskim salonie uważały za najwyższą nieprzyzwoitość...

U pani Malwiny zebrane było wczorajsze towarzystwo. Panie przyjęły Helenkę i Pawluka bardzo dobrze. Mimo całej ochoty jaką miały do śmiechu, Pawluka bowiem powierzchowność wzywała do tego, zdołały się powstrzymać, i najpoważniej przyjęły przedmowę jego i mnogie ukłony. Było to zaiste bardzo wiele z ich strony, bo wyśmiewanie mniej zgrabnej powierzchowności, którą się najczęściej niższe stany odznaczają, należy niemal do dobrego tonu. Często bardzo cały dowcip takiego dandysa, albo takiej lafiryndy, na tem tylko zależy, by ostrem słówkiem podnieść krzywą postawę, lub strój ciekawy niższych, z którymi mają do czynienia. Warto w tym względzie podслуchać podobnych panów i pań, jeżeli raczą odwiedzić bal naprzykład publiczny. Z jakimi to drwiącemi minami przypatrują się tańcom, śledząc każdy krok tańczących, ich ruchy i ubiory, z jakim niby znaczeniem patrzą na siebie, ruszając ramionami, ile przytem nasieką próżnej słów sieczki, z jakiej najczęściej składa się to całe ich dowcipkowanie.

Nasze panie mimo całej pustoty, nadto miały sensu i uczucia prawdziwego, by ich nie poruszyły szczerze łzy w oczach zaczerwienionych Helenki, i serdeczne aczkolwiek pocieszne nieco zafrasowanie Pawluka.

Po kilku słowach przedstawienia, pan Alfred zaznajomił kuzynka swego z warunkami przyjęcia; w skutek czego pan Gabin złożył od razu całą należność za lat trzy z góry, mimo uwag Alfreda, że tego nie potrzeba. Honoryna tymczasem, na której twarzy niezwykła dziś osiadła powaga, przypatrywała się dziewczynce z uwagą, i rzekła po chwili do Malwiny z cicha:

— Ładna dziewczyna... kuzynek twego Alfreda ma dobry gust.

— Czy mniemasz? — zapytała Malwina z pół uśmiechem, który znikł wszakże, gdy spojrzała na twarz przyjaciółki, niezwykle zasepioną.

Honoryna westchnęła nawet mimowolnie.

— Lecz gdzież będzie? — zapytał pan Gabin Alfreda.

— Alboż ja wiem: spytaj Honoryny — odrzekł pan Alfred.

— Czy pan nie ufa wyborowi miejsca przezemnie zrobionemu? — ozwała się Honoryna, zasłyszawszy śnać rozmowę kuzynków.

— Pani!... ja!... zupełnie!... chciałem tylko — mówił zaktopotany Gabin.

— Chodźmy! — zagadł pan Alfred. — Ten pan odprowadzi córkę swojej przyjaciółki.

Helenka przez cały czas patrzyła na naszego bohatera jak w tęczę. Widząc, że już zabiera się do wychodu, raz jeszcze przystąpiła do niego, i raz jeszcze złożywszy ręce, wzrokiem, łzami przyćmionym, całą swą chciała wyrazić wdzięczność. A wzrok ten tak był wymowny, że mimowolnie rozczulily się obie panie, szepcząc do siebie:

— To dobre jakieś dziewczę.

Pan Gabin uciekł co prędzej, bo czuł także, że mu się oczy zwilżyły. Przy pożegnaniu z paniami, zarumienił się po uszy, bo uczył wyraźnie silny uścisk ręki Honoryny.

— On ma przecie pocziwe serce — szepnęła Honoryna do Malwiny.

— Tak myślisz? — odrzekła Malwina. — Mięknieś już w zamyślach zemsty. Wielka w tobie od wczoraj zaszła zmiana.

— To był żart!..

— A w każdym żarcie jest połowa prawdy.

— Jam go sobie inaczej wyobrażała, — rzekła znowu Honoryna w pół zamyśleniu i z pół westchnieniem.

Tego już nie mogła wytrzymać Malwina, i co prędzej przyłożyła chustkę do ust, aby głośnem nie parsknąć śmiechem.

— On ma szczęście, ten Gabin! — szepnęła przyjaciółce do ucha. — Patrzaj na tę dziewczynkę, ona jeszcze przez drzwi patrzy za nim.

Przez ten czas pan Gabin szedł jak oparzony obok Alfreda, który ze zwykłą wesołością pogwizdywał sobie jakąś aryjkę. Niestety nasz tak spokojny dotąd bohater, stracił zupełnie swą obojętną równowagę umysłową. Ten uścisk ręki Honoryny, to ostatnie spojrzenie zapłakanej dziewczynki, rozstroiły go zupełnie. Był niby zamysłony, chociaż po prawdzie o niczem nie myślał; to mu tylko było pewnikiem, że sam siebie nie rozumiał. Pan Alfred znudzony milczeniem kuzynka ozwał się wreszcie:

— Zakochałeś się jak widzę...

— Ja?... w kim?..

— Jużci nie w mojej Malwinie; ale czarne oczy Honoryny zbałamuciły ciebie.

Nic nie odpowiedział pan Gabin, bo tym razem na prawdę zaczął rozmyślać.

— Ale powiedzże mi raz, — ozwał się po chwili — kto jest Honoryna?

— Jak mi się zdaje, piękna kobieta...

— Żartujesz!... ja nie o to pytam.

— Mój drogi, kto w stanie poznać kobietę!

— Jużciż kiedy jest przyjaciółką Malwiny, musisz wiedzieć!...

— Tyle co i ty!...

— Lecz czy jest panną?...

— Być może!...

— Czy mężatką?...

— Kto to wiedzieć może!..

— Może wdową?

— Ha! i za to nie ręczę.

— Jużciż musi być jedno z tych?

— Niekoniecznie!...

— Jakto?

— Może być rozwódką!...

— Więc ona rozwódka?...

— Ale ja tego nie mówiłem. Gabinku jak cię kocham, wielki z ciebie nudziarz: prawdziwy stary kawaler. Każdą rzecz chcesz wiedzieć dokładnie i ze wszystkimi szczegółami.

— Przecież jako Malwiny..

— Ach nudziarzu!... bądź zdrów, bo nie mam czasu!... a przez kuzynowskie przywiązanie to ci tylko jeszcze powiem: daj temu wszystkiemu pokój!...

— Albo co?

— To tajemnica!...

— Tajemnica — krzyknął pan Gabin wyszczerzając oczy.

— A jużciż tajemnica, kiedy i ja nic nie wiem.

To rzekłszy zaśmiał się głośno i na inną, pocwałował ulicę, zostawiwszy naszego pana Gabina na placu S. Ducha.

Biedny człowiek nie wiedział co ma dalej zrobić z sobą. Mimo całej systematyczności, nie wiedział nawet która godzina, i długo patrzeć się musiał na ratuszowy zegar, zanim się opamiętał, że czas na obiad. I tam nie odzyskał równowagi. Jadł o jedną potrawę mniej, a po jadło-spisie tańczyły mu miasto liter, to czarne oczy Honoryny, to łyzy bladej dziewczynki.

X.

Tajemnice pożycia domowego.

Nie będziemy krok w krok chodzili za naszym bohaterem, bo znudziłibyśmy czytelników naszych. Powiemy tylko, że po zdarzeniach, tylko co przez nas opisanych, pan Gabin przez dni kilka chodził jak zwarzony. Wrócił wprawdzie pomalą do dawnego trybu życia systematycznego, i wszystko w jego życiu jak zegarek uporządkowaniem zdawało się iść po dawnemu, ale było to tylko pozorne. Łada słowo lub wspomnienie jakie, tyczące się zdarzeń minionych, budziło w umyśle pana Gabina nieznany dawniej niepokój.

Szymon ciągle nad nim głową kiwał, powtarzając: Popsuli mi go; i obwiniał wszystkich, nie wiedząc na kogo głównie zwalić winę.

I jakże zresztą nie miał rozpaczać, kiedy nie mógł jak dawniej o każdą godzinę być spokojnym, bo każda miała swoje nieodmierne przeznaczenie. Wszakże przyszło do takich kaprysów, jak je Szymon w gniewie nazywał, że pan Gabin po całych dniach z domu nie wychodził, i w szlafroku a mycce z kutasem na głowie, czytał ciągle lub chodził po pokoju, medytacjom oddany, odmieniając lulkę po lulce. Jeszcze możeby wrócił zupełnie do dawnego, błogiego spokoju, gdyby nie odwiedziły kościoła i pani Bodiakowej.

W kościele zdybywał czasami owe oczarne oczy, które po raz pierwszy go poruszyły. Oczy te gwieździste i świejące jak zawsze, spoglądały nieraz na niego jakimś wyrazem tak tęsknym, a temu wyrazowi tak doskonale odpowiadała twarz bledsza niż dawniej, że i panu Gabinowi robiło się smutno, bardzo smutno. Nie codziennie ją zdybywał, czasem nawet minęły całe tygodnie, zanim zobaczył ją zwykłej ławce; ale to mu już starczyło, że codziennie zdybywać się ją spodziewał, a więc codziennie chodziłby jedną chwilkę myślał o niej. Darmo łamał sobie głowę, kto jest ona. Zdybawszy go, lekkim

ledwie dostrzeżonem kiwnieniem głowy przywitała, i nic więcej. Nadto zaś sam był nieśmiały i niedoświadczony, aby za nią odważył się pójść lub kroki jej śledził.

Jeszcze się gorzej z nim działo, gdy odwiedzał Bodiakowę. Tam co chwila mówiono o Helence, tam często zdybywał jakieś jej ślady, jakby, umyślnie u matki zostawione, aby widział, że ona nie zapomina o swoim dobrodzieju. Przy każdym dowodzie jej postępów w naukach, jaki przynosiła lub przysyłała matce, było wspomnienie dziękczynne o tym, którego dobroci nie zapomni do śmierci. Co dwa tygodnie przychodziła sama. Dnia tego oczywiście pan Gabin nigdy nie opuścił. I za każdym razem wydawała się zmienioną, ale zawsze na korzyść; za każdym razem umiała mu w sposób najdelikatniejszy powiedzieć kilka słów czułych, dziękczynnych. A spojrzenia jej na pół dziecinne, ale przez to samo tem więcej rozrzuwające, jeszcze więcej mówiły. Panu Gabinowi w głowie pomieścić się nie mogło, zkad się w tej dziewczynie tyle nabrało sprytu, tyle pojęcia, a co więcej, tyle wdzięków. Nieraz w chwilach samotnych, choć się sam na siebie za to gniewał, rozmyślał nad tem — czyje oczy piękniejsze?.. Czy czarne Honoryny, czy te łzawe niepewnej barwy Helenki?..

Jednem słowem spiąca w nim dotąd rozłiła się iskierka uczucia, a gdy raz roztleje, nie zgaśnie już więcej. Za rozbudzeniem uczuciem przyszły konieczne a nieznanne dotąd potrzeby życia więcej umysłowego, bo za uczuciem przyszły i głębsze myśli, przyszły i owe, wznoszące ducha w marzenia. Nasz bohater nie stanął jeszcze na tak wysokim stopniu, ale był już na tej drodze.

Jego nawet dawniejsze przyzwyczajenie do próżniaczej ciekawości, szło w pomoc temu nowemu usposobieniu. W całym tem poznaniu z Honoryną, nęciła go pewna tajemnica. Nieraz będąc u Bodiakowej pytał Helenki czy widuje Honorynę?..

— Widuje i bardzo często — odpowiedziała dziewczyna z pewnym uśmiechem, w którym pan Gabin dopatrywał jakiejś tajemniczości.

Nie śmiał się jej wyraźniej wypytywać, a dziewczyna zdawała się nie rozumieć jego ciekawości. A jeżeli nawet z bliższem jakimś ozwał się pytaniem, dziewczynka spozrzała na niego tak jakoś smutno, że pan Gabin co prędzej spuszczał oczy w dół.

— Ja nie mam prawa! — mówiła, — mówić o tem, czego pani Honoryna sama snąć nie chce powiedzieć. Lecz jeżeli to pana tak zajmuje, powiem jej to.

A głosik jakim mówiła był smutny, ale coraz dźwięczniejszy. Wychowanie bowiem przyzwyczajając mowę do słów doborowszych, a głowę do myśli szlachetniejszych, wpływa niezawodnie i na ton jakim się te myśli i słowa wygłaszają. Prócz tego Helenka uczyła się śpiewać, bo wielki do muzyki okazywała talent. Pan Gabin języka w gębie zapomniiał, gdy mu Helenka razu jednego zaśpiewała jeden z cudnych Kazimierza Lubomirskiego utworów, tak czysto

i harmonijnie, że aż zadrżał cały. Po raz pierwszy poznał siłę muzyki.

— Ja jej to powiem — powtórzyła ciszej i smutniej..

— Nie potrzeba! nie potrzeba! — odpowiedział pan Gabin spuszczać oczy, jak to zwykle robił w chwilach zaambarasowania się. Już to oczy miał doskonale tchórzliwe.

Tajemnica zaś jakaś we wszystkim go prześladowała, wszakże nie wiedział nawet, u kogo właściwie pobiera Helenka to wychowanie, z którego widocznie tak korzysta.

— Ta pani nie ma pensji patentowanej! — powiedziała raz Bodiakowa i Pawluk, zapytani przez pana Gabina. — Nie chce zatem, by o niej wiedzano.

Powiedzieli i poskrobali się w głowę, bo podobno sami nie wiele więcej wiedzieli.

— To anioł! — odpowiedziała Helenka na podobne zapytanie, z pół dziecinną egzaltacją.

Anioł, to śliczny ogólnik, i dla tego tem trudniejszy do znalezienia pomiędzy śmiertelnymi. Szukajcie anioła po świecie; zadanie to podobno żyda wiecznego godne. Biedny nasz pan Gabin po takich rozmowach wracał do siebie w stanie tak rozstrojonym, że Szymon zaczynał już włosy rwać sobie na głowie.

— Tego tylko brakowało! — mawiał do swojej przyjaciółki. — Całą noc nie spi i czyta jakiegoś szelmowskiego Byrona, przy którym musi koniecznie kipieć samowar.

Co wszystko opowiedziawszy naszym czytelnikom za ich pozwoleniem, korzystając z przywileju powieściarskiego, przeskoczmy dwa lata. I znajdziemy na jedną z głównych ulic, do najpiękniejszej kamienicy, mającej kształt pałacu. Która ulica, która kamienica, wyraźniej nie powiemy, bo przy naszej pochopności brania każdego opisu powieściowego za osobistą przymówkę, mógłby się brnąć Boże kto znaleźć, co wzięłyby nasz obrazek do siebie, i nową klątwą obrzucił biednego powieściarza.

Dosyć, że była to śliczna i wielka kamienica. Po pysznych i szerokich schodach, zgrabną kolumnadą przystrojonych, wchodzimy na pierwsze piętro. Pięć czy sześć pokoi w rząd, wszystkie najwytworniej przystrojone, były to same salony bawialne, jakby u udzielnego przynajmniej księcia. Same tam mahonie i najdroższe drzewa, ba nawet palisandry, tak ulubione przez powieściarzy francuskich a wszystko najwykwintniej toczone i rzeźbione. Same bronzы, aż do zbytku luster, wielkich zegarów, wiszących i stojących kandelabrow; po wszystkich rogach szafeczki, etażerki, żardynierki i jak się tam inaczej nazywają, pełne rozmaitych cacek, to z porcelany, to z kryształu, w guście niby rokoko, co na prawdę bez gustu, dla tego właśnie nadto szczodrego nagromadzenia. Była nawet w jednym salonie szafa o drzwiach szklanych, z której wyglądały systematycznie na oko poustawiane rozmaite sprzęty srebrne, co trochę na gust żydowski zakrawywało. Wreszcie w innym znowu salonie stała wielka szafa z zegarem i kurantami, które co godzina walily rozmaite sztuki muzykalne z nowszych oper. Wszystko to razem było

przepyszne, kosztowne może, ale nie było tam życia, bo w zbyt niemiernym nagromadzeniu kosztowności, w ich układzie sklepowym prawie, nie było znać duszy estetycznej, któraby przewodniczyła ustrojeniu tego apartamentu. Patrzenie co to kosztuje pieniędzy! zdawało się wyszczerzać ze wszystkich kątów. Każdy sprzęt zdawał się nadymać i pysznić bogactwem szczęśliwego onych posiadacza

Jeszcze więcej martwoty dodawało, że wszystkie oczywiście aksamitami i adamaszkami obite kanapy, sofy, fotele, kozety i krzesła, pokryte były białymi pokrowcami gdyby całunami; zwierciadła, nawet lustra, kandelabry i zegary w muslinowych zasłonach wyglądały jakby w śmiertelnych koszulkach. Dla ożywienia i urozmaicenia całości, wisiało w głównym salonie kilka portretów i obrazów. Portrety były oczywiście familijne i to nowszych czasów, odbijające w rysach i postawach, całą próżną i sztywną dumę typowego u nas rodu zpanoszonych Geldhabów. W obrazach przeważała jaskrawość barw, objętość płócien, zagmatwanie namazanych figur i złociste a szerokie ramy, Były to niby kopje z oryginałów, które można mieć szczęście, zdybać tylko u właścicieli podobnych kosztowności.

Przechodząc salony, wzbudzające dreszcz jak zwykle miejsca niezamieszkałe i patrząc na niepokalaną nowość i czystość ścian, podłóg i sprzętów, mimowolnie przyjść musi na myśl, że nie muszą być bardzo uczęszczane. Wejźmy następnie na jedną stronę domu, do obszernego dosyć pokoju, który ma swój własny, odrębny charakter. Wszedłszy do niego, od razu można poznać, że w nim mieszka dusza tego pomieszczenia. Jest to najważniejszy rodzaj gabinetu, czy raczej kancelarji, bo dziś kto tylko większe najął pomieszczenie musi mieć zaraz kancelarję, choćby nie miał najmniejszej potrzeby i zdolności kancelaryjnej.

A że to kancelarja, w pełnym słowa znaczeniu, spieszą o tem co prędzej oznajmić sprzęty, na samym bowiem środku jednej ściany ogromne bióro, dzisiaj rzeźbami pokryte, jak to tylko dawniej używano do świątyń, ich bram i ołtarzów; a przy drugiej ścianie ogromna żelazna skrzynia. To olbrzymim sztucznym zamkiem. To kasa naturalnie. Jak bez kancelarji tak i bez kasy dziś się nikt nie obejdzie. Choćby do takiej kasy nic nie miał do włożenia, prócz zamazanego ekstraktu tabularnego. O prawdzie tego można się przekonać u wszystkich ślusarzy, i po wszystkich składach żelaznych. To najwidoczniejszy dowód owego prądu przemysłowego, który na nasze zbawienie świta u nas. Przed biórem był potężny a wygodny fotel; na biórze były rzeczywiście papiery, poukładane najporządniej, poprzekładane marmurowemi i bronzowemi przyciskaczami; był ogromny porcelanowy kałamarz i także piasecznica, któreby wystarczyły najwięcej wziętemu adwokatowi. Dalej po pod ściany opierały się szafy. W szafach, mówię to na serio, były książki, na których znać a nawet i czuć było ostatnie dotknięcie klejstru introligatorskiego i o dziwo! na każdej szafie, a było ich kilka, stało popiersie jakiegoś wielkiego człowieka. Sokrates, Goethe, Napoleon, ba nawet i Mickiewicz, prócz innych znakomitości, zdawali się patrzeć na się, pełni zdu-

mienia, że się w takim zeszli miejscu. Nad samem biórem wisiała rycina, angielska oczywiście, bo nawet z napisem angielskim: Sir Lionel Rothschild. Rotszyld i to Lionel do tego, zdawał się patrzeć drwiącą miną na te wszystkie znakomitości umarłe i przebrzmiałe, bo zahukane dźwiękiem złota i szelestem banknotów, które są głosami naszego wieku, naszego postępu i naszej cywilizacji.

Kancelarja była zamieszkała. Chodził po niej gospodarz tego pomieszkania, miarkując po jego rannym stroju. Równie mały jak chudy, i równie brzydki jak mały, odznaczał się za to wielką czupurnością. Jak wszyscy ludzie małego wzrostu, sztukował się jak mógł. Prócz nadzwyczaj długiego szlafroka z bogatej perskiej materji, miał u tureckich nawet papuci wysokie korki, któremi stukał po podłodze jak francuskie wieśniaczki drewnianem obuwiem; na głowie prócz tupetu z czarnych naturalnie kręcących się włosów, wysoko piętrzących się, miał nadzwyczaj wysoką czapkę pąsową z excentrycznie wielkim kutasem. Patrząc na niego, mimowolnie przychodzić musiała na myśl niestosowność tej małej pociesznej figurki, do tych wszystkich kosztowności, co go otaczały, i wypiętnowanego na twarzy wysokiego o sobie rozumienia.

Miał on w całej postawie, ruchach i twarzy coś małpiego. Chód miał skokliwy i kręcący się na wszystkie boki. Na twarzy pomarańczowo-żółtej przy chudości i sterczących kościach na policzkach miał prócz tego mnóstwo zmarszczków, równie ruchliwych jak on sam. Czy mówił, czy myślał, zdawało się, że się ciągle krzywi, a ta zmienność ruchomych zmarszczków twarz jego robiła podobną do maski, ciągle przemienianej. Wśród tego wszystkiego pod niskiem czołem, po nad nosem sympatycznie ku brodzie schylonym, świeciły dwoje małych ocząt świdrowatych, które nigdy wzrokiem na jednym nie powstały miejscu, ale zdawały się latać ciągle niespokojnie i ciekawie. Nic pociesniejszego, jak gdy stanął przed zwierciadłem, co powtarzał z wielkiem zamiłowaniem; zdawał się sam sobie wykrzywiać, strojąc różne miny, między któremi przemagała dziwnie zabawna nadętość i wielka pewność siebie. Dodajmy do tego niestosownie długie nogi i ręce, a przyznać trzeba było, osobliwie gdy w zamyśleniu lub rozmowie rozkraczył nogi i wyciągnął ręce o drapieżnych palcach, wielkie podobieństwo do czyhającego na muchy pająka. Człowieczek ten mały nazywał się Saczek. Jakiegoż był pochodzenia, i jakie zajmował stanowisko?

Co do rodu i pochodzenia, tyle tylko wiedziano, że się sam nazywał Galicjaninem. Trudniej było oznaczyć jego właściwe zajęcie i społeczne stanowisko. Nasz język jest tak szczerze naiwny, że często niema jasno odznaczonych pojęć. Owoż i dla oznaczenia czem był właściwie pan Saczek, nie mamy właściwego wyrazu. Niemiecki język szczęśliwszy od naszego, ma swoje pewne nazwiska, oznaczające stanowiska podobne. Jest to: ein Privatier, albo ein Geschäftsmann! powiedzieliby Niemcy. I słuchający odchodzi zadowolony, choć właściwie nie się jeszcze nie dowiedział.

Czemś podobnem był i pan Saczek. W gruncie był on niby prawnikiem, ale nie w szlachtetnem i prawdziwie prawem znaczeniu. Ra-

czej można go było nazwać lewnikiem, bo nawet i prawo, którego nieco liźnął, lubił i umiał przekręcać na lewo. Zaczął podobno swój zawód od pokątnego pisarka, ale już dawno ani śladu nie pozostało tego pierwotnego zajęcia. Robił rozmaite interesa na coraz większą skalę; kupował sumy tabularne, mieniał majątki, spekulował na papierach i akcjach; przyczem i pożyczał częstokroć z grzeczności lub przyjaźni, nie bez znacznego procentu, którego ilości wszakże trudno się było dorachować, bo te wszystkie pożyczki połączone były z rozmaitemi wyrachowaniami różnic monetowych, kuponowych i akcyjowych. W rachunkach, osobiwie z pamięci, bo *verba volant, a scripta manent*, był on nadzwyczaj biegły; lubownik wszelkich licytacji, przy których stawał zawsze z gotowem wadium w rękach, miał niepospolity talent do wszelkiego rodzaju facjend, które wszakże przez wzgląd na wielkie i ważne interesa, jakimi się już tylko zajmował, od dawna nie nazywał facjendą lub szacherką ale spekulacjami. Jakże tu nazwać takiego człowieka po polsku?... Prawda, że u nas takich dawniej nie bywało, póki nam ich nie nagonił prąd przemysłowy.

Przy tem wszystkim lubił się bawić od niejakiego czasu. Jako człowiek nowego świata wiedział, że prawdziwa pańskość siedzi w szkatule; a na to są przecie pachnące i doskonałe mydelka, by nie poznać na palcach brudu, jaki się przyczepia w skutek częstych stosunków z rozmaitemi monetami. Jest to zresztą zwykle stopniowanie żądzy u takich ludzi; z wekslarza gdy się stanie bankierem, pcha się gwałtem na ministra. Tak przynajmniej bywa na zachodzie, zkad ku nam wieje wiatr przemysłowy.

Pan Saczek jak mówiliśmy chodził po pokoju, czyli raczej biegał i podskakiwał. To przyskoczył do zwierciadła, wykrzywił się lub uśmiechnął, co u niego na jedno wychodziło, to znowu stawał przed biorem; a stanawszy porwał parę razy za papier, który leżał przed fotelem rozłożony. Do papieru uśmiechał się najczulej. Na papierze były same prawie cyfry; snać był z nich zadowolony, bo z uśmiechem przeglądał cyfry, poruszając palcami jak gdyby wiersze skandował. Cyfry to poezja pana Saczka. Zanadto wszakże był żywy, by się długo trzymał jednego usposobienia; to też raz i drugi stawał nagle na środku kancelarji, w owej opisanej przez nas pozycji pająkowej, krzywił się niepospolicie i wymawiał nawet pół głosem:

— Wszystko idzie jak najlepiej! — Tu puknął wysokim korkiem w posadzkę i dodał: — Gdyby nie ona! — Mówiąc to miał spojrzenie, którego mimo małej figurki można się było przestraszyć. — Żeby nie ona! żeby chciała... ale te kobiety! — wymówił i zgrzytnął zębami, co małpie nadało nieco wyrazu tygrysięgo, gdy nagle utworzyły się drzwi boczne, do osobnego przedpokoju wychodzące, i wszedł przez nie drugi jakiś jegomość.

Pan Saczek uśmiechnął się do wchodzącego. Śmiech robił pana Saczka jeszcze brzydszym. Poskoczył ku wchodzącemu z wyciągniętymi jakby do uścisku rękami i wyrzekł:

— Jak się masz kochany baronie?...

Baron końcem palca czyli raczej rękawiczki dotknął wyciągniętej ku sobie ręki, i odpowiedział z wyrazem, poufale z pańska drwiącym:

— Jak się masz, kochany Saczek ?...

Nowo przybytego opis wypadnie bardzo lakoniczny. Postawą, ubiorem i ułożeniem podobny był do figury, niby z ostatniego żurnalu wyciętej. Jedyną było różnicą, że żurnalowe figury malują z twarzami młodemi i dorodnemi, pan baron zaś posiadał twarz, która mimo całego kunsztu, nieszczędnego widocznie, była dobrze stara i porządnie nie ładna. Nalane i chorobliwie żółte jego policzki i wargi, mimo ciągłego onych nadymania obwisłe, robiły go podobnym do staroego Satyra. Ubieganie się za lubieżnością wszelakiego rodzaju, wypisane było na tej twarzy, mimo wąsików stercząco napomadowanych i bródki długiej à la Louis Napoleon; wyszczerzało się z zapadłych oczów, którym nawet wyrazu i życia nie zdołało dodać szkiełko, wciśnięte w jedno doskonale skrzywione oko. Gdyby oczy zamknął, istny byłby trup; a choć ma je otwarte, widać, że w całym tym człowieku ciało tylko zostało, a dusza jeżeli ją kiedy posiadał, dawno zginęła, przedziesiątkowana rozmaitem użyciem i rozpustą.

Gospodarz podał gościowi cygaro, prawdziwie Panetellas, i usadowił go na miękkim balzaku, w kącie stojącym.

— I cóż kochany baronie! — ozwał się po chwili pan Saczek, wpatrując się nań ciekawie i przenikliwie — jakże tam stoimy?... I znacząco mrugnął okiem.

— Doskonały jesteś mój Saczek z naiwnemi pytaniami twemi — odpowiedział baron wyciągając się na balzaku i puszczając dym cygarowy prosto w nos gospodarzowi z przedziwną impertynencją. — Jak gdybyś nie widział — mówił dalej — że już zupełnie umyłem ręce od tego.

— Jakto, przyrzekłeś baronie! przecież miałem przyjemność?...

— Miałeś przyjemność pożyczyć mi pieniądze! — odpowiedział baron z najzimniejszą krwią — które ja z przyjemnością wzięłem. Interes pieniężny przypominać, c'est mauvais genre, mój Saczek!... kiedy się pożyczyło, to się tam i odda kiedys.

— Ale!...

— Tu niema żadnego ale, mój Saczek. Jabyń to zrobił dla ciebie, mój kochany Saczek, czego tak gorąco pragniesz, bo nareszcie dla czegożbym cię nie miał wprowadzić w ten świat, do którego wzdychasz, et qui est déjà assez encanailé, choć ciebie tam jeszcze niema, i jużesmy się do ciebie przyzwyczaili. Masz nareszcie awantaz być bogatym; my lubimy bogatych. Bogaci mon cher Saczek, są zawsze présentables, choćby się sto razy Saczkami nazywali.

— A więc!...

— No ja mogę i chcę to zrobić. Mógłbyś się lansować i z czasem twoje salony, qui ont l'air d'une collection de bric à brac, mogłyby się napelnąć naszym towarzystwem; mógłbyś nas bawić za swoje pieniądze. Mówiliśmy właśnie o tem wczoraj na wieczorku u jenerała z szambelanem X., i z hrabią Z... Żebyń jedno tylko pisnął słówko...

— Dla czegoż je nie wyrzekniesz, kochany baronie, przez przyjaźń?

— Przyjaźń!... przyjaźń!... dajmy tam pokój tej przyjaźni!... Dałoby się to zrobić, gdyby... jak wiesz... nie twoja żona.

— Cóż mnie do żony?... jeżeli ona nie chce... ja mogę sam bywać wszędzie...

— Ba! ba! ba! Widzisz mój Saczek, jużem ci to sto razy tłumaczył... Szlacheckie pochodzenie twojej żony, mogłoby dać paszport twojemu nazwisku i twoim pieniądzom...

— A nawet żona moja nie może być przeciwna, ona lubi się bawić!...

— Pla! pla! pla! Nie udawaj naiwnego, mon cher, bo ci to nie do twarzy. Ty wiesz, że twoja żona uparła się być niegrzeczną dla mnie!...

— Ona niegrzeczną!... wszak cię zawsze przyjmuje, baronku kochany.

— A przyjmuje jak psa w kręgielni...

— Bo ona może myśli!...

— Co myśli?...

— Kobiety mają swoje przesadne wyobrażenia... a baronek kochany jest sławny umizgus!... Dobre imię, przywiązanie małżeńskie...

— Wyborny jest Saczek! myślałem, że zanadto jesteś filozofem i pieniężnym człowiekiem, abyś tak derezonował. Ale ja nie mam czasu, jakkolwiek miłe mi jest twoje towarzystwo. Dajno tam więcej cygarów; wezmę na drogę. Podaj całą paczkę, tak!... doskonale masz cygara.

— Ja mojej żonie powiem — mówił pan Saczek podając pudelko z cygarami; a pobladał mocno czyli raczej mając wzgląd na jego wątrobianą cerę, pozieleniał.

— Powiesz! powiesz!... il-y-a toutes sortes powiedzenia. Już to ty przed nią stoisz zawsze jak trusia...

— Ja przed nią! ja com ją uszczęśliwił! — krzyknął mały jegomość i skoczył z fotelu na równe nogi.

— Prawda żeś uszczęśliwił! — odrzekł baron, przekrzywiając usta z drwiącą miną. — Ale nie masz odwagi!...

— Otóż pokażę baronie!...

— Jak tam zechcesz! En un mot, comme en quatre, ja chcę, aby żona była dla mnie uprzejmieszka. Un peu de complaisance, a przecie głowa jej nie spadnie. I nie mam ją nawet za tak bardzo srogą...

— Co mówisz baronie? — wykrzyknął gwałtownie pan Saczek.

— Nic pewnego!... niejaki suppozycje. Może ty zazdrośny, mon très cher Saczek; popatrz się do zwierciadła i śmieję się z tego...

— Ja się śmieję, oczywiście śmieję... i na dowód tego, zaraz pójdę do niej i pogadam na serjo. Zobaczysz kochany baronie!...

— Ma foi, vous etes en état de le faire! — rzekł baron pakując kilkanaście cygar do kieszeni z wyrazem na twarzy pogardliwie drwiącym. — Jeżeli pani opuści z rygoru, będą prezentacje, bale, zabawy!... Będiesz brylował mój Saczek, a co najwięcej, zbliżysz się do niektórych znakomitości, aby na nich spróbować doświadczeń spekulacyjnych, które dotąd próbowałeś in anima vili. Ta nowa kolej

żelazna ciebie tentuje!... O Saczku! Saczku, ja ciebie znam!... No, do widzenia się!... dziś wieczorem będę u twojej żony, powiedz jej to!... ale tak po swojemu, bez sentymentów, po handlowemu. — Wyrzekłszy to wszystko, z tonem tak impertynenckim, że trudno by nań znaleźć wyrazu dość mocnego, posunął się baron ku drzwiom, lecz nagle zwrócił się.

— A propos! mon cher Saczek!... Daj no mi trzysta reńskich.

— Trzysta reńskich?...

— Albo sześćdziesiąt dukatów! ça revient au même!...

— To jest!... ja...

— Czy może się wahasz?... jak chcesz mój Saczek!...

— Zupełnie nie!... i owszem... ale ja mam do ciebie prośbę, mój drogi baronie.

— Mów!... dawaj pieniądze!... bo się do księcia Y. spieszę...

— Mówiłeś baronie, o niektórych supozycjach.

— Aha!...

— Jabym chciał wiedzieć!...

— Rozumiem! jak tylko będę miał jaką taką pewność, nie omieszkać powiedzieć; mnie to samemu robi wielką przyjemność.

Zostawmy teraz pana Saczka z zaciśniętymi zębami, liczącego pieniądze, które najniedbalej bez wszelkiego podziękowania, kładzie baron do pugilaresu, i przenieśmy się na drugą stronę domu.

Wchodzimy do apartamentu z trzech pokoi złożonego. Apartament z niemińszym od reszty pomieszkania przystrojony przepychem, a nawet zbytkiem; ale prócz przepychu w całym przystrojeniu znać dobry i wytworny smak, znać szlachetniejsze zamiłowanie i przyzwyczajenia. W całym ubraniu małego saloniku, sypialni i buduaru znać gust wykształconej kobiety. Najpiękniejszy jest buduar, nad którego opisaniem sładzi się nie będziemy, bo już dziś niema prawie powieści bez buduaru. Powiemy tylko, że było w nim pełno kwiatów, barw doskonale dobranych w obiciach i sprzętach, i kilka obrazów, po większej części nabożnych lub narodowych, prawdziwej wartości.

Na małej sofce siedziała młoda jeszcze kobieta. Piękne miała i regularne rysy, oczy czarne i żywe, ale lica blade i pewien rys smutku koło ocz. zdawały się świadczyć, że mimo wieku młodego nie jedno już przybyła doświadczenie. Oczy jej ku górze zwrócone, zamglone były zamyśleniem, a nawet dwoma łezkami, które nieznacznie zabłysły na długich rzęsach. U jej nóg, na małym stołeczku, siedziało dziewczę młode jeszcze, po pół dziecinnych miarkując rysach. Rysy młodej dziewczynki nie były tak regularne, jak u starszej kobiety, ale powabne tem czuciem pierwszej wiosny życia, która tak uroczo spogląda z młodych, rumieńcem niewinności poczerwienionych liców i z oczu mieniającej się barwy, o spojrzeniu naiwnem i ciekawem. Na czole młodej dziewczyny nieco wypukłem, spoczywać się zdawała głębsza myśl jakaś, która tej twarzyczce więcej jeszcze dodawała uroku. Mniej ładna od starszej kobiety, miała wszakże jedną z tych twarzy pięknych, nie tyle rysów regularnością, ile całą duszą, na wierzch zdaje się występująca. Twarz taka co chwilę zdaje się piękniejszą, bo co chwilę krasi ją zmienna jej wyrazistość! twarze takie

zwykle po dłuższej uderzają rozmowie. I dziewczynka miała oczy zwrócone ku górze: mniej zamyślona od starszej, zdawała się w nią wpatrywać z uwagą i poczynającym niepokojem. Z lekka jedną ręką oparta o sofkę, drugą z książką położyła nieznacznie na kolanach starszej.

Obie te młode i ładne kobiety, przytulone do siebie, dziwnie ładny tworzyły obrazek, godny mistrzowskiego pędzla Greuza. Twarzyczka młodszej posępniała coraz więcej smutnego przybierała wyrazu. Wzrokiem czułym, na nią zwróconym, chciała przerwać zamyślenie, lub przynajmniej myśl jej w innym odwrócić kierunku. Lecz tym razem nie pomogła magnetyczna siła spojrzenia. Oczy bladej kobiety biegały za myślą, bujającą gdzieś daleko. Nie mogła dłużej tego wytrzymać młoda dziewczyna; jej tak było przykro, tak serdecznie żał bladej kobiety.

— Czy mam dalej czytać? — ozwała się wreszcie dźwięcznym głosem.

— Tyś przestała czytać?... — odrzekła kobieta ze zdziwieniem.

— Nie chciałam kochanej pani przerywać zamyślenia.

— Zamyślenia?... mówisz!... o czymżebym ja myśleć mogła?...

— Czyliż ja wiem?... — zagadła dziewczynka, a w jej słodkim i żałośnym głosie ozwało się coś nakształt wyrzutu.

— Wszak mi nic nie brakuje! — mówiła kobieta dalej, ogładając się w koło siebie z gorzkim uśmiechem, jakby na świadków słów swoich brać chciała całe strojne otoczenie.

Dziewczynka westchnęła i łezki się jej w oczach zakręciły. Kobieta spojrzała na nią i śnać dostrzegła to, bo uśmiechnąwszy się z lekka i przymuszenie, czule na nią spojrzała, a schyliwszy się nieco, pocałowała dziewczynkę w piękne białe czoło, otoczone gęstymi i długimi splotami ciemnobłond włosów.

Weselszy uśmiech wystąpił na twarz dziewczynki; serdeczne przywiązanie i wdzięczność przemówiły wzrokiem, porwała kobietę za obie ręce, i zaczęła je całować z całą szczerością młodego uczucia.

— I tyś nie wesola! — ozwała się kobieta po chwili milczenia.

— Bylem tylko ten uśmiech widziała zawsze na twojej twarzy, kochana pani.

— Ty się nudzisz?... moja Halko!...

— Ja z tobą pani?... — zakrzyknęła dziewczynka z wyrazem wyrzutu.

— Możebyś wołała więcej towarzystwa? — mówiła dalej czarnooka kobieta, a jej spojrzenie, twarz i głos stawały się coraz swobodniejsze, coraz weselsze.

Bo Honoryna, którą zapewne czytelnicy nasi już poznali, należała do tych usposobień wielce szczęśliwych, które długie jedną a osobliwie smutną myślą zajmować się nie są w stanie. Zanadto miała ruchliwe usposobienie. Od lat wszakże dwóch mocno została zmieniona: twarz miała zawsze świeżą i piękną; oczy zawsze młode i żywe, ale nie ma już prawie ani na twarzy ani w oczach śladu tej wesolej pustoty, z jaką się nam po raz pierwszy przedstawiła z myślą zemsty nad naszym biednym bohaterem, za prawdziwą czy urojoną urażę.

Była wtenczas w pierwszym roku małżeństwa; młodzietkiej mężatce świat cały inaczej się wydawać musiał, niżeli dziś po dwuletniem doświadczeniu, a jeszcze gdy to doświadczenie nosiło nazwisko pana Saczka, którego przed godzinką mieliśmy zaszczyt poznać.

— Tobie potrzeba zabawy, nie prawdaż Halko? — mówiła znowu Honoryna, próbując coraz weselszego uśmiechu.

— Mnie zabawy?... mnie potrzeba tylko takiego uśmiechu zawsze na twojej twarzy, kochana pani!..

— Pani!... zawsze pani!... już ci tyle razy mówiłam. Ja dla ciebie chcę być Honorką, niczem więcej, moje dziecię!..

— Honorko! najdroższa Honorko! — odrzekła Helenka, i poczerwieniała z radości.

— Tybys moje dziecię była może zdania męża mego, aby mieć ciągle wesole i huczne w koło siebie towarzystwo!.. — ciągnęła dalej Honoryna, która zdawała się przymuszać koniecznie do usposobienia żartobliwego.

— Męża twego! — przemówiła Helenka, i zamilkła; ale na jej czoło wystąpił mars silny i głęboki, świadczący, że pod tą młodzietką, powabną powłoką kryje się może silniejszy charakter.

— Nie myślałam nawet o twoim mężu, kochana pani! — powiedziała po chwili.

— Jemu się także zachciewa jakiejś weselości!.. Weselości!.. nie jest że to szyderstwo!.. Helenko ty mnie znasz, i jego znasz!.. powiedz sama w twojem niewinnem przekonaniu, czy nie jest to istne szyderstwo?..

— Honorko! kochana Honorko!.. — mówiło dziewczę z uczuciem w głosie, ze łzami w spojrzeniu. — Mówmy o czym innym.

— Ach! o czym innym! o czym innym, moja Halko. — I po chwili milczenia dodała: — Ja chciałam ci tylko powiedzieć, że może dla ciebie lepiejby było, gdybyś miała więcej stosownego do wieku towarzystwa. I może lepiejby było, gdybyś była została na tej pensji, do której cię naprzód zaprowadziłam. Tam byłabyś miała tyle równych tobie wiekiem i usposobieniem rówieśniczek. Tu zaś u mnie samotność!..

— Nie! nie! — przerwała Helenka. — Jatam ledwie ten jeden tydzień wytrzymać mogłam, i do śmierci nie zapomnę, z jak radośnem uczuciem usłyszałam twoje kochana Honorko słowa, gdyś powiedziała, że mię weźmiesz do siebie.

— Ależ bom ciebie zastała tak zapłakaną; oczka twoje były tak czerwone, a twarzyczka tak smutna!

— Jakże nie miałam płakać, kiedy te wszystkie panienki kręciły nosem, i mówiły, że im tabaka śmierdzi, a sama Madame była tak zimna — ach! daleko zimniejsza od lodu. Jabym tam była umarła... bo prócz nauki, czegom pierwej rozumieć jeszcze nie mogła, mnie potrzeba serca.

— I znalazłaś?

— Znalazłam... znalazłam najlepsze! tu, u ciebie najdroższa pani!.. u ciebie Honorko!

I obiedwie uściskały się serdecznie.

— I ty mnie kochasz? — pytała Honoryna rozczulona — ty mnie bardzo kochasz?

— Po matce, ciebie najlepiej!

— Mnie jedną!...

Zarumieniała się dziewczyna, i spuściwszy oczy rzekła z cicha.

— Ciebie jedną!...

— A on?...

— On!... to co innego! moje uczucia dla niego są zupełnie inne. Jam mu winna wdzięczność i zachowam ją do śmierci!... I on jest tak zimnego usposobienia... jabym się bała nawet szczerze przed nim wygadać.

— Czy tak zimny, jak ta twoja madame? — spytała Honoryna!

— O nie!... ale jest coś w nim, czego wyrazić nie umiem, co mię robi nieśmiałą...

— Cóż to przecie takiego?...

— Ja nie wiem! ja się boję... boję bym mu się nie podobała — wyrzekła dziewczyna, i nie wiedząc dla czego, schowała zarumienioną twarz w kolanach Honorki.

Honorka pogłaskała piękną twarzyczkę, i w pół ciche uleciało westchnienie.

— A on dobry zawsze dla ciebie?...

— On najlepszy! — zawołała dziewczyna z zapalem, a oczy jej szczerem zabłyśły ogniem.

— Najlepszy! — powtórzyła — on się tak cieszy mojami w naukach postępami!...

— Cóż go w nich najwięcej cieszy?...

— Co? — rzekła dziewczynka i chwilę zamysliła się.

— Mnie się zdaje, że mój głos...

— Twój głos?...

— Tak... bo widziałam raz, gdym mu śpiewała o Niemnie, domowej rzece wielkiego Adama, że łzy miał w oczach.

— Łzy w oczach pana Gabina!..

— Kochana pani! ty jesteś niesprawiedliwa dla niego. Już nieraz... Ja to dobrze uważałam... śmiałaś się, gdym coś o tem wspomniała; a jak ciebie kocham, jest on bardzo dobrym i bardzo czułym.

— Nie śmiałam się i nie śmieję, moje dziecię! — mówiła Honorka z poważnym uśmiechem. — Ja wiem, że ma dobre serce. Wiem najlepiej, com ci mówiła o naszym pierwszym poznaniu. Cieszy mnie to, cieszy nieskończenie, że on do ciebie się przywiązuje...

— Czy myślisz, że on mnie lubi? że on do mnie przywiązany?

— Alboż sama tego nie widzisz?

— Jak mamę kocham, nie wiem; bo on! — zaczęła i przerwała.

— Cóż on?...

— On!... naprzykład; on mnie! ach nie patrz na mnie kochana pani, i nie śmiej się ze mnie... On mnie zawsze pyta o... tobie.

— Cóż w tem dziwnego!... wie, że ciebie oddałam na pensję, więc przez ciekawość zapewne!...

— Zapewne! zapewne!...

Obie kobiety zamilkły i obie miały rumieniec na twarzy.

— Lecz dla czegoż nie pozwalasz mi powiedzieć jemu, że ja u ciebie jestem, i dla czego nie chcesz, by mnie, to jest nas odwiedził kiedy?

— Już ci to tłumaczyłam, że mogłoby mu się to dziwnie wydać, że ja ciebie nie mając pensji, wzięłam do siebie. Bóg wie, jakby to zrozumiał.

— Tłumaczyłby sobie, żeś ty anioł dobroci!...

— Ja nie chcę, by wiedział, że... — tu Honoryna mocniej się jeszcze zarumieniła.

— Że? — zapytała ciekawa dziewczynka.

— Że tym sposobem chcę mu moją wdzięczność okazać... Tak! tak moja Helenko! ty się kiedyś za mnie wywdzięczysz!...

— Ja się wywdzięczę? — spytała Helenka i oczy ciekawie rozwarła zwróciła na nią..

— Ty się zemścisz raczej! — wyrzekła Honoryna z uśmiechem w połowie wesołym i w połowie tęsknym.

— Zemścić?... ja?..

— Zrozumiesz to kiedyś! i zrozumiesz, że i zemsta może być szlachetną. Lecz cicho teraz! słyszę stąpanie mojego małżonka.

Rzeczywiście odzywało się z drugiego pokoju znajome już nam kłapanie wysokich korków pana Saczka.

— Może pójdziesz do matki!... weź służącego, by poszedł z tobą...

— Ach dobrze! dobrze!... Dzięki tobie najlepsza Honorko... Mama coś znowu cierpiąca.

— A on będzie?...

— Nie wiem, lecz zapewne!... on pocziwy, mamę często odwiedza...

— A potem to przecie święto dzisiaj; będzie się ciebie spodziwał.

— Żartujesz sobie ze mnie.

— I może — dodała ciszej, bo już się drzwi otwierały, może i ja do was przyjdę, by się przekonać...

— Przekonać?...

— Cicho! do widzenia się.

Szanowny Saczek w pantoflach, w szlafroku i w wysokiej myce stał już we drzwiach.

Helenka dygnęła mu i znikła co prędzej przez drugie drzwi. Pan Saczek spojrział za nią z pewnem skrzywieniem, z którym mu było prawdziwie do twarzy, bo ta twarz zdawała się w tej chwili wydawać jeszcze brzydszą i pocieszniejszą.

XI.

Rozmowa małżeńska.

— Czy długo jeszcze będziesz trzymać tę tabaczkę w domu moim? — zapytał przybierając minę nadzwyczaj poważną. I usado-

wiwszy się na sofce przy żonie, dobył z szerokiej kieszeni szlafrokowej ogromne cygaro, a po całym pokoju rozglądał się za ogniem.

— Jeżeli mamy rozmawiać — odpowiedziała pani domu, usuwając się w róg sofy i przybierając postawę zimną i lodowatą aż do pogardy prawie — prosiłabym o rozmowę bez cygarów, bo jak ci wiadomo, nie mogę znosić dymu.

— A tak... nerwy! nerwy u szlachcianeczki drażliwe! — mruknął i schował cygaro nazad do kieszeni...

— Zapewne nie dla rozmowy o różnicy nerwów szlacheckich czy żydowskich, raczyłeś mnie odwiedzić... A więc zacznijmy rozmowę, to się prędzej skończy.

— Pytałem najprzód, kiedy ta tabaczkarka pójdzie precz z mojego domu?...

— Ona jest w naszym domu!...

— Nie koniecznie! ale mniejsza o to! kiedyż idzie precz?...

— Na człowieka, co się zajmuje pieniężnemi interesami, za krótką masz pamięć. Miałam przyjemność złożyć w szanowne jego ręce zapłacone z góry pieniądze za nią na lat trzy; a mamy dopiero lat dwa, cztery miesiące i dni sześć.

— Dziwna akuratność rachunkowa; niezwykła przy szlacheckim herbie...

— Zysk to szanownego towarzystwa twojego.

— Ironja! zawsze ironja!... to staje się już nadto nieznośnem!..

— Czy wolałbyś może, bym się gniewała?...

— Co do pieniędzy, wziętych za tę dziewczynę, chętnie oddam, byle sobie poszła precz.

— Inszego byliśmy dawniej zdania, o ile sobie przypominam. Wszak nie raz i nie sto, musiałam słuchać wyrzutów, jakie mi czyniłeś ze zwykłą sobie delikatością, że wzięłaś mnie gołą, bez posagu, i tysiące innych przyjemności, chociaż najlepiej byłeś przekonany, że to fałsz wierutny, bo splacając niby długi, ciężące na wiosce moich zmarłych rodziców, doskonale zarobić umiałeś.

— Odkądże to pani przyszła do takich wiadomości adwokackich?...

— Odkąd zostałam żoną kręciarza.

— Moja pani!...

— Więc kończę!... słysząc przykre wymówki, wzięłam tę dziewczynę na wychowanie, za które złożyłam w jego własne ręce trzy tysiące reńskich. Kupiłam sobie za to u pana prawo zrobienia dobrego uczynku i mienia miłej towarzyszki.

— Dziwne upodobanie guwernerować!...

— Lepiej jak oszukiwać...

— O ostrości pięknego pani języka nie wątpiłem nigdy, lecz nie o tem mowa. O czem innem chciałem z tobą pomówić.

— Proszę zacząć!...

— Dla czego pani mimo próśb i żądań moich, zawsze tak źle przyjmujesz barona?...

Honoryna nic nie odpowiedziała, ale zaśmiała się śmiechem przymuszonym, nerwowym.

— Śmiech nie jest odpowiedzią.

— Są żądania i zapytania, które na inną odpowiedź nie zasługują.

— Nie mogliśmy rozmawiać bez przymówek?...

— I owszem; zaczynaj i kończ!...

— Nie wiem, co w moim żądaniu jest śmiesznego? Baron jest moim przyjacielem.

— Doprawdy? Będziesz się znowu gniewał, gdy ci się na głos rozśmieję. On jest twoim przyjacielem, czy tak?...

— Jest nim, jest, sto razy powtórzę... On wie najlepiej, co mi brakuje, czego mi jeszcze trzeba. Mam majątek, który zwiększa się codzień.

— Dzięki twemu dowcipowi i obszerności sumienia.

— Ja za moje sumienie sam odpowiem. Nikogo nie zabiłem.

— Fizycznie nie! to pewnie, przynajmniej tak mi się zdaje!...

— Jeżeli w tem ma być ukryty jakiś dowcip, nie rozumiem go.

— To także szczęście!...

— Jednym słowem brakuje mi znaczenia w świecie.

— To mała rzecz, zapewne potrafiśz je kupić?...

— Mogę mieć salon otwarty... mogę wszystkie mieć u siebie znakomitości naszego towarzystwa. Mogę dostać jakiś urząd, tytuł, a kto wie, może i order. Wszak przecie powinnioby to i tobie pochlebiać.

— Ja się kontentuję być panią Saczkową. Ani tytuł, ani order, nic więcej do tego nie doda.

— Proszę gadać, ja się uzbroiłem w cierpliwość, do której pani umiałaś mnie przyzwyczaić. Jeżeli ci nie idzie o mnie, to nawet i sama mogłabyś z czasem zostać damą pałacową, a kto wie, może...

— Ja mam mało ambicji..

— Możemy mieć dzieci jeszcze!...

Honoryna na te słowa zerwała się z sofki, i wstrzęsła się cała. Po chwili dopiero usiadła na krześle w drugim końcu pokoju!...

— Nie mamy dzieci, i zapewne mieć dzięki Bogu nie będziemy

— wyrzekła głosem zmienionym.

— Dzięki Bogu?...

— A jużci dzięki i stokrotne dzięki! Czyliż nie dosyć, że własna żona musi tobą pogardzać, chcesz jeszcze, by tobą pogardzały własne dzieci?...

— Pani jesteś nadzwyczaj tragiczną i poetyczną, a w rzeczy-wistem życiu...

— Pani Saczek powinna być realną, nieprawdą?...

— Nikt, o ile sobie przypominam, nie ciągnął pani do ołtarza! — syczącym głosem odpowiedział pan Saczek, powstrzymując się gwałtownie, by z ostatnią nie wybuchnął wściekłością.

— Jest to słuszna uwaga!... i słusznie jestem skarana za lekomyślność moją, za chwilę głupiego szału. Słuszniem skarana, ale mocno i dolegliwie.

— Wracając tedy do przedmiotu: Cóż ci to szkodzi?...

— Aby skrócić tę rozmowę, dla obu stron nieprzyjemną, proszę mnie posłuchać...

— Ale ja pierwej!...

— Za obojga mówić będę. Słuchaj panie Saczek!... krzywisz się na moją biedną Helenkę, która jest jedyną moją pociechą; chcesz żeby poszła koniecznie precz i mniemasz, że ja nic nie wiem?

Pan Saczek zdjął czapeczkę i dla kontenansu zaczął się długim bawić kutasem.

— To szczęście że dziewczynka jeszcze za młoda, i w szesnastym roku najmniejszego mieć nie może doświadczenia, bo inaczej zrozumiałaby, to co ja się wstydzę wyrzec.

— Nie rozumiem, prawdziwie.

— Proszę nie kłamać. Miałaś pan ochotę uwieść dziewczynkę Tak czy nie?... proszę odpowiedzieć!...

— Córka jakiejś tabaczarki, chłopki podobno, i jakiegoś żołnierza...

— A pana jeżeli się nie mylę ojciec był już lichwiarzem, a dziad jeszcze żydem.

— To zapomniane!... zasypane złotem.

— Mniejsza o to. Widząc, że dziewczyna nie jest w stanie zrozumieć pana słów dwuznacznych, spojrzeń aż do obrzydzenia czułych, i całego postępowania pociesznego, z jakim czas jakiś występowałaś; widząc, że ja stoję zawsze na jej straży i nie pozwolę kalać jej nawet umysłu dziewiczego, myślę, że może być kto tak podłym! Widząc to wszystko, zacząłeś się krzywić na nią i nienawidzić... a może myślałeś, że raz wypędzona ztąd, ubóstwem przymuszona...

— Pani masz wiele bardzo dowcipu.

— I dla tego, — mówiła Honoryna dalej, nie zważając na słowa mężowskie, — że sam w nic nie wierzysz szlachetnego, dla tego żądasz odemnie, abym twójego barona przyjmowała.

— Ależ to są przesady...

— A wiesz że panie Saczek, co on śmiał mówić twojej żonie?..

— Ot zwyczajnie umizgus!.. galant i nic więcej.

— A pan jesteś bez uczciwości, i nic więcej. Róbcie sobie, jakie chcecie handle z baronem — mówiła dalej po chwili — ja nie chcę być ceną tego handlu. Mnie bywanie w wielkim świecie nic nie nada; wy sobie z baronem możecie bywać, gdzie chcecie. Ja zostanę w domu. Kobiecie, ani salon więcej uczęszczany, ani powóz z arystokratycznym herbem, ani suknia prezentacyjna, z ogonem nawet, nie doda znaczenia, jeżeli tego znaczenia mąż jej nadać nie może. Powtarzam, kiedy zdecydowałam się zostać Saczkową. Saczkową zostanę bez wszelkiego dodatku.

— Proszę się nie zapominać! — krzyczał pan Saczek wpadając w coraz większy gniew, co do tego tylko prowadziło, że się wydał coraz pociesniejszym. Mężowie, małego mianowicie wzrostu, przed zwierciadłem powinni naprzód studjować gwałtowne swe ruchy. Nie jednego męża małego wzrostu, zabił u żony jeden tylko skok gniewny popełniony w zapale. Rozśmiała się i już przepadł. Rehabilitacji w takim razie niema u kobiet.

— Proszę się nie zapominać! — krzyczał dalej rzucając się na wszystkie boki. — Ja jestem mąż, mam prawo za sobą.

— I może pan podasz sądownie powody swojego gniewu?...

— Proszę nie żartować ze mnie. Ja jak wpadnę w gniew, ja gotów...

— Co pan gotów? — odrzekła Honoryna i skoczyła do swojej gotowalni. — Co pan gotów? — powtórzyła wracając od gotowalni, a śmiała się, śmiała serdecznie niby, choć jej pewnie nie było do śmiechu. — Popatrz, jak ślicznie wyglądasz! — dodała stawiając mu przed oczy przyniesione zwierciadło. — Popatrz i opamiętaj się.

Łatwo pojąć, do jakiej przyszedł wściekłości pan Saczek. Lecz nic mu to nie pomogło. Był tylko o tyleż śmieszniejszy.

— Tego tylko panu brakuje! — mówiła dalej Honoryna a mówiąc z wzrastającym zapałem, coraz była piękniejszą. Błada jej twarz zarumieniała się, a z oczu strzelały iskry. Oczy jej były podobne do dwóch czarnych brylantów, o tym bajecznym blasku, o jakim rozpowiada się w tysiąc nocy i jedna. — Tego tylko brakowało — abyś podniósł na mnie rękę. Ale przypominam, że nie jestem tak zupełnie bezbronna, jakkolwiek takim jak pan łatwo mogłabym się obronić. — Wzrok pogardy, z jakim mówiąc to zmierzyła małą figurkę pana Saczka, nie da się opisać.

— Wiem ja, moja pani, z kąd pochodzi ten osobliwy niby upór. Znam tę komedję cnoty doskonale. Niech pani nie myśli, że ja zupełnie ślepy. Pan baron się nie podoba, bo jest inny szczęśliwszy. Aha! trafiłem. Powiedz pani, że nie prawda. Na panią podobno przyjdzie teraz kolej popatrzenia się w zwierciadło. Czego się pani rumienisz?

I w rzeczy samej Honoryna zapłonila się najciemniejszą z rumieńcowych barw. Nic dziwnego. Jest to jeden z tych zarzutów, który na oślepej każdej najnotliwszej kobiecie rzucić można w oczy. Bo jestże jedna, któraby nie zauważała wrażenia na tym lub owym uczynionego. A jużci wrażenia na piękniejszej twarzy, w młodszym oku, nie może mieć nic tak bardzo przykrego. A tak mimowolnie zdradzi serce kobiety, a przypomnienie wyciśnie rumieniec na twarz.

— Rumienię się, bo się muszę wstydzić za pana, mój panie Saczek, — odpowiedziała Honoryna, przybierając minę obojętną.

Już to w takich razach kobiety przytomności nigdy na długo nie tracą...

— Wstydź się moja pani ile chcesz, ale to pani powiadam krótko i węzłowato, że będę miał oko na panią. A jak się przekonam, to ani Alfred ani wszystkie jego stosunki nie pomogą. Potrafię się zemścić, kiedy pani nie chcesz postępować wedle mojej myśli.

— Podły! podły! — powtórzyła razy kilka za nim.

Pan Saczek nie wyszedł, ale wyskoczył, cały zapырzony. Naturalnie nie zrobił innego wrażenia, prócz że zwiększył uczucie śmieszności, jakie wbudzić musiała mała jego figurka, gdy w czasie skoków spadły mu pantofle z nóg, a mycka z głowy.

— Zemścić się! zemścić!... — mruknęła sama do siebie po wyjściu pana Saczka.

I zamyśliła się, a wśród myśli krzyżujących się po głowie, przyszła i ta myśl, że łatwo przyszłoby jej zemścić się. I była chwila w której miała ku temu wielką ochotę.

— Ale nie! — mówiła sama do siebie. — Zemścić się, ale nie na nim, bo ten podły nie wart tego. Zemścić na innym i inaczej. — I znowu westchnęła i zamarzyła o niepowrotnej przeszłości.

Korzystając z tego będziemy się starać wytłumaczyć, po jakiej drodze dwie tak różnych oł siebie istot mogły się zejść w stadle małżeńskim.

Trafia się to wszędzie, osobliwie u nas, gdzie gorączka majątkowa dzisiaj jest w zapale. Dawniej powstrzymywały jeszcze od podobnych związków tradycje dumy rodowej, która nie pozwalała z lada kim się bratać i swatać. Dziś gdy rodowe przesady nie mają podstawy, a wiara w pieniądź zupełną górę wzięła, dziś zdybujemy co krok przykłady podobnych małżeństw. Inne wszakże jeszcze powody wpłynęły na związek Honoryny z panem Sączkiem. Ojciec Honoryny był to jeden z tej prawdziwej szlachty polskiej, którą dawniej co krok po wsiach naszych zdybać można było. Poczciwy z kośćcami, trochę impetyk, ale dobry obywatel i sąsiad, a gościnny aż do zbytku. Gościnność była to nasza szlachecka tradycja, nasza cnota tak głęboko wkorzeniona, że się jej nam podobno przy dzisiejszym postępie najtrudniej przychodzi pozbyć. Gościnność ta dawniej przystawała do naszych dostatków, dopókiśmy na prawdę byli spichlerzem Europy, i dopóki z własnego Gdańska, a z sąsiednich Węgier, dostawaliśmy bakalje i wino, zamieniane za bogate plody ziemi naszej. Dziś handel dawny ustał, zboże nasze przestało żywić świat, a potrzeby wzrosły i tak się przemieniły, że już gościa nie śmiesz przyjąć temi co dawniej bakaljami, ani tem co dawniej winem. Non est vinum nisi hungaricum, przestało być przysłowiem naszem.

Owoż wszystko się zmieniło, i stosunki i obyczaje, ale pan Sawiński ojciec Honoryny, ani myślał się zmienić. Pochodził on z rodu zamożnego, który w okolicy podatrzańskiej rej dawniej wodził, jeżdżąc gościem w sanockie, lub sanoczanów goszcząc u siebie prawdziwie po sanocku. Choć już po ojcu wziął majątek mocno uszczuplony, nie chciał wszakże zapomnieć, jak to dawniej, za jego jeszcze pamięci bywało u nieboszczyka ojca, pana starosty.

— Bóg ma więcej niż dał! — mawiał pan staroście, wyprawiając gody dla przyjaciół i sąsiadów. A potem szlachecie, a jeszcze Sawiński nigdy nie zginie! — powtarzał sobie dumnie, poprawiając czarnego jak heban wąsa.

I tak szła wioska po wiosce przy wzmagających się złych czasach, którym poczciwy szlacheć naklął nieraz od djabła i kaduka, aż włosy na głowie stawały. Zostały wreszcie tylko same Sawińce, ostatnia piędź ziemi co szlachećowi została, ostatnia pamiątka rodzinna, z kościółkiem i klasztorkiem przez antenatów fundowanym, z kapliczką a grobowcem rodzinnym na starym cmentarzu.

— Bóg dał. Bóg wziął! — powiedział szlachcic kornie się modląc, i posmutniał nieco.

Aż tu nagle pojawił się sąsiad, a za nim drugi i trzeci, a wszyscy dawni przyjaciele, to ze szkolnej ławy, to z różnych przygód myśliwskich, ba nawet i innych. Jakże tu sąsiada nie przyjąć i z nim razem się nie uraczyć?

— A toż by na to trzeba być chyba prusakiem.

Do prusaków miał żal wielki; już to za to, że mówiących nie rozumiał, i za to, że Poznańskie tak przerobili; nieboszczykowie ojcowie nie poznaliby teraz swych synów, którym jak twierdził pan Sawiński, wiatr z zachodu wywiał wszystek gospodarski, a szlachecki rozum staropolski. Zmiany wszystkie gniewały pana Sawińskiego, ale najwięcej oszczędność, którą nazywał nie szlachecką ale mieszczańską rzeczą. Na złość wszystkim zmiennikom, żył pan Sawiński po dawnemu, zapraszając i racząc sąsiadów, a płacząc nieraz rzewnie przy kielichu coraz kwaśniejszego węgryzna, nad zepsuciem czasów i ludzi!... Sławne było z tego powodu polowanie, jakie po raz już ostatni w życiu wyprawił. Rzecz się zaś tak miała:

Raz na przypadkowym zjeździe szlacheckim, a było to przed św. Michałem, ot tak zgadano się o przyszłych polowaniach, jakby to dobrze było, żeby wprowadzić dawne łowy, co to się wszyscy na nie z całej zjeżdżali okolicy, i tak polowali razem przez całą jesień, jadąc z kniei do kniei, z domu do domu. Sawiński, który był przy tem, aż skoczył z radości, bo jemu w to graj tylko. Myśliwstwo lubił, strzelał wiele, kłamał jeszcze lepiej, a przed trupem, na trupie i po trupie popijał doskonale. Ledwie nie udusił motora tego projektu, tak go serdecznie uściskał. Motorem był pan Szambelan L., który w okolicy miał najrozleglejsze włości, wielkie bory, a tem samem i najwięcej w nich kniei.

— Ale musimy ułożyć między sobą, — mówił dalej szambelan, — abyśmy próżnych nie robili wystaw.

— Słusznie mówi nasz szambelan — krzyknął Sawiński. — Bez wystaw, na co kogo stanie.

Uśmiechnął się słodziutko szambelan i mówił swoją rzecz dalej. I zaczął tłumaczyć, a tłumaczył wymownie, że to przyjmowanie gościńne bardzo przy polowaniach jest kosztowne i szkodliwe zdrowiu, i przerywające niepotrzebnie zabawy myśliwskie.

— Nie pozwalam! — krzyczał Sawiński zawzięcie.

Choć krzyczał potężnie, zakrzyczano go, bo obecni należeli już po większej części do naszego pokolenia, które nie po dawnemu rzeczy rozumie. A zatem na wniosek szambelan udecydowanem zostało, że kolejno będą objeżdżać wszystkie knieje, że szlachcic do którego knieja należy, obowiązany jest przyjąć myśliwych, ale jak można najskromniej, by niepotrzebnych nikomu nie przyczyniać wydatków. Punkta statutowe spisano, w których dla większej ostrożności wyrażone były gatunki win, ilość dań, i t. d.

— Skórka na bóty! — krzyczał Sawiński wychodząc. — On ma największe knieje, a więc gościa mieć musi najczęstszego.

Wykrzyczał się i wyszedł. Ale to mu jeszcze nie starczyło. Miał on w swej wiosce kniejkę nie wielką, ale podszytą kapitalnie, a że graniczyła z większemi lasami sąsiednimi, zachodziły tam i dziki, ba nawet i rogacze. Gdy więc z kolei przyjechali do niego, bo już coś go opuścić nie mogli, pan Sawiński na złość szambelanowi i statutom wystąpił, ale to wystąpił jakby to za dawnych czasów, jakby Radziwiłł królowi łowy wyprawiał. Co tylko sobie przypomniał z lat młodszych, co zastyszał kiedy od starszych myśliwych, co w starszych przeczytał książkach, wszystko to w Sawińcach być musiało. Nie poszło to gładko z początku, bo widząc przygotowania, przy pierwszym zaraz śniadaniu zastawionem pod starym dębem na zrębie, gdzie się knieja zaczynała, a zastawionem tak suto, że się cały szwadron mógł najeść i napić, szambelan dobył z zanadru statuta ozdobnie w złożony papierek oprawne, i chciał wnieść protestację. Sawiński wpadł nawet w passję, i byłoby może do awantury przyszło, bo szambelan choć statysta wielki, ale że z karmazynów pochodził, byłby Sawińskiemu nie ustąpił, i do krwawej stanął rozprawy. Lecz szlachta widokiem śniadania poruszona wpadła w fewor, i jak zaczęła przemawiać, a dogadywać, a godzić, jakoż przy dzięsiątym kieliszku serdeczna nastąpiła zgoda. Co tam wypili, to do bajecznych należy dziejów, bo przez dwa lata miano co w całej okolicy rozpowiadać, a wszyscy żydzi handlarze win to się tylko w pejsy drapali, uśmiechali głaszcząc brody. Wszyscy się popili; czy upolowali co, nie wiem, ale w końcu sam nawet szambelan, jakkolwiek wielkiej wstrzemięźliwości poplecznik, upił się solennie i w rozczuleniu przy wielkim aplauzie, mnogich wiwatach i straszliwym z rusznicy jakby na rezurekcyjną pukaniu, podarł pięknie oprawne statuta.

Mówiliśmy, że było to już ostatnie polowanie pana Sawińskiego, ostatnie polskie polowanie i ostatni wybryk gospodarza. Czy się mocno przepił, czy na onym zirytował zjeździe, czy może męczyły go nad miarę odwiedziny pejsatych gości, którzy nader często zajeżdżali po owem sławnem polowaniu, dosyć, że zaniemógł jakoś około św. Barbary i choć ciągnął jeszcze rok przeszło cały, nie mógł już wrócić ani do dawnego życia, dla braku funduszków, ani do dawnego humoru, dla braku zdrowia.

Na tem to polowaniu pojawił się po raz pierwszy na większej widowni pan Saczek. Przywiózł go znajomy nam baron, i zaprezentował wszystkim jako majątnego człowieka. A że to już czasy nastały, w których majątek przychodził do największego znaczenia, wszyscy go grzecznie przyjęli, widząc osobiście straszne galony na sługach, brzozy na koniach, a na nim samym modny i wytworny strój. A gdy jeszcze przy djabełku, który między młodzieżą po śniadaniu nastąpił, nie tylko sam przegrał, ale nawet dwom czy trzem pieniędzy w grze pożyczał, pan Saczek przypadł wszystkim do smaku, nawet szambelanowi, z którym bardzo długo i szeroko rozmawiał o przemyśle, handlu, kolejach żelaznych, parowej żegludze, o rozmaitych starzyszeniach i o akcjach całego świata.

Sawiński jeden skrzywił się, słysząc nazwisko Saczka!...

— Nie tutejszy chyba! — mruknął pod nosem.

A gdy pan Saczek wystąpił z swem galicyjskiem pochodzeniem, długo pomrukiwał kiwając:

— Galicjanin! proszę!..

Lecz jako gospodarz był grzeczny dla niego, i widząc nareszcie jak się z nim grzecznie obchodzą potomkowie tyłu nazwisk historycznych, jakoś się udobruchał.

— Musi być litewska familja! — mówił upiwszy się doskonale. — Znać po tem, że wcale wiele pije.

Pan Saczek nie bez planu przyjechał do Sawiniec. Pominąwszy manją, którąśmy poznali, pchania się między wyższe towarzystwa, miał jeszcze daleko realniejsze powody. Jako spekulant, coraz większe robiący interesa, jeździł on po całym kraju i miewał rozmaite sprawy. Tym sposobem zajechał do Tarnowa, w okolicy którego to miasteczka leżały Sawińce, jak to już wiemy. Szło mu tam o nabycie niektórych sum, ciężących od wieków na jednym wielkim majątku, do którego miał wielki apetyt. Były to sumy, jak się to u nas często trafia, odwieczne, w tabuli zapisane, znane pod nazwiskiem generycznem ekstensij, które nie mając odpowiedniej cyfrowo swoimi wartościami, służą wszakże spekulantom do rozbijania fortun, jekby kliny w sękowate drzewo białe. Takie ekstensje, prawnikom są znane, bo z nich to owe ogromne popowstawały fortuny adwokackie. Są to najczęściej pozostałości dawnych wielkich mas kredalnych, któremi rozszarpywano w ostatnich Polski czasach ogromne fortuny naszych magnatów. U nas osobliwie w Galicji było mnóstwo takich mas kredalnych, prawdziwych trupów, z których rozliczne miało się rozleść robactwo. Były to massy Potockich, Kossakowskich, Rzewuskich, składające się z dwóch trzecich prawie części całej prowincji. Ekstensje te nieraz zahypotekowane na całym majątku, spoczywały tabularnym ciężarem na stu włościach, choć się te w sto rąk dostały.

Owoż pan Saczek miał jak mówiliśmy apetyt do jednej znaczniejszej majątności, której tabula mocno była zamazana. Starając się rozwiązać ten tabularny węzeł, przyszedł spekulant na Sawińce, które dawniej stanowiły część wielkiego klucza, i za sumy zastawne dzierżone były przez Sawińskich od czasów niepamiętnych. Te same sumy ciążyły na całej majątności; nabywszy zatem Sawińce, czyli raczej prawo zastawu, można było za pomocą tego klinka rozsadzić cały majątek, a rozerwane cząsteczki za pomocą rozmaitych licytacji tanio ponabywać. Dowiedziawszy się o tem, pospieszył Saczek, i jakże się ucieszył dowiedziawszy, że właściciel Sawiniec jest jednym z tych niewyleczonych szlacheckich utracjuszków, jakich to widzieliśmy w końcu wieku minionego i na początku teraźniejszego.

Ta to nieogłędność i marnotrawstwo stały się powodem zaiste, że się u nas namnożyło takich Saczków, co to przyszedłszy Bóg wie z kąd, zpanoszywszy się na naszej ziemi, wprowadzają do nas pomału, milczkiem i nieznacznie ów zachodni egoizm bez serca, opierający się na jakichś przemysłowych rozumowaniach.

Saczek obejrzawszy się, pomyślał sobie, że przy jednym ogniu nie zawadzi dwie pieczenie upiec. Poznawszy Honorynę, przyszło mu

na myśl wyraźniej, co mu już dawniej majaczyło po głowie, że takim związkiem mógłby się najlepiej podnieść i wepchać pomiędzy panów, gdzie już węchem spekulankim, węchem od wyżłego lepszym, przewąchiwał, że można nie mało będzie skorzystać ze wzmagającego się popędu przemysłowego.

— Nim się dobrze sami wyczą, ja ich będę nauczycielem! — medytował pan Saczek, a za nim mnóstwo innych Saczków i nie Saczków, którzy nam cuda rozprawiają o nowej epoce, co ma nastać, i kraj nasz z kretesem zbawić. Tego tylko nie mówią, że po tem zbawieniu, sami tylko Saczkowie jako zbawiciele zamieszkiwać go będą, a zbawieni będą służyć po ich kantorach.

Obiedwie zatem sprawy zaczął razem prowadzić. I dla tego na polowaniu starał się wszystkimi siłami przypodobać staremu szlachcicowi. Pił nad miarę, łąał po kupiecku, a pochlebiał jak można najuniższej i najpodlej. Niema na świecie nic łatwowiejszego jak polski szlachcic. Im poczciwszy, tem większym wierzy bredniom. Jest to prawda tak stara jak świat, ztąd nawet zapewne przyszedłszy do przystawia: Mądry polak po szkodzie.

Saczek tedy wniósł w niego naprzód pochodzenie litewsko-żmudzkie; a przecież szlachcic wiedział, że tam za Oszmianami ku Kłajpedzie najdziwaczniejsze trafiają się nazwiska... Potem niby z nie-nacka zaczął mu rozpowiadać o owym majątku, na którym ciężą sumy zastawne, i pomału wniósł w niego, że za pomocą procesu możnaby ogromne wygrać pretensje, z zadawniałych rok rocznie rosnących procentów pochodzące. Taki szlachcic jak Sawiński musiał w to uwierzyć; bo któryż u nas szlachcic potrafił dawniej dobrze rachować, lub też nie uwierzył w skuteczność procesu.

Gdy to wniósł w coraz słabszego szlachcica, już go miał w kieszeni. Wtedy wziął się do niego systematycznie. Długi co prędzej ponabycował za tanie pieniądze, ale szlachcica skryptami i weksłami jak pijawkami okładał przez swoich faktorów, którzy mu ani jeść ani pić nie dawali. Tak sownie wymęczonemu pożyczal pieniędzy po trochę, ale zawsze tyle tylko, by mógł ledwie żyć. Jak kot z myszką bawił się z nim; nie zabijał go od razu. A przytem łudził go ciągle procesem, do którego z rozmaitych stron świata zbierał niby potrzebne papiery.

Równocześnie starał się uzyskać względy matki i córki. Z matką żadnej nie było trudności. Była to matrona staroświeckiego kroju, niemająca swojej woli jasno określonej.

— Jak jegomość każe! — mówił jej rozum i przyzwyczajenie. — Jak zechce moja Honorka! — mówiło serce i jej namiętne do jedy-naczki przywiązanie.

Z córką trudniejsza była sprawa. Honorka, jak ją już poznać mieliśmy sposobność, było to dziewcze bardzo młode, bardzo pieszczone i bardzo puste. Było tam trochę dobrego serduszka, trochę nawet dowcipnego rozumku, prawdziwie kobiecego, ale było jeszcze więcej niezastanowienia i lekkości, której z krwi, z wychowania i z przyzwyczajenia mieć musiała nie mało córka szlachcica, tak nieogłędnego jakim był nasz Sawiński.

Saczka powierzchowność nie była tego rodzaju, by się mógł młodziutkiej i ślicznej podobać dziewczynie. Ale Saczek miał przebiegłość szalona, a i ten szatan, co uwiódł Ewę, był podobno stokroć od Adama brzydszy. Zrozumiał, że Honoryna przyzwyczajona do życia roztrzepanego, lubi się stroić i podobać, czyli raczej stroić, by podobać. Zaczął więc z początku a ostrożnie występować z małemi prezencikami, których wartość coraz się więcej wznosiła. Dziewczynie młodej i płochej podobały się te wszystkie błyskotki, a co więcej dawały jej wielkie wyobrażenie o majątku pana Saczka. Mimowolnie przychodziło jej nieraz na myśl, jakiego to było przyjemne życie w takim pańskim zbytku, w jakim może żyć taki bogacz jak Saczek. Mimo pół dziecinnej naiwności, dowcipkiem swoim wnet to wymiarowała, że Saczek stara się jej podobać, a na tej podstawie coraz nowe biegały po jej głowce myśli.

— Jakby można żyć cudnie i mile na łonie pańskiego zbytku?..

Na tym temacie młoda wyobraźnia warjowała sceny najrozmaitsze. A jako młoda dziewczyna, jako dziecko wychowane najczęściej niedbale ze stanowiska wyższego, umysłowego i moralnego, żadnego najmniejszego nie miała pojęcia o małżeństwie i jego obowiązkach. Pod małżeństwem wyobrażała sobie po prostu: powóz wiedeński na leżących resorach, aksamitem lub morą wybity, cztery konie szpaki jankowite, suknie i kapelusze pierwszej mody, salon ubrany jak się to czytało w francuzkich powieściach. Jeżeli czasem na te myśli zaszepiła się jej ładna twarzyczka i różne myśli pokrywały się kirem, a Saczek stawał przed nią z całą prawdą, w swej małej, pociesznej i nie wielce przyjemnej figurce, to wtenczas chyba, gdy się jej przypominał znany epizod z naszym bohaterem owej okropnej nocy.

Pan Gabin zrobił rzeczywiście nie małe wrażenie na umyśle i sercu młodej dziewczynki, serce wdzięcznością poruszone, zakolało jej mocniej; i w samotnem marzeniu zdało się nieraz, że już go zdybała, tego o którym marzy każda najniewinniejsza dziewczyna. Widzieliśmy już jak jej ciężko przychodziło się pożegnać z tem marzeniem, i jak sobie długo na dobre tłumaczyła ostatni uścisk najniewinniejszy pana Gabina. Uścisk ten zdawała się czuć jeszcze, i wówczas zarumieniona, z bijącym sercem wyteżała oczy, jakby się spodziewała, że co chwila pojawi się marzony przyszyły małżonek. Z tego stanowiska pana Gabina pamiątka przeszkadzała Saczkowi. Ale za to z drugiej strony były chwile gniewu, zazdrości i urazy, w których znowu pan Saczek zyskiwał, jako obecny i ciągle przypominający się ładnemi darami.

— Zdrajca! — mówiło jej rozgniewane serce. — Tak czule uściśnął rękę i nie wrócił. Saczek brzydki, tamten ładniejszy, ale Saczek jest mi tu pod ręką, namacalny, a tamten tylko w pamięci, tylko w wyobraźni. A potem Saczek bogaty, bardzo bogaty!... — mówił rozumek.

Pan Saczek postępował pomału, uważnie i z wielką oględnością. Jek wszyscy ludzie, cudzym kosztem żyć przyzwyczajeni, miał nie małe doświadczenie psychologiczne, i znał wszelkie słabości ludzkie.

Przygotowawszy sobie drogę, gdy uważał że już czas po temu, a i nareszcie nie chcąc dłużej zwlekać, przedsięwziął stanowczy wymierzyć cios. Nagle wpadły sądowe papiery, zwiastujące szlachcicowi, że nie tylko sekwestr dochodów, sprzedaż sprzętów i ruchomości, ale nawet grozi mu licytacja niżej ceny całego majątku. Łatwo pojąć, co się w tej chwili stało z poczciwym szlachcicem, który na papierach prawnych, na interesach wszystkich tyle się znał co ślepy na kolorach. Ani też miał już dawne zdrowie i dawną energią, by się grożącemu oprzeć nieszczęściu i znaleźć jakkolwiek ratunek. Opuścił głowę i miledzał, rozpaczą przejęty.

W takiej chwili oświadczył się Saczek o rękę córki. Że zaś Honoryna nie odmówi, miał już niejaką pewność. Dziewczynę do życia wygodnego i zbytkowego nawet przyzwyczajoną zaczął męczyć ten stan coraz przykrzejszy w Sawińcach, gdzie się już nieraz dawał w znaki brak wielki. Stary szlachcic siedział przy oknie, smutno patrząc na próżne gumno, gdy pan Saczek przyszedł do niego z tem oświadczeniem. Zachnął się i zerwał szlachcic na obie nogi, mimo wzmagającej się niemocy.

— Co? kto? pan? — zakrzyknął.

Dawny polski odezwał się w nim szlachcic. Rogata duma szlachecka po raz ostatni wystąpiła widomie. A trzeba wiedzieć, że czyjeś umyślnie donosy, czy może jak to bywa w ostatnich chwilach, światło jakie z góry padło mu przezuciem do duszy; Sawiński ostatnimi czasy nie bardzo dowierzał Saczkowi. Osobliwie o jego szlachectwie coraz większe przychodziły mu wątpliwości, i darmo, by je usunąć, drabował po wszystkich herbarzach; Saczka nigdzie jak nie było, tak nie było.

— Mój panie! — krzyknął raz jeszcze, i rękę żylastą ze ściśnioną pięścią groźnie wyciągnął; twarz jego poczerwieśniała od gniewu a z oczu wystrzelił dawny, krzepki i dumny zapal.

Lecz nagle opadła ręka, usta zadrżały, oczy pokryła skłniana powłoka, ostatnie słowo w pół urwane umilkło. Stary szlachcic jak dąb piorunem rażony powalił się o ziemię. Raz jeszcze otworzył oczy i spojrzal niemi na zgromadzonych w koło niego, żonę, córkę, Saczka i domowników. Wzrok jego, ostatnią groźbą i ostatnią kłutwą wymowny. spoczął na córce i Saczku, stojących razem. Ostatnie napięcie zrobił, by słowo wymówić, lecz już go wymówić nie zdołał. Wyraz groźby w oku zmienił się w wyraz ostatniej rozpacz.

Co się z biednym szlachcicem dzieć musiało, gdy nie mogąc słowa wyrzec, któreby może jeszcze przeważyć mogło rodziny przyszłych losów koleje, pomyślał ostatnią myślą, że jego jedynaczka, w której żyłach tyle krwi szlachetnej płynie, zostanie żoną jakiegoś... Saczka!... I może mu przyszło na myśl w tej chwili, że własnej to winy skutkiem, Saczkowie biorą po nas spuściznę, krwią i sławą dawnej naszej rycerskiej szlachty nabytą. Chciał przekląć!... już nie mógł!... Oniemiał stary szlachcic na wieki. A Saczek triumfował nad jego trupem. Na jego jak dukat złotej twarzy zajaśniał złośliwy i szyderczy uśmiech.

To było jego szczęście!... Nic dziwnego! Saczkowie są szczęśliwi!..

Za nimi ludzie! Czy i Bóg za nimi?.. przyszłość to okaże; ufajmy w opatrzność, której oko czuwa a serce kocha!...

Matka Honoryny nie długo męża przeżyła. Cóż miała robić na tym świecie? W zegarku bieg ustał, skoro zabrakło nakręcającej ręki.

— Jegomość już nie żyje! — wołało w koło niej. — Mnie iść za jegomością potrzeba! — szeptało codzienne przyzwyczajenie.

I skonała z różańcem w rękę, z okiem w portret nieboszczyka wlepionem. Amen im!... my wróćmy do Saczków

Honoryna została żoną pana Saczka. Cóż innego zrobić mogła? I czy się dzieje inaczej u nas? Ileż to już córek naszych poszło za kucharki do swoich arcy-skrzętnych mężów?... Z początku szło wszystko nieźle. Honoryna otoczona zbytkiem, w pierwszym żalu po rodzicach czuła rodzaj wdzięczności dla Saczka, który jej sieroctwo otulał w te przyjemności, jakie złoto dać może w większym mieście.

Lecz jak to dobrze mówią, że żaden bohater nie może zostać bohaterem w oczach swojego kamerdynera, tak i Saczek musiał się wnet pozbyć swej aureoli w oczach własnej żony. Pozostał Saczek małeńki, brzydki, ze wszystkimi wadami swojego życia.

Nie mogła się długo ludzi Honoryna. Wnet poznała męża, że jest egoistą chciwym aż do najwyższej brudoty, aż po granicę występku, poznała zupełny brak serca, najokropniejszy to brak dla młodej żony, to jakby wyrok na wieczne więzienie w ciemnem sklepieniu, gdzie nigdy promień słoneczny nie dobiegnie. Żyżże całe życie z człowiekiem bez serca! A czyż może stokroć nie lepiej być przykutym do trupa?... Saczek nie był wstanie długo się ukrywać. Otaczał się zbytkiem pozornym, a w domu był brudnym skąpcem. Dla ludzi gotów po książęcemu występować, jak każdy parwenjusz pyszno-skąpski, chciałby koszta wystawy próżnej, pokryć oszczędnością w domowym kółku, do ostatnich granic głodzenia domowników posuniętą.

Z początku, gdy mu się żona sprzeciwiała, żenował się jeszcze trochę, ale coraz więcej ośmielony dłuższem pożyciem, występował coraz dobitniej z swem prostactkiem i gburowatem uspobieniem, które dla dziewczyny, w porządnym i ucziwym domu szlacheckim wychowanej, musiało stać się nieznośnem. Im więcej się odślaniał pan Saczek przed żoną, tem więcej czuła do niego pogardy, którą zawsze mogła przed nim utaić. Pan Saczek wpadał w gniew; a im więcej się pasjonował i rzucał, tem się wydawać musiał żonie śmieszniejszym. To mu tyle pomogło, że do pogardy przyszła odraza. Na śmieszność niema ratunku w oczach kobiety. Biada mężowi, który się żonie śmiesznym okaże; wołalby być występny! Pan Saczek zginął na zawsze w umyśle Honoryny, która pomału wyrobiła sobie to stanowisko drwiąco-niepodległe, jakie poznaliśmy przy jej rozmowie z mężem.

Było to w pierwszych chwilach smutnego przewidzenia Honoryny, gdy po raz pierwszy zdybała w kościele bohatera naszego. Poznała go od razu, i serce jej zadrżało. U mężczyzn jak i u kobiet pierwsze wrażenia nigdy się zupełnie nie zacierają. Wrażenie to tem silniej rozbudziło się w sercu Honoryny, że zarazem w pamięci roz-

budziła się cała przeszłość w miłym domku rodzinnym, przy kochających i kochanych rodzicach. Mimowolnie przechodząc koło pana Gabina, ognistem rzuciła na niego spojrzeniem, przekonana, że tego wystarczy, by ją poznał od razu, i pełen radości przybiegł do niej. Jakież było jej zadziwienie, a większy jeszcze gniew, gdy zrozumiała po kilku bytnościach swych w kościele, że jest zupełnie zapomnianą. Chęć zemsty zawrzała w niej. Ale było to jeszcze w pierwszym roku małżeństwa; jeszcze się jej stanowisko względem męża nie ustaliło, były to jeszcze czasy, w których odzywała się w młodej mężatce dawna młodej dziewczyny pustota, podsycona jeszcze bytnością przyjaciółki równie wesołej. Chęć ta zatem zemsty więcej na komedję zakrawywała niżeli na tragedję.

Obie puste przyjaciółki zdecydowały, aby Honoryna starała się rozkochać pana Gabina, o którego wadach starokawalerskich, antypatycznych kobietom, nasłuchiwały się dosyć od Alfreda.

— Niech się rozkocha! ale na śmierć! — mówiły śmiejąc się. — A potem dopiero wydrwić go, pogardzić, i śmiać się z jego śmiesznej pozytury.

I nuż robić najrozmaitsze plany; a pusta wyobraźnia przedstawiała im biednego Gabina, to klęczącego, to wzdychającego, we wszystkich najpocieszniejszych obrotach zakochanego. Czyby te wszystkie plany doszły do wymarzonych ostateczności? to znowu inne pytanie. Bo mimo całej jeszcze naiwności młodej mężatki, rozmaite się już snuły myśli po głowie Honoryny. Ta chęć zemsty nieraz tak się jakoś w jej sercu i główce dwoiła, że czasami sama sobie nie byłaby zdała sprawy, na kim to właściwie chce się zemścić, na Gabinie, czy na mężu? Dobrze mówi francuzkie przysłowie, że sposobność robi złodzieja. A najgorzej też ostrym bawić się nożem. Dziwne tam rzeczy snuły się po młodej wyobraźni!... Są to wszystkie przebaczone grzechy, bo każda wyobraźnia ludzka, a cóż dopiero niewieścia, wielką jest psotnicą. Inaczej się wszakże stało. Inaczej chciał przypadek, czyli raczej, dla czego nie mamy powiedzieć na pochwałę Honoryny, inaczej pokierowały jej szlachetniejsze uczucia.

To poczciwe zajęcie się pana Gabina dziewczęciem zupełnie obcem, wzruszyło Honorynę. W sercu kobiecem mianowicie drzemią wszystkie zarody szlachetności, tak jak ich umysły są zdolne ją poznać i ocenić. W głębi duszy zawstydziła się Honoryna siebie samej. By się niejako skarać, w pierwszej chwili bez namysłu postanowiła Honoryna zająć się nieznanem dziewczęciem. Podobała jej się ta myśl; bo całą zemstą na Gabinie było współzawodnictwo w jego dobrym uczynku. A może z myśli w myśl, z marzenia w marzenie, i inne uśmiechały się do niej rezultaty tej zemsty?... Wyobraźnia kobiety jest na drodze marzeń niewyczerpana. Żaden powieściarz ani poeta tak zawikłanej lub dramatycznej nie wysnuje treści, jakie się kobiecym marzą główkom.

Z początku chciała się tylko zajmować z daleka losem Helenki, i dla tego oddała ją na pensję; lecz to nie starczyło zapałowi, jakim

ją przejęła myśl o szlachetnej zemście. I inny jeszcze, podrzędniejszy, choć niemniej ważny wpłynął na nią powód.

Przy wzmagających się domowych niesnaskach, chciała mieć towarzyszkę dla siebie i niejako tarczę naprzeciw męża, który się obcych przez wzgląd na własną dobrą u ludzi reputację zenował zawsze. A nareszcie rada była z tej sposobności, że zdoła znacznieszą kwotę pieniężną rzucić mężowi, który jej nieraz głowę kłopotał, że nie po niej nie wziął. Znając jego chciwość niepohamowaną i bezrozumną, bo rozciągającą się na przedmioty, niewarte wejść w rachunek jego potężnych operacji finansowych, wiedziała, że to jej okupi spokój kilkodniowy, a na później stanie się bronią naprzeciw męża, skoro już raz przyjmie daną sobie kwotę. Jak na młodą kobietę nie złe to było rozumowanie.

Wziąwszy zaś raz Helenkę do siebie, jużby jej była za nic nie oddała, bo się wnet serdecznie do niej przywiązała, i jakby własnem radowała dzieckiem, widząc jak się dziewczę prędko kształciło, nie tylko umysłowo i moralnie, ale której wdzięki szybko się rozwijały. Helenka bowiem miała już z natury to wyższe usposobienie, które ją uzdolniało do każdego pojęcia, do każdej wiadomości, i do każdego nawet położenia. Są to charaktery wyborne, które się w każdym trafiają stanie, a może częściej w stanach niższych właśnie, i u kobiet, które nieraz, choć wyszły z najniższego szczebla społeczeńskiego, podziwiać trzeba, widząc jak się umieją godnie znaleźć, gdy je los na najwyższe nawet rzuci szczeble. Co prócz tego przemagało w Helence, to było instynktowo już nadwyzczaj wyrobione i wznioste uczucie. I to nie jedna z tych drobniuteńkich, chorowitych uczuciowości, jakie się często trafiają, roniących łzy przy każdej sposobności kończących się na kilku żałosnych wykrzyknikach, lub spazmach nerwowych. Jej uczucie było zdrowe i silne, równie wznioste jak głębokie, bo zdolne najwyższych poświęceń, czy do nieba, czy ku ziemi sięgających. Drzemiąca w niej jeszcze władza kochania była w niej wielka; i choć jak mówimy drzemała jeszcze, gdyby ogień wewnętrzny buchała nieraz łyskawicą światła i gorącym uczucia tchnieniem. Ten właśnie ogień wewnętrzny był największym wdziękiem, bo jej rysy nieregularne nie były piękne powierzchownie, ale miały wyraz z głębi dobywający się, który każdego mimowolnie przywiązywał do niej. Takie istoty są zwykle losem już przeznaczone do wielkiego szczęścia lub nieszczęścia, do szczęścia najczęściej dla tych, których gdy pokochają, zdolne są poświęcić się na całe życie jak niewolnice: do nieszczęścia własnego, bo gdzież na ziemi nagroda poświęcenia?... Zdolność poświęcenia, to dar boży, to anioł zesłany na ziemi, by pocieszał i ratował; jego ojczyzna nie ziemia, ale niebo.

Czułe to usposobienie Helenki w wyższem znaczeniu tego tak nadużywanego słowa, objawiało się w całym jej postępowaniu, które mimo tak młodego wieku nosiło piętno szczególnej oględności. Bo prawdziwe uczucie, to nie tylko czułość serca, ale i czułość umysłu. To też Helenka to dziecko ludu, to niedoświadczone jeszcze dziewczę, pełne pojęć niewinnych i naiwnych, wnet uczuciem rozumiała po

łożenie Honoryny i jej męża, i umiała się zastosować do niego, serdecznem przywiązaniem, pocieszajacem Honorynę, a wyższą Bóg wie zkad czerpaną powagą naprzeciw pana Sączka, który mimo swych brudnych poządliwości, o których wyżej napomknęliśmy, Helenkę nie tylko szanował, ale się nawet obawiał, jak szatan anioła.

Słabą możnaby powiedzieć stroną młodego dziewczęcia, było jej bezgraniczne przywiązanie do naszego Gabina. Przywiązanie to miało w sobie prawdziwe piętno fatalizmu. Jasnym swoim w każdym innym względzie umysłem umiała dobrze poznać i ocenić go, a zatem poznawała i jego przywary; a przecież on w jej myśli i sercu był zawsze pierwszym. Nie potrzebowała nawet do tego rozumować, przypominając sobie powody wdzięczności dla niego, jakkolwiek głęboko pojęte i uczute; bez nich nawet czuła w sercu, że nikt jej droższym nad niego nie jest. Było to wszakże uczucie w niej tak szczególnie czyste, że mimo całego nieprawdopodobieństwa, możnaby je przyrównać do miłości macierzyńskiej. Onaby gotowa tak nad nim czuwać, tak się całkiem dla niego poświęcić, jak tylko potrafi zrobić matka dla syna.

I było tylko jedno co w jej uczuciach i pojęciach niejasnem było. Nie rozumiała stosunku Honoryny i Gabina. Zdawało się jej, że jakaś w nim jest tajemnica, oczywiście tak czysto przez nią pojmwana, jak czyste, głębokie były jej dziewicze uczucia. I nieraz w tych marzeniach, w jakie się tylko umysł niewinnej dziewicy zapuścić zdoła, zdawało się jej widzieć w jakimś eterycznem półświecie Honorynę i Gabina razem. A sama stała przed niemi uczucia swe, tłumacząc wszelkimi usługami. I zdawało się jej, że jest szczęśliwa ich szczęściem. A przecież gdy się obudziła z marzeń — dla czego zabolalo ją coś w sercu? Tego sobie wytłumczyć nie mogła.

Takie było położenie obu tych kobiet, w chwili gdyśmy do nich po dwu latach wrócili.

Długi dosyć czas siedziała Honoryna zamyślona. I ta cała przeszłość jaką opisać usiłowaliśmy, przebiegła to smutna to wesola, to ciemna to jasna przed oczy jej duszy. I stosownie do marzeń, kolejno to uśmiech zajaśniał na twarzy, to cień smutku padł na jej białe lica, i oko zachmurzył. Bo myśli jej jak fale biegnące za falami, odbijały się na jej twarzy. Zbudziła się Honoryna z marzeń, boleśny uśmiech przebiegł twarz, ale w tym uśmiechu było szlachetne postanowienie. Zwycięztwo zostało przy uczuciu wzniosłem i prawem. Bo próby i ciernie życia, to jak ogień; miękkie drzewo spłonie w nim, ale stal zahartuje się.

Zebrawszy się coprędzej wyszła do kościoła. Stanawszy na ulicy, jakby przecuciem wiedziona oglądnęła się. I nic nie zobaczyła. A przecież ledwie kilka odeszła kroków, z przeciwległej kamienicy wystąpiła naprzód głowa, a potem cała postać starannie w płaszcz zawinięta, i pomału a ostrożnie pomknęła za nią.

XII.

Wielkie zmiany.

Po długich wędrówkach wrómy teraz do pana Gabina, i wejdzmy jak z samego początku, do jego kawalerskiego pomieszkania. Nic się w niem na pozór nie zmieniło; wszystko po dawnemu ustawione porządnie i systematycznie. I zegary biją jak dawniej o jednej chwili wszystkie, i na biurku wszystkie drobiazgi leżą w odwiecznym porządku, i mycka o wielkim kutasie spoczywa jak zawsze na białym poety.

W pośród tych wszakże niezmiennych sprzętów nieżywych, pan i sługa chodzą mocno zmienieni. Szymon zmizerniał niepospolicie i postarzał się. Chodzi skrzywiony i niespokojny, obawiając się czy co chwila coś nowego nie zajdzie, co mu jego ulubione przerwie próznowanie.

— To nieporadna godzina z moim panem! — powtarza przed kolegami, gdy się kiedy z nimi w szczęśliwą zjeździe godzinę. — Dawniej to człowiek zegarka nie potrzebował; dosyć było popatrzeć się, co kiedy mój pan robi. A większą część dnia, to sobie gdzieś chodził, i człowiek był wolny. A dziś co godzina, to inna jakaś fantazja. A to czytanie! ach to czytanie!... żeby się wszystkie popaliły książki. To teraz po całych nieraz dniach siedzi i przewraca te przekłete książki, bo co moment woła do mnie: Szymonie pójdz tu, pójdz tam, a dowiedz się! a podaj fajkę! a dawaj wodę.

Skargi biednego Szymona nie były bez słusznych powodów. Rzeczywiście pan Gabin zmienił się mocno. Nie mógł się zapewne od razu tak przemienić, by zniknął zupełnie w nim dawny typ porządnego starego kawalera. Ale sam nie mógł tego zrozumieć, i sam przed sobą wytłumaczyć, z kąd się w nim często odzywa niepokój. Był to wszakże bardzo naturalny niepokój budzącego się w nim po raz pierwszy uczucia. Nie było to jeszcze uczucie jakieś pewne, oznaczone, któreby się już w nim wyrobiło silne i niezwyciężone. Była to raczej rozbudzona władza uczucia, która go wewnętrznym nabaiała niepokojem. Czego pragnął? co żądał? sam sobie sprawy z tego zdać nie mógł, ale czuł instynktowo, że dawne życie nie może go już zaspokoić; czuł po raz pierwszy, że są inne jakieś warunki życia, ważniejsze nad te, któremi się dotąd kontentował. I za wynalezieniem ich rzucał się jego umysł niespokojny po za koleje, któremi spokojno wędrował tak długo. Dla tego może wziął się tak zawzięcie do czytania, myśląc, ażali w książkach nie znajdzie rozwiązania tej zagadki, jaką stał się sam dla siebie. I rzecz dziwna! najlepiej przypadają mu do smaku książki, które najromantyczniejszą odznaczały się treścią. To też w świat powieściowy, poetyczny i dramatyczny wlaźł nasz bohater po uszy.

Przy czytaniu nieraz zamyślił się. Czy go z treści książkowej co żywiej poruszyło, ale nagle zdało mu się widzieć, patrzące tuż

przed oczyma, między nim a książką, dwoje świecących ocz. I im się dłużej w nie wpatrywał, tem mu się więcej dwoiło, bo z jednej nieraz robiło mu się dwie pary ocz. Jedne więcej ciemne, a drugie jaśniejsze, ale i jedne i drugie jakoś tak zawzięcie patrza, że aż mu dreszcz po całym przebiegnie ciele. I żebyż przynajmniej mógł sobie zdać sprawę, które przenikliwiej świecą i czulej na niego patrzą. Bo już to przysięglby na życie, że patrzą nań dosyć czule. W takich razach zrywał się z wygodnego balzaka i biegał po pokoju, rzuciwszy książkę. Myślał może, że przy książce i oczy zostaną. Gdzie tam, one tańczą przed nim, takie śliczne, takie żywe i zdaje się mrugające. Wówczas to najwięcej nudził swojego Szymona, wołając go co chwila, w mniemaniu, że przed jego facjatą głupkowatą, przed uśmiechem skrzywionym i cebulowatemi oczyma, znikną owe dwie pary ocz.

Lecz do wszystkiego na świecie można się przyzwyczaić. Wszakże bywały wypadki, że się nie jeden człowiek przyzwyczaić musiał do odwiedzin jakiego nieboszczyka, który mu w pewnym czasie i o późnych godzinach, z tamtego pojawił się świat. I nasz Gabin przyzwyczaił się pomału do swoich dwóch par ocz, i tęskno mu nawet się działo, gdy mu się przypadkiem nie pojawiły. Pomału do takiej przyszedł doskonałości, że już zapoznawał obie oczów pary; i jakoś przez dziwną analogję, uczucia się jego dwoiły, za oboma parami goniąc. W tem rozdwojeniu uczuć było coś zarazem wielce miłego i bardzo nieprzyjemnego. Miłego, bo przecież obie pary oczu śliczne były; nieprzyjemnego, bo zawsze w wątpliwej zostawał niepewności, do której go pary więcej ciągnie. I stosownie do tej niepewności, raz biegł co prędzej do kościoła, to znowu odwiedzał Bodiakowę.

W kościele przeważały oczy ciemniejsze, u Bodiakowej jaśniejsze. Oczy te rozmaite mu wyprawiały psoty, bo nie tylko że mu w dzień nie dawały pokoju, ale nieraz przez sen pojawiały się jeszcze gwieździste, jeszcze przenikliwsze. Dałby wiele za to, nie żeby mu znikły na zawsze, ale żeby mógł sam wiedzieć z pewnością, ku którym więcej skłonić się ma ochotę.

W takim to stanie znajdujemy pana Gabina, po dwóch latach niewidzenia. Siedzi właśnie u siebie i trzyma w ręku książkę, po której oprawie poznać zaraz można, że należy do owych wydań ozdobnych Belgijskich. Bo trzeba tu dodać, że pomału powieść ojczysta wydała się mdłą panu Gabinowi. Zapragnął korzenniejszej literatury, i wziął się do romansów francuzkich, które go wprawdzie jak pijaka trunki mocne nie chłodziły, ale się do nich przyzwyczaił, jak przeżycony smakosz do korzenniejszych potraw.

Mimo mocnego zacytania się, pan Gabin spoglądał ciągle ku biurku, dzieląc wzrok swój między zegar i kalendarzyk ścienny. Na zegarze patrzy godziny, a na kalendarzyku przygląda się co chwila jasno-czerwono wypisanemu świętu. Bo to dziś i do kościoła pójść trzeba, by ujrzeć ciemniejsze oczy, i odwiedzić staruszkę, by się tam z jaśniejszemi zdybać oczyma.

I znowu zamarzył bez celu!... To pewna że tak oczy Honorki jak i oczy Helenki, wielkie na nim robią wrażenie, bo rozbudziły tę w każdym człowieku drzemającą władzę uczucia. On się nie kochał

w właściwym tego słowa znaczeniu, ale po silniejszym biciu serca w łonie poznawał, że ma przecie serce. Niepospolitą czuł przyjemność, gdy w kościele choć przez jedną chwilę spoczęły na nim czarne Honorki oczy, tak jakoś od czasu dawnego, tęskno, smutno prawie patrzące, lub gdy u Bodiakowej w niedzielę lub święto zdybał się z Helenki oczyma, które nań tak czule, z uwielbieniem prawie patrzyły. I te dwa uczucia łączyły się w nim bardzo naturalnie. Oczy Honorki przypominały mu pierwsze w życiu mocniejsze wrażenie, a oczy Helenki ostatniem odzywały się w nim wrażeniem. Tamte miały dlań powab pamiątki, te zaś urok teraźniejszości. A że zwykle teraźniejszość musi zwyciężyć pamiątkę, i uczucie pana Gabina więcej się ku Helence skłaniało, sam nie wiedząc o tem, przywiązał się do młodego dziewczęcia uczuciem nieokreślonym jeszcze. Ale jużby mu było nad wszelki wyraz przykro, gdyby długi czas nie widział tej miłej, młodziutkiej twarzyczki, co się tak lubo, tak serdecznie do niego uśmiecha.

Znowu spojrział na zegarek, i z żywością niezwykłą zaczął się zbierać.

— Szymonie! — zawołał, i Szymon skrzywiony a zły biegł za nim.

— Pan nie przyjdzie już przed obiadem? — zapytał Szymon.

— Nie, nie, nie wiem! być może!... czekaj na mnie! — odpowiedział, i już wybiegł za drzwi.

— Być może!... czekaj na mnie! — powtórzył Szymon z szyderczym a tragicznym uśmiechem. Takie to moje utrapione życie! — I rzucił za odchodzącym spojrzenie, jakie rzuca niewolnik na tyrana.

Pan Gabin tymczasem szybkim krokiem szedł ku katedrze, nie oglądając się nawet na narożne afisze i ogłoszenia, co go tak dawniej zajmowały. Co prędzej pospieszył do dobrze mu znanej kaplicy, i na tej samej od lat już tyłu znajomej usiadł ławce. Ciemne oczy tańcowały przed nim, ale Honoryny jeszcze nie było. Po kilku chwilach weszła, i jak zwykle zdybały się ich oczy. Spojrzenie Honoryny smutniejsze było niż zwykle, ale za to uśmiech jej słodszy, dłużej zatrzymał się na twarzy, ku Gabinowi zwróconej.

Ani on ani ona nie uważali, że postać jakaś, w płaszcz owinięta, ta sama zapewne, którąśmy już raz na ulicy zauważali, weisnęła się za filar, i uparcie spojrzeniami ukradkowemi śledziła Honorynę i pana Gabina.

Oczy Honoryny spoczęły znowu na książce od nabożeństwa. Wszak już wypowiedziały to, co zwyczajnie przy każdym zdybaniu wypowiedzieć chcą. Jest to krótkie, uprzejme choć chłodne przywitanie. I nic-że więcej?... Czasem, czasem tylko się trafi, że od książki nabożnej podniesie się wzrok i w przelocie od sufitu do książki, zwróci się przez chwileczkę na bok. To jakby urzędowa rozmowa, oczy powiedzą sobie:

— Jak zdrowie? jak wygląda?...

I znowu urywa się rozmowa. Aż znowu przy zakończeniu, gdy się książka zamyka nabożna, następuje ostatnia pożegnalna rozmowa:

— Do widzenia!

Nieraz pożegnanie to powtarza się raz drugi i trzeci, i urywa się rozmowa.

Toż samo powtórzyło się i dzisiaj. Ale gdy przyszło do pożegnania, oczy Honoryny dłużej spoczęły na twarzy pana Gabina; jakkolwiek niedoświadczony zupełnie, byłby przecie przysiągł, że te oczy coś mówią do niego. Ale co?...

Aż zarumienił się nasz bohater, bo ledwieby nie przysiągł, że oczy powiadają:

— Chodź za nami!...

Wstała Honoryna, i jego coś gwałtem podniosło. Poszła wzdłuż kościoła ku drzwiom, i on szedł za nią, a za nimi z dala, z cicha i ostrożnie postępowała postać w płaszcz owinięta.

Wyszedszy z kościoła Honoryna, pół wzrokiem przekonała się, że pan Gabin idzie za nią. Jakże się zadziwił Gabin i zadrzał cały, widząc, że idzie wprost przez rynek ku ulicy dominikańskiej. Cały tem zdarzeniem zajęty, ani mógł uważać, że krok w krok prawie szła za niemi ta jakaś postać tajemnicza.

O kroków kilka zatrzymał się pan Gabin, i zobaczył... niema wątpliwości... pani Honoryna weszła do ciasnej uliczki, i idzie wprost do mieszkania Bodiakowej.

— Pójść! czy nie pójść za nią?.. — Krótko trwała wątpliwość.

I już wszedł za nią. A postać szpiegująca stanęła w przeciwległej bramie, i tyle tylko odsoniła płaszcz, że można było ujrzeć na bladej i żółtej twarzy uśmiech szyderyczy i złośliwy, uśmiech prawdziwego Satyra.

Nasz pan Gabin zarumienił się po uszy, jakby młoda dziewczyna, gdy w izbie Bodiakowej przywitały go nagle pary ocz, już nie urojone, ale rzeczywiście patrzące na niego. Helenka przywitała go zwykłym uśmiechem przywitalnym, uprzejmym i słodkim. A Honoryna! była tyle złośliwą, że w spojrzeniu swoim umieściła jakby rodzaj zdziwienia.

— Zdradliwa! — pomyślał Gabin. — A pierwej wyraźnie każała mi iść za sobą.

Lecz wnet uśmiech miły dodał mu odwagi. Ośmielił się zbliżyć i nawet ukłonić.

— Rada jestem, że pana tu zdybuję! — powiedziała Honoryna bez wszelkiego zmieszania się.

— Ja szczęśliwy jestem! — wyjąknął pan Gabin i urwał.

— Chciałam się przekonać, czy pan jesteś zadowolniony z pańskiej młodej protegowanej?...

— Ja! — chciał coś powiedzieć, a nawet miał już sens grzeczny, pochlebny, doskonale w głowie wyrobiony... gdyby nie te dwie pary!...

— Wszakże moim obowiązkiem przekonać się o tem, gdy pan mi powierzył w tej mierze wybór.

— Pani dobrodziejko!... ja... prawdziwie! — i znowu urwał.

Bodiakowa tymczasem całą rozpromieniona radością, chwyciła co chwila Honorynę za rękę, by ją ucałować.

— Ach pani najdroższa! ta że to moja Helenka nie do poznania teraz. Jakby jaka panienka.

A i Pawluk, stojący w kątku, chętnieby przystąpił, ale nie śmie, patrzy tylko z boku na Honorynę, ale z wyrazem takiej wdzięczności, że spojrzenie jego mimo całej pocieszności rozrzewnić jest w stanie. Dla nabrania odwagi, zagląda ciągle do tabakiery, ale to mu tyle tylko pomaga, że o ile może, zasłania nią swoje łzami napełnione oczy.

— Temu to panu należy się wdzięczność cała — mówiła Honoryna z słodkim uśmiechem, który jej twarz nowego dodał uroku.

Scena była rozrzewniająca. Pan Gabin nie wiedział sam, co ma z sobą zrobić, bo naturalnie wszystkie oczy na niego były zwrócone, a pomiędzy niemi te dwie pary najcudniejszych ocz. Tym razem wszakże po raz pierwszy zdało mu się, że oczy jaśniejsze Helenki jaśniej i piękniej świecą. I zaprawdę świeciły wyrazem prawdziwie anielskim, bo pełnym głębokiego i niewinnego uczucia. Była chwila, w której wszyscy mieli łzy w oczach.

— Ja się tu dawno wybierałam — przerwała Honoryna tę scenę — chcąc się sama przekonać w obec państwa o postępach Helenki.

— To będzie egzamin? — zapytała Helenka, tuląc się z uśmiechem do swojej przyjaciółki.

— Egzamin! dla niego! — szepnęła jej Honoryna do ucha.

I z prawdziwie kobiecą zgrabnością umiała wprowadzić rozmowę na pozór obojętną, w którejby się Helenka najswobodniej i z najlepszej mogła pokazać strony. Nie była to rozmowa pedantyczna, któraby wnet uderzyła niestosownością onej do towarzystwa tak mieszanego, ani też suchy i żenujący zwykle wszystkich egzamin. A przecież pani Honoryna umiała tak pokierować, że się wyższe wykształcenie Helenki, które ona sobie przez naturalną ku temu skłonność tak łatwo przyswoiła, objawiło jak w najlepszym świetle. Bohater nasz był zupełnie odurzony. Zdało mu się, że po raz pierwszy widzi Helenkę; nigdy mu się tak śliczną, miłą i rozumną nie wydała. Darmo przebiegał w pamięci wszystkie niedawno przeczytane powieści. Podobnej nie mógł sobie przypomnieć sceny. Po raz pierwszy w życiu doznał jakiegś pełnego a tak miłego i radośnego uczucia; po raz pierwszy pozbył się zupełnie swojej nieśmiałości i starokawalerskiej sztywności, i oddał się cały chwilowym wrażeniom. Czuł nawet wewnętrznie zadawalające przekonanie, że zasłużył niejako na tak przyjemną w życiu chwilę, która stała mu się pierwszą nagrodą za dobry i zupełnie bezinteresowny uczynek.

— Cóż kontent pan jesteś z Helenki? — rzekła w końcu Honoryna pół głosem, zwrócona do pana Gabina.

— Ja? — zaczął pan Gabin. Lecz o cudo! tym razem nie urwał mu się jak zwykle. Prawdziwe uczucie, rozbudzone w nim po raz pierwszy, dodało mu nawet przytomności więcej. — I cóż dziwnego! — dodał po chwili — kiedyś się pani nią zająć raczyła.

Uczuciem wiedziony zgadł prawdę.

Po półgodzinnej miłej i coraz żywszej rozmowie, powstała Honoryna.

— Już muszę iść — rzekła. — Ty zapewne zostaniesz Helenko do wieczora.

— U mamy!... — z wdzięcznością zawołała Helenka...

— W tak miłym towarzystwie! — dodała Honoryna, szepcząc jej z uśmiechem.

Helenką w tej chwili jeszcze się piękniejszą panu Gabinowi wydała, ależ bo się zarumieniła tak ślicznie!...

Pożegnawszy wszystkich, wyszła Honoryna. Pan Gabin po chwili namysłu, porwał za kapelusz, i wyprowadził ją aż na ulicę. Z przeciwległej kamienicy wyglądął jegomość w płaszcz zawinięty, powoli i ostrożnie.

— Wróć się pan, — rzekła Honoryna po chwili.

— Ja chciałem panią odprowadzić! — wyjąknął pan Gabin, który sam jakoś nie wiedział czy wolałby odprowadzić Honorynę, czy wrócić do Helenki.

— Oni tak pana kochają!... — mówiła Honoryna dalej, nie zważając niby na słowa Gabina. — Helenka tak zawsze tęskni za tą chwilą, w której może się zejść z panem.

— Helenka?... — zapytał pan Gabin zadziwiony, czy może udając zdziwienie.

— I pan się temu dziwisz?... Wszak ona pańskiem jest dziełem... Ona, — mówiła Honoryna dalej, z pewnym rodzajem rozczenia — nigdy tego nie zapomni... bo u nas kobiet cała pamięć w sercu. Ale wracaj pan!...

— Pani każesz!... — zaczął pan Gabin tonem komplementu.

— A pan chętnie mnie słucha! — odpowiedziała żywo. — Do widzenia się! — dodała i podała mu rękę. — Pan Gabin uczuł lekki uścisk, i jakoś odważył się pocałować podaną rączkę.

Na cychającej twarzy nieznanego jegomości wyszczerzył się uśmiech złośliwy, satyryczny.

Pan Gabin wrócił znowu do kamienicy. A pani Honoryna zarzuciwszy zasłonę na twarz, szła dalej zamysłona, z oczami w dół spuszczone.

— Madame Honorine! — ozwało się jej nagle tuż koło ucha.

Zbudzona nagle z zadumania, drgnęła Honoryna i szybko się ogłędnęła. Stał za nią ów jegomość w płaszczu, który już ją od dwóch godzin śledził. Płaszcz się zsunął na barki, Honoryna poznała barona w całej okazałości, z dodatkiem uśmiechu złośliwie-szyderczego, którym pan baron upiękzył swą bladą twarz Satyra.

— A pan baron!... — odpowiedziała Honoryna odzyskując przytomność, i uśmiechem pogardy odpowiedziała na uśmiech szyderstwa. — Czy to maskarada — mówiła dalej — że pana w ciepłym dniu widzę tak w płaszcz okutanego, a może jaka romantyczna przygoda à la Don Juan?

— Łatwo coś podobnego się domyśleć, zdybawszy się na takiej ulicy, — odpowiedział baron syczącym ze złości głosem. — Mais hélas!... tym razem nie mnie to zdybało szczęście... ale innego!... którego właśnie widziałem... i którego znam.

— Czy pan te wszystkie słowa do mnie adresujesz?...

— A do kogoż?... przecież widziałem...

— Co pan widziałeś? — wyrzekła Honoryna dobitnym głosem, i spojrzała na niego wyzywającym wzrokiem.

— Wolę nie mówić.. bo teraz i ja mam nadzieję...

— Pan!... — zawołała Honoryna i zmierzyła go od stóp do głowy wzrokiem zabijająco pogardliwym. — Pan!... — powtórzyła i parsknęła śmiechem cichym, zimnym, ale przenikającym.

— I pani śmiesz żartować jeszcze!... — krzyknął prawie baron, tracąc swą salonową przytomność.

— Z pana zawsze! — odpowiedziała nieustraszona Honoryna. Śliczna była w tej chwili, tym silnym wyrazem, jaki wystąpił na jej twarzy, wyrazem dumy, odwagi i pogardy.

— Ja się zemszczę!...

— Żegnam pana!

— Znajdę sposób!... inny!... którego się pani nie spodziewasz... Pani nie przewidujesz:....

— Żegnam pana!... — powtórzyła Honoryna, i nie oglądając się nawet, odeszła.

Baron z głupiuteńką miną pozostał w tyle.

XIII.

Fan Gabin w tarapatach.

Teraz musimy się przenieść na wieczór do pana Filońskiego. Mogłaby się wprawdzie powieść nasza obyć zupełnie bez pana Filońskiego, który dotąd nie wpłynął na losy naszych bohaterów. I dalej nie bardzo wpłynie, jak, jeżeli wolno mniejsze do większych porównywać rzeczy, nie wpłynęła nic na losy Napoleona ta ulica, przez którą przejeżdżał, gdy mu piekielną machinę podstawiono. Owoż pan Filoński jest tą ulicą dla naszej powieści, bo u niego na sobotnim wieczorze odbyła się katastrofa wielce prawdziwa, bez której nasza powieść nie może się skończyć żadnym sposobem, a nawet możeby się nie była poczęła. Na ten więc wieczór sobotni musimy iść koniecznie.

Wiadomą zaś powszechnie jest rzeczą, że co sobota odbywają się u pana Filońskiego wieczorki kawalerskie z herbatą i kartami. Amatorowie preferansa i to oczywiście z rosyjskimi ilustracjami, znają te wieczorki doskonale. Tam bowiem schodzą się najwytworniejsi gracze, mistrze karciani, co to mają zawsze na podorędziu dla każdego ciekawego jakieś kurjozum kartowe, zagadkę preferansową, którą ci opowiedzą z miną najpoważniejszą, jakby jakie wielkie zdarzenie, mające zmienić losy Europy. I powtórzą ci razy kilka całe rozłożenie kart, wszystkie kolory, jak następowały po sobie, wszystkie figury, tak u gracza jak i u pomagających. Łamże sobie teraz głowę. Zdaje się rzecz jasna jak słońce, a czysta jak bursztyn.

— A przecież wpadł na ósemkę, i to dwa razy — powiada pan Jaksiniński, wydymając dumnie usta, przyczem poprawia okulary i z lekka pociąga wonny proszek z tabakierki.

A kiedy pan Jaksiniński tak powiedział, siedźce cicho nieboże, bo już w preferansie po nim nic nie wymyślisz, a jeżeli się sprzeciwisz, to cię Jaksiniński okrzyczy ignorantem, a za nim powtórzą wszyscy jego adherenci, których ma nie mało. Bo pan Jaksiniński jest to wielki i szczęśliwy gracz. Graczostwo to jego rzemiosło, jenjusz i posada w świecie razem. Gdyby nie karty i preferans, Jaksiniński nie byłby Jaksinińskim. A szkoda by go było, bo jest on filarem wieczorków pana Filońskiego.

Bywają także na tych sobotnich wieczorkach i młodszy dyletanci preferansowi, dla których karty zdaje się na to przysły na świat, aby oni mieli się czem zająć, mogli coprędziej przepuścić mająteczek szlachecki, i aby nareszcie pan Jaksiniński et consortes, mógł ich przy partji nałajać, ograć i wydrwić w końcu.

Pan Pylkowski jest ich typem. Trzeci rok już chodzi do pana Filońskiego na sobotniego preferansa. A nie jest to człowiek bez pewnego nawet wykształcenia, które mu przyznają niektóre salony. Ubiera się nawet podług najnowszych żurnalów, ma szkiełko jedno w oku, ma nawet rodzaj karykla, którym sam powozi, jakby najpierwszy woźnica, posiada rodzaj wioski, rodzaju podobno już nijakiego, trochę gwarzy po francusku i umie nareszcie w każdą rozmowę wtrącić zgrabnie:

— Kiedy byłem na wystawie!...

I był rzeczywiście na pociechę naszego honoru narodowego, na wystawie bydła w Paryżu. Mimo to wszystko od trzech lat ogrywa go pan Jaksiniński. Od trzech lat co wieczora wpaść musi kilka razy na siódmkę. Pan Jaksiniński na to mruga w koło oczyma, rusza ramięmi i zgartuje pieniądze, przybierając skromniutką postawę, co ze strony zwycięzcy jest przecie bardzo pięknie.

Bywają nareszcie u pana Filońskiego czyści amatorowie wieczorków sobotnich. Czego właściwie są amatorami na tych wieczorkach, tego nie wiem, tego nikt nie wytłumaczy, ba! tego i sami podobno nie wiedzą. Bo jużciż nie herbaty pana Filońskiego. Najlepsi jego przyjaciele, a ma ich nie mało, nie mogą zdobyć się na to amatorstwo; dowodzą tylko przez przyjaźń dla gospodarza, że nie zdrowego nad cienką herbatę, w której by na prawdę była najzdrowsza, zupełnie nie powinno być herbaty. Prócz zaś herbaty i grzaneczka, których cienkość jest fenomenalną, raz się tylko zdarzyło, że podano u pana Filońskiego szynkę i to bajońską. Że aż z Bajony przywędrowała, i to pewnie nie koleją żelazną, zdawał się dowodzić zapaszek potężnie mocny. To też goście pana Filońskiego tyle się najedli szynką bajońską, ile my ongi i dotąd bajońskimi sumami.

Ale wracamy do amatorów.

Takim był amator nad amatory, pan Baniewicz. Nie ominął ani jednego sobotniego wieczora, i wypiwszy trochę tej herbatki, z dodatkiem cienkich grzaneczek i gatunku śmietanki, przez resztę wie-

czora niczem się nie zajmował. W karty nie grał i nic nigdy nie rozmawiał. Do tych dwóch rzeczy nie miał talentu. Czy inne posiadał talenta, tego nie wiemy z pewnością, chybaży uszy mu porachować za talent; wszyscy bowiem jego i przyjaciele i nieprzyjaciele nawet dowodzili, że ma słuch nadzwyczaj wykształcony, subtelny i ciekawy.

Cóż więc robił pan Baniewicz?...

Był on typem amatorów, z których się formuje galerja widzów przy każdym stoliku zielonym. Ledwie zasiedli do gry, pan Baniewicz sadowił się koło pana Jaksińskiego. Gry nie rozumiał zupełnie, ale namiętnie przypatrywał się zmianom preferansowym. Gdyby całą noc grali, on by całą noc siedział paląc sobie luleczkę lub cygarko. Grę pana Jaksińskiego podziwiał to mimiką najrozmaitszą, to nawet wykrzyknikami, i zwykle przytem oglądał się na drugich amatorów, jakby chciał ich uwagę zwrócić na wielkość Jaksińskiego. Dla nauczenia się kombinacji preferansowych, przy grze zaglądał w karty jednemu i drugiemu graczowi. Choć lat kilka zaglądał, nic się nie nauczył, ale zawsze zapowiadał, że wkrótce sam będzie grać, gdy się nauczy. Tyle tylko przy zaglądaniu zarobił, że go pan Jaksiński mocno polubił, i zawsze go na sąsiada zapraszał. Pan Baniewicz zdaje się prócz sztuki ucha, posiadał i sztukę telegraficznych znaków. Złośliwi ludzie, a gdzież ich niema? twierdzili nawet, że Baniewicz był uzupełnieniem mistrzowskiej gry i mistrzowskiego szczęścia pana Jaksińskiego.

Prócz tych gości sobotnich schodzili się jeszcze inni, których w żadną osobną kategorję pomieścić nie można. Była to mieszaninka społeczna, rodzaj tutti-frutti towarzyskiego, który zdybać można w mieście, w każdym niemal domu, na każdym zebraniu.

Są pomiędzy nimi po większej części próźniacy, którzy przychodzą do pana Filońskiego, aby czas zabić. Nie jeden siądzie w kąciku z luleczką i zadrzymie; ot zawsze przyjemniej choć zadrzymać u kogo, byle nie u siebie. A nareszcie nie bez tego, aby się czasem jakiej nie dowiedział, choć nie nowej, ale na nowo nicowanej nowości. Bo w tej mieszanince bywają i plotkarze patentowani, najmilszy rodzaj ludzi w świecie.

Naprzykład, pan Szypulski, bywa także u pana Filońskiego. To skarb nie Szypulski. On by znalazł sposób, w puszczy Sahary złowić jaką ploteczkę, i puścić na wiatr z dodatkami. Chcesz wiedzieć, co się gdzie dzieje, albo lepiej, co się gdzie nie dzieje, udaj się tylko do Szypulskiego. Jest to rodzaj kalendarza, pełnego odgrzewanych anegdot, jest to dykjonarz wszystkich skandalów. A tak przytem ruchliwy, że nigdzie miejsca zagrzać nie potrafił; ledwie wydzwonił jakąś bajeczkę, zaraz goni dalej. W czasie cholery był on najniešťczęśliwszem stworzeniem, bo mu wszystkie domy pozamykano przed nosem. Przekonano się bowiem dowodnie, że on był wyraźnym konduktorem cholerycznym przez swoje bieganie z miejsca na miejsce. Dziwić się tylko należy, że go dotąd żadna gazeta nie przyjęła na współpracownika. Do prowadzenia korespondencji miejscowych byłby doskonały.

Do tych tutti-frutti należał i nasz bohater, który żadnego sobotniego nie omijał wieczorku, i miał ten przed wszystkimi prym, że do różnych razem należał kategorii, żadnej nie oddając się wyłączenie. Bo i do próżniaków należał nie pogardzając drzymką pod piecem i podstuchaniem jakiejś ciekawej wiadomości brukowej; i występował czasem w roli dyletanta preferansowego, którego nawet pan Jaksiński wielce szanował i miał go nawet wpisanego w budżecie swoim. Od niejakiego czasu zaczął znowu bawić się w amatora, i nieraz milczący siedział po całych godzinach przy grających, i zdawał się być głęboko zamysłony.

Pan Jaksiński zaczął nim pogardzać, i oglądał się już za innym kandydatem do zapelnienia budżetu.

To nawet nie spowodowało pana Filońskiego, że go razu jednego zapytał z wielkiem współczuciem:

— Czy pan nie chory?...

— Ja?... — odpowiedział pan Gabin zbudzony nagle; ja! zupełnie nie. Jestem mocno zdrow!...

— Nie dowierzaj pan!.. mocne zdrowie to także słabość, a lepiej zawsze mieć się na ostrożności i złemu naprzód zapobiedz.

Dla czego zaś pan Filoński tak się odzywał do pana Gabina, później się dowiemy.

Teraz musimy dodać do spisu gości sobotnich, że bywali tam i tacy, co to jeżdżą dla tego tylko z domu do domu, aby mogli całemu światu opowiadać o najrozlicniejszych stosunkach swoich. Nie jest to funkcja bez korzyści, bo jeżeli nie co innego, to się tym sposobem zdobędzie nieraz choć obiadek. Jakże nie zaprosić takiego wszędobYWalskiego stosunkiewicza.

— Dobrze że przynajmniej ludzie będą wiedzieć, że i ja daję obiady.

Do takich stosunkiewiczów należał znajomy nam baron także.

Aby już ten przedmiot zupełnie wyczerpnąć, powiemy jeszcze, że bywali i ludzie zupełnie obojętni, którzy odwiedzali pana Filońskiego, jakby poszedł na miasto, na wały, na wysoki zamek. A nuż się zdybie kogo znajomego?

— U Filońskiego będzie wiele osób — powiadał nieraz Saczek sam do siebie. — Nie zawadzi pójść, może się z kim zdybie, może się jaki interes nawinie.

Znamy już tedy na palcach całe towarzystwo odwiedzające wieczory sobotnie pana Filońskiego.

— Lecz któż jest pan Filoński?...

Pytanie to uważamy za nader słuszne. A przecież odpowiemy nań drugim ptaniem:

— Któż nie zna pana Filońskiego?

Przecież pan Filoński całemu miastu znany. I dziecko najmniejsze zna pana doktora Filońskiego. Bo pan Filoński jest lekarzem. I choć ma na imię Dezydery, wszyscy go wołają doktor Hugo, aby tym starym i płaskim zarzymować dowiecipem! co kuruje nie długo. A zatem musi być doskonałym lekarzem! Zapewne być nim musi.

Doktorzy są w tej mierze szczęśliwsi od drugich śmertelników. Ich nie sądzi zdanie żywych, a zdanie umarłych milczy. Ile go znają ludzie, nie jest on gorszym od drugich. Jeżeli mu chory nie umrze, to on go wyleczy. A jak umrze? o mój Boże! wszak wszyscy ludzie są śmiertelni. Tę mu wszyscy zaletę przyznają, że: doktor Hugo, nie lubi męczyć długi.

Jeden ze złośliwych dowcipnisiów miejskich, na pogrzebie jednego z przyjaciół swoich, którego leczył doktor Filoński, z takim ozwał się konceptem:

— Między naszym Filońskim a innymi lekarzami, taka jest różnica, jak między szubienicami, ścinaniami i t. d. a gilotyną, która daleko prędzej expeduje.

Lecz koncepta i dowcipy odłożywszy na bok, trzeba wyznać prawdę, że doktor Filoński był mocno uczony. Nie żał i ginąć, według wszelkich prawideł.

O uczości jego cuda rozpowiadano. Ile to on ksiąg przeczytał, i ciągle czytał. A bibliotekę doktorską ma tak liczną, że podobnej żaden w świecie księgozbiór nie posiada. I tak jest czytany, że we wszystkich czyta językach.

— Nawet po chaldejsku! — odzywały się głosy.

— Ba! to nie dziwnego! — odpowiedział Szypulski z uśmiechem wielce znaczącym.

— Jakto? dla czego?... — zapytał zdziwiony pan Gabin.

— A pan jakim mówi językiem?

— A jużci po polsku.

— Dla czego?

— Bo to przecie mój język rodowity.

— A widzi pan!...

— Tak! — mruknął pan Gabin i zaczął kombinować.

Szypulski tymczasem polecał dalej z swoim konceptem.

Ta jego nawet wielka uczość, jak twierdzili jego antagoniści, po większej części koledzy w sztuce lekarskiej, zawadzała mu. Bo gdy mu jakiś chory wpadł w ręce, pan Filoński zastanawiał się głęboko nad symptomatami słabości, i tak sobie rozumował, chcąc słabość w samo serce trafić.

— Nieboszczyk jeden, wielki lekarz, w pismach swoich tak mówi, o tych symptomatach; nieboszczyk drugi, wielki lekarz, dja-gnozę tej słabości inaczej uważa.

A więc pan Filoński myśli, medytuje, rozważa, podobny w tem jak w bajce ów osieł między dwoma wiązkami równie wonnego sianka, który póty medytował, do której się z nich wziąć, aż nareszcie głodem zamorzony zakończył życie. Choroba pacjenta tymczasem się wzmaga, i nie czekając na decyzję lekarza, przybiera coraz groźniejsze, ba nawet śmiertelne symptomata. Już wie, już się zdecydował pan Filoński, i pewnie chorego wyratuje. I wyratowałby go!...

Ale tu znowu przychodzi mu na myśl.

— Nieboszczyk jeden wielki lekarz z tą słabością tak się obcho-dzić każe; lecz znowu nieboszczyk drugi lekarz w pismach swoich

inne podaje środki. — Kogo z nich usłuchać? bo to rzecz sumienia, tu idzie o chorego!

A chory tymczasem chorobą zwalczony, coraz słabszy i słabszy. Żona i dzieci otaczają jego łożę, z oczami, łzami napełnionymi, patrzą na lekarza, błagają, zaklinają.

— Już go mam! — woła wewnętrzna duma lekarza. Bo mocą swojego wyższego pojęcia odgadł z dwóch systematów leczenia, który jest lepszy, który z nieboszczyków wielkich lekarzy ma słuszość.

I silny wiarą, silny przekonaniem, silny dobrymi chęciami, przystępuje do chorego. Chory już umarł!... Nie doczekał się głupiec ratunku. Któż mu winien!...

Pan Filoński mógłby wprawdzie odpowiedzieć, że mniej więcej jest to historia wszystkich lekarzy, a nawet historia całej sztuki lekarskiej, w której wszystko jest wątpliwością, wszystko wypadkiem, a pewnika niema żadnego; ale pan Filoński zanadto jest dumny, i zanadto z wysoka patrzy na swoich kolegów, by się zniżył aż do odpowiedzi.

Tyle o stronie teoretycznej pana Filońskiego. Co do praktyki pan Filoński był jeszcze mocniejszy. Od lat najmłodszych uczuwszy w sobie wyższe powołanie do zawodu lekarskiego, chciał się w tym zawodzie wykształcić jak najobszerniej i jak najpraktyczniej. Tak przynajmniej mówił jeden artykuł, w różnych gazetach umieszczony, przez jakiegoś wielkiego anonimowego pisarza, bo przecie z odjakowym znakiem podpisany.

„Niez mordowany w swym popędzie szlachetnym, co mu piersi parł do wielkich rzeczy, wyższym duchem natchniony, nie zważając na mnogie trudy, niebezpieczeństwa i wydatki którym poświęcił swój majątek, swobodę i niepodległość, jak drugi Jazon, ale nie za runem złotem, bo tylko za zbawieniem ludzkości puszczający się w świat na mnogie zdarzenia i wypadki, szanowny nasz ziomek, znany już najzaszczytniej pan Filoński, wszystkie znane i nieznanne zjeździł kraje, zbierając bogaty skarb lekarskich doświadczeń. Zaiste, gdybyśmy chcieli umoczyć pióro nasze w romantyczniejsze barwy, zajmujący i wielce ciekawy moglibyśmy dać obraz jego wszystkich podróży, lecz my wierni poważnemu nader przedmiotowi i t. d.“

Taki był początek rzeczoności artykułu. Artykuł zajmował cztery półarkusze kolumny, o trzech szpaltach.

I rzeczywiście pan Filoński jeździł po całym świecie, chcąc każdą słabość znacznieszą studjować na miejscu. I tak za tyfusami zwiedził wszystkie szpitale Paryża, Londynu i innych znaczniejszych stolic; za parchami jeździł aż po Hiszpanji, za hemoroidami gonit po całej północnej Europie, i wszystkie europejskie pozwiedzał kancelarje. Z dżumą walczył w samym Stambule, a z żółtą gorączką w obu się Indjach borykał; za skorbutem po Oceanie pływał, a za oftalmią przewędrował puszcze arabskie i cały zwiedził Egipt i Nilu nadbrzeża (nie zważając na krokodyle).

Taki artykuł jak łatwo pojąć, wielkie zrobił wrażenie. Jakoż pan Filoński miał złote zaprawdę czasu. Chorzy cisnęli się do niego tłumami, byli nawet tacy, a osobliwie takie, bo najładniejsze doświad-

czeń są kobiety, którzy i które umyślnie chorowali, by się z lekarzem-wędrownikiem poznać. Sam nawet autor artykułu musiał zapewne chorować i leczyć się u pana Filońskiego, bo wkrótce pojawił się w gazetach artykuł dziękczynny, stylem do pierwszego artykułu podobniuteńki.

Lecz nie stałego niema na świecie. Jedni z chorych pana Filońskiego poszli pod ziemię, inni rezeszli się po ziemi, i coraz rzadsi pojawiali się u niego pacjenci. Pan Filoński spoczywał już tylko na wawrzynach przeszłości. Lecz jak wiadomo, wawrzyny to bardzo ładne drzewo, o ślicznym liściu, ale wcale nie pożywne. Mimo to żył pan Filoński bardzo przyzwoicie, co zapewne winien był złotej przeszłości, z której umiał fundusik na cięższe oszczędzić czasy. Wprawdzie kronika skandaliczna, której historjografem był nasz Szypulski, coś tam rozpowiadała o jakichś stosunkach romantycznych pana Filońskiego, lecz ktoby tam słuchał bajek brukowych.

Dosyć że pan Filoński porządnie zawsze mieszkał. żył choć nie wystawnie, ale i nie zbyt oszczędnie, i co sobotę dawał wieczorynki, z herbatą i kartami.

Szypulski, ten złośliwy język, niepomny na to, że przyjaciela tylko co uściskał, a jego poił się herbatą i karmił jego grzankami, rozpowiadał po mieście, że jego herbata i grzanki mniej daleko kosztują, niż mu przynoszą karty, za które zwyczajem przyjętym wszędzie goście płacili. Na dowód tego przytaczał wiele znanych historycznie już prawie znakomitości salonowych, które się całe życie swoje tem tylko utrzymywały, a których pan Filoński miał być niby bladym naśladowaniem, czyli bladym odciskiem.

Poznawszy już gospodarza i mniej więcej całe jego towarzystwo, wchodzimy nareszcie do apartamentu, wcale ładnie przystrojonego. Apartament był kawalerski, bo jak się to już zapewne czytelnicy domyśleli, nasz lekarz-wędrownik nie zdybał się dotąd ze stosownym posagiem. Tu byłoby miejsce opisać powierzchowność pana Filońskiego, lecz tym razem muszą czytelnicy darować nam, od przyjętego odstępimy prawdą, bo jakkolwiekbyśmy najidealniej opisali twarz jego i postać, pewni jesteśmy, mnogiemi nauczeni doświadczeniem, że znaleźliby się tacy, którzyby zaraz podobieństwo jakie upatrzyli do siebie, lub do sąsiadów, i nowego gotowiby nabawić kłopotu biednego powieściarza. A nuż by zasłabł!..

Apartament tedy kawalerski pana Filońskiego składał się z trzech pokoi, z których prócz sypialnego drugi był bawialnym, a trzeci kancelarją lekarską, przystrojoną w te wszystkie emblemata lekarskie, które są jakby szyldem jego powołania, i na to tylko służą, aby nie jednemu choremu Piotra napędzić, gdy własną już przestraszony słabością, nagle zdybie się z szydyczko-rozwartą paszczą kościutrupa, lub z nader miłemi oku, spirytusowemi konserwami, z których szczerzą się do nerwowej np. kobiety same jakieś to ułomności, to okrawki ludzkie, ze swoich słojuowych trumien. Ale weszło już to tak w zwyczaj, i należy to do oznak głębokiej uczoności posiadacza podobnych zbiorów. Naturalnie że u naszego Filońskiego zbiór ten był nie mały, wzbogacony jeszcze rozmaitemi ciekawościami, jakie poprzywoził

z podróży swoich. Zabawnie wyglądały te wszystkie przybory herbaciane i karciane, przygotowania do spokojnego wieczorku przy tem zagrobowem otoczeniu, które zdawało się sztych z tej błahej i znikomej zabawki. Porozstawiane po rogach kościotrupy, przy parze buchającej z samowara, zdawały się nabierać pewnego ruchu i życia, i to mrugać to śmiać się do towarzystwa żywych. A te rozmaite w szklach potwórki dziecinne o pół wyrobionych rysach człowieczych, przy mieniacem się odbijaniu światła, zdawały się dziwnymi podsłuchiwać ruchy, jakby chciały także wraz z trupami żywych dzielić uciechę. Nawet te wszystkie po szafach rozstawione, różnych rodzajów powypychane sowy, puszczyki i gady, w mgłę przesuwających się kłębów dymu samowaru, zdawały się wyruszać z miejsc swoich, i skłniane ku sobie spoglądając oczami, gotować się, nagle wkroczyć w środek tego mięszanego towarzystwa żywych i umarłych.

Lecz daremny nasz opis. Dziś już i Hofmańskie pióro nie zdoła rozruszać nerwów, które tylko pod władzą galwanicznych złota stosów, zdolne są zadrgać żywiej. Świat ten nadprzyrodzony, świat zagrobowy, świat fantazji i cudów, co nas za młodu takim jeszcze przenikał dreszczem, świat ten tajemniczy, to dla dzisiejszych pokoleń wielka, martwa nieruchoma tablica, samemi zerami zamazana. W zera dla dojrzałego świata zmieniły się cudowne bajki, wiary dziecinne, i naiwne przesady dawnego świata, w wiośnianej myśli i uczuć porze. Niema już wielkości, niema ideałów, niema cudów, prócz tych chyba, które się wyrabiają po większych giełdach europejskich!..

I rzadko który się znalazł, przypadkowy jaki pana Filońskiego gość, któregooby uderzyło i przeszło to dziwne, z lekka przez nas okazane przeciwieństwo, któryby na ten widok zamarzył gdzieś dalej, po za obreby codzienności. A jeżeli się taki trafił, jakież pole dla jego wyobraźni, na te wyszczerzone czaszki, dziś próżne, po których bujały niegdyś myśli w nieskończoność, i na te żywych głowy, nie mniej może próżne, po których dziś niestety buja egoizm chyba, jakby po puszczy ów wiatr suszący wszystko?.. Dla zwykłych gości pana Filońskiego nic nie było obojętniejszego nad to otoczenie zagrobowe. Wytrawni światowcy patrzali na nie, jak na każdą iną dekorację; chyba który czasem strzelił do jednej z trupich czaszek jałowym konceptem jakimś, za dowcip przez resztę towarzystwa przyjęty.

Towarzystwo sobotnie było już w zupełnym prawie komplecie. Stoliki zielone stały rozstawione w kancelarji i w pokoju bawialnym, goście po obu chodzili pokojach, zajęci rozmowami tak ckliwemi, że im się nie warto przysłuchiwać. Zwyczajna sieczka dzisiejszych pogadanek! Była to chwila przedpreferansowa! Bo już tak to było ułożone u pana Filońskiego, jak to znowu widział on na karcianych wieczorkach nieodżałowanego jakiegoś nieboszczyka. Naprzód herbata, potem lulki, cygara i karty.

Najniecierpliwiej przechadzał się od grona do grona pan Jakiński, i z drwiącą miną zdawał się przysłuchiwać próżnym rozmowom. Ziewał nawet niegrzecznie, choć grzecznie usta chustką zakry-

wał i z pod oka poglądając na przygotowane na stolikach karty i marki, zdawał się drwić niepospolicie, jak mogą być na świecie ludzie, tracący czas na próżnej pogadance. A może i miał słuszność!... Kombinacje karciane mają jakiś cel pewny przecie, i kończą się w najgorszym razie na szkodzie kieszeni; jakimże celem poszczycić się mogą zwykle rozmowy puściuteńkie, chyba że tym celem jest szkoda nieobecnych, obmowa obryzganých.

Do niemniej niecierpliwých należał pan Pyłkowski, i jemu podobne filary preferansu, Jaksińskiego poddani. Tym było pilno przegrać co prędzej, wszak tem tylko znaczą, tem tylko czują, że żyją. A prócz tego pan Pyłkowski przechodził się z miną pogardliwą niezo, bo zawsze jako ziemski obywatel, choć to należało trochę do przeszłości a trochę do złudzeń, czuł się znacznie wyższym od jakiegoś tam lekarza, chorych za puls chwyającego. Nie mówię chwytać za kańczuk i zdrowych bić chłopów!... To też z pewnym uśmiechem lekceważenia obdarzył pan Pyłkowski wszystko i wszystkich, i z drwiącą miną szkielko swe w oku zwracał ku stojącym po kątach nieboszczykom, którzy mu także zdawali się odwetowywać szyderczym rozwartą gębą uśmiechem.

Baniewiczowi ta herbaciana przedmowa była prawie obojętną. Jako przedstawiciel wyłączny ucha, pociągał nawet za tym przedwstępnym czasem, co zawsze coś więcej usłyszał jak przy kartach. Ale zawsze szkoda uszów.

Jeden Szypulski radby przedłużyć tę przedmowę, bo z niej najlepiej przecie skorzysta w zbieraniu ploteczek miejskich. Bo przy najpróżniejszej rozmowie, najgłupszy wynajdzie gdzieś tam przecie, bodaj jaką najmniejszą ploteczkę, a nawet gotów skłamać; na tyle mu zawsze wystarczy dowcipu. A choćby plotka nie wiele miała znaczenia, lub niezgrabnie skomponowana była, to nic zupełnie nie szkodzi! Wszakże jest na to pan Szypulski, by plotkę przystroił, wykształcił i z prostego materiału, jak krawiec z sukna a snycerz z kamienia, coś wytwornego wyrobił.

Rozmowa dosyć pomieszana i często urywana, przeszedłszy wszystkie studja rozmowowe, od pogody zaczawszy, a skończywszy na teatrze, czyli raczej na poważniejszej teatru części, bo na aktorach, rozmowa tedy zaczęła się coraz więcej skupiać, bo i grona się kupiły ku okrągłemu stolikowi, gdzie jakiś chudy, nędzay i wymokły młodzieniaszek, pół famulus, a pół krewny pana Filońskiego, nalewał już herbatę do wielkich filiżanek. I przeszła rozmowa na poważny tor. Mówiono o kolejach żelaznych. Wszak to najciekawszy i najpowszechniejszy przedmiot tegoczesnych rozmów. Ale nie mówiono o części pożytecznej lub naukowej. Gdzież tam! mówiono o członkach zbierającego się jakiegoś stowarzyszenia, mającego się zajmować losami tych kolei. Na wołowej skórze nie spisałby nazwisk, bo każdy inne podawał, ani też uwag osobistych, do każdego nazwiska przyczepionych. Szypulski celował w tym przedmiocie; o każdym nowym członku miał coś nowego i ciekawego powiedzieć. A co intryg przez jennialnego plotkarza pokomponowanych!

Baniewicz aż oczy zamknął, bo mu ktoś powiedział, że się najlepiej słyszy przy oczach zamkniętych. Jaksiniński milczał, on dążył prosto do nalanej już filiżanki; wszak ona go tylko dzieliła od kart i preferansa.

W tej chwili otworzyły się drzwi i wszedł przez nie baron, o którego nieobecności przebąkiwano już. Gospodarz przyskoczył do niego z uprzejmem przywitaniem, zastosowanem umiejętnie do tytułu. I drudzy przywitani, przywitani nawzajem. Baron obejrzał się jakby szukał kogo i rzuciwszy okiem do drugiego pokoju, uśmiechnął się nieznacznie. W pokoju bawialnym dwóch jeszcze panów się przechadzało, którzy zdawali się być rozmową mocno zajęci.

Był to nasz Saczek, który obrabiał jakiegoś nowo ze wsi przybyłego kolegę pana Pyłkowskiego, dając mu rozmaite rady, następcząc najkapitałniejsze jakieś interesa, w których będzie przyjacielskim i bezinteresownym doradcą. Szlachcie słucha a słucha, i z coraz większem uszanowaniem patrzył na Saczka. Bo Saczkowie zawsze otumanić potrafia, i znają takich, co się otumanić dadzą.

Barona opisywać tu nie będziemy, wszak go już poznaliśmy. Powiemy tylko, że po brzydkiej i niewyrazistej jego twarzy, przechadzał się tym razem uśmiech jakiś złośliwy.

Szypulski który znał barona doskonale, przysunął się zaraz do Baniewicza i powiedział mu na ucho:

— Przysięgnę, że coś będzie nowego. — I mrugnął oczyma i zatarł ręce z radości.

Baniewicz zamknął znowu oczy.

— Czekamy tylko na kochanego barona! — ozwał się gospodarz domu, podsuwając grzecznie nowemu gościowi wygodny fotel przed herbaciany stół.

— I dziwicie się zapewne moi panowie, że tak późno przybywam. Ale to nigdy nie zgadniecicie, czem byłem od samego obiadu zajęty?

— Czemuś ważnem?

— Prosimy powiedzieć! — ozwało się kilka głosów.

— Oto moi panowie, udawałem Szypulskiego.

— Cóż znowu?...

— Mnie?

— A to co?...

Powstał hałas ogromny, i wszyscy przygotowywali się do śmiechu, choć nie wiedzieli jeszcze, o co rzecz idzie. Ale już sama twarz barona była wielce obiecująca.

— Oto! moi panowie, aby was nie nudzić, rozwodziłem aż do tego czasu jedną świeżą nowinkę.

— Cha! cha! cha! brawo!...

Szypulski chciał się niby uczuć urażonym, ale usłyszawszy słowo „nowinka“ plotkarz przemógł człowieka. Nie mógł wytrzymać i pierwszy zawołał:

— Nowinka! jaka nowinka?

Baniewicz nic nie powiedział, ale się jeszcze więcej podsunął z nadstawionem uchem: I drudzy skupili się w koło barona.

— Powiedźże nam ją baronie!...

— Baronku kochany!..

— Baronku serdeczny!... — Wszyscy prosili, bo cóż pożądanego dla półgłówek, jak świeża plotka.

Jeden Jaksiński nie dzielił powszechnego zajęcia. Przeciwnie skrzywił się niepospolicie, i co chwila zaglądał to do zegarka, to rozpaczliwie ku zielonym stolikom rzucał spojrzenia. Baron, który się oglądał na wszystkie boki, snać to zajrzał.

— Nie bój się Jakso pocziwy, nowinka nie długa, nawet siądziemy do preferansa, — wyrzekł z uśmiechem.

— Nie o to!... — ozwał się Jaksiński. — Ale ja dziś nie mam czasu, bo...

Wszyscy w śmiech, znając doskonale Jaksińskiego, który gotów dwie nocy z miejsca się nie ruszyć, byle mógł walić preferansa; ale zawsze miał zwyczaj straszyć tem niby, że czasu nie ma.

— A więc słuchajcie!... kiedy chcecie koniecznie wiedzieć! — zaczął baron, i raz się jeszcze obejrzał, i z pod oka popatrzył na pana Saczka, który ciągle po drugim pokoju chodził, i wiejskiemu szlachcicowi właśnie na piękne wyprowadzał teorię azia.

— Przypadek moi panowie! — mówił dalej baron podnosząc głos, — przypadek, ten naszego Szypulskiego największy przyjaciel, naprowadził mnie na drogę małej intrygi miłosnej.

— Miłośniej! — ozwały się głosy, aż się uśmiechnęli przytomni, jakby przed smacznym kąskiem.

— Tak jest, miłośniej!... wyobraźcie sobie moi państwo, że tak sobie przed południem poszedłem do katedry.

— To w katedrze! — mruknął Szypulski — a ja też jak na to poszedłem do kościoła jezuickiego.

— Stałem przy filarze, i tak bez myśli patrzę przed się, gdy nagle uderzają mnie dwie fizjonomje znajome...

— Znajome? — zawołali słuchacze.

— Ale doskonale znajome, mnie i wam wszystkim.

— Któż taki? — pytano w około.

— Poczekajcie na bukiet, jak przy fajerwerkach, pierwszej początek, potem zakończenie.

— Poczekajcie! — ozwał się Baniewicz, który rzadko kiedy odzywał się, ale zawsze z wielkim sensem.

— I patrzę, że oboje, a miarkujecie moi panowie, że jedno z nich było mężczyzną, a drugie kobietą, patrzę tedy, i widzię, rzeczywisty telegraf!

— Telegraf?...

— Oczami! ale telegraf powiadam państwu tak wyrazisty, że trzeba było być chyba ślepym, lub zupełnie z rozumu obranym, aby nie poznać treści tych depeesz telegraficznych.

— Romansik w kościele, proszę kogo! — ozwał się jeden z prózniaków, wywracając oczy na znak zgrozy, którą był przejęty.

— Musicie zaś asaństwo wiedzieć, aby wam wszystko w porządku opowiedzieć, że w tej tak czule telegrafującej parze, męż-

czynna był kawalerem, a kobieta mężatką, i oboje z lepszego towarzystwa.

Tu mowca zatrzymał się chwilkę, obejrzał się znowu i uśmiechnął. Postrzegł właśnie, jak pan Saczek stanął we drzwiach, i zdawał się z uwagą przysłuchiwać.

— Mężatką! czy być może! z lepszego towarzystwa?... — westchnęło kilka cnotliwych słuchaczy.

Kto się chce szczeroci nauczyć, niech się puści w takie towarzystwa.

— Kobieta osobliwie, telegrafowała z wielkim zapalem, — ciągnął baron dalej z widocznym zamięłowaniem. — Mężczyzna nie tak bardzo, ale żebyście wiedzieli, kto był ten mężczyzna; to jest najdoskonalsze.

— No! powiedz od razu!...

— Wystrzel raz!...

— Panowie; już dziewięta dochodzi, ja prawdziwie dziś nie mam czasu...

— W końcu moja dama podnosi się, i cisnąc aksamitną książkę o piersi, spojrzała na niego, ale tak powiadam państwu, jakby mu głośno wyrzekła: „Mój najdroższy, chodź ze mną.“ Ha, powstał kawaler, i wyszli z kościoła, jedno za drugim o kilka kroków; a ja z daleka za nimi także.

— Doskonały baron!...

— Prawdziwy baron!... — wykrzyknęło kilku prawdziwych smakoszy, którzy jak przy dobrej potrawie dla większej przyjemności własnej, muszą się ozwać z wykrzyknikiem uwielbienia.

— Zakładam się moi panowie, że nie zgadniecie, gdzie zaszli. Na sto razy każdemu pozwolę zgadywać.

— Do kawalera, ozwała się większość, ale i inne odzywały się głosy.

— Szkoda czasu! moi panowie!... Na tę ciasną uliczkę, co idzie z ruskiej ku szkarpom.

— Na tę!... alboż tam kto mieszka porządny?

— To też właśnie, że nikt nie mieszka porządny. Chyba jakieś praczki, szwaczki pokątne: alboż ja wiem zresztą, jakieś ubóstwo, obdartusy!..

— Rozumiemy! a pfe!...

— W takie miejsce!

— Fi horreur!... — odzywały się gwarne głosy szanowanych gości pana Filońskiego. Nikt nie wiedział, gdzie weszła ta para, o której baron opowiadał, ale usłyszawszy, że tam ubóstwo mieszka, wszyscy byli gotowi potępić, bo w takich towarzystwach ubóstwo a łajdactwo to są synonima.

— To coś okropnego! aż obrzydliwość bierze!

— „Rendezvous“ w takim miejscu, to oburza!..

Naturalnie, na innem miejscu miłośne zejście nie tak by oburzało.

— No i cóż? co dalej? — zaczęto pytać, gdy się to cnotliwe oburzenie uśmierzyło trochę.

— Czekam moi panowie całą godzinę!...

— Całą godzinę! djabie!

— Tak jest, godzinę całą byłem cierpliwy, aby mieć przyjemność, zobaczyć raz jeszcze czułą parę, i przypatrzeć się ich fizjonomjom.

— Nasz baron prawdziwy artysta! — zawołał Pyłkowski z głośnym śmiechem — studjuje fizjonomje. To musiało być studjum nader interesujące.

— O gdybyście widzieli, z jaką czułością patrzali na siebie, z jaką czułością zegnali się i uścisnęli.

— Jak to uścisnęli, na ulicy?...

— Uścisnęli za ręce!

— I cóż dalej?...

— Mężczyzna wrócił nazad do domu, z kądem wyszli. dla zachowania pozorów zapewne, a ona poszła ku domowi. Ja ją zatrzymałem.

— Zatrzymałeś! brawo baronie!...

— To dyplomata!...

— I strategik!...

— Jakąż minę zrobiła, gdy cię poznała?...

— Szczęśliwy baronie!... rozumiem cię.

— Złe mnie rozumiesz mój Pyłkowski!.. ja jej tylko powiedziałem, że tej brudnej tajemnicy nie zachowam, że odkryję wszystko, bo mi żal męża, którego znam dobrze. Tak jest, żal mi poczciwca, którego żona tak haniebnie oszukuje!...

— Słusznie! bardzo słusznie, to ślicznie z twojej strony, kochany baronie!... — krzyczeli na wyścigi cnotliwi ludzie.

— Lecz teraz powiedz nam, kto oni byli?...

— Mamże powiedzieć?..

— A naturalnie!... ozwał się Szypulski.

— Może by lepiej me odkrywać?...

— I owszem, dla przykładu; jak sam mówiłeś.

— Kawalerem był Gabinek!...

— Co? Gabin, nasz Gabinek, zaczęli wołać oglądając się, czy go niema? — i nie postrzegłszy go, jeszcze głośniejszym parsknęli śmiechem.

— Tak jest, Gabin w własnej osobie.

— Ten flegmus! stary kawaler, nudziarz, proszę kogo, ktoby się spodziewał!...

— A ona? powiedz baronku!...

— Nie! nie mogę ją wam nazwać.

— Przynajmniej przecie.

— Słowo honoru, że nie powiem jej nazwiska! — wyrzekł baron głosem stanowczym, ale się przytem uśmiechnął do słuchaczy z wyrazem pełnym znaczenia i złości. Słuchacze też nie byli w ciemną białą.

— Czy młoda? — zaczęła się indagacja.

— Jakie włosy?... jakie oczy?... — pytano dalej.

— Oczy śliczne, czarne!... podługowato oprawne.

— To może pani X, pani Z, pani Z... — wołali słuchacze!...

— Nie przerywajcie! — ozwał się Baniewicz po raz drugi.

A baron zaczął dalej opisywać biedną Honorynę, ale rysami tak wyraźnemi, że w końcu musieli ją ciekawi słuchacze poznać koniecznie.

Jak na szczęście miała Honoryna na twarzy znamię, o którym zapomnieliśmy powiedzieć.

— A koło noska ślicznego, — mówił baron dalej, — ma znamię, rodzaj myszki małeńkiej, w kształcie muszki, co jej jeszcze wszyscy przyznają, dodaje więcej wdzięku.

— Tak! — zawołali wszyscy...

— Więc to pani! — krzyknęli — i wstrzymali się nagle, zagładając do drugiego pokoju, bo śnać przypomnieli sobie bytność pana Saczka.

Pan Saczek stał we drzwiach. Nie można powiedzieć, by był bladym, bo bledszym zostać trudno mu już było, ale za to stał skrzywiony w sposób niestychany, niewidziany, prawdziwie jenjalny. Mógłby z tem skrzywieniem wystąpić w najpierwszej komedji, na najpierwszej scenie europejskiej.

Wszyscy popuszczali oczy, niby pomieszani, lecz to pomieszanie było pozorne tylko; każdy miał na ustach uśmiech szyderycy, a na twarzy wyraz złośliwej uciechy. Pan Saczek nie był lubiony, szanowano tylko jego worek, ale mu go zarazem zazdroszczono. A nic mściwszego jak zazdrość.

Nastąpiła chwila milczenia. Baniewicz otworzył oczy. Szypulski zaczął się niedaleko Saczka, by pierwszy go usłyszał.

— To pani Saczkowa! chcieliście panowie powiedzieć. — ozwał się Saczek wreszcie, i lekki rumieniec jakby plama gorączkowa, wystąpił na jego pomarańczową twarz. — To moja żona! — mówił dalej zaciskając zęby. — Proszę się nie żenować! śmieJCie się, bo zdarzenie zapewne śmieszne! nieprawdaż? śmieJCie się...

I jakkolwiek nieczuły na wszystko, co nie było pieniądzem, nie potrafił się zaśmiać szczerze, choć szczerze się do tego przymuszał. I drugim jakoś głośny nie udał się śmiech. Filoński przystąpił tymczasem do Saczka, i jako lekarz, chciał go wziąć za rękę, by może pulsu nie zapytać, jak dalece wieść ta go poruszyła.

— Proszę się nie bać o moje zdrowie!... — rzekł pan Saczek, wrywając rękę z udanym uśmiechem.

Tu już dłużej wytrzymać nie mogli słuchacze, i głośnym parsknęli śmiechem na widok arcy pociesznej mimiki pana Filońskiego.

— Śmieszne! bardzo śmieszne moi panowie! nie prawdaż? — mówił dalej pan Saczek.

— Ba! — mówił Pyłkowski: — on est philosophe, ou on ne l'est pas!...

— Prawdziwie, nas to oburza!... — ozwał się Szypulski z miną człowieka dmuchającego na ogień.

— Ale przynajmniej zemścisz się mój panie Saczek! — powiedział baron, porywając go za rękę z udaniem współczuciem. — Bo przecież nie puścisz tego mimo..

— A któżby wątpił o tem! — zakrzyknęło kilku, patrząc ciekawie na postawę Saczka.

— Już ja wiem, co mi zrobić wypadnie! — odrzekł Saczek mrukliwie, i kąsał się wściekle w wargi, co było u niego zawsze dowodem wielkiego natężenia umysłowego.

— W każdym razie możesz rachować na mnie, ja ci będę służył. Od wyboru sekundanta bardzo wiele zależy! — szepnął mu pół głosem baron, zacierając rękę.

Baron był najszczęśliwszy. Bo baron może pożyczać pieniądze od Saczka, zjadać jego objady i śniadania, żyć z nim na równej niby stopie, ale tego poniżenia nigdy mu nie zapomni. Idzie tylko o dobrą sposobność!... A głupie Saczki pchają się przecie w nieswoje towarzystwo, zamiast zostać spokojnie między swemi kuframi, meklarami i komisantami. Dobrze im tak.

— Za sekundanta! — zawołał Saczek głośniej niż potrzeba, bo i drudzy usłyszeli.

To też kilku próżniaków skupiło się razem, i nuż uśmiechać się i kiwać głowami.

— Kto trzyma zakład, że nie będzie pojedynku? — mówił jeden do drugiego — o kosz szampana!...

— Alboż ja warjat! — powiedział drugi.

— I ciekawym, na jaką by broń nasz Saczek potrafił wojować? — zauważał trzeci.

— Za sekundanta! — powtórzył Saczek ale już ciszej, i ciemne swe oczy tak mocno utkwiał w barona, że ten mimo swego całego savoir vivre, spuścił oczy, nie mogąc wytrzymać wzroku tego.

Lecz pan Saczek w mgnieniu oka zunienił wyraz twarzy i przystępując do barona, porwał go za rękę z uśmiechem i uścisnął ją.

— Nie pozostaje mi, jak podziękować kochanemu baronowi za to, że mnie otworzył oczy. Tej przyjacielskiej usługi nigdy nie zapomnę!...

— Sam mnie o to prosileś; zrobiłem najchętniej! — odrzekł baron patrząc Saczkowi w oczy.

— Zdrożności odkrywać, to najświętszy obowiązek każdego uczciwego człowieka! — ozwało się w towarzystwie kilka indygnowanych głosów.

— Poczcwi i szlachetni ludzie!...

A pan Saczek schylił się do ucha barona i szepnął mu:

— Mógłś to panie baronie mnie samemu powiedzieć, ale nie w obec wszystkich.

— Bałem się, by pan Saczek tego lekce nie ważył, a to wymaga krwi!... — odszepnął baron.

— Spodziewam się, pan baron przekonany jest, że odtąd kasa moja dla niego zamknięta.

— A i moja dla pana Saczka! — odpowiedział baron z drwiącym uśmiechem.

— Mniejsza o to, mój panie baronie! ja i tak nie miałem wiele nadziei, odebrać od niego kiedy pieniądze moje, bo pan baron nadto dobrze znany, że brać umie, ale nigdy nie oddaje. Ale teraz dzięki panu, kochanek mojej żony zapłaci mi za pana z dobrymi procentami.

— Więc pan za żonę i honor każe sobie zapłacić?...

— A nie inaczej panie baronie!... — Czy pan myślisz, że mi piątej klepki brakuje, abym się wdawał w pojedynki? Mam skandal, mam świadka, musi zapłacić!...

— Winszuję panu tych uczuć...

— Jako mój przyjaciel, musisz pan baron strzelać się za mnie. Nie przymawiając, baron zgłupiał zupełnie.

W czasie tego a parte, towarzystwo podzieliło się na grona, i w każdym żwawo rozmawiano o jednym i tym samym przedmiocie.

Wszyscy naturalnie w cnotliwym zapale bij zabij na pana Gabina. — On, on to, moi panowie, najwinniejszy, — deklamował jeden patetycznie. A sąsiad jego mruknął do drugiego:

— Ma romans z własną bratową!...

— To woła o pomstę, takie zepsucie! taka demoralizacja! pisał inny deklamator.

A sąsiad szepnął do drugiego

— Ma procesik kryminalny o zbatamucenie małoletniej.

— Ależ moi panowie, szkoda czasu! już my na to nic nie możemy!... a to na dziesiątą; ja dziś na honor nie mam czasu, chyba jedną pulkę preferansika! — perorował rozpaczliwie pan Jaksiński.

Wtem otworzyły się drzwi wchodowe.

— Lupus in fabula! — ozwał się Baniewicz.

Baniewicz rzadko się odzywa, ale wie kiedy, i zawsze z sensem. Wszedł Gabin w tej chwili.

Baniewicz nie tylko uszy natężył, ale i oczy jak najszerzej rozszerzył, przekonany, że tu może nie tylko słuchać trzeba, ale przyjdzie może co widzieć. Szypulski aż podskoczył z radości. Coś podobnego nie codziennie się trafia przecie. I wszyscy ciekawe wypatrzyli oczy; bo czy może być co powabniejszego dla takich towarzystw, jak taki skandalik.

I wszyscy się rozstąpili, tak, że Saczek sam jeden pozostał na środku pokoju.

Nasz bohater jakkolwiek nie obdarzony zbyt dużą domyślnością, zrozumiał przecie, że tu coś nadzwyczajnego zająć musiało. Z natury już nieśmiały, sam nie wiedział co począć; postępował więc naprzód krokiem powolnym, uśmiechem i kiwaniem głowy witając wszystkich na około. Tu i owdzie odkiwnął mu jeden i drugi ruchem przymuszonym, ale wszyscy milczeli i wszyscy patrzali na niego. Panu Gabinowi zaczynało się niemiło robić.

Jeden Filoński wysunął się bokiem i zbliżywszy się do wchodzącego, końcem palców uściśnął podaną sobie rękę. Nie mógł tego odmówić jako gospodarz, a nareszcie on był domowym lekarzem pana Gabina.

— Spóźniłem się nieco — ozwał się pan Gabin, oglądając się z nieśmiałością na te wszystkie, tak jakoś dziwnie wykrzywione twarze.

— Widzisz złe sumienie na jego twarzy — szeptał jeden do drugiego.

— Ale miałem tyle dziś zajęcia — ciągnął pan Gabin dalej.

— Wierzę, bardzo wierzę — zasyczał baron, który postanowił sobie, przyprowadzić koniecznie do ostateczności.

Pan Gabin spojrział na niego z nieudanem zdziwieniem. Mimo-wolnie się zarumienił, widząc wszystkie spojrzenia złośliwie na się wytrzeszczone. Przyszło mu na myśl zaprawdę, czy niema co w jego ubiorze. Rzucił okiem w zwierciadło. Zdaje się, wszystko w porządku.

— Myśleliśn y nawet, że pan nie przyjdiesz więcej, wiedząc, że musisz tu zdybać... — mówił dalej baron, i urwał z krząknieniem groźnem i wiele znaczącem.

Zadziwienie biednego Gabina przechodziło pomału w osłupienie.

— Prawdziwie nie rozumiem, co to wszystko ma znaczyć? wyjąkał Gabin z trudnością.

— Ale kiedyś pan przyszedł, mój przyjaciel nie zniesie.

To mówiąc z wielkim ferworem baron wskazał ręką na pana Saczka.

— Przyjaciel czy nie!... — ozwał się Saczek wreszcie, postępując parę kroków — mniejsza o to. Ja panu wytłumaczę — mówił dalej zwrócony do Gabina — o co rzecz idzie. Pan baron widział pana i zadenu-cjował, żeś miał schadzkę z moją żoną w miejscu nie zupełnie przy-zwoitem.

— Mój panie — jeszcze mniej rozumiem; czy gramy komedję, mówił Gabin jękając się. On biedak na prawdę nic nie rozumiał, ale nie mniej przeto był nadzwyczaj pomieszany, w skutek własnego już usposobienia.

— Nie udawaj pan, bardzo proszę! — krzyknął Saczek, a widząc pomieszanie pana Gabina, tem więcej przybrał ton groźny i pogardliwy.

To panu Gabinowi najwięcej pomogło do opamiętania się. Na taki ton obudziła się w nim krew szlachecka.

— Nie rozumiem! — wyrzekł głośniej, i parę kroków postąpił na-przód; — ale takiego tonu znieść nie myślę.

— Pan uwiodłeś żonę moją! — mówił Saczek, ale już ciszej nieco.

On przeklinał to mnóstwo świadków, przy których ta cała sprawa była trudniejszą. Sam na sam prędko by się z nim porozu-miał; wszakże to szłoby tylko o mały targ, o jedną cyfrę mniej lub więcej. Czy on takie przebywał negocjacje...

— Któż pan jesteś? — odpowiedział Gabin coraz więcej zapa-lając się.

Nasz bohater jak go już poznaliśmy, należał do tych usposobień flegmatycznych, powierzchownie uspionych tylko. Takie usposobienia, gdy się raz rozbudzą, stają się podwójnie gwałtowne. Doświadczenie to zrobić można na wszystkich prawie flegmatykach.

— Ledwie znam pana, mówił pan Gabin dalej. — Jakiś czy adwo-

kat, czy bankier. Nie bywam u pana, i nawet nie wiem, kto jest żona pana.

— Ta, z którą pan dziś byłeś w południe na uliczce małej dominikańskiej! — zawołał baron.

— Pani Honoryna Saczek!... — przemówił Szypulski, drżący od niecierpliwości.

On chciałby, aby się ta sprawa co prędzej rozwinęła, by mógł dziś jeszcze zanieść tę nowinkę do kilku domów znajomych; bo do jutra mógłby go kto uprzędzić.

— Panowie! zgoda! zgoda!... — krzyczał zdesperowany Jaksiński, głosem wołającego na puszczy.

Usłyszawszy te słowa pan Gabin, zmięszał się na nowo, choć jak wiemy Bogu ducha był winien. Ale imię Honoryny tak nagle wymówione, i w takich okolicznościach, silne na nim zrobiło wrażenie. Mimowolnie spuścił oczy w dół. To znowu Saczkowi nowej dodało sierdzistości...

— To jest podle zwodzić!... — zawołał, przybierając wyraz tragicznej powagi.

— Podle! — krzyknął Gabin i poczerwieniał cały. Wzburzyła się w nim do reszty krew szlachecka. Nie darmo pochodzi z dawnych rycerzy, co się pieczętują panną na niedźwiedziu. — Podle? — powtórzył, i przyskoczył do Saczka, który po prawdzie zbladł ze strachu. I byłby chętnie dał drapaka, gdyby nie nadzieja zysku, auri sacra fames!...

— Za te słowa odpowiesz mi pan, jeżeli masz cokolwiek w sobie honoru.

— Ale panowie, pojedynek! fe! — odezwał się doktor Filoński. Wielkim był pojedyнку antagonistą, bo pojedynek wlaził mu oczywiście w sterę jego działalności; zabierał mu chleb niejako.

— Tu nie o to rzecz idzie mój panie! — mówił znowu Saczek. — Ja nie jestem szermierz. Ale jako mąż, umiuję się za memi prawami, i dojdę ich mój panie, dojdę... ja znam wszystkie drogi!.. pan wszędzie przegrasz.

I między obecnymi próżniakami byli ludzie, którym na te słowa mocniej uderzyło serce.

— On go procesem straszy! — szeptali między sobą, i coraz pogardliwiej patrzali na Saczka.

— Nie wiem, co pan tam o prawach swoich gadasz?... Za słowo nierozważnie powiedziane, żądać będę honorowej satysfakcji. A co do zarzutu pańskiego, krótko odpowiadam, że żona pańska, którą mam zaszczyt znać, jest zupełnie niewinna.

— Tak każdy mówi, ale mamy prawodawstwo, mamy sędziów, sprawiedliwe kodeksa i kary.

— Nad to wszystko, wyżej stawiam słowo honoru uczciwego człowieka. A je daję tu w obec wszystkich, rozumiesz pan, panie Saczek. Słowo honoru, że pańska żona jest niewinną!...

— Pan z nią przecie dziś widziałeś się!...

— I cóż z tego?...

— W miejscu podejrzanem!...

— Uczciwszem stokroć może, nizeli dom pański, na kręciarstwie i szachrajce wyniesiony.

— To trzeba dowieść!...

— Najprzód satysfakcja za urażliwe wyrazy, a potem dowody. Na kiedy i gdzie?...

— Ja panie ucieknę pod opiekę praw! — krzyknął Saczek z całą energią tchórza.

Nasz bohater niepodobny był do siebie samego. Cały energiczny, gotowy na wszystko, rozbudził się mąż i szlachcic w nim. W tej chwili wyładniał, wyszlachetniał nawet; całe stare kawalerstwo gdzieś znikło bez śladu.

— Ale pan nie uciekniesz przed moim policzkiem! — krzyknął Gabin głosem potężnym, przyskoczył do niego i podniósł rękę. Ale w sam czas się opamiętał. Opuścił rękę co prędzej i wyrzekł poważniejszym głosem:

— Siebie tylko splamiłbym.

— Co to! do bicia się pan zabiera — krzyknął Saczek, wszelkiej już zapominając przybranej przyzwoitości. — To rozbój moi panowie, biorę was za świadków. Pan mi za wszystko zapłacisz!...

Kto wie coby się stało, bo Gabin mimo natężenia z jakim się chciał utrzymać w granicach przyzwoitości, coraz się więcej rozpałał. Lecz nagle ruch jakiś głośniejszy powstał w przedpokoju.

— Czy jest tu? — ozwał się głos kobiecy, głos drżący gwałtownem jakimś wzruszeniem.

I drzwi się otworzyły. Wbiegła przez nie blada, drżąca cała kobieta, z oczami od łez czerwonymi, a iskrzącymi od wewnętrznego wzruszenia.

Była to Helenka.

Ledwie weszła do pokoju, obejrzała się co prędzej, a spostrzegłszy pana Gabina, przyskoczyła do niego:

— Panie! matka moja kona! — zawołała składając ręce jakby do modlitwy.

— Cóż się stało! — krzyknął Gabin zdziwiony.

— Ach nie wiem panie! nagle padła! ratunku! Mnie Szymon powiedział, że pan tu, i ja przybiegłam.

— Panie Filoński, zbieraj się co prędzej.

Filońskiemu nie trzeba było tego mówić. Już biegał po pokoju, zbierając rozmaite lekarskie przybory. Konanie, to przecież jego rzecz!...

Helenka drżąca cała, teraz się dopiero obejrzała; jakże się zmięszała widząc tyle ócz zwróconych na nią z obojętną, jeżeli nie z złośliwą ciekawością. Przysunęła się do pana Gabina, jakby tuląc pod jego opiekę.

— To ta tabaczarka! — ozwał się nagle Saczek — wychowanka żony mojej.

— Widzisz, to cała intryga! — dodał baron.

Pan Gabin usłyszał i jedno i drugie słowa, i oczy jego zalsniły nagle, zalsniły jak nigdy jeszcze. W tej chwili szlachetnego zapału, spowodowanego niesłusznym i haniebnym zarzutem, Honorynie uczy-

nionym, nowa myśl przemknęła mu przez głowę. Myśl to była godna tych nowych uczuć, jakie się w jego duszy rozbudziły, myśl godna tej nowej energii, którą po raz pierwszy uczuł wczorajszy próżniak i stary kawaler. Bo nic tak nie uszlachetnia jak prawdziwe uczucie.

W tej chwili nasz bohater był prawdziwie piękny, nie pięknością rysów, ale pięknoscią ognia wewnętrznego, który je nowym oświecał blaskiem. Mimo rozpaczy swojej, Helenka patrzyła na niego z uwielbieniem. Nigdy jeszcze nie wydał się jej tak pięknym. Uczucie dziewicze, dziecinnymi prawie jeszcze pojęciami osłonięne, przemówiło w niej po raz pierwszy w całej pełni.

— Tak jest mój panie! — przemówił Gabin, a słowa jego brzmiały w całym pokoju, dobitne i pełne powagi. — To jest wychowawca pańskiej żony, która raczyła się zająć wychowaniem przyszłej żony mojej.

— Żony! — zawołał Saczek, a za nim drudzy.

— Helenka, tak jak ją się panu nazwać podobało, tabaczarka, będzie żoną moją. U jej to matki, konającej teraz, zdybaliśmy się dzisiaj z żoną pańską. Wstyd brudnego posądzenia niech spadnie na pana!...

Helenka poczerwieniała i pobladła w jednej chwili, chciała coś powiedzieć, usta otworzyła, ale zabrakło jej i tchu i słów. Z oczu tylko łzami przynglonemi wystrzelił wzrok na Gabina, wzrok wymowny wszystkimi uczuciami, jakimi biło w tej chwili serce dziewczyny. Wzrok ten przeniknął naszego bohatera tak silnie, że w tej chwili uczuł namiętną do Helenki miłość.

Lecz się Helenka wnet opamiętała; rozpacz córki zagłuszyła uczucie dziewicze.

— Spieszmy! może ją jeszcze wyratujemy, by się cieszyła — wyrzekła i porwała Gabina za rękę.

— Panie Filoński, chodźmy! — odrzekł Gabin, podając rękę Helence.

Saczek i baron stali tymczasem z minami potężnie głupimi. A przytomni patrzali na nich ze złośliwym szyderstwem. Z kogoś zawsze drwić wypadało; pierwiej z pana Gabina, teraz z jego antagonistów. Historyczne vae victis, nigdzie tak często się nie powtarza, jak po najwyższych towarzystwach.

Pan Filoński przybrawszy najpoważniejszą Eskulapa minę, ubrał się wreszcie. I wyszli: pan Gabin z Helenką pod rękę na przedzie, rzuciwszy poprzednio wzrok pogardliwy na około, a za nim Saczek z baronem, w czulej znowu komitywie.

— No chwała Bogu! — zawołał Jaksiński — już poszli, teraz sobie spokojnego utniemy preferansika.

— Ktoby się tego spodziewał po nim — przemówił Szypulski. Taki niuńka!... Ale muszę się spieszyć!... jeszcze zajdę do hrabiny! ona nie spi jeszcze, a może i szambelana u niej zastanę.

To rzekłszy, nie uważając na rozpacz Jaksińskiego, wyszedł.

— Cicha woda brzegi rwie! — ozwał się Baniewicz.

Pan Baniewicz jak się pokazuje wcale nie głupi. Zyskuje na dłuższem poznaniu.

— Żenić się z tabaczką! fi done! — powiedział pan Pyłkowski.

— Chyba, że ma wielkie pieniądze — pomyślał po cichu.

Jeden to, drugi owo powiedział, i wszyscy pomalu wyszli, mimo najpatetyczniejszych wykrzykników pana Jaksińskiego, który ostatni powstał, żałośnym wzrokiem żegnając nierozpieczętowane karty.

E p i l o g.

Smutna to była noc dla tych, co ją przepędzili przy łóżku umierającej Bodiakowej. Nie można bowiem było się ludzić, popatrzawszy na jej przeciągniętą twarz, którą przelatujący już anioł śmierci zdawał się cieniować, ciemną swych skrzydeł barwą. Oddech tylko ciężki zwiastował, że żyje jeszcze, ale w oczach błędzących w około, nie było już przytomności. Czasem tylko zdawało się, jakby silne jakie napięcie dobyło się ze środka, na twarz wybiegło rumieńcem, ruchem ust przemówiło, oczom nowego dodało blasku. To było ostatnie napięcie myśli i uczuć matki. Chciała widzieć córkę, pobłogosławić ją, ostatnie przemówić słowo. Biedna kobieta, nie mogła już dobrać ani słowa, ani ruchu, ani wzroku cała paraliżem tknięta.

Przy łóżku klęczała biedna Helenka. Jej rozpacz była niema; nawet oczy łez już nie miały, tyle ich od tych kilku godzin wypłakała. Całe życie biednej dziewczyny było w oczach, któremi śledziła każde matki poruszenie: a w rękach złożonych jak do modlitwy, trzymała zimną i nieruchomą matki rękę, by ją od chwili do chwili, ucałować gorączkowym ust przyciśnięciem. Bo od chwili do chwili przez zmęczoną dziewczynki głowę, lękania przelatywała myśl, że to może ostatnie pocałowanie, że się ta ręka matczyzna, do której miękkich pieśczoł przez lat tyle się przyzwyczaiła, wymknie się jej lada chwila na zawsze, by w zimnym spocząć grobie.

U nóg chorej stał Gabin, cały wzruszony, cały zmieniony. Łoże umierającego z całym otoczeniem łez i rozpaczy rodzinnej, to wielka dla żyjących szkoła. Budzą się wszystkie pamiętki; cały ten cmentarz przeszłości, w którym spoczywa tyle drogich istot, tyle chwil niepowrotnych i uczuć zgastych na zawsze. I cała przeszłość staje przed myślą, ta przeszłość w perspektywie tak krótka, że się nic pojąć nie może, gdzie się na niej podzieją wszystkie obowiązki zaniedbane, wszystkie uczucia mało ważne. Niema człowieka tak zepsutego, któremuby przy łożu umierającego zbawienne do głowy nie przyszyłyby myśli, któryby lepszym od niego nie odszedł. I Gabin przypomniawszy sobie całe życie przeszłe, i zadrżał mimowolnym uczuciem przestrachu. Jutro niepewne, a jakież jałowe bezpożyteczne było wczoraj! Spojrzał na Helenkę, i pomyślał:

— Jej szczęściem i własnym odkupie straconą przeszłość.

U głów chorej stał nieruchomy Bazyl Pawluk. On z nich wszystkich najbiedniejszy, bo bez żadnej nadziei.

I przeszłość jego i przyszłość dogorywa tu ostatniemi uderze-

niami tego serca, które go kochało, i po którym żadne już go kochać nie będzie. Dla niego niema żadnej pociechy. Bo też aż strach zbiera popatrzeć na tę twarz zmienioną, przez kilka godzin do niepoznania. Cała jej pocieszność znikła, by ustąpić powadze prawdziwego smutku, który najposledniejszą uszlachetnia twarz. Oczami zapadłemi patrzy przed siebie i nic nie widzi; i nawet nie czuje tych łez co mu padają jedna po drugiej na chorej poduszce; usta jego drgają łkaniem przytłumionem. Biedny Pawluk czasem, dawnem wiedziony przyzwyczajeniem, ręką pociągnie ku kieszeni, jakby chciał poszukać tabakierki, tej dawnej drobnych życia utrapień pocieszycielki. Lecz wnet podniesiona ręka upadnie, nowy kurecz przemknie przez usta, i nowa a prędzsza upadnie!.. Na taki ból, na taką stratę, niema już pociechy!..

W kącie przy stoliku siedzi pan Filoński, a naprzeciw niego siedzi drugi, nie wielki i chudy człowieczek z zaspanemi oczkami, z których jak się zdaje i w czasie zupełnego obudzenia nie wiele musi się zdobywać błyskawic myślowych. To pan Laksijewicz, pierwszy wedle powszechnego zdania lekarz, przywołany na konsyljum. Oba milczą i patrzą poważnie na siebie. Oni myślą, głęboko myślą; czy też co wymyślą?... A wymyślić gwałtem potrzeba, bo niebezpieczeństwo ogromne.

Przecież ruszyli się obaj. To pewnie już schwytali zbawienną myśl. Nie! jeden i drugi sięgnął do kieszeni; wyciągnęli tabakierki, jeden srebrną, drugi złotą; i potraktowali się nawzajem najgrzeczniej tabaczką.

Naprzeciw nich, przy tym samym stoliku stał jeszcze jeden mężczyzna, młody i przystojny. Na bladej jego twarzy, na czole wysokiem i w pełnych a jasnych oczach widać było i myśl głębszą i głębsze uczucie. Patrzył na panów mecenasów lekarskich, i na ustach, młodzieńczym jeszcze zapalem wydętych, to przemknął uśmiech szyderski, to jakby kurecz niecierpliwości. Był to także lekarz, ale jeszcze młody, poczynający, wezwany także na konsyljum przez Laksijewicza, który lubił przybierać postawę łaskawego mecenasa, protegującego młodsze talenta. I taki młody adjunkt lekarski to czasem bardzo wygodny, bo na niego można zrzucić własny błąd. A choćby przez to młodszego zawód przepadł, mniejsza o to!.. byle ustalona reputacja nie ucierpiała.

Panowie lekarze dotąd nie mogą się zdecydować, ba nawet posprzeczczaali się między sobą. A przecież jeden drugiemu nie może ustąpić.

— Sed amice!.. — ozwał się Filoński, i na nowo po półgodzinnym namyśle powtarza nazad swoje zdanie.

— Sed amice! — odpowiada Laksijewicz, którego zdanie się nie zmieniło.

A chora coraz ciężej oddycha. Stękanie jej coraz głuchsze, jękliswsze, i w coraz dłuższych odzywa się przestankach. Biedna córka patrzy w oczy matki, ścisła konwulsyjnie jej rękę, a w myśli ułamkami przelatują jej słowa wszystkich pacierzy.

I rzuciła okiem po za siebie na lekarzy. I obaj mężczyźni, przy łożu stojący, popatrzyli na nich. Może przecie od nich przyjdzie

ratunek. Jedno tylko zdybali sympatyczne spojrzenie młodego lekarza, ale spojrzenie smutne.

— Sed amice! — poczyna mówić jeden.

— Sed amice! — odpowiada drugi lekarz.

To formułka używana koniecznie, formułka przyjaźni niby i koleżeństwa, tak szczerza, jak ich chęci przy chorym, jak zbawienna cała ich sztuka. Już się przecie zgodzili na dwie substancje, z których ma się składać zbawcza mikstura. Ale idzie jeszcze o substancję trzecią.

— Sed amice!...

— Sed amice!... — powtarzają coraz gniewniej, coraz złośliwiej. W ustach słowo przyjaźni, a w oczach!... jeden drugiego utopiłby w łyżce wody.

A idzie o rzecz nie małą. Lekarstwo jest już, ale o to sprzeczka, w jakim je soku zmięszać. Filoński jest za malinowym, Laksijewicz za porzeczkowym.

— Quid putas? — ozwali się wreszcie obydwaj, i spojrzeli na młodego kolegę, którego oczy błyskały gniewem i pogardą.

— Ja mniemam, że pierwszy lepszy środek używany w takich razach będzie dobry, ale trzeba go używać, bo czas uchodzi, a czas umierającej nie na godziny, nie na kwadransy, ale na minuty się rachuje...

— Pierwszy lepszy środek! — mruknął Filoński. — Ja przecie mego zdania nie odstąpię.

— Czas! czas! a mnie co do czasu! — mruknął Laksijewicz; — ja starszy, miałbym moje zdanie pierwsze: nigdy! Co tam jeden człowiek, naprzeciw całej umiejętności, którą ja reprezentuję. A więc sok mi amice będzie porzeczkowy, porzeczkę to większy stimulan.

— Sed amice! ja jestem za malinowym, właśnie dla tego, że mitigans.

Chora leży nieruchoma; wszyscy koło niej milczą, własny zawieszając oddech, by prędzej usłyszeć jej coraz cięższe, ale coraz wolniejsze stękanie. To już ostatek jej sił rwie się widocznie.

Córka klęczy i drży cała. Bo ta ręka matczyna coraz zimniejsza, sztywniejsza; już ją gorączkowe pocałunki ani na chwilę ogrzać nie potrafią.

— Boże! czyliż już żadnego niema ratunku? — odezwała się Helenka rozpaczliwem córki westchnieniem.

I jakby to westchnienie zostało wysłuchane, otworzyły się po-mału ciężkie chorej powieki. Po raz pierwszy tej nocy oczy jej przytomniej popatrzyły i spoczęły na córce. Wystrzelił z nich wyraz takiej czułości i takiego żalu, że biednemu Pawlukowi głośne wyrwało się łkanie.

— Matko! — zawołała rozpaczliwie Helenka, i martwiącą rękę matki przycisnęła do piersi, jakby ją własnem życiem rozgrzać chciała. — Matko! przemów do mnie — powtórzyła Helenka.

Gabin przycisnął chustkę do oczu, bo prawdziwe, gorące łzy puściły mu się z oczu. Matka chciała przemówić i poruszała ustami. Głosu słyhać prawie nie było, ale wszyscy zrozumieli jej słowa:

— Halko moja! ja cię błogosławię.

Halka spojrzała mimowolnie na pana Gabina. I ten przyskoczył do niej, i ukląkł przy niej, i wyrzekł patrząc na konającą:

— Matko! błogosław twoje dzieci!..

Ostatni błysk radości, radości prawdziwie nadziemskiej, przemknął w oczach konającej. Spojrzała w górę, jakby Boga z nieba wezwać chciała, spojrzała na klęczących, i usta jej wyrzekły niemym ruchem:

— Bóg was niech błogosławi.

— Sed amice!..

— Sed amice! — mówili tymczasem lekarze do siebie, zaciskając zęby ze złości, iż jeden drugiemu ustąpić nie chce.

— Ależ ona kona! — ozwał się młody lekarz, a na czole jego zawisła chmura gniewu. — Czas tracić, to znaczy zabijać.

Filoński ustąpił przecie. Receptę napisano, i obaj lekarze ruszyli do łóżka chorej ze zbawczą receptą.

Chora w tej właśnie chwili skończyła.

Pawłuk trzeźwił Helenkę. Pan Gabin zapłacił lekarzy i odprowadził do drzwi. Lekarze bardzo mu się grzecznie skłonili, zaglądnąwszy ukradkiem w ściśnięte swe pięście, co też tam włożył ten szanowny, bo płacący mąż?..

Młody lekarz ofiarowany sobie datek położył nieznacznie na kominku, i ledwie skłoniwszy się, wyszedł na ulicę.

Starzy popatrzawszy za nim kiwnęli głowami.

— To nie dla nas człowiek! — powiedział pan Filoński.

— Trzeba mu wszędzie przeszkadzać! — odrzekł pan Laksijewicz.

— Masz rację panie kolego! — mówił pan Filoński.

— Tacy ludzie gubią naszą sztukę — dodał Laksijewicz.

I koledzy uściskawszy sobie ręce, rozeszli się, każdy w swoją stronę.

* * *

W rok później odbyło się wesele pana Gabina.

Honoryna przyprowadziła pannę młodą, ustrojoną w wieńce i zastonę. Śliczna była Helenka, śliczna strojem, wdziękami, radością i tem uczuciem głębokiem z jakim patrzyła na naszego bohatera.

A oddając pannę młodą w ręce pana młodego, Honoryna miała w oczach łzy rozczulenia.

— Jam ją dla ciebie wychowała! — szepnęła mu do ucha. — Bądź z nią szczęśliwy! to będzie dla mnie największa radość!..

Szczęśliwi są egoiści! Nasz bohater nie rozumiał, uśmiechnął się do Honory i pocałował ją w rękę.

Honoryna łzy otarła, a westchnieniem przytłumiła.

A po weselu państwo młodzi byli i są dotąd szczęśliwi. Po Gabinie nie poznasz dziś dawnego próżniaka i nudnego, starego kawalera. Dobry uczynek i uczucie prawdziwe wyleczyły go. Gdzie mu tam się teraz nudzić?.. Jeżeli się nie patrzy w piękne i czułe żony oczy, to całuje jej różane usteczka, lub słucha, co mu luba tak

mile szczebiocze. A plany na przyszłość, a nadzieja wychowania drogiech dzieciak!...

Kochajcie próżniacy,żeńcie się starzy kawalerowie!...

Jeden Szymon jak kiwał, tak kiwa głową.

— Mówiłem — mrucał — że to będzie bieda. Póty czytał tego szelmowskiego Byrona, póty pił herbatę, aż na końcu żonę do domu sprowadził. Oj! nie będziesz już miał dawnej doli, biedny Szymonie.

Koniec tomu trzeciego.

SPIS RZECZY TOMU III.

	stronica
1. Król dziadów	3
2. Lekarz magnetyczny	169
3. Stłuczone okno	197
4. Dwa zdybania	227
r 5. Próźniak	247

SPIS RZECZY TOMU III



**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-380 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

709

709

3